

BOGDAN WOJDOWSKI

CHLEB RZUCONY UMARŁYM

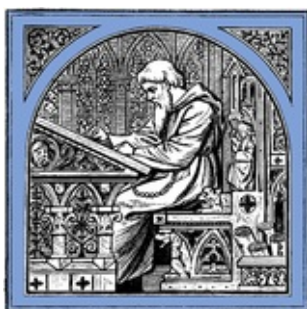
[Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page]



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Chleb rzucony umarłym

Bogdan Wojdowski



Warszawa, 1971

Pobrano z Wikizródeł dnia 13.02.2018

BOGDAN WOJDOWSKI

CHLEB RZUCONY UMARŁYM

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

OD AUTORA

I • II • III • IV • V • VI • VII • VIII
IX • X • XI • XII • XIII • XIV • XV

Grafika na obwolucie
BOŻENY BRATKOWSKIEJ

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971 r.

Wydanie pierwsze

Nakład 10 000 + 290 egz. Ark. wyd. 21,3. Ark. druk. 31,5

Papier m/gł. kl. III, 70 g, z form. 78X 90/32

Oddano do składania 6 marca 1971 r.

Podpisano do druku w sierpniu 1971 r.

Druk ukończono we wrześniu 1971 r.

Łódzka Drukarnia Dzielowa w Łodzi

Nr zam. 596/A/71. U-87

Cena zł 26.—



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#).

Dodatkowe informacje o autorach i źródle znajdują się na [stronie dyskusji](#).

OD AUTORA

Mur dzielił ludzi i po to był postawiony; nie umiem tego krócej wyrazić. Opowiadanie określone jest dniem, kiedy mur zamknięto jesienią 1940 roku, i „wielką akcją” w 1942, kiedy w części dzielnicy przestał czemukolwiek służyć. Co w pewnym stopniu wyjaśnia, dlaczego w książce nie ma tego, czego nie ma. Ostatnie lata wojny spędziłem „po tej stronie”, wśród ludzi, którzy pozostali moimi bliskimi.

Mówiono: „murowane dokumenty”. Ja takich nie widziałem, ale widziałem niezawodnych ludzi, którzy dla ocalenia cudzego istnienia narażali życie własne. Do nich kieruję tę przedmowę. Dzisiaj mnie samemu to i owo wydaje się niewiarygodne, wtedy było zwyczajne. Pamiętam stróżówkę u zbiegu Leszna i Żelaznej, gdzie schroniłem się w parę miesięcy po ucieczce. Ten kto wie, że na wprost znajdowała się wacha, pojmie ironię sytuacji. Co parę godzin wpadali tam żandarmi na rewizję. Człowiek, którego znałem sprzed wojny, mógł mi udzielić schronienia na krótko. Widziałem w jego rękach „Biuletyn Informacyjny” i przeczytałem. Spotykałem później innych ludzi, inną bibułę.

Mówiono: „murowane dokumenty”, a oznaczało to zdobycie meldunku, pieczętek, nieosiągalnych podpisów, aż po magistracki zapis. Jedna fałszywa metryka i łańcuch ludzi, z których każdy narażał się dla kogoś często nie widzianego na oczy. Dla ścisłości muszę zanotować, że do mnie docierało nie raz stypendium „Żegoty” i nawet domyślałem się, kto był

łącznikiem stojącym najbliżej organizacji.

Mówiono potocznie: „murowana meta”. Na pierwszym piętrze pięciu ukrywających się Żydów, w piwnicy kocioł z zacierem i aparat do destylacji samogonki. W piecu kaflowym broń, a w szufladzie nie zamykanego stolika blankiety auswajsów, odbitki podpisów, próbki pisma, warsztat kochanego „fałszerza”. Rano zjawiała się robotnica od Wedla z kubelkiem kradzionej melasy. Dzwoniła jak wszyscy. Dwa dzwonki, pauza, dwa dzwonki, pauza, dwa dzwonki. Bimber o barwie przedniego koniaku nosiłem do knajp na Płocką w dwóch blaszankach po niemieckim oleju, zawiniętych w worek. A ci, co ocaleli, pamiętają dobrze, komu zawdzięczamy murowane dokumenty z nie zamykanego stolika. Trudno wyobrazić sobie wyspę w takim lokalu; byłem jednym z pięciu ukrywających się tam Żydów i widziałem to. Pamiętam wysokość okupu i godzinę, o której miał być złożony, i dobrze znam właścicieli tego mieszkania, którzy po całej aferze, usunięciu śladów, rozproszeniu ukrytych, nie opuszczali nadal spalonego lokalu, jeszcze długo stawiając czoło policji i z flegmą przyjmując serię wizyt i gróźb.

Pewien szmugler ułatwił mi wtedy ucieczkę z miasta. Jeździłem z nim później na trasie Warszawa — Ostrołęka, w jedną stronę woził rąbankę, w drugą zamki od rusznikarza. Pamiętam jego mieszkanie na Ochocie, puste, rozgrzane słońcem, gdzie zamknięty jakiś czas, nie dając znaku życia, kąsany nocą przez pluskwy, przed którymi nie było ucieczki, za dnia skracałem sobie długie godziny lęku czytaniem starych listów. Od kogo? Do kogo? Nie mam pojęcia. Pod cudze słowa podkładałem głosy, twarze. Pamiętam domyślnych chłopów z wiosek pod Wyszkowem, z Leszczydołu Starego, z Leszczydołu

Nowego, z Olszanki, gdzie pasalem bydło; oddziałek młodziutkich partyzantów z Puszczy Białej, wśród których znalazłem znajomego człowieka i nowych przyjaciół jesienią i zimą 1943 roku; starych robociarzy z kolonii Ołtarzew, z Piastowa i wysiedlonych warszawiaków na drodze do Błonia, z którymi po powstaniu u schyłku 1944 doczekaliśmy zimowej ofensywy. Był 18 stycznia, kiedy podrażowałem polami na przełaj do Warszawy. Po śniegu brnęła bezładnie piechota z małymi, podartymi sztandarkami, mijałem ją. Nie bardzo przekonany, że wojna się dla mnie skończyła.

Na myśl o tych, których dane mi było widzieć na krótko, w drodze, między jednym transportem a drugim, ogarnia mnie „epicki popłoch”. Przepadają, uchodzą z mojej pamięci. Pewien filozof powiedział, że ludzie są jak lotny piasek. Był cierpliwym badaczem, dla którego jedyną stałą we wszechświecie była prędkość światła.

Jeżeli coś usprawiedliwia literaturę, która kreśli nietrwałe znaki, to nietrwałość losu człowieka. Po to, aby świadectwo (lub strzęp świadectwa, jak w moim wypadku) zostało kiedyś doniesione, wielu ludzi złączonych przypadkiem staje obok siebie. Mnie w tym szeregu przypadła nader skromna rola, ponieważ funkcja pisarza jest dzisiaj skromna i prosta.

Widzieć ostro, wyraźnie ten świat. „Każde spojrzenie może być ostatnim.”

BW

3 stycznia 1971



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](https://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/).

I

Kenan spłodził Mahalaleela, Mahalaleel spłodził Jareda, Jared spłodził Enocha, Enoch spłodził Matuzalema, Matuzalem spłodził Lamecha, a ten... i tak wiele razy powtarzał, aż na końcu zjawił się sam, ojciec ojca, dziad, z długą rudą brodą mokrą od deszczu, i powiedział: „Łuk mój złożyłem na obłoku.” Przeszło padać i na pogodnym niebie za oknem zobaczył tęczę, a z drzew i z brody dziadka ciekła woda. Teraz już wiedział, kto go brał na kolana i miarowo podrzucając, śpiewnym głosem wołał wszystkie pokolenia od Adama do Jafeta tyle lat. Ojciec kołysał się w głośnej modlitwie z zarzuconą na czoło chustą. Chusta była szeroka, aksamitna, w pasy białe i czarne, to był ojca tałes, a czoło i lewe ramię skrępowane miał długim rzemieniem, i to się nazywało tefilin. Kiedy ojciec stawał w oknie o wschodzie słońca z chustą opadającą na twarz i w rzemieniach owiniętych wokół ręki, ogarniał go strach, więc chował się za matkę i stamtąd przyglądał modlitwie. Tak było lepiej. Matka biegła po sadzie z szeroko rozpostartymi rękami, a palce jej tręcały gałązki, tręcały pnie, owoce, owoce padały na ziemię i toczyły się w trawę, stopy matki donośnie tupotały. Dawid! Dawid! To ona pierwsza wymówiła jego imię. Wiatr się zrywał, kołysał drzewa, kołysał chmury, słońce lgnęło do twarzy matki, wiatr lgnął do jej włosów i trzepotał małym kosmykiem u jej skroni, trzepotał gałęziami i rojem pszczół, które opuściły pasiekę i teraz ogromną, brunatną, kosmatą kulą zawisły na wierzchołku wysokiej gruszy.

Dawno, dawno temu, kiedy był zupełnie mały, matka szeptała mu tak: „Był sobie czarny, czarny las, a w tym czarnym, czarnym lesie był czarny, czarny dom, a w tym czarnym, czarnym domu była czarna, czarna komnata, a w tej czarnej, czarnej komnacie stała czarna, czarna trumna, a w tej czarnej, czarnej trumnie leżał sobie czarny, czarny trup!” Słuchał tego o zmierzchu, zatrząsł nim dreszcz. Pod czaszką miał bryłę lodu i każdy włos czuł osobno.

Zbudził się i widzi, jak ojciec ukradkiem całuje brzeg świętej szaty i szybko, cicho, prawie szeptem wymawia ostatnie słowa. Z płamą sadzy na czole, z policzkiem ogrzanym różowym światłem ogieńka, matka klęczy i długim, wstrzymywanym w piersi tchnieniem roznieca pod blachą żar. Ogień muska jej włosy blaskiem złota. Ojciec w milczeniu składa chustę, uwalnia ramię i kark z rzemiennych więzów, odwraca się i wybucha hałaśliwym śmiechem. Przed nim — stoi onieśmielona, ze śladami popiołu na twarzy. Szybki oddech unosi jej piersi, dłonie pośpiesznie upinają i poprawiają włosy, łokcie poruszają się nad nią jak skrzydła anioła w locie, a za nią wstaje słońce. Czego chce, pyta, czego od niej chce? Ojciec śmieje się pogodnie. Taki był ranek. Gdy nie było czasu, wsuwała do popielnika śledzia owiniętego w gazetę. Śledź w ogniu skwierczał, śledź w ogniu syczał, śledź w ogniu śpiewał, a kiedy się upiekł, było gotowe śniadanie. O, Dawid lubił takie dni.

Dziadek otwierał Kitwe hakodesz, Pismo święte, i kołysząc się zawodził nieswoim, obcym głosem:

— O każdym czasie można zacząć i w każdym miejscu skończyć. Dawid, słuchaj — piał wysokim dyszkantem: — Bereszit... Na początku.

I oto zaczął się ten niewinny koszmar, życie. Bereszit boro Elojhim et haszamaim weet hoorec. Co musiał tłumaczyć tak, na

początku stworzył Pan niebo i ziemię. Niebo i ziemię? Nie mógł sobie tego wyobrazić. Jak, z czego stworzył? Po co? Tymczasem dziadek jęklwym głosem ciągnął dalej i wiódł za sobą chłopca wstecz, w chaos, w ciemność, w próżnię. Skąd miało dopiero trysnąć pierwsze światło. W tych słowach była niejasna groza. Ny, ny, teraz. I rzekł Pan, niech będzie jasność, i jasność się stała. Nie tak, nie. Jehi! Jehi! Stań się. Jeszcze raz. Wajomer Elojhim jehi or wajehi-or. Dziadek pokazywał nikły znak zagubiony pod werselem jak niewyraźny ślad pozostawiony na drodze przez nomadów. A potem zniżając głos wyjaśniał cierpliwie i długo tajemnice „szwa” niemego i głośnego. Ściągał kosmate brwi, a potem powoli opuszczał powieki. Dalej, dalej. I nazwał Pan jasność dniem, a ciemność nazwał nocą, i stał się zmierzch, i stał się świt dnia pierwszego. Brwi dziadka żyły własnym życiem, ruchliwe i zwinne niczym dwa zwierzątka. Kiedy opuszczał powieki, Dawid musiał powtarzać, naśladowując dziadka cieniutkim głosikiem.

I stał się zmierzch, i stał się świt dnia szóstego. Zawodzącym głosem ciągnął dziadek werselem za werselem i wiódł chłopca za sobą coraz głębiej w świat. A tam już obłoki rozpostarły się ponad morzem, już ziemię pokryły trawy i drzewa. Pod niebo fruwały ptaki, ryby płynęły w głębi wód. W lasach żył człowiek i zwierzę. Dziadek zamykał Pismo i pieszczotliwie gładził grzbiet czarnej księgi, żalobnej kroniki życia. Tak, tak. Kiedy Dawid podrośnie, wszystkiego się nauczy. Najważniejsza z ksiąg? Sejfer Tora. Meszolim też. Pozna jasne i rozumne przypowieści dla królów i ludzi. O cudownym ocaleniu Żydów dowie się z Megilat Ester. A potem, potem otworzy się przed nim najpiękniejsza wśród pięknych, pieśń nad pieśniami, Szir haszirim. A tymczasem „iwged” pilnie i powoli, litera po literze,

alef, bejt, gimel, dalet, he, waw, zajn.

Mruczał jak kot, piał jak kogut i skandował cały alfabet uderzając miarowo dłonią w stół, a kiedy się zmęczył, wówczas stawiał Dawidowi pytania. Te były najtrudniejsze, milczał, a dziadek naglił i ubolewał nad nim: — Aś, aś, aś, aś.

I brzmiało to jak syk gęsi, jak głosy dziewcząt na wsi, kiedy stojąc nad wodą wabiły ptaki.

— Taś, taś, taś.

Gęsi płynęły z prądem, a nad rzeką przechadzali się statecznie Żydzi w czerni, a każdy miał w ręce czarny modlitewnik, a każdy kiwał się i kołysał nad nim, a każdy miał na głowie maleńką czarną jarmułkę, na skroniach pejsy i u pasa ogonki cyces, które bieleły jak troczki od kalesonów. Taki dzień bywa raz w roku i nazywa się Rosz Haszana, wtedy chłopcy biegną nad rzekę z kijami, wrzeszcząc i lejąc na modlących się wodę.

— Żydzie, Hitler idzie! Żydzie, Hitler idzie!

Ale to już podobno nie należy do świąt, ani brzęk tłuczonych szyb.

— Zamknij oczy i nie patrz — mówiła matka. — Jeżeli spojrzysz w okno po przebudzeniu, to uciekną od ciebie wszystkie twoje sny.

Wieczorem czyhał na sen jak kot, co czuwa nad norą, by schwytać mysz. Nic z tego. Budził się i już było nazajutrz. Budził się i patrzył w okno, na ucięty kawałek nieba za stłuczoną szybą, w obłok wiszący nad blaszonym dachem. Patrzył w okno i zapominał sny, a kiedy ich szukał w pamięci, szybko umykały przed nim, unosiły się gdzieś jak latawce na jesiennym wietrze. Wówczas czuł lekkie pchnięcie powietrza, ucisk linki na dłoni i po tym poznawał, że papierowy ptak nie zerwał się jeszcze z uwięzi, nie uniósł i — tam, wysoko, do niego ciągle należy. Ale

dosięgnąć go nie potrafił, tak samo pamięcią snu. A Jakub pamiętał swój sen, bo tak powiada Pismo, a potem inni pamiętać musieli, bo trafił ten sen do Pisma. A potem tak długo powtarzali, aż minęły tamte czasy, później tamte czasy i jeszcze tamte czasy i nastały dzisiejsze czasy, i każde dziecko wie. O drabinie Jakubowej. To się zaczynało tak.

Uciekał Jakub przed Ezawem, a kiedy nadeszła noc, położył się i zasnął. Z głową na kamieniu Jakub spał. Pierwszy szczebel, drugi szczebel, trzeci, czwarty, piąty szczebel. Dosyć. Najgorsze, kiedy każą opowiadać własnymi słowami. „Jakubie!” To głos Boga. Ale aniołowie dęli w trąby, był okropny hałas, czy Jakub mógł usłyszeć, czego Pan Bóg od niego chce? Ile? Ile tych szczebli było, nikomu nie mówił i poza nim jednym nie wie tego nikt. Tylko że wejść na górę po drabinie to nic trudnego, zejść z powrotem na ziemię, to dopiero sztuka.

Koniec historii o drabinie Jakubowej.

A dziadek mówił tak:

— I od tej pory Pan Bóg z Jakubem zawarli przymierze i stosunki między nimi ułożyły się znośnie.

Gdyby tak można powiedzieć jak dziadek, toby dopiero była uciecha w klasie, ale trzeba zupełnie inaczej, tylko Dawid nie pamięta jak. Musi przed lekcją zajrzeć do książki. Pięcioksiąg, wstęp dla dzieci. Tam są rysunki, a pod tymi rysunkami napisy.

Wodził nosem po zatłuszczonych kartkach, wilgotnych i żółtych, które czuć było pleśnią. Kain morduje Abła. Aha... Noe pływa po wodach potopu czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Abraham ofiarowuje syna swojego Izaaka. Aha... Namioty i stada Jakuba. O... Żydzi uciekają z Egiptu z domu niewoli. Przejście przez Morze Czerwone. O... Żydzi na pustyni karmią się manną. Cud, cud. Żydzi tańczą wokół złotego cielca. Jozue oblega

Jerycho! Trąby kruszą mury.

Te rysunki barwił kredką, niebo na niebiesko, palmy na zielono, pustynię na żółto, owce na biało, twarze praojców na brąz. Praojciec wspierał ramiona na długim, ciężkim kiju przewyższającym głowę. To był pastorał. Stał przed strzelistym namiotem, nad którym powiewały palmy. Palmy rzucały cień do studni, gdzie pojono stada. Przeszłość miała dla niego barwę brunatnych stepów, niezmaconego błękitu nieba nad ołtarzem, zimnych źródeł Jordanu, wełnistych stad na wzgórzach Galaad, bieli zwiewnych szat na barkach praojców z Ur, zieleni wiotkich drzew w ziemi Chanaan. Krew przelana przez Kaina cienką nitką purpury przecinała tę przeszłość, sączyła się w piasek pustyni. Tętniła w otwartych gardzielach owiec i ciekła na kamień ofiarny. Wetkana w szaty ludzi z pokolenia na pokolenie, wetkana w lekkie namioty. Kropla tej krwi sączyła się do źródła.

Zatrzymał nomadów na ich dalekiej drodze, swobodnych synów pustyni. Praojcowie mieli obnażone torsy, z których biło męstwo. Szerokim gestem rozkładali ramiona na powitanie aniołów i przybyszów z obcej ziemi, a gest ten oznaczał dla niego otwartą przyjaźń i szlachetność. Mieli wyniosłe czoła i uniesione sztywno karki, a to dla niego oznaczało godność i dumę. Przykładali ramiona do skroni i wypatrywali swoich wrogów; ich oczy patrzyły daleko spod ściągniętych surowo brwi. Byli silni, sprawiedliwi i wolni.

Barwił krwią ich ogorzałe twarze, tchnął w nich życie i wstali znów. Wysuwając gorliwie koniuszek języka spomiędzy zębów, rysował i wypełniał barwami ten świat, którego nie było, ten świat wędrownych pasterzy, który stanął przed jego oczami. Jak samotni i hardzi pędzili stada wzdłuż dalekich dróg. Jak unosili ręce w zaciętej modlitwie. Jak szli na poszukiwanie kobiet, które

miały dać im synów. Jak płodzili na płowych skórach lwów i łań z gór Beter pokolenia, których wart był ich Pan.

W starej mowie, ich językiem modlił się ojciec, ciotka Chawa prowadziła z dziadkiem ciemne rozmowy. Dawid myślał z lękiem, jak ona zasłania okna, zapala srebrne lichtarze i czyta Pismo, powoli wodząc krzywym, żółtym palcem po wersetach księgi, która nie miała początku ani kresu. I jak obydwójce z dziadkiem rozprawiają w świetle świec o Hamanie, okrutnym i pysznym namiestniku króla Aswerusa. W czerni swojego stroju, w udęczonej czerni swoich oczu, krusząc listek szeleszczącego sucho w dłoni placka, wykrzykiwała słowa, od których przygasały płomyki świec. A gdy te słowa wyszły z ust królewskich, zaraz twarz Hamanową nakryto. Miała bezbarwne, rzadkie i mokre włosy, które okrywała peruką, i wyraźną smugę zarostu nad górną wargą. Wąs? Jej mowa była pełna chrapliwych i dzikich brzmień, które przejmowały go niejasną trwożą. Stary język w ustach ojca brzmiał tak śpiewnie! A kiedy rozciągał szeroko słowa, w jego głosie było coś dobrodusznego i władczego zarazem. Dziadek unosił się i wpadał w dyszkant, wówczas Dawid mógł usłyszeć głosy wszystkich zwierząt, kozła, koguta, konia, barana i lwa. Pośpiech i irytacja wyzwały niecierpliwy krzyk koguta. Śmiech zabarwiał jego słowa melodią baraniego beku. Ale ani ojciec z łysiną okrytą kropelkami potu, ani ciotka Chawa ze smugą zarostu, śladami żółtka i drobnymi okruchami placka nad górną wargą, ani dziadek ze swoją piękną brodą, której kosmyki wyczesane w dwa skrzydła miały połysk i miękkość kaczęcych piór — nie łączyli się w jego umyśle z obrazem owych praojców, których twarze barwił na brąz, owładnięty kuszącą siłą i prawdą legendy. Tamci byli inni, byli dawno i daleko. Wspaniałomyślnie użyczyli swojej starej mowy

dziadkowi, ojcu i Chawie, więc czoła ich rozjaśniło światło odległych słońc.

Dawid powtarzał za dziadkiem słowa Bereszit. Żył Jared sto sześćdziesiąt i dwa lat, i spłodził Enocha. I żył Jared po spłodzeniu Enocha osiemset lat, i spłodził syny i córki. I było wszystkich dni Jaredowych dziewięćset sześćdziesiąt i dwa lat, i umarł. Powtarzał wersety w osłupieniu i wiek praojców rozciągał się, oddalał w nieskończoną przeszłość, gdzie pierzchły ich niespokojne losy, zwiewne namioty, szybkonogie stada w chmurze pyłu. Trwały wciąż dźwięki starej mowy. Trwały nadal niebaczone i swobodne krzyki ptaków, ich pierwotna nuta. Trwał słodki trzepot pieśni nad pieśniami.

To była muzyka mowy iwrit, pełna głębokich i wilgotnych przydechów. Wersety wlokły się niespiesznie i miarowo w rytmie kopyt stada wzdłuż pustynnych dróg, w skrzypieniu uprzęży, szeleście poruszonego piasku, dudnieniu napiętych skór z wodą, poprzez rozległą przestrzeń otaczającą skryte źródła rzek, z dala od murów kamiennych miast, gdzie lśniła złotem wieża świątyni, strzegąca wizerunku pogańskiego bałwana. Ziemią ich, ojczyzną ich była droga — wielki szlak, po którym kroczyli przez tysiąclecia. Przestrzeń otwarta zawsze łaskawie dla nomady, gdzie zatrzymywali stada i bez lęku rozbijali namioty. O nich mógł myśleć, myśleć i myśleć. Lecz głos wyrывał go z Ziemi Obiecanej.

Już nie było długich dróg w słońcu i pyle, niezmaconego błękitu nieba. Już nie było łagodnych nozdrzy koźlęcia ostrożnie zanurzonych w wodę źródła. Przed nim siedział dziadek w czarnym wytartym do połysku chałacie, z rozwianą brodą, i ramionami wymachiwał w powietrzu, niedołączny i gniewny, jak stare ptaszysko zrywające się za późno do lotu. Próbował w te

ręce wetknąć pastorał, lecz wypadał z nich bezwładnie, próbował stare ciało odziać w myśli okazałymi szatami patriarchów pustyni, lecz osuwały się bezszelestnie na ziemię. I został tylko głos, który mówił, że o każdym czasie można zacząć i w każdym miejscu można skończyć, głos, który cichł, chrapliwe słowa iwrit, ich odległe i kalekie echo.

Eli nie uczy się religii, tylko klnie, nie ma dziadka, ale ma za to klaser pełen znaczków pocztowych i plamę na szyi i policzku. Plama ma kolor barszczu, ale nie jest od barszczu, tylko od urodzenia. Z Elim poszli na tyły dworca towarowego, przez tory. Było okropnie dużo obcych chłopaków w gimnazjalnych czapkach. Mieli, kije, noże i pełne kieszenie starych monet. To były dytki. Śledzili ich lot w powietrzu, a potem mierzyli odstęp między monetami dłonią, dwoma palcami i kciukiem. Pluli daleko. Śpiewali: „O, rany Julek i Mańka też. Poszli do lasu, gdy padał deszcz, i tak się całowali, że drzewa połamali...” W domu oberwał lanie, było mu okropnie wstyd, jak przy słuchaniu tej piosenki. Eli mówił, żeby nie mówił, gdzie był. Matka powiedziała, żeby powiedział, gdzie był, i nie jadł tego dnia kolacji. A ojciec tylko się śmiał; starym koniem go nazwał i gniótł boleśnie uszy. Stary koń, stary koń. Kobyła Saba, która ciągnie dryndę Mordchaja Sukiennika, to dopiero stary koń. A Eli dał mu trójkątną Tanganikę z antylopą za to, że milczał. O, rany.

Teraz już wiedział, że tory kolei są blisko. Wystarczy przejść ulicę, tuż. A kiedy zasypiał, w ciszy zmierzchu słyszał głosy pociągów. Parowozy, przetaczane z toru na tor, to zbliżały się, to oddalały w ciemności. Długie i powolne składy towarowych wagonów mijały hałaśliwie ulicę, z ociąganiem cichły w miarowym dygocie kół, szeleście szyn, w smudze dymu rozproszonego nad dachami, w powiewie poruszonego

powietrza. Dokąd? Dokąd? Dokąd? Dokąd? Dokąd pociągi odjeżdżały? Całą noc boleśnie, ciężko wyły parowozy na przedmieściu. To była trwoga. Chciał uciec, nogi wrosły mu w ziemię, myślał już, już, lecę. To był sen.

Zgiełk, zgiełk. Wściekły zgiełk rósł, ale pociągu jeszcze nie widział. Widział człowieka w czerni biegnącego po dachu z ołowianą kulą i liną kominiarza. Guzik, gdzie guzik? Szukał guzika i nie mógł znaleźć. Nie miał na sobie nic, ani guzika, ani ubrania. Był nagi. Mijały go wagony, mijały okna, mijały głowy, mijały wyciągnięte i grożące dłonie. Żyd! A on nie mógł uciec, nie mógł krzyknąć. Wtedy Eli sfrunął z dachu w roju rozsypanych znaczków pocztowych. Jak serafin miał sześć skrzydeł, dwoma przykrył twarz, dwoma nogi, a dwoma latał. W dłoni trzymał węgiel rozżarzony i wyciągał do ust Dawida. Nie chcę, nie, nie. Wiedział, że ojciec przyjdzie na pomoc...

...i ojciec tą samą drogą miękko spłynął na ziemię. Powiewała nad nim czarno-biała chusta. Rozkładał bezradnie ręce skrępowane rzemieniami. Mówił to, co zawsze. Nie wiemy, kiedy za dużo wiemy. Na pustej, ciemnej ulicy Towarowej rozległo się rzenie. To kobyłka Saba galopowała po szynach w niebo. Potrząsała grzywą, a z grzywy sypały się żołędzie, sypały się kasztany. Mordchaj Sukiennik stał na rozstawionych nogach i łowił je do worka. Kiedy strzelił batem, kurz zawirował wysoko. Ukazała się matka. Dawid, co ty tutaj robisz? Szła z daleka, z targu za Żelazną Bramą, w jednej dłoni trzymając popielatego śledzia, a w drugiej cytrynę. To na piątkowy obiad, w piątek ma przyjść dziadek z modlitwą na ustach. Szema Isroel Adonai elohejnu Adonai ehod. Nie dym, nie dym, ach, to broda dziadka powiewała wśród chmur. Prosto z komina, gdzie był uwięziony. W każdym miejscu można skończyć. I stamtąd usłyszał Dawid

zmieniony i obcy głos, kiedy zawołał nad miastem.

Ki Adonai Elohejha esz ohla hu El kanno.

I otworzył oczy, by bolesne, głośnie bicie serca usłyszeć. Za przejrzystą firanką przemknął migot błyskawicy, szybszy niż jego westchnienie. Deszcz, kołyszące się światła latarni. Natężył słuch, wszyscy spali głęboko, był sam.

Tej nocy bardzo chciał się modlić, ale nie wiedział, do którego Boga. Jedyne Bóg należał do Żydów, nazywał się Jehowa, drugi jedyny Bóg należał do Chrześcijan, nazywał się Jezus Chrystus, ale najwięcej bogów należało do pogan. Dla Dawida nie został nikt. Kiedy mocno zacisnąć powieki w ciemności, sypią się z góry gwiazdy i nie można ich policzyć. A prof Baum mówi, że Ziemia krąży wokół Słońca z szybkością trzydziestu kilometrów na sekundę. On też? Razem z tym drzewkiem na wprost okna? Razem z tramwajem, który dzwoni na rogu ulicy Srebrnej i Miedzianej? Krąży wokół Słońca z szybkością trzydziestu kilometrów na sekundę? Leżąc z zamkniętymi oczami i widząc w ciemności lot gwiazd, można w to uwierzyć. Ale dziadek mówił, że Bóg małym palcem porusza księżyc i wszystkie planety, kiedy chce, jest dzień, kiedy nie chce, to jest noc.

A skąd się wziął tamten kleks? Poślinił palec, tarł papier, odwrócił stronę i ujrzał brzydką dziurę. Wyrwał kartkę, zeszyt się rozsypał, na bibule została plama. Nie dało się ukryć, wtedy pani powiedziała, że bardzo nieładnie zeszyt drzeć, wstyd. A jak na piórze usiądzie włoszek albo muszka? Martwiło go, że tak brzydko pisze, i bał się chodzić do tablicy.

— Nic się nie da zrobić — mówił Elijahu — to charakter pisma.

Charakter pisma. Eli wszystko wie i dlatego lubi chodzić do

tablicy. Wyciąga dwa palce. Wyciąga dwa palce i wstaje, kłania się pani, bierze kredę, szybko rozwiązuje zadanie, pisze u dołu wynik, podkreśla, a potem długo i bez wstydu patrzy jej w twarz, czy dobrze. Ona mówi, że dobrze, i każe mu siadać, a Elijahu nie siada. Kiedy otwiera dziennik i pisze w nim czerwonym ołówkiem, Eli zagląda przez ramię pani. Eli jest prymusem i ma wieczne pióro ze złotą stalką. A potem pani woła na środek Albinosa. Z ostatniej ławki wstaje niziutki chłopczyk i mówi, że jest obecny. Bielutkie włosy, bielutkie czoło, bielutkie ręce, cały jak zwinna biała mysz. Przy tablicy nic nie robi, tylko się śmieje. Pani patrzy na niego surowo, otwiera dziennik i głośno, aby wszyscy słyszeli, tak mówi:

— Ernest Bierka niedostatecznie. — Kiedy wraca na miejsce, między ławkami podstawiają mu nogi, szeptem wołają: „Albinos, wytrzymaj nos!” A on potyka się i mężnie uśmiecha do prześladowców. Pani kaszle cicho i ledwo, ledwo wstrzymuje śmiech.

Ale w sali gimnastycznej mały, chudy Ernest wspina się zwinnie na drabinki i stamtąd, z wysoka, przedrzeźnia Zyge, który jest najsilniejszy w klasie.

Kamień na kamieniu,
na kamieniu kamień,
a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień.

I tak dalej, bez końca. Grubym głosem, okropnie fałszując, Zyga śpiewa pod nosem zawsze jedno i to samo. Wszystko robi lewą ręką i dlatego Ernest przeżywa go: Szmaja.

Albinos jest ostatni w klasie, a Zyga mówi, że na pewno zostanie na drugi rok. Wstyd i nudno. Zyga repetuje rok i nudzi się jak mops. Całą zimę grał w wojnę morską z Baruchem

Oksem, który siedzi przy ścianie w rogu, w trzecim rzędzie ławek, licząc od drzwi. Raz była awantura, bo pani usłyszała, jak jeden krzyknął:

— Cztery de!

A drugi:

— Zabity.

Kazała mu natychmiast wstać i powiedzieć, co to znaczy.

Odparł ponuro:

— Ostatni trójmasztowiec.

Pani nic nie rozumiała; zrobił się hałas i zamęt, kazała mówić jednemu. Inaczej już na Zyge nie wołali w szkole, tylko Trójmasztowiec. Boksował się z Baruchem Oksem na pauzie i chodził z nim do ustępu palić papierosy. Napisał tam na drzwiach: „Patrz w lewo.” Na lewej ścianie: „Patrz w prawo.” Na prawej ścianie: „Odwróć się.” A z tyłu: „...” I to było wszystko, a Dyrko wezwał obydwu do gabinetu i pytał, co to znaczy?

Poszli do domu w połowie lekcji, a woźny cały dzień skrobał i mył ścianę. Ten woźny był też dobry: węszył jak pies, o wszystkim donosił Dyrციowi i dzwonił na pauzę zawsze za późno. Wybierał z worków śniadania — pewny, że boją się poskarżyć. A trzeciego maja wyprowadził chłopców na podwórze i ćwiczył. Woźny wołał: „Niech żyje Polska Rzeczypospolita.” A chłopcy: „Niech żyje!” Woźny syczał na boku: „Niech zgnije, niech zgnije.” Potem Dyrko gromadził szkołę, odbierał kwiaty od rodziców, pił wodę z grubej kryształowej szklanki i wznosił okrzyk zamiast woźnego. Trzeci maja to była chwila historyczna. Najpiękniejszy miesiąc w roku, kiedy kwitły bzy na placu Kazimierza. Wieczorami dziewczęta długo nawoływały się po bramach, figura Matki Boskiej w

zaułku na Wroniej jarzyła się płomykami świec. Malowano ją na wiosnę; szaty na niebiesko, twarz i ręce na fioletowo, a chustę na biało. Stała boso, depcząc węża i księżyc. Wąż miał w pysku jabłko koloru krwi, a księżyc był poszczerbiony. W maju przetaczał się grzmot po niebie, o zmierzchu padały krótkie, szybkie deszcze. W maju Stankiewicz, sezonowy sprzedawca gołębi i właściciel wielkiej gruchającej ptaszarni na placu Kercelego, namiętym, chrapliwym tenorem śpiewał: „Titina, ach, Titina...” Grając na mandolinie przewracał oczami w stronę okien, kiedy otwierał usta, błyszczał w nich złoty ząb. Na Kercelaku wołany był Złotym Zębkiem, a jego orkiestra uliczna składała się z prawdziwych artystów. Latem chodzili po podwórzach, zimą przesiadywali w pudle i pisano o nich w gazetach, kiedy i którego posadzono.

Kiedy cichnie mandolina, na podwórze wkracza handlarz z workiem i obchodzi parter, pierwsze, drugie, trzecie piętro, suteryny, i skupuje tandetę, starą garderobę, mosiężne młynki do kawy. Wszyscy targują się z nim, wychyleni z okien. Później szlifierz ostrzy noże, tłucze młotkiem w krążek blachy, a w południe na rozpostarty dywanik wchodzi cyrkówka, wdzięcznie rozkłada ramiona, odwraca się i w drugą stronę śle ukłon, jeszcze raz. Mężczyzna zawija rękaw, spod którego sinieje wytatuowany Skorpion i Waga. Świszczą oddechy, żyły pęcznieją na pociemniałych z wysiłku twarzach. Ach, czy ona się nie złamie? Okropne, kobieta zastyga wygięta w łuk! Z ramion mężczyzny lekko skacze i dłonią przesyła całus na pierwsze piętro. Salto, mostek i szpagat, potem zwijają dywanik i idą dalej, a wieczorem szeleści w kącie podwórza jakiś człowiek z drucianym haczykiem i zbiera do worka butelki, kości odkłada osobno, szmaty i papier, ryje w śmietniku nie unosząc głowy, a

żółte światło latarni mży słabo sprzed bramy. Słysząc wyraźnie, jak coś mówi. Do siebie samego? Słysząc dzwonienie szkła, grzechot haczyka. Ale co on mówi? Niemową jest i bełkocze. Czasem zjawia się rankiem o szarej godzinie, kiedy z uchylonego okna na parterze dobiega pierwsze ziewnięcie stróża, pana Władysława.

Pamięta, dawno temu to było; synowie pana Władysława siłą — ze śmiechem — zaciągnęli go do stróżówki, gdzie w powietrzu przesyconym wonią nieznanych świąt unosiły się słowa kolędy, która miała monotonną i słodką melodię kołysanki, a słowa pełne gróźb. Śpiewali tam, że ogień krzepnie, że moc truchleje. A w kącie pod oknem stało wysokie, strzeliste drzewko, „ubrane”, w bieli, w skrach, w lśnieniu ogarków płonących. Było to drzewo wiadomości — dobrego czy złego? Nie wiedział, w każdym razie było to drzewo, pod które schronił się Adam z Ewą, nadzy. Ujrzał jabłko na gałęzi, owinięte w strzęp staniolu. I węża, który wił się długimi splotami wokół gałęzi i opasywał je jak łańcuch. I gwiazdę ujrzał, gwiazdę wskazującą pastuchom drogę na pustyni. I rybę wielką, kołyszącą się beztrąsko i lekko na gałązce, co ciągle jeszcze po tylu latach nie mogła wypluć Jonasza. I ptaka ujrzał na gałęzi obok ryby, gołębicę, którą wypuścił praojciec Noe, kiedy opadły wody. I anioły, białe anioły z pyzatymi policzkami, włosami z lnu, skrzydłami z żywego srebra. Zapłonęły ognie, zabłyśły złote orzechy, posypały się jasne iskry, rozeszła się woń siana skrytego pod obrusem, duszący zapach świec, maku, wilgotnej jedliny. Przed nim, przed jego zachwyconymi oczami, stało drzewo życia.

Brzdęk. Brzdęk, to dzwonek u drzwi warsztatu. Wchodzi prof Baum i głośno wita ojca wyciągając przed siebie ramiona. Dawid w samotności przedrzeźniał ich głosy:

— Dzień dobry panu, panie Fremde.

— Dzień dobry panu, profesorze Baum.

Prof Baum stuknął palcem w rozłożoną gazetę. Tam coś ma.

— I co pan na to, panie Fremde?

A ojciec mówił tak:

— Nie wiemy, kiedy za dużo wiemy.

Prof Baum w uniesieniu dźwigał wysoko nad głową dziennik, zagrożoną Europę, anektowane Czechy, podbitą Kłajpedę, ministra Becka i Goeringa, którzy na zdjęciu momentalnym ściskali sobie dłonie. Obydwaj mieli na ramionach strzelby, widocznie wracali z polowania. Krzyczał:

— *Sturm und Drangperiode!*

A ojciec na to:

— *Schwein und Dreckperiode.*

— Co?

Przy robocie ojciec śpiewał. Tłukł młotkiem i trzęsła się podłoga. Chwytał piłę, rozlegał się śpiew. „Der jołd iz mich mykane mit majn kłajn sztikele brojt. Oj, oj.” Frajer mi żałuje mojego małego kawałka chleba. Oj, oj. Brał w rękę hebel, rozlegał się syk i na ziemię sfruwały złote, oleiście woniejące strużyny mokrego drzewa. Przybywało ich, rosły przed nim w wysoki stos, a każdy wiór lśnił blaskiem słońca. A potem, jesienią, w łoskocie osuwających się murów spadły pierwsze bomby z nieba i nowe słowo: „*Jude. Juuuude.*” Teraz już wiedział, kim jest.

Z triumfem przyniósł do domu ostatnią przed wojną cenzurę, sprawowanie niedostatecznie, religia niedostatecznie, arytmetyka niedostatecznie, roboty ręczne niedostatecznie, od góry do dołu same pały. Długo oglądali to świadectwo i kręcili głowami z niedowierzaniem, ojciec i matka. To było niesłychane, jak tego

dopiął? Nikt nigdy już się nie dowie, bo zaraz nastaly ferie, a po feriach wybuchła wojna i ojciec został powołany do konnej artylerii, a potem było oblężenie Warszawy i samoloty krążyły nad miastem, ludność siedziała w ciemnej piwnicy, a potem ojciec dostał się do niewoli, uciekł i poszedł za Bug, a kiedy wrócił do nich z powrotem, dawno już wszyscy zapomnieli o cenzurze — i się upiekło.

— *Bitte schön!* — Na ulicę zajechał wojskowy kocioł pełen niemieckiej zupy, a w ogonku do tego kotła tłoczyli się cywile. — Jezus, Maria, Józefie święty, ludzie, puśćcie mnie! — Kucharz w białym fartuchu osłaniającym zgniłozielony mundur i w rozłożystym pierogu na głowie rozdawał z wozu uśmiechy i gulasz, zamasyście przecinając powietrze mosiężną, połyskliwą chochlą. Wirowały śmiecie, wirował kurz i osypywał fartuch kucharza, opadał do kotła i w podstawione garnki. Warszawa była wzięta. — *Bitte.*

Pamięta, codziennie wieczorem pod ich oknami krążyły patrole żandarmów strzegących dworca towarowej kolei, za nimi cicho sunęły psy. Codziennie rano pod ich oknami mijali się dwaj wrześniowi nędzarze, ludzie bez twarzy, dwa cienie. I nie wiedział, których bardziej się bać. Żyd ze skrzynką szkła na plecach przemykał się tuż, i tuż pod ścianami kamienic, noszących ciągle ślady wrześniowych bombardowań. Miał brudną, ziemistą twarz, zapadniętą i ostrą jak odłamek. Idąc nie patrzył na nic i nikogo. Zatrzymywał się, unosił oczy ku niebu, przewracał nimi, krzyczał:

— Szyby, szyby wstaa. — Po chwili szedł dalej w swoją wędrowkę przez zrujnowane miasto, zgarbiony pod ciężarem szkła, z twarzą ukrytą w postawionym kołnierzu marynarki. Mijał go człowiek w płaszczu zapiętym agrafką, bez koszuli. Białe

opaski płócienne z sześcioramienną gwiazdą Dawida powiewały na wieszaku, który niósł przed sobą jak witrynę.

— Szmata, szmata. Komu szmata?

Teraz już wiedział, kim jest — gdy matka przyszyła mu taką opaskę na rękawie kurteczki. I pewnego dnia stanęli na ulicach murarze i zaczęli murować mur.

Czy tak ma wyglądać wieża Babel? Czy tak wyglądała wieża Babel? I czy Pan Bóg pomieszał już wszystkie języki? Mit ten zawsze wydawał mu się ciemny, niejasny. Co sprawiła pewno ponura i zatarta rycina odbita na lichym papierze. Łączył się w jego pamięci z barwami nadciągającej burzy. Pewno oglądał tę rycinę o jakiejś zagubionej porze dnia, zimą, kiedy mizerne światło niezdolne było rozproszyć szarzynny mroku w norze za warsztatem ojca, gdzie sypiali, ani odpędzić sprzed jego oczu cieni nocy. Srebrna pełna była takich nor, przesytych krzykiem towarowych pociągów, przesytych wiatrem przedmieścia, owianych słupem pyłu węglowego. Czerni, ciemność i w tej ciemności krąży nieznużenie tłum harujących cieni, i w tej ciemności bije grom. Przez chwilę widać wyraźnie i czysto ugięte pod ciężarem kształty, usta otwarte w wysiłku i w wysiłku obnażone zęby, widać kamienie podawane z rąk do rąk. Biję grom, strąca z wieży ciała, kamienie, kamienie padają na ziemię, przygniecione ciała padają ciężko na ziemię i nisko, nisko gromadzą się chmury. Więcej nic. Mit ten był posepny, urwany jak utracona w połowie wieża.

U wejścia do zamkniętej szkoły naklejono dużą płachtę papieru. Plakat czarno-żółty: ogromne ramię przewiązane opaską z gwiazdą. Na tym ramieniu siedzi wygodnie Żyd z haczykowatym nosem i unosi w górę ramiona, na których siedzą rozparci dwaj Żydzi z takimi samymi haczykowatymi nosami, na

których ramionach siedzą czterej Żydzi z haczykowatymi nosami, na których ramionach siedzi ośmiu Żydów, na których ramionach siedzi szesnastu Żydów, na których ramionach siedzi trzydziestu dwóch Żydów... Ci, którzy nie zmieścili się na czarno-żółtym plakacie, szli ulicami getta. Mrowie Żydów, na kształt piramidy ginącej gdzieś wysoko, daleko, wspierało się nawzajem, a wszyscy mieli na rękach opaski z gwiazdą. *Achtung! Weltjudentum. Gefahr!*

Murowano mur, kiedy ojciec powiedział: — Dawid, jak długo nie byłeś u dziadka, a? Nie jest dobrze. Pójdziemy tam na nowy rok. — Ale na nowy rok nie poszli, aż dopiero w Purim. Szli ulicami omijając poczerńiałe w płomieniach, obnażone ruiny wiszące nad głowami, jak szkielety wymarłych dawno ogromnych zwierząt, które wróciły na rzeźnicki hak. Szli w tłumie zanoszących się krzykiem przekupniów, kobiet strzegących od świtu do zmierzchu swoich beczek ze śledziami i beczek z kapustą, wyrostków ze skrzydłami u pięt, ze skrzyneczkami zawieszonymi na szyi, co biegnąc wołali, wołając krążyli we wszystkich naraz kierunkach. „Papieroo, zapaa!” Szli przed frontem niekończącego się szpaleru żebraków, łkających o litość i zuchwale ciskających przechodniom przekleństwa, pełne polskich słów, słów iwrit, żargonu i miękkiej niemczyzny kresowych miasteczek. Mijali kantorów z prowincji zapędzonych do miasta, na bruk i tutaj na bruku wyśpiewujących swój głód i psalmy. Mijali surowych starców w rytualnej czerni łachmanów, rabinów przegnanych z małych miast i wsi, którzy zanosząc głośne modły pod otwartym niebem wyciągali nieśmiało dłonie po jałmużnę, a dłonie te, ruchliwe, zeschłe i wiotkie, zawisały, drżały w powietrzu, jak liście pchnięte podmuchem w przestrzeń. Jałmużna, modlitwa, przekleństwo, codzienna piosenka tych ulic.

Kiedy przyszli — wszyscy tego dnia siedzieli na swoich miejscach, dziadek, ciotka Chawa, Dora Lewin, prof Baum, wuj Jehuda, wuj Szmuel, wuj Gedali. U szczytu stołu, w kącie, dziadek, ale gdzie broda dziadka? Dawid bezwiednie szukał jej, wypielegnowanej jak ogród — tam, gdzie zwykle, szeroko rozpostarta, kędzierzawiła się na chałacie. Suchy jak pestka, pożółkły, zaniedbany, w poplamionej kamizelce starzec przykładał w roztargnieniu blade palce do bladych skroni. Kiedy dobiegał z ulicy krzyk, małał w swoim kącie i oczy zwężyły mu się rozpaczliwie. Przygięta postać ginęła w mroku późnozimowego popołudnia, a ciotka Chawa krążyła w pobliżu i tkała za plecy starca jaśki. Strzepując pył z rękawów i jarmułki próbowała siłą swej despotycznej miłości nadać mu bardziej wyprostowaną, godną postawę.

Spojrzenie starych oczu mijało ich dzisiaj, snuło się gdzieś nisko po ziemi. Purim, Purim; dawniej rozjaśniał dziadek świąteczne dni światłem surowej powagi. Jego oczy odpędzały od stołu, rozpraszały wszystko, co małe, błahe, niegodziwe. Na twarzy jego przebywała powściągana radość, modlitwą podtrzymywana nadzieja, pokora sprolongowana Panu Bogu na przeciąg świąt. Takie to były dni, dni losu, dni legendy o zwycięstwie, dni radosne i surowe zarazem. Z pokolenia na pokolenie mające krzepić dobrą wieścią, otuchą. I dziadek miał legendę zaklętą w uśmiechu; każdym gestem, spojrzeniem rozżarzał ją wśród zgromadzonych przy stole. Purim, Purim, święto losu, kiedy z kart Pisma wychodziły postacie starej intrygi i grały, jak co roku, od niepamiętnych czasów swoje dwuznaczne role. Oto Estera, oto Mardocheusz, oto Haman, oto król Aswerus powolny namowom pięknej dziewczyny żydowskiej.

Dawid pamiętał tę chwilę, kiedy z lękiem i wstydem poczuł na

skroniach koronę ze złotych pakuł. Na ramiona zarzucono mu suknię Estery. Baruch Oks został okrutnym namiestnikiem Hamanem. Eli królem perskim. A Zyga, że był szmają (leworęcznym, którego obawiali się wszyscy w szkole, bo miał okropnie silną lewą rękę i nią pisał, dźwigał ciężary i bił), został Mardocheuszem.

Za nimi rozciągała się Suza z papieru i ogrody królewskie, a przed nimi siedziała publiczność, rodzice ucierający głośno nosy. Tu, w świetle, grali oni, a tam, za rampą, reszta świata tonęła w ciemności, która przejmowała ich lękiem. Powoli, powoli w czarnej otchłani widowni zamajaczyły jasne plamy, twarze, błysnęły oczy, łzy. Przesyłali im z daleka znaki, uśmiechy, westchnienia, kiedy Dyrko za kulisami biegał jak zwariowany i szukał berła Aswerusa. Tymczasem kurtynę trzeba było zasunąć i zrobiło się okropne piekło na sali, zanim Eli wziął w rękę jabłko, które nosił w worku ze śniadaniem. I przyszedł król i Haman na ucztę do Estery królowej. Baruch Oks wołał strasznym głosem, że wymorduje Żydów, bo to leżało w jego roli. Ale trochę już za głośno krzyczał. Król Aswerus co chwila wychodził do ogrodu pod drzewko figowe, żeby nie słuchać. Estera mdlała. To znaczy, Dawid mdlał, to znaczy, zapominał mdleć w porę, więc Zyga kopał go w kostkę. „Mdlej, prędko! Na co czekasz?” Dawid przewracał się na plecy i tak leżał. A Dyrko przeszkadzał okropnie i w najważniejszej chwili wypuścił na nich woźnego. Woźny wpadł na scenę z okrzykiem: „Jest!”, i podał Hamanowi miecz. Baruch Oks nie zgapił się wcale i powiedział jego własnymi słowami: „Co to ma być, znowu spóźnienie?” Publiczność poznała się na rzeczy i wybuchnęła śmiechem, a woźny zbaraniał. W końcu udało się go przegnać i przedstawienie potoczyło się dalej. Haman intrygował ciągle

przeciwko Żydom, lecz nic mu z tego nie wyszło, bo król Aswerus leżał pod pantoflem Estery i słuchał chętnie rad Mardocheusza. Potem wjechała na scenę szubienica, na której zawisł zły Haman, i...

Mówi wuj Szmuel:

— Alianci przystępują do wojny i wszystko razem potrwa miesiąc. — Jego lewe ramię gestykuluje wymownie, aż po łokieć. — O, wa! A w najgorszym razie — z udanym namysłem przechyla się w lewo, w stronę dziadka — w najgorszym razie do zimy. Niemcy zdążą latem wysłać nas na Madagaskar, i po krzyku.

Mówi ojciec:

— Swego czasu słyszałem, że na Smoczej urodziło się pewnym ludziom dziecko, które ledwo przyszło na świat, zapowiedziało, że najdalej na nowy rok, w dzień Rosz Haszana, wszyscy Żydzi zostaną ocaleni. A potem umarło.

Wuj Szmuel macha na to ręką.

— W dzień Rosz Haszana? Et, nowy rok już minął.

Wuj Gedali pyta ze śmiertelną powagą:

— I nic więcej nie zdążyło powiedzieć, Jakow?

Ciotka Chawa bez namysłu postawiła przed wujem Szmuelem herbatę, którą niosła dla dziadka; ten, nie spojrzawszy nawet w jej stronę, powoli i z aprobatą kołysał głową. Zapanowała niewyraźna cisza.

— Ersatz „Herbatol”? Kostka? Nie, ja tego świństwa do ust nie biorę — oświadczył twardo wuj Szmuel.

— Nic więcej — mówi ojciec. Z ciężkim smutkiem patrzy na wuja Szmuela. — Niestety, nic więcej nie chciało powiedzieć, ale gdyby pożyło (święta niech będzie pamięć tego dziecka — wtrąca zatroskanym głosem) jeszcze godzinę, to

dowiedzielibyśmy się niesłychanych rzeczy.

— Całkiem możliwe — zahuczał wuj Gedali i przysunął sobie wzgardzoną szklanę herbaty.

...i w ten sposób Żydzi zostali uratowani. Szubienica mieć powinna „pięćdziesiąt łokci”, ale taka wysoka w ogóle by się tutaj nie zmieściła. A potem wśród oklasków, pocałunków dzieci zdjęły kostiumy i rodzice zabrali je do domu. Wracali o zmierzchu, kiedy miasto ogarnął karnawałowy zgiełk, a w powietrzu pełnym śmiechu i wiosennego wiatru szybowały barwne baloniki, lampiony gaszące światło gwiazd. Wysoko nad tłumem posuwał się na ogromnych szrudłach Haman z szubienicą zatknietą za kołnierz i stryczkiem kołyszącym się swobodnie nad głową. W pstrym, ruchliwym świetle lampionów wykrzywiona maska zalana była martwym, nienaturalnym blaskiem, zielenią, czerwienią, fioletem. A gdy te słowa wyszły z ust królewskich, zaraz twarz Hamanową nakryto. Grzechotały wściekle kołatki. Purim, Purim.

Gdzie szukać losu? Gdzie szukać królowej Estery? Jej głos nie rozlegnie się więcej z kart księgi, jej uroda nie wybawi narodu. Nie pokona nieprzyjaciół Mardocheusz. Na stole leży pół bochenka chleba kartkowego i nóż, a przed dziadkiem zamknięte i poniechane Pismo.

Mówi wuj Jehuda:

— Madagaskar, Madagaskar... Szmuclu, opamiętaj się. Setki tysięcy Żydów kona w oddziałach Arbeitsdienstu, w tym większość starców powyżej lat sześćdziesięciu, wykrwawionych galopującą czerwonką. Alianci? We Francji ledwo doszło do działań, generałowie papierem rozejmowym zatkali armaty. Podpisali czym prędzej zawieszenie broni, żeby zapobiec całkowitej aneksji. Czego ci jeszcze trzeba? Teraz rząd Vichy, ten

alfons na utrzymaniu Rzeszy, plackiem leży przed jaśnie wielmożną kurewską mością. I wiedząc, gdzie ma umieszczony punkt honoru, gorliwie usuwa Żydów z biur i urzędów. Biedna, stara Francja zagrożona, trzeba ocalić ją od Żydów. Konfiskaty sięgają setek, setek milionów dolarów. Na utrzymanie Vichy i koszty reprezentacji też trochę poszło. Marszałka Pétaina osobiście musztrował Hitler, wystarczy? Ribbentrop opowiada nadal bajeczki o Madagaskarze, ale Goebbels ma już ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej. Czwartego września krew żydowska pociekła ulicami Marsylii i na Riwierze. Sfatygowane zdziury z okien burdeli machały chusteczkami mokrymi od łez. Zagrzewały ulice, szlochały, modliły się o męstwo dla mścicieli. Wypędzają Żydów z małych miasteczek i zamykają za drutami, a tam gdzie do tego jeszcze nie doszło, domy znakują, żeby żaden sprawiedliwy nie zabłądził pod grzeszny dach. Papież Pius XII pobłogosławił brunatne koszule, które wybawić mają świat od zarazy i wypełnić misję do końca. Pożar płonie strzeżony! Bóźnicę w Strasburgu podpaliła smarkateria z HJ, młodociana czeladka Baldura von Schirach, a esesmani uroczyście obrzucili pogorzelnisko granatami. W obecności zebranego tłumu, który klaskał z uciechy. Zamiast płaczących wiedeńskich walców każdy skrzypek uliczny rżnie dziarskie berlińskie marsze. Hymn nacjonal-socjalistycznej rewolucji rozlega się nad Europą! „*Und morgen die ganze Welt.*” Dobrze, co? A jutro ich będzie cały świat. Szmuelu, Szmuelu, bracie mój głupi. Na Węgrzech w czasie krwawego mordobicia usunięto posłów żydowskich z parlamentu, zabroniono surowo używać języka hebrajskiego. We Włoszech Mussolini wydał zakaz sprzedaży książek, w Holandii usunięto, wszystkie dzieci ze szkół, wszystkich mężczyzn z urzędów publicznych. Jak wszędzie, ścisłej rejestracji uległy

majątki żydowskich rodzin. Czego ci jeszcze trzeba, Szmuelu? Madagaskar, Madagaskar... Na morzu, w okolicach Malty, zatrzymano transport emigrantów do Palestyny, a potem całe towarzystwo razem z paszportami, walizkami, pudłami, kanarkami, niańkami, Aronkiem, który nie chce jeść kaszki, i Beniusiem, który ma koklusz, zapędzono za druty. Gdzie, a jeżeli ci powiem gdzie, to ty mi uwierzysz? Oj, który naród nam dorówna w łatwowierności. Mam ci przedstawić świadectwo twojego zgonu, wtedy mi uwierzysz? Mam ci przedstawić rachunek funeralny, ile za wieńce, ile za trumnę, ile za łyżę Małki-płaczki? A ja ci powiem tyle, Franco kazał wystawić u siebie obóz kompletnie wyposażony na przyjazd tysięcy ludzi, gdzie psy wyją nocami z tęsknoty za koszernym żydowskim ścierwem. Tymczasem wolno ci nie wierzyć, ale kiedy uwierzysz, będzie za późno i nie będziesz musiał w nic mi wierzyć. Człowiek umarły nie ma wiary, nawet w Pana Boga, i nic o tym Pismo nie mówi. Ani słowa, ani jednego słowa. Chyba, że ty znajdziesz. Wiary nie zabiera się do grobu, wiarę zostawia się żywym. Tak mnie uczono, a ciebie, Szmuelu? Ale nie o to chodzi, tylko o to, że Szwajcaria, neutralna Szwajcaria, ten pasteryzowany trup, prukwa, co się zestarzała w cnocie, nawet ona dołożyła do sprawy swoich czystych rączek. W Szwajcarii, mój bracie, zabroniono prasie słowem pisnąć o tym, co Niemcy wyrabiają u siebie z Żydami. Dobry przykład szybko zrobił swoje, bo cnota jest zaraźliwa jak franca, w naszych czasach. Parę tygodni później Portugalia, mniszka zakwefiona, wydała ścisły zakaz wpuszczania uchodźców. *Judenrein*. Potem Luksemburg, szuler zżarty parchem, który nie krępuje się wyjąć pół dolara żadnej zagranicznej damie, wiesz skąd, też poczuł nagłe obrzydzenie do Żydów. A ilu Żydów mogło mieszkać w takim Luksemburgu, ilu?

Stu, dwustu? Wysłano ich stamtąd na wschód, na wschód, to znaczy do nas, do GG. Pogłoska krąży ostatnio wśród dziennikarzy, kto ją rozpuścił i kto ją powtarza? Dwa okręty, słuchajcie, słuchajcie, załadowano Żydami, aby ich wywieźć na Haiti, podobno w trosce o ich zdrowie. A bliżej? Na Łotwie, w Czechach, w Rumunii? Wszędzie *Judenrein*. Antonescu kazał zamknąć szkoły dla Żydów, zablokować konta Żydów, odebrać ziemię Żydom, opuścić kraj wszystkim Żydom, którzy przybyli tam w ciągu ostatnich pięciu lat. Wystarczy? W Belgii...

— Wystarczy — przerwał dziadek ze swojego kąta. — Już, dosyć. — I wuj Jehuda posłusznie zamilkł, z rozpędu wydając parę niewyraźnych, gniewnych parsknięć, jak zatrzymany w biegu koń. — Widzicie go, ludzie, jak się rozgadał? — Śpiewnym, modlitewnym głosem napominał: — I rozwiązał Bóg usta oślicy tej. — A potem zwyczajnie: — A, żeby ci tak pypeć na języku wyrósł i odebrał mowę, amen.

— Amen — powtórzył z pasją wuj Szmuel. Wtedy dziadek przyjrzał mu się uważnie.

— A jaki tam klimat, na tym Madagaskarze, Szmuelu? — zapytał łagodnie, z jadowitą słodyczą w głosie. — Znośny?

Ciotka Chawa z hałasem odsunęła krzesło, wstała i wyszła do kuchni.

Wuj Szmuel nerwowo poprawiał krawat.

— Aś, aś, aś.

Dawid, że był najmłodszy przy stole, trzymał kołatkę. Dłoń miał spoconą już i mokrą. Gdyby kołatka bez potrzeby zaklekotała, to co wtedy? Co ojciec powie? Co powie ciotka Chawa? Oj, nie. Kiedy dziadek zacznie czytać Pismo, będzie musiał pilnie uważać, żeby nie przepuścić żadnego Hamana. Ile razy padnie głośno to imię, tyle razy uniesie kołatkę wysoko,

obróci — „mocniej! mocniej!” — i klekotem zagłuszy pamięć o wrogu. Tak, tak powinno być. A w bóżnicy słyszał, jak na dźwięk tego imienia Żydzi tupali nogami, szurali ławkami, z trzaskiem otwierali i zamykali drzwi. Podniósł się ciężki, duszący kurz, zaszamotały się gniewnie tałesy. W poszumach chust, w chmurze pyłu zatarły się i pociemniały postacie. Twarze w modlitwie. Twarze w gniewie. Twarze w trwodze i w porywie gorliwego uniesienia. Uczynił się wielki zgiełk, zgiełk bez słów, wypełniony wzburzonymi oddechami, mściwym posapywaniem, milczącym buntem tłumu. Pamięta, jak się bał wtedy. I jak ostry głos kapłana jednym długim i natarczywym zaśpiewem uciszył gniew i dalej ciągnął opowieść.

— Dora, skosztuj — mówi ciotka Chawa wnosząc talerze. Placek utarła z brukwi i parzonych kartofli, a potem upiekła to wszystko razem na oleju, z odrobiną razowej mąki, z paroma ziarnami sacharyny i ersatzem o nazwie proszku jajecznego. Co robić? Wspomina święta, dawne święta, kiedy w blasku świec jarzących się w srebrnym lichtarzu wjeżdżały na stół ryby woniejące szafranem, gęś z przełamanymi skrzydłami, słodkie wino, orzechy, ciasta aż brunatne od nadmiaru wanilii i cynamonu. Co, Dora nie znosi smaku wanilii? A ona znów nie wyobraża sobie bez tego świąt. A kugel? Dora też robi bez korzeni? No, nie. Naturalnie, z korzeniami, ale sama nie je. To mogłoby dla niej wcale nie istnieć. Dziwne, co?

— Niech mu będzie tort na imię — mówi wuj Gedali. Rusza uszami na widok placka ciotki Chawy, a minę ma taką, że chłopcu naraz robi się weselej. Patrzy szybko, ukradkiem na dziadka. Czy dziadek widzi, czy udaje, że nie widzi?

— Smakuje jak tort od Gajewskiego — mówi Dora Lewin. — Pyszne! Gdzie ty kupujesz ersatze, Chawa? Mnie jeszcze nigdy

ciasto tak nie wyrosło. Dasz mi swój przepis. — I wytwornie skubie placek z brukwi. A ciotka Chawa śmieje się już głośno i z ulgą na ten widok. W pokoju rozchodzi się gorzko-mdły smród brukwi i spalonego oleju. Ciotka Chawa wyraźnie czeka na dalsze słowa uznania.

— O czym to myśmy mówili? — rzuca w zupełnej ciszy prof Baum. — Zaraz, zaraz. Aha. — Nabiera łyżką brukwi i urywa.

Święta pierzchły. Za oknem trwa niebo przedwiośnia, sine jak nóż. Pada grad i jest słońce. Złe, rude światło osmalilo ostrym błyskiem mur przeciwległej kamienicy i błyszczą tam martwo szyba w oknie, jak rozwarłe oko ślepcy. Dziadek powoli odwraca głowę i patrzy uważnie na Dawida, uważnie i długo.

Wuj Szmuel:

— W gminie mówili, że za pobicie jakiegoś Niemca władze nałożyły na Żydów kontrybucję wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Z terminem płatności do końca roku. W innym wypadku co trzeci mężczyzna w wieku od siedemnastu do sześćdziesięciu lat zostanie odesłany do obozu pracy.

Cisza, z ulicy dobiegał krzyk żebraków. „Ludzie, ludzie, miejcie litość!”

Wuj Gedali:

— Nie dziesięć, tylko sto tysięcy, i nie dolarów, tylko złotych, i nie do końca roku, tylko do końca tego miesiąca.

— Niech biorą — powiedziała ciotka Chawa. — Niech biorą i się tym udławiają! Amen. Może nam wreszcie dadzą potem spokój.

— Do końca roku — odparł prof Baum. — Mogą nałożyć niejedną kontrybucję i wcale się nie udławiają. A pieniądze gmina zedrze z nas. — Wskazał ręką okno, kiedy z ulicy buchnął górszy krzyk. — I z nich, z najuboższych.

— I tak będzie — powiedział wuj Gedali.

— Kto, kto? Kto im da? Ty im dasz, już to widzę. — Wuj Szmuel z energią rozdlubywał placek i kawałki lepkiej brukwi tryskały dookoła.

— Ja nie, ja nie... ja nie dam, bo nie mam. Ale Judenrat te pieniądze spod ziemi wykopie. — Wuj Gedali sztywno zaginał palce jak haki. — Okradnie kuchnie dla żebraków. Trochę zaoszczędzi na chlebie kartkowym, to dwa. Reszty dopełnią rekwiizycje, starczy.

— Rekwirować? Co? I u kogo? Ludzie ostatnie koszule umarłym z pleców zwlekają, aby sprzedać na chleb. Ostatnie buty.

— Zapomniałeś, gdzie mieszkasz, Szmuelu. Sienna ulica to zamożna ulica, zamożna — powiedział wuj Jehuda.

— Kupcy! W takim razie żywcem niech sprzedają nas Niemcom. I to się nazywają Żydzi? I to się też nazywają Żydzi? — powtarzał wuj Szmuel. Pod ciosami jego widelca brukiew padała na stół. Obok w swoim ciemnym kącie dziadek siedział z przymkniętymi oczami, jak nieobecny, i dłońmi osłaniał Pismo. — Sam prezes Czerniaków.

Wuj Jehuda przerwał:

— Z własnej kieszeni ma zapłacić kontrybucję? A pertraktuje z Niemcami, bo po to została zwołana Rada Starszych przy gminie wyznaniowej żydowskiej. A jak inaczej? Pewno im chodzi po głowie, że bronią interesów narodu, bo są zbawcami z urzędu. Mardocheusze, Mardocheusze. Tylko Estery nie ma komu podetkać. I na nic uroda dziewic, Szmuelu.

— Panie Abrahama. Panie Izaaka, Panie Jakuba. Panie mój, który w dobroci Swej naród wybrany z ziemi egipskiej z domu niewoli wywiodłeś na pustynię, amen. I dzisiaj każesz mi patrzeć

na to, jak moi synowie poróżnieni tracą rozum. Twoja wola, amen. Słuchaj, Szmuelu, słuchaj, Jehudo. Ee! Powiem tak, głupie myśli miewa każdy, ale mądry je przemilcza. Miejcie trochę względów dla starego ojca, który was słyszy, ale nie rozumie. I już nie chce rozumieć. Amen, amen. O, znowu, znowu. Już idą. Idą, krzyczą.

To urywane, niedołączone słowa dziadka między jednym a drugim westchnieniem w ciemnym kącie, kiedy ulicą zbliżała się banda żebraków. Zbliżał się miarowy szum, brzęk potrząsanych rozpaczliwie blaszanek. Zbliżało się wołanie, krzyk głodnego tłumu: „Ludzie, dobrzy ludzie, ludzie, miejcie litość. Dajcie na kawałek chleba, ludzie.” Grzechotały wściekle miski, łyżki jałmużników.

— O, moje uszy. Tam starcy, rabini bez chleba i wody. Tam pasterze, pasterze odchodzą. Wołają. To moje grzechy wołają do Ciebie, o Panie. Ogłuchłem? Dlaczego słyszę moich synów i dlaczego nie słyszę cudzych synów? Wybacz mi, Panie, i nie daj patrzeć, jak karzesz innych za moje grzechy. Nie dotykaj mnie najcięższą z kar. Nie daj mi patrzeć, nie każ mi patrzeć. Nie daj mi patrzeć, nie każ mi patrzeć.

Szept dziadka cichł w zmierzchu popołudnia, rozpraszał się w westchnieniach, ustępował w bolesnym kołysaniu.

— Dzieci moje, wnuki moje. Dzieci moje.

Prof Baum przerwał milczenie.

— O czym to my? Zaraz, zaraz. Aha. No, a jeżeli Judenrat odmówi? A? To Niemcy nie dadzą sobie rady sami? Niedawno czytałem w szmacie, że niejaka American Express Company zgłasza swoje usługi wszystkim w GG, którzy chcą otrzymać wsparcie od krewnych z USA.

— Wsparcie potrzebne jest nam, a dewizy Niemcom —

powiedział ojciec.

— O, to, to, to, to! Idea jest dobra. Tylko że ja po raz pierwszy słyszę o firmie American Express Company i nie wiem, kto się da na ten szyld akurat złapać.

— American Express Company? A może, kto wie. — Ciotka Chawa wskazała palcem nietknięty talerz brukwi: — Dawid, ty nie jesz? Mam ci zagrzać czekolady, co?

— Nie.

Było mu okropnie wstyd, że zwróciła na niego uwagę wszystkich.

— Nawet gdybyś chciał, to nie dostaniesz — powiedział ojciec.

— Kiedy ja nie chcę — powiedział szybko Dawid.

— Naprawdę? — pytał wuj Gedali. Ojciec zaczął się ostro, brutalnie śmiać, a rozmowa toczyła się tymczasem dalej.

— Wszy — wołał wuj Szmuel. — Wszy zagnieździły się w Judenracie. Wszy piją naszą krew i nie przestaną, aż zostanie z nas sucha skóra i kości.

— Żeby choć tyle. Żeby — powiedział prof Baum. — Skóra i kości to dużo.

— Pachołki kahału przeszły na żołąd gestapo!

— Nie dam głowy, że nie — powiedział wuj Jehuda.

— Kradną pieniądze z kieszeni Żydów i tymi pieniędzmi kupują sobie łaski Niemców! — Krzyk wuja Szmuela krążył między nimi w gęstniejącym zmierzchu. — Władzy im się zachciało? Ustanowili „radę”, ustanowili „policję”. Otworzyli własne więzienia i własne urzędy podatkowe. Niemcy nawet nie muszą przykładać ręki do tej śrubby, sama się obraca i dociska do żywego mięsa.

— O, wa. Co jest? To nic nie jest — mówił wuj Gedali. — Za

rok, dwa Niemcy pokażą ci.

— Madagaskar — wtrącił szybko wuj Jehuda.

— Madagaskar — powtórzył wuj Gedali i wyszczerzył zęby.
— Wtedy zobaczysz, po jakiej ziemi chodzisz. Tymczasem to wszystko fiume! Dziecinna zabawa w Hamana. Ale pewnego dnia Niemcy powiedzą: „Dość!” Judenrat zrobił swoje. Judenrat może odejść. I adieu, zbawcy. Adieu, Mardocheusze.

— Zbawcy? — wołał wuj Szmuel. — Pijawki w epoletach udają mi tu zbawców narodu. Widziałeś, jak chodzą, jak się noszą? Te sztylpy, te opaski z pieczętką, te pałki, widziałeś? Machają nimi przed nosem zniedołężniałym staruszkom. Tego jeszcze mało? Na Lesznie mają już swój lokal, gdzie prowadzą nocne życie. Tam jest na co popatrzeć.

— O, wa. Nocne życie. Interesy, interesy. Tam odchodzą grube interesy — powiedział wuj Gedali.

— O kim on mówi! I o czym on mówi? — Ciotka Chawa przyłożyła dłonie do policzków. — Boże mój, o czym?

— O Mardocheuszach — powiedział wuj Jehuda.

— I to ma być Purim — powtarzała. — I to mają być święta.

— O policji żydowskiej mówi — wyjaśniła Dora Lewin.

— Policja żydowska! — Gniew i oburzenie odbierały mu oddech i wuj Szmuel skrzeczał jak zarzynany kogut. — Psy łańcuchowe. Psy łańcuchowe rzucają się do gardła Żydom, a Żydom się wydaje, że to ich psy, bo łańcuch kupiony za żydowskie pieniądze, ale te psy służą Niemcom, Niemcom i to Niemcy ujmą w rękę łańcuch, aby wywęszyć interes każdego Żyda i zaprowadziły do niego bez namysłu, najkrótszą drogą.

— Święte słowa, święte słowa. Nic ująć, nic dodać — powiedziała Dora Lewin.

— Święte słowa — powtórzył za nią prof Baum.

Kiwali głowami na znak zgody, złączeni jedną troską zwrócili ku sobie twarze w nagłym odruchu. Tak, tak. Tylko wuj Jehuda uśmiechał się gorzko.

— Podobno — zaczął. — W pierwszych poboru posada złotego kosztowała trzysta złotych. Dobrze mówię? Teraz tygodniach ceny skoczyły do tysiąca, ale skoczą wyżej. Strach robi swoje, wiem, co mówię. Bezpieczeństwo, Żyd zapłaci każdą cenę, żeby uratować głowę. Nadejdzie czas — powiedział z siłą — że za pałkę będzie płacił złotem. A drugiego sprzeda za psi grosz, o.

Ciotka Chawa uniosła się tak, że peruka jej spadła na ucho i obnażyła żółtą skórę czaszki, pokrytą przejrzystymi, wiotkimi kłaczkami.

— Jak śmiesz! — Bezsilnie uderzała piąstką o piąstkę. — Jak możesz? — Poruszona peruka spłynęła na ziemię lekko i płynnie, jak suchy kwiat ostu. — Nie chcę tego słuchać w żydowskim domu z żydowskich ust w dniu żydowskiego święta!

Wuj Jehuda przyklęknął nisko, podniósł perukę z ziemi i podał jej pochyliwszy głowę. Z pogardą odepchnęła rękę bluźniercy. Wyglądała teraz strasznie: łysa, rozłoszczona, z dzikimi, rozwartymi rozpaczliwie oczami.

— Boże, czemu nie dałeś mi innego losu — szeptała Dora Lewin. — Czemu dożyłam tych strasznych lat. — Jej twarde, rulowane „r” polatywały w powietrzu jak kruki.

— Nadejdą gorsze lata — powiedział wuj Jehuda.

— Co? — Teraz zaszła w niej niepojęta zmiana. — Co wy wszyscy ode mnie chcecie? — powiedziała tylko ciotka Chawa.

— Aś, aś, aś — ubolewał dziadek. Zakurzoną perukę otrzepał o kolano. Kłęb martwych włosów opierał się niedołączonym dłoniom. — Dzieci, co mówicie. Nie trzeba tak, nie.

Spadły z twarzy ostatnie maski, zagasły światła lampionów, już zamarł dawno świąteczny śmiech. Mardocheusz, Estera, Haman pierzchli z pamięci Dawida. W ręku pozostała kołatka. Poruszył zaciśniętą z uporem na trzonku spoconą dłoń i zakołatał — drr drr drr — szybko i głośno, a wówczas ojciec wyrwał mu kołatkę i gniewnie odrzucił. W ciszy, jaka nastąpiła zniecka, słyszał wzburzony oddech ciotki Chawy, suchy, ciężki szloch. Nieswojo mu było i wstyd, nie wiedział, co z sobą począć. Suchy korpusik dygotał w zmierzchającym świetle, wstrząsany łkaniem. Czy ten potężny płacz mógł do niej należeć? Czy jej głosem płaczą inni, wszyscy razem, a ona użyczyła im tylko swoich łez na ten dzień? Szlochała coraz gwałtowniej. Szlochała już tysiące lat, z pokolenia na pokolenie, od Mahalaleela do Jareda i od Jareda do Enocha, i od Enocha do Matuzalema, i od Matuzalema do Lamecha przenosił się ten szloch. Błada, żółta twarz ciotki Chawy wydzielala posępne światło.

Wytarła nos, niedbałym ruchem ręki nałożyła perukę na bakier. Z wyciągniętymi przed siebie kurczowo rękami chwiejnie podeszła do kanapki. Włókł się za nią cichnący skowyt, skarga bitego psa. To zaczynało się tak nagle i tak nagle kończyło: a w tym czasie wydobywał się z niej krzyk-płacz, który napełniał Dawida zakłopotaniem i trwożnym podziwem.

— Dobrze już, dobrze, nic się nie stało. Odsuńcie się od niej.

Znów była sobą, do następnego razu. Znużona leżała na kanapce pod oknem, a Dora Lewin cierpliwie rozpinala jej guziki żabotu pod szyją, uwalniając z uwięzi słaby oddech. Potem uniosła się i długo — długo, z wzrokiem utkwionym w twarz leżącej, trwała w postawie wyczekiwania i zwłoki, jak przykuta do swojego dzieła — sprawczyni, kapłanka zaklinająca

święte głosy.

Krzyk wuja Szmuela:

— A, żeby ich święta ziemia żywcem pochłonęła!

I ostrzegawczy syk dziadka:

— Aś, aś.

Wuj Gedali powiedział powoli i spokojnie parę słów, które natychmiast zgasiły gniew.

— Niedługo, a wszystkich nas pochłonie żywcem, Szmuelu. A ty nie krzycz tak, bo szyby polecą z okien. Widzisz, że popękane i ledwo sklezione papierem.

— Szmuelu, Jehudo, czy wy mnie słyszycie?

Nikt nie odpowiedział, a dziadek kręcił się uparcie w ciemnym kącie, przesuwał w głąb fotel i z powrotem sadowił na swoim miejscu. Postępując, powtarzając:

— Szmuelu, Jehudo, czy wy mnie słyszycie? Kiedy głuchy Żyd schodzi do grobu i nic nie rozumie, to aniołowie skrzydłami osłaniają twarz. Jaki to jest Żyd i co komu po nim, i z czym on stanie na Sądzie? Ee! Ja ci powiem, Szmuelu. On stanie na Sądzie z głupim uśmiechem. Poskarży się Panu, że nie wydali mu przed śmiercią reszty. I zacznie stawiać Panu pytania, aby usłyszeć odpowiedzi, których przez całe swoje głuche życie nie mógł usłyszeć z ust ludzi, bo głuchemu Żydowi się wydaje, że on tylko Pana usłyszeć potrafi i że Pan potrafi przemówić do głuchego. Już ja to widzę, jak głuchy Żyd wadzi się z Panem i oskarża przed nim innych Żydów. Jak naprawić chce świat, kiedy zszedł ze świata. A co go to obchodzi, że tymczasem nastąpił koniec świata? „Boże, zawoła, surowo ukarałeś Sodomę, ale wiem, że Twój gniew obrócił się przeciwko niej w porę.” Taka wiara i taka sprawiedliwość nie mogą być miłe naszemu Panu. „Boże, zawoła, teraz już wszystko wiem i przeklinam cudzy

grzech, który Ty przekląłeś, ale dlaczego mnie? Mnie?” Takie skargi i gniew głuchego nie mogą być miłe Panu, bo nie ma słusznych w złości, nawet kiedy ich ponosi sprawiedliwy gniew. A co dopiero, kiedy ten gniew udany? Czy gniew udany nie jest grzechem? „Boże, zawoła, wiem: wszystko stało się, jak chciałeś, więc musiało się stać!” Taka mądrość głuchego nie może być miła Panu i co to w ogóle za mądrość, skoro nie ocaliła Sodomy? „Boże, zawoła, pamiętać będę odtąd Twoje prawo: odłączasz parszywe owieczki od stada i tępisz je, aby reszta nie sparszywała.” Takie oddanie i taka miłość nie mogą być miłe naszemu Panu, i co to za miłość, co to za oddanie, skoro nie widzieli ich ludzie z bliska. To On ma wyęźać oczy i szukać z daleka? Nie, nie, takie zaufanie do wyroków boskich nie może być miłe naszemu Panu. A kto poza Nim śmie wiedzieć, która owca chora, która zdrowa? „Boże, zawoła głuchy Żyd, a jeżeli całe stado chore, to znak, że poza Tobą nie ma innego medyka i wśród ludzi nie narodził się nikt, kto by...” Tutaj Pan nie powstrzyma gniewu, przegna sprzed oczu precz głuchego Żyda. „Żydzie głuchy, zawoła, u ciebie pracuje język, nie głowa, u ciebie pracuje głowa, nie serce, u ciebie pracuje wątroba. Wiedziałeś, z czym przyjść na dzień Sądu... Nie rozprawiaj, kiedy inni cierpią, i nie cierp, kiedy inni rozprawiają. Nie módl się, kiedy inni czynią, i nie czyń, kiedy inni się modlą. Całe życie trudniłeś się rozpruwaniem cudzej mezyzy i w każdej umiałeś znaleźć błąd. Tyle lat. I na co? I po co ja ciebie stworzyłem? Abyś przebierał «he» od «het»? Machał rękami przed nosem innym? Więc zabierz teraz sprzed moich oczu te białe, czyste ręce. W czystości rąk swoich nie można służyć ludziom ani mnie. Wyłączyłem cię z Sodomy nie dlatego, abyś był najlepszy... Sam to o sobie powiedziałeś. Sam to o sobie usłyszałeś?

Sodoma spłonęła wiele lat temu i nikt nie wie, dlaczego. Nawet ja, a ten przychodzi do mnie teraz i mówi, że wie, dlaczego? Głuchy chce mi powiedzieć, jak i dlaczego poszła z dymem Sodoma? Gdybym mu dał drugie, trzecie życie, nie rozumiałby niczego. Gdybym mu dał czwarte życie, nie zdążyłby opłakać cierpienia Sodomy. Gdybym mu dał piąte życie, nie starczyłoby mu czasu na modlitwę za umarłych. Więc po co mu w ogóle życie? Żeby poznać ból głuchego? Poznał? Dobrze... Niech wie, że zawsze nim karzę spóźnionych fałszywych proroków.” Szmuelu, Jehudo, czy wy mnie słyszycie? Ogłuchli, jak zwierzęta. Oni ogłuchli czy ja ogłuchłem? Oni ogłuchli, ja ogłuchłem... wszyscy ogłuchli.

Wuj Jehuda:

— Sodoma, Sodoma! To On sam zszedł na ziemię w niemieckim mundurze i karze grzesznych Żydów? Od kiedy to Jehowa nosi mundur? Kto tak mówi, pytam się, kto? Oni mają to dawno na pasku od spodni. *Gott mit uns*. Kitwe hakodesz i socjalizm narodowy? Robi się miszmasz, ludzie tracą głowy. Od kiedy to w każdym mundurze siedzi anioł, co waży ludzkie winy? Sodoma, Sodoma! Nie chcę słyszeć o Sodomie, póki ludzie chodzą boso i głodni tłumem po ulicy. Potem, potem możemy policzyć grzechy, wszyściuteńkie. Potem, ale dopiero potem zgodzę się na Sąd Ostateczny. Teraz nie!

— Jehudo, są na tym świecie sprawy, których nie można odłożyć na Rosz Haszana. Każdej chwili można stanąć przed Panem. Na nic wykręty. Wtedy mocny i słaby, mądry, głupi są tyle samo warci. Nie straszcie mnie, nie pocieszajcie. Co nadchodzi, ja wiem. I o tym właśnie mówię, tylko innymi słowami... Żeby stanąć na Sądzie, wszystko trza odrzucić. Worek na plecy i popiół na głowę, wystarczy. Szmuelu, Jehudo, czy wy

mnie rozumiecie? A jeżeli tak? Czy to znaczy, że Żydów los będzie lżejszy? A jeżeli nie? Czy to znaczy, że Żydów los będzie cięższy? Będzie, co ma być. Słowa sobie, życie sobie.

Wuj Jehuda:

— Tak ma wyglądać Sąd Ostateczny?

Wuj Gedali:

— Tak ma wyglądać koszerna wojna.

Wuj Jehuda:

— Mordownia... Ale nie każda jatka jest koszerna, nie każde nieszczęście karą za grzechy, nie każda zagłada Sodomą, nie każda wojna wyrokiem boskiej sprawiedliwości. W tej jatce byle kto może zostać rzeźnikiem i byle kto może iść pod nóż. Dlaczego rzeźnik ma być posłem Jego?

— Jehudo — powiedział dziadek. — Świat już trwa tak długo, tak długo... że musi w tym być jakiś sens. No, a jeżeli nie? To co ja, stary, ciemny Żyd, mogę na to, do jasnej cholery, poradzić? Tfu, tfu, Panie, wybac mi te słowa.

— Tak mówiłeś zawsze, ojcze?

— Tak będę mówił zawsze. Worek na plecy i popiół na głowę.

Wuj Jehuda westchnął ciężko i rozłożył ręce.

— Nie ma tu winnych i nie ma winy.

— Ale są żywi i są umarli.

Wuj Gedali:

— Ja jestem żywy?

Ojciec:

— Ty dawno jesteś umarły.

— Aś, aś — syczał dziadek. — Takie słowa to grzech.

— Już dawno grzeszę tylko słowami. Ale mnie nie karzą za słowa. I nie moje grzechy, ale samo istnienie ich obchodzi. Moją

wina jest istnienie. *Das nackte Leben*. Tak!

— Ojciec o tym dobrze wie — powiedział wuj Jehuda. — Racje i prawo mają za sobą ci, którzy mają wszystko inne. Siłę, siłę. I o tym też ojciec dobrze wie.

Dziadek poruszył się niespokojnie w swoim kącie.

— Dosyć, dajcie mi tałas. Jestem starym, ciemnym Żydem i nic nie wiem. Wszystko, co mam, to Pismo i w nim całe moje życie. Mało... Może mało, ale oczy moje nie widzą daleko, a mój rozum pali się małym ogniem. Mówiłem sobie: „Zostaw, nie twoja rzecz zgłębiać Pismo.” Co by robili powołani, mędracy, rabini, gaoni? A teraz żal, żal staremu. I gdybym miał jeszcze raz żyć, to po każdym wersecie Pisma zapalałbym jedną świecę i wrywał z brody jeden włos. Brody nie ubędzie, a jasność urośnie i ogarnie umysł. Tak, nigdy nie pojmowałem tych słów, dopiero dzisiaj... Kto pamięta? Tych słów, którymi kończy się Megilat Ester.

I wuj Gedali powtórzył werset o tym, jak król nałożył daninę na wszystkie kraje i wyspy na morzu. Urwał wysokim, cienkim zaśpiewem.

— Dlaczego tak kończy się Megilat Ester? To są święte słowa? Nie, to są kupieckie słowa. Zwyczajne, małe słowa. Tak sobie myślałem. W dniu, kiedy wszyscy czekają ocalenia? W dniu, kiedy nadejść ma dla Żydów odmiana losu? Bo Purim, Purim jest świętem na znak, że Żydom los się odmienił. Odmienił? Odmieni? Wszystko jedno. Mój język zna tylko dwa czasy, przeszły i przyszły. Teraźniejszego liczyć nie warto... I te słowa, o pieniądzach, podatkach. Panie mój, teraz wiem. Kontrybucja, kontrybucja. Okup. Jakbym was słuchał. Teraz wiem, ale co mi po mojej wiedzy. Co mi... Zapalcie świece, dajcie mi tałas.

— Tss, cicho, cii — szepnęła Dora Lewin. Czuwała pod oknem przy kanapce, gdzie spoczywała ciotka Chawa. — Wrzeszczycie i nic nie słyhać, a tam obława w kamienicy.

Odwrócili głowy, wszyscy. I teraz już wyraźnie, wyraźnie i blisko buchnęła wrzawa szybkich komend.

— *Leute auf! Auf, auf!*

I krzyk granatowego:

— Jazda na górę! Już!

Rozległy się ciężkie kroki biegnących po schodach żandarmów. Rozległy się obce, rozradowane słowa.

— *Aber doch reich ist die Viertel.*

Łoskot, niecierpliwe zawołania, nagła ciosy kolb i butów wdarły się nagle do środka i wszyscy — jak owiani jednym krótkim, ostrym smagnięciem bata — bez słów cofnęli się i w popłochu skupili w kącie wokół dziadka. Przez chwilę nieskończenie długą trwało to dręczące oczekiwanie, pełne lepkiej, duszącej trwogi i młodych, beztroskich głosów z zewnątrz, a potem drzwi same puściły pod naporem uderzeń i, w trzasku desek, co runęły do środka, w chmurze wzbitego pyłu, szumie i brzęku szkła strząśniętego w impecie z kredensu, w lamencie wszystkich larów i penatów, które zbiegły się oto razem, by zagrozić drogę przybyszom — złorzecząc dobrodusznie i śmiejąc się z wniesionego zamętu, do mieszkania wkroczyli Niemcy.

— *Jawohl, das fügt sich gut* — powiedział młody żandarm i błysnąwszy latarką wydobył z półmroku ich postacie, kiedy oślepieni jaskrawym światłem osłaniali bezradnie oczy i twarze. Latarka o ręcznym napędzie pociskana miarowo zanosila się narastającym, jęklwym poszumem: — Sz sz sz sz. — W drugiej ręce dźwigał automatyczny pistolet, którym zatoczył nad

zatrwożoną gromadką wykonując okrągły, szyderczy gest błogosławieństwa i groźby. — *Festtag* — powiedział.

— *Festtag* — powiedział obojętnie drugi żandarm i obrzuciwszy przelotnym spojrzeniem stół, zamknięte i poniechane Pismo święte, porozstawiane w bezładzie fajansowe talerze o wyszczerbionych brzegach, szklanki wypełnione cieczą o barwie herbaty, smętne resztki rozdłubanego placka: ruinę tortu z brukwi, chwycił obrus i ściągnął wszystko na ziemię. A potem lekko i uważnie usunąwszy krzesło, które stało na drodze, oparł wygodnie but o wygiętą krawędź starej komody i jednym szarpnięciem wyswobodził szufladę, wysypując z rozmachem zawartość. — *Ruhe* — rzucił krótko za siebie, usłyszawszy poruszenie dziadka, który westchnął tylko bezradnie, widząc, jak koszule modlitewne i kaftany, książki, tałas i tefilin frunęły na ziemię. Wśród rozrzuconej świątecznej bielizny, białej jak śnieg, srebrzyły się matowym blaskiem dwa wieloramienne sobotnie świeczniki.

— *Jawohl, herzbewegend Festtag* — powtarzał pogodnie młody żandarm, z nie ukrywanym rozbawieniem przyglądając się Żydom, którzy bez tchu, bez ruchu, bez słowa, sztywno i martwo tkwili pod ścianą. Z ulgą przerzucił broń na drugie ramię, lufą do dołu, a poruszywszy raz i drugi ścierplą ręką, szeroko i poufale uśmiechnął się do Dory Lewin: — *Das Schöne... es steckt in Blut* — rzekł i obrzucił długim, uważnym, natarczywym spojrzeniem śniadą twarz, włosy, sute i zrosnięte brwi, mocny nos, piersi, młode biodra. — *Ja, aber wo ist mein Rassenhass?*

W pewnej odległości od nich trzymali się dwaj porządkowi. Żółty, oczekujący dalszych poleceń w biernej gotowości. Wyrwany naraz z pochmurnej zadumy Niemiec począł z ożywieniem zdzierać mezyzy z framug drzwi i deptał je, podczas

kiedy zwitki starych przykazań i modlitw skryte w sztywnych okładzinach wydawały pod jego obcasem chrapliwe, gniewne trzaski.

— *Klatsch! Klatsch!* — powtarzał młody żandarm z uciechą.
— *Klatsch!*

Kiedy szeroko rozwarta szafa wydała już oczom żandarmów łup starych futer i okryć, a szuflady komody spoczęły wszystkie obok własnej zawartości, rozproszonych papierzysek pokrytych starym i groźnym pismem, starych i potłuczonych teraz naczyń stołowych, przetrząśniętej gorliwie i rzuconej na środek bielizny; kiedy brodaci Żydzi z rodzinnych fotografii upadli już pokornie na twarz, ukazując blade plamy na tle pociemniałych ścian; kiedy zleżałe piernaty, poduszki, pierzyny, potrząsane, kłute i darte z niejakim entuzjazmem, sflaczałe i puste legły na podłodze uwolnione z pierza, które rozproszyło się i teraz bezgłośnie opadało na ramiona ludzi — wówczas żandarm kierujący rewizją lokalu kichnął donośnie i, ciągle nie tracąc nadziei, zwrócił się ku kanapie pod oknem, na której bez ruchu leżała ciotka Chawa. Krótkim gestem przywołał do siebie żółtego i wskazując skupionych pod ścianą Żydów polecił przetłumaczyć swoje życzenie.

— Proszę państwa — zaczął żółty i urwał. Żandarm przyszedł natychmiast z pomocą i lekceważąco usunąwszy go na bok, wyjaśnił rzeczowo: — Wykładać nóżki na stół. Złoto, złoto. I dolary — dodał, z godnością zatoczywszy spojrzeniem po obecnych. Wtedy spod okna rozległo się jedno słowo, powtórzone parokrotnie z naciskiem, na dźwięk którego żandarmi odwrócili się w nagłym półobrocie, jak gdyby za ich plecami rozległ się zniecka wystrzał.

— *Typhus, Fleckfieber* — powtarzała ze złością ciotka

Chawa, przewracając się ostrzegawczo na kanapie. Niedbale zesunięta na czoło peruka kryła prawe oko, lewe — rozwarte i błyszczące gniewnym światłem, wyrażało cały bezmiar jej wzgardy. — Złota u mnie szukają, smarkacze, złota... — Zakasłała krótko, a potem unosząc się na łokciu splunęła. — *Das fügt sich gut, nicht wahr?* — powtarzała z otwartą satysfakcją, widząc, jak żandarm z natychmiastowym posłuszeństwem odstawił na szafę trzymany w ręku świecznik.

Kiedy Niemcy, spojrzawszy na siebie z obawą i zawodem, spłoszeni przemaszerowali przez pokój ku wyjściu, grzęznąc wśród gałganów, miażdżąc skorupy i potykając się na resztkach brukwi, do której przyłgnęło rozproszone pierze, depcząc twarze brodatych Żydów z fotografii, leżących plackiem na podłodze; kiedy już zostawili w spokoju ciotkę Chawę i dziadka, i Dawida z ojcem, i Dorę Lewin, i prof Bauma, i wuję Gedali, i wuję Jehudę, i wuję Szmuela, którzy stłoczeni pod ścianą w oszołomieniu i lęku słuchali zuchwałych okrzyków dobiegających z kanapy pod oknem; kiedy już żółty z niewyraźnym uśmiechem wyniósł się za Niemcami, opuściwszy nisko głowę — wówczas ostatni Niemiec zatrzymał się w drzwiach i zawiedziony, z wściekłością rzucił:

— Udało wam się tym razem... Ale nie na długo!

Nie na długo: miał rację, bo gdy przebrzmiały ostatnie komendy w kamienicy, gdy ostatnie drzwi zostały z rozmachem zatrzęsnięte i patrol żandarmerii zakończył jeszcze jedną pośpieszną rewizję, aby ująć z łupem — rozległy się kroki na schodach pod ich drzwiami i po raz drugi stanął w wejściu młody żandarm, z beztroskim uśmiechem na twarzy. Teraz już widzieli, że jest pijany.

— *Jawohl, herzbewegend Festtag. Hier fühle ich mich*

heimisch — zdjął hełm i położył na pustym stole. — *Ja, ganz gut* — pochylił się, podniósł kołatkę i zakołatał z uciechą. — *Klapper? Das gibt keinen guten Klang. Nein.*

Nie, jej głos nie niesie daleko, drewno. Czknął. Do diabła, z trudem utrzymuje się na nogach. Wódeczka, wódeczka, na dzisiaj ma dosyć. Ani, ani, wykluczone! *Haman, Haman... was ist es für einer?* Aha, to ten, który z Bożą pomocą urządził gruntowne *Judenrein* w Persji? Tak, Haman i kwestia żydowska... To był niedołączny, zgrzybiały, naiwny antysemita. *Nicht wahr? Aber jetzt seine Tat ist an den rechten Mann gekommen, jawohl.* Można o tym wiele powiedzieć. A jak zginął? Skrytobójczo zamordowany, no właśnie. Przez kogo? Międzynarodowe żydostwo maczało w tej aferze łapy, z całą pewnością. *Nun ja, Haman opferte sein junges Leben, damit unser Krieg sein Ziel erreiche!* Haman poświęcił swoje młode życie, inni poświęcili swoje młode życie. A Estera, czarnowłosa Estera, czarnooka Estera, mała Żydóweczka, poślubiła wielkiego Aswerusa, króla perskiego. *Nicht wahr?* Sprytulka, co? Uśmieć się można na myśl o tych starych, dobrych czasach.

— *Meine kleine Jüdin* — mówiąc to zatrzymał się przed Dorą Lewin. Zakołatał, cisnął kołatkę chłopcu: — *Klatsch!* — A potem zwrócił się do niej: — *Fräulein, wie steht es mit Ihrer Gesundheit?*

Stali wśród nie uprzątniętych śmieci. Złożył przed nią nisko, ironicznie ukłon. Pchnął przed sobą. Poszła potulnie jak owca. Drr drr drr drr — terkotała kołatka. Z trzaskiem zamknęły się za nimi drzwi.

„I to ma być Purim, Purim? I to ma być święto?” Kiedyś już było, kiedyś jeszcze będzie. Te słowa, ten głos.

Aresztowana! Szła ulicą trzy kroki przed żandarmem.

Znów te słowa, znów ten głos? — *Das fügt sich gut. Schnell, schnell. Also wie gesagt*, prenko, panenka... Prenko, prenko!

Klek klek klek, klekotała nieznużenie kołatka za ścianą. Zbliżała się godzina dwudziesta, godzina policyjna, to znaczy pora przymusowych ciemności.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](https://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/).

II

I pewnego dnia w oczach ludzi z tej i z tamtej strony zaczęli murarze murować mur na Żelaznej i Siennej, i Wielkiej, i przez Bagno, i Próżną, i Grzybów, i Graniczną, i plac Żelaznej Bramy do Hal, zamykając tak dzielnicę południową. I to było małe getto. A dalej mur ciągnął się Chłodną do Ptasiej, Przechodnią do Długiej, Mylną do Przejazdu, Świętojerską do Ciasnej, Koźlą na Przebieg, przez Pokorną, Stawki, Dziką i Okopy, zamykając dzielnicę północną. Tam było duże getto. A w poprzek ulicy Chłodnej w pobliżu kościoła Św. Karola stanął most drewniany i połączył obydwie odcięte linią tramwaju dzielnice.

— Zaczęło się, Żydzi — wołał Mordchaj Sukiennik w chmurze pyłu, wymachując ramionami.

Komu mógł grozić?

Przybiegał po trawę morską do warsztatu i tym karmił kobyłę, kiedy już brakło siana. Drzwi były rozwarte na oścież, szyby od ulicy powybijane. Wiało drzwiami i oknami, a strącone okiennice, których nie wolno było odtąd zakładać, leżały na chodniku. Ojciec stał na ulicy z gołą głową, trzymając klucz. Mordchaj chodził tam i z powrotem, widłami zwałął na furę sterty trawy morskiej i rozsypane daleko źdźbła deptali przechodnie.

— Murują, murują. Na Ptasiej, Przechodniej, Rymarskiej, i końca nie widać!

Rękami zgarniał, miotłą wymiatał ostatnie resztki, kiedy ojciec w roztargnieniu rozglądał się dokoła jak przebudzony ze snu.

Szukał stróża, któremu wręczyć miał klucz.

— Te worki zabrać? Zabieram, na co to wam?

— Zabieraj.

Zabrał i pojechał: niedaleko miał.

— Już Długa zamurowana!

Wuj Gedali wynosił stare meble i drzewo na opał. Wszyscy brali z warsztatu, co się tylko dało, i skład tapicerski pustoszał. Ojciec machał ręką. Et, i tak do piachu, i tak do piachu. Dotykał narzędzi, odkładał. Patrzył długo na hebel, jakby go widział po raz pierwszy w życiu, i rzucił w kąt.

Jesienią żużlem dymiły rampy towarowej kolei. Na pustym placu za torowiskiem Zyga cofał się przed nim i rozwijał sznurek. Dmie! Co za dzień, krowę by porwało w powietrze. Wszystko gotowe, kiedy Zyga rozwinie kłębek do końca, będzie można zaczynać. Tymczasem Zyga pocił się i spieszył. Kto mógł wiedzieć? Psiakrew, supeł! Z daleka Elijahu biegł zadzierając głowę, a ręka skakała mu sztywno na sznurku za każdym silniejszym podmuchem.

— Ej, wy tam, trzymajcie się chmur! Trzymajcie się wiatru!

Zbliżał się ku nim wołając. Nad nim, wysoko na jesiennym niebie sunął latawiec w zimnym świetle słońca.

Kiedy zaniósł ich na tory, zawahali się. Elijahu był już daleko. Widzieli, jak puścił koniec wolno. Klęczał i wołał. Biegli do niego bez tchu. Przy szynach, odciągnięte na bok, pod workiem po cemencie ukryte były zwłoki i buciki wystawały za papier. Głowa dziewczyny leżała koło nóg, z zamkniętymi oczami. Długie czarne włosy, rozrzucone szeroko, wały się na ziemi.

Elijahu powiedział cicho:

— Musieli ją w paru podłożyć pod pociąg.

— Ale dlaczego?

— Nogi ma całe. Sama nie położyłaby tak równo głowy.

Zyga był blady. Nie mógł patrzeć, chociaż z nich najstarszy. Odszedł na bok; zmierzchało. Rozeszli się i chyłkiem wrócili do domu, i nigdy o tym nikomu nie powiedzieli słowa.

A tam, w domu, ciągle to samo:

— Murują Nalewki, murują Dziką!

Prof Baum, w rozpiętym palcie, pukał palcem w gazetę, potem czytał głośno kawałek. Co za pies! Ten pies nazywał się Auerswaldt, był niemieckim komendantem miasta, wydawał zarządzenia, kartki na chleb, wieszał ludzi i przesiedlał. Objeżdżał samochodem ulice i patrzył, jak murarze murują mur. Prof Baum rozłożył ręce i oderwał kawałek gazety. W głowie mu się nie mieści, kto by uwierzył jeszcze rok temu. Co to ma być, wieża Babel? Cuda, cuda! Ale nie, on nigdy nie uzna takiej władzy. Rzucił gazetę i podeptał. Zanim wszystkich przesiedlą, wojna szczęśliwie się skończy.

Tak mówili, owak mówili. Co wieczór inaczej mówili, a kiedy przyszedł wuj Jehuda, podrapał się w głowę i powiedział: — Murują na Walicowie — trzeba się było przenosić.

Mordchaj Sukiennik po raz ostatni wbiegł do warsztatu i zgarnął na furę resztki trawy morskiej. Już ludzie błędzili po mieście szukając nowych kwater. Tam gdzie szło o pośpiech, Niemcy kazali grodzić domy parkanem, zbitym na miejscu z desek, ustawiać kozły żelazne uzbrojone w kłęby kolczastego drutu. Takie płoty stały na ulicy Białej, Ciepłej, w poprzek przez Waliców, przy Ceglanej, póki nie zastąpiono ich murem. „*Verboten!*” — krzyczały tablice. „*Durchgang verboten!*” — groziły napisy na murze u strzeżonych wylotów ulic. JUDENVIERTEL REVIER IST GESPERRT EINTRITT

VERBOTEN.

— Podawaj, Maniuś, podawaj, podawaj!

W ciszy nie przebudzonego miasta krzyk ten zrywał go na nogi. Ukradkiem podchodził do okna. Pierwsze tramwaje jechały ulicami wyłaniając się z mgły, jak majaki innego, niepojętego świata, a ich wysoki wizg ginął na zakręcie, gdzieś w głuchej pustce Hal. Biły, biły dzwony u Św. Karola. Widział po tamtej stronie twarze, bieleły niewyraźnie, wynurzały się z nocy, która pierzchła.

Z oczami zwróconymi na mur w budowie, ojciec zanosił poranne modlitwy.

Tutaj — u zbiegu Żelaznej i Krochmalnej — ściana-granica wyrastała pod samymi oknami kamienic. Od rana do zmierzchu rozlegał się krzyk murarzy i wzbierał szum wody z hydrantu, otwartego pod bokiem, na jezdni. Na dwie zmiany, żwawo popiskiwały przetaczane taczki, niosło się mokre klaskanie kielni i ciśniętej na cegły zaprawy. Murowali mur. Sięgał kolan, potem ramion murarzy. Mierzyli, układali cegły, szli dalej. Kiedy dwukrotnie przewyższał już wzrost człowieka, wówczas zbroili szczyt muru tłuczonym szkłem butelkowym, gęsto rzuconym na wilgotny cement. Mróz brał, zaprawa tężała w szafliku i murarze popędzali chłopców podręcznych zacierając ręce z chłodu.

— Podawaj, Maniuś, podawaj!

Głosy żandarmów przecięły już strzeżony wylot ulicy. W filcowych, grubych butach trzymali straż u zbiegu Żelaznej i Chłodnej, przytupując, krążąc dla rozgrzewki, rozmawiając leniwie godzinami. Kiedy repetowali karabiny, przechodnie chowali się w bramie.

Nadeszły szare, ciemne dni. A Dawid w ciągu tych pierwszych tygodni za murem błędził bezradnie i w popłochu, z osłupieniem

ogłądając się za siebie, nie mając odwagi domyślić się jutra. Co znaczy przystosowanie? Jeszcze nie wiadomo. Wujek Szmuel zajął się handlem i powiada, że trzeba się przystosować. Elijahu powtarza ze złością, że słabi muszą ustąpić miejsca silnym, a sam wygląda jak zmora, snuje się wynędzniały, kaszle i idąc, żałośnie szura zawiniętą podeszwą. Elijahu już za bardzo się mądrzy, a Ernest nie zmienił się nic a nic, tylko Zyga przeszedł mutację i nie wiadomo kiedy zaczął mówić grubym, męskim głosem. Listopad mroźny i wietrzny strącił z ruin na ziemię ostatnie luźne cegły, wywiał z serca otuchę. Gruz z szumem sypał się na ulicę. Między życiem, jakie wiedli dotąd na Srebrnej, a obecnym wygnaniem na Krochmalną nie było jeszcze ciągle tak dużej różnicy i temu zawdzięczali trochę odporności, sił do przetrwania; Dawid patrzył na ojca innym wzrokiem i powoli zaczynał rozumieć, że niedostatek, w jakim zaprawiły się całe pokolenia, teraz zapalał jego oczy jakąś straszną gorączką i zaciętością. Matka po przeprowadzce raz po raz wybuchała strasznym szlochem.

— Żywcem zamurowani!

Ojciec z gniewem wykrzykiwał coś uparcie, całymi dniami. Biadał, skarżył się czy groził? W rozdrażnieniu, nie mogąc sobie znaleźć miejsca, krążył od ściany do ściany. Wznosił pięści i opuszczał, potem modlił się długo. Dawid słuchał tego czując lęk i wstyd. W tym czasie nikt do nich tutaj na Krochmalną nie zaglądał i krótkie, puste dni dłużyły się w oczekiwaniu na skąpy posiłek, porę, kiedy pozwalali sobie przed snem na ten zbytek i rozniecali marny ogień pod blachą. Szczędząc opału szybko grzali wodę i wrzątkiem zapijali gliniasty kartkowy chleb, wypiekany z obfitą domieszką otrąb i mielonych kasztanów. Była jeszcze marmelada, o której zgodnie mówiono, że jest chytrą

mieszaniną przecieru buraczanego z pastewnymi wysłodkami. Sacharyny, namiastek zwanych herbatą wówczas nie kupowali, ponieważ ojciec zapalał świętym gniewem do tego fabrykowanego oszustwa. Uznał, że kłamstwa dla ducha mają większą moc niż te, którymi oszukiwano ciało. Matka zamykała z niechęcią oczy i całe dnie trwała bez ruchu, twarzą do ściany. Pocięczał ją, jak mógł. A pocięcha leżała na ulicy. Plotki, ślepe i kalekie płody nadziei roznoszone przez żebraków, dzikie pogłoski co dzień obiegające miasto, które sam z politowaniem odpychał od siebie, teraz puszczał w ruch. To było najtańsze lekarstwo.

Potem dopiero okazało się, że matka w apatii zachowała skrycie i nie roztrwonila resztek energii, którą wkrótce tak hojnie ich obdzieliła. Narzekała, stękała, po połknięciu odrobiny pokarmu oblewała się potem, a oni patrzyli bezradnie, jak traci siły od bezustannego leżenia. Ojciec mówił do niej jak do małego dziecka i ukrywał gazety. Pewnego razu wyszedł bez słowa, przekradł się za mur i wrócił późnym wieczorem — z pustymi rękami. Miał śliwkę na oku, rozcięte czoło i w ogóle wyglądał tak, jakby leżał w błocie. Zrzucił mokre, uwalane ubranie i natychmiast zasnął. Matka wołała, że tego nie przetrzyma. Ale wstała po raz pierwszy od długiego czasu i zaczęła się niedołąźnie krzątać.

— Boże, kiedy to się wreszcie skończy?

A to się dopiero zaczęło. Dawid chodził z kartkami do sklepiku, mnąc je kurczowo w zaciśniętej ręce. Przy nim wyrwano komuś talony i po tej wrzaskliwej awanturze, która zakończyła się bójką głodnych kobiet, strzegł się i jeszcze przed wyjściem z domu starannie wycinał nożyczkami potrzebne tego dnia odcinki i z nimi stał na zatłoczonej ulicy. Przybiegali

nędzarze bez kartek, wyciągając na dłoni groszaki zebrali o sprzedaż przylepki. Chleb już dzielono na ósemki, a ludzie w ogonku mdleli. Z nóg zwałął zapach świeżego pieczywa. Słabeusza cucono, czasem okradano, tłum rozstępował się na krótko i znów zwierzał w ogonku, czekając godzinami na piekarski wóz. Zaczajeni przed sklepem żebracy otaczali wychodzących; trzeba było uważać, bo wyrwali znienacka chleb i zanim tłum z pomocą zdążył przyjść obrabowanemu, połykali rozszarpany mięksiz.

Pierwsze dni głodu najgorsze, potem już można wytrzymać. Najpierw przychodzi znużenie, ciężą ręce i nogi, każde słowo urasta do bolesnego zgiełku w uszach. Barwy nie cieszą oczu, a światło je rani. Są dni, kiedy ślepotą ogarnia i spojrzenie Dawida znienacka zanurza się w nocy, która pochłania pełny dzień. Przy każdym ruchu skóra wilgotnieje, pot cieknie mu spod ramion, czoło pokrywa się tłustym nalotem i lepkie jest, kiedy dotyka palcami. Ciągłe pić się chce, schną spękane usta. Szczęki zaciskają się same i odzywa się ból za uszami na widok cynowej łyżki porzuconej na stole. Wtedy zaczynają się myśli o jedzeniu, straszne, wyczerpujące rojenia. Żołądek pracuje jak syfon. Wystarczy mu myśl o kawałku brukwi i już zęby rozdzierają z chrzęstem włóknistą miazgę, a sok słabo przypominający czarną rzepę, łagodniejszy w smaku i słodkawy, spływa do gardła i zwilża spuchnięty język, zostawiając w ustach cierpki osad. Marzy mu się korzeń kulisty, duży, o żółtym miększu i główce zielono zabarwionej. Pismo mówi nawet o bani, ale dlaczego nie ma tam słowa o brukwi? Dobrze jest łyżką skrobać brukiew na drobne, soczyste strużyny. Połykać po trochu. Tego nauczyła go matka i ostrzegła, że jak naćpa się źle pogryzionej surowizny, to może być z nim kiepsko. Od brukwi myśl się odrywa i buja

wysoko.

— Kiedy przywiozą ten chleb?

Powtarza się pytanie w ogonku przed sklepem. Kto pamięta smak chleba? Kto z nich pamiętać będzie smak chleba? Dawniej chodził na Wronią. Laban miał piec na Wroniej. Rankiem żar buchał ze świeżych bułek, a na ulicy woniało. W wielkich dzieżach rosło ciasto, które rozczyniała piekarczowa z córką. A córka Labana umączona, biała, z łuną na policzkach: klienci na nią też patrzyli jak na rumianą, chrupiącą w zębach bułeczkę. Zapach kminu ulatywał z fartucha piekarza. Śmiał się: „Laban sprzedaje, Laban piecze, Laban w oczach klientów rozczynia chleb!” Dzisiaj nie ma takiego chleba. Na kartki sprzedają glinę, która lepi się do zębów i kruszy w rękę, bo nie tylko kasztany, ale i łupy kartoflane mieszają z ciastem. Trzeszczy w zębach piasek, czasem wypluć trzeba kawałek sznurka, a czasem nóż zazgrzyta na zardzewiałym gwoździu. Śmiecie.

Smak wierzchniej strony chleba, smak spodniej strony chleba wspomina osobno.

— Nie pchać się, ludzie, dla każdego starczy.

— Akurat.

W tłumie powstał zamęt, rozległy się nawoływania; to przed sklepem zatrzymał się wóz i dwóch piekarczyków sapiąc z wysiłku, pod strażą OD-mana dygowało kosz.

Ile mógł ważyć taki bochen? Młode, zielone żyto szybko rosło i kisło w korycie, zaprawionym kwasem. Pamięta smak tego chleba, pierwszego po żniwach, który jadł na wsi. Pan Hrybko darł ziarno w kamiennym młynku, podobnym do żaren. A pani Hrybkowa z pluskotem ciasto rozrabiała, gniotła, uklepywała i pod dotknięciem jej palców rósł bochen wielki jak koło wozu. Dochodził na rozłożystych liściach, od spodu przywierały węgle

i popiół, a kiedy się już upiekł — stygł na belce, w przewiewnym miejscu pod strychem. Jak gospodyni rozkrawała taki bochen (znacząc nożem krzyż), ukazywał się zielony ośrodek i bił w powietrze zapach węgla, słodki zapach młodego żyta, wilgotny i ciepły. Smarowali nie ostygły chleb masłem, które topiło się w oczach. Zapijali zimnym zsiadłym mlekiem, studzonym nocą w studni. A jedli ten zielony chleb patrząc w okno, na sad pełen słońca.

— Nie pchać się, ludzie, dla wszystkich wystarczy!

Wracał do domu wączając bochenek z przydziału, ukradkiem tuląc do niego twarz, wdychając suchą woń plew. Charłactwo rzuciło na bruk pierwsze ofiary. Ze spuszczoną głową przechodził obok, mijając, odtrącając wyciągnięte ku niemu czarne ręce. Suche, zapadłe twarze konających, kanciaste czaszki i oczy wpatrzone w chleb — prześladowały go we śnie. Szyje stawały się długie, giętkie i wyrażały wszystko: łaknienie, trwogę, żal, przekleństwo żywym. Szyje wyciągały się i oczy rosły, osaczały go zewsząd, zbliżały się, ogromne... „Och!” Budził się złany potem.

Pewnego dnia stanął w drzwiach Natan Lerch, sąsiad z pierwszego piętra, który sprzedawał po mieszkaniach swe przydziały. Mizerak w ciemnym garniturze i białej, przybrudzonej mocno koszuli. Tylko jeden but miał rozdarty. Cicho wymienił cenę w progu, pochylony. W półmroku widać było smutny, cienki nos i boleśnie wygięte usta, kiedy tak czułym ruchem gładził chleb. Ojciec zawołał w rozpacz:

— Człowieku, miej serce, jakże ja mogę od ciebie odkupić ten chleb?

Im musiały wystarczyć kartki. Ale Natan Lerch targował się dalej, nalegał, zebrał o kupno. Spojrzenie jego potulnie umykało

w bok, błędziło wśród deseni gnijących tapet. Paskarzem przecież nie jest. Ach, parę groszy jeszcze opuści. Trzeba się wstawić w położenie człowieka. Ojciec sapał zniecierpliwiony, przymykał oczy, otwierał i patrzył w sufit. A matka opuściwszy nisko rękę próbowała parę groszy wetknąć w kieszeń sąsiadowi. Odsunął się szybko. Pochylił jeszcze niżej głowę, ale jałmużny nie przyjął.

— Przepraszam, nie jestem żebrakiem — powiedział łagodnie. I powtórzył: — Przepraszam!

Matka dłoń zaciśniętą przyłożyła do piersi.

Chleb trzeba było opalać nad ogniem. Ulice pełne były chorych, szerzył się tyfus i wracając do domu oglądali uważnie wierzchnią odzież w poszukiwaniu przybłąkanych wszy. Mali chłopcy na każdym skrzyżowaniu z krzykiem zachwalali obok tytoniu środki owadobójcze, mieloną kredę z dodatkiem czegoś, odpowiednio przez oszustów przepakowaną. Łatwowierni sypali ją pod koszule. Ojciec powąchał tylko raz i powiedział z pogardą:

— Miętowy proszek do zębów. Tego jeszcze brakowało.

Wrócili do prostych, pewniejszych sposobów; wszy należało uważnie iskać i wrzucać do ognia, by się nie rozlażyły.

Udrękę sprawiało mu noszenie opaski. Dawid zapominał o niej przy wyjściu albo gubił po drodze. Niewyraźnie odczuwał wstyd, skrępowanie i ucisk na ramieniu, a przecież nic nie ważyła. Opaski noszono rozmaicie: ojciec niedbale, wuj Szmuel ze staranną elegancją. Jedni przyszywali je na brzegu mankieta, inni na przedramieniu lub powyżej łokcia; po tym, jak noszono opaskę, poznać można było lekceważenie dla władz albo strach i uległość. Ciotka Chawa nosiła brudną, zwijającą się jak obwarzanek i ledwo widoczną, a Nataniel Lerch przypinał

czystą, nakrochmaloną i sztywną, aby z daleka wyraźny był znak. Kto raz pobity został przez żandarma za niechlujne noszenie łąty, już potem nie zaniedbał łąty. Przekupki nosiły wążutkie na trzy palce krajki płótna. Urzędnicy Judenratu chodzili po Grzybowskiej ze wstęgami szerokości dwóch dłoni.

O, białe opaski z niebieską sześcioramienną gwiazdą! W ciągu następnych dwóch lat pamiętali o nich, jak dawniej o chustce do nosa. Gwiazda na ramieniu stanowiła znak rozpoznawczy, dowód istnienia ważniejszy od dokumentów. A byli tacy, co się z tego śmieli. Żyga nigdy opaski nie przytwierdzał na stałe. Jak szmuglerzy i ci, którzy przekradali się po żywność za mur, lekko przypinał agrafką, aby każdej chwili móc zdjąć chyłkiem i ukryć, a potem w razie potrzeby znów wciągnąć szybko na rękaw.

Żyda napotkanego gdziekolwiek bez opaski rozstrzela się na miejscu: tak ostrzegały afisze wyklejone gęsto wzdłuż ulic.

Matka napominała:

— Dawid, pamiętaj o opasce.

Ze wszystkich stron to samo. Nagonka nie ustawała. Uszy wypełnione miały nacjonal-bełkotem, ochryplym wyciem szczekaczek. Żydzi rządzą światem, śmierć im. Banki Wall Street i Komintern służą posłusznie ich brudnym interesom. A dolar jest ich Bogiem. Przekupili ludzkość i rozciągnęli władzę na wszystkie kontynenty. Mają w kieszeni Rosję i obydwie Ameryki. Hańba cywilizacji! Żydokomuna na Wschodzie, na Zachodzie finansjera już dawno oddały rządy w pacht rabinom.

Wiedział, że to o niego chodzi. I dziwił się, komu potrzebne jego małe życie. Ogarniał go lęk przed nienawiścią, która otaczała go zewsząd. Czy tak będzie zawsze? Tak było zawsze. W marzeniach szedł przez świat swobodnym, śmiałym krokiem, bez przeszłości i bez przyszłości, z rękami w kieszeniach i żaden

kamień, zniewaga nie mogły go dosięgnąć. Szedł przed siebie i... na tym urywała się myśl. Zostawi ojca i matkę? Tutaj, za murami? A sam zerwie opaskę z ramienia?

Cierpiał i było mu wstyd.

Ale Niemcy uratują ludzkość. *Ein Volk, ein Reich, ein Führer!* Klękajcie narody, oto zbliża się nowy ład.

Europa, Azja, Ameryka obdarowane zostaną swobodą i żaden Żyd nie ukryje się przed prawem, gdzie tylko stanie noga niemieckiego żołnierza. Kto odda złoto i dolary — a, to co innego. Kto odda złoto i dolary, okaże skruchę i posłuszeństwo, będzie mógł pojechać na wyspę Madagaskar. Tam jego miejsce. Żydzi rozmnażają się jak wszy.

To znaczy, że jest ich za dużo. Dawno temu, po pierwszej bójce postanowił, że położy się spać Żydem, a nazajutrz wstanie kim innym. Lata mijały, nic się nie zmieniło. Jak można świat zmienić? Nie wiadomo. (Tylko Uri wie, ale nie chce jeszcze powiedzieć.)

— Uciekam, mam tego dosyć — powiedział Zyga i nie było go pięć dni. Elijahu śmiał się, a mały Ernest pytał szeptem:

— Daleko uciekłeś, Szmaja?

Zyga nie chciał powiedzieć, gdzie był. Patrzył na nich z wysoka. Wiedział już, że innej rady nie ma; trzeba przystać do Cyganów. Obraz Zygi sunącego chyłkiem za taborem, nocą, wzdłuż nagich i czarnych jesiennych drzew, kiedy pies z podkulonym ogonem chroni się pod wóz, przejmował Dawida żalem, litością i bliski był łez. Gdzieś tam błyska światło zamazane deszczem. Zatraskują się okna, drzwi mijanych domów i wieś z ukosa śledzi obcych włóczęgów, słucha nieufnie cichego, tęsknego śpiewu, brzęku gitar trącanych od niechcenia. Cyganie jadą! Kotły bielić, patelnie drutować, ostrzyć noże. A na

końcu wlecze się Zyga przez wszystkich odtrącony. Nie, nic bardziej żalosego nie umiał sobie wyobrazić. A Elijahu mówił, że tylko małe bękarty łapią. Żydów do taboru im nie trzeba, jeszcze czego. A poza tym już ich zamykają za drutami, razem z końmi, konie zdychają, Cyganki pieką koninę, mrą na tyfus, z kart nie wróżą nikomu i nie kradną kur. Zyga rozgniewał się, nazwał Elijahu parchem i pobił, ale więcej nie wspomniał o ucieczce do Cyganów.

Dawid szedł do wachy, bez celu, smutno patrzył na tamtą stronę i palcami dotykał rękawa, czy opaska aby jest na swoim miejscu. Gromadził się tłum i głodni nędzarze bezładnie przebiegali strzeżony wylot ulicy. Czasem padał strzał i człowiek leżał na środku jezdni, póki nie odciągnięto go na bok. A przechodnie uciekali do sieni. Żandarma, który celnie strzelał, tragarze nazywali Krwaworączką. Celnie strzelał i chętnie brał łapówki. Na rękawie miał naszywki Zugführera, bił za darmo i bił za opłatą, a kiedy szedł w swym zielonym mundurze z brunatnymi wyłogami środkiem ulicy na posterunek, wieść niosła się przed nim i za nim; przechodniów ogarniał popłoch, truchleli z czapkami w rękach, a przekupki szybko zwijały stragany i kryły się z towarem. Po strzale Krwaworączka podchodził do leżącego, nogą przewracał trupa na wznak i patrzył mu w twarz. Potem stawał nad rynsztokiem, moczył w kałuży but i obmywał z krwi.

Długi Icchok, przesiedleniec, zaczepiał zuchwale policjantów z posterunku; pokazywał ręką na tamtą stronę. Klepał pusty brzuch, wołał:

— Kiszka z wodą!

Odpędzali go leniwie i bez gniewu. Krwaworączka patrzył na to ubawiony i śmiał się donośnie; nawet jego potrafił Długi

Icchok swoim wyglądem rozśmieszyć. Zdejmował karabin, kolbą przepędzał obszarpańca przez wachę, a wtedy Długi Icchok gnał przed siebie uszczęśliwiony, gubiąc trepy.

Z oczami zwróconymi na mur ojciec zanosił poranną modlitwę. Ochrypłe, donośne mamrotanie wlokło się cierpliwie i powoli. Cierpliwie kołysały się plecy ojca, usta całowały brzegi tałesu, ręce tuliły rzemienne zwoje tefilin. Głos urastał, wzbijał się w powietrze nutą starej, znużonej, smutnej melodii. Na wołanie matki nie odpowiadał słowa, opędzał się krótkim i gniewnym machnięciem tałesu, psykaniem. Pograżony w modlitwie, do dna. Długo chował oczy pod naciągniętym tałesem. Milcz, kobieto. To pora, kiedy Żyd modli się i jednoczy z Panem, póki jeszcze oczy ma otwarte i widzi, z której strony słońce wschodzi. Dopóki nie strącą jego ciała w dół.

Czy długo jeszcze? Chaskiel-stróż stał pod oknem i czekał, aż ojciec skończy i przestanie naprzykrzać się Panu Bogu. Dusza, którą mu On dał, jest czysta. Postukiwał kijem miotły o bruk. On ją zachowa. On ją odbierze, chwała Królowi świata. Już, dobra.

— Fremde, coś mam powiedzieć.

Jakow Fremde wychylił się ku niemu, zwijając długie rzemienie tefilin wokół ugiętego łokcia i odchyłonego sztywno kciuka. A w ślad za zwinnym ruchem ręki, ruchem półkolistym i płynnym — na wysokości pierwszego piętra, gdzie stał podany do przodu, trawiąc ostatnie słowa modlitwy — biegł czas i kurczył się skórzany zwój.

— Co tam? Kto tam?

Chaskiel niedbale zatoczył ręką:

— Ale nas ogrodzili, co? Jak kozy na łące!

— Nie ma na nich mocnego.

Na czubku żółtej łysiny ojca spoczywała czarna mycka.

Chaskiel zniżył głos i uprzedził:

— Jakby co, to schować się za firankę, bo tragarze szykują skok i za małą chwileczkę będą tutaj.

Tupnął na dwa zasmarkane szkieleciki, swoje najmniejsze pociechy, biegające po ulicy z gilami do pasa.

— Rojżełe, Surełe, a sio! Już was tu nie ma. Ewentualnie, radzę odsunąć się od okna, Fremde.

Właśnie; a kiedy wołała, błagała, żeby nie wystawiał na darmo głowy pod kule, to udawał głuchego. Ojciec zatrzaskał z rozmachem okno.

— Już się zaczyna — i spojrzał niechętnie na matkę. — Murują, pilnują, szmuglują, tylko pomodlić się człowiek w spokoju nie może! Aś!

Długa drabina uniosła się wysoko, jak we śnie.

Rozkołysana zatoczyła łuk w powietrzu i zanim wsparta została o mur, już Kiepełe piął się po szczeblach do góry, za nim — Aron Jajeczny. Kiepełe szybko zdjął bluzę i przykrył uważnie ostre drzazgi szkła rozsypane u samej krawędzi, na trwałe zalane cementem. Z okien pierwszego piętra widać było złamany daszek czapki, kolorowy szalik na gołej szyi, a wyżej koszulę wyłazącą ze spodni. Tymczasem wybiegać poczęli zewsząd tragarze i w pustej uliczce rozległy się ich krótkie, zduszone okrzyki. Z przeciwnej strony szli kupcy z workami mąki, soli. Włokąc ciężary po bruku, zgięci, oglądali się z obawą na boki, porzucali towar pod murem i biegli z powrotem. Stacho Żeleźniak zaciął konia i odjechał pustym wozem. „Jazda, droga wolna! Jazda, jazda!” Rozstawione daleko wzdłuż muru grupy wyrostków „na świecy” nagliły kupców wołając, młynkując ramionami. Stojący wysoko tragarze z rąk do rąk po szczeblach drabiny podawali sobie worki żywności aż na sam dół; paru stało na chodniku, w

bramie, chwytając ciężary czule i ostrożnie. Od szczytu muru miarowe postępowanie niosło się ponad ich głowami, ramionami zastygłymi w wysiłku na niebie — i cichło, ginęło w głębi kamienicy.

Na pierwszy gwizd oddalanej „świacy” odezwały się inne, bliższe, jedna drugiej posyłając ostrzeżenie. Już tragarze rzucali sobie w ramiona ostatnie worki, już długa drabina sunęła na ich barkach w głąb podwórza. Biegł z łoskotem podkutych butów patrol, zaglądając do bram.

Wymiotło zaułek do czysta i nie wiadomo skąd, w głuchej ciszy rozległo się rozpaczliwe wołanie:

— Worek! Trzymaj, sypie się... Worek, worek!

Żandarmi ze śmiechem pociągnęli w kierunku wachy. A po pewnym czasie:

— Fremde — usłyszeli cichy okrzyk. — Fremde! — A kiedy ojciec podszedł do okna, Chaskiel-stróż stał na swoim miejscu.

— Już można. Po strachu. Z wielkiej chmury mały deszczyk. Byle chuda żydowska koza nie mogła szczytnąć sobie trawki. Tak, nikogo nie capnęli, tylko tragarze coś mówią, że jakiś niewinny łepiek oberwał w czapę, kiedy akurat szedł przez wachę. Z przepustką!

Przestawił miotłę wspartą o ścianę. Zresztą nie zawadzała mu w rozmowie. Z troską śledził skrzyżowanie, które na powrót ożywiło się ruchem spieszących przechodniów. Rojzełe stanęła przy nim i szarpnęła za spodnie.

— Tate, daj troszkę karbidu. Jankiel czeka.

— Z przepustką! Nie mógł sobie wybrać innej pory? Oj, ludzie, kiedy oni zmadrzeją... Rojzełe, powiedz mu, już idę... Fremde, podobno w gazecie stało, że mamy się rachuciachu pakować i jechać na Madagaskar.

— Co takiego? — Matka była wyraźnie niezadowolona. — Znowu przeprowadzka?

— Już się zaczyna — wołał ojciec i zamykał okno. — Madagaskar, Madagaskar, powariowali wszyscy czy co? Już nie można tego słuchać! Potąd mam — i palcem przeciągał po szyi.

— Tee, inteligencja w kuble moczona. Porozmawiać po ludzku z człowiekiem nawet nie może. Tfu!

— Na Madagaskar, a kiedy? Czy to całkiem pewne?

Jankiel Zajączek wybiegł z suteryny i stanął przy stróżu, wpinając igłę w kołnierz fartucha. Z ulicy dobiegał głos Chaskiela:

— Rojżele, Surele, a sio!

Getto podziało na Dawida przygniatająco — zgiełkiem, chaosem, bezładnym ruchem wśród krętych i ciasnych zaułków; krążył wokół placu Grzybowskiego, wzdłuż Ciepłej, Ceglanej, Prostej i na Walicowie, unikając dróg kończących się nagle u strzeżonych wylotów ulic. Ale gdziekolwiek się obrócił, tam wyrastał przed nim mur. Hełmy strażników trzęsły się w szybkim biegu. Trącony w popłochu dzwon odzywał się o niespodziewanej porze i zdradzał uciekinierów. To na placu Grzybowskim, niedaleko wachy, wznosiła się po dawnemu kaplica dla przechrztów i tutaj, w głębi nawy i na chórze, kryli się szmuglerzy ścigani przez żandarmów. Niemcy strzelali na oślep, seriami, prosto w okienka dzwonnicy i stada dzikich gołębi unosiły się stamtąd w powietrze. Niebo było jasne, a biała chmura tkwiła w miejscu, nieporuszona, kiedy suchy trzepot skrzydeł już przebrzmiał w uszach. Idąc wąskim, ciasnym tunelem obmurowanej uliczki wydostał się na otwartą przestrzeń placu Żelaznej Bramy i ujrzał czuby starych drzew w Ogrodzie Saskim, jak widok z innego świata. Przystawał tu często, bez

żadnego celu. Wracając do domu mijał wózki pchane przez szkielety, po dwa w zaprzęgu, z wyszczerzonymi zębami — w kierunku Hał, gdzie wśród poufałych targów z policją i Niemcami dokonywał się za okupem codzienny przeładunek towarów bławatnych i skór na furgony konne, które opuszczały o zmierzchu dzielnicę, a kupcy ukryci w bramach odprowadzali je z daleka uważnym spojrzeniem. Na kwadrans przed wybiciem godziny policyjnej miasto leżało martwe i ciemne.

Potem, nabrawszy odwagi, stanął pewnego dnia na drewnianym moście. Ujrzał omnibus konny, żółto-niebieskie pudło na kołach przypominające wóz cyrkowy, nowy środek lokomocji w tej części miasta; żebraka, który tam w dole, zawsze w tym samym miejscu, z lamentem rzucał się pod riksę, gwałtem wyłudżając jałmużnę od rozpartego na siedzeniu pasażera. Patrząc z wysoka, cierpiał, a serce ściśnięte miał zdumieniem i goryczą. Stąd śledzić mógł swobodnie ruch aryjskich tramwajów sunących Chłodną i Wolską poza obrębem getta. Wszędzie w pobliżu posterunków krążyły szajki przemytników, tragarzy, kupców lub zwyczajnie zabiedzonych, wycieńczonych wyrostków, oczekujących, kiedy trafi się okazja, aby przebiec bezkarnie za mur i zakupić żywność albo sprzedać — krążącym za linią wart paskarzom — choćby koszulę ściągniętą z pleców, która tutaj nie przedstawiała dla nikogo wartości kromki chleba.

Brzękiem żeliwnego garnka, przesuwanego z irytacją na blasze, witała matka dzień.

— Na, masz — mówiła. — Jedz! Zatkaj kałdun i idź do tych przechrztów na Sienną. Jak długo mecenas Czerniatyński ma wołać szanownego majstra do kanapy? Wołać, prosić. Tym staniem w oknie chleba nie wymodlisz u nikogo, Jakow.

— Czerniatyński! Mecenas. Też coś. Czerniatyński wrócił na

stare podwórko i znów nazywa się Szwarz.

— Niech mu będzie. Ale ja nie o tym mówię. Tylko że tobie się nie spieszy do roboty.

— O wa, robota. Ja mam powlec starą podartą kanapę za dwa zgniłe głąby brukwi, które spadły przezchrzcie ze stołu, a ona mi w oczy mówi, że to się nazywa robota.

— Pop swoje, chłop swoje.

Nożem skrobała dno garnka, ze złością obracając naczynie w dłoniach, usuwając spaleniznę.

— Robota tyle warta, co zadowolenie z roboty.

— Ecie-pecie. Słyszę to stale, już mi uszami wyłazi.

Ojciec przysunął się chciwie do brukwi i wdrobił kawałek zeschniętego chleba, a potem zamieszał łyżką.

— A tak. Jak z rąk wypuścisz coś gotowego, masz na chleb, masz na zupę, masz na piątkowego śledzia. Wtedy — siorbnał — warto się pomodlić, żeby znów nie zabrakło roboty do samego piątku. A jeśli Żyd raz w tygodniu śledzia na swoim stole nie widzi?

Mówił do matki, ale patrzył prosto w oczy Dawidowi.

— Znowu. On mnie zagaduje jak złodziej stróża.

— Ja w tym domu już uchodzę za złodzieja?

Uderzył się zwiniętą dłonią w piersi z całej siły.

— Ja!

A potem spuścił z tonu:

— Ja?

— Jakow, Jakow, tym wiecznym staniem w oknie chleba nie wymodlisz. Rzuć tańes, zamknij Torę. Od kiedy taki Lewita z ciebie? Nie wiesz czasem? To ci powiem. Straciłeś smykałkę do roboty. A ja nie brałam sobie za męża rabina, tylko tapicera i niech mnie ukatrupią tu, w tym miejscu, gdzie stoję, jeżeli

kiedykolwiek pragnęłam czegoś więcej!

— Aś!

— Pomieszanie z poplątaniem. Po co mi to? Nie wiesz czasem? Koniec świata, głód zagląda przez okno do każdego domu, a mężczyźni ze strachu zamienili się w kapłanów. Modlą się. Modlą się i śpiewają psalmy.

— Aś!

— Wyrzuj na ulicę i zobacz, że to zajęcie dla żebraków. Modlą się ci, co nie mogą inaczej zarobić na kawałek chleba. Wszyscy inni pracują albo kradną. Albo kradną i pracują. Amen. Takie czasy, a Pana Boga zostaw, nie szarp za kapotę, bo i tak założył ręce. Nie śni mu się nawet mieszać do tego całego bałaganu. Jakow, ty się doczekasz, że zostanę goła i bosa. I ty, i on. Wszy uciekną nam z grzbietu razem z koszulą.

A na to ojciec już nie mówił nic; w pośpiechu przełykał ostatnie kęsy zimnej brukwi i otrząsał się. Brukiew była mdląca, słodka, przemarznięta i zakrzepła w garnku poprzedniego dnia. Wyszli na ulicę czując tę brukiew w brzuchu, jak połknięty kamień.

— Dawid. wróć. Opaska!

Rozłożył szeroko ręce i białe płócienko frunęło z okna i upadło na stragan. W niedużych przyzmacz leżał tam opał, połupane szczapki drzewa, odrobina węgla, garść koksu, a na boku, osłonięte brezentem przed wilgocią, okruchy szarosinego karbidu, którym oświetlano domy. Głos Buby-przekupki, strzegącej, by ogień nie wygasł na Krochmalnej i na Walicowie, miarowo basował urywanym lamentem żebraków.

— Do drzewa, do koksu! Do karbidu, tylko u mnie. Do drzewa, do koksu.

Ujrzał wszystko razem, opaskę, swoje wyciągnięte ręce,

przekupkę za straganem, rzucającą się ku niemu z krzykiem. Biegnąc za ojcem, który niknął na zakręcie, uśmiechał się pobłaźliwie. „Do karbidu... Ludzie, brońcie mnie! Złodziej, złodziej!” No, tego tylko brakowało. Kto skradł ogień? A kto ofiarował ludziom światło? Było to w dawnych, dawnych czasach i nagi człowiek tańczył z radości przed roznieconym stosem. Ogień skradł Prometeusz, bo tak powiedział prof Baum. Lampę naftową wymyślił Łukasiewicz, żarówkę elektryczną Edison, ale kto ważniejszy? Gdyby Buba-przekupka zwinęła stragan, nikt tutaj nie miałby na czym ugotować obiadu.

Brudnym śniegiem prysnęło mu w twarz. Jadący pustą, rozpedzoną rikszą tragarz rzucił ostrzeżenie drugiemu, który mijał go pochylony nad kierownicą. Spuchniętymi żyłami, jak powrozami, skrępowaną miał skroń i rozdętą szyję. Przed nim, w miękko sunącym fotelu, spoczywał wygodnie pasażer, paląc papierosa.

— Uważaj na skrętach, ty!

A za skrzyżowaniem biegali przechodnie roznosząc nową wieść. „Sztrajfa idzie!” Ostrzeżenie padło z okna na piętrze i zapanował popłoch. Tymczasem z ulicy Chłodnej wymaszerował patrol i szybko, zwinnie strącał czapki z głów Żydom mijanym wzdłuż Żelaznej, nakłaniając, by usuwali się z drogi, w porę schodzili na jezdnię i, zgodnie z rozporządzeniem władz, grzecznie kłaniali się Niemcom. Na wszystkich padł blady strach: stać czy uciekać? Zbili się w stado. Przechodząca kobieta posadziła dziecko w wykuszu i zaczęła krzyczeć. Jak nie otworzą jej okna, wybijie szybę! Dziecko fikało nóżkami na wysokości parteru, uśmiechnięte.

Wynurzyły się dwa otwarte auta z ulicy Prostej, skrzyły na hamulcach w Żelazną i teraz wolno mijały murarzy. W

pierwszym siedzieli rozparci oficerowie w porozpinanych beztrosko płaszczach. Błyskały szkła, ordery, lakierowane rzemienie mundurów, srebro akselbantów leżało na ramionach jak spadły świeżo śnieg. Mówili donośnie, krótkimi skinieniami głów i ramion wskazywali mijane wyloty ulic getta, śmiechem kwitowali lęklive ukłony czapkujących przechodniów.

— *Getto sehen und sterben!*

— *Nicht wahr?*

Śmiech, okrzyki:

— *Hoch! Hoch!*

— *Hoch, er lebe! Noch ein mal!*

— *Hoch!*

Rozwiewały się smużki dymu spomiędzy ich palców, a oni odwracali się rozbawieni. W drugim wozie szofer z zawadiacko nasuniętą na ucho furazerką uderzał pięścią w klakson i wołał:

— *Der König. Mützen ab! Jüdisch König!*

Za nim siedział martwo starzec w futrze zapiętym po samą brodę, wsparty oburącz na lasce, i niemy, blady, patrzył nieruchomo przed siebie, w głąb szarej ulicy. Wozy jechały wolno, coraz wolniej.

— Widzisz, Dawid. To Czerniakow, sam prezes Czerniakow jedzie.

Tego poranka miasto było białe od śniegu, czarne od błota. Murarz pchnął taczki na chodnik, z rozmachem potracił przechodnia i wylał mu wapno na nogi. Z brudnym ręcznikiem owiniętym wokół szyi — stary Żyd stał w osłupieniu. Uniósł powalane spodnie i odsłonił chude pizszczele. Ostrożnie brnął przez błoto oglądając przemoknięte gałgany, stanął na boku i cierpliwie otrząsał się z wilgoci, a kiedy uznał, że dosyć, splunął na kamienie i odszedł.

Auta minęły ich.

— Nie ma co oglądać. Chodźmy — i ojciec podniósł z ziemi worek z narzędziami i zarzucił sobie na plecy.

Objazd murów trwał dalej. Ale prezes Czerniakow nie był owym wyniosłym starcem, który przyciągnął wzrok Dawida, tylko mężczyzną w średnim wieku, niepozornie kręcącym się w samochodzie obok starca z laską. Ojciec jeszcze zwlekał, cofnął się do bramy, znów wyszedł. A Dawid widział jego czujne, szybkie spojrzenia, które szukały znaku, ostrzeżenia, kiedy stał tak pośrodku ulicy staczając ze sobą walkę i daremnie wzywając na pomoc uśpione przez czas atawizmy. Ale co się tam znowu dzieje? Dawid poczuł, jak po wystygłej i mdlącej brukwi robi mu się niedobrze. Patrol zatrzymał się w miejscu.

— *Mütze ab!*

Kobieta porwała dziecko siedzące na murku i przycisnęła mocno do piersi, zasłaniając mu oczy.

— Boże święty, ludzie, nie wiecie, za co ten Niemiec tak bije?

— Żyd czapki nie zdjął.

Plama żywej krwi ciekła po brudnej ścianie. Przed patrolem Niemców stał niemowa i bełkotał bezradnie ze strasznym pytaniem w oczach. Krew ciekła mu z ucha na twarz i za koszulę. Pchnięty, zatoczył się na mur i niedołącznie wysunął przed siebie rękę, a żandarm zaczął bić tę rękę, jakby żyła oddzielnym istnieniem. Granatowy wyjaśnił coś Niemcom z uśmieszkiem i karzące ramię sprawiedliwości zawisło niezdecydowanie w powietrzu. Otoczyli go ciasnym kołem, przyglądali się ciekawie. Nagle, wśród rozradowanych okrzyków, zaczęli go szarpać, popychać, aż przewrócili niemowę jednym kopnięciem, a on czołgał się koło ich nóg, wił, uchylał od uderzeń kurczowymi skrętami ciała. Kiedy rozstąpili się, leżał na ziemi i stękał cicho.

„Weg, Schwein!” A wtedy posłusznie wstał i kulejąc, z ulgą pobiegł do tłumu zatrzymanych przed wachą, ocierając z twarzy krew, pot. Ktoś z ukrytych w bramie powiedział cicho:

— Miał szczęście. To mogło gorzej się dla niego skończyć.

Tam, przed wachą, był cyrk pod gołym niebem, czynny cały dzień. Arena otwarta pośrodku miasta, gdzie schwytni przechodnie odbywali kary, zgodnie z fantazją zmieniających się wart. Starcy w czarnych chałatach raczkowali po śniegu i błocie, a wypięte zadki obdzielał kopniakami ochoczy, młody strażnik. Z anielsko cierpliwym uśmiechem na twarzy, trzymając w pogotowiu broń, obchodził uważnie szeregi, bił, uczył porządku i poprawiał błędy. Pokracznymi, żabimi susami uciekali przed nim, sapiąc. Padali w błoto i zastygali z rozrzuconymi nogami. Inni na rozkaz zawodzili psalmy i słowa modlitwy niosły się ulicą. Składali trzęsące się palce i wyciągali w górę, wznosząc oczy ku niebu, mrużąc je lękliwie, kiedy ręka żandarma targała kosmyk brody. Wzbudzało to uznanie i wybuchy szalonego śmiechu zatrzymujących się na ten widok patroli.

Krwaworączka stał z boku i wskazując młodego strażnika wołał do nich rażno:

— *Kraft durch Freude!*

— *Jawohl.*

Jarmułki leżały w błocie. Żydzi leżeli w błocie, a jakiś chłopak nakłoniony energicznie przez strażnika usiłował bez skutku stanąć na rękach. Padał, obrywał po twarzy za niedołęstwo i znów fikał nogami w powietrzu. A tymczasem starcy czołgali się po mokrych kamieniach wzdłuż rynsztoka, zrzuciwszy na komendę okrycia i buty; w obawie przed kopniakiem potulnie zanurzać musieli brody w śniegu, kiedy strażnik pochylał się nad nimi i ostrzegawczo potrząsał bronią.

Krwaworączka dał nowy rozkaz i wszyscy zerwali się z miejsca.

Westchnienia uciekały w powietrze białymi smugami. Sine, stulone dłonie błędziły niespokojnie. Drżały, przyciśnięte do piersi. Przemoczone kosmyki włosów zakrywały twarze, a oni, rozciągnięci w bezładnym szeregu, zastygli w oczekiwaniu na komendę, połączeni wspólnym dygotem. Niegłośny szept przelatywał między nimi, kiedy powtarzali słowa modlitwy. Był wśród nich reb Icchok, Jankiel Zajączek, Awrum, syn Chaskielastroża, i Fajwel Szafran, przesiedleniec. Reb Icchok mdlał i leciał im przez ręce ze zwieszoną głową. Awrum chwycił go wpół, a Fajwel ujął ramię rabina i przerzucił sobie przez kark. Reb Icchok uniósł się wyżej i jego bose stopy zawisły bezwładnie nad ziemią.

Nagle jęknął ktoś i jęk ten przerwał ciszę; Rywa ścisnęła pięściami skronie, kiwała się do przodu i do tyłu. Rozległy się głosy innych i w jednej chwili tłumem dygocących postaci wstrząsnął szloch, jęk, niesamowity śmiech, skowyt. Krzyku przestraszonych Niemców nie było wcale słychać, tylko widać było ich otwarte do krzyku usta; daremnie potrząsali bronią i po dwóch strzałach dopiero zaległa cisza.

Krwaworączka zdjął hełm i otarł pot z czoła.

— *Genug davon!*

Patrol szybko odmaszerował.

Tego grudniowego dnia miasto było białe od śniegu, czarne od błota. Brudne światło mżyło z pochmurnego nieba na tłum schwytyanych. Suche jak kość twarze niewyraźnie bielały w szarówce, wisiały w mglistym powietrzu. Nabrawszy rozpędu tramwaj z hukiem przeciął skrzyżowanie i usunął ich sprzed oczu, a kiedy przemknął — na środku pustej ulicy stały trzy kobiety.

Rywa, matka Awruma, nieśmiało wyciągała do strażników

ręce. Regina Zajączek i Estusia Szafran, przegięte boleśnie, nachylone ku sobie porozumiewały się cicho. Ich oliwkowe czoła zetknęły się, a one ze smutkiem, lękliwie podnosiły ku starcom oczy pełne cienia.

Pod ścianą skupiła się gromadka dzieci o pozółkłych pyszczkach, które przypatrywały się schwytanym. A w kamienicy nad wachą Żyd martwo siedział za szybą w oknie, przekrzywioną głowę złożywszy na dłoni.

Po zmianie warty żandarm bez werwy popędzał schwytanych. Ziewał patrząc na nich. Ostatnie zmory unosiły się na kolana, niemrawo i bez sił. Sunąc ślepo, sztywno przebierając bosymi stopami szli ku sobie, by ująć się za ręce. Wyrostek, któremu kazali stawać na rękach, leżał już bezwładnie, rozrzuciwszy nogi jak pajac. Rozległo się naraz ciche, ostrożne wołanie:

— Panie ziandarm, można już stać? Panie ziandarm?

Żandarmi stali odwrócenii mierząc ulicę martwym, szklistym wzrokiem. Granatowy pokazał wyrostka złotemu, zaśmiał się hałaśliwie i stuknął palcem w czoło.

— *Man spricht davon. Es fällt mir schwer das zu glauben.*

— *Eisernes Kreuz? Ihm geht alles nach Wunsch. Eisernes Kreuz!*

— *Mein Gott, jeder hat sein Kreuz zu tragen.*

— *Ja, ja, mit Eichenlaub.*

— *Ach wo!*

Głosy strażników mijały się w mglistym grudniowym powietrzu, u wylotu strzeżonej ulicy.

Ojciec ogarnął długim spojrzeniem mur, wachę róg Żelaznej i Chłodnej, którą należało starannie omijać w takie dni, ogarnął spojrzeniem cyrk żandarmski i schwytanym Żydów, którzy wiedząc, że nikt nie pospieszy im z pomocą, z rezygnacją wili się

na bruku, usiłując zachować należyłą odległość od butów strażnika; ogarnął spojrzeniem tablice ostrzegawcze, których przybyło ostatnio na tym odcinku, i wylepione wzdłuż muru bliźniacze afisze, afisze strzegące niemo bezpieczeństwa obywateli GG — JUDENVIERTEL REVIER IST GESPERRT EINTRITT VERBOTEN, już po tamtej stronie; ogarnął spojrzeniem opustoszały teraz most, chybotliwe rusztowanie z desek ociekające błotem, któredy nie odważył się nikt przejść w takie godziny — a potem przyciągnął Dawida krótkim ruchem ręki położonej na ramieniu, na szyi, i to zimne dotknięcie kazało mu wstrzymać oddech.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](https://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/).

III

Na podwórzu, w sinym świetle sączącym się na śnieg z zaciemnionych okien, banda Barucha Oksa dawała żebraczy koncert. Długi Icchok i Baruch Oks krążyli po kamienicy z czapkami w rękach. Chór, ciasno skupiony kłęb łachmanów i wszy, poruszał się miarowo, przytupywał drewniakami, sapał, pokaszliwał, kołysał się w miejscu za podmuchem cichnącej przyśpiewki. Mojsze Połamaniec kulił na mrozie i oddechem ogrzewał suchy kikut. Miał sztywną rękę, powyginaną w stawach, o palcach skarłałych i krzywych. Henio Śledź pluł, pryskał śliną z mokrych ust, a jego spuchnięta z głodu szyja i głowa, pękata jak gliniany garnek, chwiała się ociężale do taktu. Syn starej kupcowej, właścicielki beczki śledzi, którą zimą i latem podtaczała pod browar, czuwając tam z długim wyszczerbionym widelcem w dłoni. Mundek Buchacz postękiwał, myczał niewyraźnym basem. Ociężały dryblas o barach tragarza, prawa ręka Barucha Oksa, od małego okazywał złe skłonności i w dzieciństwie już zasłynął kradzieżą we własnym domu, rabunkiem ślubnych obrączek rodziców. Gdzie te czasy, gdzie złote obrączki? Gdzie starzy Buchacza? Ziemię gryzą. Przed nim mały Mordka Caban w rozmarzeniu przymykał oczy. Trafiał do szajki Barucha Oksa już za murem, kiedy tyfus wybuchł w rodzinie. On i z nim Kuba Wałach. Piał drżącym, rozmodlonym głosem, gotowy wzlecieć za melodią. Puchnący z głodu Josele, przezywany Żółtko, bezgłośnie poruszał wargami z wyrazem cierpienia w wypukłych, żabich oczach. U nich to

rodzinne i zmarły na tarczyce piekarz Laban, jego ojciec, tymi samymi oczami mierzył klientów u siebie w piekarni na Wroniej podając im chleb. Chaim Sierotko, bez przezwiska, tylko wyciągał szyję.

Siedmiu ich było; oto wszyscy. Którzy trzymali z Baruchem Oksem, szli za nim w ogień i wodę.

— Nie tak, nie — narzekał Chaskiel-stróż. — Wyciągaj nutki, wyciągaj!

Wykrzykiwali stare żartobliwe przyśpiewki, od których drżały kiedyś i mrugały pogodnie jasne płomyki świec na obrusie. Dawid, idąc za ojcem, na krótko przymknął oczy.

Melodie świąt! Szeleszczą wonne gałęzie, liście szałasu, a przez szczelinę zagłada gwiazda. Ciotka Chawa wynosi z domu doniczkę z palmą. Zielono, świątecznie. Wszyscy odwiedzają wszystkich i tłoczą się ze śmiechem do małej kuczki. Świeca wypłasza z kątów cienie. Pod stropem wiszą łańcuchy, kwiaty, festony na sękach. Dziadek siedzi na chwiejnej ławie i składa ręce, bezdźwięcznie klaszcze. Wuj Szmuel śpiewa cienko, a ojciec i wuj Gedali basem. W ciepłym zmierzchu rozlega się melodyjka, rozciągnięta smętnie i wykołysana w krtani, a potem żartobliwie wykpiona soczystym klaśnięciem języka. „Cziri-bim, cziri-bam, cziri-bim-bam-bam-bam, aj-aj!” Chrypiąc, świszcząc — śpiewała teraz banda Barucha Oksa w ciemności.

Ojciec przystanął, sięgnął do kieszeni i wypalił ze stróżem jednego papierosa.

— Wszystko rąbią, wszystko siekają. Na jedno kopyto — biadał Chaskiel. — Rach ciach ciach, poszedł Wicek do wojska.

Kupiec Mordarski na pierwszym piętrze zatrzasnął szybko swoje uchylone okno. A na czwartym piętrze rozległo się rozpaczliwe wołanie:

— Buba! — I stary kuśnierz Juda Papierny, któremu odjęło nogi, kazał córce przysunąć bliżej fotel, na którym drzemał całe dnie.

— Łachadojdo, ty! — Stróż wskazywał palcem Chaima. — Mógłbyś trochę nadać miechy i przyłożyć się, kiedy widzisz, że inni za ciebie gardła zdzierają.

— Ty, ty — groził z góry Juda Papierny.

Chaim Sierotko tylko wyciągał szyję.

— Dość, szczeniakeria — wołał kupiec Mordarski. — Za dużo tego dobrego!

Rozległ się trzask otwieranego okna i z pierwszego piętra na śnieg spadły suche skórki chleba luźno zawinięte w gazetę.

Twarz matki wypłynęła z mroku sieni, przykryta fałdą chusty nasuniętej krzywo na oko. Chwiał się i prostował mały płomyk. Postawiła kubek, uniosła wyżej świeczkę i osłoniła ostrożnie dłonią.

— Doczekałem się, nareszcie. — Naum siedział w palcie i suwał butami pod stołem.

Ojciec zgarbił się, zakręcił i nie zdejmując kapoty nalał wody do lampy. Biały płomień buchnął z sykiem zwilżonego gwałtownie karbidu. Opatrzył lampę, zatkał blaszany zbiorniczek i w roztargnieniu potarł czoło. Ręce zaciskały się same. Ukrył twarz i kołysał się lekko. Dawid klęknął na parapecie, koc powiesił na hakach, zaciemnił szyby i zszedł. Siedzieli wszyscy w milczeniu za okrytym szczelnie oknem, dysząc ze zmęczenia i przeżykając na dźwięk poruszonych na blasze naczyń.

— Tak dłużej już nie może być, Jakow. Albo ty, albo ja.

— Do kogo to mówisz, Naum. Czy ty masz aby wszystkich w domu?

— Mam. Jeszcze mam.

— To pozdrów ich ode mnie z całego serca.

Matka z garnkiem buraczanki podeszła do stołu i popatrzyła uważnie na ojca. Spocony kosmyk włosów leżał płasko na czole. Zawinęła włosy za ucho. — Najpierw przełknij coś ciepłego. Na!

Ojciec starannie omijał wzrokiem Nauma.

— Przecież to koniec. Mów, ile chcesz za wózek — nalegał Naum. — No, ile? — Urwał, czekał.

— Nie — pisnął Dawid.

Ojciec uniósł głowę znad miski. Popatrzył na niego, pomilczał. A potem powiedział:

— Głos słyszać, osoby nie widać. Cicho.

— Człowieku. — Naum obrócił dłonie i potrząsał nimi, a każdy palec kurczowo zakrzywiony.

— Yhy, dobra.

— Masz oczy i uszy. Widzisz i słyszysz, co się wyrabia.

— Jestem głuchy i ślepy. Nic nie widzę. Nic nie słyszę.

Otworzyły się drzwi i wiotkim, pajęczym krokiem wsunął się Jankiel Zajączek. Długie ramiona załamał ruchem lękliwej prośby.

— Masz fach i kawałek chleba, a ja puste ręce — mówił Naum. — Sam wiesz dobrze, jak jest.

— Nie wiem.

Chrząknięcie.

— Czy można? Co? Ja do was. — Jankiel Zajączek wykonał dwa małe kroczyki i znalazł się w kręgu światła. Ruchliwą twarz siekły szybkie błyski szkieł — Co słyszać, a? — Wpiął w kołnierz fartucha igłę, którą trzymał w palcach. — Nic nowego? U mnie też nic nowego. Zapomniałem, zapomniałem na śmierć, z czym ja do was. Aha.

Za jego plecami stał z uśmiechem wuj Gedali, kładąc palto na skrzyni przy drzwiach.

— Ale z czym ja do was mogę przyjść? Wiadomo. — Jankiel zdjął drucziane okulary i chuchnął w nie głośno. — Małeńki kawałek karbidu. — Milczeli, a on długo i starannie przecierał szkła. Naga twarz wyciągnęła się. — Tak by mi się przydał, aj. Dobrzy ludzie, pożyczcie jeden mały kawałek karbidu.

— Jeden? Na pewno jeden? Jankiel?

— No, dwa kawałki. Niech już będzie. — Z niepewnym uśmiechem spojrział na Nauma. — Szyję, a tutaj lampa gaśnie. Co robić? Mówię do Reginy: „Regina!”

Matka westchnęła. Odwróciła się i długo szperała w kącie za skrzynią, gdzie trzymali resztki opału, odrobinę węgla, drewnienka na rozpałkę, garstkę karbidu w ceratowym woreczku.

— Więc mówię do Reginy: „Regina, dolej wody.” I wtedy się dopiero okazało, że nie ma do czego dolewać. Aj, co za kłopot. Aj, co za wstyd. — Oburącz przycisnął do fartucha karbid. — A za to uszyję małemu nowe spodnie. Żeby miał i żeby nosił, na zdrowie.

— To które już będą? — pytał ojciec. Pytał krawca, ale patrzył na wujka stojącego cicho w drzwiach.

— A?

— Spodnie.

— Spodnie? Nowe.

— Nowe?

— Całkiem nowe. Cajgowe.

— Jankiel, zrób mu lepiej łątę na łokciu. Popatrz okiem majstra. Na nim sterczy piątek spod soboty.

— Zrobię. Musowo.

— Bo ja zakładam sklep z obiecanyimi spodniami. Jankiel,

twoje przyrzeczenia są wielkie i puste, jak... dziurawy worek, w którym zawiązana jest wieczność świata.

— Dziurawy? Czy ja mówię, że cały? Dziurawy, niech będzie dziurawy. Nawet powinien być trochę dziurawy. Przez te dziury nocą pokazują się czasem gwiazdy.

Matka wilgotną ścierką przetrąła krzesło i stanęła obok.

Wuj Gedali ścisnął ramię krawca, który zatrzepotał łokciami trzymając oburącz garstkę karbidu — i usiadł przy stole zsunawszy niedbale czapkę z czoła. Podniósł garnek stojący na cegle, zajrzał do środka. Młasnął. Odstawił z powrotem na środek.

— Tak.

Potem ojciec:

— Tak, nie inaczej.

A po chwili milczenia wuj Gedali:

— Wszędzie to samo.

— I dalszego ciągu nie ma.

Wuj Gedali wykonał nieokreślony ruch. Wyrwało mu się długie westchnienie.

— Byle do wiosny.

— Łatwo powiedzieć, Gedali. Już ledwo się czołgam od piątku do piątku.

— Módl się więcej, módl — i matka plasnęła mokrą ścierką w kąt. — Twoimi modłami napalę pod blachą. Włożę je do garnka, a potem napcham ci pusty brzuch.

— Cii, cicho, kobieto. — Ojciec chrząknął rozgniewany. Nastąpiła cisza przerywana posapywaniem matki i hałasem przesuwanych wściekle naczyń. — Jak tam Szmuel? Co u niego?

— Dobrze się ma. Handluje. — Wuj Gedali pochylił się i kiwnął na krzesło.

— Czym? — Ojciec zmarszczył brwi.

— Nie znasz go? Szmuel wieczorem skrzyżuje ogórek z drutem kolczastym i zanim zardzewieje, rano sprzeda za jeża.

— Widzisz, widzisz — mówiła szybko matka. — Każdy coś umie, tylko ty jeden naciągasz podarty taśes na oczy!

Wuj Gedali spojrział na matkę i znużonym głosem powtórzył:

— Szmuel nie zginie, bądź spokojny. Łapie motyle i wymienia na świnki.

Motyle miękkim, bezszelestnym lotem barwią zieleń ogrodu. Zastygają w omdleniu lekkie skrzydła, uginają się pod ciężarem wiotkie kielichy. Czułki owadów błędzą w ich wnętrzu pełnym kosmatych pręcików i złotego pyłu. To ogród pana Hrybki. A tam, przy płocie, pan Hrybko przegania wieprzka, który rozepchnął racicami, ryjem zmurszałe żerdzie i rozradowanym chrząkaniem wypełnił mały warzywnik.

Ale Dawid wie, że o czym innym mowa. Motyle to są miękkie. Świnki to twarde. A wujek Szmuel kupuje dolary i sprzedaje. Wymienia banknoty na złote ruble.

— Też dobrze. W sam raz interes. — I ojciec pochmurnie powiedział: — Przed wyjazdem.

— W ciepłe kraje. Tymczasem, czekając na dobrą nowinę, zajął się handelkiem i źle na tym nie wychodzi. Ale wszystko do czasu.

— Dobra nowina — powtarzał ze złością ojciec. — Dobra nowina, żeby on tak zdrów był.

Jankiel Zajączek ręce miał zajęte.

— Nowiny, pogłoski. Głowa od tego pęka. Żebracy roznoszą z ulicy na ulicę byle co. A kto im każe? Wczoraj przybiega do mnie Chaskiel. Co tu daleko szukać, znacie już Ajzena. I woła, że ma dobrą nowinę. W gminie leżą wypisane paszporty. Dla każdego

Żyda, Żydówki po jednym i pół na dziecko. Dasz w łapę, pojedziesz pierwszy. On do mnie z tym, że mam się długo nie namyślać, tylko przez niego wyrabiać paszport i miejsce, i jeszcze przed wielkimi mrozami, w pierwszej kolejności jechać kajutą ekstra klasa z ogrzewaniem i z wodą bieżącą. Żydzie, co mówisz, ugryź się najpierw w język. Gdzie ci to wszystko naopowiadali? Jaki uczciwy Żyd w tym macza palce? A on mi na to, że w gminie. Sami uczciwi Żydzi się tym zajmują i prowadzą uczciwe rozmowy z władzami. Jaki uczciwy Żyd prowadzi z hyclami rozmowy? Od kiedy uczciwy Żyd prowadzi z hyclami uczciwe rozmowy? Nie wiesz czasem? Tak ja mu na to. Widzi, że nieni. Zakręcił się, poleciał na pierwsze piętro, do Lerchów. Wasz sąsiad, ten muzykant, może da się nabrać. Kto z amerykańskim paszportem przyjeżdża do rodziny przed samą wojną? W ostatniej chwili. I zamknęli mu szlaban przed nosem. Teraz co? Ani w te, ani we wte. Muzykant? Osioł! Taki, nie wiadomo, może hyclom uwierzy. Zapłaci.

Zaległo milczenie i białe smugi oddechów przecinały się w zielonym świetle karbidowej lampy.

— A co ja im dam? Weskę spod kołnierza? Mogę, czemu nie. Tylko pytanie, czy taka waluta hyclom odpowiada.

Naum odezwał się:

— Duży spryciarz wlecze na sznurku małego spryciarza. Mały spryciarz szturcha głuchego we śnie i budzi.

Lampa z wolna przygasła. Wuj Gedali:

— Gdzie jest wielki strach, tam musi być wielki głód, a gdzie jest wielki głód, tam muszą być brudne interesy. Judenrat zafundował miastu chudą kozę, kuchnię gminną dla nędzarzy, ale wymię schnie i rąk, które wyciągają się do dojenia, z każdym dniem przybywa. Ci sami, co chodzą tam z garnczkiem po

polewkę, biegają i na każdej ulicy podnoszą gwałt. Oni muszą już wierzyć we wszystko! Przed Wielkanocą zwariował z głodu człowiek i zaczął wołać, że jest Eliaszem prorokiem. Żyd z Leszna. Uparł się, został Eliaszem i mamy nowego proroka. A ilu od Wielkanocy zmarło na Lesznie z głodu? On żyje, podobno z jałmużny. Wszyscy wiedzą, a pogłoska krąży dalej. Zbliża się koniec świata, kiedy chodzi wśród żywych prorok Eliasz. Kogo ucieszyć ma pogłoska o końcu świata? Niemcy raz-dwa sfotografowali wariata z Leszna i puścili kawał do prasy. Nazajutrz wszyscy wrywali sobie gazetę z rąk. Żydowski prorok na obczyźnie. Nieźle, co? Dali mu buty, więc na jednym obrazku jest w butach. *Im Winter*. A na drugim bez. *Im Sommer*. Żydowski prorok zimą i latem, tak wygląda. Za te buty... Nic darmo! Za te buty biegał i pokazywał miejsca, gdzie Żydzi nielegalnie się modlą. A czego więcej Niemiaszkom trzeba? Teraz, co złapią Żyda na modlitwie, polewają wodą i każą mu tańczyć na śniegu. A nie, to biją.

Jankiel Zajączek trzepotał łokciami.

— Aj, niedobrze.

Naum poruszył się na swym miejscu i powiedział:

— Jak tak dłużej potrwa, to już długo nie potrwa.

Ręce ojca błędziły w roztargnieniu po twarzy. Odjął je od skroni; potrząsnął lampą i płomień karbidu rozjarzył się z donośnym poszumem oswobodzonego gazu. Szeptem zaczął:

— A tutaj uciekinierzy mówią, co się tam po miasteczkach wyrabia. Wierzyć się nie chce i włosy stają na głowie.

Dawid spojrzał na żółtą łysinę, okoloną kłaczkami krótkich czarnych włosów.

— Uwierzyć w najgorsze? Każdy chwyta się byle pogłoski, jak tonący słomki. Uwierzyć? Zmorom, chodzącym z morom.

Nagim i bosym zmorom. Gnieźdzą się po ciemnych kątach i stamtąd dochodzą straszne krzyki. W sieniach, na strychach, w piwnicach. Po ciemku. Nie meldowani i bez kartek. Boją się swoich i obcych, wszystkich. Uciekają na widok człowieka. Patrzyć na to nie można. Umierają, zanim ktokolwiek dowie się od nich prawdy.

Na podwórzu rozległo się wołanie Awruma, syna stróza:

— Ej, tam! Pierwsze piętro, Fremde, Lerch, Mordarski! Drugie piętro. Drabik! Czwarte, Papierny! Zaciemnić.

— I po chwili:

— A nie za dużo tego światła? Sura, Fajga, całe trzecie zasłonić. Jeszcze, jeszcze! Świeci się jak na Chanukę. I żebym nie musiał powtarzać.

Ojciec wstał i podszedł do okna. Wyjrzał ukradkiem przez uchyloną ostrożnie szczelinę. Wzdłuż framug przeciągnął ręką po zawieszonym kocu i coś tam poprawił. Wrócił.

Krzyk:

— Zaciemnione?

— Taa jest, zaciemnione!

Brama trzasnęła.

— Mówią... ale o tym cicho sza — i Jakow zniżył głos, a Gedali, Jankiel, Naum wyciągnęli przez stół szyje. — Prorok może swobodnie chodzić miastem i ogłaszać ludziom koniec świata, a co wyrabiają zbiry w całym kraju, o tym zabrania się pary z gęby... Mówią, że z dymem puszczają bóżnice, całe wsie, miejsciny, a Żydów bez dobytku i łacha na grzbiecie pędzą w pole. Kaza kapłanom samym znosić rodały i tałesy, składać na stos, polewać naftą i podpalać. Psy wypuszczają na rabinów, żeby skakali żwawo przez ogień. Ustawiają starców kołem i wznosić im kaza psalmy przed pożarem. Lonty zapalone

przytykają małym chłopaczkom do pejsów i rzą z uciechy. — Ojciec skubnął wuja za rękaw. — To się u nich nazywa wymazać niesprawiedliwość.

Jankiel Zajacek położył karbid na stole. Wolne ręce wyciągnął przed siebie. Wykrzyknął:

— Co jest? Co ma być?!

— *Sonderaktion*. — Naum znów się poruszył. — Ten świat stanął na głowie i wariat ma używanie.

Ojciec uspokajał ich unosząc miękko dwa złożone palce.

— Cii.

— A kto mówi, że ten malarzyna — rozgniewał się raptem Jankiel — nie dostał już dawno gruntownego pomieszania zmysłów? Malarz pokojowy, tfu, paskudztwo! Ja od początku mówiłem, to nie chcieli mi wierzyć. Ani Chaskiel, ani Mordchaj.

Wuj Gedali wyprostował się na krześle, popatrzył na krawca, a potem w górę.

— Jak tu można odróżnić obłąkanego w tłumie morderców? Nie wiem — powiedział i bezradnie rozłożył ramiona.

Smagłe czoło zalśniło, przełamany hardo nos wysunął się do przodu. — Urządził sobie Hycler duże, duże przedstawienie w naszej kochanej Europie i Żydzi zapłacą koszty — mówił Naum. Węlniste włosy, twarde i kręte, grubym pasmem opadły mu na skroń.

— Cii, cicho — powtórzył ojciec i spojrzął na niego surowo.

Przychodził od lat do warsztatu i skubiąc trawę morską gadał z ojcem o polityce. Pokój czy wojna? Kurz wzbijał się pod sklepienie wsparte na żelaznych szynach i słońce ledwo się tam wdzierało — w chaos wiórów, narzędzi, trawy morskiej wznoszącej się stromymi zwałami wzdłuż ścian. Naum wskazywał je jak stopy martwych ciał. Nie interweniować, niech

Hiszpania wykrwawi się do końca. Ale żaden żołnierz włoski nie wyszedł za Pireneje, póki Franco nie dokonał rzezi. Nie interweniować, niech Hitler wejdzie do Nadrenii, przyłączy Austrię, przekroczy Sudety. Można przyłożyć rękę do rozbioru Czech. Urządzić zamieszanie na granicy, kiedy flota niemiecka pcha się przez Bałtyk i łapu-capu zagarnia Kłajpedę Memel.

— Cii.

A kto następny? Po Nadrenii, Austrii, Sudetach, Kłajpedzie? Ach tak, już dzieci się na tym poznały. Co krzyczą gazeciarze na ulicy? Wiadomo. W takiej chwili wódz woła na cały kraj, że nie odda guzika od koszuli. Oj, ten guzik. A może Polska jest warta więcej? Zobaczymy, Hitler nie powiedział ostatniego słowa. Tymczasem wesoło. Ani masła, ani armat. A w ciągu czterdziestu ośmiu godzin konnica polska wjedzie do Berlina. Dobrze, co? Kogo chce oszukać minister Beck? A Chamberlain, dlaczego podpisał układ w Monachium? Jutro ten sam los spotka Anglię i Francję, ale wtedy będzie za późno.

— Cii.

Briand w Locarno pokazał Niemcom drogę na wschód. A jak jutro zechcą pójść na zachód? Traktaty? Świstek papieru, który faszyści w każdej chwili mogą podrzeć. Ribbentrop ma ich wszystkich w kieszeni — i gra na zwłokę. On nie wypuści ich z garści. Ma czas. Gadali o polityce, kurz wydobywał się ze skubanej trawy morskiej i ulatywał oknami, a matka stawiała na stole obiad. Pokój czy wojna? Zbliżał się wrzesień, miesiąc pogody i czystego nieba, miesiąc nagiej inwazji, która przeciągnęła nad ziemią w zgiełku nalotów i w popłochu ucieczki, w bełkocie bezradnych komunikatów radiowych, w piwnicznej ciemności, gdzie szukali schronu. Przy świeczce matka szyla tampony przeciwiperytowe. Kiedy zawyła syrena,

motorniczy zatrzymał wóz i z tramwaju wysypali się pasażerowie, wbiegli na podwórze i szukali klozetu. Siusiali na chusteczki i przykładali do nosa; tamponów nie używał nikt. Przez wyłuczone okna rozlegał się równy, martwy głos spikera w ciszy opuszczonych pięt. Z zasypanych kamienic wypełzały na miasto grube szczury. „*Warschau kaputt!*” Z nieba leciały ulotki, bomby, sypały się suche liście na skwerze. Potem miasto kapitulowało, Niemcy wkroczyli i urządzili defiladę z orkiestrą, obcięli Żydom brody, wydali gazetę, rozporządzenia. Kartki na chleb i w ogóle. Pokój czy wojna? Jedni mówili, że skończyła się wojna, drudzy mówili, że dopiero zaczyna się wojna, ale póki ojciec nie wróci z niewoli, nie będzie wiadomo nic.

Dolar skoczył, chleb podrożał. A życie ludzkie staniało i co dzień padały ofiary pogromów. Niosła się rozpaczliwa wieść o deportacji, rozgłaszana przez żebraków, i znaleźli się tacy, którzy uwierzyli pogłosce. Coś podobnego, za morze? Wszyscy potracili głowy. Ojca nie było i Naum, zamiast ojca, tarosił go za uszy. W popłochu powtarzał plotki. Jedziemy na Madagaskar? Wyglądało to na żart; Dawid szukał w starej geografii. Madagaskar, Madagaskar... jest! Zamieszkują go Malgasje, klimat gorący i wilgotny, główne miasto Tananarive. Tymczasem wrócił ojciec i powiedział, że Nauma otumanili. Nauma, wujka Szmuela, ten również w każdą kaczkę wierzy. Komu będzie się chciało wieść Żydów taki kawał drogi i do tego zimą? Wszystkich nas to samo czeka. Dostał odłamkiem w żebro, wylizał się jakoś i uciekł z transportu jeńców gubiąc po drodze bandaż. Był na froncie, swoje wie. A całe miasto w panice powtarza byle co. Szwabom sami sobie wierzcie, jak chcecie. O, znowu! Naum w drzwiach wyciągał z kieszeni srebrną cebulę i patrzył, która godzina. Biegał stale zdyszany. Pakować! Nie ma

chwili czasu do stracenia. Matka kładła nocne koszule do walizki, pościel ugniatała kolanem w wiklinowym koszu i zamykała na małą kłódkę; później zakłopotana otwierała. Resztę — ubranie na siebie, żywność do plecaka. Ale miednica, szczotki i prymus? Co za los. Kiedy Naum wychodził — ojciec trącał toboły. Ma to zaraz rozwiązać. A matka nie chciała.

Kiedy już cała kamienica spakowana. Ludzie siedzą na walizkach przed rychłym wyjazdem za morze. Dzieciaki biegły na ulicę patrzeć, czy już. Och, jak im się przykrzyło. Ojciec bezradnie rozkładał ręce: co się z wami wszystkimi wyrabia? Matka powtarzała swoje. Każdy mąż wraca z wojny bez głowy. Nawet jak go nie ustrzelą, nie ten sam. Ojciec długo bębnił palcami w szybę. Za oknem rosły mury getta. No i stało się. Jeden myślał tak, drugi inaczej, a co miało przyjść, bez pośpiechu przyszło swoją drogą. I kto miał rację na ostatku? Nikt.

Wiklinowy kosz na bieliznę przypominał Dawidowi wszystkie przewodniczki, jakie mieli za sobą, i wyspa Madagaskar tonęła w chmurach i rozpaczy. Żeby tak podróżować bez bagaży! Ostatnie przenosiny, ze Srebrnej — za mur, odbyły się pewnego deszczowego wrześnieowego dnia i trzymano ich na mieście od rana do późnej nocy, a kiedy dotarli na miejsce, toboły, ubrania i sprzęty trzeba było długo wyzymać i suszyć. Praojciec Noe tak nie zmókł na wodach potopu. Trasa wyznaczona była z góry, a ulice przejazdu strzeżone. Towarową ciągnęli do Pańskiej i przeciąwszy biegiem Żelazną pomaszzerowali Twardą, zakręcili w Ciepłą, dalej Grzybowską szli noga za nogą w ciżbie do samej Granicznej, a po południu zatrzymali się tłumem na placu Żelaznej Bramy. Granatowy policjant otwierał walizki, długo macał poduszki i darł pierzyny. Stamtąd po paru godzinach

konwojenci przegnali tłum na plac Grzybowski, aby opróżnić miejsce dla następnych przybyszów. Czekali cierpliwie znosząc dopust wody z nieba, ulewę wściekłych i mylących komend, przekleństw, popędzani przez Niemców, potrącani przez przechodniów i pojazdy. Sprzęty spoczywały na dwukołowym wózku, wynajętym od owocarki Sury, z dyszlem i skórzaną pętlą na łańcuchu. Ojciec z rzemieniem na karku i plecach wytrwale garbił się przy dyszlu, z kroplami deszczu na żółtej łysinie — kapelusz stracił mu policjant rano u zbiegu Pańskiej i Wroniej — z postawionym sztywno kołnierzem marynarki, a obnażone łydki białały spod zawiniętych spodni. Odemknął się kosz przewiązany grubym powrozem, czerwony róg pierzyny sterczał spod koca, na wierzchu żeliwne garnki napełniały się wodą i mokła deska do zagniatania ciasta ze zmytymi śladami mąki. We troje podpierali wózek, żeby to wszystko nie runęło na bruk. Dawid patrzył z niechęcią, jak matka troskliwie poprawia i ugniata pościel pod kocem, dociąga mocniej sznury, chcąc uchronić dobytek przed zmoknięciem. Udawał, że nie widzi spojrzeń przechodniów. Cierpiał, było mu nieswojo i wstyd. Słońce pobłyskiwało przez chmury; niebo znów zaciągało się wśród żołdackich przekleństw. Deszcz lał jak na rozkaz. Na tym deszczu mienie zmokło i skurczyło się, dokładnie obejrzone przez konwojentów. Nocą weszli do tego swojego nowego domu i matka chwyciła się za głowę. Siekierą porąbane drzwi i futryny okien leżały w drzazgach, deski wydarte z podłogi pod ścianą, z pieca została sterta potłuczonych kafli. Dawid szedł ostrożnie, markotnie wśród śmieci, szczątków cegieł, którymi zasłana była rudera, kruchych placków tynku osypanego ze ścian czyjąś mściwą ręką. Kuchnia była w ruinie, a matka stała z czajnikiem narzekając. Jak ma przyjść Żyd, to wszystko można spalić. Jak ma przyjść Żyd, to

trzeba porąbać próg i zburzyć komin. Niech się przypatrzy temu i popamięta, inwalida wrześniowy! Ojciec cierpliwie zbierał i ciskał do sieni gruz i potłuczone kafle. Unosiła się nad nim chmura kurzu. Kaszłąc, spluwając krążyli schodami i usuwali śmiecie, których nie ubywało, a nazajutrz zrujnowana nora wyglądała jeszcze gorzej niż wieczorem. Ojciec zmęczony podszedł do zlewu, aby umyć ręce, ale wszystkie krany były pourywane, a wyloty rur zakrzywione i sklepane płasko młotkiem; stojąc z zawiniętymi po łokcie rękawami koszuli, usmarowany, z kłaczkami kurzu i sadzy we włosach, na brodzie — w całunie popiołu, kłął bez wytchnienia.

— Cii, cicho sza!

Jankiel Zajączek wspina się na palcach i obrócony w stronę okna potrząsa piąstkami krawca. Grozi nie wiadomo komu, głuchy na przestrogi. Skrzeczy:

— Grzeje ich ogień, w którym inni płoną. Ludzie! I nie boją się, że ich oparzy?

Czarny fartuch krawiecki uniesiony na krzywych plecach spływa luźno do ziemi.

— Cii.

Ale na Madagaskar nie zajeżdża się wózkiem, wynajętym od owocarki Sury, matki Elijahu. Tam jedzie się okrętem. Najpierw koleją, a potem okrętem. Syreny gwizdzą, maszyny sapią, z komina ucieka dym, kapitan przechadza się po pokładzie i pali fajkę. Kapitan Silver, stary znajomy. Jak się masz, kapitanie. „Piętnastu chłopca na umrzyka skrzyni, jo-ho-ho i butelka rumu!” Którędy na wyspę skarbów? Dawid stoi oparty o reling, patrzy w morze, ściska album znaczków pocztowych i dwie trójkątne Zambezi. Żadnych bagaży, walizek. Kosz wiklinowy i nieszczęsna czerwona pierzyna kołyszają się porzucone na wodzie.

Okręt rusza, a on zdziera z ramienia białą opaskę z niebieską sześcioramienną gwiazdą i ciska za siebie, bo tam dokąd jedzie, nie musi jej nosić. A tam, na wyspie pod tropikami — tylko Naum umie powiedzieć, jak będzie, i za to Dawid go kocha.

— Wyśmiać śmierć, a potem zadać śmierć. To — wuj Gedali zasłania oczy i mówi stłumionym głosem — to się w ogóle nie mieści w głowie.

Ojciec wstaje. Otwiera skrzynię, wyjmuje stamtąd list i podaje wujkowi. Spod uchylonego wieka Dawid widzi oprawy starych ksiązek, modlitewniki. Bieleją świąteczne lniane koszule i kaftany.

— Masz. Czytaj, co Hrybko pisze.

Naum unosi głowę i widać, jak jabłko Adama łagodnie porusza się w krtani. Jankiel Zajączek powtarza:

— Niemiecki humor, ciężki humor.

Wuj Gedali czyta list trzymając kartkę daleko od oczu, a mały arkusik drży w ciężkich rękach; i nie mówiąc słowa wychodzi z ojcem na schody. Naum odprowadza ich długim, uważnym spojrzeniem. Przez uchylone drzwi słychać niewyraźne głosy w sieni i krótki, zuchwały okrzyk Fajgi-przekupki, a tutaj mierzchnie światło lampy na stole, ciemnieją twarze i wydłużone cienie skaczą w daremnej ucieczce na ściany, kiedy matka poprawia płomień. Łokcie krawca poruszają się, usta żują cicho jakieś bezradne słowa. Naum siedzi zgarbiony, z pochyloną nisko głową, położywszy przed sobą dłonie. Grube pasmo wełnistych włosów opadło mu na ucho.

W której kieszeni Nauma ukryta jest srebrna cebula i tyka? Tik-tak, tik.

Dawniej, kiedy był mały, chwycił Nauma za spodnie. Na wieży kościoła też jest zegar. Wskazówki na jego tarczy

posuwają się szybko, chociaż mierzą ten sam czas. A dziadek przed modlitwą zawsze odkładał zegarek, bo nie można mierzyć czasu poświęconego w myśli Panu Bogu. Modlił się, a w tym czasie zegarek tykał sobie cicho na komodzie w drugim pokoju. Zegarów na świecie jest tysiąc tysięcy, ale czas jest jeden wszędzie. Tu i tam. Kiedy do piwnicy dotarł głos syreny, pewien pan powiedział: „Godzina czternasta zero zero. Co za punktualność!” To było odwołanie alarmu. Czy lotnik, który rzucił bombę, która wtedy upadła, też popatrzył na zegarek? Rzucił i poleciał lekki do domu. W każdym razie alarm został odwołany, bomba zburzyła kamienicę tylko do pierwszego piętra, a ten pan wbiegł na schody, pośliznął się i w ciemności złamał nogę. Okropnie krzyczał; nie można go było odwieźć do szpitala, aż odkopali ich ludzie z ulicy. Gdyby poczekał trochę, może by nie złamał nogi, tylko ktoś inny. Czasem zegarek się spieszy albo późni i nigdy nie wiadomo, ile czasu może trwać nalot i kiedy będzie odwołany. A gdyby syrena odezwała się trochę później, czy tamten pan złamałby nogę? A gdyby wcześniej, czy bomba by upadła? Ile czasu taka bomba leci w powietrzu? Teraz też mija czas? A nocą, we śnie? Tak gadają, gadają bez końca. Gadają i zapominają, że czas mija. Zapominają i pewno dlatego tyle gadają.

Naum ma interes do ojca. Czeka. Ojciec nie ma takiego dużego srebrnego zegarka jak Naum. Trzyma za to mundur w ukryciu. A kiedy wrócił z frontu, nosił długie do kolan saperskie buty.

Pamięta ten dzień. Był sam — łomotanie do drzwi warsztatu wdarło się nagle w zgiełk wszczętej potyczki, bo plemię czerwonoskórych wbiło właśnie topór na wojennej ścieżce — a przed nim otwarta książka, z której pierzchły ostatnie głosy. Rozpaczliwe walenie cichło i znów się wzmagало. Bał się pytać,

kto tam. A ujrzawszy twarz dziko zarośniętą, szarą i zapadłą, nie mógł powiedzieć słowa. Którędy? Dlaczego tędy? Później ukrywali obecność ojca przed stróżem i sąsiadami jeszcze pół roku, do dnia, kiedy załadować przyszło sprzęty na wózek i — pociągnęli za mur. Mundur spoczął w skrzyni na dnie, wśród starych ksiąg i świątecznej bielizny. Ale kiedy usłyszał łomotanie do zamkniętych na głucho drzwi warsztatu, pomyślał, że żandarmi idą, i gnany strachem wszedł w ciemność duszną i wilgotną, pełną woni trawy morskiej, potu i drzewa, żywicy, zbutwiałych mebli, pokostów, kleju. Wszedł tam, gdzie od miesięcy nie rozlegał się dźwięk młota, struga, piły, i potykając się o przewrócone kozły, wstając i znów padając na twarz, oszołomiony strachem i hałasem posuwał się po omacku przed siebie, aż do drzwi zapartych od wewnątrz ciężkimi żelaznymi sztabami. Wysoko, trochę za wysoko dla niego. Wyrwał je obiema rękami naraz z uchwytów, a potem odstawił z wysiłkiem na bok. Uderzenia za drzwiami rozlegały się blisko, głośno, przy samej twarzy. Ostatnie uderzenie było tym, które rozwarło na oścież drewniane, ślepe odrzwia tak nagle, że przewrócił się jeszcze raz i poczuł, jak zostaje uniesiony w górę, a nos szoruje mu broda żołnierza, który w nikłym świetle wpadającym tutaj z ulicy wyglądał dziko i obco. Wisiały na nim strzępy zgniłozielonego szynela. Obsypany był śniegiem ten szynel i twarz, a oddech był zimny, zimny i miał woń porzuconego żelaza, które długo rdzewiało w opuszczeniu i wiele razy wilgło na deszczu, i wiele razy zastygało na mrozie.

Co to był za dzień? Śnieg leżał pod nogami i trzeszczał radośnie, kiedy biegł do piekarni. Wszędzie biało i niebiesko. Powietrze drżące, skrzące się mrozem. Niebo wysokie, przejrzyste i — zanim uchyliło się, by trysnąć światłem

pierwszej gwiazdy — ulica, dachy, skostniałe drzewa wśród zasp, wszystko łagodnie i powoli siniało. Towarową, wzdłuż długiej ślepej ściany z surowych cegieł biegł jak na skrzydłach. Za torami o zmierzchu pokrzykiwali tragarze. Co powiedział Laban w zimnej, wygaszonej piekarni? „Dawidku, ten chleb kosztuje mnie życie.” I podał mu spleśniały, zieleniejący bochenek. Później księżyc płynął ponad miastem, ponad nim, kiedy wracał do domu podskakując, oglądając swe ślady na młodym śniegu. Było jasno, jak w blasku świec na białym obrusie.

Siłą zdzierał ojciec sztywne, czarne onuce i stękał z bólu. Siedział boso i jadł chleb nie wypuszczając noża z ręki, a głowa opadała mu ze zmęczenia. Spuchnięte stopy wisały podkurczone w powietrzu, pokryte skorupą krwi i błota. Długo to trwało, zanim odespał ucieczkę. Noc, dzień, jeszcze jedną noc i potem drugi dzień; połowe łóżko matka wstawiła do warsztatu, a kiedy z podwórza stukali sąsiedzi, uchylała niechętnie drzwi. Wszystko jej leciało z rąk. Dawid stawał nad śpiącym: bezbronne rozrzucone ręce wędrowały w górę, chwyciły koszulę na piersi. Darł ją pogrążony we śnie. Rzucił się, a w gardle wzbierał niewyraźny bełkot. Matka przykładała palec do ust, ostrzegając. Milczeć, nikomu. Dawid czuwając przy śpiącym — widział transport oddalający się torami w cichnym postukiwaniu kół na ośnieżonym pustkowiu, w zgiełkliwym ujadaniu konwoju, w szmerze słabych głosów: „Wody!” Przed nim leżał ojciec bełkocząc przez sen, a szynel matka troskliwie suszyła przy piecu przesuwając dłonie po podartym suknie. W tym szynelu o barwie przegniłego siana ojciec poszedł na front, dostał się za druty, uciekł z transportu. Uciekł i wrócił do nich, kiedy mieli go za martwego. Wrócił tutaj.

A Niemcy mówią, że miejsce Żydów jest na wyspie Madagaskar. Dlaczego matka rozpakowała kufer? Tymczasem syreny na okręcie wydały ostatnie słabe tchnienie, kapitan wypalił fajkę i rozkazał podnieść trap. Załoga na pokład. W drogę. Dawid szuka swojej wyspy. Otwiera klaser, wyjmuje długi błękitny znaczek, gdzie smukłe palmy gną się na jasnym piasku i powiewając liśćmi przyzywają statki z oddali. Starannie wyciera palce o spodnie i wyrównuje lekko zawinięty brzeżek znaczka. Brak ząbka, kancera. A kiedy unosi i oddala od oczu wąski skrawek papieru, wtedy widzi maleńki, mglisty obłoczek światła. Prześwietka, na nic. Musi czym prędzej wymienić kancerę na brązową Australię z kangurem. Eli taką ma. Kangurzyca nosi małe w worku i biega z szybkością pociągu, chociaż Australię za piętnaście centów prawie każdy może mieć. Ale kancery lepiej się pozbyć, skoro nie pojedą na Madagaskar. Elijahu zgodzi się chętnie na wymianę. Namawiał Dawida już dawno, jeszcze przed wojną.

Wionęło chłodem z sieni i w nagłym podmuchu pochylił się płomień karbidowej lampy.

— Zamknij drzwi, bo przeciąg — woła matka. Tupot Fajgi, postukiwanie stołka wleczonego niedbale po schodach oddalają się w górę na trzecie piętro.

Wuj Gedali mówi:

— Na Wielkanoc wstał od sederu w połowie i nie mógł dokończyć „Le szana habaa be Jeruszalaim”.

— Przyszłego roku w Jerozolimie, a teraz zamknij drzwi do tej nory! Ledwo można w zimnicy usiedzieć.

Wujek Gedali i ojciec z ociąganiem wracają.

— Schnie, marnieje. Z trudem wlecze nogami i czyta już tylko proroków.

— Prorocy! Dopóki czyta proroków, nic mu nie będzie!

— Jesteś taki pewny, Jakow — mówi matka nieruchomo patrząc przed siebie. — Że nic mu nie będzie.

Siedzi bokiem, sztywno wyprostowana, z czarną wełnianą chustką na szyi, i płomień barwi jasną plamą jej skroń. Wuj Gedali trzyma bezradnie list, którego się jeszcze nie pozbył. Ojciec schylony utyka gałgany w szparze między progiem i drzwiami.

— Dla małego — i wuj Gedali kładzie na stole nieduże zawiniątko, mały tałesik w sukiennym woreczku. — Kazał mi powtórzyć — mówi o dziadku ze smutnym uśmiechem. — Kazał mi powtórzyć, że małego trzeba wysłać na tamtą stronę, za mury. Nie trzymać przy sobie do sądnego dnia.

Ojciec zaciska dłoń na zawiniątku.

— Pchnę go na ulicę? Z czym? — Potrząsa tym, co trzyma. — Czytałeś list od Hrybki? No, to powtórz ode mnie, że małego nie puszczę. Do sądnego dnia! Jak tam Chawa?

— Chawa kaszle. Stęka, kwęka. Jakie ona musi mieć zdrowie. Szkielecik. Wszystko na niej wisi, jak na wieszaku. I ten szkielecik trzyma się samymi nerwami.

Matka zaciska usta i zasłania chustką. Wuj Gedali odwraca szybko twarz.

— To ja już pójdę — mówi Jankiel. — Czas. Do igły, do igły! — i znika unosząc karbid.

Dawid cichutko przewraca karty klasera i ogląda stare znaczki z nowym nadrukiem. GG i czarna szwabska wrona, spod której prawie nic nie widać. Śmiecie. Znaczki bez wartości trzyma osobno. Nie wiadomo; kiedyś mogą być rzadkością. Wie, że tak bywa. Ten klaser kupili z ojcem na Świętokrzyskiej i cały dzień łazili bez pośpiechu po małych sklepikach pełnych książek,

globusów, zakurzonych map, gdzie starzy sprzedawcy metalowymi szczypczykami unosili w górę rarytasy. Poruszony globus obracał się na ladzie i ukazywał ojczyznę znaczka. Kula ziemską posłusznie obracała się na cześć małego klienta, a w przezroczystych kopertach z folii zamęt wysp, zatok, mórz, miast, królów, zwierząt, maszyn oślepiął jaskrawymi kolorami oczy i przejmował dreszczem zachwytu, gorączką. Patrz, to nic nie kosztuje.

Takich dni było niewiele i wszystkie pamiętał. Ojciec prowadził go z sobą, mówił: „Patrz!” Wtedy było mu lekko i radośnie. Czas uciekał pomiędzy jednym i drugim ziewnięciem hipopotama, a oni szli wolno w trzepocie ptactwa, krzykach małych od rana do zmierzchu. Idąc ogrodem, w słońcu, wśród drzew Dawid oglądał swój album znaczków pocztowych. Biały niedźwiedź kąpał się dla ochłody w sadzawce, wynurzając z wody łeb; na poczcie w Nordkap miał starannie ostemplowaną łapę. Panował upał tego dnia, papugi skrzeczały i z ich dziobów sterczały ostre, spragnione języki, a stada tych papug fruwały na tanich Brazyliach sprzedawanych setkami, prawie na wagę. W klatce rył ziemię rudy lis, któremu ogon tylko powiewał z jamy. Spragniona wilczyca pochyliła się nad korytkiem rdzawej cieczy i, wężąc czujnie, ostrożnie gryzła wodę. Samotny flaming stał w miejscu, skrzydło osuwało się bezsilnie do płytkiej kałuży, gdzie tkwiła nóżka ptaka, krucha i cienka jak pręcik bambusu. Węże zwinięte przy grzejnikach drzemały, ryby omiatały wodę ogromnymi welonami i żarówka elektryczna paliła się w akwarium bez przerwy. Ojciec mówił, że zwierzęta te są w niewoli, tymczasem słoń rażno machał trąbą i szczerze opluwał ciekawskich, fruwały bukiety zwiędłych kwiatów, pęki zgniłych bananów, wiązki marchwi, arbuzy; wszystko to porywał i

zwijając giętką trąbę wrzucał do czeluści pyska. Trójkątne Indie ze słoniem w pozłocistym czapraku kosztowały w antykwariacie aż piętnaście groszy i leżały na honorowym miejscu pod szkłem. W pobliżu gnąca się miękko, aksamitna pantera sunęła bezszelestnie za kratami, tam i z powrotem do zmierzchu. Zaróżowiły się pierzaste obłoczki na długich żerdkach, które unosił pękami w górę przekupień u bramy zoo. Łał ukradkiem kapkę denaturatu na cukier, dla koloru. O zachodzie słońca minęła radość. „Wata cukrowa! Wata, wata!” Wirówka puszczone w ruch zgrzytała. Zabłyły pierwsze latarnie, zmięte bilety zaśmiecały trawę. Nerwowo galopował kucyk, obok stał poganiacz z długim biczem i skórzaną torbą na pieniądze. Lew przeciągnął się i gniewnie potrząsał płową grzywą z wysokiego masywu betonu. Dawid znużony włókł się u boku ojca sztywno stawiając nogi po zejściu z paradnie osiodłanego kuca, który wytrząsł go niemiłosiernie na ciasnym maneżu. Słyszał wieczorny zgiełk i trzepot uwięzionego ptactwa, smutne krzyki mały i pożegnalny ryk lwa.

Pamiętał pożegnanie lwa i jeszcze tamten dzień. Chmurą żuźlu kurzyły na wietrze tory, a oni szli Towarową wzdłuż ślepej ściany z nie otynkowanych cegieł, mijając afisze o mobilizacji. Z wezwaniem w kieszeni, ojciec zabrał Dawida na ostatni przed wojną spacer. Wymyślili razem rower smukły, srebrzysty, cały w opłotach błękitnych kabli hamulca, na cienkich i niezawodnych oponach, z trybikiem, który łagodnie szumi: szszsz, kiedy obrócić przekładnią wstecz. Składali ten rower część do części z marzeń Dawida, a nazajutrz ojca już nie było; powołany, wyjechał do swojej jednostki ciężkiej artylerii konnej pod Modlin.

Pamiętał pożegnanie lwa i jeszcze jeden dzień. Pierwszego tygodnia września, za miastem, na szosie w cieniu wysokich

drzew stały sformowane baterie. Koła dział tkwiły w kulach końskiego łajna, zwierzęta okryte grubymi derkami rżały łagodnie, a ich rżenie było jak nagłe zerwanie się wiatru nad rzeki, jak trzepot wróbli w koronach przydrożnych drzew. „Idź do Berga i odbierz dług!” Dawid widział ogorzały kark ojca w lnianej komiśnej koszuli, nogi uwięzione po kolana w juchtowych butach. Bateria ciężkich dział ruszyła we wrzawie komend i dzikich pokrzykiwań, którymi ludzie popędzali zwierzęta. Słyszał skrzypienie uprzęży, powolny i ciężki tupot perszeronów. Zady koni połyskiwały w zachodzącym słońcu, rzeka połyskiwała w słońcu, lufy niemych dział; i rozległ się raptem cichy śpiew żołnierzy, śpiew pełen gorzkiej brawury, a Dawid włókł się brzegiem rowu w kurzu. Matka już biegła, kurczowo uczepiona munduru. Kiedy kolumna ich wyprzedziła, ojciec odtrącił ją od siebie jednym mocnym ruchem i nie oglądając się pobiegł za swoim zaprzęgiem, a blaszane pudło maski przeciwiwiperytowej kolebało mu się nisko na plecach. „Idź do Berga!”

Kauczukowe przewody od tych masek nawlekali później w roku czterdziestym, czterdziestym pierwszym, drugim na kierownice wózków rowerowych: miasto zapełniło się tłumem bezrobotnych kulisów i w użycie weszła trójkołowa riksza. Okładziny te miały grube faliste nacięcia, miękko i pewnie leżały w rękach nie potniejąc i dlatego wszyscy ich poszukiwali. Komu z głodu nie puchły ramiona i nogi, mógł jeździć, wyciskać z siebie pot, pchać pasażerów i towar. Cóż, ludzie byli tańsi niż konie. Tak spełniło się marzenie Dawida, jak wszystkie inne w życiu; lekki rower sportowy, który pragnął mieć, los zamienił w ociężały i ociekający smarem wehikuł kulisa, na którym ojciec woził ciężary do spółki z Naumem. Riksza, sporządzona z niskiej ramy spiętej ze skrzynią zawieszoną na twardych resorach,

służyła wytrzymałe do końca, tylko stare gumy siadały na skrętach i musieli je wulkanizować bez przerwy, łąta na łącie, ale to niewiele pomagało, bo były zdarte i zbutwiały jak przepocona skarpetka. Naum wniósł do spółki dwa zapasowe koła na grubych oponach Dunlopp. Kiedy z hukiem strzału karabinowego kicha detonowała na środku ulicy i pasażer podnosił wrzask, ojciec zjeżdżał na bok i cierpliwie znosząc złorzeczenia wymieniał koło. Przybywało z dnia na dzień łąat na dętkach, odcisków na dłoniach; jednego wieczoru przychodził do nich Naum i rozliczał się z zarobków, nazajutrz ojciec szedł do niego odbywszy ostatni kurs. Tak to trwało tymczasem.

— Ty śpisz, Dawid? Co się z tobą dzieje?

— Nie, nie.

Tarł oczy zawstydzony. Już wuj Gedali żegna się z wszystkimi. Wstać, szurnać nogą i podać rękę. Ale jakiś ciężar gniecie mu kark i czuje zdrętwiały policzek na lepkiem stole. Uszy ma gorące, po nogach ciągnie chłodem.

Twarz ojca, zielona w świetle karbidu, pochyła się nad nim, wielka i smutna jak księżyc. Słyszy ich głosy; ale co mówią? Słyszy kroki wuja. W sieni, na podwórzu. A tutaj w uszach szum odpływającego snu, straszny szloch matki.

— A co ja do tego garnka włożę? Głowę pokroję i włożę?

Ojciec chowa list, trzaska wiekiem skrzyni. Naum odsuwa od siebie miskę i rozkłada na stole brudne, przepocone banknoty. Ociężałe, sztywne ręce poruszają się powoli.

— Jaków, słyszałeś krzyk głodnego przez sen?

Milczenie. Karbid dopala się z burzliwym sykiem. Naum przykłada dłonie do oczu i tak siedzi z zakrytą twarzą.

Co? Dawid wytrzeszcza oczy i szuka na ścianie koło drzwi domowego potwora: wielkiej, oszronionej plamy wilgoci, która

z dnia na dzień zmienia kształt.

— Ja mam w domu dwa tyfusy. — Naum powoli opuszcza dłonie. — A ty masz z tym wózkiem tylko kłopot.

— Już, już — mówi matka. Z hałasem przesuwając garnek na blasze. — Kupować, sprzedawać, handlować gruszkami na wierzbie.

Naum przegarnia zwitek pogniecionych banknotów i „młynarki” rozsypują się szeroko na stole.

— Pojeżdżę tydzień, dwa sam... i cię spłacę, Jakow. Za te grosze nie wyżyjemy oba razem.

Matka ciska pogrzebacz do kubła.

— Łapu-capu! Rozpędziochy dostał.

— Ile? Spłacę.

— Nie — szepcze Dawid bez swojej woli. Czuje, jak ogarnia go znów sen. To mówi on czy ktoś inny? Ojciec odwraca się:

— Ryby i dzieci głosu nie mają. Cicho.

Naum idzie do drzwi, z wahaniem przystaje w progu z ręką na klamce.

— Grosze, grosze. Cały ten interes na resorach.

— Na połamanych resorach — dodaje ojciec.

— Spłacę cię i szybko znajdziesz sobie lżejszy kawałek chleba.

— Nie, Naum. Nie! — podnosi głos. Szyby brzęczą. — Nie! A jak znajdę lekki kawałek chleba, to ci powiem!

Odsuwa matkę od zlewu. Pije wodę podstawivszy usta pod kran. Długo przętyka. Krople ściekają po zarośniętej, szarej twarzy. Odwraca się na ostatek uspokojony. Ziewa, ściąga koszulę. Jutro skoro świt jemu wypada jechać na miasto.

Matka pochyła się nisko. Wtyka do butów wyprane grube wełniane skarpety.

Gasi karbidówkę wilgotną dłonią, jakby gasiła świecę. Wynosi rozpuszczony, syczący karbid razem z lampą do sieni, aby w nocy zwietrzył do reszty.

Stęka.

— Buba trzyma opał, karbid w piwnicy. Tam wilgoć. Wczoraj znalazła dwa zdechłe szczury.

Ziewając zasypiali; cicho, nie skrzypnąwszy nawet, otworzyły się drzwi.

Jedno słówko, koniecznie!

Przednią lewą oponę trzeba grubo nasmołować i napuścić smaru w osie. Łańcuch sam skrócił już o jedno ogniwo. Łańcucha można nie ruszać. Na to ojciec odparł dobrze. Zrobi się. Smar ma. I trochę smoły też się znajdzie.

Naum wyszedł. Matka powiedziała:

— Widziałeś go, jaki współnik? Sprzedaj mu guzik od koszuli, bo sam, dzięki Bogu, chodzisz goły.

Ojciec przewracał się na łóżku niecierpliwie.

— Aś!

Dawid zasnął kamieniem. Kręciło się koło, wirował szary kurz. Ulice sunęły jak otwarte groby. Czyj ciężar dźwiga, nie wiedział. Przykrył zwłoki gazetą, spod gazety wypełzła wesz i wolno, wolno zbliżała się ku niemu. Żelazną do Żytnej, tam zbłądził. Na ulicy jama czerniała, a nad nią pochylone postacie. W jednym porywie uniosły się ramiona i twarze zwróciły ku niebu powleczoneму ciemną chmurą. Wszędzie, na każdym skrzyżowaniu zamęt drogowskazów. „Madagaskar.” Którędy na Okopy? Wesz rosła, a on nie mógł uciec, zatrzymać rozpedzonej rikszy. „Uważaj na skrętach, ty!” Wysunęło się spod gazety zżółkłe ramię i Naum wskazał koło. A tam, pod kołem, utknęła matka zamotana w kłębek gałganów. Głowa obijała się o

kamienie stukając. „Synku, nie zostawiaj mnie tu samej w noc ciemną.” O własnych siłach, sama czołgała się na Okopy? Wszyscy tam ciągnęli, tłumem. Teraz widział wyraźnie. Wesz rosła, jarzyła się żółtą poświatą, jaśniała blaskiem ogromnym. „Nie!” Nie, to słońce, słońce z nieba trupim światłem zalewało świat.

— Nie!

Krzyknął, usłyszał swój krzyk i wtedy się obudził. Leżał w ciemności i ciszy, przerywanej mocnym biciem własnego serca, i nie mógł usłyszeć oddechu matki. Ojciec spał powalony zmęczeniem konia. Jej noce bez snu wlokły się ulicami jak skarga głodnego żebraka, który woła o chleb pod zamkniętą bramą. Uniósł głowę. „Gite menszn, rachmunes!” Wołanie konającego widma na kamieniach w ciemności i jęk.

Ryms, ryms. Trzask podkutych butów, strzał. Kroki, jakby oddalającego się patrolu. Cisza; tamten głos nie dręczył dłużej spoczywających, teraz sam spoczywał bez skargi.

Usłyszał, jak matka ostrożnie odwraca się z boku na bok, wzdycha. Ostatnia myśl dopada podstępnie, kiedy już nie broni się przed snem i za późno jest, by ją odepchnąć. Długo wytrzyma? Chucherko, schnie z głodu i strachu, a czuwanie nocą wykańcza raz-dwa...

Jadł. Jadł bez przerwy i opamiętania. Już połknął dwie opony rowerowe Dunlopp, srebrny zegarek Nauma i garstkę karbidu. Zgiełk się uczynił, lament, kazali mu to wszystko oddać. Jankiel Zajączek wyciągnął igłę. Groził? Z palca kapąła krew, kropla po kropli. Czyj krzyk unosił się nad miastem? Żydzi ciągnęli tłumem na Okopy. Znów stał przy wózku, na wózku wygodnie oparty siedział Naum. Podawał każdemu rękę: pasażerowie wsiadali. „Nie ma chwili czasu do stracenia!” Ruszyć, dalej. Dawid

potniał ze strachu, szarpany, potrącany przez tłum. Śnił, myślał, że śni; i nie przestanie ich wlec do dołów na Okopy, póki trwa ten sen, koszmar, życie.

Opuszczające łachmany umarłych wszy, wszy uciekające rojnie z zimnych, sztywnych ciał, wpełzają mu na twarz.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](https://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/).

IV

Ledwo można związać koniec z końcem, a tutaj odbierają jeszcze człowiekowi obrok.

Kiedy już nie było kogo wozić dryndą, Mordchaj Sukiennik wyporządził ciężarowy furgon i poszedł za radą krawca Zajączka do Judenratu, do samego prezesa Czerniakowa, a prezes Czerniakow krzyczał, że jest zajęty, ma większe sprawy na głowie i żeby nie wpuszczać do niego ludzi z byle czym. Z byle czym? Chodziło o Sabę, lada dzień wyciągnie kopyta. Odprawiony, wrócił znów. Ma czas, poczeka. A potem chodził do gminy z samego rana, siadał w poczekalni i cierpliwie czekał na pana prezesa. Z batem w ręku.

Nie dziś, to jutro. Jeździł na koźle trzydzieści lat, całe miasto go zna, woził nawet panny Lewin w Aleje, Anielcię i Dorę Lewin, proszę to sobie wyobrazić. Wiosenny dzień, ulice czysto wymiecione, Dora Lewin w kostiumie z jasnymi dodatkami i przypięty biały kwiat. Świat się uśmiecha, obrok jest tani. Obok siostry Anielcia Lewin i żyć się chce. Pończoszka na niej cieniutka, koloru opalanej nóżki, kwiecista sukienka z francuskiego jedwabiu, siedemnaście złotych metr, rękawiczki zamszowe, a na główce słomkowy kapelusz z podniesionym rondem. Słońce świeci, dorożka jedzie nie za szybko, w Alejach szum. Wszyscy oglądają się za córkami starego Lewina, lekka sukieneczka powiewa nad kolankiem Anielci, a Dora z trzaskiem otwiera torebkę z krokodyla i płaci bez mrugnięcia dwa złote za kurs. Lewin złotym był ojcem i niczego córkom nie brakowało.

Buciki najdroższe nosiły, tylko od Kielmana.

Woził pasażerów na dworzec, gości na wesela, na cmentarz swoją czarną, elegancką dorożką. A teraz co? Giemza. Mecenas Czerniatyński wpadał na chwileczkę do Kleszcza, a za postój pod kawiarnią dawał sałacie pięćdziesiąt groszy. A jak długo można pić małą czarną? Czerniatyński wpadał codziennie do Kleszcza przez dwanaście lat. Teraz, w takim ładnym mieście, nie można znaleźć człowieka, który ma życzenie przejechać się kawałek dorożką. Co jest? Życie zdrożało, chociaż takie tanie. Życie zdrożało, dolar skoczył na łeb, na szyję, a każdy, kto ma całą rękę i nogę, wsiada na rower i udaje chińskiego kulisa. Już nie ma miejsca dla koni na tym świecie. Ludzie ludziom służą za pociągową siłę. Koniec, tfu!

No i zatrudnili furmana przy transporcie brukwi do kuchni gminnej, gdzie żebracy za małą opłatą dostawali swoje pomyje, a sam pan prezes wręczył mu urzędowe papiery, kwit na obrok dla Saby i przepustkę z wroną. Nazajutrz kobyła stanęła na nogi i dała się zaprząć. Znow rażno podrzucała łbem, kiedy poczuła w pysku chłód zakładanego wędzidła, a Mordchaj pokrzykiwał w otwartych drzwiach stajni, pucował do połysku zad kobyły, w grzywę wplatał jej czerwoną wstążkę. Chabeta rżała w głębi ciemnego podwórza na usypisku zburzonej oficyny wołając konie z zielonych łąk.

— Mordchaj, widzisz mnie, zrucaj tu!

Suche, szerniałe drzewa sterczały na bruku, jak dziurawe parasole. Tłum szkieletów konał wyciągając ręce, a Mordchaj Sukiennik stał na wysokości swego kozła i przedzierał się tędy wśród lamentu. Latem, kiedy słońce dogrzewa, stary furman woził młode warzywa, zimą woził przemarzniętą i zgniłą brukiew.

O, zaprzęga, znów jedzie.

— Mordchaj, Mordchaj, strzelnij z bata!

Tup, tup, tup, tup, zbiegały ze wszystkich pięter owrzodzone szkieleciki, poruszone widokiem zwierzęcia na podwórzu, sapiąc, piszcząc, radośnie machając przykurczonymi ramionami. Kwitł już liszaj w ciepłe lata i rozległe jego festony porastały skórę. Sączyło się z blizn, a wyżarte pęcherzami wargi rozciągały się w szczerbatym uśmiechu. Rumień bujał jak chwast. Ropnie, szkarłatne plamy na szyi i tułowiu, wykwitły, uporczywa pryszczycza okrywały stygmatami wątłe ciałka, obrzękłe i niechętnie jaskrawym promieniem słońca. Głód nakładał swe brudne maski, zniekształcał twarze starczym grymasem, drążył spierzchniętą skórę. Mrużyły się oczy oślepięone słońcem i ropiejące powieki przymykały się kurczowo same, nadając im wyraz przebiegłości, zarys okrutnego i chytrego uśmiechu.

— Oj!

Biegli, już biegli. Rojzełe i Surełe, najmniejsze pociechy stróża, syn Awrum też. I Lejbuś, oczko w głowie Fajgi-przekupki. Popatrzeć, jak Mordchaj zaprzęga żywego konia. Biała chusteczka na głowie Surełe osłaniała nagą, pozbawioną włosów czaszkę. Kiedy chłopcy ściągali chusteczkę siłą, wybuchała strasznym płaczem. Lejbuś łuszczył się cały i z wolna porastał rybią łuską w miarę zasychania pęcherzy.

Do stajni zakradał się o tej porze trupioszary szkielet ze spustoszoną naciekami twarzą. Róża pełzająca puściła wykwitły wokół nosa, uszu i zalegała kark. Długi Icchok kładł się na słomie, kiedy już Mordchaj zaprzęgał do wozu.

Baruch Oks i jego banda podmacywali worek z obrokiem. Za Długim zakradali się do szopy, wyciągali paszę spod końskiego pyska.

Kobyła ucierała coś zębami z głośnym chrzęstem, parskając. Furkot wydobywał się z jej aksamitnych nozdrzy, a potem donośny, wysoki kwik:

— Ihooh! Ihiiii!

Furman dobrodusznie pokrzykiwał, płoszył bladozieloną smarkaterię tupotem ciężkich butów i zakładał chabcie uzdę, ładując całą pięść do pyska. Kobyła parskając jak smok. Kiedy uprząż była zapięta, orczyk na swoim miejscu, Mordchaj wołał wio i wyjeżdżał za bramę, a przekupki usuwały z drogi stołki i stragany. Banda z Krochmalnej biegła za furgonem, chwytając się desek, osi, sięgała po torbę z sieczką; pewnego dnia rzucili się wszyscy razem na wóz i rozdrapali w jednej chwili ćwiartkę owsa. Smagani batem, połykali ziarno i sieczkę szukając rozsypanych śladów otrąb, kiedy Sukiennik klnąc, spychając chudzielców na ziemię wydzierał im resztki podartego worka.

Podejść bliżej, pod kopyta? Lejbuś, zdrapując pęcherz, trzymał się wtedy z daleka.

— Lejbuś, ostrożnie, dziecko moje. Z daleka, rybeńko!

Wychylona z okna na trzecim piętrze, w różowej koszuli, trzymając zerwane ramiączko, Fajga-przekupka wołała.

— Wio!

Mordchaj Sukiennik stał na wysokości w zwinnych splotach bata, w skrach krzesanych podkowami konia na bruku i wydawał okrzyki, a Saba jeszcze raz wkraczała na drogę pomiędzy żebrzących, ostrożnie stąpając wśród rozciągniętych na kamieniach charłaków, którzy gasnącym spojrzeniem odprowadzali jadącego na tamtą stronę furmana. Cichł tupot kopyt, pisk osi, skrzypienie uprzęży.

— Mordchaj, Mordchaj, strzelnij z bata!

Wargi Saby były wiotkie, czarne i wilgotne, a prawe przednie

kopyto pęknięte. Był to stary koń, przedwojenny. Przed wojną jeszcze ciągnął czarną lakierowaną dorożkę. Przy koźle jarzyły się nocą dwie latarnie, wielkie i jasne jak księżyce. Taka właśnie była drynda Mordchaja Sukiennika, a numer miała 315. Można zobaczyć, stoi w stajni z podniesionymi dyszlami. Wewnątrz pierzyna w kwiatki, dwie chude poduszki, koc, bo Mordchaj tam śpi.

Lejbuś stawał w głębokiej zadumie nad zielonymi kulami łąjna, grzązł po kostki w stercie gnijącej słomy. Dawid wspinał się na stopień, z rozmachem kołysał martwym pojazdem i trzęsły się oszklone latarnie z niedopałkami świec, dygotał uniesiony dyszel. Ożywała naraz landara o dumnych i pokracznych kształtach, zakwefiona w czerni sukna, w czerni lakieru, skryta w pyłe za woalem przyssanych pajęczyn. Lejbuś wskakiwał na drugi stopień i z niepohamowaną, dziką radością darł się miotając ciemne zaklęcia. Une, due, rike, fake, zamilknąć, nabrać tchu i dalej, torbę, borbe, ósme, smake, jeszcze raz zaczerpnąć powietrza, żeby starczyło na długo, eus, deus, kosmateus, a teraz w napięciu wstrzymać oddech:

— Bakst!

Tą dorożką jeździła Małka do kina „Roxy” na ulicę Wolską. Przy niej Hrabia Grandi w bryczesach, z wąsikiem. Kopyta klaskały na asfalcie, zgrzani chłopcy nieśli z Kercelaka kupione gołębie karmiąc je z ust siemieniem, bzy wiedły rdzawo za kratą zakaźnego szpitala przy zbiegu Młynarskiej, a po drugiej stronie ulicy Rudolf Valentino mrużył oczy w uśmiechu. Dwa razy ją zawiózł do kina i już była jego. W dorożce, pod naciągniętą budą, cieniutkie czarne wąsiki muskały od niechcienia mosiężny kolczyk. Hrabia Grandi to syn Papiernego, kuśnierza z czwartego piętra, któremu jeszcze przed wojną odjęło nogi; Loniek jest

przyrodnim bratem Buby-przekupki. Na Pawiej wszyscy znali Hrabiego Grandi, a na Krochmalnej Lońka Papiernego. Kiedy włożył żółtą opaskę OD-mana i chwycił pałkę, mogli się przekonać, jakie ziółko z niego. Juda Papierny, chociaż sparaliżowany, uniósł się w łóżku, złapał ciężki kryształowy wazon. Loniek uciekł w porę. Wazon wyślukł szybę i z trzaskiem gruchnął na podwórze, a syn kuśnierza poszedł z domu jak stał. Buba szlochała, na schodach stali ciekawi. Juda Papierny krzyczał, żeby nie puszczać za próg tego łajdaka, ponieważ on nie ma syna i nie chce go znać. Awanturował się, stłuczone szkło leżało na asfalcie, Hrabia Grandi jechał już z Małką do kina „Roxy”.

Taki był początek romansu — koniec nastąpił w rok później, jak Małkę ukąsiła tyfusowa wesz i za kilo cytryn dostała się na Czyste; wyszła z lecznicy bez włosów, ostrzyżona do skóry i Hrabia Grandi nie chciał jej odtąd znać. A kto ją chciał znać? Jawiła się o zmierzchu, jak ćma. Ciemności cerowały dziurę w pończosze, kryły niechlujnie rozmazaną plamę szminki wokół ust, złamany obcas, rozchybotane spojrzenie, małe uszy przekłute blaszanym kolczykiem. Przed bramą stoi cieć i pędzi dalej, na rogu policjant strzeże porządku. Pod latarnią jest najciemniej. I tam stoi; jedną rękę wsparła na biodrze, w drugiej ręce papieros. Koniuszkiem pantofelka opiera się niedbale na bruku i widać wywinięty obcas.

— Eus, deus, kosmateus... bakst!

W stajni była koza, na której furman gotował. I siano, i stare rzemienie, i odświętna uprząż, i kapota kuczera z metalowymi guzami. Skóra starych rzemieni pachniała dziegciem, smołą, sianem i czymś jeszcze, a siano prawdziwą łąką.

— Nie wiesz, co to łąka?

— Nie wiem, co to łąka — mówił Lejbuś.

— A ja pamiętam.

Przemykał oczy, a podwórzem niosło się wołanie:

— Łupy kupuję! Obierki kupuję, chleb czerstwy, spleśniały kupuję!

— I co jeszcze, powiedz, co jeszcze pamiętasz?

— Sosny.

— Co?

Sosny zostały na wydmie, tam. I rozkołysane wiatrem niebo, i żdźbła traw na tle chmur, wielkie jak sosny, kiedy przyłożyć do ziemi twarz. I lato, owo pierwsze lato, które spamiętał. Przed deszczem łąki ożyły, pełne jasnych i drobnych ropuszek, nie większych niż laskowy orzech. Brał w dłonie ropuchę, zimną, lepką. Polatywały nisko szpaki, siadały na ziemi, szukały w trawie żeru przechadzając się godnie. Długie, pogodne lato, pamięta. Stoi nad nim matka i w pełnym słońcu postać jej rzuca wielki cień, w tym cieniu mógł się ukryć i było mu dobrze. Drzewa w sadzie i chmury, jeden gąszcz, zieleń, biel, tak samo dalekie. Pytała: „Dawid, co tobie?” A on nie wiedział. Był czysty, widny poranek. Jabłko na gałęzi ociekało rosą. Czy to łyż? Nie wiedział. A to noc, noc ze strasznym szlochem pierzchła na widok wstającego dnia. Czyste. krople żłobiły matową skórę owoców i rozpraszały światło, jak cięte kryształy. Czyste łyż ściekały z owoców nie tkniętych niczymi palcami. Jak mogła się nazywać ta wieś? W lasach.. Gdzie mogła być ta wieś? W lasach leżała wieś dzieciństwa, opasana wstęgami piaszczystych dróg, maleńka i głucha, rzucona na równinę, między rzekami, pełna trzepotu ptactwa i szelestu gałęzi, sennych głosów zwierząt i ludzi. O świcie musiało to być. Pamięta jeszcze czysty chłód wiatru wśród trąconych liści, kiedy rozległ się jasny, dobry głos.

I połyski wschodzącego słońca w wilgotnym sadzie pamięta.

A mówi tak:

— Na sosnach rosną igły.

— Igły?

— Igły, a mleko daje krowa.

E, Lejbuś nie wiedział, co to jest krowa.

— Obierki kupuję, chleb czerstwy — niosło się wołanie, a potem człowiek z workiem przepadł na ulicy.

W sianie pod ścianą stajni leżały zagrzebane jabłka, bure, zbutwiałe. Chyłkiem wygrzebywał wiotki, zapomniany owoc, resztę przysypując żdźbłami, a Lejbuś brał od niego ten owoc w obydwie dłonie, ostrożnie i z uwagą, przytykał do nosa, wachał. Mm. Połykali kradzione jabłko, zleżałe, porośnięte popielatym grzybem, a gorycz fermentującego paskudztwa kąsała żołądek.

Długi Icchok, okryty końską derką, budził się cicho. Raptem wołał ze swego legowiska:

— Szczury, dalej jazda!

Klepał pusty brzuch, aż huczało, i mówił:

— Kiszka z wodą.

Odlewał się na słomę, szeroko ziewając.

Uciekali przed nim w popłochu na dwór i staczali się bezładnie po urwisku zburzonej oficyny prosto w szalejące słońce tych letnich dni, w skwar południa, w sam środek krzyku, wołania głodnego tłumu. Zdjąwszy twarde drewniaki krążyli potem długo w ruinach, gdzie koczowały rodziny przesiedleńców z blaszankami uwiązanymi na pasku, okryte strzępami kocy, dźwigające na sobie resztki dobytku, z którym się nie rozstawały. Stąd wiodło przejście na zamkniętą murem, małą uliczkę pełną hałaśliwych żebraków. Rozbudzona ciekawość kazała patrzeć, wstyd zabraniał im odwracać oczy. Zgrzani snuli się na

Walicowie wśród leżących bezsilnie na bruku ciał okrytych zawszonymi gałganami.

— Czy w sobotę Żyd też umiera?

Tak pytał Lejbuś. A jaki dzisiaj mamy dzień? Obnażone szkielety potrzasały puszkami, z krzykiem podstawiając nogi idącym. Gniły w słońcu, a do lepkich ran zlatywały się sine muchy. Ludzie tutaj obracali się w padlinę za życia.

Ssało. Wiedział, to głód. Nic w ustach od rana, tylko te pomyje. Pomyjki z kuchni gminnej, rzadka polewka za pięćdziesiąt groszy, prawie darmo. Dzieciom przysługuje ulga. Cienka jest manna niebieska i dlatego kosztuje pięćdziesiąt groszy. O tej porze roku konający połykają wasser-zupkę, pół litra mętnej cieczy ze strużynami brukwi i śladami kaszy, okraszonej zielonymi listkami pokrzywy, swoje ostatnie wspomnienie. Surowizna, ledwo sparzona wrzątkiem, pływa po wierzchu. I zwróconą zieleniną okrywają się łachmany nędzarzy, bruki pod murkiem, ulica, gdzie leżą w letargu płasko rozciągnięci ze swoimi puszkami.

Do tych puszek chlustają cienkie pomyje, dar wymuszonej litości.

Nad miastem pochyła się i klęka chuda koza, dar gminy, a wszyscy sięgają z lamentem do jej hojnego cycka. Nad miastem pochyła się chuda koza, którą doją nędzarze, i z jej wymienia sika polewka gminna. Wielkie serce bogaczy w tej polewce rozgotowane, ochłap dla wszystkich, ochłap, którego smaku trzeba umieć się doszukać. Ci, którzy leżą na ulicy, już opchnąć tego nie mogą, nosem im cieknie. Rzygają tymi pomyjkami, potem drzemią cały dzień w zielonej kałuży i bredzą, odrętwieni, znużeni upałem, a do otwartych ust pełzną muchy, sine, wielkie, syte muchy. Kto zesłał muchy? Kto zesłał głód?

Kiedy Żydzi szemrali na pustyni, zesłał im Pan manę z nieba, zesłał im Pan przepiórki. Przepiórki sfrunęły posłusznie na obóz i głodni chwyтали je rękami. To było z wieczora, chwyтали je gołymi rękami, a rano ziarno okryło ziemię, jak szron. Ich krzyk wzniósł się do nieba. „Man hu?” Co to jest? Jedli, nie wiedząc co. Jedli i chwalili Pana, nie wiedząc za co. Przez sześć dni zbierali man hu, ale nastał dzień siódmy, dzień święty, sobota, i zabrakło ziarna na polu.

— Rachmunes, gite menszn, rachmunes, rachmunes!

Nie słyszeć tego krzyku. Ogłuchnąć, na wieki. Ale czy można zatkać uszy i tak chodzić cały dzień? Głowę miał lekką i pustą jak...

— O, bańka mydlana.

A kto tam znów ukazał się w oknie? Bielutkie włosy, ręce, twarz, a w zębach słomka. Dawid woła donośnie, Lejbuś macha przykurczonymi rękami z uciechą na ten widok, a Ernest nadyma policzki, ostrożnie dmucha i puszcza przez słomkę bańki mydlane, które wyfruwają lekko na ulicę.

— Chachachacha, Albinos, skąd wzięłeś słomkę?

Tęczowa bańka rośnie, ulatuje, swobodnie unosi się w powietrze. Beztrosko fruwa ponad pięknym i strasznym, niemożliwym światem, a w jej szklistym, przezroczystym wnętrzu odbija się wszystko, co napotka po drodze. „Czy w sobotę Żyd umiera?” Lustro uderzone pięścią pęka, kamień rzucony w wodę tonie, tęcząca bańka mydlana rozwiewa się na wietrze. „Jeszcze trochę, a też będziemy zdychać na ulicy. Wszystkich nas to samo czeka.” Tak mówi ojciec, a matka prosi, żeby przestał. Litości błaga. Jej słowa; Dawid nieraz słyszał i było mu niewyraźnie, pewno wstyd. Wstyd jest wtedy, kiedy człowiek nie chce drzemać na bruku, bredzić ze znużenia w słońcu i nie chce,

aby inni widzieli, jak maszerują po nim muchy. Jak człowiek jest głodny, nieswojo patrzeć mu w oczy. A samemu chleb swój trzeba połykać ukradkiem i takie jedzenie też jest wstydem. Głodni wstydu nie mają i wołają skomleć i wyciągać do przechodniów puste ręce niż ginąć w czterech ścianach bez pomocy. Litości domagać się u dobrych ludzi. Dobrzy ludzie idą ulicami, a nędzarze leżą pod ścianą. Dobrzy ludzie rzucają grosik i idą dalej, a głodni zostają na bruku, który do nich należy.

— Rachmunes, rachmunes!

Trzeba tego słuchać cały dzień. A Niemcy obiecali Waliców spalić. Spalić Pańską, Krochmalną, Ciepłą, Prosta, bo tutaj właśnie szerzy się zaraza! Najgorsza zaraza i głód w tych zaułkach małego getta! Kto zesłał głód? Tyfus, wszy? Nawet prof Bauma oblaży i nie może się ich pozbyć, staruszek. A że wszy roznoszą choroby, prof Baum złapie tyfus jak tyłu innych przed nim, i wyjdzie na to, że Niemcy mają rację, kiedy każą rozlepić na mieście afisze z ostrzeżeniem ŻYDZI WSZY TYFUS.

Lejbuś siadł na ziemi zniechęcony.

— Nóg już nie czuję. Wracajmy, tutaj nic przecież nie ma.

Wracali ze swojego spaceru.

— Poczytasz mi gazetę? Jeden nieduży kawałek, Dawid.

Pisana była tuszowym ołówkiem na kartach wyrwanych z księgi buchalteryjnej, na liniowanych arkuszach z grubą czerwoną kreską u góry. Za tą kreską było czysto i tam nie gryzmolił niczego. Kartek razem było dziesięć, na pierwszej drukowanymi literami tytuł: „Kronika”, a niżej mniejszymi: „podwórza”. Skrycie i ze wstydem smarował swe pierwsze dzieło, a kiedy było gotowe, zesłi się wszyscy oglądać; odwracali stronicę, przypatrywali się rysunkom, tu i tam znajdowali jakieś zdanie dla siebie, powtarzali je głośno i kiwali

głowami z uznaniem.

— Udało ci się tym razem, żebyś tak zdrów był — powiedział Zyga. A Elijahu pytał z niedowierzaniem:

— Sam? I od razu na czysto?

Dawid milczał skromnie. Ernest jednego nie mógł pojąć:

— Kronika?

Eli też miał pewne wątpliwości.

— I nie można już zmienić?

Zyga powiedział stanowczo:

— Gazeta nie zmienia tytułu. Kurier też nie.

— Kurier też nie?

— Też nie. Jak raz coś zostało napisane, trzeba się tego trzymać do końca.

Ernest powiedział potulnie:

— No tak, ale co znaczy ten tytuł, „Kronika”?

I Dawid odparł:

— Nie wiem.

Kartek razem było dziesięć: pierwszy odcinek powieści, zawiła awantura kończąca się huraganową rewolwerówką, pisana na wzór westernu *Sierżant King z królewskiej konnej*. To zajęło stronę i kawałek. Niżej zamazane saldo pióra nieznanego buchaltera, które okropnie przeszkadzało. Zmachana w natchnieniu scena dramatu o traperach zagubionych w jakiejś nieokreślonej okolicy, zwanej Dzikim Zachodem. Dalej wiersz zlepiony za pomocą koślawych rymów, który był hańbą numeru; wieści z kamienicy, pogłoski z miasta, list od koleżki z tamtej strony, zza muru. Dowcipy, które zaczynały się tak: „Poszedł raz Hitler do rabina.” Mnóstwo miejsca zajął szkic, wypisane z encyklopedii hasło Madagaskar, że leży nad kanałem Mozambik u południowo-wschodnich wybrzeży Afryki w okolicy Przylądka

Dobrej Nadziei, ma 590 000 km kwadratowych, zamieszkują go Malgasze, klimat gorący i wilgotny, główne miasto Tananarive, stepy i góry, palisander, heban, trzcina cukrowa, maniok, kakao, wanilia, kawa. Na ostatku sport, bez komentarzy. Mecz cymbergaja, wyniki spotkania mistrzów. Elijahu — Dawid 3:2, Elijahu — Ernest 5:1, Zyga — Elijahu 2:1. Tyle zawierała jego kronika i były jeszcze rysunki. Za grosz talentu. Ojciec potrząsał głową z ubolewaniem. Smykałki żadnej i w kogo wdał się ten chłopak?

Nie, to do niczego niepodobne.

Szkic o wyspie Madagaskar, wynik namiętnej ścisłości, poprzedzało motto z ukochanego poety.

— Czy znajdzie się miejsce na morzu?

— Wystarczy, proszę pana.

Czytał swoje pobrudzone dzieło. Lejbuś dłubał w nosie głęboko i w zachwyceniu, robiąc przy tym kwadratowe oczy. Co on rozumie, ten smark? Ma kieszenie wypchane ołówkami i te ołówki puszcza w ruch przy każdej okazji. Rysuje, co zobaczy. A ma zdarte trepy, bo cały dzień grać potrafi z dziewczynkami w klasy.

Kiedy za oknem podnosi się krzyk, to znaczy, że Chaskiel-stróż rozpędza miotłą smarkaterię na cztery wiatry.

— Złotówka to forsa!

— Forsa to grunt!

— Grunt to ziemia!

— Ziemia to matka!

— Matka to anioł!

— Anioł to stróż!

— Stróż to dozorca!

Chaskiel stoi na podwórzu, macha brzozową miotłą i głucho od krzyku.

Hopla, bladozielona smarkateria wdziera się z hałasem do nieba. Migają chude warkoczyki, nagie kolana, unoszą się w powietrzu słowa dziecięcej kabały. Dziurawe buty uwięzione w kredowym kole. Wyboje pełne kulfonów, cyfr, ciemnych znaków, zakłęb umykają wstecz. Ściany chwieją się i kołyszą, ziemia pod nogami chwieje się i kołysze, a na czole rośnie siniak. Wróć, cała zabawa na nic.

— Skusiłeś, skusiłeś — woła Surele i odbiera szkiełko. Tej nogi nie wolno oprzeć na ziemi, tamta noga cierpnie. Pod nosem rośnie ciepła kapka, na twarzy zbiera się kurz.

— Trzeba jeszcze raz namalować piekło — mówi Rojzele. Pochylona wlecze za sobą w kurzu obrzękłą z głodu stopę i rysuje siedem rombów. U góry niebo, na dole piekło. Zielone szkiełko z rozbitej butelki przefrunąć ma wszystkie granice.

Skacząc na jednej nodze można znaleźć się w „siódmym” niebie albo z traskiem wpaść do sutereny krawca. Kiedy kamyk brzęknie o szybę, wybiega z warsztatu Jankiel i podnosi krzyk:

— Wybili mi okno — woła. — Ty paskudniku! Ja ci tu zaraz dam.

W pośpiechu uciekają, chowają się w kącie podwórza za wysokimi kubłami śmieci.

— Jankiel Zajączek, zaszyj sobie strączek! — Tak wołają dziewczyny, do rymu. A chłopaki zwyczajnie: — Jankiel, zaszyj Reginie dziurę w peruce.

Krawiec zbiega do warsztatu spluwając i z hałasem zamyka drzwi. Lejbuś wygląda zza pokrywy śmietnika, wywala fioletowy ozór po samą brodę.

— Ee.

Kiedy Fajga zamyka go na klucz, przysuwa krzesło do okna, wygląda na podwórze surowo. Stawia na kartce koła, linie, plamy; chce namalować ulicę, ale trudno namalować Krochmalną, żeby stała przed oczami jak żywa. Lejbuś ślini ołówek, macza w ustach pędzel, wzdycha. Jedna samotna szara chmurka zastyga na papierze. Już zawadziła o komin, gdyby kartka była większa, z komina poleciałby dym, a tak dom stoi wysoki i zasłania całe niebo. Okna, okna. Dużo okien musi mieć taki dom jak nasz. Szyby niech będą niebieskie, dom żółty. Przed bramą kółeczko, to głowa. Dwie kreski, to ręce. Chaskiel-stróż z miotłą w ręku stoi i patrzy na mur. Od końca do końca kartki ciągnie się ten straszny mur. Tam gdzie wolne miejsce na chodniku, stawia kuchenny taboret. Wysoki, jak kamienica. Obok Fajga i sprzedaje słodycze. Inaczej co by Lejbuś jadł? Mógłby zjeść wszystkie cukierki. Patrzy długo na smutny rysunek i szuka. Mur zajął tyle miejsca. Bierze ołówek i z wielkim rozmachem kreśli malutką kreseczkę i zygzak. Tędy, nad murem, przeleciał ptak. Czy taki mały ptaszek udźwignie gałązkę oliwną? Lejbuś zastanawia się, a potem zostawia wszystko, jak było, i odsuwa od siebie. Gotowe, teraz musi wyschnąć.

Lata ptaszę po ulicy,
Szuka sobie ziarn pszenicy,
Ale ziaren ani śladu.
Będzie ptaszę bez obiadu.
Pit-pilit, pit-pilit,
Piuu... Frrrrrr!

Bierze drugą kartkę, zieloną farbą zatacza dwie plamy, duże

jajo, małe jajo i między nimi szyja. Duże to głowa, a tamto tułów. Na głowie muszą być włosy, oczy, nos i usta, na tułowiu tylko sukienka. W ustach duże żółte zęby, wyraźnie je widać. Maże szybko i bez zastanowienia, nos brązowy, oczy czarne, brwi granatowe. Uważny rzut oka na mamę, czego jeszcze brak. Do niebieskiej sukni pasują czerwone nogi i Lejbuś macza pędzelek w czerwonej farbie. Fajga stanęła za straganem, a pod straganem widać wielkie, luźne buty.

Jeszcze mu tego mało; na kartkę wbiega cała banda z Baruchem Oksem na czele. Idą, pod wachę, prosto na żandarma. Baruch Oks w skórzanej czarnej kurtce, za nim Mojsze Połamaniec niesie przed sobą jedną rękę krótszą, za nim Mundek Buchacz z kwadratową głową na byczych barach, za nim Henio Sledź ze spuchniętymi wargami, a na końcu malutki, chudziutki Chaim Sierotko. Idą. W drugim szeregu Josełe Żółtko, Mordka Caban, Kuba Wałach o papierowej twarzy, blady jak duch posypany mąką. Zostało trochę miejsca w górnym prawym rogu kartki i tam umieszcza szary cień, Długiego Icchoka.

Błądzi wzrokiem w tłumie, a wypatrzywszy przerwę, wysoko na kartce zawiesza okrągłe słońce i dwie chmurki wróbli ukośnie płynące w przestrzeni. Promienie mijają postaci. Zaznacza wewnątrz słonecznej kuli nos, oczy, usta i uśmiecha się skrycie swoim nieśmiałym, nieśmiałym uśmiechem, bo to jest właśnie Lejbuś. Tam.

Jeszcze coś ma narysować? Dobrze, Mordchaja Sukiennika. Ach, jak narysować konia. Koń musi mieć wygląd, cztery nogi, grzywę i ogon. Zaczyna od uszu i Saba, której kontur wierzga i ucieka z pamięci, nakłoniła cierpliwą, małą, brudną rączką wkracza powoli i ciężko na kartkę papieru. Niezgrabna doróżkarska klacz już podrzuca łbem, grzebie kopytem, parska.

Już ma trzy nogi, które widać, i czwartą zasłoniętą przez dyszel i orczyk. Za koniem wóz, za wozem Mordchaj w butach z cholewami; trzeba mu dać lejce i bat, kiedy pociągnie rzemień, koń skreśli w lewo. A skąd koń wie, że skreślić ma w lewo? Inaczej stratowałby leżących na bruku.

Tylu ich, a wszystkich trzeba tutaj umieścić, wspartych o mur, rozciągniętych na bruku. Tędy musi przejechać wóz Mordchaja i nie potrafić nikogo, przez jedną małą kartkę. Trudno to wykonać, kiedy się ma pięć lat. Przekreśla i maże, pokrywa mały obrazek farbami. Żółtą jak słońce, czerwoną jak krew, zieloną jak trawa, czarną jak noc. Plamy barw przerywane białą kartki stają się żywe i mocne, rumieniec na jego policzkach łuną zapala łuszczącą się skórę. Gotowe, wszystkie ołówki ściska razem w pięścice.

Można iść na drugie podwórze, powałęsać się koło szopy. Tam im nikt nie przeszkodzi. Lejbuś, Rojzełe i Surełe popatrzą sobie głęboko w oczy. Lejbuś zdrapywać będzie zaschnięte pęcherze. A Surełe ostrożnie poprawi paluszkami białą chusteczkę na głowie i uważnie stawiać będzie w gruzach suche, cieniutkie nóżki lalki. Rojzełe, sapiąc, z wysiłkiem powlecze w kurzu obrzmiałą, zniekształconą stopę okrytą zrogowaciałą skórą. Będą bawić się tak:

— Jesteś głodna?

— Pomidor.

— Ile dostajesz marmelady na kartki?

— Pomidor.

A potem zakończy zabawę chytrym pytaniem:

— Zjesz kawałek chleba?

— Zjem, zjem.

— No to dawaj fant!

Wyciągnie rękę po białą chusteczkę, a Surele będzie piszczeć i odpychać go. Rojzele z ulgą odepnie zawczasu jeden drewniaczek na spuchniętej nodze i powie cicho:

— Jeszcze raz. Ze mną.

W sztywnych drewniakach obrzęk piecze i starta do krwi skóra powleka się lepkiem naciekiem, który sączy się ze stopy na ziemię.

Kiedy Lejbuś zapadł nagle na tyfus, Fajga nie mogła go znaleźć. Uciekł do szopy Mordchaja i tam się ukrył w gorączce. Zasnął we wnętrzu porzuconej dryndy, pod naciągniętą budą, na kwiecistej pierzynie furmana, z której ulatywało pierze. Spał, a koń ucierał coś zębami z chrzęstem, prychał, zadzierał łeb i wydawał ostry kwik. Długo czochrał kark o deski żłobu. W zielonej, wilgotnej ciemności unosił się syk i szum krążących much opitych końską krwią; płynne dreszcze spływały po grzbiecie klaczy od uszu do ogona i od kłębów do kopyt, gniewny furkot wydobywał się z jej nozdrzy, a potem bolesne „Ihiiii!” To był początek tyfusowej gorączki, ale kto mógł wiedzieć? Chaskiel-stróż szukał go na Grzybowie, Fajga pobiegła pod murem do wachy gubiąc buty po drodze, a Mordchaj wrócił o zmierzchu, napoił konia i znalazł małego, który już bredził. Niósł go na rękach, przez podwórze, na trzecie piętro; Lejbuś chlipał, furman szeptał „sza, aniołku”, a krawiec wybiegł z suteryny i wpinając igłę w klapę fartucha wołał:

— Mordchaj, skąd u ciebie taki duży żrebaczek?

Z ciemnej szopy rozległ się tupot spłoszonej kobyły. Wspięta — rwąc się na uwięzi, dzwoniąc łańcuchem, potrząsając łbem, słała z drugiego podwórza ostry kwik.

Ernest mówi, że po tyfusie Lejbuś jest do niczego; za to Zyga ma nóż z korkociągiem, wszystko robi lewą ręką i obiecał

dostarczyć kawałów do następnego numeru „Kroniki”. Sypie dowcipami jak z rękawa; bez uśmiechu, zachowując kamienną twarz.

— Dlaczego mąki zabrakło na mieście, wiesz? — I po chwili odmierzonego milczenia z ust Zygi pada odpowiedź. — Bo Niemcy zaczęli ostatnio dosypywać mąki do chleba.

Ze ścian patrzyły na nich puste, ślepe oczy, reklamy szkieł Zeissa, i oślepiające słońce afisza RADION SAM PIERZE. Błądzili w lochu starej mydłami — Mania i Maks Leder, Towary Apteczne, Sznurowadła, Mydło, Farby — dokąd Zyga z dumą prowadził Dawida i Ernesta w te dni, kiedy sklep był już zamknięty na głucho. Zstępując do rozległych pieczar w podziemiach zaniedbanego składu, mijali ociekające wodą, porastające pleśnią zakamarki, w półmroku tręcali dudniące basem kadzie, rozsypujące się beczułki, sine, bure, koloru zieleni butelkowej gąsiory oplecione wiklinowymi koszami. Jedne wydzierały woń żywicy, kwiatów, miodu, ziół, szyszek w lesie, a z innych unosił się piekielny odór smoły i siarki.

— Faj.

— To jest mocna trucizna, Albinos.

Wszystko, co spoczywało w jaskiniach starego składu, dawno temu podzielił Zyga na trucizny i leki. Ernest pytał rzeczowo:

— Szmaja, na szczury czy dla ludzi?

Zyga zastanowił się, a potem powiedział:

— Na szczury, ale może być i dla ludzi.

Głosy ich dudniły w tym lochu, jak okrzyki rzucone do studni.

— Skutkuje?

— Jeszcze jak!

Zyga z plamami lepkich płynów na dłoniach odmykał słoje, flakony, butelki, złowrogo syczące gąsiory. Sypał im na ręce po

szczypcie z każdego naczynia. Co się dało, rozlewał. Wąchali, nieufnie próbowali językiem, kichali w tumanie kurzu. Zyga szalał w tęczy barw, osypany pyłem jak motyl. Wołał z drabiny:

— No jak tam?

Cały kolorowy.

— Robaczki moje, nie ruszajcie tego. Nie trzeba, nie. Tam spirytus drzewny, karbid, kwasy. Uduszą was, spalą, poparzą.

Szuranie stóp zagłuszało niewyraźnie seplenioną skargę, wyrzut poprzedzony stukiem klucza o ścianę. Po schodach sunął niedołączny cień; mogli dojrzeć postać w kaftanie, jak zbliża się ku nim w półmroku z wyciągniętymi przed siebie rękami, chwiejnie licząc mijane beczki żelaznym kluczem. To stara Zełda włókła spuchnięte nogi. Jadowicie syczały gąsiory. Szara twarz, rozwiane włosy, kaftan niechlujnie ściągnięty sznurem, szuranie wołokowych butów zbliżające się w ciemności napełniały ich większą trwogą niż zawartość opuszczonego składu.

— Pif, paf!

Pędem, potrącając bezradną staruchę wybiegali po schodach na światło dzienne, a ona długo coś tam jeszcze przesuwiała, zatykała po omacku. Zełda, samotna stróżka lochu, odkąd Mania i Maks Leder uciekli z miasta w trzydziestym dziewiątym roku i przekroczyli Bug.

— Ona ma tu — Zyga pukał się w czoło. — Kuku na muniu.

— Nie mów.

— Tak. Wstaje po nocy, łązi po składzie i jęczy: „Ulatnia się, ulatnia. Wszystkich nas potruje... gaz, gaz...”

— Ale co?

— Tam skrzynki z karbidem w tej wilgoci stoją cały rok. Kwas pruski, denaturat — wyliczał Zyga.

— Nie mów.

— Jak pragnę podskoczyć — i uchylał drzwi do lochu; nabrawszy tchu rzucał w głąb, w ciemność pełną pojękiwań starej Zełdy: — Pif, paf!

Przepędzeni stamtąd zabierali się do westernów. Tom Mix, Ken Maynard, eh — to były imiona szalonej i nie zaspokojonej nigdy miłości chłopięcej, miłości w prenumeracie z tygodnia na tydzień, której koszt wynosił na rynku pięć groszy. Każda awantura w krwawej okładce miała trzydzieści dwie strony. W zgiełku galopady wzdłuż odludnych szlaków, któredy chyłkiem pomykały wozy pocztowe, na pastwiskach wśród stad bydła, pod jaskrawym słońcem Dzikiego Zachodu dokonywało się prawo. Kolt wyciągnięty za wcześnie wskazywał winę, kolt wyciągnięty za późno oznaczał śmierć. Wolny kowboj strzela tylko raz i zawsze ostatni wyciąga broń. Kula przebija wiadro wody, pęcinę umykającego konia, kula ostrzegawczo zmiata kapelusz z głowy winowajcy. Kowboj walczy z bandytą bez świadków. A jeśli ludzie szeryfa oddają usługi bandzie? Kowboj rozbija szeryfa i sam przypina gwiazdę do skórzanej kamizelki. Ken Maynard to wolny kowboj. Rozległy brzeg sztywnego stetsona rzuca na jego czoło posępny cień. Na twarzy aż po same oczy zawiązana czerwona chusta. Ukrywa się w stepie albo samotnie błądzi w Górach Skalistych, ratuje kobiety z dyliżansu zatrzymanego przez napastników i zniemacka wyswobadza więźniów z aresztu. Szeryf urządza pościg i gubi ślad, wierzchowce padają z pragnienia, a wielki Ken jest nieuchwytny. Do West City cwałem pędzi plamisty mustang, przy barze staje jeździec w kapeluszu zuchwale nasuniętym na oczy. Wybuch popłoch, ocalone damy rzucają mu się na szyję. Stary farmer w zdumieniu otwiera usta i przestaje żuć tytoń. „Wrócił wielki Ken!” Zmierzchało; rzucali podarty western z dawnych lat, Ken Maynard ginał w gruzach na

Walicowie, za oknem rozlegał się bezładny śpiew bandy Barucha Oksa, a Baruch i Długi Icchok obchodzili kamienicę z czapkami w rękach. Dawid słyszał, jak pieśń rwie się w zdyszonym posapywaniu, w pisku schrypniętych gardeł. Monety owinięte w strzęp papieru cicho padały u ich stóp.

O tej porze bladozielone, zasmarkane szkieleciki biegły na drugie podwórze pod stajnię patrzeć, jak Mordchaj wyprzęga, okrywa derką, poi konia. Cynkowe wiadro opierał o kolano, a koń ostrożnie obwąchiwał rękę furmana. Unosił łeb i woda wyciekała mu z pyska. Po swojemu ucierał coś tam głośno żółtymi zębami, a Mordchaj wiadro uważnie przechylał. Przechylał, resztę wylewał na pęknięte kopyto, a klacz odwracała się i sama szła do szopy zawadzając podkowami o wysoki próg z głośnym stukiem. Czy Ken Maynard zdąży na tym koniu uciec przed ludźmi szeryfa mając przed sobą na siodle Małkę? Pogoń nadciąga z kajdankami. Nie zostawiaj jej, Ken! Ken Maynard uśmiecha się beztrąsko i łufą podsuwa wyżej brzeg kapelusza. Odwraca się w siodle i pierwsza kula trafia do celu. Koń Mordchaja słabnie, dyszy, zatacza się i pada. Ken Maynard staje nad nim, rozluźnia popręgi, zarzuca siodło na plecy, a kurzawa pod kopytami ścigających zbliża się i rośnie, i druga kula trafia do celu. Już padli wszyscy, Hrabia Grandi też nakrył się nogami. Pod sosną na wzgórzu pożegnanie kowboja i dziewczyny z Krochmalnej. Ken odchodzi w góry i z daleka słysząc wołanie: „Eh, wszystko tak się pokręciło przez tę przeklętą policję!” Musi zbiec, a zagoniona szkapa ledwo dyszy. Na koniu Mordchaja nie zdoła uciec przed ludźmi szeryfa. Była to szkapa do dryndy; mogła pociągnąć pasażera z walizką na dworzec, mecenasa Czerniatyńskiego do kawiarni, panny Lewin w Aleje, ale na prerii — tam swobodnie cwałować może tylko

dziki mustang.

Kiedy koń był już oporzędzony, Mordchaj sadowił się przed szopą na stosie uprząży i czekał nadejścia nocy. Smutne, blade, stare oczy skierował daleko w przestrzeń. Na drugim podwórzu w wieczornej szarówce krążyły leniwie głosy furmana i krawca.

— Jankiel, po coś wrócił?

— Po igły!

Krawiec po wysłuchaniu apelu radia w trzydziestym dziewiątym roku, nawołującego mężczyzn do opuszczenia miasta, zawinął w popłochu swój krawiecki tobołek, wyszedł wraz z Maksem i Manią Leder na szosę i pochłonięty falą uchodźców pomaszerował na wschód; a potem znad granicy uciekł i wrócił na Krochmalną za mur, zawstydzony jak po nieudanej przechadzce.

Za plecami Mordchaja rozległo się łagodne parskanie kobyły.

— Jankiel, ty nie umiesz chodzić przez granicę. Ja na twoim miejscu przeszedłbym trzy razy tam i z powrotem z zapaloną świecą w ręku.

Jankiel otworzył drzwi warsztatu i nawlókł zwinnie igłę patrząc zmrużonymi oczami z złoto-szare niebo.

— Dajmy na to.

Mordchaj składając siwą głowę na ręce mówił z zadumą:

— Cherubin mieczem płomienistym przegnał żydowskiego krawca sprzed bram raję, bo krawiec nie wiedział, dokąd idzie, i nie wiedział, dokąd wraca.

Kiedy ściemniło się, Mordchaj wyrzucać zaczął cegły z szopy i gruz wnosić dużym kubłem. Ukradkiem rył przełaz prosto do piwnic zburzonej oficyny, które zachowały się pod usypiskiem; Chaskiel-stróż przebijał dalej przejścia w ścianach piwnic sąsiedniej kamienicy i magazynów mydlarni. Mówiono, że

dogrzebali się do lochów łączących ulicę Krochmalną ze
składami w podziemiach Hal.

Krawiec znikł w głębi suteryny, skąd rozległ się jego głos:

— Dajmy na to. Regina, dolej wody!

Potrząsnął gasnącą karbidówką.

— Aś, to jest wynalazek dwudziestego wieku. Żeby ten Hycler tak zdrow był. Masz pojęcie, co on wymyślił? Malarzyna! Przy tym każe szyć, czy przy tym można szyć? Przy tym paskudztwie nie można się nawet pomodlić. Gorsze niż szabasowa świeca, tfy, bez obrazu.

W chaosie powykręcanych szyn, rur, w zwojach kabli kołysanych wiatrem, prężąc ku chmurom ułomne kikuty kominów, których nie pochłonał ogień, wytrawiona pożarem oficyna nagi i suchy swój szkielet chyliła konwulsyjnie nad podwórkiem, oblażąc z tynków i z blaknących w słońcu tapet, piętro po piętrze, spięta fragmentami podciętych i zrujnowanych schodów, pnących się donikąd. Na pierwszej kondygnacji lustro martwo odbijało blask zachodzącego słońca i młoda brzoźka zapuściła korzenie w stosie zmiażdżonych cegieł. Na trzeciej łóżko żelazne zawisło jedną nogą nad przepaścią, pod samotnym żyrandolem. Obok, w otwartej na wylot łazience, na tle pokruszonych szafirowych kafli stała wanna na swym zwykłym miejscu, łyskając bielą emalii splukanej deszczem. A w suterynie — z widokiem na szopę Mordchaja Sukiennika — siedział majster przy krawieckim stole, nawlekając igłę. Bomba lotnicza w trzydziestym dziewiątym roku przepruła oficynę aż do parterów i warsztat nie wiadomo jak ocalał tutaj, w głębi drugiego podwórza. Kiedy usunięto częściowo gruzy, ukazał się przekrzywiony na bakier szyld

**SPODNIE KAMIZELKI UBRANIA NA MIARĘ WEJŚCIE Z
PODWÓRZA PO SCHODKACH W DÓŁ,** który podmuchem

uniesiony w górę zawisł na wysokości pierwszego piętra.

Miał Jankiel Zajączek samotłące żelazko na węgiel. Jak przykładał je do mokrego sukna, suterynę wypełniał szum, syk. Para ulatywała przez otwarty lufcik. Ukazywał się majster, by zaczerpnąć tchu. Chwytał oburącz i rozpalał żelazko. Żelazko fruwało od ściany do ściany, porywało swym ciężarem krawca, który zataczał się swobodnie i trząśł nikłą, kozią bródką. Kiedy na obiad majstrowa gotowała buraki, broda była w amarantach, kiedy gotowała brukiew, broda miała barwę żółtych kwiatów, kiedy szpinak, broda zieleniała jak łąka. A kiedy na obiad tego dnia nie było nic, broda miała znów swój zwykły mysi kolor.

— Zanim człowiek igłę nawlecze, robi się ciemno. A kiedy szyć? — Zielony płomień karbidu słabo rozjaśniał kąty ciemnej suteryny. — Regina! Regina, dolej wody — wołał Jankiel i potrząsał gasnącą lampą; przy jej świetle, mając nad głową ruinę czterech pięter, Dawid z trudem czytał listy, które krawiec wtykał mu do rąk.

Były stare, podarte, wysłane dawno temu.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](https://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/).

V

Śpią i zebrzą.

Ręce błędzące, szukające na oślep blaszanej puszką, suche kikuty daremnie prężące się na kamieniach. Poniewierające się na ziemi włosy, włosy wytarzane w kurzu legowisk, w pyle ruin, pełne pierza i skawalone potem; roje wszy.

Za przechodniem obracały się nieśmiało suche czaszki, zapadłe oczodoły, ziemiste jamy na żółtej skórce; z których wydobywał się opar gorączki, żaru trawiącego wciąż jeszcze te szkielety gasnące, bezsilne, nieme. Życie uchodziło z nich, dopalało się cicho, jak garstka karbidu zwilżonego wodą. Snuli się niedołącznie wspierając o mury, a kiedy kruche piszczele nie mogły więcej unieść wycieńczonych, zamorzonych ciał, kładli się pokotem na kamieniach. Spod arkuszy brudnego papieru, starych gazet sterczały chude, nagie stopy porośnięte wrzodami. Obrócone ku niebu szkliste oczy zasypywał kurz, wypalało słońce. Potrząsali słabo puszkami, pełznąć, ocierając się o nogi przechodniów, wyciągali ku nim puste dłonie. Zrogowaciała, pobrużdżona i pełna wysięków skóra okrywała szare szkielety szorstką, sztywną skorupą. Wykwity wezbranych pęcherzy szerzyły się jak pożar, rozlewały daleko, przeżerały twarze.

— Przeklęty ten dzień!

Smugi żółci przyschniętej do ust i brody plamiły skurczoną, zzieleniałą twarz. Suche nogi, ramiona były w łachmanach, przez chałat sączyła się wielka plama potu. Jarmułka kapłana leżała obok na chodniku i do niej przechodzący rzucali jałmużnę

odwracając oczy. Modlił się w słońcu aż do omdlenia; cichł i osuwał się na ziemię, a przytomniejąc znów powstawał i ulicą płynęło zawodzenie, półśpiew kołyszącego się starca, który zagrzewał do lamentu żebraków.

— Przeklęty ten dzień i przekłeta noc, kiedy urodził się człowiek. Kawalerze, rzuć piątkę.

Baruch Oks przebiegając koło kapłana zawołał:

— Rebe, powiem do ciebie słowami kobiety, która ujrzała męża w popiele ze skorupą w rękę. Już, bluźnij Bogu i zdychaj!

Otarł się o jego łachmany w ciasnym przejściu i usłyszał odpowiedź wystękaną słabym głosem, boleściwie.

— Nogi moje potrącają... Kim jesteś, synu żydowskiej kobiety?

I Baruch Oks zaciągnął falsetem:

— Jestem okiem ślepemu, a nogą chromemu.

— Też dobrze, powinszować. — Kapłan mrużył oczy; z chytrym niedołęstwem włókł rozmowę ważąc swe nikłe szanse. — A kto cię nauczał, synu bogobojny?

— Reb Icchok Kohen.

— Też dobrze, powinszować. Reb Icchok Kohen? Cy-cy-cy, niczego sobie kapłan. A kim był twój ojciec, co chciał mieć tak uczonego syna?

— Nieważne, Żyd.

— To poratuj starca i rzuć piątkę do czapki, bo nie mogę stać za długo w słońcu z odkrytą głową.

— Rebe, a od kiedy to wolno stać z odkrytą głową?

— Rzuć piątkę — powtarzał kapłan trzęsąc ramieniem. — Rzuć, synu. Będzie policzone.

— Akurat. Już się rozpędziłem.

Kupcy szli, przystając. Zawracali od rogu i znów szli tędy,

kalkulując głośno. Krążyli tam i z powrotem popatrując na tragarzy; rozciągnięci leniwie w ruinach, podesławszy worki drzemali, ziewali, czekali godziny przemytu. Mordarski mówił ostrym, podniesionym głosem:

— Nie ma tak dobrze. Daję połowę, a o wiele skok się uda i tragarze wrócą z towarem na miejsce, Felek Piorun dostanie resztę.

— Pakować się, zdechlaki!

— Wszystko ma być z góry wliczone w rachunek, ile tragarzom, ile policji. He blat, ile zyski. Ja mam w ciemno wynajmować ludzi na całe dwa dni i ryzykować pieniędzmi... ciężko zarobionymi pieniędzmi dla paru worków razówki? Komu sprzedam? Im, tym, co leżą na ulicy?

— Pakować się, zdechlaki. Miski na łeb — wołał Henio Śledź. — Eliasza z karawanem jedzie.

Wśród żebraków nastąpiło poruszenie, rozległ się przeciągły szmer. Twarze o zaciśniętych oczach obracały się na oślep. Tam wóz Eliasza skacząc twardo na bruku wynurzył się z Krochmalnej i wolno posuwał przez zaułek, rozkołysany. Zgrzybiała fura obwoziła po mieście swój martwy ładunek. Porządkowy, OD-man z żółtą opaską na rękawie, krzyknął:

— Miejsce, nie rozsiadać się na środku ulicy. Miejsce, miejsce robić! — Wóz utknął wśród leżących i natychmiast podniósł się bezładny, paniczny zgiełk, żebraczy chór wytrwałych skarg.

— Gdzie? Po kulasach? Jak jedziesz?

— Chwileczkę, niech się najpierw ruszę.

— Boże mój, minuty spokoju człowiek nie ma. Ledwo usiadłem, a już!

— Puszka go, puszką, starego łobuza! — Zardzewiała

blaszanka ciśnięta słabą ręką frunęła niewysoko, chybiła i wylądowała na wozie obwieszonym nagimi zwłokami. Eliasz stanął bezradny w tłumie. Zamknięty murem ślepy zaułek ledwo pozwalał zawrócić wozem.

— Tee, rusz no się, bierz tego umarlaka. Wujek? Nie szkodzi, bierz wujaszka za nogi i wlecz na platformę. Raz-raz. Nie żałuj ręki. Coś mu się od ciebie należy, pętaku. Co jest? Żeby w takim dobrym punkcie z widokiem na ulicę, gdzie da się wyżebrać parę ładnych groszy, sami nieboszczycy leżeli? Klientela zamyka oczy i ucieka na drugą stronę. Ruszaj się, raz-raz. Masz się za królową piękności? Podtyka ludziom ten spuchnięty kulas od tygodnia. Nudno patrzeć. Ślinisz się, patałachu! Wytrzeszczasz zaropiałe gały! A kogo to w dzisiejszych czasach wzruszy? Żebrać to trzeba umieć. Słuchaj się mnie, pętaku. Idź na hop, rwij z ręki.

Eliasz przygadywał, bez pośpiechu włókł ciężar, a z nim Awrum, syn Chaskiela-stróża, oraz OD-man, który przyszedł im z pomocą. Dźwignąć musieli zeszytywniałe zwłoki na wysokość wozu, rozkołysać i cisnąć na wierzch stosu. Ramiona i głowa opadły ciężko za krawędź, więc najmłodszy z nich, najlżejszy, Awrum, wszedł na furę i depcząc martwy ładunek uczynił miejsce dla przybysza. Ruszyli, znów się zatrzymali.

— Przeklęty niech będzie ten dzień i przekłeta noc, kiedy urodził się człowiek — zawodził kapłan w łachmanach wyciągając ku niebu chude, brudne ręce.

— Witaj, czcigodny sługo pański!

— Witaj, stróżu trupiarni! Witaj, truponosie!

— I w szatach kapłańskich wstąpiłeś w dom zmarłego?

— Ciemny tragarzu, domem zmarłego cały świat. Gdzie się mam ruszyć? Stąd? Tu? Rób swoje i nie zabieraj mi czasu.

W ogonku, w tłumie oczekujących na swą kolej z miskami, z

bańkami, ze starymi puszkami, z czym kto miał; w ogonku do kuchni gminnej, który bezładną kolumną wdarł się w zaułek, Baruch Oks i jego banda przepychali się gwałtem do przodu. Bici przez OD-mana rozpraszała się z krzykiem, gwizdem; po chwili wracali znów i parli do kotła, z głuchą cierpliwością znosząc ciosy, protesty i wzburzenie tłumu. Na wprost — kamieniem mógł dorzucić przez ten placyk w ruinach — za załomem wypalonej bramy Mojsze Połamaniec strzegł kubła. Wrócił Baruch Oks.

— Idzie żyć!

Henio Śledź sunął za nim przez ulicę, gnąc się i przystając, wpatrzony w puszkę zupy, którą niósł przed sobą. Przelewali ją ostrożnie do wiadra, pochyleni nisko, a Mojsze Połamaniec wołał rozgniewany:

— Tyle, tylko tyle?

— Rozlałem troszkę — wyznał smutno Henio Siedź.

— Ja ci rozleję. Żarłeś po drodze, głodomorze. Sam widziałem. Jazda z powrotem! — I Henio Śledź pobiegł z puszką do ogonka, a jego cień przemknął krzywo po zalanym słońcem placyku. Połamaniec odwrócił się i kuląc suchy kikut do piersi, zdrową ręką przeganiał muchy znad kubła; zatopił spojrzenie w jarmułce kapłana, pełnej jałmużny. Do niej pełził już żebrak, powoli i wytrwale przesuając plecy wzdłuż ściany. Kapłan mamrotał cicho, wreszcie zamilkł i opuścił głowę. Uważnymi, drobnymi poruszeniami palców iskał z łachmanów wszy.

— Co tam dobrego spożywa dzisiaj lud Izraela? — wołał Elijahu do Dawida, który stał bliżej kotła.

A Baruch Oks śpiewnym głosem rzucił w jego stronę, jak werwet:

— Lud Izraela spożywa zupę jarzynową na śmietanie z

koperkiem. Smakuje?

Henio Siedź wepchnął się przed Dawida i warknął:

— Posuń się trochę i zrób miejsce.

— Dzisiaj? — pokrzykiwał Zyga. — Zupa z trupa, a na drugie flegma suchotnika!

— A jutro?

Zyga z nudów nawlekał cierpliwie ucho garnka na pasek od spodni. Uwolnił ręce, przeciągnął się i odetchnął głośno. Żar buchał z ruin. Dawid stał za nim trzymając rozprażoną w słońcu aluminiową menażkę; ostatni przydatny sprzęt z żołnierskiego ekwipunku ojca, przechowywany długo.

— Jutro? Kotlet z rany ropą polewany!

Głos Zygi pochłonął zgiełk; tłum rozpadł się nagle i znów zwarł ciasno, wyrzuciwszy na środek ulicy starca i dziewczynę w różowej sukience.

— Zemdlała! Biedactwo, tyle godzin w słońcu stać, w takim ścisku, nikomu nie życzę.

— Przepaliło jej głowę.

— Ludzie, co tak mokro tutaj?

Starzec machał kapeluszem przed twarzą dziewczyny i domagał się wody. Małego kubeczka wody! W tłoku musieli stąpnąć na nią, bo różowa sukienka była już brudna i podeptana.

— Zupa, akurat — mówił Zyga. — Zanim dowleczesz się do lady, będzie tylko kawa ze starych fusów. I dla frajerów ekstra owsiane piwo. Po co wpuściłeś Śledzia przed siebie, Dawid? Wykop go stąd, szybko.

— Ty, ty — syczał Henio Siedź. — Nie bądź taki duży chojrak.

Chude, brudne ręce kapłana miały się w słońcu, śląc daleko łamliwe, szybkie cienie, po których deptali przechodnie.

— Panie Abrahama — zaczął. Odtrącił charłaka, który za blisko przysunął się do jarmułki. — Jakuba.

Charłak mrugał bezrzęsyimi powiekami. Dłonie zaciśnięte kurczowo na pokruszonym kawałku chleba nie rozwierały się; okryte były łuską lepkiego potu. Smugi brudu pękały na zmarszczkach obwisłej skóry i osłaniały tułów, chudy jak tułów węża. Podniósł do ust wymięty chleb i ssał. Odpełził odrobinę dalej, obejrzał się na kapłana.

— Panie Abrahama, Izaaka, Jakuba. Ty... Ty, który dymem przemówiłeś z ognistego krzaka. Ty, który skrycie, za plecami Żydów, powierzyłeś Mojżeszowi tablice swych praw.

Z pełnymi banieczkami ludzie przechodzili obok, zawracając — ogonek posuwał się krok za krokiem do przodu.

— Gdzie jest Żółtko? — wołał Baruch Oks. — Niech no dostanę w ręce tego drania.

Mundek Buchacz krzyknął przez placyk:

— Już drałuje! Zaraz będzie tam u ciebie.

Baruch Oks wyszedł z cienia za załomem bramy, a skórzaną kurtkę przewieszoną miał przez ramię; przyłożył rękę do czoła, surowo patrząc przed siebie, jak Mojżesz z góry na Żydów.

— A Śledź złodziejacha?

Mundek Buchacz po przeciwnej stronie zakołysał się ociężale, zbliżył do krawężnika i splunął daleko przed siebie.

— Szafa gra. Śledź już podchodzi do lady.

— Dałeś mu drobne?

— Dałem, dałem.

Kupcy doszli do końca zaułka i zawrócili, zwięzłe gestykulując. Przystając. Tragarz Kiepełe wyszedł z ruin.

— Kiepełe, on jest mały fetniak, któremu się zdaje, że swoim wyszczerbionym majchrem mnie nastraszy. Niedoczekanie jego!

Powiedz mu, żeby spojrzął w swoje własne serce. Pluję na jego frajerskie słowo honoru. Ja nie wynająłem dwóch pokoi z kuchnią. Ja wynająłem dwa pokoje z kuchnią dla siebie i jeden pokój piętro wyżej dla Kalmana... O ile Jajeczny chce się z nim spotkać na ciemnych schodach, wieczorową porą, to proszę go bardzo, niech przychodzi, ale niech zapomni o tym, że ja z mojej kieszeni muszę karmić jego bękarty. Taki skakier? O, wa. Takich jak on pęczkami sprzedaję i odkupuję za pół ceny.

Charłak z wahaniem położył resztę pokruszonego chleba na misce pod murkiem i znów usiłował powoli, nieznacznie zbliżyć się do jarmułki kapłana, przesuwając plecy wzdłuż ściany. Mojsze Połamaniec kolebał miękko kikutem jak płetwą, odganiał muchy znad kubła i nie spuszczał z niego oka.

— Ilu was? Raz! Powiedz Jajecznemu, niech nie dmucha na słońce. Niech nie pluje na wiatr. To moje ostatnie słowo. I tak mu zaraz powiedz.

Kapłan biadał:

— Ty, który wywyższyłeś mnie i poniżyłeś. Okryłeś pyłem i prochem wszystkich dróg. Ty, łobuzie, nie rzucaj mi śmieci do czapki! I tułać się musiałem, i błędzić wydany na urągowisko pośród obcych... Aj!

Kapłan ukląkł i sunął na kolanach za toczącą się po trotuarze monetą. Wstał.

— I wywyższony musiałem się poniżyć. A Ty pragnąłeś tylko innym przed oczy stawić obelgę losu, która spada na sprawiedliwych, kiedy zapomną, że są litości godnym Twoim podobieństwem, gośćmi na tej ziemi wśród stworzenia, tłumem pyszałków w prochu. My, Twój naród cały teraz oto... Aj!

Kapłan zamierzył się suchym ramieniem, odepchnął natrętnego charłaka i utknął w zawilościach psalmu; a skorzystał z tego

stojący nie opodal drugi kapłan i wyrzuciwszy w górę ryżą bródkę, krótkie, podarte rękawy — drobniutko, szybciotko klepał podchwycone wersety.

— My, sługi Twoje. My, dzieci Twoje. My, trzoda Twoja. My, Twój lud wybrany.

Baruch Oks wybiegł na środek, machnął w powietrzu czarną skórą i wrzasnął:

— Buchacz, zwijaj interes! Bierz ferajnę i jazda. Idzie żyć. — Z krzykiem, gwizdem, ze śmiechem ściągała banda do swojego kubła za załomem bramy, wściekle wygwizdując OD-mana, który sennie czuwał na placyku.

Pierwszy kapłan ciągnął:

— My, Twój naród cały teraz oto w prochu i w pyle. Rażony głodem, tyfusem dotknięty i przekleństwem. Nad otwartym dołem postawiony. My, Twój naród, jako jeden krzak gorejący. My, Twój naród wydany na całopalenie.

Kupiec Mordarski zatrzymał się godnie, wetknął dwa palce do kieszonki kamizelki i upuścił znalezione tam drobne prosto do jarmułki kapłana; za nim Kalman Drabik uczynił to samo.

— Będzie policzone! Będzie policzone! My, Twój naród...

Tragarz biegł za kupcami podciągając spodnie. Wołając:

— Mordarski!

— Nie ze mną.

— Żeby on tak zdrów był. Paser, nie kupiec.

— Jajeczny, policz swoje słowa. Mnie się zdaje, że tutaj padło o jedno za dużo.

— Jak wół targałem worki i nadstawiałem za niego głowę. Nie ma darmochoy!

Kupiec Mordarski rozłożył ramiona i pokornie pochylił głowę.

— Potępiają cię usta własne. A nie ja. I słowa twoje świadczą przeciw tobie... Jajeczny, nie bluźnij.

— Morduj mnie. Zamorduj mnie, ojca dzieciom.

— Mam czas.

— Mordarski, ty nie bądź kapitalistą. Jak wesz pijesz moją czerwoną krew i ciągniesz w swoją stronę.

— Wszyscy żyjecie ze mnie i każdy ciągnie w swoją stronę.

— Mordarski rozłożył modlitewnie ręce. — Co robić? Dzisiaj strata, jutro zysk. Pan dał, Pan wziął i nie ma o czym mówić, drogi człowieku.

— Nie widzieliście? To popatrzcie na niego! O, o, o, ten paser!

— Jeżeli ja, sprawiedliwy kupiec, ja, Mordarski całe życie, ja... mam być paserem, to jak się nazywa ten, który stworzył ten świat? I rządzi nim bezkarnie z nieba?

— Paser! Granatowego zblatował bez mrugnięcia, a mnie za moją harówkę nakładł po mordzie.

— Jajeczny, jak mój towar wraca w moje ręce, to ja płacę. Jak mój towar wpada w obce ręce, to mój tragarz płaci. Nie ma inaczej. Jajeczny, nie buntuj mi ludzi w biały dzień. — Zwięzła, umiarkowana gestykulacja Mordarskiego tłumiała pasję tragarza i gasło wyraźnie, wyczerpywało się w jałowych skargach jego rozjątrzenie, kiedy tak szedł za kupcem następując mu na pięty.

— Mordarski, bądź człowiekiem.

— Na twoje życzenie?

Wśród tragarzy rozciągniętych w ruinach browaru zapanowało poruszenie; wstawali z udaną obojętnością, grzejąc w słońcu twarze, śledząc kupca ukradkiem. Awantura na ulicy wlokła się i dłużyła, wzbierała leniwie jak zaogniony wrzód, który nieprędko pęknie. Tchorzliwy wybuch gniewu nie prowadził do buntu.

— Kiepełe, mów, jak było. Wszystko po kolei.

— Po kolei? Po kolei to było tak. Budzi mnie Mordarski w sobotę o czwartej rano jak psa i mówi, że ma do mnie interes. Otwieram oko i już wiem, po co je otworzyłem, bo znam go od piętnastu lat. Co mówi Mordarski? Mordarski mówi to, co zawsze mówi. Skok na pewniaka. Mam po Jajecznego lecieć i tylko nas dwóch dopuszcza do interesu. Co mam robić, jak już otworzyłem jedno oko? Otwieram drugie oko. I patrzę na ulicę. Szarówka, deszcz, mokro, moja sobota i Mordarski na karku z otwartym portfelem. Czy ja go nie znam? I za każdym razem to samo. No, idziemy. Ja ze starą kołdrą, Jajeczny z drabiną, Mordarski po drodze się zmył. Ma się rozumieć. Kładę kołdrę, okrywam szkło, wchodzę na mur i widzę po tamtej stronie sitwę Pioruna w komplecie. Kogo nie przyprowadził! Z Kercelaka, z Wroniej, pętałów pozbieranych z całej Syberii. Z workami, rozstawieni, czekają. Żeleźniak z furą za rogiem. A Felek sam w bramie. Nawet nie rozejrzył się dobrze. Łubudu, pierwszy worek. Odbieram, spuszczam, Jajeczny dyguje do bramy. Drugi worek i w tym miejscu rura się zatyka. Co jest? Patrzę z góry, a tam polikier galopkiem. Oj, gorąco i praojciec Jakub nie spocił się tak na drabinie jak ja, licząc szczeble do nieba. Felek Piorun woła do swoich: „Odjazd, archanioł kikuje!” Dopiero, jak cieć ściągnął mi na łeb polikiera. A ja tego archanioła widziałem z góry cały czas, jak się kręcił między nimi. Tylu ich było... Jedną nogą na murze, drabina pode mną trzeszczy, metrowy worek trzymam, a kawał szkła przebił kołdrę i drasnął kolano. Ani zejść, ani zostać. Co robić, nie wiem. Trąbię: „Stać!” Sitwa Pioruna zbaraniała. Stoją. Z workami w ręku. Tu ja, tu mur, tu worki, a polikier gnatem macha. Piorun tropnął się, że nie regularna chatranka, tylko jeden niewinny frajer z niebieską dupą

napatoczył się na ciecia, który mu drogę pokazał — i z tyłu do niego. Polikier pokorniutko już. „Panowie, co wy wyrabiacie? Mnie przez was mundur odbiorą. Ze służby wyrzucą, pod sąd oddadzą.” W ten deseń, niech skonam. Ja z góry: „Żeby tylko na tym się skończyło.” A Felek z dołu dmuchnął w swoją starą dudkę: „Skórę z ciebie zedrę, nie tylko mundur!” Polikier popatrzył na sitwę. A oczy takie. Łaziki, kociumiarze, buchacze bojdekowi, skąd się da pozbierani, z całego miasta. Jeden może pigułę połknąć, wszystkich nie zatacha do kwaczu. Sam? Z tym pistolecikiem? „Panowie, jak żandarmi was nakryją z tymi workami, to co ja im powiem?” Zmiękł salceson, dobra nasza. Jeden worek, drugi, ja rąk nie czuję, Jajeczny dźwiga do bramy, a Felek woła: „Nie łam się, szefie! Stań na świecy i kikuj!” No i poszedł.

— Granatowy?

— A jak? Granatowy! Poszedł do rogu, stanął na świecy i kikował. Ile to trwało? Sekundy. I worki były po tej stronie. Kolano mi tymczasem spuchło, a archanioł z gliną na drugi dzień stawili się u Mordarskiego. Mordarski poczuł cykorię i zupełnie bez potrzeby ich zblatował.

Śmiech tragarzy niósł się placykiem.

— A wam nadmuchał pajaków do ucha. Co, Kiepele?

— O, to kutwa!

— A nam nadmuchał pajaków do ucha. Gronia nie chciał wypłacić, Jajecznemu nakładł po mordzie, kołdra poszła w drobny mak i tyle tego dobrego.

— Szafa gra. Komoda tańczy.

Tragarze rzeli donośnie z uciechy, przewracając się na workach i tarzając, jak konie w pogodny ciepły dzień.

— Skok na pewniaka!

Ogonek powoli, krok za krokiem posuwał się do przodu, coraz bliżej upragnionego kotła. Parowało wonią rozgotowanych liści kapusty, wonią czczej wodzianki i zapiaszczonych warzyw; codzienne letnie menu kuchni gminnej.

Chude, brudne ręce kapłana zaszamotały się w powietrzu; słowa jego zagłuszyło wołanie drugiego, który wybiegł w żebraczym uniesieniu na środek placu. Zadarł ryżą bródkę i wyrzucił przed siebie krótkie, podarte rękawy, śpiewając kupcom w twarz.

— Otwórz przed nami widok ziemi Chanaan. Daj głowę złożyć strudzoną na jerozolimskim kamieniu. Przenieś nas do ziemi ojców naszych. Amen.

I urwał.

— Mordarski, mam świadków — wołał tragarz. Zabiegł mu drogę i stanął przed kupcem.

— Jajeczny, ja ci mówię, że nie masz świadków.

— Mam!

— Uf, najgorzej, jak głupi zwariuje!

A pierwszy kapłan ciągnął nieznużenie:

— My, Twój naród, jako jedna tablica praw, której ułamków złożyć nie potrafię, ani odczytać nie mogę. Więc... Będzie policzone! Panie Abrahama, Izaaka, Jakuba, miej litość nade mną, Twoim i Twojego narodu kapłanem. Stoję oto ja, kapłan, jak i lud cały, za murem uwięziony, pośrodku tego miasta i pośrodku świata.

Był tam i trzeci kapłan. Z włosami pełnymi pierza i posępną brodą, zapuszczoną jak dziki las. Siedział na kamieniach skurczony, pochylony nisko, ze wzrokiem wbitym w ziemię i objawszy kolana kołysał się miarowo mamrocząc.

— Adonai, słowa modlitwy mojej nie uczynią śmierci Żydów

lżejszą ani bardziej godną Ciebie. Nie masz bowiem kary na wrogów naszych.

— Żydzi, on mnie i was wszystkich przetrzyma — złorzeczył Eliasz. Wóz zatrzymał się przed zubożniałym szkieletem, który uparcie nie ustępował z drogi. — Ja dźwigam jak wół, gardło zdzieram za marny grosz, a taki kładzie się na ulicy, łapu-capu zawija kalesony, pokazuje na nodze wrzód wielkości włoskiego orzecha i już ma pełną czapkę pieniędzy!

— Eliasz, zmień się z nim na miejsca.

— A co sobie myślisz? Już niedługo.

— Poczekam na ciebie. Poczekam i jeszcze ci miejsce koło siebie zrobię.

Długi Icchok pokrzykiwał przez ulicę, szczerząc zepsute zęby. Drugi kapłan donośnie zaśpiewał, jeszcze śmielej wysuwając się na środek i szarpiąc ryżą bródkę.

— Rozpędź chmury. Rozpędź wrogów, co palą kości nasze jak słomę suchą. Niechaj anioł sześcioskrzydły spłynie z wieścią. Niech zawita do nas.

Zapiał i umilkł rozczarowany, a jego krótkie, podarte rękawy opadły i zawisły na piersi drżąc lekko. Kupcy przeszli nie zatrzymując się. Obejrzał się bezradnie na trzeciego kapłana, jemu teraz udzielając pierwszeństwa.

Trzeci kapłan biadał:

— Adonai, modlitwa spada na ziemię, nie może wzbić się ku niebu. Nie masz bowiem władzy w prawicy Swej i nie masz chętnych, co by usiedli po lewicy Twej. Amen.

— Ff — gwizdnął z podziwu drugi kapłan.

Kalman Drabik donośnie wołał przez ulicę do człowieka w otwartym oknie, który rękami dawał jakieś znaki, wychylony rozpaczliwie do przodu.

— Co tam dzisiaj? Wołowina, cielęcina czy bukat? — Człowiek w oknie przecząco machał rękami. — Nie mam cierpliwości do tych jego groszowych interesów i o wiele stoi tam jeszcze, krzyknij z dachu, że każdego dnia może się ze mną rozmówić w cztery oczy. Stoję o godzinie jedenastej na drewnianym moście i czekam. Tak, tak, na drewnianym moście. Nawet w sobotę! — Okno zamknęło się i kupiec poszedł dalej, odprowadzony długim spojrzeniem tragarzy.

A pierwszy kapłan ciągnął nieznużenie:

— Panie, widzisz ten mur? Tu jest ta strona. A tam jest tamta strona. I nikt tego odmienić nie może prócz Ciebie. Północ i południe leżą naprzeciwko, ale są od siebie daleko. Ptak tylko mur przefrunie. Ptak oglądać może cały ten mur z wysokości. I Ty. I Ty, amen.

Drugi kapłan drwiąco zaśpiewał:

— Ale po co? Po co ma ptak tędy fruwać? Na jakim drzewie siądzie? Pod którym oknem? I komu ma przynieść nowinę? I komu...

Pierwszy kapłan przyjrzał mu się ponuro i powiedział:

— No, no, dalej.

— I komu...

— No, dalej, ciągnij sam.

Ominął go tym razem datek kupca, któremu bliżej było do puszki ryżego. Mierzyli się wzrokiem, a brody sterczały i mieli wygląd kozłów, które się za chwilę pobodą. Trzeci kapłan narzekał nie unosząc twarzy:

— Kobieta rodzi martwy płód i go pożera. Brat wyciąga nóż przeciwko bratu. Ojciec wypędza syna pod kule, mówiąc: „Idź, idź i przynieś chleb w dom mój, albo rozlej na ziemię krew swoją.” Stary czy młody, umierają u progu obcego jak bydłeta.

Eli, Eli szebaszamaim! Lud ginie, a Ty patrzysz na to i znaku żadnego nie dajesz. Czy nagie życie jest Tobie niemiłe? Czy już śmierć nasza jest Tobie niemiła?

Pierwszy kapłan sapnął i odzyskał głos.

— Oto ja — zaczął i urwał.

Nad puszką ryżego pochylił się przechodzień, potem drugi i spełnił swą powinność oddalając się z lekkim sercem. Pierwszy kapłan potrząsnął wściekle chudymi, brudnymi ramionami.

— Oto ja, kapłan Twój, wznoszę rękę i choćbyś ją miał utrać w gniewie słusznym, teraz i zawsze, kiedy Żyd przeciwko Tobie pięść wyciąga i bluźni... Oto ja, wobec tych, którzy odeszli, wobec tych, którzy nadejdą...

Ciężkie, niewypowiedziane bluźnierstwo wisiało w powietrzu.

— Mały, a gdzie ty zaflancujesz te swoje ogórki?

— W gruzach.

Ostrzyżony po tyfusie Lejbuś pchał przed sobą nieduży czterokołowy wózek pełen żółtozielonej mizernej rozsady i nie zważając na przeszkody przepychał się środkiem ulicy. Elijahu wołał z ogonka rozradowanym głosem:

— Ogórki najlepiej na śmietniku!

— Ty się śmiejesz. Wiem.

— Nie. Nie.

Plama potu rozlewała się na chałacie; pierwszy kapłan zakasłał sucho i utknął w zawilościach swego psalmu, zachrypnięty, znudzony wielogodzinnym zawodzeniem. Głos mu się rwał.

— Oto ja mówię. Mówię i urągam... Wielorybem chciałeś zaćmić świat?

— Ss — syknął drugi kapłan. Upadła moneta wypuszczona z

ręki przechodnia. Szybko się podsunął. — Będzie policzone!

Pierwszy kapłan zamilkł, zwiesił twarz. Pobłaźliwie odepchnął charłaka, który porzuciwszy pod ścianą chleb i blaszaną miskę, z ożywieniem pełził ku nagromadzonej jałmużnie, a potem postawił stopę na jarmułce i dalej zawodził bluźnierczą modlitwę. Odtrącony szkielet nagle krzyknął, kręcąc się w miejscu, wyrzucając dłonie jak ślepiec. Tu, tam zbierając z kamieni kurz. Chleba porzuconego pod murkiem już nie było. Mojsze Połamaniec odwrócił się zawiedziony. A Długi Icchok siedział na krawężniku i szarpał zębami ostatnie kęsy.

— Chaim, bierz bianiak i wracaj — wołał Baruch Oks. Nad pełnym wiadrem krążyły zawzięcie muchy i w kurz ulicy sączyły się lepkie strumyki pomyj.

— Już!

Padł strzał, krzyknął człowiek. Znienacka zaterkotała seria z automatycznej broni i kulki gwizdały w ruinach wzniecając kłębki kurzu. Kapłani padli na twarz. Mur zamykający wylot Walicowa zasłonił przed oczami tłumowi biegnących żandarmów, a oni z wrzaskiem i tupotem gonili kogoś długo. Powstało zamieszanie; najpierw uciekli kupcy ociężałym truchtem, godnie wyrzucając przed siebie nogi, za nimi tragarze przepadli w głębi ruin. Eliaszk ukrył się za wozem trupów. Tłum w ogonku zawrzał, zakołysał się trwożnie, lecz nie poruszył sprzed kuchni gminnej. Pogoń oddaliła się w kierunku Hal i placu Żelaznej Bramy. W ciszy, jaka panowała, rozległ się drwiący głos Barucha Oksa, który z czarną skórą przerzuconą przez ramię stał pośrodku placu, w pełnym słońcu mrużąc oczy.

— Aj, aj, aj, to dopiero wieloryb!

Mundek Buchacz kołysząc barami oddalał się bez pośpiechu z miejsca, gdzie leżeli kapłani płasko rozciągnięci. Małym,

szybkim ruchem wsypał monety do kieszeni, czarną jarmułkę wyrzucił wysoko za siebie. Pusta, lekka frunęła w powietrzu i cicho upadła na bruk.

— Będzie policzone.

Przejął głowę i mrugnął do Barucha. Usta rozciągnęły mu się szeroko.

— Skandal — krzyknął ktoś w ogonku.

— Porządkowy! Tu!

Jałmużnicy unieśli znad ziemi twarze. Ryży otworzył oko, przymknął, otworzył znów. Strzały ucichły. Krótkie, podarte rękawy wyrzucił przed siebie i podsunął ostrożnie jedno kolano. Wypiął ryżą bródkę i wodził nią dokoła.

Załkał:

— Nie masz, nie masz dla nas Jerozolimy.

Załkał trzeci kapłan:

— Bądź surowy, ale sprawiedliwy, Panie nasz.

Załkał pierwszy kapłan:

— Bądź Nielitościwy, ale nie okrutny, Panie nasz.

Załkał drugi kapłan:

— Bądź nam katem, lecz nie trzymaj z naszymi katami.

Załkał trzeci kapłan:

— Bądź nam oprawcą, lecz nie trzymaj z naszymi oprawcami.

Trzej kapłani zaszlochali razem, jak dzieci.

— Bądź nam oprawcą wiekuistym, lecz nie raduj się z naszymi oprawcami.

Banda Barucha Oksa zgromadziła się przy pełnym kubie. Klęczeli wdychając mdły zapach polewki w kurzu ruin. Mojsze uniósł czerpak sporządzony ze starej puszkii po konserwach i zanurzył miarkę w kubie, kurczowo przyciskając kikut do boku. Kuba Wałach odepchnął Chaima i pierwszy nadstawił miskę, z

zaciętą twarzą pochylając się nad wiadrem. Henio Siedź oblizywał mokre usta, spękane i nadzarte łuszczycą, a Mordka mrużył powieki wdychając odór przegniłej zeszłorocznej kapusty. Josele Żółtko chciwie patrzył na ręce Połamańcowi, a jego wypukłe, żabie oczy — zdawało się, że wyskoczą i plusną do rzadkiej polewki.

— Jemu dawaj — Baruch Oks odepchnął Kubę i za kark przyciągnął małego Chaima. — Patałachy! On dzisiaj ma być pierwszy. Obrócił tam i nazad cztery razy.

Mundek Buchacz ponuro palił peta za plecami Barucha Oksa. Poczawszy woń gminnych pomyjek przysunął się w ich stronę Długi Icchok. Po opchnięciu gliniastego kartkowego chleba miał nieruchome, szkliste oczy, pot na czole. Ociężale zataczał się, wpadał na ściany i czał.

— Na dzisiaj dosyć. Wystarczy ci, Długi — i Mundek Buchacz pchnął go z rozmachem w kurz ulicy. Twarzą na kamienie, jak pusty worek.

Puszki kołysały się, mijały leżących pod ścianami charłaków i tłum zawracał spod kuchni gminnej, ściągany ich krzykiem.

— Nie ma, nie ma dla nas Jerozolimy!

Puszki kołysały się niepewnie w rękach i kleiste pomyje wyciekały za brzegi, parząc palce. Dawid, Eljahu i Zyga zmęczeni wracali późnym popołudniem ostrożnie niosąc przed sobą naczynia, z których chlustało na bruk. Za nimi został Waliców pełen zgiełku zawodzących, skomlących żebraków.

— Giniemy, a kat chodzi wolny między żywymi, którzy głoszą chwałę jego. Giniemy, a silny urąga naszej śmierci. Giniemy, a imię nasze przepada wraz z życiem, z woli Swej bowiem nie zezwalasz na świadectwo. Giniemy, stróże starodawni Twoich praw i wiary, a wraz z nami ginie wiara i prawo Twoje na ziemi.

Szczep nie zazieleni się więcej. Owoc dojrzały nie wyda nasion, kiść uschnie. Panie, pustynią odtąd władać będziesz... Ziemia jest naga. I zginie wszelki ślad Twego stworzenia, amen. Amen. Amen. Rachmunes, gite menszn! Rachmunes, rachmunes! Gite menszn, hot rachmunes, warft a szikełe brojt. Brojt, brojt... Umarli, rzućcie chleb umarłym.

Parszywa, chuda szkapa wlokła z wysiłkiem wóz sztywnych szkieletów, a Eliasz szedł obok trzymając luźne wodze. Droga z Walicowa na Okopy była długa, usiana trupami.

— Gdzie masz oczy, pętaku? Ustąp, ustąp! Nie widzisz?

Potrząsając butami w powietrzu pełnym zmierzchającego, broczącego słońca Ernest biegł im naprzeciw. Od kiedy nogi zaczęły mu puchnąć, próbował buty sprzedać na mieście, ale nie mógł znaleźć kupca; potem obrzmienie ustąpiło samo, a on nadal chodził boso dla wygody. Czekał teraz na ich powrót markotny, a z poczerwieniałego nosa złaźiła mu opalona skóra.

— Wiecie już, co się stało?

Nie dają mu dojść do słowa. Zyga uderza Ernesta w wiotki muskuł tak, aby poczuł. Elijahu mówi z energią:

— Panowie — i stawia blaszankę z zupą na ziemi. — Mam na oku interes. Złoty interes, tylko musicie na mnie polegać. No, jak?

A Ernest swoje:

— Wiecie, co się stało?

Zyga przerywa mu hałaśliwie, rozzłoszczony żalonym głosem Ernesta: — Bee-e, beczy koza be-ee. Mów, Albinos, co, i daj mi święty spokój. Wisła się pali?

— No, jak? — pyta Elijahu. — Stoi?

— Mur — odpowiada Dawid.

A za nim Ernest; ale widać, że co innego go gnębi.

— Mur.

Tak jakoś niewyraźnie. W bramie trwa mrok, cisza, przzerwana donośnym ziewnięciem, które uleciało nagle przez otwarte okno; gdzieś blisko jadowicie syczy płonący karbid; Natan Lerch woła kogoś z okna na pierwszym piętrze; na czwartym Juda Papierny boleśnie wzdycha oparty łokciami o parapet; na podwórku, wychylona z ostatniej bramy — obejmującej łukiem czerwone morze ruin i oddalone, bure sylwetki idących na przełaj ludzi — stoi ruda Estusia z włosami rozwianymi w słońcu, unosi powieki i z wahaniem, pytająco wskazuje palcem siebie; trzasnęły gdzieś drzwi zamknięte z rozmachem; a z dołu, z suteryny na drugim podwórku rozlega się rozpaczliwy krzyk krawca: „Regina, Regina, dolej mi wody!” W stajni Mordchaja Sukiennika głuchy rumor.

Zatarta w pamięci twarz wynurzyła się z cienia i wuj Jehuda staje nad nimi — z ramieniem wysuniętym miękko do przodu. Ostatnie, niskie promienie barwią nikłym pyłem jasny zarost, łagodnie plamią blade czoło, lgną do białej koszuli widocznej spod rozchylonego płaszcza.

— Łobuzino — przyciąga Dawida przyjaźnie do siebie. — Żyjesz? Jak tam, Jakow... w domu?

Dawid patrzy bez radości w twarz Jehudy, w jasne i zmrużone sucho oczy.

A potem wskazuje riksę zatoczoną w kąt podwórza i przewróconą bokiem, spoczywającą na swym zwykłym miejscu z jednym kołem uniesionym w powietrzu; to znak, że ojciec wrócił i zabrał drugie koło z sobą, aby mu wózka nikt w nocy nie ruszył.

— O, już musi być.

— A ty? Co tu jeszcze robisz, łobuzino. — Obrzuciwszy spojrzeniem garnczki, które stały na ziemi, dodał tylko: — Ach,

tak — i przepadł na schodach.

Ernest, który zamilkł przy nim, mówi:

— Wiecie? Nie? To się dowiecie... Stróż porąbał Sukiennikowi konia!

— Na kawałki — powtarza za nim cicho Lejbuś. Ostrzyżona po tyfusie szara czaszka kołysze się na wątlej szyjce i uszy tylko widać wielkie, sterczące.

— Co-o takiego?

— A tak, siekierą.

— Siekierą, siekierą — potakuje Lejbuś.

— Cicho — woła Elijahu.

I zrobiło się cicho.

— Było tak — mówi Ernest. A potem zaczyna opowiadać. W południe, o tym czasie, kiedy oni warowali pod kuchnią gminną na Walicowie, skołała najmniejsza pociecha stróża, Surele. Najpierw w stróżówce był zupełny spokój, a potem naraz wyskoczył Chaskiel na dwór i zaczął wywijać siekierą. Szkoda, że tego nie widzieli. Jak lata po podwórku i wywija siekierą w biały dzień. Lata i krzyczy. Niech schodzą, on zaraz zrobi porządek i nakarmi całą kamienicę. Z tasakiem, z nożem. Co kto ma. Niech idą. No i zaczęło się. Mordchaj Sukiennik pił z Żeleźniakiem na Grzybowie, a koń nad pustym żłobem cały dzień. A Chaskiel o tym dobrze wiedział. Poszedł i siekierą stworzenie! Po łbie, ale miał już słabą rękę. Po karku, po grzbiecie! A kobyła uwiązana na łańcuchu i tylko wierzgała, a stajnia we krwi. Koń ukląkł. Ludzie tymczasem stali naokoło, głowa przy głowie, i czekali. Patrzyli, co z tego wyniknie, a Chaskiel się zmęczył. Wtedy Kalman Drabik wrócił, ten rzeźnik z drugiego piętra. Nie prowadzi już uboju i masarnię dawno zamknął, ale zawsze to rzeźnik i do niego przychodzi co tydzień szmugler z rąbanką i z

kiełbasami. Ludzie, co to ma być? Jatka czy mordownia niewinnych stworzeń? Rozpaprać robotę, zacząć i nie skończyć! Tak krzyczał, tak krzyczał. A Chaskiel-stróż powiedział, że bardzo cię przepraszam — że bardzo go przepraszają, tego Kalmana, ale tutaj bieda z nędzą i dyzenteria z tyfusem, bachory mrą jak muchy, a końca nie widać. Inni mogą to samo powiedzieć. Jak jest! Niech mówią. Mówili wszyscy to samo, konina, nie konina, trefna, nie trefna, coś do garnka trzeba włożyć. Mordchajowi? Mordchajowi zapłacą, złożą się razem i zapłacą za zmarnowanego konia. Za mięso. Ale Kalmanowi, który był rzeźnikiem cechowym, chodziło nie o to. Tylko że konia nie tak się szlachtuje.

Tylko tak i pokazał, a miał złotą rękę. Najpierw puknął kobyłę drewnianym młotem między uszy, a potem wziął długi ostry nóż, przejechał palcem po ostrzu i pociągnął tym ostrzem raz po gardle. A potem pociągnął jeszcze raz i sprawa załatwiona. Nikt nie wiedział nawet, kiedy. Tak się uwinął. Macie — i zanim mięso wystygło, ludzie je obskoczyli. Rozbierajcie — to powiedział jeszcze rzeźnik Kalman Drabik. Każdy z tym, co miał, z nożem, z tasakiem kuchennym, rzucili się na kobyłę i zaczęli rozbierać. Tak ją rozbierali może dziesięć minut, aż zostały na ziemi przednie nogi z kopytami, łeb z grzywą, czerwona wstążka, ogon i flaki, ale po flaki przybiegł Nahum Szafran, zgarnął na taczki i uginając się pod ciężarem potoczył wszystko razem w ruiny, gdzie przesiedleńcy koczują. A kiedy Mordchaj Sukiennik wrócił, w stajni leżała zakrwawiona skóra. Obijał pięściami głowę, latał po piętach, łomotał wszędzie do drzwi i wołał, że tego nie przeżyje. Powiesi się, zaraz pójdzie się topić w Wiśle. Pobiegnie na wachę, stanie przed żandarmem z czapką w rękę, niech go żandarm z łaski swojej zastrzeli, bo on bez chabety już

nie ma co robić na tym świecie. Bez konia, bez wozu.

— Mnie? Ostatniego furmana na Krochmalnej? Mnie taka rzecz spotyka?

Jeszcze teraz wołał. W ciszy przytającej głucho kamienicy słyszeli jego krzyk.

Mordchaj przeżył swego konia; nie umarł ze zmartwienia, nie powiesił się po stracie, nie utopił w Wiśle. Porąbał furgon, porąbał dorożkę, a drzewem tym palił całą następną zimą. Ale przy koniach pozostał do końca, prawie do końca. Prowadził potem w dużym getcie niebiesko-żółty omnibus, konny tramwaj żydowski z gwiazdą Dawida wymalowaną z przodu i z tyłu, jako miejski kuczer na pensji gminy. Przez Żelazną, Gęsią i Nalewki. „Mordchaj, Mordchaj, strzelnij z bata!” Stary furman znów stał na wysokości i ze swojego kozła górował nad tłumem; stamtąd wydawał zdychającym chabetom zachęty w dziwnym, zapomnianym, prastarym języku, a wewnątrz na twardych ławkach omnibusu trzęsła się gromada zawszonych pasażerów. „Mordchaj, Mordchaj, strzelnij z bata...” A kiedy owego lipca, pamiętnego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku zajęły budy z żandarmami na Krochmalną i na podwórzu stanął policjant i krzyknął: „Żydzi, wychodzić! Już czas!” — i zaczął tłumaczyć rozkazy Niemców, i nawoływać, żeby zeszli na dół, żeby zeszli, bo i tak im już nic nie pomoże, i tak czeka wszystkich to samo, i tak wyciągnie ich za brody z kątów, jeśli nie zejdą zaraz, wtedy Mordchaj zamknął stajnię na kłódkę, klucz cisnął w gruzy i wyszedł przed kamienicę pierwszy.

Pod ramieniem niósł starą torbę na obrok, a w tym worku miał nóż, rzemień i kawałek zeschniętego chleba. Przechodząc podwórzem zatrzymał się jeszcze, zastukał do suteryny Zajączka i zawołał:

— Jankiel, idziesz?



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#).

VI

W rożku szarej koperty mały znaczek za dwa szylingi, niebieski jak niebo nad Ziemią Obiecaną. Na znaczku zgięty chłop i strzelista menora. Chłop tnie krzew i formuje winną łożę.

Menora wznosi ramiona ku niebu, kaleczony krzew unosi odrostki ku niebu i trwa, wydaje owoce.

Siedem jest dni w tygodniu, siedem ogni wypuszcza menora, siedem pędów prowadzi się na ramieniu winnej łoży. Sznur dwuramienny winorośli i menora wyszły z jednego pnia. W dniu święta ramiona srebrnego świecznika załśniły płomykami świec, a kiście owocującej łoży gronami słodkich jagód.

Pod słońcem pustyni pisane były listy Eli. Jedna kartka z podróży budziła lęk, dziwna i niepojęta. Na lakierowanej pocztówce miasto pełne barw i życia, wielkie, ruchliwe jak Babilon, a na odwrocie parę ciemnych zdań. Paryż rozdziera jej serce. Jesień przydaje mu melancholii i życie jest piękne! Co to znaczy? Ta kartka była cichym zmartwieniem w rodzinie Zajączków. Listy krążyły dawniej i po znaczkach zostały smutne dziury, bo Dawid wszystkie wydarł. Prawie na pamięć znał te słowa. Niech będą pozdrowieni w pierwszych słowach listu, jej szlachetny ojciec Jankiel i dobra matka Regina, która wydała ją na świat. Tam są wielkie upały, susza. Praca w takim słońcu i pot zalewa oczy. Ale ona dobrze się miewa, okulary dla ojca wysłała razem z szalikiem i skarpetkami, będzie już temu ze trzy tygodnie. A paczka doszła? Chce wiedzieć, niech piszą. Niebawem cytryna zakwitnie, wesołych świąt. Kiedy będą mogli razem usiąść do

stołu i odprawić seder? Otuchy, otuchy.

W drugim liście, pojechała do miasta, oparła czoło o mur placzu. Dużo myślała o swych kochanych staruszkach. Dlaczego los (pasma tuszu, cenzura). Ale nic. Jeszcze będą razem święcić Sukkot, w tym cała jej nadzieja. Namioty przeniosą i rozbiją w winnicy. Nastanie święto i prawdziwa radość, zatańczą dziewczęta, chłopcy zaśpiewają, a jej kochani staruszkowie patrzeć będą na to, klaskać w dłonie i popijać wino. Czy mama pamięta jeszcze małą, śmieszna kuczkę z doniczkami w sieni, którą wystawił tam ojciec? Ona nie może zapomnieć. Piękne, drogie wspomnienie dzieciństwa. Życie nasze (cenzura). Więc niech się trzymają ciepło. Całą rodzinę, wszystkich pozdrawia, a tymczasem kończy. Kiedy napiszą znów? Tysiąc pocałunków. Odwagi! Ten list był tuszem zaczerniony i na kopercie siadła czarna szwabska wrona. Co zamazane, tego nie można czytać. Jankiel Zajączek miał grubą, szarą kopertę pełną stempli, znaków komory granicznej. Czyje ręce dotykały listów na ich dalekiej drodze? Kto rozróżni zamazane słowa? Krawiec bezradnie obracał kopertę, wtykał chłopcu do rąk. Ciągłe wołał Dawida do siebie, jak wówczas, kiedy listy krążyły. Który to już raz? I prosił:

— Chodź, poczytasz mi troszkę, uczony chłopczyku. — Trząśł brodą, rozpościerał ręce, jakby go chciał schwytać, a druciane okulary zjeżdżały nisko z nosa i w oczach gromadziły się czyste, lekkie łzy.

— Nie chcę — mówił i patrzył obojętnie na splukane deszczem lustro z pierwszego piętra wiszące wśród ruin.

— Chodź, Dawidek, spodnie ci za to uszyję. Ładne, cajgowe.

— Na szelki czy na pasek? Na pasek, Jankiel, na pasek!

— Niech będzie, grzeczny chłopczyku, a poczytasz troszkę list

mojej Eli? Ostatni raz proszę. — Jankiel sztywno sięgał po jego twarz zgrubiałymi rękami o pokłutych, czarnych palcach.

— Już nie chcę — mówił. — Nie, nie — i uciekał pod stajnię Mordchaja, a stamtąd na przełaj gruzami biegł na Waliców do kuchni gminnej, mijając legowiska wysiedleńców.

Długi Icchok opuścił już wtedy stajnię, przegnany przez furmana w przeddzień Zielonych Świątek, kiedy Mordchaj Sukiennik swoim zwyczajem sprzątał ciemną szopę. Tego roku banda Barucha Oksa terroryzowała Waliców i Krochmalną z pieśnią na ustach. W biały dzień rzucali się ze strasznym spokojem na stragany, bici rozpraszali się w milczeniu i wracali znów; grasowali wzdłuż muru staczając z przemytnikami dzikie bójki o towar. Rosły im kły i pazury, a ręce same wyciągały się na widok chleba. Długi Icchok, ten podbiegał do przechodnia na ulicy, wyrywał mu bochenek spod ramienia i w oczach napadniętego, krztusząc się i stękając pod uderzeniami, siniejąc z pośpiechu połykał czarny kartkowy chleb.

Dawid idąc z blaszanką do kuchni gminnej albo z kartkami do sklepiku myślał z lękiem o długich, czarnych paznokciach, suchych ramionach, o zaropiałych oczach w twarzy ziemistej i martwej, ściągniętej grymasem głodu.

Jego całym majątkiem była zawszona koszula na plecach. Miał jeszcze wyżebrane czy ukradzione portki drelichowe sięgające do kolan i drewniaki. Długi Icchok przyciągnął tutaj pewnego dnia z transportem wysiedlonych. Najpierw zjawił się Fajwel Szafran, dwóch jego synów, Nahum i Szulim, córka Estera, a za nimi włókł się Długi Icchok, który pochodził z tych samych stron. Zimą pierwszego roku wojny otwarto na dalekich torach dworca towarowego wagony pełne odartych z odzieży ciał, martwych i żywych tulących się do siebie, zeszywniałych na mrozie jak

kamienie. Przytomnieli dopiero za murem, na ulicach przeludnionego miasta — i na ulicach marli, w ruinach, w sieniach kamienic, na strychach, w piwnicach, dokąd wtargnęli.

Wielki tłum przepłynął tymi ulicami, a w gruzach na Walicowie pozostał Fajwel Szafran, Nahum i Szulim, Estera. Stanąwszy na obcym bruku Nahum podał Szulimowi ciężar i ucałował ogonki cyces, a może strzępy łachmanów, które opadały z niego. Pejsy na skroniach, kosmyki lepkich i brudnych włosów zarastały uszy Szulima. Bezradnie krążyli tego dnia po ośnieżonej Krochmalnej, pokorni i cisi, nie mając odwagi wyciągnąć ręki po jałmużnę, mijani przez przechodniów, dla których tak oto stali się żebrakami. Wkrótce rozeszła się w zaułku wieść, że nocą uciekli z płonącego domu modlitwy unosząc życie i zwój Tory. Odszukawszy krewnych za drutami w bliskim miasteczku, przetrwali czas jakiś na garnuszku gminy, a potem uciekali dalej zostawiając za sobą zgliszcza, aż dostali się do małej powiatowej miejsciny, skąd Niemcy wysłali ludność getta transportem do Warszawy.

Wszyscy czworo pukali do drzwi, skarżyli się stojąc w sieni. Nahum i Szulim dźwigali wielki zwój, który unieśli w ucieczce.

— Spryciarze, wzięli się na sposób. — Chaskiel-stróż mówił na ich widok: — Pukają do serc zasłaniając się Torą. Kto da więcej?

Pożar jeszcze długo oświetlał ich pociemniałe twarze, odbijał się dzikim błyskiem w oczach.

W ruinach na Walicowie dniem i nocą koczował tłum żebraków i wśród nich znaleźli miejsce przesiedleni. Klecili paleniska z cegieł, pod osłoną wyburzonych nor rozkładali barłogi. Po wodę szli do kamienicy i zimne noce przesypiali na kłatkach schodowych; z czasem zajmować zaczęli mieszkania

opuszczone przez zmarłych na tyfus, zamorzonych głodem. Przygarniał ich reb Icchok w nielegalnej bóżniczce na Ciepłej, gdzie rozkładali się pokotem w ciasnocie i rejwachu na deskach Bimy i pod wielką Arką, roniąc wszy na zbutwiałe ze starości makaty. Reb Icchok robił starania w Judenracie o kartki żywnościowe dla przesiedlonych i zawartość skarbon przeznaczał na ich posiłki z kuchni gminnej; a pewien piekarz z Grzybowskiej, po tamtej stronie muru, wysyłał swe dzieci parę razy w tygodniu z chlebem na Ciepłą, aby stary rabin mógł dokonać rozdziału. Wielu wolało swoje legowiska w ruinach od ciasnoty małej bóżnicy i wracali na Waliców, gromadząc skąd się da graty i starzyznę, materace, skorupy.

Na rozciągniętych sznurach schła przepocona odzież. Powiewała na wietrze bielizna, kołdry, koce. Kiedy reb Icchok zjawiał się między nimi, otaczali go kołem.

— Owieczki wy moje — mówił. — Owieczki wszawe. Komu jest lepiej? Święto szałasów obchodzą przez okrągły rok. — Śmieli się świszcząc, charcząc, pokasłując. Reb Icchok zdejmował czarny kapelusz i otrzepywał żółty pył, który sączył się z ruin. — Cóż ja? Na cóż wam ja? Kiedy nie odróżniam czerwunki od tyfusu. Przyprowadzę lepiej Obuchowskiego.

I prowadził tam dr Obuchowskiego, który ze słuchawką wetkniętą do ucha i w białym fartuchu zarzuconym na płaszcz grzął w gruzach rumowiska. Siłą, we dwóch wyciągali z barłogów apatyczne widma i wlekli wśród szłochu rodziny na punkt sanitarny.

— Tyfus szczepić. Wszyscy na dół. — Chaskiel-stróż stukął młotkiem w szynę, jak na alarm.

Otwarta walizeczka z narzędziami. A przed nią długi ogonek charłaków, każdy z zawiniętym rękawem. Dr Obuchowski kłuł,

opatrywał ropnie, słuchał skarg. Przytykał szkieletom słuchawkę do żeber, wzdychał i w roztargnieniu patrzył daleko przed siebie na kołyszące się ruiny, skąd kurzyło żółtym pyłem — a po namyśle pisał receptę. Charłacy niechętnie ściągali koszule, odwracali oczy; przyprowadzone dzieci surowo śledziły ruchy lekarza.

Estusia Szafran wyszła ze stróżówki z miednicą na biodrze, zwinnie stąpając po rumowisku. Dr Obuchowski krzywiąc się wsadził ręce do miednicy, z ubolewaniem obejrzał szary ręcznik i zawołał donośnie: — Następny.

Szła spuchnięta Rywa, za nią Rojzełe o ściągniętej, brunatnej twarzyczce. Dr Obuchowski zmarszczył brwi, wypychając językiem wargi zrobił „goryła”. Rojzełe roześmiała się cieniutko. Uspokojony ujął rękę Rywy. Górowała nad siedzącym jak kufa. Obrzęk głodowy szerzył się od nóg do szyi i po każdym ruchu drobne drżenie wstrząsało całym ciałem. Rozkudłane czarne włosy okryte miała szafirowym włóczkowym czepkiem, przypiętym na czubku głowy. Zmiotło uśmiech z twarzy dr Obuchowskiego.

— Puchlina brzuszna? Wszystko dla ludzi, pani Ajzen. Zdarza się. Nic surowego, proszę. Kleik. To znaczy wasser-zupkę z kuchni gminnej przegotować w domu. Przetrzeć przez sitko wyjęte jarzynki. Zaprawić kleik odrobinką mąki i spożywać z wysuszonym dokładnie chlebem kartkowym. Smacznego! A gdyby kawałek koniny, oho. Mięso mleć. Podziękowanie, następny.

Na ropiejącej łydce rozstąpiła się skóra odsłaniając wydrażony mięsień. Szulim Szafran czekał z zadartą nogawką, boso, pokazując nogę, która nie mieściła się w drewniaku. Dr Obuchowski szarpnął pincetą strzęp ropnia. Szulim łagodnie

odwrócił ku niemu twarz.

— A co to, kochasiu? Fiuu! Przyjdź z tym do kliniki. Dziesiąta — dwunasta rano, codziennie. Nie paprz, nie dotykaj brudnymi rękami. Następny!

Długi Icchok, skurczony, bolesciwym ruchem trzymał spodnie. Dr Obuchowski odciągnął powiekę, palcami ugniatał żołądek.

— Głupota plus galopująca czerwonka. Znowu obzarłeś się rzepą, draniu. Surowizna na twój delikatny żołądeczek to śmierć. Mogłeś sparzyć i nie tłumacz się brakiem opału. Nikt nie uwierzy. A skąd tyle żarcia wzięłeś? Dziesięciu zdrowych na twoim miejscu wyciągnęłoby kopyta. Nic surowego na czczo. Podziękowanie, następny.

— Ranny, puśćcie do doktora!

W ogonku powstało zamieszanie, potem wystąpił do przodu Mundek Buchacz niosąc na temblaku okazałych rozmiarów zawiniątko, w którym tkwił skaleczony palec. Dr Obuchowski uśmiechnął się na jego widok.

— Nareszcie coś. Pokaż. Zdarty paznokieć? To rozumiem. Łupinę od ziemniaka, na to szmatkę, na to czerwoną nitkę i tak trzymaj dwa dni. Bandażem możesz się podetrzeć. A jak nie wyzdrowiejesz, to cię zabiję. Marsz, następny!

Fajga w milczeniu obróciła Lejbusia twarzą do lekarza. Uśmiechał się nieśmiało, piąstką ocierał złączone wargi. Ostrzyżona po tyfusie czaszka kołysała się na chudej szyi. Dr Obuchowski wyjął słuchawkę z uszu.

— Zaraz pójdziesz do apteki na Chłodnej, wiesz gdzie? Parę kroków. Kazesz sobie podać butelkę tranu. Grosze, akurat na twoją kieszeń. Trzy razy dziennie łyżka stołowa. Możesz moczyć mu w tranie suchary, krasić zupę, w razie potrzeby ziemniaki. Ja tego paskudztwa do ust nie brałem, Lejbuś. Karmili siłą,

zatykając mi nos. Ale dzisiaj? Nie ma rady. Podziękowanie, następny!

Stali za szopą Mordchaja Sukiennika, w głębi drugiego podwórza, w miejscu gdzie dawniej furman zrzucił sterty zzieleniałej słomy i nawozu. Zagon lekkiej ziemi garbił się na wyrównanym byle jak rumowisku. Elijahu wbijał kołki w grunt. Ogonek przed lekarzem malał i coraz cichszym echem tłukło się w załomach ruin jego pokrzykiwanie.

— Następny, ęny, ęny.

Wiatr podrywał w powietrze wirujące kłęby kurzu. Osuwały się omdlałym, tanecznym skretem. Elijahu chwycił łopatę.

— Mam ci dać całą Australię z kangurem i trzy Luksemburgi za tę kancerę bez różka i z takim prześwitem?

Dawid powtarzał z uporem:

— To Madagaskar — i nie chciał opuścić ceny.

Charłacy rozprasiali się i na pustoszejącym miejscu stał fotel pośrodku ruin. Dr Obuchowski palił znużony, prostując na oparciu plecy. Kiedy pójdzie, Chaskiel z powrotem fotel zabierze. Chaim Sierotko szurnął trepkami wzbijając kurz, ukłonił się grzecznie. Zastygła, cicha twarz i z wysiłkiem przymrużone powieki. Czekał cierpliwie, wyciągał szyję. Dr Obuchowski przyglądał mu się uważnie, palił z grymasem:

— Ty jeszcze żyjesz? Nie myślałem. Największa omyłka w mojej praktyce. Chaim, pójdiesz ze mną natychmiast do szpitala. Zaczekaj trochę, następny!

Rzucił papierosa.

— Następny, ęny, ęny — powtarzało echo wędrujące w załomach ruin.

Elijahu pchnął szpadel w grunt i sapnął; ostrze uwięzło w rumowisku cegieł ledwo przysypanych ziemią.

— Daję Australię z kangurem. Albo trzy Luksemburgi.

— Tak nie biorę — upierał się Dawid. — Australia z kangurem i trzy Luksemburgi.

— Mów do mnie jeszcze. — Elijahu machał łopatą. Dawid usiadł na piętach, łokcie oparł na kolanach, twarz złożył na dłoni i patrzył na to z zajęciem.

— Co tu posadzisz, na tej swojej działce?

— Pomidory — sapnął Elijahu. — W sam raz miejsce dla nich. Cały dzień słońce.

— A sadzonki?

Sadzonki Elijahu zdobył, ale pomidory nie przyjęły się jakoś. Wypędzone, chude łodygi zwiotczały i stuliły liście, a potem schły bez ratunku, chociaż Elijahu całe dni tkwił przy rozsądzie i bez wytchnienia polewał ją wodą, aż lekka warstwa nawiezionej ziemi rozmyła się i spłynęła z błotem, a spod gruntu wyjrzało suche rumowisko cegieł. Kancera Madagaskar sprzedana została za trzy Luksemburgi, zeschnięte zwłoki roślin całe lato leżały na słońcu, a oni nadal przychodzili tam się opalać i klękali na zagonku, ostrożnie dotykając palcami nielicznych pędów czarnej rzepy i cebuli, które wzeszły. Żuli zerwane bladozielone listki wchłaniając gorycz. Obok, na działce Chaskiela, rozrosły się warzywa dogłądane przez stróża i Rojzełę, której szkielecik obłaził ze skóry w spiekocie. Dawid i Elijahu oglądali bujne pióropusze marchwi i selerów, splachetek kwitnących kartofli, rzędy jędrnego bobu i karłowej fasoli. Zakradli się tam pewnej nocy; używali jak cielęta wypuszczone na okólnik. Leciutki powiew wiatru głaskał twarze, z ruin falami napływał ciepły pył. Kiedy gdzieś tam pod murem bity Żyd zaniósł się jękliwą skargą, obok upadła trącona w popłochu cegła.

— Dalej jazda, już cię tu nie ma. — Zjawa w gałganach zastygła u drzwi szopy, a przebudzony furman gderał. — Popatrz na mnie. A potem na siebie, Długi. Po mnie nie spaceruje ani jedna weszka. A na tobie? Maszeruje cały pułk z orkiestrą. Kładź się. Tylko z daleka.

Elijahu położył rękę na desce i chciwie przyłgął do ściany szopy słuchając z otwartymi ustami. Mordchaj usnął i rozlegało się miarowe pochrapywanie: fiju-chrr!

— Cholerne zielsko. Trochę za dużo opchnąłem — mówił szeptem Elijahu.

Dawid poczuł, jak robi mu się niedobrze, mdło i dzwonił zębami. Elijahu wpakował dwa palce do gardła, pozbył się wszystkiego. A on krztusił się własną dłonią, spocony. Jak wówczas, przed wojną, dawno temu, kiedy w połowie uciekł ze snu, ciężkiego niczym zmora. Zmora wysmażona w technikolorze dla starych kretynów i ich drobnych kretyniąt, pełna brodatych duszków, z rycerzem na białym koniu, z królewną w lesie. Kruk siadał na jej ramieniu, za plecami powiewał czarny płaszcz. W wielkim kotle jedno małe zatrute jabłko. Dziewczyna ugryzła owoc i padła śpiewając pełną piersią. Dawid z bólem głowy oglądał cienie na płótnie, sentymentalno-okrutną intrygę ze słodkimi piosenkami, pełną złych i naiwnych kolorów i morałów. Ogarnął go lęk; najpierw w kinie, a potem we śnie. Krzyknął, przebudził się i zakrztusił. Ojciec pytał: „Co mu?” A matka ujęła go mocno za czoło i odchyliła w tył głowę.

Siedział w gruzach, na działce, oparty plecami o szopę. Elijahu stał nad nim blady, trochę wystraszony i nie wiedząc, jak mu pomóc, tłukł go dłonią w plecy, pomiędzy łopatki i w kark. Wiedział, co odchorował: obraz Disneya przyprawił go o mdłości i dziecinny lęk, a widział ten kolorowy pasztet w

kinoteatrze „Uciecha” za pięćdziesiąt groszy. Za pięćdziesiąt groszy umierała królewna, galopował biały koń, nuciły basem brodate duszki. Ciało dziewczyny ożyło wśród westchnień i usta śpiewały radosnym sopranem. Duet przemknął w galopie przez ekran. Koniec, ustał szum projekcji. A dlaczego we śnie drugi raz to samo zobaczył? Pewno ze strachu.

Dawid i Elijahu chodzili na działkę całe lato i sparzona skóra złaźła z nich wielkimi strzępami.

Waliców buchał zgiełkiem, wrzaskliwym lamentem. Cmentarny wóz jeździł tamtędy codziennie i ogołoczone ze zwłok chodniki zapełniali wciąż nowi charłacy. Bezwstydnie podciągali szmaty i pragnąc poruszyć serca przechodniów, zmusić je do litości, pokazywali kikuty przeżarte ropniami od kostek do bioder. Pewnego dnia Eliasz szedł za wozem wołając:

— Kijów padł!

Charłacy zerwali się z miejsc. W ciszy, jaka zaległa, Fajwel Szafran wyszedł ze swej nory i przyciskając oburącz blaszanek zbliżył się do tragarza.

— A Mińsk?

— Zdobyty.

— Charków?

— Wzięty.

— W ten sposób front został wyrównany.

Rudy kantor zamachał krótkim, wystrzępionym rękawem i widać było, jak zaciska suchą pięść.

— Przekleństwo faszystom, przekleństwo — mrucał. — Przekleństwo, śmierć im. Teraz i na wieki. Amen.

W milczeniu rozchodzili się ustępując z drogi, puszczając załadowany wóz Eliasza. W ogonku przed kuchnią gminną jeden drugiemu przekazywał już wieść z frontu, a zanim Fajwel Szafran

zdążył wrócić z blaszanką zupy w ruiny, kamienica na Krochmalnej była o wszystkim powiadomiona. Mówiono szeptem. Długi Icchok przebiegając tamtędy wrzasnął:

— Małka, Małka, zadrzyj kieckę!

Stała pośrodku zaułka w białej brudnej sukience na liliowym spodzie, który prześwitywał przez przejrzystą gazę. Na jej szyi i suchych ramionach wyleniały rudy lisek wisiał pyszczkiem do ziemi. Sztywno podeszła do Lejbusia, wetknęła mu w rękę menażkę i pogładziła po ostrzyżonej szarej głowie.

— Rybeńko, zrobisz to dla mnie? Stań w ogonku i wykup zupkę. Mnie tak nogi bołą.

Lejbuś skrzywił się i powiedział sucho:

— Małka, a co za to dostanę?

— Resztę ze złotego.

Podreptał do ogonka, a Małka stanęła zastawiwszy widok na ulicę. Wśród żebraków rozległo się psykacie. Rudy kantor wściekle potrząsał krótkimi rękawami. — Precz, precz, nieczysta kobieto.

Długi Icchok wołał:

— Małka, gdzie masz kawalera? Hrabia Grandi ci się kłania. Skąd te kwiatki?

Dawid ukradkiem patrzył w tamtą stronę czerwieniąc się i bojąc, aby ktoś tego rumieńca nie zauważył. Elijahu uśmiechał się niewyraźnie. Trzymała w spoconej dłoni parę przywiedłych, wymiętych kwiatków.

Kurzem przysypane były kwiatki, sukienka, twarz.

Długi Icchok wyrwał jej mizerny bukiet i z chichotem cisnął na ziemię, a potem dokładnie rozcierał drewniakami, aż zostały tylko szczątki i rozmazana, wilgotna, zielona plama na kamieniach.

— Tfu! Kocham kwiaty, zwierzęta i dzieci. Człowieka nienawidzę.

Szarpnęła wyleniałego liska za ogon i przekręciła pyszczkiem na plecy.

Małka to zwykłe imię. Ale w starym języku oznacza królową. Ostatnia w tłumie ńdzarek nazywać się może Małka i nie wiedzieć, że nosi królewskie imię, a byle ulicznik woła za każdą obdartą Żydówką: „Małka!” Felek Piorun na niepewnych nogach zatrzymywał się na ulicy, zdejmował czapkę, zamiatał nią przed sobą i wołał: „Królowo, dla ciebie wszystko.” Małka wsiadała do dorożki, on podawał jej ogień, zaciągała się petem, który cały wieczór tkwił nie dopalony między palcami, i drynda ruszała na Bagno. Jechali pić wódkę i śpiewać do rana piosenki. Czy Felek Piorun wiedział, że „Małka” znaczy królowa? Tak mówił. Dla pijaka każda dziewczyna z ulicy może być królową. Pijacy mają swój język i ten język płacze im się ze wszystkimi innymi językami.

Długi Icchok chichotał upiornie i wskazywał ją palcem, kiedy czekała na powrót Lejbusia z menażkami. A ogonek przed kuchnią gminną pełzł do przodu jak wycieńczony charłak wzdłuż ściany.

Wracając z garnkami Dawid stawiał gorącą blaszankę na ceglach i siadał między wysiedleńcami z kresów, słuchając ich śpiewnych głosów.

— Przeżyłem życie jak się należy.

Estera rozwieszała mokre szmaty na sznurze, wspinała się na palce. Wykręcała ręką bieliznę, chlustała wodą. Płaskonosy Nahum rąbał krzesło na ogień. Fajwel Szafran mrucał:

— Przeżyłem życie jak się należy, a teraz muszę patrzeć na to grzeszne miasto. Tfu, bez obrazy, Babilon... Szulim! Gdzie jest

Szulim? Poszedł już po tę polewkę?

— Poszedł, poszedł — mówił Nahum.

— Miski umył?

— Umył.

— Tfu, kara boska, niekoszerne pomyje w niekoszerniej skorupie i ja mam to połykać na stare lata. A ty czyj jesteś? — Lwia broda wskazywała Dawida. Spojrzenie złotych oczu starca przesuwano się po nim. — Ostrzyżony jak goj. Gdzie masz pejsy? A może u was już nie noszą? Pejsy nie są w modzie, co?

— Tate, nie czepiaj się — i Estera uśmiechała się do Dawida.

— Ny, ny, jak się odzywa do starego ojca.

— Tu nie wieś.

— Widzę. Tfu, że Babilon.

Estera rozwiesiła bieliznę, wyszła z sandałów i wsadziła do miednicy nogi. Przygryzła wargę; lekkimi ruchami płukała stopę, łydkę, kolano, uniosła spódniczkę i zwilżyła uda. Długo oglądała piętę przechyliwszy za siebie głowę i włosy luźno spłynęły na plecy.

— Ny, paskudnica, widzicie ją! A do mykwy kto za ciebie pójdzie? Tam idź, tam obmywaj cielsko. Chociaż przystawią stempelek do bonu.

Woda w miednicy pociemniała, a dziewczyna opuściła powieki i spokój ogarnął jej twarz.

— Do mykwy? Tate, z mykwy przywlec można tylko tyfus.

Rude włosy ujęła wymoczoną, różową dłonią i zwinęła w gruby węzeł. Schyliła się, kawałkiem szorstkiej cegły tarła podeszwy stóp.

— Bezwstydnica!

Przybladła, zielone oczy zabłysły. Gibkim ruchem wyciągnęła wilgotną nogę i dużym palcem przysunęła sobie z daleka

drewniany sandał. Wiatr się zerwał, sypnął kurzem na potłuczone skorupy i śmiecie, targnął brodą staruszka, spódniczką u białych kolan. Wyżej, nad ich głowami stały nagie ruiny chwając się i kołyszac łagodnie. W zębach zgrzytał piasek.

— Kto tam? — pytał staruszek. — Ty, Szulim?

Gdzieś obsunął się gruz; na widok Długiego Icchoka, który skradał się w jego stronę, Dawid złapał stygnącą blaszankę i nie oglądając się za siebie, na przełaj, pod oknami Zajączka uciekał do domu.

Długi Icchok we dnie kradł, żebrał, wałęsał się z Baruchem Oksem i czatował na szmuglerów z placu Żelaznej Bramy, a nocą wpełzał do swej nory w sąsiedztwie Szafranów, jamy niedołącznie wrytej w usypisku. Otoczył ją pryzmą ułożonych luźno cegieł, okrył drzwiami starej szafy, arkuszem falistej blachy i szczeliny pozatykał strzępami smołówki skradzionej u dekarzy. Wszystko to zgromadził przed świętem szałasów, kiedy — jak co roku — ulice i domy zazieleniły się raptem mizernymi namiotami, jakie nieporadnie i śpiesznie klecili Żydzi w ten czas. Z braku gałęzi schrony świąteczne na podwórkach, balkonach i w sieniach stroili zielonymi gałganami, derkami, kwiecistymi obrusami, czym kto jeszcze miał. Zwiędłe łachmany długo potem polatywały w górze, jak wielkie nietoperze.

— I znowu święta — narzekała matka.

Stała w otwartym oknie, odwrócona. Szare i złote światło łagodnie obejmowało jej czarną sylwetkę, głowę, ramiona, włosy. Splotła palce unosząc łokcie. Ugięte dłonie potrzaskiwały sucho. Odwróciła się i zmierzchające słońce czerwono zalśniło w jej oczach.

Zaglądając do przyniesionej blaszanki narzekała:

— I znów Sukkot. No tak, ledwo minie nowy rok, w parę dni

po pokucie musi stanąć kuczka. Oj, Żydzi, Żydzi, a gdyby tak raz obyło się bez tego? Co to ma być? Mordchaj, który cały rok spał w szopie z bydłkiem, też musiał w tym dniu wystawić szałas. Chaskiel-stróż zabrał dzieciarnię w gruzy na ten swój warzywnik. Posadził na grządkach Rojżele i Awrumka. A Rywa chodzi tam i nazad ze stróżówki na podwórze z miskami. A potem je odnosi. Dumna jak paw. Jankiel, któremu w suterynie wałę się na głowę cztery piętra, też wystawił sobie świąteczny szałas! U Mordarskiego, który zre słoninę za trzech i zapomniał słowa modlitwy, na balkonie stoi, a jakże, okazała kuczka. Natek Lerch postawił na oknie doniczkę z kaktusem zamiast kuczki. Sura-przekupka wyniosła na podwórze dwa krzesła i położyła obrus w kwiaty. A co to ma być? Kuczka! Fajga daje swojemu Lejbusiowi cukierek pod namiotem. Namiot... Szmacina rozciągnięta na sznurze od bielizny! Mecenas Szwarz, ten przechrzta, co czterdzieści lat nazywał się Czerniatyński, jak jaki magnat z pięcioma pałkami w herbie, i na ścianach u siebie wieszał wypchane zające i jelenie rogi, w tym roku kazał sobie wystawić strojną kuczkę, żeby nie zapomnieć czasem, że jest Żydem. Po co daleko szukać? Papierny też kazał nad łóżkiem powiesić ptaszki-wydmuszki i zieloną gałązkę. A skąd wzięć w dzisiejszych czasach gałązkę? I Buba mu przyniosła. Spod ziemi wykopała i przyniosła, żeby paralytyk mógł zjeść brukiew w świątecznie przybranym łóżku. Śledziarka z jedną zasiusianą koszulą na grzbiecie i ostatni bogacz, który przez okrągły rok śpi na puchowym piernacie, szukają świątecznej niewygody w ciasnej kuczce. Wszyscy chcą świętować, jak na Żydów przystało. I nikt nie pyta, czy w ogóle Żydowi teraz świętować przystało... Świąteczny rejwach. Co to ma być? Sukkot? Pomieszenie z poplątaniem! Przesiedleńcy w ruinach mają swoje święto

szalałów pod gołym niebem cały rok.

— Tymczasem. Święte słowo, tymczasem!

— Nie przerywaj mi, kiedy mówię. Zawsze milczę jak grób, tylko ciebie słyhać. Raz do roku po pokucie mogę też coś w tym domu głośno powiedzieć.

— Kobieto, tobie przecież usta nie zamykają się od rana do nocy.

Ojciec kluczem naciągał szprychy na obręczy koła i palcem próbował, czy dobrze osadzone.

— No, nie mówiłam, że wykipi? I wykipiało! Kiedy ja grzeję mleko, ty zawsze musisz zrobić awanturę.

— Ja? Awanturę?

Ojciec złożył ręce na obręczy koła.

— Raban w domu, z garnka kipi, a mnie już łez brakuje.

Matka kupiła gdzieś odrobinę mleka na święta. Kiedy mleko wycieka za brzegi garnka, robi się swąd, wtedy sypie szczyptę soli na blachę, i to pomaga. Zła, rozżalona, przygaduje:

— Nigdy dobrego słowa nie ma dla mnie w tym domu! Co powiem, to źle. Co zrobię, to nie tak.

Ociera łzy, wzdycha.

— Tak mi tego mleka żal.

Ojciec unosi koło i przesuwając obręcz w dłoniach ogląda pod światło skręt.

Mówi:

— Tymczasem. Święte słowo, tymczasem! Kto je wymyślił? Na pewno Żyd klejąc szalałów.

— Eeee.

— Tymczasem kuczka osłania nas. Oj, cieszymy się.

— Eee.

— Dzisiaj jestem tu, jutro tam. Oj, cieszymy się.

— Ee, pomieszanie z poplątaniem!

— Tak jest urządzony ten świat, że wszędzie znajdzie się jakieś małe, ciche miejsce na mój mizerny szałas.

— Tak było dawniej. Teraz jest *Judenrein*... Ja tu mówię o uchodźcach, którzy latem i zimą nocują w ruinach pod gołym niebem, a ty mi chcesz zaraz, na poczekaniu, wyłożyć sens doli żydostwa.

— Tak wszystko zostało między nas podzielone. Zapomniałaś? Co reb Icchok powiedział? Kiedy stanąłem z tobą pod czerwonym baldachimem, całe życie było przed nami. Całe nasze życie było jasne jak dzień. Ty miałaś martwić się o duże rzeczy, ja o małe. Ty miałaś kłopotać się o nasz los, a ja trapić losem całego żydostwa. A powiedz mi teraz z ręką na sercu, czy można było lepiej podzielić cały świat między nas, abyśmy na tym podzielonym świecie zostali zawsze razem? Czy reb Icchok nie miał lekkiej ręki? Powiesz może, że miał ciężką rękę? Dzisiaj, po tylu latach... „Jest, jak jest. I nie ma o czym mówić.”

Matka śmieje się.

— Kiedy ten baldachim spadł nam na głowy, wszyscy zaczęli wołać: „Zła wróżba? Dobra wróżba? Zła wróżba!” A reb Icchok powiedział: „Jest, jak jest. I nie ma o czym mówić.”

Matka śmieje się, a ojciec patrzy ukradkiem w jej twarz.

— Jeszcze nie zapomniałaś?

— Kiedy baldachim upadł, było mi strasznie. Myślałam, że zapadnę się pod ziemię. — Matka przykłada dłoń do policzka i pochyła głowę. — I... i takie ciemne ciasto upiekłam na ten dzień. Po rozkrojeniu został tylko gruby zakalec. Okropnie mi było wstyd, żal. Sama nie wiedziałam, dlaczego.

— Szmuel dokuczał, krzywił się, jak on: „Co za chała? To ma być chała?” A ojciec nas bronił: „Kiedy chała na stole, nie pytaj,

z jakiej mąki. Jedz, Szmuelu!” No i musiał zjeść.

— Każdy zjadł po trochu ten zakalec. — Unosi głowę. — Ale jednego ci do śmierci nie wybaczę.

— Czego?

— Ile czasu minęło, zanim do wesela doszło?

— A?

— Zwlekałeś, zwlekałeś, a ja czekałam jak głupia.

— Znowu? Miałem przecież terminową robotę u starego Lewina! Trzeba było najpierw się z tym uporać. Chcesz cały stołowy urządzić w pięć minut?

— Tak, tak. Osiem krzesel, dwa fotele, stół.

— I kanapka! Fornir sykomora, gięty dąb. Wtedy sykomora była bardzo, bardzo w modzie. Widzę jak dziś. Obicia, czerwony brokat ze złotą krepinką! Nieczęsto taka robota się trafia. A potem...

— A potem było nasze wesele.

— Czekaj, jeszcze nie. Potem Lewin zapłacił i zrobił drugi obstalunek. Musiałem urządzić służbówkę dla Ceśki. Wszystko pociągnięte białym lakierem, nawet ramki do obrazków. Niech go nie znam! Ręk nie mogłem domyć. Samego adamaszku wyszło ze dwadzieścia metrów.

— Wszyscy mówili, że stary Lewin okropnie się w niej kochał.

— E, gadanie.

— A jednak poszła z nimi za mur. Popatrz, złoto, nie dziewczyna.

Ojciec powtarza:

— Osiem krzesel, dwa fotele, stół z pomocnikiem i kanapka. Widzę jak dziś.

Zapada milczenie.

— A potem tak mną zakręciło. Nie miałam czasu obejrzeć się za siebie. I to wszystko — matka wykonuje nieokreślony ruch — wydawało mi się takie małe. Jak gdyby moje życie było zawsze gorsze niż ja. Nie takie, jak ja.

Urywa.

— Mów, mów.

— Pewno zgrzeszyłam. Pychą.

— Ty i pycha! Dobrze sobie.

— A dzisiaj wiem, że i to można utracić. Tak niewiele.

Drży podbródek i nagle tworzy się wyraźny dołek. Macka zaciska zęby, zaciska mocno powieki. Marszczą się wargi, brwi, skronie, czoło. Kładzie sztywno ręce na twarzy i przez palce toczą się strumyczki łez.

— Widzisz, każdemu zgotowano ten sam los.

— Wolno mi... pomyśleć... że... to kara... na mnie?

— Wolno, tylko nie dodawaj sobie zmartwień. Jak mleko wykipi, nie trzeba od razu robić rachunku sumienia.

— Kiedy ślepiec się potyka, czy to znaczy, że został ukarany za grzech? Już dawno został ukarany ślepotą. My, Żydzi, jesteśmy detaliści i dlatego nie możemy dojść do ładu z Panem Bogiem. A Pan Bóg to hurtownik i nie dba o detal. Tylko hurtownik mógł stworzyć taki świat w sześć dni.

— Ręka mu nawet nie zadrżała. Ale co z tym mlekiem? Zostało trochę?

Matka nie odpowiada. Szlochając przykładła dłoń do policzka i pochyla nisko głowę.

Sukkot, święto zbiorów, wspominków całorocznych i cicho skrywanych życzeń, przemienione w beztroskie święto koczowników, kiedy wynoszono na dwór doniczki z palmą, gromadzono późną zieleń, jedlinę i kwiaty, pleciono lekkie

girlandy, wieńce, płochy ozdoby. Kiedy wystawiano wśród okrzyków radości sprzęty z mieszkania, deski i okiennice, drzwi wyciągano z zawiasów, stołki z kątów, aby za ich pomocą sklecić tymczasowe i śmieszne budowle. A pod niepewnym stropem, w cieniu chwiejnych ścian pito wino i łamano ciasta, kosztowano rodzynki, owoce.

Zaczerpnąć powietrza w płuca, wznieść piosenkę pod gołym niebem, zachłysnąć się swobodą, beztrąsko czekać, zanim szalas runie na głowę. Zachłysnąć się swobodą, której nie ma, weselić pamiętając o smutku bezkresnej drogi, odegrać doroczną komedię wygnania i włóczęgi.

Takie to i święto, Sukkot, co przypada w porze pierwszych jesiennych wiatrów.

To cóż, że mija rok za rokiem i końca nie widać tej drogi? Taki już Żyda los. Wypędzą go stamtąd, przycupnie tu. Ucieknie stąd, powędruje dalej. A wszędzie, gdzie zdarzy mu się zatrzymać na krótko i odetchnąć w ucieczce — postawi tymczasowy, chwiejny, rozlatujący się na wietrze dom.

Był taki majster, który w przeddzień świąt przemierzał ulice z okrzykiem:

— Kuczki stawiam, szalasy buduję! Kuczki — a kiedy głowy wychylały się z okien, kończył: — Na wieczność.

Ale czy święto szalasów może trwać cały rok? Długi Icchok w swej kuczce sypiał, dopóki nie wygnała go stamtąd słota. Kiedy mżyło i nora wypełniała się wodą, wpełzał do suchej blaszanej beczki po smole wywróconej na ziemię, a jak nastały chłody, znów próbował wtargnąć do szopy Mordchaja, by ogrzać gnaty w ciepłe piecyka. Stary furman niechętnie go wpuszczał, bo Długi Icchok miał więcej wszy niż włosów.

— Już... już. Już, znowu tutaj. Łachmyta nie ma gdzie

wytrząsać swoich zagłodzonych wszy, tylko u mnie? Dalej, jazda!

— Mordchaj, gdzie powiedziano, że święto szałasów ma dla mnie trwać cały rok?

Długi Icchok smętnie czochrał łopatki okryte krostami i sterczące ostro na chudym grzbiecie. Długo, cierpliwie tkwiąc w drzwiach szopy, w głębi której niska koza prychała słomianym ogniem i pąsowała rumieńcem przelotnego żaru, mrugając od tego blasku zaropiałymi oczami, nie zrażony krzykiem ani smagnięciami bata w powietrzu, czekał, aż minie burza i będzie mógł wsunąć się w ciemny kąt na stos worków, pod stertę siana i słomy. „Rabuśnik!” Tak wołali za nim mieszkańcy kamienicy, wszyscy, od suteryn po strych, a Chaskiel przepędzał trupioszarą zjawę w łachmanach jednym machnięciem miotły. Wracał chyłkiem i chował się na ciemnych schodach, zniecka wrywał przechodzącym staruszkom brukiew; obrabowani rozbiegali się w długiej sieni z cichym piskiem myszy.

Na środku podwórza wyjął malcowi marchewkę z ręki i obojętnie schrupał. — Oddaj, złociutki — prosił Lejbuś. — Taki kawałek chociaż. Taki — pokazywał na palcu.

Akurat, zobaczy swoją marchew. Prędzej tutaj na ręce zobaczy kwitnący kaktus, na dachu zeszlóroczny śnieg, kłacz zaprzęzoną do dryndy i Mordchaja na koźle w dorożkarskim dekle.

Kiedy Długi Icchok przełknął i zamierzył się, Lejbuś uciekł na drugie podwórze. Po chorobie skóra luźno wisiała na łuszczącej się twarzyczce, pomarszczonej i znikomej.

— Koniku, koniku — szeptał w pustej stajni. — Brylantowy konisiu, ja ci dam cukier. Ja ci dam łąkę. Ja ci dam pałac... ja ci dam wszystko.

Przez otwarte drzwi widać było, jak Lejbuś długo stoi z czołem opartym o pusty żłób.

— Buba! Buba, córuchno moja, co ty tak długo tam robisz?
Papierny, któremu nogi odjęło, wołał ze swego łóżka i grzechotał blaszonym garnuszkiem, w którym tkwiła łyżka.

— Idę, idę.

W gęstniejącym zmierzchu unosiło się natarczywe, ckliwe mamrotanie przekupek, które zwijały stragany przed bramą.

Buba biadała:

— Co za dzień, i znowu nic. Jak tu targować? Dwa razy wywrócili mi stołek i przyszli rozmienić pieniądze na drobne... Cały mój zarobek.

O tej porze banda zaczajona w ciemnej bramie rzucała się cicho na powracające kobiety i wydzierała im z rąk, co się dało. Ale co można wydrzeć takiej przekupce, nawet po całym dniu targu? Były to stragany dla żebraków. Strzegły ich wysuszone cienie, które od świtu do nocy żebrały o kupno drzewa, brukwi, rzepy.

— Rabuśnik! Trzymaj go, łapaj... mój towar, moje pieniądze!

Banda Barucha Oksa staczała w ciemności krótką, szybką bójkę z handlarkami. Twarde stołki spadały na wygolone łby; głodne ręce dziko szarpały fartuchy i kieszenie. Połamaniec długo pluł i syczał w ciemnej bramie. Spuchnięta, pękata jak gliniany garnek głowa Śledzia toczyła się po kamieniach ze stukiem. Josełe Żółtko pierwszy uciekał, gdzie pieprz rośnie, i drewniaki donośnie klekotały na bruku. Kuba Wałach jęczał w kącie za śmietnikiem, leżąc brzuchem na zdobyczy, jak szczur boleśnie nadziany na drut ze skwarką, a Fajga butem okładała jego chude gnaty. Mundek Buchacz ledwo mógł sobie dać radę z rozjuszonymi wiedźmami i w zamęcie, jaki wyczyniała banda, uchodził, z czym się dało.

Przekupki szalały, rozczochrane. Chaskiel-stróż, przysięgły

rozjemca i sędzia kamienicy, rozkładał ręce z daleka.

— Sama słodycz, miód ze szmalcem — pokrzykiwała Fajga nazajutrz, kiedy w hałasie schrypłych głosów, w gorączkowym zgiełku znów przebudzonych do życia widm, które potrzęsały szalami wagi, w czystej wymianie kalorii i walut kiermasz żebraczy zaczynał się od nowa.

Buba z granatowym okiem po wczorajszej bójce poprawiała fiok nad czołem.

— Ej, kawalerze, daj zarobić ździebko. Zrób dobry początek od samego rana.

Zyga wałęsał się koło straganów, za nim włókł się Ernest i łakomie oglądał porozkładane słodycze. Sura od brukwi, rzepy i buraków wołała:

— Co ja robię, zwariowałam, za darmo oddaję. Ludzie, do mnie.

Fajga śpiewnie powtarzała:

— Bakalie tureckie. Brać, przebrać. Na sztuki, na wagę.

Bakalie leżały na stołku, w bramie. Fajga wyłożyła świeży karton prasowanego maku z cukrem, łuskane orzechy powleczone brunatnym syropem, draże, ciągutki, nugaty.

W jakim kotle, jaka wiedźma, przy pomocy jakich zaklęć, czarów, jadów pitrasila te paskudztwa?

— Sama słodycz. — Przytupywała za stołkiem, a męskie pantofle na jej stopach, obszerne i rozczłapane, jak dziurawe łodzie dryfowały w kałuży.

— Fajga, a na czym smażysz pączki?

— Ty rozumiesz, a ja wiem. — Wyjęła nogę z buta i pod stołkiem widać było, jak pociera palcami chudą włochatą łydkę.

Zyga stał przed nią brudny, uśmiechnięty. — Na wszawym łoju? Na szcurzym sadle? Co, Fajga?

— Zdechłaku — zawołała Buba od straganu z drzewem opałowym, karbidem i koksem. — Masz pusty bandzioch, gołą kieszeń, wszawicę na łbie i jeszcze tutaj pyskujesz!

Fajga wetknęła stopę do luźnego buta, pochyliła się nad stołkiem i syknęła:

— Rybi kłaku!

— Prukwa na kaczych łapach!

Sura od swojego wózka z brukwią, rzepą, burakami powiedziała cicho i łagodnie:

— Szmaja.

— Czego? — Zyga odwrócił się, rozbrojony. Na jej szarych, rozciągniętych szeroko ustach czaił się krzywy uśmiech.

— Szmaja, powiedz no, złotko moje, a kradniesz też lewą ręką?

— O, pocałuj mnie, wiesz gdzie, i zakręć korbą z drugiej strony.

— Co?

Przekupki śmiały się chórem.

— Surełe, oj Surełe, bo nie mogę. — Buba ostro popiskiwała z uciechy. Trzęsąc głową i burząc wysoki fiok dawała znaki Surze. Fajga zażawione ze szczęścia oczy wycierała fartuchem, smarząc na ziemię i dwoma palcami ściskając nos. A Sura, sztywna i nieporuszona, stała w milczeniu z tym swoim krzywym uśmiechem na szarych ustach.

— Co takiego, Szmaja? A, rozumiem. Rozumiem, tylko pojąć nie mogę.

Z pomocą biegł Elijahu zwabiony krzykiem, donośnym śmiechem. I jak gdyby nigdy nic:

— Co słyhać?

— Przekupki nie chcą zdychać.

Bez pośpiechu szli na drugi koniec uliczki ująwszy się za ramiona. Handlarki wracały do swych monottonnych nawoływań, dalej zaczepiały przechodzących żebraków.

— Wszystko to jest klej na wodzie, pic i fotomontaż. Kręcisz się tutaj — mówił Elijahu. — I co? Fajga, ta stara ropucha, krochmal smaży z melasą na oleju rzepakowym i zawija w błyszczący papier! Paskudztwo. Chodźcie lepiej ze mną, zapolujemy na koty.

— Nie mów. Z gołymi rękami?

Długo szeptali. Elijahu wytykał palcem.

— Albinos, idziesz?

— Idę.

— Szmaja, idziesz?

— Nie.

— To nie. Bierzemy worek, drąg i łopatę. Jazda.

Szli na Przebieg, z workiem, z drągiem i z łopatą do węgla.

Ernest trzymał oburącz drąg, Elijahu łopatę przerzucił przez ramię, Dawid zwinął worek. Tutaj było pusto, panowała cisza cementarza i tylko z oddali docierał stłumiony szum handlowej dzielnicy. Maszerowali wśród opustoszałych ruder, cierpliwie wałęsali się wokół posepnych czynszowych kamienic ogarniętych zarazą i skazanych na kwarantannę, wymarłych już i cichych, gdzie odór karbolu bił aż na ulicę i w pustce szczury odprawiały nad zwłokami kadysz.

Długo czatowali pod usypiskiem śmieci. Dzień włókł się, jak konający z głodu po kamieniach.

— Szpadłem przez łeb, raz — i Ernest pokazywał energicznie, jak uderzy szpadłem.

— I drągiem.

— I drągiem przez łeb.

Elijahu radził byle co rzucić na przynętę. Byle co, od razu przyjdzie do ręki.

— Ale co?

Przełękali ślinę.

— ...ci, kici, kici — wabił Ernest. — Kici, kici.

Ręce niewinnie założył do tyłu, pragnąc ukryć zamiary i okuty kołek. Sapał, niecierpliwie zaglądał przez okienko do piwnicy. Elijahu przysiadł na piętach w postawie, która nic dobrego nie wróżyła. Trzymał nóż z korkociągiem — własność Zygi — i obydwie ostrza były obnażone.

— Widzę, jest — mówił Ernest wsuwając głowę do piwnicy, ale było tam ciemno jak u Murzyna w kieszeni i nie mógł chyba nic zobaczyć.

Elijahu podniósł z ziemi porzuconą butelkę.

— Tym — powiedział i potrząsał nią groźnie nad głową, ale w drugiej ręce nadal trzymał ostry nóż.

Dawid trzymał worek.

— O, o — westchnął, kiedy z głębi sieni za ich plecami rozległ się słaby, przeciągły krzyk dziecka.

Zeszli potem po śliskich stopniach do piwnicy, brodząc ostrożnie w wysokiej warstwie rozsypanego pierza jak w zaspach kopnego śniegu. Obeszli suteryny i parter pełen porzuconych, szerniałych zwłok, tkwiących nadal sztywno w fotelach, spoczywających na materacach i zastygłych pod ścianami nago i w kłębach zapotniałych, cuchnących szmat. Na palcach wyszli stamtąd, jak ścigani.

— ...ci, kici, kici.

Nagły łomot blaszanek, które potoczyły się z usypiska śmieci, jęk potrąconej szyny — i odwrócili się wszyscy trzej. W tumanie kurzu, który zawisł nad tym miejscem, w burzy zgiełków, co

runęły na ich głowy i przetaczały się bez końca na dnie głębokiej studni podwórka, znajome widmo w łachmanach sunęło ku nim niedołęźnie, kołysząc się i kulejąc, klaszcząc drewnianymi trepami na betonie, depcząc z trzaskiem nagromadzone skorupy, szeleszcząc wśród gazet i z donośnym brzękiem roztrzając porzucone butelki. Uciekali — z workiem, z drągiem, z łopataą do węgla. A tamten zmarniały z głodu, rozjuszony szkielet biegł za nimi długo bełkocząc, aż echo huczało w ruinach Przebiegu.

— Yyy, łobuzy!

Bełkotał i rzucał butelkę podniesioną z ziemi.

— Yy, ja wam dam!

I rzucał puszkę po konserwach, i ciskał skorupę starego gara. Uciekali, a za nimi gonił szkielet, gubiąc w pośpiechu wszy.

Odetchnęli dopiero na drewnianym moście — skąd do domu było parę kroków — w tłumie przechodniów lękliwie przemykających tędy z głowami wciśniętymi w kołnierze. Uginały się, trzeszczały wąte deski, żandarm pod mostem wolno obracał się na posterunku. Stąd, z tego miejsca wyniesionego ponad ulicę, widzieli kręte, zatłoczone zaułki getta, rozległe czeluście Hal aż po plac Żelaznej Bramy, a bliżej, na skwerze, biały masyw kościoła Św. Karola i poza nim, w oddali, wierzchołki starych drzew w Ogrodzie Saskim.

— O, tam — wskazał ręką Elijahu. Z tęsknotą i smutkiem patrzyli przed siebie, pragnąc zobaczyć brzeg Wisły.

Za plecami, w remizie na Woli dzwoniły tramwaje. Elijahu zmrużył oczy, szybko przechylił się przez poręcz mostu i splunął na szczyt czerwono-czarno-białej budki żandarma, który stał właśnie odwrócony i zajęty kontrolą dokumentów. Przechodzień w chałacie i czarnym kapeluszu wrzasnął na ten widok:

— Żydzi, uciekajcie! — A kiedy w panicznym tłumie

biegnących most opustoszał, żandarm odwrócił się, patrząc w górę poprawił na czole hełm i bez gniewu zawołał: — *Juden, was ist los?* — zdumiony niespodziewanym zamętem.

A tam, na moście, trzech Żydziaków obojętnie stało przy poręczy i patrzyło sobie w dal, gdzie płynęła skryta przed ich wzrokiem rzeka.

— Eli, i jak ty teraz wyglądasz?

— Dawno już uciekły — powiedział Ernest. — Za mur. Na aryjską stronę.

Tak było; zwierzęta przenosiły się tam, gdzie śmietniki nie były przetrzāsane przez oszalałych z głodu ludzi, którzy skryci za kubłami śmieci rzucali się znieczeka na psy, koty i dusili je gołymi rękami. Zwierzęta padały pierwsze, kiedy ludzie jeszcze długo znosili swój los.

— Aha — mówił niewyraźnie Elijahu, zwiesiwszy głowę nisko za poręcz. — A wiesz, kto nas gonił taki kawał? Długi.

— Icchok. Ale co on tam robi? Niech idzie na Waliców, niech się kładzie na kamienie, ten zdechlak.

— Na Waliców, pies go jeszcze nie pogrzebał.

VII

Rosz Haszana, nowy rok, minął bez nadziei i głosu trąbki, Jom Kipur, sądny dzień, dopełnił się bez skruchy, Sukkot, święto zbiorów i urodzaju, nadciągnęło bez chleba. Z głodu czerniały twarze. Słońce tych jesiennych dni wisiało nad miastem jak tyfusowa wesz, która grozi wszystkim.

Ci, którzy mieli umrzeć, już wymarli. Ci, którzy będą dopiero umierać, żyli jeszcze, czekając na swoją kolej. Głodem wygnani z ciemnych, nie opalanych nor, biegli nocą przez opustoszałe ulice, bezkarnie i całym tłumem wołając, hałasując, brzęcząc pustynni blaszankami. Gubili po drodze wszy, kłęby łachmanów. Suche szkielety słaniające się bezsilnie w luźnych strzępach odzieży padały na ziemię ze strasznym skomleniem. Ich krzyk, bezładne skargi biły w okna. Nazajutrz stróże okrywali trupy papierem. Zaraza unosiła się wewnątrz murów, a groźba jej wybuchu w innych dzielnicach miasta skłaniała Niemców do tego, by wzmocnić straż przed wylotami ulic, wzdłuż ścieków u granicznego muru, wszędzie tam, któredy przecisnąć się mógł szczur i mały szmugler z workiem na chleb i tyfusową gorączką w oczach. Rozporządzenia ostrzegały żywych i martwych.

Domagały się wywózki zwłok w trosce o ogólne zdrowie. Stróże wdzierali się do zamkniętych na głucho mieszkań i wywlekali na ulicę ciała pokasane przez szczury. Tragarz cementarny, całe dnie krążący po mieście ze swoim wozem, potykał się o nie i ciskał między inne na skropione lizolem, cuchnące deski karawanu.

— Pogrzebacz!

Niosło się wołanie. A to starego Eliasza obwołano „Pogrzebaczem” i tak już zostało do końca. Witali go złym słowem, przekleństwem, obelgą, kiedy pojazd nadjeżdżał, zawsze na czas. Mijał bramy kamienic i rozlegał się ochryply krzyk:

— Trupy znoo...

Zwlekał czas pewien, wiódł spojrzeniem po zamkniętych oknach, a potem zawracał chyłkiem i toczył wóz dalej. Koń karawaniarza już padł i teraz Żydzi prężąc suche piszczele zaprzęgali się do karawanu, aby pod skrzydłami magistratu unieść ciała i za marne grosze wypłacane przez gminę dopełnić ostatniej posługi. W pośpiechu wlekli swój ciężar przez ruiny w tumanie śmieci, które porywał w górę wiatr, a brudna płachta okrywająca wóz łopotąła nad stosem martwych.

— Witaj, czcigodny, witaj, truponosie — zawołał Zyga na widok wozu, który zatrzymał się przed bramą tego chłodnego, pochmurnego ranka.

Wciąż w strzępach karawaniarskiego stroju, lśniąc smętnymi resztkami blaszanych guzików, machając połami rozpiętej kapoty, w jednym bucie z cholewą do kolana i z drugą nogą owiniętą w tobołek gałganów przewiązanych nieporządnie sznurkiem — Eliaz zawył unosząc ku górze twarz, a czarne zęby obnażyły się w krzyku. Był tam jeszcze z nim Awrum i dwóch nieznanomych młodych tragarzy, którzy stali beczynnimie, rozglądając się po ulicy, kaszląc, spluwając, dysząc ze zmęczenia. Awrum, syn Chaskiela-stróża, podciągnął z rozmachem spodnie przewiązane wysoko pod pachą, wiszące jak torba, o rozdeptanych w błocie nogawkach.

— Jedna chwileczka, już wracam. Tylko porachuję wszystkich

w domu — i z donośnym klekotem drewnianych trepów przesadził jednym skokiem małego Lejbusia przed bramą.

Leżał tu cicho od paru dni. Na brudnej twarzyczce miał cierpliwy, smutny uśmiech. Obok skoła już Fajga; zeszywniała na boku, z kurczowo podciągniętymi kolanami, z głową w kurzu ulicy spoczywały obnażone zwłoki, bez koszuli i w podartych skarpetkach. A kiedy mucha usiadła na czole martwej, brew poruszyła się jeszcze. Chaskiel-stróż długo stał tego ranka pochylony nad małym z garnuszkiem wody. Usta otworzyły się, ale woda wyciekała. Lejbuś niemo patrzył na przechodzących wielkimi, czarnymi oczami i nie wyciągał nawet ręki. Nocą jeszcze wołał cichutko pod zamkniętą bramą, wtedy nikt ku niemu nie wyszedł.

— Ale raz-raz! Zwijaj się, Awrum — wołał młody tragarz. — Nam to nie zajmie długo.

— Bierz za nogi. Ruszaj się, już — powiedział Eliasz i miejsce na bruku obok małego opustoszało.

Spojrzał w tamtą stronę, opuścił głowę, a potem podpełził do wozu. Niedołężny korpusik włócił za sobą obrzmiałe, słoniowate nogi, a ciężka czaszka dziecka kołysała się na szyi cienkiej, cienkiej i wątlej jak zwiędła łądyga. Kiedy zatrzymał się, wydając słabe westchnienie, i uniósł twarz, i przymknął ze znużenia oczy, stary tragarz odpowiedział ponuro:

— Wolnego, gdzie się pchasz, aniołku?

Dawid i Zyga stali bez ruchu widząc, jak Lejbuś śledzi w napięciu wóz i tragarzy martwym spojrzeniem. Tragarze milczeli nie odwracając głów. I nagle usłyszeli wyraźnie:

— Zabierzcie mnie stąd. Ja też...

Wrócił Awrum, w zębach trzymał suchy kawałek chleba. Wolne ręce obciągały obszerne, luźne portki. Przystanął, zmierzył

wzrokiem odległość, cofnął się krok, zwinnym łukiem przesadził malca leżącego na bruku i stuknąwszy trepami podszedł do wozu.

— Jazda, nikt nie woła — powiedział różnym głosem. I tak się zaczęło.

— Awrum, jeszcze raz. Pokaż, jak skaczesz.

Te luźne portki mu jednak przeszkadzały i plątały się nogi w śliskich drewniakach. Kiedy Dawid chwycił go z tyłu za koszulę, Awrum miał znów zajęte ręce. Pchnięty lekko, zatoczył się niezdarnie na ścianę.

— Co? Co? — powtarzał tylko i pod koszulę wtykał chleb.

Szli już od wozu tragarze z opuszczonymi nisko głowami. Zyga wybiegł naprzeciw i rozłożył szeroko ręce.

— Niech się biją. Zostawcie ich — krzyknął dziko i nagle się rozplakał.

— Tee. Sędzia kalosz... kanarki doić!

I Zyga oberwał w ucho.

— Zostaw, jeden z drugim — powiedział ponuro stary tragarz. Patrzył uważnie na małego, który sunął zawiedziony z powrotem na swe miejsce koło bramy. Lejbuś pełził ze zwieszoną nisko głową. Tam, gdzie miał zostać.

Awrum uderzył pięścią. Raz; a potem poprawił. Chwycił Dawida w pól i sapiąc z wysiłku pragnął przerzucić za siebie. Kołysał się na sztywnych, śliskich drewniakach i każda noga rozjeżdżała mu się w inną stronę. Przewrócili się obydwoj. Awrum skoczył rozżłoszczony i żałośnie uderzył na odlew, po twarzy. A kiedy i to nie pomogło, znów chwycił Dawida w pól i wodził dokoła siebie, uważnie już szukając trepami pewnego oparcia na bruku. Odchyliwszy raptem krótkim, skośnym ruchem głowę, zadał parę szybkich ciosów „bykiem”. Dawid ugiął kolana, osunął całym ciężarem i puszczając łokcie w ruch

wyrwał się z kleszczy.

— I grzech, i śmiech.

Stali w odległości paru kroków, głośno oddychając i śledząc uważnie swe ruchy, zwodniczo przebierając w powietrzu zaciśniętymi pięściami. Teraz! Dawid uskoczył za furę, kiedy Awrum ruszył do przodu. Słyszał śmiech tragarzy. To koszula Awruma, ledwo trzymająca się grzbietu, zaczepiona o deskę pękła z głośnym trzaskiem.

— Awrum, Awrum, nie daj się. W mordę go i nożem!

Szmaty fruwały po ulicy. Awrum zgubił chleb. Wpadli razem na ścianę tarmosząc na sobie resztki łachów, tłukąc się niedołącznie i beładnie młóćąc powietrze trepami; z rozpedu potoczyli się, dzwoniąc zębami na kamieniach, i znów zerwali na nogi, a Dawid chwycił Awruma za uszy i zaczął tłuc jego głową o mur, aż latała z boku na bok. Sapał; ciemno miał przed oczami, a z tej ciemności dobiegał go śmiech tragarzy i skarżący się głos:

— Za co? Za co?

Gromadził się tłum, a stary tragarz stał obojętnie wsparty na dyszlu.

— No, no, dosyć, smarkateria. Starczy tego dobrego.

Wybiegła przed dom Rywa z krzykiem:

— Żydzi, wy stoicie spokojnie i patrzycie na to, jak ten bandyta w biały dzień morduje mojego Awruma?

Krzyk Rywy, jej potargane włosy. Tragarze wsparci na dyszlu, uśmiechnięci beztrosko. Dawid patrzył na to, jak przebudzony ze snu. On tu stoi? Wstyd mu było i nie wiedział, dlaczego. Awrum klęczał w podartej koszuli, zasłaniając ręką usta pełne krwi, która sączyła się na łachmany.

— Tknąć mojego Awruma, a jego zdrowie wisiało na nitce. Co ja mówię? Na włosku... A teraz Awrum leży i się nie rusza.

Leży i się nie rusza.

Rywa ocierała oczy wierzchem dłoni, a potem dłonie ocierała o ścierkę.

— Ja go urodziłam, pod sercem nosiłam. Własną krwią wykarmiłam, słoneczko moje. I musiał przyjść taki bandyta bez litości, bez sumienia... Czekaaj, czekaaj, powiem twemu ojcu!

Ręce roztrzepotane fruwały w powietrzu, chwyciły za ścierkę i znów wracały do twarzy, mokrej i spuchniętej.

— Nieszczęście, nieszczęście! Kto ma serce, niech słuca.

Sura-przekupka wyniosła z kamienicy taboret.

— Mój Awrum, taki spokojny, muchy by nie skrzywdził. Siedzi sobie w kątku, coś tam czyta, coś tam pisze. Takie dobre, mądre dziecko, yyy — zawodzenie przeszło w szloch i Rywa usiadła na podsuniętym taborecie. — Ty, do ciebie mówię! Urke nachalnik, ty!

Siedziała na taborecie z szeroko rozchyłonymi kolanami i kiwała się do przodu i do tyłu. Spod czerwonych powiek łyzy ciekły do otwartych ust.

Wóz ruszył z miejsca i tragarze oddalili się ze śmiechem, a on poszedł w kierunku wachy, czapką obcierając potłuczoną twarz. Serce tłukło o żebra, słyszał je. Poczł ogromne znużenie i nogi uginały się pod nim. Wielkie krople potu sączyły się wzdłuż ramion. Szumiało w uszach, jak po nie przespanej nocy. Jak po dniu całym bez kawałka chleba. Widział teraz przed sobą twarz Awruma, białą, piegowatą. Widział rozwarte szeroko ze zdumienia oczy, zadarty beztrosko nos. Jasne włosy zarastające bezładnie kark i uszy, pejsy na skroniach, poślinione palcem, skręcone, cienkie jak mysie ogonki. Chaskiel-stróż mówi, że syn jego, Awrum, w dzień chodzi na miasto z tragarzami, a w nocy siedzi nad książką. Przy płomieniu karbidowej lampy wodzi

zmęczonymi oczami po starych wersetach, składa na stole rozpaloną głowę i budzi się znów, szarpie pilnie kosmyki pejsów aż do bólu, by nie zasnąć, i powtarza bez wytchnienia słowa, których...

— Nie leć tak, poczekaj.

Awrum siedzi nad Pismem i krew ociera z ust. A kto wytoczył tę krew? Wstyd mu było i już wiedział, dlaczego. We dnie trzeba dźwigać ciężar umarłych, którzy padają teraz, a nocą trzeba dźwigać ciężar umarłych, którzy padli dawno temu. Nigdy nie będzie inaczej, więc po co uderzył Awruma? Lejbuś przed bramą wyciągnie nogi do wieczora i nikogo to nie obchodzi. Że Awrum potrafił nogą tego umarlaka? Właśnie; i obraz Awruma przeskakującego w pośpiechu trupy, aby zasiąść czym prędzej do Pisma, wyogromniał w jego pamięci do niebywałych rozmiarów.

— Ej, nie leć tak, poczekaj. Jak długo mam nosić za tobą ten twój worek?

Słyszał jeszcze te słowa, kiedy już Zygi przy nim dawno nie było. O, biegnie teraz po tamtej stronie. Chyłkiem mija przechodniów, bez opaski na rękawie, którą oczekujący go koleżka wsunął szybko do kieszeni.

W zgiełku pojazdów otwiera się szeroko brama ustawiona w poprzek ulicy, żeliwna kratownica pochlapana minią, aby nie zżarła jej rdza. OD-mani na komendę, biegiem wprawiają w ruch i uchylają ciężkie wrota. Kiedy kratownica zamyka Żelazną, po tej stronie ruch ustaje i ulicą Chłodną sunie tramwaj, zwalniając biegu pod drewnianym mostem, a kiedy kratownica zamyka Chłodną, po tamtej stronie ruch ustaje i ulicą Żelazną pędzą wózki, riksze pchane przez tragarzy i spieszeni pasażerowie. Takie jest prawo, że kulisi mają biec razem z pasażerami obok roweru na tym odcinku. Można się zgubić w tłumie hałaśliwie

pertraktujących przez ulicę szmuglerów, którzy dają sobie znaki za plecami wart; można się zgubić w krzyku gorliwych policjantów, w komendach żandarmów czujnie wypatrujących ofiar, którzy przepuszczają i wstrzymują jednym skinieniem przechodniów z przepustkami, rewidują kolumny maszerujących tędy do pracy pod konwojem. Tutaj, u wylotu strzeżonej ulicy, każdy krok może być twoim ostatnim krokiem, Żydzie.

Żydów pilnują żółci, żółtych pilnują granatowi, granatowych pilnują żandarmi, żandarmów pilnuje SS, SS pilnuje gestapo, a na samej górze pilnuje wszystkich Heinrich Himmler i sam składa raport Führerowi, że nikomu dzisiaj nie uda się uciec zza muru. Żaden żydowski chłopak nie przebiegnie z workiem na tamtą stronę, *mein Führer*, wykluczone! Wächter, Krwaworączka, który trzyma teraz straż na skrzyżowaniu Żelaznej i Chłodnej, strzela bez uprzedzenia. Tamten, który stoi na posterunku przed południem, strzela w powietrze. Strzelanie w niebo to zajęcie zdrajców. Niemcy dawno zrobiliby porządek, gdyby nie marnowano naboju... A kiedy mróz? A kiedy mróz, *mein Führer*, niemiecki żołnierz strzela w rękawiczkach, według rozkazu. *Ah so, selbstverständlich*. Wobec tego zmienić porządek wart. Odtąd ten strażnik będzie stał przed południem, a tamten po południu. Rozkaz, ale jak ich poznać, kiedy twarze w tych żelaznych garnkach wyglądają zawsze tak samo. Tak strzelają, strzelają cały dzień bez wytchnienia i ręka ich nie zaboli?

POLIZEI DEIN FREUND UND HELFER. Przechodniu, bacność. Ocierając się w przejściu o Żyda narażasz zdrowie, chroniąc Żyda narażasz życie. Wysoko ceń godność swej rasy, każdego włóczęgę za murami getta masz obowiązek dostarczyć na najbliższy posterunek policji. *Achtung, Achtung. Vor Juden wird gewarnt. Halt! Warnungsstimme. Juden, Läuse,*

Fleckfieber. Dawid bezmyślnie zagapił się na afisze wylepione hojnie i obficie po tamtej stronie, ostrzeżenia, tablice. Pamiętaj o tym, Żydzi i szczury rozsadnikiem chorób. Oto na żółtym tle czarne postacie z kudłatymi brodami, a na ich ramionach szczury, których zwinne ogony kreśliły zamaszystym, ozdobnym pismem treść sloganu. Obok, na innym afiszu, ogromny insekt czuwał nad kolumną lakonicznych znaków. To insekt opity chorą żydowską krwią, strzeż się! Żyd z afisza miał wesz zamiast żrenicy, a drugie oko zwyczajne: chytrze i złowrogo przymrużone.

— *Halt, Ratte!*

Szczerniały Chaim biegł z zamkniętymi oczami, prosto na wachę, nie zdjawszy nawet opaski z ramienia. Łopotały podarte gałgany, kiedy posuwał się ten cień. Stopy omotane strzępami koca cicho stąpały po błocie, cicho i miękko, a czarna mordka sunęła w kierunku Wächtera, który w popłochu cofał się przed zmorą w łachmanach. Po pierwszym strzale zatrzymał się Chaim pośrodku jezdni i otworzył oczy. Stał, nie uciekał i tylko wyciągał szyję, patrząc tępy i uparty spojrzeniem na Niemca. Po drugim strzale zaczął przebierać palcami w powietrzu. Słaniał się z uniesioną głową, uchylonymi ustami, niemo, bez krzyku, jakby pragnął tylko zaczerpnąć tchu. Krwaworączka cofał się i strzelał, raz za razem. A potem zmienił magazynek.

— *Polizist, Polizist, komm hier, aber schnell! Nimm der Dreck weg und schmeiss an die Seite.*

Suchy szkielecik policjanci szybko odciągnęli na brzeg trotuaru, a krew leniwie spływała do rynsztoka.

Tak mijał przed wachą czas. A on ledwo na nogach stał i ze zgryzotą, zawiścią ciężką myślał o tym, że Zyga zdążył przebiec tam i z powrotem, chleb odnieść do domu i wrócić okrężną drogą. Znów jest przy nim, zdyszany, znów gotów do skoku.

Południe, najlepsze godziny minęły. Po zmianie wart nie ma na co liczyć. I Dawid wie, że dzisiaj nie pokona strachu. Już wie, że jest tchórzem. Tam czekają, a on wróci grzecznie i pokaże im puste ręce. Dawid niepewnie, z rzucającym się w oczy wahaniem próbuje przebiec strzeżony wylot, kryjąc się za ciężarówką, która właśnie wyjeżdża z dzielnicy, ale zanim minął czerwono-czarno-białą budkę Wächtera, granatowy palnął go od niechcienia pałką i zmusił do powrotu. Zyga przyglądał się temu z politowaniem.

— Oj, bo nie mogę! Tak to nic z tego nie będzie. Umarł w butach.

Kiedy ktoś tak mówi, wówczas się odpowiada:

— Z cholewami.

I Dawid, pragnąc pokryć zmieszanie, wstyd, powtarza:

— Umarł w butach z cholewami.

Eh, nie bądź baranem. Patrz, co się dzieje. Mordarski gada cicho z OD-manem na boku. To znaczy, że go urabia. Ale OD-man kręci głową, jeszcze nie. A Kalman Drabik daje znaki granatowemu z drugiej strony ulicy, zgina dwa palce i nieznacznie wykonuje gest, który znają wszyscy złodzieje i głusi. Uwaga, granatowy wchodzi do bramy, będą się targować. Tragarze tymczasem przysunęli się trochę. Oj, za blisko, już stoją za plecami żandarma, żandarm tego nie lubi. Sznur wózków przesuwa się Żelazną i miesza wszystko. OD-man wraca na swoje miejsce, granatowy wraca na swoje miejsce. A Kalman Drabik stoi w bramie i przyzywa Barucha Oksa. Widzisz, pokazuje Zyga. Gdyby *Herr Wachtmeister* dał się urobić teraz, będzie okazja przemknąć się z tragarzami. Tylko spokojnie, niech uważa, bo Krwaworączka nie lubi bałaganu i kropnie go jak szczura. No, no, rusza się czy się nie rusza? Tragarze odsuwają się z powrotem. Nici. Trzeba tak stanąć, żeby wszystko widzieć.

Trzeba czekać, czekać, zawsze czekać.

Jemu to łatwo powiedzieć; skacze na tamtą stronę jak stary. Zna wszystkie wachy w okolicy, na Grzybowie, na placu Żelaznej Bramy, na Lesznie; pamięta Wächterów, granatowych, żółtych, kiedy się zmieniają i którzy. Poznaje z daleka te mordy, wszystkie. Kiedy są pijani, a kiedy trzeźwi. Wypróbował przełazy, pory dnia i pory nocy, pchał się już na mur górą i pełzał przez odrutowane ścieki, wypatrzył takie miejsca, o których nikomu nie chce pisać słowa. Zna meliny, gdzie skrycie przebite wyłomy w ścianie prowadzą prosto na tamtą stronę, z kamienicy do kamienicy, ze strychu na strych. Nie wszyscy mogą trafić pod te adresy, które są świętą tajemnicą szmuglera, a za ich zdradę grozi splunięcie w twarz i nóż w plecy, a po ich wykryciu grozi rozwałka wszystkim przyłapanym na miejscu. Zyga wie, co się koło niego dzieje, widzi wszystko swymi małymi, skośnymi oczkami. Dźwiga towar na handel, dopuszczony do spółki z bandą, którą Mordarski opłaca, i nie ma dnia, żeby nie wymknął się za mury. A Dawid, śmiechu warte, ma pobiec do sklepiku po chleb, parę kilo buraków i nie wie nawet, jak się do tego dzisiaj zabrać. Stracił głowę. Sprytu mu zawsze było brak, sprytu i odwagi.

Grudniowe niebo nad miastem wisiało ciężko jak dym. Stał bezradnie do zmierzchu przed strzeżonym wylotem ulicy i trawił swój strach, niecierpliwość, gorzką zgryzotę. Jeszcze raz Wächter wygarnął w tłum gromadzących się uparcie Żydów. Wszyscy w popłochu uciekli do najbliższej bramy, więc i Dawid pobiegł za innymi, aby skryć się, a trafiony tragarz z Solnej szedł obok i oddalał się wolno, stękając jak źle zaszlachtowany wół, chwiejąc się na miękkich nogach. Buty zostawiały za nim na chodniku mokry ślad. Odwrócił się i z daleka wyciągnął ku

Niemcom wielkie, mokre, czerwone ręce.

Wołał:

— Aron Jajeczny, Solna dwanaście! Żydzi, zawołajcie moją...

Wächter uniósł karabin, starannie złożył się do strzału i odwrócił od swej głowy klątwę przelanej krwi. Ręce rannego opadły. Stał na szeroko rozstawionych nogach, pochylony do przodu i krótkim ruchem ręki usuwał łuskę z zamka, a potem takim samym ruchem, który był powtórzeniem tamtego w odwrotnym kierunku, wprowadzał następny nabój do komory. Karabin osuwał się w dół, a Krwaworączka z roztargnioną uwagą śledził celność strzału. Nikły uśmiech zawinął się wokoło zaciśniętych ust, oczu i natychmiast zgasł na szerokiej, jakby obrzmiałej twarzy, uwięzionej ciasno w hełmie opuszczonym nisko na uszy.

— Czapkę, czapkę... Żydzi, rzućcie mu czapkę!

Nie dzisiaj, to jutro. Będzie tak długo próbował, aż pokona w sobie strach. Ale to się tylko tak mówi: nie wierzył, że można pokonać strach. Dawid wcisnął pięści do kieszeni, wciągnął głowę w ramiona. Przed nim, w zapadającym zmierzchu, rozciągało się strzeżone miasto i bezładny zgiełk sączył się do uszu. Krzyk żebraków płoszył konie i omnibus utknął w rozległym tłumie, który włókł się ulicą Żelazną i dalej, jak wezbrana fala wstępował na drewniany most, a długa kolumna kulisów przy beczynnych rikszach z ociąganiem rozpraszała się w mroku przyległych zaułków. W głębi na ulicy Chłodnej, obwiedziony z dwóch stron murami żydowskiej dzielnicy, wznosił się na skwerze biały masyw kościoła Św. Karola; w grzmiącej muzyce organów, w chórze gniewnej modlitwy, która runęła z nagłą w noc, rozjarzyły się płomyki świec — na krótko i zgasły, kiedy zamknięto drzwi. Strzeżony wylot ulicy tonął w

sinym świetle latarni i te ochronne barwy przypominały, że ciemniejące niebo ponad miastem przeszyte jest we wszystkich kierunkach torami, po których maszyny jeszcze nie nadciągnęły; uwięzione w sieci smug szybkich i zwinnych reflektorów, które jeszcze nie zabłysły; wydrążone świetlistymi snopami ekrazytowych pocisków, które niemo spoczywały w komorach broni przeciwlotniczej. Była noc i cisza pod niebem, ale syreny, w każdej chwili gotowe odezwać się rykiem tysiąca tub, zainstalowane w swoich gniazdach pod dachami, czekały tylko na znak. Burzliwa muzyka organów, niejasne słowa gromadnej modlitwy obudziły niepokój całego dnia, rozgoryczenie, któremu teraz poddał się już biernie i z ulgą. Wezbrany smutek, tęsknota, ale za czym — nie wiedział, obmyły mocnym strumieniem jego bezsilną niecierpliwość. Stał w miejscu zaciskając pięści aż do bólu i sam wybaczył sobie strach, swą hańbę. Już późno, trzeba wracać. Niechętnie myślał o tym, że przyjdzie tutaj jutro. Zimny wiatr owiał wychudzone ciało, przejął do kości, pokierował jego krokami, kiedy po całym dniu beznadziejnego czuwania przed wachą wracał do kamienicy. Wspomnienie domu, gdzie syczy nad stołem zielony płomyk karbidu i barwi trupim światłem twarze bliskich, przepełniło go niewysłowionym ciepłem, otuchą i zawstydzone serce tchórza zabiło z radości.

Nazajutrz, równo z upływem godziny policyjnej, znów zgromadził się przed wachą tłum. Żydzi mówili szeptem.

— Ten tragarz z Solnej, co wczoraj oberwał w czapę, już stąd zabrany?

— Zabrany, zabrany. Była jego stara i wachman w drodze wyjątku pozwolił zabrać jeszcze ciepłego z ulicy.

— Ciepłego? Jakiś litościwy wachman, ma serce. Przeważnie zabraniają. Zastrzelony, to niech leży.

— To niech leży zimny trup na postrach. Kto urodził się Żydem, ma umierać Żydem.

— Tak, tak, święta prawda... A jak go zabrała? Ta mizerna, licha kobiecina?

— O wa, wózkiem.

— Wózkiem?

— Wózkiem podjechała, wózkiem go zabrała.

— Nigdy w to nie uwierzę. Jak mogła sama jedna poradzić? Jajeczny chłop jak dąb.

— O wa, z synem była, syn poradził. Jeździ riksą po mieście, nie wiesz czasem?

— To Jajeczny ma syna? Aron ma syna? Nie wiedziałem.

Chaim dalej leżał w tym samym miejscu na trotuarze, czarny i zmalaty jak zwłoki przejechanego psa. W odległości paru kroków żandarm oparłszy karabin o ścianę budki strażniczej rozcierał ręce nad żarem tłącym się na dnie koksowego kosza. Ranna mgła snuła się nisko nad ulicą, zamotała druty, ociążale sunęła ponad murem. Wlokła się jak natrętny żebrak przez wachę. Było szaro i pusto, ociągający się dzień wstawał w mdłym świetle gazowych lamp. Zamiatacz uliczny kaszłąc cicho podtoczył swój ciężar w ich stronę i jakiś Żyd wyjął z blaszanego pudła na śmiecie paczkę owiniętą papierem i natychmiast się oddalił. Żandarm udał, że nie widzi, z upodobaniem przyglądał się rozniecaniu ognia. Z pogrzebaczem i szczypcami zbliżył się zamiatacz do posterunku, rozgarnął śmiało tlejące węgle, potrząsnął oburącz koszem i koks począł dymić potrzaskując głośno. Strażnik zatarł ręce, przyjaźnie poklepał zamiatacza po ramieniu.

Stos wzniesiony, jeszcze chwila i zapłonie ogień. Dopełni się ofiara, ale jak to możliwe? Abrahamie, Abrahamie.

Stojąc w tłumie wyrostków Dawid gorzko rozpamiętuje poniżenie darowanego życia. Wciska się głębiej w bezładną zbieraninę matczynych chustek, szalików i sweterków, przydługich ojcowskich kapot, lejących z nóg kamaszy, które rozjeżdżają się na oblodzonych flizach chodnika. Kaszkiety opadają nisko na nos, ciepłe oddechy unoszą się w powietrzu, oczy błyszczą dziwną otuchą czy gorączką, a spodnie wloką po ziemi. Będą sterczeć razem, zbici w jedno stado, z woreczkami na chleb i kartofle, oczekiwać cierpliwie tej chwili, kiedy Wächter wspaniałomyślnie machnie ręką i zezwoli wybiec im za mur, rozproszyć się po okolicznych sklepikach. Będą czekać, przytupywać obcasami na mrozie, zabijać dla rozgrzewki ręce.

Za chwilę przebiegnie koźlę, Anioł wstrzyma cios, syn ujdzie żywy i ofiara dopełni się bez krwi. Ale teraz Anioła nie ma i nie rozlega się głos z góry. Stos już płonie, związane są ręce Izaaka. To trwa i nigdy nie minie. Ta chwila, ten ogień, ten lęk. Co z tego, że Abraham się wstrzymał? A gdyby nie rozległ się głos, a gdyby spóźnił się głos? Dalej leży na ziemi skępowane ciało, bezbronne rzucone, leży ciężka ręka Abrahama na twarzy Izaaka i on tego nie widzi. Czeka, może nawet nie wie, na co czeka? Pchnięta na kamień głowa Izaaka, napięte gardło i wzniesiony nóż. Tak to wygląda i tak to będzie wiecznie trwać. Dobrze, niech będzie. Niech się stanie krzywda syna, ale kto raz słyszał ten krzyk, nigdy już nie zapomni. I Abraham musiał słyszeć krzyk, który wstrzymał nóż w jego dłoni. Czyj był ten krzyk? Kto pobiegł i wytropił koźlę? Skoro słudzy zostali daleko. Kto niósł drwa i ułożył stos? A kto pytał Abrahama: oto ogień i drwa, a gdzie koźlę na ofiarę? Byli sami, Abraham i Izaak, bo słudzy zostali daleko. Ciężko pomyśleć, ale Abraham nie wznosił przeciwko sobie noża, nie... dlaczego?

— *Woran bin ich? Also wie gesagt* — ciągnął żandarm z ożywieniem i w połowie zdania zarepetował karabin. Beztrósko oddał strzał w niebo i pochyliwszy lufę ku ziemi opróżnił zamek z łuski zwinnym ruchem ręki.

Czyjeś drewniaki z donośnym, burzliwym klekotem oddalały się na bruku w ucieczce. A Wächter, wbity w kosmatą baranią szubę, z nogami w filcowych butach, tkwił dalej u zbiegu Żelaznej i Chłodnej, ociężale obracając się w miejscu, jak gdyby stąd rozciągał się rozległy widok na wszystkie cztery strony świata.

— *Der Wolf ist satt und die Kitze ganz* — powtarzał z uciechą. Śmiał się hałaśliwie jego towarzysz z wachy, a OD-mani markotnie zacierali ręce na chłodzie.

Dawid stał u wylotu w tłumie wyrostków i nie uciekał. Jakby miał już związane ręce i nogi. Dlaczego nie uciekał stąd, nie wiedział. Tak trzeba, ale dlaczego trzeba, też nie wiedział. Wstał tego dnia wcześniej rano i ojciec poszedł z nim na miejsce prowadząc pustą riksę w milczeniu. A potem się oddalił, nie czekając, machnąwszy ręką na wszystko. Bez wysiłku jechał, a wyglądało to tak, jakby koła same się obracały po ziemi, a każdy skręt brał lekko i Dawid spoglądał za nim zawistnie i z dumą. Uśmiechał się smutno, odwracał z daleka na siodełku, aż przepadł.

— Krwaworączki dzisiaj nie ma, podaj dalej!

Powtarzało się wołanie. Stali z nim razem tego ranka w tłumie u wylotu Mordka Caban, Mojsze Połamaniec, Zyga, Josełe Żółtko, wszyscy z workami. Żandarm pokrzykiwał ochoczo i bez gniewu, granatowy szarpał gorliwie każdego Żyda, który się zbliżał bez przepustki wyciągniętej wysoko w górę, żółty machał pod nosem pałką. A jemu pot ściekał ze strachu po rękach,

żebrach i w napięciu nogi drżały bez ustanku, nie mógł tego powstrzymać. Odchodził, biegł do ruin dla rozgrzewki, wracał z powrotem, by wcisnąć się pomiędzy innych. Ale co się tam znów dzieje? Tłum wyrostków z pochylonymi nisko głowami posuwa się bez słowa do przodu, zwierza ciasno ramię przy ramieniu, przyspiesza, zagarnia wszystkich na swej drodze i jednym wielkim nierozzerwanym kłębem przetacza w milczeniu obok wart, które trochę za późno podnoszą wrzask: „*Halt! Halt! Zurück!*” i Dawid z ulgą czując, jak porywa go i bez przeszkód niesie zwarta ciżba, widzi w biegu wykrzywione twarze granatowych i żółtych, mijanych bezkarnie w zamęcie i zgiełku, którzy niedołącznie uwijają się dokoła tłumu, krążą przykuci do posterunku, szarpiąc łachy na przebiegających, ciskając bezsilnie pałkami, widzi przez mgnienie żandarma, który w popłochu uskoczył na krawężnik przed nadbiegającymi, a potem próbuje nerwowo złożyć się do strzału, ale to trwa, zamek stawia opór, odrzucona rękawica leci wreszcie na ziemię i — już był po tamtej stronie, kiedy padł pierwszy strzał. Banda rozproszyła się w oka mgnieniu, a on nie oglądając się pobiegł przed siebie wśród ludzi nie oznakowanych i pierwszą jego myślą było zdziwienie, że nie dostrzega na ramionach białych opasek.

Cicha, pusta ulica rozciągała się przed nim w sennym milczeniu zimowego poranka i nieliczni przechodnie mijali go spokojnym, równym krokiem. Zauważył, że biegnie między nimi sam jeden, środkiem, jak szaleniec. Zwolnił, unióśł głowę wyżej. W obcym miejscu spojrzenie nie ma się na czym zatrzymać. Przestrzeń, pozór wolności. Ale po przekroczeniu muru widok nieoczekiwany i jaśniej się robi w oczach — a tam, szara uliczka tonęła w pochmurnym świetle, powietrze było pełne mgły i słyszał, jak stróż przed bramą o tej wczesnej godzinie ziewnął

potężnie z nudy. Pustka wydała mu się świąteczna i zląkł się niedzieli. Ale to nie była niedziela; poczuł na sobie uważne spojrzenie, zobaczył czyjąś dłoń przytkniętą do rękawa, dającą mu rozpaczliwe znaki, i pojął, że do tej pory nie zdarł opaski. Zrobiło mu się słabo i wszedł do bramy. Stał w ciemnej klatce schodowej przyciskając czoło do ściany, słysząc szybkie uderzenia serca, nie mogąc zebrać myśli. „Tylko pierwszy raz tak trudno, potem już można się po trochu przyzwyczać.” Przypomniał sobie słowa Zygi. Zyga, jemu to łatwo powiedzieć. Po co tu zalaż? Aby kupić trochę chleba? To było tak nedorzeczne, że zapragnął gorąco powrotu — natychmiast, tam, na te uliczki, gdzie wszyscy chodzą jawnie z opaską na ramieniu. Był sam i myślał, że mógłby się znaleźć z powrotem wśród swoich, otoczony ich twarzami, przejęła go tęsknota i goryczą nie zaznanego jeszcze z taką siłą osamotnienia. Po zdjęciu opaski został odepchnięty przez cały ten świat, na którym nie ma już dla niego miejsca. Ciemna, pusta sień wydała mu się ostatnim schronieniem. „Zosiu, bańka, bańka... Weź bańkę na mleko!” Usłyszał hałas zatrzaśniętych drzwi, tupot kroków i wyskoczył na ulicę.

Starał się iść spokojnym, równym krokiem, powściągając podejrzanym pośpiechem. Głośny okrzyk sprawił, że w popłochu uskoczył w bok; postanowił nie rozglądać się i spuścił głowę. Teraz dopiero przypomniał sobie rady, których nie potrafił nigdy pojąć. Nie podnoś głowy, Żydzie. Nie patrz nikomu w oczy, nie ściągaj na siebie spojrzeń, kiedy idziesz ulicą. Zatrzymany, nie uciekaj. Idź, jakby cię w ogóle nie było, Żydzie. Śmiał się, kiedy Zyga tak mówił. Kłamstwo, kiepski żart.

Posuwał się naprzód w jakimś oszołomieniu, wstrzymując oddech, z bezradnym uporem, który każdej chwili zmienić mógł

jego lękliwy marsz w paniczną ucieczkę. Wiedział, że musi porządnie oddalić się od muru, a potem wejść do sklepu i musi tam wejść, gdzie dostrzeże jak najmniej ludzi. Pewnym głosem powiedzieć, czego chce, i pod okiem sprzedawcy załadować wszystko do worka. Ten worek nie wyglądał najlepiej. A jeżeli go stamtąd przegnają? To jeszcze nie było najgorsze. „*Polizei dein Freund und Helfer.*” O, tak. Szedł i patrzył pod nogi. W panice zapomniał drogi i nie wiedział, gdzie jest. Na wysokości pierwszego piętra ujrzał reklamę maszyn Singera, miejsce to znał i nabrał pewności, że idzie ulicą Żółtą. Ale kiedy przeciął Marszałkowską? Nie pamiętał. W bramie dziewczyna uliczna poprawiała pończochę, powolnym ruchem wodząc dłonią po udzie, a jej blada twarz zwrócona była na ulicę, gdzie po przeciwnej drałowało dwóch szkopów.

— *Na Kleine, na Puppe! Komm, komm.* — W odpowiedzi wywaliła język. Niemcy rzeli z uciechy.

Nagle kamienie ożyły. Ujrzał plamy farby pod nogami, znaki, słowa maźnięte w pośpiechu, których nie umiał ciągle jeszcze złożyć w całość. Szedł, a za nim szły te znaki i nie opuszczały go. Koślawymi, chudymi literami ciągnął się obelżywy napis na flizach chodnika. Obok pogróżka bez słów. Piszczele złożone na krzyż, trupia główka. Deptał te insygnia, jak wyrok na siebie. Tak w środku miasta? Coś się w nim poruszyło, jakiś nieznośny ciężar spadł z ramion. Już szukał spojrzeniem tych słów na kamieniach, łowił je z daleka i powtarzał w myśli. Czyja ręka je tutaj zostawiła, kto szedł tędy przed nim? Z lękiem rozglądał się na boki, aby i jemu dodać otuchy? „*Victoria!*” Przekreślone, a pod wielkim „*V*” dopisek ręką. „*Verloren!*” Serce zabiło z radości na ten widok. Łasiły się do nóg hasła niemieckie wylane farbą na asfalcie w poprzek ulicy, a obok zdania maźnięte szybko

kredą. Powoli zaczynał dostrzegać więcej; napisy powtarzały się w pewnych punktach, potem znikwały pod smugami umyślnie rozsypanego żwiru, aby nieoczekiwanie powrócić do niego znów. Bez namysłu i z rozmachem ktoś chlapanął smołą na murze domu z całego serca „*Hitler kaputt!*” Ach nie, tego było jeszcze mało. Inną ręką poprawka. „Hycler, kochasiu, Hycler, Hycler.” O Hitlerze tak, na środku ulicy w biały dzień? Zuchwalstwo też może dodać otuchy. Zauważył już przedtem, że napisami zasmarowane są ściany, słupy tramwajowej sieci, przystanki, lecz nie miał odwagi się przy nich zatrzymać. Teraz podniósł głowę i ujrzał nad witryną magazynu tabliczkę błyszczącą lakierem: „*Nur für Deutsche.*” Odwrócił się szybko i na latarni odnalazł spojrzeniem rysunek, swastykę wiszącą na szubienicy, jak pająk na nitce, a pod tym słowa: „*Nur für Deutsche.*” Przystanął.

Był pod sklepem Meinla; daleka perspektywa ulicy Kruczej uciekała w głąb, w głąb aż do Pięknej i widok ten smutkiem ścisnął mu serce. Nie wiedział, co z sobą począć. Ledwo nogi włókł i cała ta niedorzeczna kołowanina wydała mu się podróżą we śnie. Sen skończy się źle. Jak, nie wiedział, ale na pewno źle. Począł dalej w niewygodnych, ciasnych bucikach, które musiał założyć, aby drewniakami swoimi nie odróżniać się od tutejszych przechodniów. Ale zdradzało go przesycone wonią karbolu ubranie, ostrzyżona czaszka goła jak kolano i źle okryta szmacianym kaszkietem. Równa, spłowiła smuga na rękawie w miejscu, gdzie zwykle przypinał opaskę.

A nos? Mówią, że Żyda można łatwo rozpoznać po kształcie nosa i jego długości. Pomyślał o czarnych i smutnych oczach ciotki Chawy, o włosach Nauma krętych jak runo owcy. Oczywiście, włosy, wszystko może zdradzić Żyda, ale najgorszy ten nos.

Niemcy dokładnie zmierzili, obliczyli i prawda wyszła na wierzch. To właśnie nazywa się nauka, dawniej nie wiedział dokładnie, co to jest nauka. W szkole też była nauka, ale inna nauka, nauka z książek. Dyrko na otwarcie roku kończył zawsze przemówienie słowami, które budziły ich cichy śmiech. Naprzód, młodzieży, ku stromym i wyniosłym szczytom nauki! Kiedy Niemcy wkroczyli do Warszawy, aresztowali Dyrka i szkołę zamknęli. Odtąd nic nie wiadomo. Kiedy ktoś jest podobny do Żyda, to ludzie mówią, że ma zły wygląd. A kiedy nie, to mówią, że ma dobry wygląd. Czy on ma taki bardzo zły wygląd? Nie wiedział i brudną ręką potarł ukradkiem mokry, nieszczęsny żydowski nos. Po czym jeszcze oni rozpoznają Żydów? Po chodzie i ruchach rąk. Podobno Żyd chodzi inaczej stawiając nogi i macha rękami, kiedy mówi. Przypomniawszy sobie piękne, wymowne ruchy bladych rąk dziadka, kiedy składał je i rozkładał w modlitwie, krótki gest wuja Jehudy, którym można było głuchego przekonać, żartobliwe ruchy palców, jakimi wuj Gedali umiał wszystkich rozśmieszyć bez słów. Ojciec nie gestykułuje, bo ma ciężką rękę i sama zwija się w pięść. Ale akcent okropny, łatwo go przedrzeźnić. Matka mówi, że nim otworzy usta, by powiedzieć słowo, już słyhać Żyda. Dlatego nie pozwala mu chodzić za mur. Na ulicy można milczeć. Ale jak oni poznają Żyda po ruchach, chodzie. Już z daleka. Na myśl o tym czuł się opuszczony i bezradny. Starał się nie wlec nogami, iść równo i sprężyć się, ale w łachmanach taki chód wyglądał jeszcze gorzej.

Pamiętał małe, ustronne i ciemne sklepiki na Mokotowskiej i posuwał się w tamtym kierunku, nie zbaczając. Tylko na widok patrolu wpadł do bramy. Odczekał chwilę, przeczytał listę lokatorów, znów wyszedł. Ten mężczyzna z podniesioną głową, swobodnie poruszający się po ulicy, bez śladów głodu na twarzy

i bez łachmanów, nie był wcale podobny do Żyda, nie, a przecież dobrze go znał. Wyświeżony, czysty, miał lekko na bakier wciśnięty kapelusz o wąskim rondzie i biały szalik na szyi. Nowe, cokolwiek za jasne rękawiczki sztywno opinały jego ręce. W prawej trzymał zwiniętą gazetę i zapalonego papierosa. To wuj Szmuel? Trudno uwierzyć. Ale to był wuj Szmuel, bo na widok Dawida odwrócił głowę i natychmiast przeszedł na drugą stronę ulicy. Dostrzegł wąskie, zmrużone powieki. Tak, to wuj Szmuel. Skąd się tutaj wziął? Widocznie zmusiły go do tego interesy. Wuj Szmuel zawsze miał głowę do interesów i pełne ręce pieniędzy. Dziadek mówi, że Szmuel wszystkich nas przetrzyma i wyprawi okazały pogrzeb nie żałując kosztów, ale zapomni pójść na cmentarz, by zmówić kadysz, bo właśnie tego dnia trafi mu się grubszy interes. Jaki interes? Wiadomo, dolar poleci na łeb, na szyję i Szmuel puści w ruch wszystkie swoje świnki, żeby na niego pracowały.

Na przeciwległym trotuarze wuj Szmuel rozłożył gazetę i osłonięty płachtą papieru szedł teraz wolniej, mijany przez ludzi, obojętnie mijający ludzi. „No i wyobraź sobie, szpera! Trzy dni się nie pokazywała.” — „W robocie?” — „Ale gdzie tam, w domu.” Dawid nie odwracał głowy. Wilcza, czerwone światło. Dawid zatrzymał się na skrzyżowaniu w tłumie przechodniów, wokół niego rosła pusta przestrzeń. „Zadzwoń do Halinki, słyszysz? Zadzwoń koniecznie!” Zielone światło. Wuj Szmuel uważnie przeciął ulicę, a usłyszawszy za plecami okrzyk, przyspieszył kroku. Dawid śledził go ukradkiem. „I ty mu wierzysz?” — „Jeszcze nie oszalałam, za kogo ty mnie masz?” — „Tacy są najgorsi.” Wuj Szmuel złożył gazetę. Przystanął, zapalił. W roztargnieniu szukając drogi dla siebie, jak gdyby po raz pierwszy w życiu znalazł się w tym punkcie miasta, zawrócił w

przecznicę i przepadł. „Poszłam jak co roku w dniu jego urodzin kwiaty złożyć, a tutaj grób cały stratowany.” Czarno odziana staruszka prowadziła pod rękę głuchawą towarzyszkę i głośno wykrzykiwała nad jej uchem. „Nic już nie zostało.” Dawid w odrętwieniu chwycił urywane słowa przechodzących, strzępy rozmów, głosy.

Usiłował wyobrazić sobie terażniejsze życie wuja Szmuela, nie mógł. Niepojęte, jak żyją ludzie po tej stronie. Za to przypomniały mu się słowa piosenki, którą nucił młody Szmuel za swych kawalerskich lat: „Taki zimny drań...” Letni poranek, słońce wdziera się do warsztatu i zielenieją w smugach światła bure źdźbła trawy morskiej. Szmuel z zawiniętymi rękawami koszuli, bosy, leje zimną wodę do drewnianej kadzi. Mydłem, krochmałem pachnąca kadź stoi po praniu na środku warsztatu. Dawid zanurza w niej ręce i myje się obok, a Szmuel beztróska śpiewa, parszkając i plując. Kiedy matka sprzątnie kadź, ojciec otworzy warsztat, teraz modli się pod oknem zgarbiony. Szmuel powtarza z uciechą: „Módl się i pracuj, a garb ci wyrośnie.” Dawid się śmieje, Szmuel się śmieje, ojciec psyka zniecierpliwiony i modli się dalej. To jest wspomnienie. Wspomnienie z tamtych lat, kiedy po stromych, niebotycznych schodach wiodących z suteryny Labana piekarza mozolnie, z wywalonym na wierzch językiem piał się na czworakach w górę, nie wiedząc, co począć z papierową torbą i bułkami. Laban za nim bułki dobrotliwie wynosił. „Dawidku, ta bułka kosztuje mnie życie.” Wtedy, w tamtych latach Szmuel stawiał swe pierwsze kroki, mieszkając u nich kątem; to był zupełnie inny człowiek.

— Ej ty, gdzie cię zaniósł?

Przed nim stał Mordka z rozchyłonymi ustami i marząco przymykał oczy. Pusty chlebak kołysał się swobodnie na jego

ramieniu. Jak gdyby nigdy nic, uśmiechał się szeroko. Dawid podszedł bliżej i powiedział:

— Wejdźmy do bramy.

Weszli, a tam:

— Mordka, ja już nie mogę dłużej. Wracajmy.

Mordka Caban tylko się śmiał.

— Nie tak zaraz.

— Wracajmy!

— Wolnego — klepnął się po pustym chlebaku. — Trzeba naładować torbę. To raz. — Klepnął się po brzuchu. — Bandzioch. To dwa. — Przyjrzał mu się uważnie. — Ale cię wzięło. No, no... Pierwszy raz zawsze najgorzej. Idziemy razem.

Kiedy napełnili już worki, świńskim galopkiem przybiegł pod sklep granatowy, podtrzymując rękami okazały brzuszek. Jechało od niego bimbrem, jak z kadzi pełnej brzeczki. Uniósł zaciśniętą pięść niczym buławę i tkał pod nos, zasapany. Za nim dwóch cywilów; poruszali się szybko i nie podnosili głosu. W kłapach płaszczy mieli znaczki volksdeutschów. Jeden wysuwał do przodu wargi i zmięte składał w ryjek, a wtedy płowe wąsiki jeżyły się same. Drugi, z szalikiem przerzuconym przez ramię, uśmiechał się obleśnie i łyskał złotym zębem. Dawid widział, jak Mordka przycisnął chlebak do piersi, ale nie szamotał się z nimi, nie uciekał. Cywil z blond wąsikiem otwierał worki i zaglądał tam z dziwnym zaciekawieniem. Chciwie, długo grzebał w kartoflach.

— Co tam masz, *Jude*?

Wsunął rękę głęboko pod chleb, grzebał, macał. Macał, ale nie wyjął stamtąd niczego i zwrócił obydwie worki. Cywil z szalikiem przerzuconym przez ramię pytał głęboko zaglądając w oczy.

— A złote dytki gdzie schowałeś, *Jude*?

— Znajdziesz — powiedział Blond-wąsik. — Ale wszy za kołnierzem. O, żeż!

— Wszystko połykają, parchy, nawet złote pięciodolarówki. Mają spust. Już ja się do nich dobiore. Z flakami wypruję!

— Kochasiu — powiedział z żalem w głosie Blond-wąsik i jego zjeżony, szczeciniasty ryjek zwrócił się w stronę Dawida.

— Kochasiu nieszczęsny, po co drypczesz na tę stronę, kiedy forsy nie masz?

— Czas tylko przez ciebie tracę.

Blond-wąsik pytał:

— I co ja mam teraz z wami robić, szczeniaki zasmarkane?

A Mordka Caban przymilał się fałszywym głósiem.

— Szanowny pan jest dobry, nie skrzywdzi żydowskiego chłopaka.

I za to oberwał w zęby po raz pierwszy.

— No, znaj moje dobre serce — powiedział Blond-wąsik. — Potraktowałem cię ulgowo.

— Ja wiem — powiedział Mordka.

— To grzecznie podziękuj, *Jude*.

— Dziękuję, z całego serca dziękuję. Nigdy panu tego nie zapomnę.

— Zapomnisz, zapomnisz. Ja was dobrze Żydów znam.

— Nie, proszę pana.

I za to Mordka oberwał w zęby po raz drugi.

— Zapomnisz?

— Zapomnę, proszę pana. Wszystko zapomnę. Już zapomniałem.

Mordka pochylił nisko głowę, ukradkiem przycisnął dłoń do spuchniętej twarzy.

Granatowy się wysapał, równo umieścił na brzuchu przekręcony pas klamerką do przodu. Wypucowane buty skrzypiały pod nim, kiedy niezdecydowanie przestępował z nogi na nogę. Czknął i kadź brzezki się przelała.

— *Fertig!* — powiedział. — Odprowadź ich na Piekiełko i wracaj. My tu z Antosiem czekamy.

Poszli przodem, za nimi Blond-wąsik. Mordka zuchwale podskakiwał, przeżył się, poklepywał wyładowany chlebak i szedł nie pytając o drogę.

— Gdzie on nas prowadzi? Daleko? — szeptem pytał Dawid.

— Nie, tu zaraz. Niedaleko... O, widzisz, Piekiełko już obstawione.

Na Hożej przed komisariatem czuwał rozciągnięty luźno patrol Feldgendarmie z brunatnymi wyłogami i blachami na piersiach, wstrzymując ruch i w zupełnym milczeniu wskazując objazdy, a w podwórzu tłum szmuglerów cisnął się bezładnie pod ścianą. Policjanci uwijali się w tym tłumie, rewidując schwytanych na mieście Żydów, którzy czekali z rękami uniesionymi w górę i z workami u nogi. Piekiełko było już pełne; głosy żandarmów, komendy policyjne mieszały się razem w koszmarnym rejwachu; w kącie podwórza obok trupa zastrzelonego szmuglera stał na luzie włączony Zindapp i rozdzierającym warkotem mieląc powietrze zagłuszał wołanie i słowa ludzi. Cienki krzyk kobiety przebił się nagle poprzez zgiełk tłumu i skoczył ku nim w przejściu dyżurny.

— Skąd? Ulica, numer domu.

Ostro pytał cywila i zapisywał.

— Tam jest tego — dodał Blond-wąsik. — Ile tylko twoja dusza zapagnie.

— Znowu Bartecka! Cholera, nie baba. Jak nie bimber, to

Żydzi. Już ja tej kurwie dołożę.

Potężnym kopniakiem wyrzuceni zostali na środek podwórza, Blond-wąsik zniknął jak sen, a przed nimi wyrósł żandarm.

— *Kinder von zwölf Jahren und darunter... an die Seite!*

W bandzie małolatków stali Josełe Żółtko i Mojsze Połamaniec obok swych worków. Zyga, wyższy, starszy, kręcił się niespokojnie, zezując w ich stronę. W głębi podwórka, pod ścianą, trupio blady Uri w wyciągniętych wysoko dłoniach trzymał zielony chlebak oczekując żandarma, który posuwał się powoli wzdłuż szeregu mężczyzn. Żandarm wydarł ten chlebak i cisnął za siebie, a potem dokładnie wywracał mu kieszenie. Za plecami Niemca Zyga kopnął chlebak dalej. Josełe Żółtko postawił na nim nogę i mrugnął do Zygi. Uri, zrewidowany już, stał obok innych, odwrócony do ściany, wsparty czołem o mur. Mojsze Połamaniec machał kikutem na ich widok.

— Caban, to ty? Kogo ja widzę? Sikalafą? Hrabia tutaj... Hrabia, co psy obrabia!

— Książę, co psy wiąże!

Podbiegł natychmiast z buzią policjant, nakazał milczenie i kopnął na oślep. But trafił tego, który stał obok nie otwierając nawet ust. Wypukłe, żabie oczy wylazły na wierzch i Josełe Żółtko złapał się za kostkę nie mogąc odetchnąć z bólu, przykląkł, głośno wypuścił powietrze; aach, jednym ruchem wcisnął podrzucony zielony chlebak do obszernego worka Połamańca i wstał w ziemi, kiedy przez okno na pierwszym piętrze wychylił się kanarek.

— Podać stan!

Policjanci popychając i szarpiąc schwytyanych zaczęli liczyć, ale przemytników z ulicy przebywało i rachunek im się mylił w nieskończoność; co i raz pędzono kogoś nowego przez bramę i z

krzykiem podawano sobie z rąk do rąk, póki nie trafił na swe miejsce w szeregu. Jakiegoś Żyda, który miał pourywane wszystkie guziki i spodnie musiał przytrzymywać rękami, bezradny i skłopotany, wyprowadzili raptem z tłumu i pchnęli na schody do komisariatu, potem jeszcze kilku mężczyzn wybrali spośród schwytanych. Ci opierali się i policjanci rzucili się na nich kupą, puścili w ruch pałki, buty, aby zapędzić opornych w kąć podwórza, skąd kopiąc i bezładnie tłukąc — już potulnych, skulonych zaprowadzili pojedynczo na górę. Skądś doleciał ryk:

— *Ruhe!*

Cisza uczyniła się zupełna, Żydzi zamarli, policjanci stanęli bez ruchu i na środek wyszedł Krwaworączka, bez broni. Ręką wskazał, a tam wyłączono motor. Milczał i słuchał tego milczenia.

— *Auf die Knie!*

I wszyscy padli na kolana. Szedł między klęczącymi, którzy kurczyli się opuściwszy nisko głowy. Przystawał, dłoń w skórzanej rękawiczce lekko dotykała czyjś podbródka i głowa sama unosiła się ukazując nieruchomą twarz o przymkniętych oczach. Znienacka zwracał się do zatrzymanych. Oglądał ich, szedł dalej. Mordka Caban szturchnął Dawida łokciem i syknął cicho:

— Ty, nie śpij. Do ciebie mówi.

I Dawid wstrzymał oddech, kiedy usłyszał nad sobą znów:

— Co szmugłujesz, Żydku?

— Życie.

Otworzył trzęsącymi się rękami worek, uniósł i wysypał przed siebie nędną zawartość.

Potem padła komenda:

— *Ruhe, Judengebet.*

I Krwaworączka pierwszy zaczął:

— *Ich, Jude...*

A tłum za nim powtórzył bezładnym chórem:

— *Ich, Jude...*

— *Ich, Jude bin schuldig am Krieg und Übel und Verbrechen in die ganze Welt.*

— Ja, Żyd, jestem winien wojny i zła, i zbrodni na całym tym świecie.

Krwaworączka ciągnął:

— *Heute, morgen, in alle Ewigkeit.*

Tłum powtórzył:

— Dzisiaj, jutro, na wieki wieków.

— *Ich, Jude bin Mörder.*

— Ja, Żyd, jestem mordercą.

— *Ich, Jude bin Fresser ohne keine Menschenwürde.*

— Ja, Żyd, jestem pasibrzuchem bez żadnej godności.

— *Ich, Jude bin Kriegshetzer.*

— Ja, Żyd, jestem podżegaczem wojennym.

Podniesionym głosem Krwaworączka poddał teraz okrzyk:

— *Es lebe Judenrein!*

Tłum odpowiedział okrzykiem:

— Niech żyje *Judenrein!*

— *Fluch über mich, Jude. Tod für mich, Jude.*

— Przekleństwo mi, Żydowi. Śmierć mi, Żydowi.

Krwaworączka z uśmiechem słuchał ostatniego wołania, które wzniesli za nim klęczący, a potem rozkazał:

— *Noch ein mal.*

Tłum klęczących Żydów powtarzał chórem już bez jego pomocy, a Krwaworączka słuchał w milczeniu jeszcze długo potem, kiedy przebrzmiał ostatni, spóźniony głos. Po chwili

odwrócił się rzuciwszy z uśmiechem:

— *Na ja, gut. Judengebet ist beendet.*

I zniknął w sieni, a wkrótce z okna na pierwszym piętrze wychylił się kanarek.

— Dać mi tu zaraz dziesięciu na górę — wołał.

— Taa jest, dziesięciu — powtórzył granatowy na dole. — Podaj dalej, dziesięciu łebków.

Policjanci uwijający się żwawo w tłumie szmuglerów podawali sobie z ust do ust nową komendę:

— Dziesięciu łebków!

Kiedy z pozostałych uformowano zwartą kolumnę, jeszcze raz rozpoczęło się liczenie i żandarmi wyszli na ulicę, dołączając do patrolu. Pchnięta z sieni kobieta runęła twarzą na bruk i stęknęła. Uniosła się na łokciach, siadła i ujawszy w dłonie czarną, spuchniętą od bicia twarz kołysała się w osłupieniu, mierząc nieprzytomnym spojrzeniem ciasną przestrzeń. Ciśnięta za nią torba stuknęła o kamienie i kartofle potoczyły się daleko. Przepędzeni obok — minęli ją depcząc dziesiątkami stóp zawartość koszyka, stłoczyli się na krótko w bramie i stąd po trzech wybiegali na ulicę, gdzie na środku jezdni wskazywały im drogę lufy automatów. Ruszyli: przodem biegł granatowy torując drogę i usuwając pojazdy, za nim kolumna, wzdłuż kolumny w pewnym oddaleniu żandarmi, a bliżej szeregów z dwóch stron reszta granatowych. W tym szyku opuścili Piekiełko posuwając się do placu Trzech Krzyży. A tam z Alei wionęło śniegiem i drzewa na skwerze stały sine. Dopóki szli Bracką, panowało w szeregach śmiertelne milczenie, na Złotej popędzono ich szybciej, kiedy zobaczyli mur, w ich serca wstąpiła otucha. Przed wachą liczyli straty.

— „Nowy Kurier Warszaa...” Wielkie zwycięstwo pod

Kaługa! Niemcy zdobyli pokój z kuuuuchnią!

Gazeciarz krążył ze stertą dzienników, wtykając je w ostatniej chwili powracającym. Konwój oddalił się i zatrzymał nie opodal; żandarm podszedł do wachy i pertraktował ze strażnikami; policjanci rozpraszała się z wolna i kolumna szmuglerów czekała na wprost strzeżonego wylotu pod niechętnym okiem granatowego, który nie okazywał obaw, aby teraz chciał się ktoś z tej bandy ulotnić. Ruch był przez pewien czas wstrzymany i przez wachę przepuszczono najpierw grupę robotników wracających po pracy za mur. Stamtąd rozległo się wołanie:

— Uri, znalazłeś sobie lekki kawałek chleba?

— Eh, pieska twoja niebieska! Lekki kawałek chleba, lekki kawałek chleba. Żebyś tak zdrów był!

— Drabikowi odebrali trzy kilo słoniny. Kiepełe wpadł z kartonem węgierskich papierosów. A Białą Ceśkę, co służy u Lewinów, napompowali gorzką solą, posadzili na porcelanowy nocnik jak carycę i po trzech godzinach gruchnęła pierwszy brylant.

— Dziewięć karatów i ani jednego mniej!

— Ślubną obrączkę starej Lewinowej, dwie złote spinki od mankietów i sygnet z krwawnikiem.

— A kiedy kazali już wstać, ona na to, że jeszcze nie może, bo od wczorajszego obiadu leży jej na wątrobie i gniece szwajcarski zegarek Anielci Lewin, pamiątka po dziadku, na siedemnastu kamieniach, z dewizką i w złotej kopercie.

— No, jak już okradli całą rodzinę Lewinów do trzeciego pokolenia wstecz, to całkiem możliwe, że wygrają tę wojnę.

— Niewykluczone!

— Też coś! W obozie nawet w takie ceregiele się nie bawią.

Rachu-ciachu. Strzyżenie, użębienie, kąpiółka i po krzyku. Włos na materace, złote kły na obcęgi, łachy pod parę i biegiem do dołu!

— Jeden człowiek kradnie, to kleptomania... cały naród kradnie, to Germania. *Sieg um jeden Preis. Heil!*

— Wszystko dla armii. Już karakuły wiozą na wschód pociągami, żeby sobie ogrzać odmrożone dróbka, a to dopiero początek ruskiej zimy. Uch!

— Karakuły, czego im jeszcze trzeba do zwycięstwa?

— Brajtszwance, lisy, szynszyle, foki, bobry, łapki. Warszawa się rozbiera!

— Będą mieli fryce w okopach duży wybór futer. Wszakom zrobi się cieplej w rejonie Kurska, o co ciebie głowa boli?

— No, no. Na czołgach nie mogli wjechać do Moskwy, a im się wydaje, że wskoczą tam na łapkach mojej starej!

— *Deutschland siegt an allen Fronten.*

— *Deutschland liegt an allen Fronten.*

— Cicho tam, Żydu, jeszcze ci źle, że masz skórę całą i z bułką chleba do domu wracasz?

— Polikier, idź przetłumacz, szybko. *Herr Wachtmeister* tego ciekawy.

Roosevelt orze,

Churchill sieje,

Stalin młóci,

Hitler wieje!

— Wierszyk? Wierszyków ja nie tłumaczę, Żydu.

— Ty, Uri, nie chlap ozorem. *Herr Wachtmeister* od samego rana chodzi struty, miejsca sobie znaleźć nie może, bo go biorą

na front. Pobił już trzech, ty będziesz czwarty!

— Panowie, bez kłótni. Ja chromolę taką politykę! Człowiek ma jeszcze pod podszewką parę mizernych złociszów, a jak od nowa zacznie się macanka, wróci do domu goły!

— Wszy nie odbiorą, ten towar zostawią. Goły nie wrócisz, najwyżej z przychówkiem.

— Kochane, rodzone wszy. Gdyby te moje „drobne” dało się obrócić w kapitał, byłbym kapitalistą.

— A tak? Gienza. I co ty, biedny, wszawy tragarzu żydowski, szwabom zawiniłeś?

— Jeszcze żyję.

— To jest życie? Przebudźcie się, Niemcy.

— *Deutschland erwache!*

— Tobie łatwo powiedzieć, a szkopy kręcą cykorię pudami. Uri, powiedz mu, jak jest, bo mnie, łachudra, nie wierzy.

— Pewno, że nie wierzę.

— No to leć na front wschodni i się przekonaj!

— Poczeka.

— Kto tam znów czeka? Pokażcie mi tego, który ma tyle czasu?

— Panowie, dajcie spokojnie przeczytać dzisiejszą gazetę... Faktycznie, kręcą cykorię pudami.

— Latem ofensywa, zimą znów kontrofensywa, człowiek się w tym wszystkim gubi. Eh, zobaczyć Berlin w gruzach i umrzeć.

— Zobaczyć, jak szkopy wieją gubiąc kapcie po drodze, i można wrócić do Abrahama na owsiane piwo!

— Nie spiesz się tak, Kiepele. Masz pojęcie o wyobrażeniu? Łono Abrahama, które przyjmie z powrotem taki tłum wszawych Żydów, no, no, to dopiero widok!

— Wszawe życie, wszawa śmierć i wszawe jest łono

Abrahama.

— Rusza się wszystko, rusza.

— Komu się tam znów rusza za kołnierzem?

— Tu, w gazecie! Tu, front się rusza, tu, między wierszami. Mówię wam, zimowa kontrofensywa już się zaczęła. Jeszcze trochę, pogoni Ruski fryca bez gaci.

— Skończ, skończ. Nie strasz Ruskim, bo *Herr Wachtmeister* razem z polikierem zemdleją z wrażenia i nie będzie komu za mur nas odstawić.

— Panowie, miejcie wzgląd na rząd!

— Panowie, miejcie wzgląd na granatowego. Jak wróci do domu z nowinami, stara go nie pozna.

— Zostanie mu po Żydach jak najgorsze wspomnienie!

— Coś musi mu przecież zostać. Porcięta...

— Wypierze! O reszcie zapomni. Panowie, znacie już ten nowy kawał?

— A tego ciągle się kawały trzymają. Wal, nie zwlekaj, bo drugi front ruszy i będzie nieaktualne.

— Nie o drugim. Cały drugi front, za przeproszeniem, to kawał wymyślony dla frajerów.

— Wal, Uri.

— Pociąg międzynarodowy tym razem. Matka i córka, dwóch oficerów. Niemiec z Włochem. Tunel. W ciemności słyhać gorący całus i uderzenie w buzię. Co sobie myśli matka? „Dobrze wychowałam córkę.” Córka? „No, no, nie myślałam, w tym wieku i ciągle ma powodzenie.” Niemiec? „Makaroniarz przystawia się do tej małej, w porządku, ale dlaczego ja za to oberwałem?” Włoch? „Za mało, jak wjedzie w następny tunel, cmoknę się jeszcze głośniej w rękę i poprawię z drugiej strony!”

— Faktycznie, w zeszłym tygodniu mówiłeś to samo.

— Naum, możliwe, że ty znasz moje kawały z zeszłego tygodnia, ale inni będą je powtarzać jeszcze w przyszłym roku, kiedy na tobie porośnie zielona trawka.

— Ceśka, słyszałaś?

— Słyszałam. E, stare. Jak was wykurzą z Warszawy, kupię patefon z tubą.

— A za co, sikso?

Handlowała kwasem

I pietruszką czasem.

— Niech cię o to głowa nie boli. Do tej pory wszystko stanieje. A po Żydach, dopiero zacznie się życie, ech!

— Ale póki co, za mur chodzisz i swoją głupią głowę za starego Lewina nadstawiasz.

— A chodzę, chodzę, bo lubię patrzeć, jak Żyd świninę ćpa!

— Marnie skończysz, Ceśka. Wyślą cię towarem razem z twoimi Lewinami prosto do dołu. Nie uciekniesz spod łopaty, sikso... Wczoraj mówił mi w zaufaniu kolejarz z towarowego, że przetoczyli tamtędy transport z Reichu, cztery tysiące Żydów, i powieźli w stronę Białej Podlaskiej. A wszystkie wagony, jeden w jeden, wysypane niegaszonym wapnem.

— Wapnem, wapnem! No i dobra, niech będzie wapnem. Przyjadą na miejsce same wapniaki.

— Ty tam, Kiepełe, jęzor sobie oskrob!

— A kij żeż ci w oko, jak moja noga stąd do Tokio i z powrotem!

— Kiepełe, nie rzucaj nabiałem, bo z niczym do domu wrócisz. Tam bachory głodne, wołają papu.

— Panowie, dajcie żyć i zrozumcie człowieka. Wpadła z

towarem Lewina i jeszcze do niego wraca. Nadmucha jej stary pajaków do ucha, oj... Spuchnięta twoja buzia, Ceśka. I jak ty teraz wyglądasz?

— Lewin dopiero otworzył środkową szufladę. Została jeszcze dziura pod posadzką, noga od fotela i zakitowana cegła w murze.

— Ta siksa wszystko już o Lewinach wie, no, no.

— A kto nie wie? Całe miasto. Oj, dorwą się do twojego pryncypała, Ceśka. I obskubią, piórka jednego na nim nie zostawią.

— Panowie, spokój tam, żandarm wraca.

— Co? Idziemy? A ja zapomniałem na śmierć kupić musztardy. Oj-oj! Teraz wszystko przepadło.

— Granatowy, odtrąbione! Napij się za moje zdrowie i do następnego razu. Fajrant masz, idziemy sobie w cholerę.

Konwojent szedł przez ulicę wskazując kolbą strzeżony wylot, któredy przemaszerowała już grupa robotników z placówki, a szmuglerzy zamilkli w oczekiwaniu na powtórne otwarcie wachy. W popłochu rozpoczęło się poszukiwanie zmiętych opasek i sześcioramienne gwiazdy, wyciągnięte z ukrycia, znów wisiały na swoim miejscu. Nareszcie, wracali. Mojsze Połamaniec z rozjaśnioną twarzą sięgnął do worka, oddarł z bochenka duży kawał chleba i pośpiesznie gryzł.

— Żyć, nie umierać.

Granatowi i żółci z posterunku czekali tylko na to — dopadli z wrzaskiem szmuglerów i zdzierając czapki z głów, tłukąc, kopiąc, pchając pierwsze szeregi kolumny pędzili biegiem za mur; zakotłowało się i wszyscy gnali na złamanie karku dobrze wiedząc, co nastąpić musi na ostatnim odcinku drogi. Wächter stał rozkraczony, z cierpliwym uśmiechem, przerzucając broń z

ręki do ręki jak rakiety tenisową i widać było, że od dawna czeka na tę chwilę. Podrzucił jednym ruchem kolbę do ramienia, gwizdnął z cicha przez zęby.

Kiedy palec spoczywa na cynglu karabinu, los ma w magazynie tylko sześć kul. Cywil, który czuje za plecami lufę, ucieka przed siebie; tłum ucieka prosto przed siebie, a każdy w tym tłumie może mieć nadzieję, że jego właśnie kula ominie. Wächter strzela w środek, do masy, a cel nie ma twarzy. Kto pierwszy, ten lepszy. Los nie pyta o imię, śmierć nie zagląda w oczy i na tym wszystko polega. Połamaniec ze swym ciężkim workiem ledwo mógł kroku dotrzymać Dawidowi, ale biegli równo, z głowami bojaźliwie wciągniętymi w ramiona, mając w oczach zbliżający się ciemny tunel ulicy Żelaznej, murem przeciętej w połowie jezdni, gdzie za pierwszym załomem małej przecznicy, Krochmalnej, kula z tyłu już nie mogła ich dosięgnąć. Kiedy padły strzały, Dawid odruchowo zamknął oczy. Mojsze Połamaniec powiedział z ogromnym zdumieniem:

On strzelił na ślepo. Weź — i podał mu worek.

Obejrzał się dopiero skręcając w przecznicę, wciąż biegnąc i nie czując ciężaru dwóch worków. Zobaczył leżące ciała na kamieniach, a nad nimi, nad murem, wielką żółtą tablicę ostrzegawczą, którą zawsze omijał wzrokiem. „*Achtung, Achtung! Vor Juden wird gewarnt. Halt! Juden, Läuse, Fleckfieber.*” Mojsze był już po tej stronie i próbował się unieść, poczołgać w głąb ulicy, dalej od miejsca, gdzie padł w kałuży krwi, a szczęki jego poruszały się nadal, ciągle jeszcze żując chleb.

Za załomem ulicy stał Uri, bez czapki, rozpaczliwie wołając do przebiegających:

— Kto ma torbę Połamańca? Kto ma... Ty, Wałach?

— Skąd znowu — zaprzeczył Kuba.

— On — wołał Zyga biegnąc. — On ma — wskazał na Dawida.

— Dawaj tu — powiedział Uri i skoczył ku niemu.

Dyszał ciężko i nie mógł wcale zamknąć ust, jakby tędy miało wyrwać się tłukące serce. Rzucił worek na ziemię, a Uri wyjął stamtąd natychmiast nieduży zielony chlebak. Otworzył, zajrzał. Szperał gorączkowo, aż wyciągnął mały zwitek cienkiego zadrukowanego papieru i wsunął za koszulę, potem zapiął szybko sprzączki i chlebak przewiesił przez ramię.

— A to możesz zabrać. Twoje — i zwrócił mu worek z powrotem. Patrzyli za nim, jak oddalał się spokojnie, zapinając koszulę.

— Co to było, Zyga?

— Nie wiesz czasem.

— Ten zwitek, który miał Połamaniec w worku. Ty mu podrzuciłeś zielony chlebak na Piekiełku. Ty i Żółtko... Mów, bibuła?

— Nie wiesz czasem — odparł Zyga i roześmiał się głośno i z ulgą. — Mezyza. To zwitek, który ludziom wsuwa się w drzwi.

Po worek, który był własnością Połamańca, stawiała się na podwórzu banda Barucha Oksa. Skrzyknięci zewsząd, zbiegli się w jednej chwili. Mundek Buchacz uniósł worek, zamyczał z zadowoleniem. Henio Śledź oblizwał mokre usta. Łokciem odepchnął go Kuba Wałach, który musiał być pierwszy. Długi Icchok stukał drewniakami dla rozgrzewki i niecierpliwie krążył, czekając na otwarcie worka. Ostatni nadciągnęli Mordka Caban i Josełe Żółtko, objęci ramionami, znużeni. Tym razem się udało, jeszcze jak! Mordka prężył się i prostował, wysoko wodził głową, przymykał oczy. A Josełe był już szary, oklapł zupełnie i

miał wygląd drętwiejącej żaby.

Baruch Oks rozejrzał się niepewnie jakoś, ukradkiem, postawił kołnierz skórzanej kurtki i zatarł ręce.

— Blatować! Blatować! Jeszcze raz blatować — krzyczał Josele Żółtko. — Blatować wachę potrafisz.

A Baruch Oks stał błydy, uśmiechnięty kurczowo i oczy zwięziły mu się, jak przed bójką.

— Żółtko, jak mało było na Piekiełku, ja ci mogę jeszcze dołożyć — i Mundek Buchacz podniósł pięść.

— Bij, bij! — Josele Żółtko, tracąc oddech, skowytał. — Na co czekasz, Buchacz? Bij, tylko to umiesz. — Wydzierał się z rąk Mordki Cabana, który złapał go za włosy i przytrzymał.

Przerażliwy krzyk długo jeszcze było słyhać we wszystkich oficynach naraz; trzaskały okna, pięści tłukły o parapety. Chlusnął kubeł pomyj na podwórze.

— Bij, bij!

Zmierzch zapadał i pierwsze zapalone gdzieś światło strąciło z powietrza noc. Na środku podwórza leżał rzucony worek, a wszyscy czekali.

— Jak się ściemni — powiedział Baruch Oks nie podnosząc głosu — zabiorę go stamtąd... Daleko leży?

I Dawid odparł:

— Niedaleko. Połamaniec leży już na tej stronie.

Tego dnia nie wrócił przecież do domu z pustymi rękami. Kiedy położył na stole lekką torbę, zakryta włosami zielona twarz uniosła się na barłogu i — wstrząsany dreszczem kłębek gałganów wypełził z pościeli, głosem matki narzekając, pytając, czemu tak późno; poczuwszy woń świeżego wypieku, suchą woń mąki i roztartego ziarna, ostrożnie i z niedowierzaniem dotykała bochenka palcami. Chleb był jeszcze ciepły.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#).

VIII

Wiało przez wytłuczoną szybę, czarnego nieba runęła gwiazda. Ciemności połykały krótki dzień, ledwo minęło południe. Zima, zima, kiedy wreszcie skończy się ta zima? Dawid chuchał w dłoni i rozcierał zziębnięte, sztywniejące palce. Ciężkie sople zwisały z rynien i wzdłuż dachu, jak ścięte lodem brody szkieletów poniewierających się na podwórkach. Słupek rtęci spadał ciągle w dół, stopień za stopniem. A tutaj z każdym oddechem ulatywało życie. Przed oknami pustoszejącej kamienicy rosło zwałisko śmieci, sprzętów, książek, a śnieg zasypywał łachmany na ulicy, ślady przemarszu żebraków. Otwartymi drzwiami, oknami wywiewało papierzyska na schody, ze schodów na podwórze i dalej — hajda, przed siebie pomykał miastem uśmiechnięty Lejbuś na kolanach Fajgi, z chorągiewką w rączce, aż do placu Żelaznej Bramy, gdzie świąteczna fotografia przymarzła w błocie. Na chorągiewce zatknięte jabłuszko, w jabłuszko wetknięta kolorowa świeczka... Spuchnięte języki sterczały spomiędzy wyszczerzonych zębów jak kamienie, a twarze martwych siniały.

Porzucone zegary leżały na śniegu wskazując czas, który minął. Podarte modlitewniki sypały wersety, nieme klątwy błędzące bez celu, zżółkłe, zgrzybiałe kartki zrywające się bezładnie do lotu we wszystkie cztery strony świata. Rozbebeszone pierzyny, którymi owijali się wychodząc na ulice, prószyły pierzem w mroźnym powietrzu i mary Żydów, jak oskubane anioły, sunęły przez miasto.

Wiało przez wytłuczoną szybę gwiazdami z czarnego nieba.

— Wieszam w próżni gwiazdozbiory, planety i księżyce. Przeciągam Drogę Mleczną — mówił prof Baum, czochrając się zawzięcie tu i tam.

Wesz pełzła sobie powolutku po jego rękawie.

— Oto niebo.

Rozwartą dłoń jak drogocenną czaszę unosił palcami ku górze, ruchem pełnym znaczenia, a siniejące powieki same opadały na załzawione z chłodu oczy.

Niebo prof Bauma było puste, wymiecione z aniołów. Nie rozbrzmiewał w nim głos Boga i żaden przewrócony tron nie zagradzał drogi tym, którzy pragnęli tam wkroczyć. Światło, przestrzeń, ład. Niebo to było pierwszym zegarem. Mechanizm złożony z mas i obrotów bezbłędnie mierzył upływ wieczności. Zegarem, kalendarzem, który ludzie uczyli się przez wieki odczytywać. Wagą i miarą, podług której kłecili swe małe wagi i miary. Ogniskiem energii, której nie ubywało, odkąd człowiek wyprostował się i jednym spojrzeniem objął gwiazdy. Łowca skryty za drzewem śledził ruch Wielkiej Niedźwiedzicy oszczekiwanej przez Psy, by uprzedzić świt i w porę stanąć na stanowisku, kiedy Wilk za Niedźwiadkiem skrada się do wyschniętego wodopoju. Rybak, nocą zapędziwszy się na rozległe łowiska, strzegł Ruffy, Żagli i Ster kierował za Gwiazdą Polarną, oczekując wschodu słońca i pierwszej Ryby. Stamtąd, spod stropu świata, szły ku niemu niejasne znaki, które uczył się przyjmować i rozumieć, jakby do niego były wysyłane. Następstwo dni i nocy, miesiący, pór roku, wszystko znajdował tam trwale wyryte.

Niebo to było kierunkiem, siłą, podróżą. Podróżą i miejscem podróży, siłą i kierunkiem siły. Tutaj, na dole, przestrzeń

ogarniały cisza i bezruch. Ale wystarczyło wyteńczyć słuch, napiąć myśl i rozlegał się łoskot pękającej gwiazdy, głucho dudnienie żarzących się mas, syk mgławicy, która zmagając się z lodowatą otchłanią gromadzi siły w ciągu milionów milionów lat świetlnych swego położu, by trysnąć w czarną przestrzeń nie narodzone jeszcze ciało młodej galaktyki. W niewymiernej pustce gotowej na jej przyjęcie, w skupieniu gromadzącej się energii tężała lotna materia i dokonywało się życie, rozpraszając w ciemności blask.

W tym świecie, gdzie Ziemia poruszyła się z miejsca i poczęła obiegać Słońce ze skończoną prędkością dwudziestu dziewięciu kilometrów na sekundę, panował ład pełen swobody utrzymywany na odległość władzą niebieskich ciał. Słońca, planety, księżyce nurkowały w przestrzeni jak zwinne ryby w wodzie, mijając się godnie w okrężnym ruchu po nieskończonych torach. Wysyłały światło znacząc miejsce swego pobytu w pustce i pochłaniały światło, żywiły się nim jak międzygwiazdny planktonem. Wszystko miało tutaj swój porządek, miejsce, drogę — za dzień, za miesiąc, za rok. Wieczność rozciągała się przed światem, jak rachunek matematyka, który zbliża się dopiero do wyniku. Jedne gwiazdy umierały, inne rodziły się i nic tutaj pozornie nie ginęło. Białe karły przyczajone malowały w ukryciu, by znów po latach wybuchnąć siłą utajoną w nich do czasu. Ogromne skupiska żaru zagarniały na swej drodze strumienie chyłego światła i wirowały, gigantyczne konchy, by wydać na świat potomstwo wielu słońc. Droga Mleczna, ojczyzna widzialnych gwiazd, rozciągała się w nicości pośród odległych mgławic, które rozpraszają się z niewyobrażalną prędkością w ucieczce i wypełniając wszechświat, wydychały w przestrzeń życie.

Prof Baum w uniesieniu wyciągał rękę wwyż, nie widząc Dawida, który skulony siedział nad zeszytem.

Mróz nie będzie wieczność trwać. W styczniu dzień się wydłuży, w marcu nastąpi zrównanie, lody ruszą. Myślał z otuchą o nadejściu wiosny, a nagłe wspomnienie lata przejęło go wzruszeniem, jakby już poczuł na twarzy grzejące słońce. Zziębnięty, dygocząc, czekając, aż matka roznieci marny ogień — po środku tej zimy z czterdziestego pierwszego na czterdziesty drugi rok, która runęła na żywych i martwych, grzebiąc pod śniegiem życie — Dawid pytał:

— To świat ma swój cel?

A prof Baum odpowiadał:

— Tym celem jest śmierć ciepła. Świat dąży ku zagładzie.

Na pozór nic nie może ulec zmianie. Zima wyprzedza wiosnę, wiosna wyprzedza lato. Ale gwiazdy trwonią energię, konają w błysku światła, stygną, gasną. Planety oddalają się od nich w cień i chłód. Z każdym obrotem Ziemi Słońce porywa ją w niewiadomą stronę, z każdym obrotem Słońca Galaktyka porywa je w niewiadomą stronę. Siły ciężenia maleją, drogi rosną. Wszechświat mknie w nicość, ogromnieje z szybkością światła, ginie. Sfera gwiazd stałych nie istnieje... Geometria jest myślą rzuconą w przestrzeń, ruchem patyka w ręce Euklidesa, rysunkiem drogi, która ginie w piasku... Z każdym obrotem zmienić się musi paralaksa gwiazdy; aż suma kątów stanie się równa zeru i trójkąt zanurzy swe wierzchołki w nieskończoność. Sprężony jak bańka mydlana wszechświat, przez mgnienie spętany liniami wiążących sił, dąży do tego, by się rozprostować.

Prof Baum przymykał oczy, jak gdyby ujrzyć mógł w ten sposób ucieczkę mgławic.

A Dawid pytał:

— Więc gdzie jest piekło?

Prof Baum rozkładał kartę gwiazdzistego nieba, uśmiechał się słabo i pochylając głowę nad kosmosem wskazywał palcem.

— Tu.

To tutaj, gdzie kołyszę odwłokiem Skorpion i unosi swój jadowity kolec nad światem, Żydzi po namyśle umieścili piekło. Izajasz nazwał go robakiem, który nie umiera. Serce robaka, skryte wśród gmerających po niebie odnóży, alfa Skorpiona, dół, dół bez wody, jama, grób. Tutaj strąceni, ofiary wszystkich wyznań, spadają tłumem przez wieczność z potępieńczym chichotem. „Cha, cha, cha, cha!” Stąd wyfruwa na świat żarłoczna szarańcza, nieczyste robactwo, karakony, pluskwy, wszy, by się rozmnożyć na krwi żyjących i odlecieć do piekła. Królestwo płazów, gadów i owadów, gdzie lęgnie się zło, wstręt, lęk, wszelkie utrapienia ludzi, plagi, które Jehowa czerpał hojną ręką z tego dołu i sypał na ziemię. Nietoperze, pająki, węże, jaszczurki, ćmy oślepiające samym dotknięciem skrzydeł, ropuchy parzące swym jadem, salamandry leniwie wylegujące się w ogniu, wampiry ssące krew i duszące zmary znalazły w tym dole schronienie. Wwiercają się we włosy, skrycie kęsażą nocą, ogryzają śpiącym palce.

— Ach, to tu.

Słabo pełgał ogień rozniecony przez matkę. Z płamą sadzy na czole, ze śladami popiołu we włosach, machała ścierką przed otwartym paleniskiem i sącył się dym. Poruszała pogrzebaczem śmiecie pod blachą, które tliły się niemrawo z sykiem ustępującej wilgoci. Ojciec opatrzył karbidówkę, a zielone światło zalało jej twarz. Na uniesionym chudym łokciu widać było szare zgrubienie, plamę spierzchniętej skóry. Czarne oczy zalśniły połyskiem ognia i zgasły, kiedy odchyliła głowę

zakrztusiwszy się dymem. Pełzł po jej szyi, we włosach, a ona kasłała, ręką oganiała się przed tym dymem.

— Daj no tę zawszoną koszulę, zaraz zrobię z nią porządek...
Ehem, ehem.

Nie bał się piekła, chociaż wiedział o jego istnieniu. Kapłani wszystkich wyznań straszą piekłem i groźbą mąk wiecznych. Piekło, piekło... Długotrwałe gotowanie ludzkiego mięsa na wolnym ogniu i ciągłe polewanie pieczeni smołą. Siarka, olej, wszystko to podsyca ogień, ale czy można wiecznie płonąć? Jak długo można płonąć, aby nie spłonąć? Jak długo można się gotować, aby się nie ugotować? Próbował sobie wyobrazić takie cierpienie i nie mógł. Próbował sobie wyobrazić lęk przed takim cierpieniem i też nie mógł. Zimno; może gdyby nie było tak zimno, łatwiej by to poszło i obraz ognia piekielnego wstrząsnąłby nim? W każdym razie na karcie wyglądało to tak: od konstelacji Wagi, gdzie dawniej umieszczano szczypcę Skorpiona, wygięte cielsko ognistego robaka, robaka, który nie umiera, sięgało swym odwłokiem aż po rozwidlenie Drogi Mlecznej. Palec prof Bauma zatrzymał się i ukazał gwiazdę pierwszej wielkości. Był to Altair. Czy może być ogień, który nie gaśnie?

Ogień ten wyobraża gwiazda Ołtarza. Widać — o, tutaj, u rozwidlenia Drogi Mlecznej świeci. Jaśnieje ta gwiazda pierwszej wielkości w cieniu kosmicznego drzewa, drzewa życia. O, drzewo, drzewo, wielkie drzewo! Było już jodłą, cedrem, oliwką, figą, jesionem, winoroślą, cudownym zieleń. Pismo mówi, że drzewo to wyrastało z wód. Dawniej — dawniej myślano, że Ziemia zewsząd otoczona jest oceanem. Dlatego drzewo, w którego cieniu żyją wszystkie zwierzęta i wszystkie narody, wyrastało z wód.

— Mówiąc słowami proroka Ezechiela — i prof Baum uśmiechnął się blado.

W ogóle cały ten obszar nieba jest niezmiernie ciekawą strefą pojęć. To Ogród Arabski pełen starych, prastarych tajemnic. Raj, piekło, niby tak daleko. Prof Baum zatoczył dłonią krąg na karcie, jednym ruchem łącząc odległe gwiazdozbiory. O tak, pełno tu starych tajemnic.

Raj. Wyobraźnia podsuwała mu ciągle jedno pragnienie. Kiedy skończy się wojna, postawi przed sobą rzędem pięć bochenków chleba, kosz bułek, drugi kosz rogalików i będzie wszystko dokładnie smarował masłem i zajadał. Do syta. Skoro go to zmęczy, położy się do ciepłutkiego łóżka, wyciągnie, pośpi, umyje, a potem znów siądzie do stołu. Będzie połykał rogaliki z makiem, zapijając białą kawą. Nigdy nie chciał pić kawy z mlekiem; czego teraz żałuje. Tylko nie myśleć o jedzeniu, koniec wojny tak daleko. Jak jutro uda mu się znów przebiec za mur, to pójdzie na tamtą stronę po chleb. Uda się jeszcze tym razem. Wszystkie bramy muszą się otworzyć przed głodnym — i wszystkie bramy otwierają się przed głodnym.

Ale o tym — jak powiedzieć? Wstyd, hańba. Zawsze, kiedy jest po tamtej stronie, kupuje osobno ćwierć kilo chleba i zjada ukradkiem, sam, bo kupuje tę ćwiartkę skrycie dla siebie; w sieni najbliższego domu, gdzie się chowa po wyjściu ze sklepu, połyka w paru kęsach i milczy o tym; połyka ze wstydem, zamykając oczy i dając się unieść występnej rozkoszy napychania brzucha. A przecież mógłby odnieść wszystko do domu, zacisnąć zęby, wytrwać — tak, a kiedy myśli o czekającej go drodze powrotnej, jakiś głos mówi pobłaźliwie: „Nażryj się, to już ostatni raz!” Słucha posłusznie tego głosu, głosu rozsądku, który zawsze wie, gdzie jest pokuszenie, bo za każdym razem jest ostatni raz. Czy

wolno tak? Wiedział, że nie wolno. Teraz drżał, trochę z zimna, trochę na dźwięk słów prof Bauma, które przejmowały go czymś na kształt lęku. Ale lęk przed ogromem wszechświata to zupełnie co innego niż strach przed żandarmem Krwaworączką. Lęk, zdumienie, zachwyty. Czy nigdy nie będzie mógł wypowiedzieć? O swym strachu przed żandarmami nikomu nie pragnął powiedzieć.

— Palić się dzisiaj wcale nie chce, co za los — narzekała matka. — Daj tę zawszoną koszulę tutaj, prędko.

Ojciec zwilżył szmatę paroma kroplami politory i tak wrzucił pod blachę. Zabuzowało! Politura zawiera jakiś olej, żywicę, spirytus palny; na tej piekielnej mieszance upiecze się każde paskudztwo i spłonie, a ciepło rozpalonych śmieci buchnie na twarzę kojącym, przelotnym powiewem. Ojciec zatkał korkiem butelkę, przybił dłonią i postawił w kącie za skrzynią, gdzie przechowywał dotąd resztę narzędzi, wpółopróżnione naczynia z ciemnymi tapicerskimi płynami: pokostem, bejcą, politurą, lakierem.

— Giń, zarazo — i matka pogrzebaczem wcisnęła zawszony gałgan głębiej w otchłań komina. Stęknęła, uniosła z blachy saganek i postawiła na ogniu.

„Giń, skorpionie!” I człowiek na pustyni ciska jadowitą śmierć razem z własnym płaszczem do ogniska. Nie ma innej rady. Dawid po swojemu tłumaczy sobie, jak na niebie zapłonął ogień Ołtarza i znalazł się w tym ogniu gwiazdozbiór Skorpiona.

— Moim ołtarzem jest ta kuchnia, ten dom moim grobem. Ehem, ehem — pokasływała matka. — Udusić się można w tym dymie, ehem, ehem. Co mi zostało z życia? — Chwytała rozżarzone fajerki na haczyk całymi wiązkami, jak obręcze świetliste, i unosiła w górę. — Cały świat mi się skurczył do tej

zapluskwionej nory, do tego paleniska, do tych fajerek. Piekło... Oglądam tylko wszy, pchły, pluskwy, karaluchy i inne robactwo. Już nie pamiętam nawet, kiedy ostatni raz... Ehem, ehem. Świata bożego nie widzę... Ehem, ehem.

— Świat — wołał ojciec znad materaca, który naprawiał. — Co za świat ci się roi? Zimno, pusto, ciemno. Pijany Krwaworączka biega, szyby tłucze. Kogo zobaczy, zaraz strzela. Kule świszczą za każdym rogiem. Co ci się znów roi?

— To też prawda.

Matka postępując szła do sieni, niosąc przed sobą czarny saganek, z którego biła para.

W ukropie wszy zdychają i wypływają na wierzch, lekkie, rozdęte i żółte. Gnidy — te przetrzymują jakoś kąpiel we wrzątku; aby je wytępić, trzeba prasować po praniu wszystkie szwy odzieży. Wzdłuż załamań koszuli, kołnierza, rękawów wypływają pod rozgrzanym żelazkiem tłuste plamy. Bielizna jest potem szara i pełna brzydkich smug, ale insektów mniej się gnieździ. Raz w miesiącu matka moczy w kotle brudną bieliznę i parzy wszy. Zieleniejąc na twarzy z wysiłku, dźwiga kocioł. Wyżyma ścierki, chwyta się za wątrobę, narzeka. Na własną rękę toczy wojnę z robactwem pełznącym ze wszystkich kątów, szpar, dziur, szwów odzieży, załamań bielizny, włosów, zewsząd. Latem łóżka pędzluje terpentyną i amoniakiem, niech zginą pluskwy. Podłogę zlewa ukropem i szoruje ostrą ryżową szczotką, niech przepadną karaluchy. Jest wiele odmian karaluchów, jeśli się im dobrze przyjrzeć. Lekko biegają na ruchliwych, wysokich odnóżach, wszędzie ich pełno, kłusują całymi szwadronami w poszukiwaniu odpadków, zamiatają podłogę przed sobą długimi, cienkimi wąsiskami w popłochu i zamęcie. Kiedy już lekki karaluszy zwiad schodzi z placu, wówczas zjawiają się

pojedynczo tępogłowe, ciemnopokrywe; jak ciężko opancerzone tanki, poruszają się ociężale i z wahaniem. Skąd ta nazwa, prusaki? Zimą pluskiew i karaluchów mniej, ale wszy w grubej odzieży z każdym dniem przybywa. Pomóc mogą tylko czary i matka stosuje czary; wyczynia dziwne i ciemne praktyki, chwytając się prastarych sposobów, iska gałgany. Kiedy już nie ma do jakiegoś łacha cierpliwości, rzuca w ogień razem z insektami. Niech spłoną. Odzieży ubywa, wszy rozmnażają się dalej. W widocznym miejscu spółkują na ścianie, opadają na łóżko i niedołącznie gmerają w powietrzu łapkami, póki nie przewrócą się z grzbietu na brzuch, a wtedy wolno, nieustępliwie zbliżają się w poszukiwaniu ciepła, schronienia przy ludzkiej skórze, krwi.

— Dziwne — mówił prof Baum — ale odkąd nastały te mrozy, nie mam sił ani odwagi przewrócić koszuli na drugą stronę. Duże czyny, małe czyny. A cóż to wszystko znaczy? Ot, takie pranie bez mydła. Trzeba być świętym. Skąd brać siły,

Ojciec przeszył powietrze sztywnym palcem, pani Fremde? I skąd je pani bierze?

— Od dużych czynów, wielkich czynów i największych czynów sparszywał ten świat.

A matka broniła się słabym uśmiechem.

— Mydło takie drogie, proszę pana. Gdybym tego wszystkiego nie robiła, już dawno zjadłyby ich żywcem wszy.

— Dwie wojny światowe mam za sobą — mówił prof Baum z dumą. — W piechocie, w szarej piechocie. I po zastanowieniu muszę powiedzieć, moi państwo, że prawdziwie heroiczne czyny historia pomija milczeniem.

— Nie opuszczać rąk, jak długo się da. To tylko jest ważne — mówił ojciec. — A bohaterów niech pan nie szuka na naszej

ulicy, Baum! Oni mają pełny brzuch i chodzą z gnatem w rękę.

Matka wzdychała.

— Nafty mało, tyle co na lekarstwo.

Ojciec pytał:

— Znowu nacieranie głowy?

Dawid parsknął głośnym śmiechem.

— Tobie tak łatwo powiedzieć, wszy uciekają na sam widok twojej łysiny!

I ojciec się śmiał.

— Tak, tak, wojna. Druga wojna światowa z robactwem.

— Weź ze mną kocioł do sieni, kiedy szmaty wystygną, pomożesz mi wyżyć, Jakow.

Prof Baum przesunął dłonią po stole, jakby ścierał zapisaną, brudną i niepotrzebną już tablicę.

Jeden ruch, jedno spojrzenie — i zawalił się odwieczny świat, a szczątki jego krążyły za oknem w odległej przestrzeni, wirowały wśród gwiazd jak przestrogi astralne, zgrzybiałe znaki zodiaku, mity, które wróciły na swe dawne miejsce. Noe nie ocali gatunków, potop nie wydarzy się raz, lecz wiele razy, a mamut ominie z daleka arkę. Biedny mamut, zamarznie w lodach Syberii! Drabina, po której Jakub pnie się wśród chmur, prowadzi donikąd, drabina nie ma ostatniego szczebla, sen nie ma końca i ręce Jakuba mdleją. Ślepy Mojżesz bez laski kona z pragnienia, a połamane tablice zasypie, zasypie piasek pustyni. Jonasz nie zdąży na czas do Niniwy. Ryba zgubiła drogę wśród wód i zdycha, a jej wielkie cielsko tłucze się na mieliźnie. Estera szlocha w ogrodzie króla przez wieczność i nie wybawi narodu. Kielich jest pusty, a kiedy prorok Eliasz przyjdzie na naszą ulicę, pozbiera rozrzucone kości. Biblia runęła w gruzy; wszystkie nauki dziadka poszły na marne. Dawida piekły uszy, miał

błyszczące gorączką oczy i pocił się z wrażenia. W popłochu zapragnął znów złudzeń, które dawno porzucił; jakaś część jego istoty zapadała się w nicość i czepiała ostatkiem sił pamięci, wołając o pomoc, a on nie czuł w sobie wiary, tylko bezładną tęsknotę. Więc nie ma już nic — nic pewnego, trwałego? Prof Baum mówił, że nie. I dawał przykłady.

Rozumiał piąte przez dziesiąte, ale jakiej emocji dostarczały mu te przykłady.

Człowiek jadący pociągiem podrzuca kulę i kula wraca do ręki. Jaką drogę wykonała kula? Pasażer w wagonie mówi, że biegła po prostej. A pociąg mija już w pędzie maleńką stacyjkę i stojący na peronie zawiadowca może zaręczyć, że kula biegnie po łuku. Jak to możliwe, zastanawiał się Dawid. Pocierał palcem brudne, lepkie drewno stołu, aż piszczalo. A gdyby posuwać się ponad wagonem z tą samą szybkością i w tym samym kierunku, znów można by ujrzeć ruch kuli po prostej równoległej do toru. A więc inaczej niż pasażer w wagonie, który wyrzucił ją pionowo do góry. Można wybrać taki punkt w przestrzeni, skąd ruch kuli odbywać się będzie po obwodzie koła, elipsy... Można wyobrazić sobie tę samą kulę odbywającą drogę po krzywiźnie, która jest wycinkiem dowolnej figury. Wszystko zależy od tego, jaki punkt obierzemy w przestrzeni i w jakim kierunku, z jaką prędkością poruszamy się względem pociągu, globu, układu. Hopla, kula tańczy! Jest wszędzie i nigdzie. Kreśli swobodnie trójkąty, kwadraty, kuby, wymyka się w przestrzeń, wolna i lekka, wyprzedza ociężały parowóz i mierzy w nieskończoność. Ruch już dawno wyniósł ją poza obręb ciasnego wagonu, gdzie senny pasażer, znudzony powolną jazdą lokalnego pociągu na trasie Skierniewice — Koluszki, ziewa i chwyta kulę, wążąc jej martwy ciężar w rękę.

A to wszystko za obiad bez chleba, za talerz buraczanki trzy razy w tygodniu, co drugi dzień. Matka mówiła, że tanio. A ojciec na to po swojemu:

— I tak do piachu, i tak do piachu.

— Jakow, przecież to dobry profesor, on zna się na wszystkich przedmiotach i mógłby uczyć nawet na uniwersytecie.

— Baum? Jaki, czego profesor? Też coś. Dyrektor świeżego powietrza!

Na brudnej, wymiętej koszuli resztki kamizelki, koc w rękę zamiast płaszczka i blaszanka przy pasku. Getry, a pod getrami dziurawe skarpetki i gołe nogi. A kiedy szedł ulicą — najpierw unosił się zamszowy getr, potem brudna pięta, a na samym ostatku luźny obcas podartego buta. I to już był cały prof Baum. Latem przychodził punktualnie o piątej. Zimą o godzinie trzeciej, póki jasno. Zdejmował koc zarzucony na ramiona, zwijał i siadał na nim. Przed obiadem zacierał ręce: co dzisiaj mamy? Dawid krzywił się i marszczył, kiedy słyszał własny głos, układny i obcy. Słowa, których miejsce było na papierze, rosły w ustach, kleiły się jak mokre ciasto. Prof Baum pochłaniał wodnistą zupkę, a on głośno powtarzał to, co miał zadane z poprzednich dni. Kiedy talerz był pusty, łyżka oblizana do sucha, prof Baum chował ją do kieszeni i wtedy on gładził zawinięte kartki tłustych, wytarmoszonych zeszytów i prostował ośle uszy. Z mozołem odmieniał czasownik w obcym języku.

— Ja jestem, ty jesteś, on jest. Ona jest.

— Dalej, czas przeszły!

Hi, kogo to obchodzi? Pisał niechlujnie, sadząc ogromne byki. Prof Baum brał ołówki i z powagą stawiał w zeszytce czerwone fajki. Sypały się z rękawów wszy. Kiedy spod gwiazd spadali na ziemię, rozpoczynało się powolne, zmuadne dyktando, którego nie

cierpiał. „Oto raczył zasiąść do śniadania władca Paflagonii... Czytanie listu tak pochłania jego uwagę, że nie widzi przed sobą dostojnych jaj na miękko i jaśnie oświeconych bułeczek leżących na stole.” Prof Baum dyktował, chichotał złośliwie i popatrywał na Dawida. Wyszukane okrucieństwo lektur szkolnych w niego było wymierzone, wszystkie te bajki dla sytych. Rzygać się chce i nie ma czym. Jak po ichniemu jest król? A jak jajko? Czy to możliwe, żeby czytać list, kiedy na stole leżą bułki? No, ale skoro król Walorożo jest bohaterem. Wszystko tak ciężko wchodziło mu do głowy; był tym zrozpaczony i bohatera pisał ciągle przez „ch”. Długi czas był z tym spokój, nauka poszła w ką. Z rozrzewnieniem myślał o lecie i utraconej swobodzie. Ostatnio, po paromiesięcznej zwłoce, prof Baum znów wyjechał z równaniem o jednej niewiadomej i po całym dniu włączęgi na mieście Dawid musiał zginać kark nad książką. Zmierzch zatapiał twarz, szarzał w szczecinie zarośniętej dziko brody, rozwiewał łachmany, koc zarzucony na plecy prof Bauma jak chusta. I rozlegał się głos. A Dawid słuchał cierpliwie, cicho. Kiedy dyktando zostanie napisane i skończy się ta nienawistna bujda pełna róż i słowików, wtedy prof Baum splecie ręce nad stołem, obiecująco chrząknie i zacznie opowiadać, jak jest zbudowane niebo. W głowie szumiało z głodu po kiepskim obiedzie i kręciło się z wysiłku po rozwiązaniu równania pierwszego stopnia, a w tym szumie padały słowa, na które czekał.

— Wołają cię, podejdź do okna — powiedział prof Baum.

Matka narzekała:

— Prosiłam cię przecież tyle razy, żebyś więcej się z nim nie zadawał. Ani z byle kim.

— Z byle kim — powtarzał ojciec i hałaśliwie tłukł młotkiem.

— Zadawał, dobre sobie. Całe życie zadajemy się z byle kim. A

z kim?

— Boże, Boże — narzekała matka — kiedy to się wreszcie wszystko skończy.

— Niedługo — odpowiadał ojciec i umyślnie tłukł młotkiem.
— Jeszcze trochę... i już!

Elijahu stał na podwórzu i śnieg topniał mu na twarzy; machał nagłaco ręką, gwizdał wsuwając dwa palce między zęby.

— Schodzisz czy nie schodzisz, Dawid?

A on potrzasał głową, dalej stercząc w oknie. Milczał, patrzył w niebo z wyrzutem, jak więzień pozbawiony wolności, i myślał o hr Monte Christo. Widział, że Elijahu odwraca się, z pogardą wtyka pięści w kieszenie i głośno szurając zerwaną podeszwą znika w ciemnej bramie. Żał mu było siebie, żał Elijahu i żał tego, że nie umie gwizdać na palcach jak on. Tymczasem prof Baum schował niedopałek papierosa do małej kieszonki w kamizelce, zarzucił na ramiona koc przed chłodem, mówiąc:

— Czas na mnie — ale nie odchodził.

Na dzisiaj dosyć.

Dawid wysunął szufladę, w której chował zeszyty i wszystkie książki. Stała na podłodze pod łóżkiem. Przewracał odarte z okładek, żółte i brudne, sypiące się stronice.

Z książki kartka wypadła. Był to list. List zaczynał się tak: „...na rany Chrystusa, człowieku!”

Żyją jak na froncie. Niemiec w każdej chwili może wpaść, wygnać w pole do łopaty, a wszystko ma być otwarte na oścież, chlew, stodoła, i śpią nie zdejmując butów. W miasteczku Żydków odrutowali, to się nazywa *Judenstadt*, potem spędzili tłum innych Żydków z całego powiatu i za te druty. Giną nago prawie i na mrozie, bo budy marne i pomieścić nie mogą całego narodu.

Przedtem za druty rzucono im po kawałku chleba z litości, ale za taki kawałek chleba kara śmierci przez powieszenie.

Co nie wymarło, poszło w pole. Swoi swoim doły kopali i swoich grzebali w tych dołach. A sami kładli się na wierzchu. Za drutami zrobiło się pustawo, ale Niemiec poszedł po rozum do głowy i doły kazał z powrotem rozgrzebać. Co tam zostało, do lasku wozić i palić. We dnie czarny dym wali słupem pod niebo, nocą ogień wielki buzuje.

Widać z dala w całej okolicy. Kości mielą i do rzeki. Patrząc nie można i serce się ściska. Od tego dymu, swądu gorzko w ustach i chleb smakuje jak piołun. Ani jeść, ani spać, jak kołowaty każdy chodzi. A jeszcze z podwodą pięćdziesiąt kilometrów gnają tam i z powrotem. Żydków, którzy żywi za drutami pozostali, do tego lasku wożą i prosto w ogień. Słabych to nawet nie strzelają. Żywcem nagusa bez koszuliny, jak stoi. I dalej go — jednego po drugim. Namarnowali Żydków. Życ się nie chce, uciec nie ma gdzie, człowiek głowę traci. We wsi boi się brat brata. Mówią, że tak wszędzie.

List kończył się tak: „Nie mam do ciebie żalu, ty do mnie nie miej. Do końca życia modlić się za was będę.”

I już. Zamyślił się nad tym listem. Wiedział, że kiedyś ojciec chciał go posłać na wieś do Hrybki. Dobrze tam było, cicho, zielono; ale skąd ten ogień i co to za dym? Każde słowo z osobna rozumiał, a wszystkie po kolei rozpierzchły się natychmiast, nie umiał ich złożyć razem. Kto podłożył ogień w lesie i dlaczego ciągle się pali? Jest takie jedno miejsce w Pięcioksięgu i dawniej, kiedy dziadek uczył go starego języka, kazał mu głośno za sobą powtarzać: „A Pan szedł przed nimi we dnie w słupie obłoku i tak ich wiódł drogą. A w nocy w słupie ognia i tak im świecił, aby szli we dnie i w nocy.” Dziadek uważa, że to

przepowiednia na przyszłość, a prof Baum uważa, że w Piśmie świętym ukryte są obserwacje nieba. Mówi się, że ktoś idzie za swą gwiazdą; Żydzi też szli za swoją gwiazdą, aż doszli do Ziemi Obiecanej, to nie ulega wątpliwości. Zacisnęła powieki, próbując z wysiłkiem wyobrazić sobie swoją gwiazdę, ale słowa listu wciskały się do myśli i coś strasznego, dławiącego spadło mu na twarz.

Pytał prof Bauma o wszystko i na wszystko otrzymywał odpowiedzi. Martwiły go dawno niejasne wersety, przy każdym z nich obrywał po łapach, lecz nie wierzył w to, że można je objaśnić. Prof Baum mówił z błyskiem w oczach rzeczy najprzedziwniejsze i nie kładł palca na ustach, jak dziadek. Obłok nie był obłokiem, a ogień ogniem. Z ciemnych słów zajaśniała gwiazda Altair i zamglila się światłem złota mgławica Praesepe. Mojżesz stracił dar rozpoznawania boskich znaków, a ciągnący za nim Żydzi szli podług pewniejszych wskazówek i kiedy tracili z oczu Altair, kierowali wzrok na konstelację Raka. Jehowa nie okrywał więcej chmurą niesionego przez nich ołtarza ani zapalał ogni na ich drodze. Altair był owym ogniem ołtarza, a mgławica Praesepe owym słupem dymu. Obłok, który prowadzi za dnia, i ogień, który prowadzi nocą? Dawniej zdanie to musiał tłumaczyć prościej i bez sensu, dopiero od prof Bauma dowiedział się, że wiosna i lato rozciąga się na niebie od Barana do Panny, a jesień i zima od Wagi do Ryb. Wiosna i lato, biblijny dzień, stawiał Żydom przed oczy mgławicę, jesień i zima, biblijna noc, pozwalała im orientować się według gwiazdy pierwszej wielkości; szli pustynią, szukali kierunku i wspomagała ich astronomia, a nie Jehowa i zależnie od pory roku obierali na drodze inne znaki.

Jak ciężko się skupić. Myśl ulatuje, krąży z wysoka nad

zeszytem, odepchnięta trudem zadania, w którym dwie niewiadome straszą niedocieczoną tajemnicą, jak dwa upiory o zakrytych twarzach. Stawiał cyfry, przekreślał je i poprawiał wynik, miał notatkę i zaczynał od nowa, a u kresu wysiłków leżała przed nim znów czysta kartka papieru. Wzrok bezmyślnie zatapiał się w niezmaconej bieli i pióro z wahaniem ważyło się w powietrzu. Nużył się szybko i było mu wstyd. Pragnął zataić to przed prof Baumem. Czy wszystkim i zawsze wszystko z takim trudem przychodzi? Usiłował przypomnieć sobie uczniów, których znał ze szkoły na Srebrnej, ich pilne spojrzenia rzucane w pośpiechu na tablicę, błyszczące oczy i rozpalone policzki na lekcji matematyki, ruchy nieprzytomne jak we śnie, bzykanie muchy, która podnosiła w ciszy alarm na klasówce, gdy trwożnie nasłuchując dzwonka liczyli minuty dzielące od chwili złożenia zeszytów na katedrze. Z rozmachem pisali wstęp, rozwinięcie i nigdy nie starczyło im czasu na zakończenie. Dotrzeć do końca udawało się nielicznym; w skupieniu i nie podnosząc karku znad ławki sporządzali starannie plan, a potem wypełniali punkt po punkcie. Widywał jeszcze niektórych na ulicach.

Gryzł paznokcie i bezładnie wspominał wszystko, co zachowała pamięć z tamtych lat. Niczego nie można porównać z udręką takiego pochmurnego dnia, kiedy musi siedzieć nad zeszytem i wie, że zbliża się pora wypełnienia obowiązku. Czuł, jak wzbiera w nim jałowy upór dłużącej się beczynności. Oskarżał się i tonął w samooskarżeniach, aż do dna. Był nicością, pyłkiem, ostatnią istotą pod słońcem, której nie warto okazać pobłażliwej uwagi (sposstrzegł już dawno, że nawet prof Baum nie silił się wobec niego na należyłą surowość). Patrzył bezmyślnie i ze smutkiem na rozłożoną książkę, przenosił znudzone spojrzenie na zeszyt, bez otuchy podejmował na nowo

wysiłek i ogarniał go nieokreślony lęk. W takim razie co z nim będzie, jeśli do niczego nie jest zdolny? Widział przed sobą przyszłość jałową i pustą, długie dni wypełnione równomiernie szarą nudą. Los krył się w przerażających obrazach: zostanie bez wątpienia nędznym włóczęgą, leniwą kreaturą i będzie skarżył się natrętnie, zabiegał drogę innym spieszącym do swych ludzkich zajęć i w małości, w opuszczeniu dokona marnego życia, którego cel pozostanie nieznany, ponieważ tylko on sam mógłby z wysiłkiem go odnaleźć. Wyobrażał sobie ze smutkiem i z próżnością ostatni swój dzień, kiedy żałować będzie rozpaczliwie wszystkich przeszłych dni, kiedy skruczą i rozdzierającym żalem przepełniony wspomni ogromną pustkę, strwoniony czas, zmarnowane istnienie. Przepadło, wszystko przepadło. Umrze i to, do czego okazał się niezdolny i słaby, przypadnie w udziale nie jemu.

Skrupuły budziły wyobraźnię. A wyobraźnia podsuwała obrazy, które syciły lenistwo i były ukojeniem, uspieniem woli. Stało się. Upadek tchórza nikogo nie poruszy; on sam niech przyjmie zasłużony wyrok i pochyli głowę przed obojętnością, która mu się należy. Poczuł, jak serce przepełnia mu tkliwość, pokorny podziw dla innych; wspomniął rozważne i pewne ruchy ojca, w skupieniu krzątającego się przy warsztacie, uśmiech roztargnienia, z jakim wuj Gedali go witał i nieśmiało udzielał otuchy, jasne czoło i surowo zaciśnięte usta, kiedy gniewem unosił się w rozmowie wuj Jehuda, uważne spojrzenie zmrużonych oczu dziadka, kiedy prostował się i wydobywał ukradkiem z zamyślenia, a wszystkie głowy zwracały się wówczas ku niemu — każdy z nich ma jakąś ukrytą przed nim zaletę i nikt z nich żadnej części swych zalet jemu nie udzielił. Okropne, że musi być tym, kim jest. A przecież kto ma mocny

charakter i wolę, może się poprawić i zacząć nowe życie: wierzył w to, i tym mocniej, im więcej nabierał pewności, że sam niezdatny jest do takiego czynu. Żałosna niemoc, koniec godny takiego tchórzliwego istnienia. Nigdy już się nie zmieni, nigdy; jutro wstanie tym, kim był wczoraj.

Dawniej, przed snem nawiedzała go natrętna myśl, której nikomu nie mógł powtórzyć. Odarta ze słów, była na tyle wyraźna i jasna, aby utrwalić się w pamięci i w niej pozostać długo. Czy można nie być? Nie być, to znaczy nie istnieć. A przecież nie można nie istnieć ani wyobrazić sobie istnienie kogoś innego zamiast siebie samego. A jeśli ktoś nie urodził się? Skoro mógł nie urodzić się, to mógł przecież nie istnieć. Właściwie, co to znaczy; kiedy niebytu nie można sobie nawet z największym trudem przedstawić. Nie być tym, kim się jest, to znaczy być kimś innym. A może właśnie wtedy nie trzeba być wcale? Ten, kto raz istnieje, próbuje cofnąć się myślą wstecz do chwili, kiedy jeszcze nie istnieje. Miliony możliwości i parę nieskładnych pytań. Mała myśl gubiła się w zamęcie świata znów od początku. Gdyby się nie urodził, toby nie istniał. Ale jego matka mogła urodzić nie jego. Czy matka Dawida mogła wydać na świat kogoś innego zamiast niego i kim byłby ten ktoś? Może właśnie on jest tym kimś? A więc musi być? Na tym rozplątywała się niejasna, kłopotliwa myśl; rozpraszała w uczuciu niepokoju, zawodu, że nikt mu przecież tego wyjaśnić nie może i on nie może żadnymi słowami wyrazić tego nikomu.

Trochę mu było wstyd ukrytego zmartwienia. Zasnął, a wraz z nim zasypiała jego tożsamość.

Zauważył, że wówczas kiedy zapamiętał swój pierwszy sen, w biały dzień zjawilo się marzenie. W marzeniu był sobą, ponieważ było to jego marzenie o sobie samym. Na jawie nie

zaznał takiej swobody, nikogo nie obchodziło, kim chce być; ważne było pochodzenie i każdy mógł o nie zapytać. Był Żydem, bo Żydem jest ten, który urodził się z łona matki Żydówki i ojca Żyda, kiedy dziadek i babka też byli Żydami, matka i ojciec dziadka oraz matka i ojciec babki również byli Żydami, a ponieważ tamci Żydzi mieli przodków Żydów, dlatego ich potomstwo i potomstwo ich potomstwa jest przeklęte na wieki. Im dalej myślą sięgał wstecz, tym większy tłum przodków widział; gałąź rozwidlała się w nieskończoność i miała coraz więcej odnóg, które ginęły gdzieś daleko i dawno. Ilu musiało żyć, płodzić, umierać, aby mogła przyjść na świat jedna znieawidzona istota; leżeli już wszyscy w ziemi i byli nie do odnalezienia, rozproszeni samotnie w swych grobach, rzucony wzdłuż dalekich dróg, którzy uciekali przez wieki. Bezsilna zgryzota ogarniała go i chmurny żal na myśl o tym, co stało się kiedyś. Wiedział, że nie ma dla niego ocalenia, przeszłość się dokonała.

Ciemność ogarniająca umysł, zimno odrętwiające ciało, ssanie w żołądku łączyły się w jedno: głód. Najpierw zjawia się lęk przed wysiłkiem, potem nerwowa złość, a na koniec apatia, ciche i błogie zubożenie, pierwszy objaw charłactwa. Kulił się w swym kącie, gdzie półmrok i chłód napierały zewsząd, czując w trwożliwym przyczajeniu sił, jak z każdym oddechem maleje i niknie drobina ciepła wewnątrz niego, jak z każdym oddechem przygasa życie zamotane w kłębek wilgotnych gałganów. Łagodne uczucia, śmiałe zamiary, odwaga i upór, marzenia potrzebują światła, by się obudzić; i na myśl, że kiedyś może jeszcze raz słońce ogrzeje mu twarz, doznał cichego wzruszenia. Światło, gdzie jesteś, światło! Wyrzał ukradkiem przez okno, ostrożnie uchyliwszy koc. Życie utknęło w ciemnym, lodowatym

zaułku wszechświata; wydawało mu się, że widzi daleki i martwy odcinek orbity, po której planeta sunie opieszale, zbliżając się do słońca, które gdzieś tam w pustce nieuchronnie na nią czeka. Wiosna, lato; jeszcze tylko mały zakręt łuku i oto nareszcie zbliża się szczodre, rozplómięte ognisko pośrodku tego wielkiego obiegu. Przypomniawszy sobie, że dzicy modlą się człołobitnie do światła, ale to już go nie śmieszyło; przypomniawszy sobie, że ptaki odzywają się, kiedy pierzcha noc i wśród drzew błyskają pierwsze, blade promienie. W ciemności pokazują się niedobre majaki i radość przepada. Złe, wykrzywione twarze rzucają krzywe i pokraczne cienie, wtedy strach serce ściska. Ponuro, ciężko, źle. Opadły go nietoperzym stadem małe, zbiedzone, szerniałe pyszczki o rozdziawionych ustach, o wytrzeszczonych oczach, o wyschniętych pieszczelach rąk i nóg: Lejbuś z rybią łuską na skórze, Rojzełe włokąca spuchniętą stopę w kurzu, Długi Icchok, Mojsze Połamaniec, Henio Śledź... Ilu ich? Żywych, martwych. Otaczają go nieustępliwie, patrzą zachłannie, z bolesną uwagą, jak na rzucony kawałek chleba. Siedzi nad nie zapisaną kartką, gdzie po lewej stronie znaku równości piętrzy się stromy ułamek najeżony trudnościami, a po prawej długi iloczyn nawiasów kwadratowych podoczepianych do siebie jak wagony. Drzemie? W malignie poruszają się nikle, odtrącone postacie, krążą nieśmiało, zawieszane nad nim, a jemu się zdaje, że gotowe są spaść mu na kark.

Otrząsnął się, nie pomogło. O, nigdy nie będzie ich godny. Ich, innych.

Kuli ramiona i patrzy, jak światółko lampki zamiera, bucha w górę, zamiera. W powietrzu, oderwana, wysoko nad palnikiem jarzy się cieniutka smuga karbidu, jak raca. Z sykiem opada, dwoi się i troi w oczach. Otacza go rój małych zielonosinych

płomyków, to twarze dogasające. Wina; na czym polega wina? Winą jest samo istnienie. Za ścianą ktoś może teraz kona, we wszystkich norach wszystkich domów na wszystkich ulicach ktoś kona i nie doczeka się dnia. Mrok wypełnia oczy, usypia myśli. Powieki mu ciężą i głowa sama opada na stół. Jutro przybędzie mu może sił, skupi myśli i wykona, rozwiąże równanie. Jutro wszystko może się jeszcze zdarzyć.

Jutro, zawsze i wszędzie dla kogoś jest jakieś jutro, choćby ostatnie.

Śpiączka głodowa zawładnęła nim na ostatek i czuł tylko wiotczące siły, słabość ramion i sztywnienie karku, czuł rozpulchnione stopy w wilgotnych onuczkach. Gnuśny, ospały, skazany na zatrąę w nicości, nie łączył obawy o siebie z unicestwieniem, które co dzień oglądał dokoła. Nie wiedział, co o tym myśleć i jak zrównać siebie z innymi. Charłactwo budziło w nim jeszcze lęk, wstyd. Osobno działało się wielkie zło, a małe zło było w nim samym. Czuł się winny, że nadal żyje. Zagłada nie oszczędzała nikogo i wymiatała zewsząd tłumy istnień. Przypadkiem jeszcze nadal żywa została nikomu niepotrzebna, znikoma, zdziwiona swą znikomością, zgorzkniała istotka, on sam.

Dopóki słuchał słów prof Bauma, ogarniało go wzburzenie, a serce biło mocno i w wyobraźni widział siebie, jak idzie wyprostowany i wolny przez świat wyprostowanych i wolnych ludzi — ale ten świat wyglądał inaczej. Chwilami zdawało mu się, że wystarczy wybiec myślą naprzeciw innej przyszłości. Widział ją i gubił; a ze wszystkich nieosiągalnych pragnień na jawie i we śnie pozostawała przy nim jedna wyraźna, nie zmacona marzeniem myśl, zawsze obecna i wierna do końca: pewnego dnia zdejmie opaskę z gwiazdą i odtąd nie znajdzie się

nikt, kto by go zmusił do noszenia znaku. To będzie inny świat... I wszystkie majaki wylęgle w strachu, gorączce i głodzie zlatywały się znów, zewsząd opadały rozpaloną głowę, układały się do snu w jego sercu.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](https://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/).

IX

W zębach tkwił krótki gwóźdź z szerokim, płaskim łebkiem. Rękawy koszuli zawinięte miał po łokcie, a wokół dłoni szpagat. Na ustawionych pośrodku kozłach leżał otwarty, rozpruty materac. Kurz unosił się pod sufit i ciemno było w mieszkaniu. Fruwały lekkie kłaczki trawy morskiej. Ojciec popluwał, kaszłał. Ciął sznurki rdzewiejące na drucie mosiężnych sprężyn, odrzucał szerniałe i stare węzły.

— Jeszcze dzień, dwa. A co dalej, Baum? Komu to potrzebne i po co ja to robię?

Rozległo się ostrożne, lekkie chrząkanie i w otwartych drzwiach stanął zdyszany mecenas Szwarz. Mrużył oczy w półmroku i dymie, kręcił szyją w ciasnym kołnierzyku. I już od progu:

— Aa, pracuje się, pracuje. Wszystkiego najlepszego. Uf, ledwo trafiłem tutaj. Krochmalna to piekło!

Ojciec wypluł gwoździe. Mecenas Szwarz odpiął guzik palta i oznajmił:

— Przychodzę z interesem.

Ojciec poruszył kozły, wsunął płaski klocek; za każdym poruszeniem kłęby pyłu wzbijały się w powietrze.

— Robi się.

— Nie — powiedział mecenas Szwarz. — Materac się nie pali. Przychodzę z pilnym interesem!

Chrząknął, ostrożnie przysiadł na podsuniełym mu twardym krześle i odpiął ostatni guzik.

— Oho, ktoś znowu — i prof Baum odwrócił się w stronę drzwi, a matka plasnęła w dłonie. Rozległ się głos wujka Jehudy, który zamiast powitania rozwlekł wywódził:

— To ja wam mówię. Wystarczy, że Żyd Żyda minie w przejściu, a już zbiera się tłum innych Żydów, którzy muszą wykorzystać tę wyjątkową okazję, żeby gruntownie o wszystkim pomówić. No więc, co słyhać?

Wiódł przed sobą bezkrwistą marę, ośnieżony cień. Wspierany przez wuja Jehudę szedł dziadek ze złożonymi na lasce trzęsącymi się rękami. Kamasze szurały ostrożnie po podłodze, kiedy posuwał się niedołącznie krok za krokiem. Ojciec ujął go i obaj z wujem umieścili starca na połamanym fotelu, gdzie zapadł się nisko. Dalekim, zamglonym spojrzeniem rozglądał się na boki. Wydawało się, że nikogo nie poznaje. Wuj Jehuda i ojciec patrzyli sobie w oczy ponad nim; a mecenas Szwarc kręcił się niespokojnie.

— Pomówić. O czym tu jeszcze można mówić? — Prof Baum okrył się szczelnie kocem.

— Kiedy żyć się zwyczajnie odechciewa — powiedziała matka.

Wuj Jehuda wskazał głową dziadka, który przymknął oczy i zadrzemał, a matka podeszła z westchnieniem do kuchni.

Ojciec powoli zwijał szpagat i milcząc, z opuszczoną głową słuchał słów mecenasa Szwarca.

— Wiadomo, że to i owo posiadam. Co posiadam, Fremde?

— To, co Żyd musi ukryć — wtrącił wuj Jehuda z kpiącym uśmiechem.

— To, co w naszych opłakanych czasach Żyd musi dobrze ukryć — powtórzył mecenas Szwarc. — A do ukrywania wzięła się moja żona. Gdzie kobieta chowa kosztowności? Wśród

bielizny pościelowej. A gdzie szuka ten, kto przeprowadza rewizję? Nie muszę mówić. W komodzie, wśród bielizny pościelowej. Jak jej to powiedziałem, wszystko razem wetknęła do dziury w ścianie za oddartą tapetą. Nisko, pod kanapką. Fremde, wy dobrze znacie tę kanapkę. W kącie żardiniera stoi — zwrócił się mecenas Szwarc do wszystkich. — Bałagan, kwiatki, wazon y i śmiecie. Ale pewnego razu szukam rękawiczki, zaglądam pod kanapę, odsuwam wazon i widzę, że wszystko wysypało się spod tapety na podłogę! Od słowa do słowa, obraziła się i wtyka mi wszystko w rękę. Ja? A gdzie ja to schowam? Zawinałem w papier i włożyłem do biurka, biurko zamknąłem na klucz, klucz schowałem do kieszeni i spokój. Lepiej niż w banku. Kto wpadnie na to, żeby szukać w mieszkaniu biurka? Głupi żandarm? Krwaworączka? A jak już znajdzie biurko, to skąd weźmie klucz? A nawet jak dostanie klucz, to skąd będzie wiedział, gdzie wszystko leży? I jeszcze zawinięte w papier! Ale czy długo trwa spokój, kiedy kobieta stoi nad głową? Szukała lakieru do paznokci. — Mecenas Szwarc zastanowił się. — Lakieru! Otworzyła biurko i w krzyk. Jednym słowem, cały nasz majątek w papier zapakowany leżał na wierzchu w szufladzie. Wzięła i schowała sama. Gdzie? Do materaca. A po paru dniach przychodzi z wieścią: Krwaworączka, Hrabia Grandi i Wściekły Pies chodzą od domu do domu. Byli u starego Lewina, rewizja trwała dziesięć minut. Rozpruli materac bagnetem i cały majątek Lewina mieli na patelni. I co się zaczyna u mnie w domu? Sądny dzień, to za mało. Rewolucja i sądny dzień, to za dużo. Ale pogrom w takim małym żydowskim miasteczku, w dniu kiedy Żydzi obchodzą Jom Kipur, to w sam raz. Wszystkie meble przestawione, bałagan na łóżkach i cały kurz w powietrzu. A kiedy komoda stała na miejscu

kanapy, a kanapa na miejscu komody, moja żona uznała, że najlepszym schowkiem jest komin. Taki nieduży szyber koło kuchni... Jak się dymi, kucharka otwiera ten szyber, wtyka gazetę i podpala, a wtedy przestaje się na ogół dymić... Ukryła tam całe zawiniątko razem z biżuterią i pieniędzmi. Los chciał, że pewnego dnia kucharka wzięła poranną gazetę, wsadziła w szyber — i na to wchodzi moja żona, żeby odwrócić ślepy los! Nie muszę mówić, co się działo! Gazeta już się pali, sadze latają w powietrzu, a kuchnia i tak dymi! Porwała stamtąd wszystko i znowu schowała. Gdzie, pytam się? W komodzie, pod bielizną pościelową! Nieszczęście zaczęło się od nowa. Ludzie, mam zatrute życie. Ani we dnie, ani w nocy spokoju. I co wy na to?

Mecenas Szwarz przerwał i patrzył na ojca, jak usuwa żdźbła trawy morskiej z rękawów. Przysunął się z krzesłem i kaszlnął.

— Fremde, u was jest chłopak, a ja mam nieszczęście w domu. U was jest chłopak, który chodzi na tamtą stronę, a ja muszę się tego nieszczęścia z domu pozbyć... Mówiłem z jednym tam, przez telefon. Do czasu może mi wszystko ukryć w bezpiecznym miejscu. Żonę już wysłałem. Ona u mnie pierwsza. I zanim się z nią połączę, jemu, temu człowiekowi, mam posłać zaliczkę. Dam za niego głowę. Ale przez kogo dostarczyć pieniądze i list? A czas nagli, żona dzwoni. Miesiąc jej nie widziałem na oczy i zmysły tracę.

— A dzieci pan wysłał też?

— Nie, nie. Są ze mną.

Ojciec starannie usuwał żdźbła trawy morskiej z rękawów koszuli, a mecenas Szwarz czekał. Wyciągnął rękę i ta ręka zawisła w powietrzu.

— Przybijmy interes, Fremde. — Matka odwróciła się i schowała twarz. Wuj Jehuda sapnął i na to dziadek uniósł głowę.

Stare, wyblakłe oczy spoczęły na Szwarcu. — Fremde, nie ma o czym mówić, wszystko rozumiem. Chodzi o warunki. Płacę, ile?

Ojciec wzruszył ramionami i rozłożył je sztywno. Wciągnął szyję i wygląda to tak, jakby ramiona wyrastały mu z uszu.

— Nie chcę mieć takich interesów. — Powieki opadły, brwi uniosły się na czoło. Skronie zmarszczyły w grymasie. A kiedy otworzył oczy — mecenas Szwarz nadal siedział przed nim na krześle z wyciągniętą przyjaźnie dłonią.

— Zapewniam, każda cena jest dla mnie do przyjęcia.

— Żadna cena nie jest dla mnie do przyjęcia.

— Dlaczego? Czy ja chcę kogo oszukać? Ograbić? Mówię, że zapłacę? Kto ma być stratny? Każdy wie, że Szwarz nie mówi byle czego. Szwarz mówi prawdę i tylko prawdę. Moi klienci coś o tym wiedzą. W razie czego potrafię dostarczyć żelaznych gwarancji. Proszę, płacę z góry!

— Mnie niepotrzebne są żadne gwarancje, nawet wystawione tam — i ojciec uniosł wysoko palec wskazując sufit.

— W porządeczku, jesteśmy w domu. Jutro rano niech mały zajdzie do mnie. Dam mu adres i wskażę żółtego, który ułatwi przejście.

— Szkoda fatygi. Nie pójdzie.

— Nie pójdzie? Do mnie? To ja przyjdę tutaj. Przyniosę, co trzeba, i sprawa załatwiona. Dogadamy się, Fremde, nie ma obawy.

— Do tego interesu — powiedział ojciec powoli — trzeba poszukać kogo innego.

— Człowieku, nie chcesz zarobić? — Mecenas Szwarz wstał z krzesła. — To jest ostatnie słowo, Fremde? — Ojciec wzruszył ramionami. Mecenas Szwarz zatrzymał się u drzwi. — Ale dlaczego, człowieku?

— Mecenaz jest wychrzczonym Żydem, to nie rozumie, dlaczego, ale gdyby nie był wychrzta, też by nie chciał zrozumieć, dlaczego... Na własnym dziecku ubić interes? Jak to można? Nie, nie, za pieniądze i Abraham nie złożyłby Izaaka w ofierze!

Mecenaz Szwarz stał odwrócony.

— Zawsze to samo — mruknął zniechęcony i wyszedł.

Dziadek trząsał się i powtarzał:

— Zawsze to samo, amen, amen.

— Też coś — powiedział ojciec. — Co ja z nim mam? Dziecko?

A dziadek wyciągnął w jego stronę chudą szyję i pytał:

— Kim jest ten przechrta, a?

— Czerniatyński, z Siennej, adwokat.

Dziadek zgorszony skrzywił się i zajęczał.

— Aj, nie pytam o jego nazwisko. Pytam, jaka jego familia.

— Szwarz.

— Szwarz? Z Siennej, mówisz? Szwarz, Szwarz... Nie pamiętam.

Zwiesiwszy nisko oskubaną bródkę siedział wsparty łokciami na stole i drobił suchy chleb do szklanki z wrzątkiem, którą matka postawiła przed nim. Blade, żółte palce z trudem kruszyły trzeszczące suchary. Ojciec mówił teraz patrząc matce w oczy.

— Dlaczego odmówiłem mu, chociaż mogłem pomóc? I tak, i tak jutro mały pójdzie za mur.

— Już nic nie chcę słyszeć, Jakow. Dostyc, dostyc — przerwała matka.

— Gniew mnie oślepił i skrzywdziłem go.

— Sprawiedliwy gniew krzywdzi ślepo, ale niesprawiedliwy gniew krzywdzi umyślnie. Świętym nie zostaniesz — zapewnił

dziadek. — Patrzyłem na ciebie od małego i mówię, że nigdy na to się nie zanosilo. Jakow, nie ciebie moje oko wybrało. Nie ciebie moje serce umiłowalo. Owszem, tapicerem.. Wiedzialem, że bedziesz znośnym, ale więcej nic. Dlatego ty sobie nie wyrzucaj. Pies z nim tańcował, z tym przechrztą.

— Mogłem mu pomóc. A on od razu sięga do kieszeni.

— Głupiemu się zdaje, że za pieniądze będą mu otworzone ostatnie bramy, że kupi wszystko i wszystkich, po tej i po tamtej stronie — mówił dziadek.

— Dlaczego? Tak mnie pytał. Kiedy człowiek pyta: „dlaczego?“, to znaczy, że skrzywdziłeś go. — Głos ojca jeszcze drżał.

Matka przerwała.

— Raz mówisz tak, raz inaczej i sam nie wiesz, czego chcesz. Zwaliłeś kłopot z głowy, ciesz się. Świętym być w dzisiejszych czasach? Nie ma tak dobrze.

— Oj, nie ma — mówił dziadek.

— Nie ma i nie będzie — powtórzył wuj Jehuda.

— A skąd ty tak wszystko dobrze wiesz? — zapytał ostro ojciec i wuj Jehuda zamilkł.

— Każdego boli to samo — powiedział prof Baum. — Nie ma już lepszych, gorszych. Równość w nieszczęściu, koniec. Kij spada równo na każdy grzbiet i nie wybiera.

Po chwili milczenia ojciec powiedział:

— To się tylko tak mówi. Tutaj przyciągnęła z prowincji rodzina. Ojciec, dwóch synów, córka. Uratowali Torę i ukryli w transporcie. Jak? Wszyscy pytają i nie mogą w to uwierzyć. Teraz chodzą z Torą po Walicowie i żebrzą. Raz zanieśli ją do rabina.

Dziadek pytał:

— Do którego?

— Reb Icie śmiał się do łez. Co oni mu tutaj przynoszą? Brak już świętych zwojów u niego w mieście? I oni mu dźwigają jeszcze jeden ze wsi? Popatrzył na synów, popatrzył na córkę i mówi do ojca: „To ty, ojciec, narażałeś ich życie, aby przemyścić Torę?” A on rebemu na to: „Co dzień, co godzina Żydzi narażają życie swych synów i dla mniejszych rzeczy.” Widziałeś go, jaki? Reb Icie pyta tych młodych: „Co to są mniejsze rzeczy?” A oni: „Co dzień, co godzina Żydzi narażają życie swych synów dla chleba.” Reb Icie zamilkł, a ten stary z małego miasteczka zabitego deskami pyta rabina stąd: „Czy taka ofiara miła Panu?” Reb Icie pokiwał głową i powiada: „A co może być w dzisiejszych czasach miłe Panu? Jeżeli jeden człowiek ginie z głodu, to drugi może też ginąć z głodu?” A oni, którzy chodzą po Walicowie i nie mogą grosza wyżebrać na kawałek chleba, odpowiadają: „Jeżeli jeden człowiek ginie z głodu, to drugi też może zginąć z głodu.” Reb Icie rozłożył ręce i takie zadał pierwszemu bratu pytanie: „A jeżeli człowiek nie może patrzeć spokojnie na śmierć drugiego człowieka?” I on odpowiedział: „To jego życie jest warte stokroć więcej.” Reb Icie takie zadał drugiemu bratu pytanie: „A jeśli człowiek patrzy spokojnie na śmierć drugiego człowieka i palcem nawet nie kiwnie?” I ten odpowiedział: „To jego życie jest warte tyle samo.” Wtedy reb Icie powiedział: „A więc czy ja, reb Icchok Kohen, mogę zabronić człowiekowi, aby nadstawiał głowę za drugiego człowieka? Stoją w Piśmie te oto słowa: «Ucho, które słyszy, i oko, które widzi, Pan to oboje uczynił...» A Torę zabierzcie, słów modlitwy mi nie przypominajcie, bo je znam.” Przywołał córkę i dał jej swoje kartki na chleb z całego miesiąca. I odeszli, błędu swojego nie widząc. A gdzie był błąd? Kosztował ich

drogo, więc reb Icie śmiał się tylko, nie łajał. A czy reb Icie nie słyszał o ich drodze? Ale nie ma zapłaty za wiarę. Oni zrobili, co mogli, i więcej, niż mogli. Dlatego reb Icie się śmiał. Bo on już wie, że nie ma miejsca na świętość w dzisiejszych czasach. I szale, i miary, i gwichty fałszywe. Ale kto wie tyle co on? Kto by chciał wiedzieć tyle co on, musiałby najpierw oddać ostatnie kartki na chleb.

Dziadek przerwał:

— Jak? Nie dosłyszałem. Jak się nazywają? Może ja ich dobrze znam?

— Szafran.

— Szafran? Nie pamiętam.

— Torę ratować z pożaru. No, no — powiedział wuj Jehuda.

— Ale właściwie po co? Można sparzyć tylko palce.

— Po co? Nie pytam, po co wyciągać Torę z ognia — surowo powiedział ojciec. — Pytam, co zostanie? Wszystko ma przepaść? Tak?

Nikt nie odpowiedział i cisza panowała, a dziadek siorbnął ze szklanki rozmoczoną papkę suchara. Rozległo się łakome ssanie nagich dziąseł.

— Nno — odezwał się prof Baum — tak bym nie powiedział.

Wuj Jehuda przerwał z chłodnym uśmiechem.

— Baum ma na to odpowiedź. On wie, że są rzeczy trwalsze od człowieka.

Ojciec potrząsnął głową; mówił zwrócony do Bauma:

— Co? Kiedy człowiek umiera, lżej mu zamykać oczy, jak wie, że coś po nim zostanie. Nie stado bydła, nie zagon ogórków, nie konto w banku. Majątek on by chętnie ze sobą zabrał. Może nie tak jest, Baum? Ale chce mieć pewność, że coś... coś takiego po nim zostanie i przetrwa. Za to nikt nie da pięciu groszy. Co?

To ja się pytam, co? Ja się was pytam!

Wuj Jehuda zmiął cienkie usta.

— Ale czy Żyd umiera? Jak może zostać po nim pamięć? Żyd nie umiera, Żyd zdycha. Innym nie do twarzy taka śmierć.

— Zawsze tak było, zawsze będzie — wzdychał dziadek.

Wuj Jehuda syknął do ojca:

— Wystarczy otworzyć oczy i uszy, aby o tym wiedzieć.

— Boże, kiedy to się wszystko skończy — narzekła matka trzymając grzebień. Wskazała mu miejsce przy sobie, na skrzyni, jak co wieczór. — Siedź spokojnie, Dawid.

Zatupawszy butami weszli Uri i Naum, niosąc śnieg na czapkach. Uri miał zaczerwienioną twarz i sine paznokcie. Naum odwinął z lewej ręki gruby przeпоcony gałgan i wcisnął jak rękawicę do kieszeni. Kręte włosy wisały oblodzonym kosmykiem na skroni i Dawid zobaczył chudą, żółtą szyję niedbale osłoniętą. Uri zaglądał wszystkim w twarze.

— Co się tam wyrabia! Ledwo trepów nie zgubiłem na Ceglanej. Poczekam, może to przejdzie bokiem.

Wuj Jehuda zacisnął usta w uśmiechu i powiedział:

— Widzę, że Uri ma dzisiaj znów świeże wiadomości z pierwszej linii frontu.

— Zostaw — powiedział ojciec. — Niech odetchnie. Niech odtaje.

Uri zamilkł urażony. Prof Baum obciągając koc, który zsunął się z jego ramion i włókł po podłodze, mówił:

— Nie samo życie nam odbierają, lecz i wiarę w życie samo. Co można powiedzieć? Tu wszędzie cierpienie, pod każdym dachem. A gdyby otwarto mury, świat zagryzłby palce, by nie krzyczeć ze strachu.

Wuj Jehuda uniósł ramię i wskazał zaciemnione okno.

— Dlatego cały świat milczy, milczy i czeka, kiedy nareszcie pognają nas do otwartego dołu razem z naszym głodem, tyfusem i wszami!

Drżał, kręcił się na skrzyni koło ognia; i czuł palce matki we włosach, widział blisko nad sobą jej oczy. Z grzebieniem w ręce surowo mówiła:

— Dzisiaj przy stole się drapałeś. Znów.

Koc wrócił na swoje miejsce i okryty szczelnie prof Baum jedną ręką trzymał jego brzegi, drugą grzejąc w ukryciu.

— Każdy, każdy z nas po trochu wątpił, nie wiedząc, jaki użytek z tego przyszłość... Europa, wtrącona w chaos, kiedy się z tego podniesie? Wiem, wiem. Co było, minęło. Co trwa, minie. Przyjdzie taki dzień, wstanie nowy dzień bez wstydu na twarzy, kiedy dzisiejsi oprawcy będą musieli złożyć rachunek. Ale przed kim? Przed swymi ofiarami? Kto wyjdzie z dołu?

Wuj Jehuda poruszył się i powiedział schrypniętym głosem:

— Kto wyjdzie z dołu, będzie ukamienowany na drodze.

Prof Baum ponuro skinął głową.

— Po takiej zbrodni jaka może być zapłata? Śmiech pusty i rozrzucone kości. Nas nie będzie i nas to nie będzie dotyczyć. Tak, wiem, co mówię. Ten świat, który się zbliża, rękami uwalanymi we krwi przetrze oczy. Prawo, które nie jest prawem, znów zechce stać się prawem. Co za widoki, czy przeczuwacie? Straszny, straszny świat. Może i nie mówiłbym tego wszystkiego kiedy indziej. Osłabłem jakoś dziwnie i ta gorączka... Czy ja jeszcze żyję? Czym jest to, na co patrzę? Gdzie jestem? I czy ja to jestem? Najgorsze myśli przylatują nocą... Lód w garnku, zamrożone krany i ani kropli wody. Sucho w ustach. Na całym pięttrze to samo. Za każdymi drzwiami trupy. Więcej zmarłych niż żywych, a ilu ich jeszcze skona do rana? Wtedy dopadają

człowieka, wtedy! Straszne, zimne myśli. A może to konieczność? Więc zawsze przychodzi z nożem i tym nożem toruje sobie drogę?

Wuj Jehuda zacisnął palce na krawędzi stołu, szarpnął porywczo głową i wtedy twarz jego ogarnął mrok.

— Mamy wierzyć w nonsens, w który oni sami uwierzyć nie mogą? Zanim wtrącają Żydów do dołu, każą im krzyczeć: „*Es lebe Tod!*” Boją się żywych, umarli są po ich stronie.

Matka chwyciła go za ucho.

— Siedz. Czy ty myślisz, że mnie to przyjemność sprawia iskać takiego starego konia co wieczór i patrzeć, czy nie oblaży go wszy? Nie wstyd ci? Nie brzydzisz się samego siebie?

Już wiedział, że nie brzydzi się wszy; tylko wstyd mu było, że ona tak pochłonięta jest tym iskaniem, kiedy Naum na niego patrzy.

Prof Baum owinał się szczelniej kocem i ciągnął dalej:

— Żyć, nie wierząc w życie. Zbierać i kleić pęknięte skorupy. Z każdym dniem sił ubywa, obojętność większa i sam nie wiem, jak mam się bronić. Chwilami wydaje mi się, że tym koszmarem rządzi chytry, wszechwiedzący diabeł. Przelicza wszy na tyfus, kalorie na głód, strach na zobojętnienie. Liczy, liczy diabeł na liczydłach obłąkanych morderców. A tam, obojętni idą do dołu bez słowa buntu, a kiedy duszą się pod ciałami martwych, wołają: „*Noch eine Kugel!*” Są przytomni i pragną końca. Żyć? Żyć z myślą o tym? A jeśli żyć będę, czy zapomnę o tym? Hańbą jest takie życie, kiedy naród kona. Oszukać los i skorzystać z przypadku. Oszukany los nie jest żadnym losem, wiem o tym dziś. Oni uczynili z tego kraju masowy grób i wszystkich nas ustawili na jego krawędzi. A więc co na ostatek pozostało? Skoro człowiek nie potrafi bez końca się bać i strach ma swoje

granice? Spokój, zachować spokój. Ostatni użytek, jaki mogę uczynić z wolności. Tak, ale i to zostało wliczone w oszukańczy rachunek! Godność małego skazańca, dziecka, które idzie ze spokojem na śmierć, złożony przedtem porządnie ubranie, komu służy? Im, bo przyspiesza i ułatwia kaźń. Do tej pory wszystko się zgadza; maszynka do mięsa kręci się bez zacięć. Ale jak to się dzieje?

— Jak? — powtórzył wuj Jehuda i uśmiechnął się smętnie. — Kryminalista zaczyna od tego, że wyszukuje sobie ofiary. One są poza prawem. Cała reszta z nim, naturalnie, jest ponad prawem. Ta niemiecka gadanina o Untermenschu i Übermenschu wyszła z bandyckiej celi.

Dawid kulił się na skrzyni koło kuchni, gdzie było trochę ciepłej i gdzie to iskanie się odbywało. Słyszał nad sobą szeptać:

— Siedź. Jak cię obleżą, to dopiero będzie bal.

Naum mrugnął do niego krzywiąc się pociesznie i dodając mu otuchy tym mrugnięciem. Zimny grzebień musnął ucho; szarpnął głową.

Prof Baum oddychał ciężko i głos mu się rwał.

— Nie, nie, to też brzmi jak wymówka. *Judenrein* nie robią tylko zbrodniarze, ale zwyczajni Niemcy i stają się zbrodniarzami. Miernota spośród najmierniejszych. Ich prawo w zbrodni. Czy może być takie prawo, nie pytam. Ono jest! Mają ich parę, tak prostych, że wprowadzili w osłupienie świat. A krzyk o pracy i nowym ładzie? „*Arbeit macht frei.*” Na afiszach pyszni się cham z karabinem w ręku. Więc i zabijanie może być pracą? Stało się sztuką! Nie rozumiałem tego do tej pory. Widać, wyrzekając się mordu utraciliby swoją tożsamość. Teraz wiem, co znaczy w ich języku słowo „tożsamość”! Ten, który stoi nad dołem z karabinem w ręku, gnębi zło, które zdycha w tym dole.

Nagie zło ginie w błocie, uzbrojone dobro triumfuje na wieczność. Czy może być coś bardziej pociągającego dla niemieckiej miernoty? Cnota nie musi czekać na zapłatę w niebie, otrzymuje zapłatę na ziemi, co dokładnie widać w szczerbince karabinu na przecięciu jej z muszką i niemieckim okiem. Oto linia prosta! Wzór. Oto stary kaprałski ideał zaczerpnięty z regulaminu musztry. Niemieckie oko widzi najlepiej ten świat, niemieckie oko Opatrzności, które obejmuje jednym spojrzeniem wielki cel i małe życie. Uf, jeszcze nie skończyłem... jeszcze nie skończyłem, a już mam dosyć.

Strzały z Ceglanej zbliżyły się, słychać było kroki uciekających, krzyki żandarmów. Zagłuszyła je szumem, brzękiem gwałtownie spuszczone blaszana żaluzja od ulicy. Beładne uderzenia pięści o blachę i wycie niepodobne do ludzkiego głosu: „Ludzie, otwórzcie!”, nie milkło, aż przerwała je seria i stukot podkutych butów oddalił się, cichnąc w bramie domu naprzeciwko. Zapadła krótka cisza, raptem rozległo się wołanie i upiorny chichot. „Dozorca! Dozorca!” Trwał gdzieś blisko cienki zgiełk tłuczonych szyb. Krzyki maszerującego patrolu.

— Słyszycie?

— Pijany Krwaworączka ze swymi koleżkami — odezwał się wuj Jehuda. — Od rana grasuje po mieście i zbiera na *Winterhilfe*.

Matka podsunęła zręcznie grzebień i trzymając Dawida mocno za włosy powiedziała:

— O!

Siedział nieruchomo i sztywno; a pragnął zerwać się z miejsca, uciec, schować przed matką, przed jej ruchliwymi palcami, grzebieniem muskającym ucho.

Dziadek poruszył się i słabym głosem zaczął:

— Czy tak nie było zawsze i wszędzie? Dzieci moje, wnuki moje. Po co biadać i rwać szaty? Biadać słowami nadużyтыми? Rwać szaty, co rozdarte? Każda przemoc stroiła się w orle pióra i każda niosła przed sobą różgę sprawiedliwości. Stare dzieje, nowe dzieje. Szaleństwo ucicha, kiedy zmęczy się własnym krzykiem. Jest przerwa na prawo, przerwa na pokój i przerwa na cywilizację. A potem, po przerwie? Mam narzekać? Zmęczony jestem. Na kogo i jakimi słowami? Mam nienawidzić? Dni moje policzone. Nienawidzi syty, głodny pochyla głowę i nie patrzy nikomu w oczy. Żyłem jak Żyd. Umrę jak Żyd. Razem z Żydami. Bunt nigdzie nie prowadzi, a wołanie o sprawiedliwość kończy się bluźnierstwem. Dlaczego? Ja nie wiem, ale tak jest. Innym los rozdawał klęski, rozdawał odwety. Nam? Uderzmy się w piersi, zanim zapytamy. Nie ma sprawiedliwego odwetu! Pan nasz odmówił go Jonaszowi, a zatem odmówił go nam. Czego żądał od Jonasza? By siedł między mieszkańców Niniwy i głosił wiarę, przebaczenie i przestrogi. A czego nie chciał uczynić Jonasz? Nie chciał naprawiać Niniwy. A kto by chciał? Jonasz nie był natchnionym prorokiem i wiedział, że nie można naprawić świata ludzką ręką. Ale Pan nasz miał swoje zamysły. Jakie? To powiem dalej.

Teraz gałgankiem umaczanym w nafcie pocierała mu skórę na karku i za uszami.

— O!

Dwa kciuki przyłożone do siebie paznokciami na grzebieniu wydały nikły, ale wyraźny trzask i iskanie trwało dalej.

— Wsiadł już Jonasz na okręt, by skryć się przed Panem, przyszłością i uciec z drogi swojej. Gdzie płynął okręt? Do Tarsu. A czy tam, w porcie, można skryć się przed Panem, skoro nawet nie można skryć się na pełnym morzu? Tego Jonasz jeszcze

nie wiedział. I Pan odnalazł okręt, Jonasza i zaczęła się burza na morzu. Czy można skryć się przed przyszłością, skoro nie można się skryć w zamęcie burzy? I żeglarze rzucili losy. Pragnęli uspokoić wody, a los na niego padł. I pytali żeglarze Jonasza: „Co mamy czynić z tobą?” A on powiedział: „Wrzućcie mnie w morze.” Dopełniła się ofiara, a morze wygładziło, bo tak chciał Pan. Po co była burza, ofiara Jonasza, dlaczego los na niego padł? Pan miał swoje w tym zamysły? Jakie? To powiem dalej.

Trzy dni i trzy noce modlił się Jonasz w brzuchu wielkiej ryby, z głową owiniętą w rogożę, wdzięczny za cudowne ocalenie. Ale najgorsze ciągle przed nim. Po co była burza, już wiedział. Żeby go zgubić. Po co była wielka ryba, też wiedział. Żeby go ocalić. Ale po co go Pan ocalił? Jonasz modlił się i wołał Pana z głębokości wód, by poznać Jego dalsze zamysły. Ten rzekł słowo, a wielka ryba wypluła ocalonego na brzeg. I poszedł Jonasz do Niniwy z rozkazu Pana, bo Ten od swych zamysłów nie odstępuje. Po to była burza, ryba i ocalenie. Już nie zbaczał Jonasz z drogi i nie pytał o przyszłość. Chodził po ulicach Niniwy i nakłaniał wrogów do pojednania, i wołał, że miasto za grzechy zostanie zburzone po czterdziestu dniach. Można zginąć w burzy? Można zginąć w głębinie? Można zginąć w brzuchu wielkiej ryby z głową owiniętą w rogożę? Można zginąć od kamieni mieszkańców Niniwy? Zamiast dalej wadzić się z Panem, Jonasz szedł na pewną śmierć. Ale nie znał wszystkich zamysłów Jego. Dzieci moje, wnuki moje. Czy wy mnie słyszycie? Pan tak chciał i mieszkańcy Niniwy wraz ze swym królem odziali się w worki i usiedli na pokucie w popiele! Stał się cud. Czy cudem nazwać można strach przed karą? Nie. Czy cudem jest, że człowiek lęka się śmierci i okazuje skruchę? Nie. Czy cudem może było, że Niniwa uległa naszemu Panu? Nie. On

wszystko może. Cudem było to, że Niniwa uwierzyła Jonaszowi, przybłądzie. Tego przewidzieć nie mógł, bo był skromnym Żydem, który bronił się, jak mógł, przed tym, aby Pan przemówił przez jego niegodne usta. Ale Pan tak chciał. Co można na to powiedzieć? Dlaczego tak chciał i jakie w tym miał zamysły? Jakie? To powiem dalej.

Niniwa okazała skruchę, a Jonasz pytał Pana: „Po coś to uczynił i ocalił Niniwę? Uciekałem przed Tobą, bo znam miłosierdzie Twoje. Kryłem się, bo znam dobrze Twą litość. Opierało się moje ludzkie serce. Przed ocaleniem Niniwy opierało się moje serce, zanim rozkazałeś mi tu iść, zanim wsiadłem na okręt, zanim wybuchła burza, zanim żeglarze owinęli mi głowę rogożą i rzucili w morze. Tam, w tej głębinie, gdzie tonąłem bez ratunku przez mgnienie dłuższe niż wieczność i żadna myśl o Niniwie nie zaprzętała mnie, bo nic poza otchłanią nie widziałem, bo śmierć tylko widziałem, tam, właśnie tam, w tej otchłani, bezbronnego i słabego, bez czucia i myśli, bez otuchy, Ty podstępem dopadłeś i ocaliłeś, w mig zgotowałeś wielką rybę, która mnie połknęła i ani nie zwracała życiu, ani nie oddała śmierci, a ja trzy dni i trzy noce modliłem się w jej brzuchu jeszcze nie wiedząc, że jestem igraszką w Twoim ręku. Po co żyję? Nie wiedząc. A teraz pytam Ciebie: po to żyję, uciekam, ginę, tonę, błąkam się wśród zła i nieprzyjaciół, poddawany próbom, których nawet im szcędzisz, aby Niniwa ocalała? Urąga sprawiedliwym, ciesząc się Twoją łaską! A czy cała Niniwa, pyszna i grzeszna, warta jest owej jednej chwili trwogi, kiedy tonąłem w otchłani? Sam ze swojego życia uczyniwszy wpierw ofiarę, sam kazawszy żeglarzom wrzucić mnie wraz z moim utrapieniem w odmęt. Moja wiara, moja śmierć jest prawdą, skrucha Niniwy kłamstwem, a kiedy pytam Ciebie,

czy Niniwa warta jest mnie, Ty nie odpowiadasz. Wolę umrzeć niż żyć.” Poszedł Jonasz z miasta i siadł na pustyni. Pan zgotował banię, bania wypuściła liść, liść osłonił Jonasza przed słońcem. Czy wiele trzeba strapionemu? Wystarczy listek, listek. Pan o tym wiedział i dlatego zgotował nocą robaka, robak podgryzł banię, bania uschła i zgryzota Jonasza już nie miała tej ostatniej osłony. Na pustyni leżał teraz człowiek skazany na nieszczęście i bez ratunku. A kiedy wzeszło słońce, Pan jeszcze uderzył wiatrem od wschodu, wtedy Jonasz powiedział po raz drugi: „Wolę umrzeć niż żyć.” I co powiecie? Tego było trzeba! Listka. Wtedy, na samym dniu utrapienia, kiedy ucho słyszy, oko widzi, a serce czuje, wyjawione mu były zamysły Pańskie. Jonasz żałuje listka, a Pan nie ma żałować Niniwy, miasta wielkiego? Sto dwadzieścia tysięcy ludzi i więcej, a żaden nie umie rozeznąć się w tym, co dobre, co złe. I bydła mają wiele. Pan uratował Niniwę, bo była tego warta. Miał swój zamysł. Jaki? To powiem dalej.

Kiedy człowiek błaga o sprawiedliwość, trzeba mu wskazywać prawo. Kiedy domaga się prawa, trzeba mu przypominać o bojaźni. Nie ma sprawiedliwego odwetu? Ano, nie ma. Z ciężkim sercem mówię to dzisiaj. Człowiek nie może wołać zemsty Pańskiej na drugiego człowieka. I Pan nie może być narzędziem w ręku człowieka. To prędzej człowiek, człowiek... Ale czy łatwo się z tym pogodzić? Jonasz był wśród wrogów, sam, słaby, strapiony, znał bojaźń i ostatnia pociecha mogła mu być odjęta? Listek? Niniwa była pyszna, bogata, żyła w grzechu i czyniła zło, a Pan jej na żądanie Jonasza nie mógł zburzyć?

Dziadek urwał, sapnął. Jedno oko miał zmrużone, zakryte bezwładną powieką, a drugie obrócił ku gorze. Dawid ujrzał

czerwony sweterek ciotki Chawy, który wystawał spod kołnierzyka, wdziany na gołą skórę, pod koszulę. Wuj Jehuda powiedział:

— Jonasz to my wszyscy, Niniwą niech będą Niemcy, a Pan nasz jest Jedyny. Zawsze ten sam, taki sam i chwala Mu za to!

Wstał, podszedł do okna i zerwał jednym ruchem derkę, którą zaciemnione były szyby. Ojciec szybko zgasił światło.

— Chcesz, żeby mi wytlukli ostatnie szyby? Jehuda, co robisz?

— Nic. Patrzę.

— Chcesz ściągnąć na nas wszystkich złą kulę? Co robisz?

— Patrzę, może król Niniwy ze strachu przed naszym Panem nakrył głowę workiem i usiadł już w popiele?

Wuj Jehuda wyglądał na ulicę; strzały słyhać było teraz z paru stron, trochę dalej, ale bezustannie. Kule świetlne pruły ciemność za oknem. Czy ojciec nie powiedział, że Krwaworączka urządził karnawał? Sobie i nam. Po chwili wuj Jehuda zawiesił derkę, zaciemnił okno, odwrócił się i powiedział suchym, złym głosem:

— Ach, ta żydowska wiara, to żydowskie prawo. Siąść i płakać.

Ojciec wetknął skrawek papieru pod blachę i tym papierem rozjarzył lampę. Czarne płatki sadzy frunęły mu na czoło. Wuj Jehuda opuścił nisko głowę i Dawid widział tylko wklęsłe policzki okryte cieniem. Uri pochylony ku dziadkowi wołał przez stół:

— I my nie mamy prawa do odwetu? My? Nic nie rozumiem! My! W takim razie kto je ma?

— Nikt, szlachetny młody człowieku.

— To co nam więcej pozostało?

— Nikt nikomu nie dał takiego prawa.

— Ludzie, trzymajcie mnie — Uri zatoczył głowę, zagładając wszystkim w oczy. — Ogniem, żelazem wypalić czarną zarazę! — Kiedy mówił, wielkie mokre zęby wyłaziły mu na wierzch. — Raz na zawsze!

Dziadek blady, jak po wielkim wysiłku, powiedział cicho i z naciskiem:

— Nie ma „raz na zawsze”.

Uri jeszcze bardziej pochylił się przez stół, patrząc dziadkowi prosto w oczy, nie mogąc wydobyć słowa. Naum odpychał go łagodnie.

— Poczekaj — powiedział i zwrócił się do dziadka: — A ja, ja? Nie umieram raz na zawsze?

— Jonasz...

— Pytam, gdzie szukać mam sprawiedliwości, skoro jej tu nie widzę? — Rękę wyrzucił w stronę okna. — Mało? Jeszcze mało? Ciągle mało?

— Jonasz...

— Pytam, człowiek ma jedno życie?

— Jonasz pytał o to samo. Tak, jedno życie, w szczęściu i w głupocie. W grzechu i w dobroci, w godności i w nędzy tylko jedno życie.

— Ja, człowiek, nie mam więc prawa stanowić o sprawiedliwości, tutaj, na ziemi?

— A ty, który masz gorące serce, wierzysz w ludzką sprawiedliwość, tutaj, na ziemi?

— Wierzę!

— I swoją krzywdę chcesz naprawić cudzą krzywdą?

Ojciec rozjaśnił karbidówkę. Wuj Jehuda zacisnął cienkie usta zmięte gorzko w grymasie zniechęcenia. Prof Baum usiłował

szczelniej okręcić się kocem, ująwszy w garść brzegi. Dawid złowił ich spojrzenia, kiedy mijały się w powietrzu.

— Poczekaj — powiedział Uri i odepchnął Nauma. — Co mnie trzyma przy życiu, to nadzieja, że wezmę odwet. Oko za oko, ząb za ząb. Moja jest słusność.

— Młody człowieku, nie bywa tak na tym świecie, aby jeden posiadał słusność, a drugi nie miał jej wcale.

— Ale ja nie chcę o tym słyszeć teraz — Uri podnosił już głos, a słowa dziadka ledwo było słychać.

— Poczekaj, poczekaj — powiedział Naum i odepchnął go na bok, wzburzony. — Ja nie muszę mieć słusności. Człowiek ma prawo do życia bez słusności. Niech mi odmówią wszelkich praw, niech wymyślą nie jednego Hitlera, ale stu obłąkanych Hitlerów, każdego ze świńskim loczkiem i parszywym wąsikiem, niech urządzą nie jedną wojnę, ale sto wojen, niech cały świat odmówi mi razem z Niemcami prawa do istnienia, to i tak się z tym nie pogodzę! Nie, nie o słusność mi chodzi. I nie wobec Niemców. Oni i ja co mamy wspólnego? Prawo? Dzielić z nimi jedno prawo? To niemożliwe. — Wyciągnął ramię. — Dzień mojego życia za murami — wyciągnął drugie ramię — i wszystkie kłopoty Trzeciej Rzeszy! — Ramiona ugiwały się jak szale. — Czyje sumienie to porówna? Jaka waga zważy? Pluję na Niemcy. To, co się dzieje, przekroczyło już wszelką miarę i nie będę siedział pokornie, jak Jonasz pod Niniwą osłonięty liściem bani, czekając, aż Pan zechce zgotować robaka ku mojemu pouczeniu, abym poznał całą nikczemność swego losu. — Kiedy uniósł powieki, widać było, że te oczy palą się mocnym, równym światłem i nie cofają przed spojrzeniami. — Odwet, to ludzkie prawo musi mi być dane.

Ojciec mitygował, łagodnie kołyszając rękami.

— Odwet, od razu odwet. Opamiętaj się, Izraelu!

Ale Naum nie dał sobie tym razem przerwać.

— *Untermensch*? Dobrze, pokażę im wszystkim, jak walczy ze światem *Untermensch*. Tak, jestem *Untermensch*! Przyjmuję. W dzisiejszych czasach to całkiem dobrze brzmi... Podczłowiek! Nie domagam się równych praw. Nie domagam się żadnych praw. Żydem jestem i z każdej pozycji muszę walczyć. A jak wygrają tę wojnę, kim będziemy? Kim będą inni?

— Odwet, tego się człowiek wyrzec nie może — basował mu Uri.

Ojciec coraz wolniej kołysał rękami w powietrzu, aż powiedział:

— Odwet? Opamiętaj się, Izraelu! Kto mówi od razu o odwecie? Tymczasem bronić się nie ma czym. Bo czym? Gołymi rękami? Życie ucieka jak zając i nie ma nawet uszu, za które można by złapać i przytrzymać.

Wuj Jehuda z chłodnym uśmiechem:

— W gorącej wodzie kąpany — powiedział. — To nie szkodzi. Dlaczego? To nawet dobrze, że mamy taką zapaloną młodzież.

Uri kręcił się jak na węglach; nagle uniósł zaciśniętą pięść.

— Będę stawiał opór do ostatniej chwili życia i bez broni, bez broni, kiedy stanę w dole, też krzyknę swoje: „Nie!” Śmierć faszystom!

— O tak, to rozumiem — powiedział wuj Jehuda, kiedy Uri poczerwieniał pod uważnym wzrokiem wszystkich. — Tak mów.

Przez chwilę spojrzenie dziadka spoczywało na Urim. Jedno oko zmrużył, a drugie skierował ku górze. Z uchylonych lekko ust spłynęło westchnienie. Pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Żyd nie jest zdolny do zemsty. Nie umie podsycać w sobie

gniewu. Zapala się, wypala. Mało ognia, dużo dymu. Popatrzcie na Niemców, wszystko robią z zimną nienawiścią i bez pośpiechu. A wy gorące serca macie na obronę? Dzieci, dzieci... Dzieci moje, wnuki moje, czy wy mnie słyszycie? Zawsze tak było, zawsze tak będzie. Wszyscy rzucają się na jednego. Słaby ma na obronę wiarę, bojaźń w sercu i jej musi strzec. A porządek, prawo niech zaprowadzają silni. Słaby niech nie waży się bronić, obstawać przy sprawiedliwości, bo sprawiedliwość na tym może tylko ucierpieć. A że wszystko w sercu ułożone inaczej niż na świecie, to serce boli. A co my wiemy o świecie? Gośćmi, gośćmi jesteśmy na tej ziemi przez parę dziesiątków lat. Skąd przychodzimy, dokąd idziemy? A bo ja wiem? Skąd i dokąd? Każdy pyta. Za nami noc, przed nami noc. A my pośrodku, rozglądamy się, szukamy światła, rwiemy się do światła jak ćmy. Krzykiem chcemy rozpędzić chmury, ręką zatrzymywać rzeki. Jedno małe, marne życie wydaje nam się wiecznością i od razu, skoro otwieramy oczy, naprawić pragniemy to, czego przed nami nie naprawiono. Marność, wszystko marność... Żyłem jak Żyd. Umrę jak Żyd. Mam bojaźń w sercu, jej strzegę. A bojaźń o życie? Jestem już daleko. I nie ona zaprzęta moje stare myśli.

Uri słuchał pochylony przez stół, a duże, mokre zęby wylazły na wierzch spod wywiniętych warg. Naum łagodnie trzymał ręce na jego ramionach. Dziadek zamilkł, zżuł skrzywiony jakieś gorzkie słowa, przymknął oczy i złożył swe długie, cienkie, siniejące palce jak do modlitwy. Szeptem ciągnął:

— Szlachetny młody człowieku, oni nie wygrają tej wojny. Nie dlatego, że ty pragniesz ich końca, i nie dlatego, że my wszyscy pragniemy i modlimy się o to co dzień. Nikt nigdy takiej wojny nie wygrał i nie wygra. To skończy się ich zgubą. Ale

powiedz mi ty, który masz gorące serce, co dalej? Jak długo potrwa ich skrucha? A jak długo świat będzie chorował i cierpiał skutki tej wojny? Przeżyjesz, zwyciężysz. Nie bój się. Ja własnymi oczami widziałem trzy wojny. Po każdej był upragniony pokój i zwycięstwo sprawiedliwych. A teraz, młody człowieku, który masz gorące serce, powiedz mi, co to znaczy? Nie zadawałbym tobie takich pytań, których nie można zadawać młodym, tylko że żółć we mnie, żółć sama została. Mogę ci źle życzyć? Sobie? *Judenrein, Judenrein... Judenrein* to taki mały początek, ale potem, potem... Panie mój, nie każ mi kończyć słów moich, myśli moich! Niech już w połowie modlitwy dusza uleci ze słabego ciała. Amen.

Zbladł, osunął się nisko i zastygł w fotelu ze spuszczoną głową.

Stali nad nim pochyleni, w popłochu. Wuj Jehuda zatrzymał się za fotelem i wykonał bezradny gest. Obok ojciec zgięty trwożnie, a na jego żółtej łysinie zastygła plamka światła, sączącego się z mizernej lampki. Matka upadła na kolana przed dziadkiem, wzięła jego ręce w swoje, chuchała, rozcierała długo i cierpliwie. Naum i Uri dźwignąwszy starca pod ramiona próbowali umieścić go nieco wyżej. Prof Baum, odwrócony, trzymał puls i w skupieniu patrzył w ogień, potem położył rękę dziadka na kolanach i brzegiem koca machał staruszkowi przed nosem. Pytał, czy nie ma pod ręką kropli. Kropli? Nie było w domu kropli; matka odepchnęła ich wszystkich, klepnęła parę razy policzki zemdlonego, dmuchnęła w oczy. Octem natarła skronie. Głowa wisząca na piersi zakołysała się, powoli uniosła i było już teraz widać, jak odtajały szron na brwiach ścieka strużkami. Rozległo się słabe westchnienie.

— Myśli moje stare, słabe. Nie znajduję w nich rady. Ale to

wam mówię, nie mogąc już nawet uderzyć się w piersi... Ciężej umierać z bluźnierstwem niż z modlitwą na ustach i w pokorze. Jehudo, czy oni mnie słyszą?

Zakrzywionym palcem kiwał, wołał teraz Dawida do siebie. Kazał mu stanąć blisko, jeszcze bliżej i szeptem powiedział:

— Uciekaj.

Widział twarz zmizerniałą i pożółkłą, brwi okryte odtajałym szronem, oczy zamglone i zwrócone do wewnątrz, stare, zmęczone oczy dziadka. Słuchał tego szeptu i nie mógł zrozumieć.

— Co dziadek? Co dziadek?

Starzec nachylił się ku niemu.

— Uciekaj, Dawid. Jak najdalej stąd. — Nie rozumiał jeszcze, ale patrzył z uwagą, jak poruszają się bruzdy wokół ust, jak wypadają ciche słowa spomiędzy rzadkich, utartych zębów. — Wszędzie są ludzie, wszędzie... Ty sprytny mały, dasz sobie radę.

Matka wyciągnęła ręce do wuja Jehudy. Milczał. Błagalnie wyciągnęła ręce do ojca i na ziemię spadł grzebień.

— Gdzie ma znów uciekać? Opętało ich — krzyczała. — Wszyscy uciekają! Szwarc ucieka. Szwarcowa już uciekła. Teraz każą uciekać mojemu dziecku. Ode mnie! Gdzie on ucieknie? Jak wszyscy naraz zaczną uciekać, to miejsca zabraknie na świecie! Jak wszyscy zaczną uciekać, to kogo będą zabijać? Kogo? Lepiej siedzieć w domu razem i czekać. Będzie, co Bóg da. A razem zawsze raźniej.

— Raźniej żyć czy raźniej ginąć? — Wuj Jehuda przerwał krzyk matki i zatkało ją na chwilę.

— E, co to wszystko znaczy — mówiła już innym tonem. — Ecie-pecie! Nie oddam swego dziecka na poniewierkę, żeby tam nie wiem co.

— Ćśś, bez paniki — mówił ojciec. A dziadek ciągnął swoje dalej:

— Już czas, już czas — szeptał. — Nikt żywy tutaj nie zostanie. Dawid, zapomnij o tym, że jesteś Żydem. Żeby żyć, trzeba zapomnieć. Ty mnie słyszysz, Dawid? Żyj... Żyj jak wściekły pies i biegaj po polu z daleka od ludzi, ale żyj. Nikogo, niczego się nie bać. Kto się boi, przepada. Kto się boi, traci głowę. Uciekaj i żyj.

Ogarnął go lęk; słowa i głos dziadka brzmiały jak klątwa rzucona na jego głowę. Teraz oto klątwa padła i on musiał ją na siebie przyjąć.

— Zostaniesz sam. Twój ojciec słaby, miękki. Dwa razy pomyśli, zanim raz postawi nogę. A dzisiaj nie można tak. Dawid, czy ty mnie słyszysz? Nie myśleć, żyć. Żyć, aby uciekać. Uciekać, żyć i uciekać. Jak będą złorzeczyć na Żydów, milcz. Jak będą szydzili z Żydów, milcz. Zamknij oczy i uszy na wszystko. Zapomnij, kim jesteś, kim ojciec i matka twoja. Zapomnij, kim byli twoi dziadowie. Niech ci powieka nie drgnie, kiedy zobaczysz swoich pędzonych do dołu. Odwróć się z tego miejsca i idź. Dawid, czy ty mnie słyszysz. Masz mieć kamień zamiast serca. Słyszysz? Wypędź z pamięci nas wszystkich. I żyj, amen.

Zamilkł, zbladł. Chwilę jeszcze ręka jego wisiała w powietrzu grożąc, a potem runął ciężko na ziemię. Głowa odchyliła się do tyłu i oskubana bródka sterczała ostro, odsłaniając bladą, chudą, pomarszczoną szyję.

Stali bez ruchu, a wuj Jehuda spokojnie powiedział:

— To nic. To tylko z głodu.

Słyszał te słowa jeszcze długo, kiedy już dziadka nie było, i siedział na skrzyni bez ruchu, chłonąc smutek, przygnębienie, przeniknięty bezładnym lękiem, przypływem odrętwiającego

zimna: „Odwróć się z tego miejsca i idź... Wypędź z pamięci nas wszystkich.” Nigdy nie uwolni się od klątwy, którą starzec na niego rzucił. Myślał o sobie, ale z oschłą obojętnością, jak o kimś innym. Trochę bólu, dużo zdziwienia — przecucie tęsknoty było w tej myśli. „Żyć, aby uciekać.” Przypomnił sobie dawne nauki dziadka, pełne wzniosłego zamętu wersety Genesis o radosnym stworzeniu świata. Żywioły nie nawykłe do posłuszeństwa z ociąganiem klękały, zastygały na wieczność, truchlejąc przed słowem, ustępując miejsca dumnej legendzie, aby z chaosu mógł powstać ład. Jasne światło biło w ciemności nocy. Przypomnił sobie brwi uniesione i drgające od wstrzymywanego uśmiechu, łagodne i chrapliwe dźwięki starej mowy. Świat, który powstał z pobłażania. Na początku stworzył Pan niebo i ziemię. A potem? „Żyj jak wściekły pies i biegaj po polu z daleka od ludzi...” Kurz unosił się wysoko, fruwały żdźbła trawy morskiej. Naum i Uri odeszli. Odeszli już dziadek z wujem Jehudą. Ojciec skubał zleżale wiechcie zbitego włókna, wydarte ze starego materaca, i mówił:

— Nie kręć się tak, siedź spokojnie i dziękuj Bogu, że masz matkę, która usuwa ci wszy spod kołnierza. Inaczej już dawno zapadłbyś na tyfus i wyciągnął kopyta.

Potem ojciec wiązał szpagatem mosiężne sprężyny wewnątrz rozbebeszonego materaca, a prof Baum spod drzwi, okręcając się szczelnie kocem, gotowy do wyjścia, powiedział:

— A swoją drogą, macie pierwszorzędny fach w ręku, Fremde.

— Tapicerka? A jakże. Niczego sobie kawałek chleba. A wy, Baum, nie możecie znaleźć żadnej roboty?

— Dzisiaj? Czego można ludzi nauczyć, czego by sami nie umieli? Umierać? To potrafi każdy i bez belfra. Takie czasy.

— Takie czasy.

— Fremde, a nie mógłbym u was pożyczyć papierosa na noc? No, powiedzmy, dwóch. Do jutra.

Prof Baum z godnością skinął głową; zsunęły się stopy w ukłonie, a podarty but rozdziawił się rozpaczliwie i łysnęła onuczka. Po raz ostatni okręcił się szczelnie kocem. Zarośnięta dziko twarz, łachmany przepadły w ciemności, zanim przekroczył próg.

Senność łagodnie ogarniała Dawida. Piekły stopy; powieki same się kleiły. To iskanie zawsze go usypia. Palce matki leżały na jego szyi; poczuł zimne dotknięcie grzebienia. Kazała mu ściągnąć koszulę i kiedy Dawid uwalniał nogi z drewniaków, pilnie badała każdy szew, załamanie, uchylek płótna, przysuwając koszulę blisko do oczu. Ojciec postukiwał młotkiem w ramę starego materaca: jedno lekkie stuknięcie w gwóźdź między palcami, a gdy już lewa ręka odjęta i gwóźdź osadzony, słycać parę równych i mocniejszych uderzeń. Dźwięczały, brzęczały mosiężne sprężyny. Widział, jak ojciec przysuwa bliżej lampę i podkręca palnik. Z kolanami pod brodą, siedział chwilę dłubiąc w uchu, a potem — lękliwie, jakby skakał do zimnej wody, jednym ruchem naciągnął koc po samą głowę i wyrzucił daleko przed siebie nogi na zimne, wilgotne, przepoczone prześcieradło.

— Ten leń, twój synalek łachudra, mógłby mi trochę pomóc przy robocie, a nie pakować się tak od razu pod pierzynę o godzinie ósmej wieczorem, kiedy jego ojciec w najlepsze pracuje, żeby jutro jeszcze łobuz miał co do gęby włożyć.

— Pod koc — powiedział.

Stukot młotka urwał się natychmiast.

— Co takiego, fąflu?

— Mówię, że pod koc, nie pod pierzynę.

Stukot młotka rozległ się znów, zagłuszył przekleństwa ojca i szybkie słowa matki.

— Jakow, daj spokój, niech pośpi trochę. Chodził dzisiaj przez mur? Od szóstej go nie było, do domu wrócił przed piątą. Od szóstej do piątej, to... jedenaście godzin. Starczy? Potem lekcja z Baumem. — Stukot stał się szybki i głośny. — Ciszej, Jakow. — I nagle krzyknęła: — Jeszcze ci mało, że dla ciebie nadstawia głowę pod kule?

Słyszał posapywanie ojca, który nabrał gwoździ w usta. Od wściekłego łomotania wszystko drżało i czuł słaby dygot, wyczuwalny ruch podłogi, jakby z dołu kijem szczotki ktoś uderzał w sufit, zniecierpliwiony. Ojciec wypluł gwoździe na rękę.

— O, wa. Lekcje, lekcje. Już dawno mówię, że nie są mu potrzebne, tylko Baumowi ten talerz zupy. I tak do piachu, i tak do piachu.

Wystarczy zmrużyć oczy przed snem i otwiera się czarne niebo. Tam, w tej zamkniętej pod czaszką przestrzeni, jak wewnątrz zaciemnionej kuli, mkną bezustannie smugi świetlistych punktów, umykają i nikną, wessane przez ciemność pod powiekami, kiedy ich miejsce zajmują nowe roje. Szum krwi wzmagą się i ciemny, ślepy ekran wypełnia chmara bezładnie sunących światła. To gwiazdy? Czy można widzieć z zamkniętymi oczami gwiazdy? A czy w ogóle można widzieć z zamkniętymi oczami? To, czego nie ma? Tymczasem plamy światła swobodnie błędziły na swej drodze. O, nadlatują! Im mocniej zaciskać powieki, tym bieg ich szybszy. Szum w uszach rośnie i jest tak, jakby się leciało w otchłań bez dna; trwoga coraz większa i coraz większa przestrzeń do pokonania rośnie

przed tobą. Wydaje się, że można myślał zakłócić ich lot, zatrzymać i zmusić do tego, by posuwały się w przeciwną stronę. Czy każdy ma takie małe czarne niebo pod powiekami? Elijahu też? A Naum? Wstyd; stary koń, a takie figle-migle trzymają się go jeszcze.

Ogarnia go leciutkie odrętwienie, to z daleka nasuwa się sen. Łagodnie okrywa mu oczy, pamięć. Kiedy nadciąga obłok, gwiazdy gasną i niebo mrocznieje. W takiej chwili wyobraża sobie, że wraz z Ziemią krąży wokół Słońca, i wydobywa z pamięci tę cyfrę, budzącą zdumienie i lęk. Dwadzieścia dziewięć i osiem dziesiątych kilometra na sekundę. „Ej, tam, trzymajcie się chmur!” To ruszyła kamienica w zaułku na Krochmalnej i plac Żelaznej Bramy, cały w śniegu, też. Tłum nędzarzy w oblodzonych łachmanach rozbiega się w ucieczce. Modlą się, klną, wyrzucają ręce. Krąży już Waliców. Krąży drewniany most ponad ulicą Chłodną. Deski potrzaskują na mrozie, uginają pod ciężarem zasp, zamrożony przechodzień zeszywniał przewieszony na poręczy. Krąży parokony omnibus powożony przez Mordchaja. Na twardych ławkach trzęsą się zawszeni pasażerowie, wyglądają na mijane ulice, oddechami czyszczą oszronione szybki, ruszają łopatkami, kłuci przez wszy. Wszyscy mkną w tej samej chwili, w tym samym kierunku, zataczając wielki łuk w nocy.

Wybił się ze snu; usłyszał, jak ojciec hałaśliwie strąca but na podłogę, ziewa. Miał ochotę przewrócić się na drugi bok, ale czuł uderzenie w krzyżu i pod łopatkami, leżał więc nieruchomo. Kiedy oddychać, to boli. Chciałby w ogóle nie oddychać. Teraz ojciec zgasił lampę i można już było otworzyć oczy.

Usłyszał głos matki, kiedy zgaszony palnik wściekle syczał w ciemności. — Wynieś karbid do sieni. Wynieś, bo nie mogę tego

słuchać dłużej!

Ojciec szedł do drzwi, uważnie szurając bosymi stopami. Daleko od twarzy — w jego wyciągniętej do przodu ręce tryskał w powietrze gaz. Jak co wieczór wysączył odrobinę wody z blaszanego zbiorniczka i opróżnioną lampę wystawił na schody, aby resztką wilgotnego karbidu zwietrzała do rana. Trzasnęły drzwi; powiew wiatru targnął nimi, sypnął kłębem tlejących iskier spod blachy i wywabił na mgnienie wielką, bezkształtną plamę na ścianie, która runęła w mrok.

— Jakow? — Ciska. Usłyszał nagłe, szybkie, rozpaczliwe wołanie. — Jakow, Jakow! Gdzie jesteś?

Ojciec powoli, ostrożnie posuwał się po omacku. Wracał, ziewał. — A co tam znowu?

— Jesteś?

— Jestem! Zdycham, więc jestem.

Uspokojona siadła na łóżku. Dłonią sprawdziła, czy zapalki, świeczka leżą na swoim zwykłym miejscu. Podeszła do kąta, gdzie rozstawione stało łóżko polowe. Długimi, uważnymi ruchami okryła go szczelnie. Na nogi rzuciła stary płaszcz, a brzegi koca wsunęła pod pięty.

— Dawid, ty nie śpisz? — Przez chwilę, krótką jak urwane westchnienie, żal mu się zrobiło samego siebie. Powiedzieć! Ale jak o tym powiedzieć? Leżał cicho pod kocem, milczał i czekał. Może domyśli się sama. — Śpij. Dobranoc — czule powiedziała.

Zyga pokazał mu: „Tędy” — i rozeszli się w dwie różne strony. Było to w połowie drogi między wylotem Ceglanej i Prostej, w okolicach, gdzie schodzili się na pokątny handel kupcy z obydwu stron muru. Przełaz ten miał złą sławę; mały i ciasny, dusił ofiary w przejściu. Szczelinę nad brukiem, którą murarze

wybili na ściek w miejscu, gdzie dawniej biegł rynsztok, chłopcy z bandy Barucha Oksa nocą rozdlubali tak, że od biedy odpowiednio wyschnięty szkielet mógł się tamtędy przecisnąć; oglądał ten przełaz długo z bramy domu i dałby wiele za to, żeby zmaleć. Oglądał przełaz nieufnie, zanim przebiegł jezdnię, i rozpaczliwym spojrzeniem pragnął rozkruszyć mur. Pamiętał, że w tym miejscu padł Henio Śledź z żywnością, kiedy utknął mu worek w wyłomie i nie zdążył skryć się w porę przed patrolem, a Mordka Caban, ścigany przez Wściekłego Psa, ze strachu cisnął w błoto kilo słoniny i uciekł stamtąd w ostatniej chwili. Dawid zrobił inaczej; torbę z chlebem i kartofle w worku — niedużo tego było — bez namysłu przerzucił górą, a sam padł na plecy, podciągnął kolana i odpychając się piętami od bruku wcisnął ramiona w szczelinę. Dalej nic, pustka, wyrwa w pamięci. Musiał szamotać się w ciasnym wyłomie z kurczowo zaciśniętymi oczami, ale jak długo to trwało? Pierwsze, co zobaczył, to był ukruszony kawałeczek muru w ręce. Tkwił już między cegłami, czuł nacisk masywu na żebra, kiedy szarpnął go ktoś mocno za spodnie i nad uchem świsnął mu policyjny gwizdek. Bity, fikał nogami. „Wyłaż, szczeniaku!” — „Nie mogę!” Zaparł się i nie puszczał szczeliny, czując, jak serce twardo bije o kamienie. Zewsząd zbiegli się ciekawi i pałka poszła w ruch. Po tej stronie Żydzi widzieli już głowę, a po tamtej stronie noga została w ręku policjanta i słyszał rozbawione głosy, hałas, śmiech. Roztajał pod nim śnieg i błoto ciekło za koszulę; to czuł, a bólu nie czuł wcale. „Paa posterunkowy, niech pan go puści.” Czyj to był głos, nie wiedział. Wiedział za to, że tutaj sprzed nosa głodni ukradną mu chleb, a tam tak długo będą hałasować, krzyczeć i gwizdać, aż pokaże się żandarm i kropnie go na miejscu jak szczura.

— Och.

Ojciec ziewa wypełniając ciemności długim, nie słabnącym pomrukiem. Klepie dłonią po otwartych ustach. Ziewanie kończy się zduszonym głęboko w gardle stęknieniem, a uderzeniom ręki po ustach towarzyszy melodyjne buczenie.

— I tak do piachu, i tak do piachu. Tymczasem się prześpię.

To był szyld na ścianie domu z przeciwka i nagle ten szyld zasłoniła trupioszara twarz, nisko pochyliła się nad nim i widać było wszy na brwiach. Zmierzyły go nieruchome, żółte, rozradowane oczy; Długi Icchok podniósł niedbałym ruchem chleb, podrzucił z uciechą torbę i odszedł stamtąd śmiejąc się głośno. „Dawid, tobie już nic nie trzeba. Giemza!” Po każdym uderzeniu głowa odbijała się od kamieni jak piłka. Ulica kołysała się razem z nim, kołysał się szyld z przeciwka, koślawo biegnący Icchok, a tuż, blisko — lewe nogi, prawe, gwiazdy na rękawach, ku którym wyciągał rękę. Zaczął krzyczeć, ponieważ ukradli mu chleb. Tłum uciekał przed siebie w popłochu, a on utknął w szczelinie mrużąc oczy ze strachu przed strzałem, na który czekał. Własny krzyk przebrzmiał mu w uszach, przybyło sił; jeszcze jeden wysiłek, szarpnięcie i klęczał na kolanach.

Ciasny nawis był już poza nim. Uciekł za uskok muru.

Po ziewaniu ojciec kaszle, charczę, świszczę, sfluwa. Nałykał się przy robocie kurzu, trawy morskiej i jak zwykle ma atak astmy przed snem.

Matka mówi:

— Ten karbid. Wszyscy potrujemy się pewnego pięknego dnia.

Ojciec, nie mogąc zaczerpnąć tchu, chrypi:

— Nie to... Morska trawa.

Tapicerka zżarła mu płuca. Za długo już tyra na tego

darmozjada — on, w wieku Dawida, mając dwanaście lat, opuścił dom i nigdy nie był ojcu ciężarem. Do wszystkiego doszedł w życiu tymi oto rękami. Ledwo odrósł od ziemi, biegł z dworca na dworzec szukać zarobku. Jeździł z miasta do miasta na breku, byle zaczepić o coś ręce, a „dzikim” tragarzem został nie mając jednego włoska na brodzie, nie mając grosza na składkę, której żądały związki zawodowe. Kończy jak zwykle:

— I nikt się z nami nie patyczkował. „Dzikich” tragarzy policja znajdowała na torach, a związki nabierały wody w usta.

Z krzykiem biegł i na rogu Grzybowskiej Długi Icchok rozsypał kartofle. Nie wiedział, czy zbierać je, czy dalej gonić charłaka, który z chlebem skręcił w bok; jeszcze mu Kuba Wąłach podstawił zwinnie nogę. Poszorował nosem po flizach chodnika. Usiadł, nad nim stała banda Barucha.

Ciasny nawis był już poza nim. Uciekł za uskok nie sięgnął po worek.

Dopiero na schodach — kiedy szedł wolno pod górę, kładąc się na poręczy ze zmęczenia, wlokąc worek przy butach jak psa — oklapł do reszty. Wzięło go! Sienią szła Sura-przekupka, rozciągnęła szare wargi w krzywym uśmiechu. Świeży chlebuś? Odstąpi? A potem zeszła tyłem, szybko przekładając nogi. Powlókł się do otwartego okna na półpiętrze i w jakimś porywie bezsilnej rozpaczyny gotów był cisnąć szmugiel — im, wszystkim, na łeb, ale okno było wysoko, a on zmęczony i zanim wciągnął ciężar na parapet, siły go opuściły. Drżały mu ręce, nogi. Wyjął kartofel, obejrzał bezmyślnie szramę na obierzynie, wrzucił z powrotem, wyjął drugi i zamachnąwszy się ciężko cisnął przed siebie w okno stróżówki. Szum szkła, rejwach, wołanie Chaskiela-stróża sprawiło mu złośliwą ulgę.

W domu już na niego czekali. Gdzie chleb? Jak on wygląda?

Czuł na sobie ich uważny wzrok. Goły łokieć sterczał z rozprutego rękawa. W milczeniu ocierał się, rozmazywał błoto. Było mu wstyd i nie wiedział, co powiedzieć. Prof Baum wsparty dłonią o stół. Każdy palec osobno. Skrzyżowane nogi, nosek buta wbity w podłogę, a między zdartym obcasem i getrami bieląła pięta. O, czeka już przeszło godzinę! Był czwartek, algebra, język obcy, fizyka.

— Taak, wody w usta.

W ciemności przebrzmiało ostatnie ziewnięcie. Dawid słyszy, jak ojciec przesuwając palcami po gołych podszewkach stóp i ociera je z prochu. A potem mówi:

— Fąflu, gdzie masz papierosy?

Dawid odrzuca w nagłej radości koc jednym ruchem, biegnie do sionki jak na skrzydłach, tu, tam maca rękami po ciemku, wreszcie natrafiwszy w kącie na worek, wysypuje z niego wszystko na podłogę, a kiedy znajduje na dnie dwie nietknięte i suche paczki papierosów „Haudegen”, które kupił tego dnia rano — wraca i klęka przed leżącym z zapaloną zapałką, która oślepia go na chwilę. Z kłębow dymu wynurza się twarz ojca.

— Ty jeszcze nie śpisz — woła zgorszona matka.

Dawid w pośpiechu zaczyna im opowiadać, jak ukradziono mu torbę z chlebem koło muru. Chce jakoś zawile usprawiedliwić swe niedołęstwo. Śmieje się, urywa. Dostanie jeszcze w ręce tego wszarza! A ojciec pyta krótko:

— Który?

— Długi.

— Ile tego było?

— Chleba? Trzy kilo.

Ojciec wciąga powietrze z głośnym świstem.

— Cy, cy, cy, cy, on wsunie to z miejsca, ten zdechłak.

Wyciągnie kopyta, zanim zdąży zwrócić.

— Nie — przeczy Dawid. Potrząsa głową. — Nic mu nie będzie. Ale dostanę w ręce tego wszarza.

Zasypiając mruczy jeszcze po cichu do poduszki. Wie o tym, że noc strzeże myśli. Tak mówią. Rano wystarczy raz powtórzyć i każda rzecz utkwi w pamięci na zawsze.

Czas teraźniejszy i przeszły czasownika być. „Ja jestem, ty jesteś, on jest. Ona jest. My jesteśmy, wy jesteście, oni są. One są.

Ja byłem.”



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](https://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/).

X

Dawid wracając z tamtej strony zbliżał się do domu i z daleka już wypatrywał okna zaklejonego na krzyż dwoma paskami papieru. W nie opalanej ruderze Natan Lerch drżąc i kostniejąc zarzucał na ramiona gruby łachman; z okna na pierwszym piętrze, gdzie za szybą bieląła jego wymęczona, spalona gorączką twarz, widać było zaułek aż po skrzyżowanie Ciepłej, przekupki wrzeszczące wniebogłosy za stołkami, mrowie żebraków krążących niedołącznie koło wachy, któredy wracali szmuglerzy z towarem. Słońce zachodziło za brudną chmurą i w szarówce pełgało drżące światło pośród ciemnych i niewyraźnych postaci, mętnych cieni rozplływających się w godzinie zmierzchu. Ulica konała w dzikim ruchu; bezładny szum i zgiełk, lament, tupotanie drewniaków na kamieniach, okrzyki rzucane donośnie z jednej strony muru na drugą. OD-man z pałką wychodził przed kuchnię gminną, ocierał usta i coś tam wołał, a tłum odpowiadał mu wściekłym chóralnym wrzaskiem, tłukąc miarowo blaszankami, dzwoniąc łyżkami. Gołębie w popłochu zrywały się w powietrze i nisko, bezkarnie krążyły nad wachą. Tłum czerniał w słabym, sinym świetle zapalonych raptem latarni i miasto połykała noc.

Natan Lerch wychodził do sieni i ukradkiem odbierał od Dawida swoje zakupy. Wśród nagich oszronionych ścian, z których sącząca się wilgoć odklejała podarte tapety, za powybijanymi szybami zatkanymi niechlujnie dyktą, ścierką, na podłodze odartej z desek, którymi palono, by ogrzać jakoś tę jaskinię, poniewierały się w nieładzie materace i na tych

sypiących się materacach spoczywało pokodem kilkanaście rodzin, „dzicy” lokatorzy, którzy znaleźli tu swe ostatnie schronienie. Powaleni gorączką głodową dogorywali na gałganach rozpostartych w kątach, wśród rozsypanego pierza, wodząc oczami za żyjącymi. Fajwel Szafran spuchł i konał tu całą zimę, nie mając sił udać się na miasto po jałmużnę ani po wodziankę z kuchni gminnej, obity dotkliwie przez przechodniów za nieudaną kradzież, rozpaczliwy i niedołączny rabunek pożywienia. Siedział za dnia oparty o ścianę, rozpięty, senny, z opuszczoną nisko głową, a długie włosy spadały skołtunione. Obrzękłe nogi leżały martwo na ziemi jak słupy. Na szarozółtawej skórze, napiętej i lśniącej, sączyły się pod dotknięciem jego paznokci strumyczki przezroczystej ciecicy, które krzepły i zasychały. Kąsany przez insekty, czochrał się do krwi. Wieczorami ożywiał się na krótko i modlił, a wtedy ukazywał pociemniałą twarz, małe oczy w wywiniętych szeroko krwawych jamach-powiekach.

Całą zimę „dzicy” lokatorzy Natana Lercha umierali w kątach milcząc, a na ich miejsce zjawiali się skądś nowi przybysze, wędrujący uliczkami małego getta w poszukiwaniu dachu nad głową. Kiedy Natan złożony gorączką leżał samotnie w pustym, obszernym lokalu po starych Lerchach, którzy zmarli jesienią na galopującą czerwonkę — trzy pokoje z kuchnią, służbówka, alkowa — zagnieździły się tam pierwsze rodziny wysiedlonych. Pewnego dnia obudził się obok Długiego Icchoka, który chrapał mu w nos i ronił wszy. Umknął do alkowy; zaciągnął tam żelazne łóżko, siennik i tam spał. W czasie wielkich mrozów uciekinierzy z prowincji opuszczali masowo swe nory w ruinach, wdzierali się do otwartych mieszkań i rozkładali zawiniątka, gdzie tylko mogli znaleźć kryjówkę przed śniegiem. Meble rąbali na opał;

czego nie można było spalić, wynosili na sprzedaż. Rozciągali słomę na podłodze, worki, rozkładali legowiska i przesypiali nocę z głową na węzélku, by raniem stanąć w ogonku do kuchni gminnej i ziewać kuląc się z chłodu w szarówce, żebrać na trasie kolumny roboczej, która pod strażą opuszczała mury, handlować pozostałym dobytkiem, kraść. Ponuro pikietowali (na tekturze jedno słowo: „Głód”), wzięwszy dzieci za ręce, i znużeni nieśmiałym, wstydlwym wołaniem o jałmużnę kładli się na bruku całymi rodzinami, a kiedy nie mieli już sił unieść się z miejsca, kurczowo podciągali pod siebie nogi, wyzbyci trosk — i na łasce ulicy pozostawiali malców, skomlących przy wystygłych zwłokach jeszcze długo, póki i ich nie dobiło zimno, pragnienie i głód. Komu starczyło sił, włókł się po całym dniu żebraniny z powrotem do rudery, aby przetrwać pod dachem jeszcze jedną noc. Tłum krążył, konał pod gołym niebem, wędrował z ulicy na ulicę w poszukiwaniu chleba, w nadziei na przypadkowy zarobek.

Jakiś czas chodził Natan Lerch na Leszno i grał po południu na swych słynnych skrzypcach kawałki do tańca w restauracji „Pod Rybką”. Afisz wisiał u wylotu Solnej, koło drewnianego mostu, i Dawid tam przeczytał: „Na czole programu atrakcja siłowa i zongler...” Arena, parometryowy krąg między krzesłami, oświetlona była zimnym światłem trzech wiszących lamp karbidowych, a goście siedzieli przy stolikach jak na dworcu, w rozpiętych płaszczach, w swetrach i w wiatrówkach, w narciarskich butach, w futrach, rozmaicie. Błazen w pstrych bufiastych majtkach wychodził i kładł palec na ustach; potem fikał koziołki, mówił dowcipy o Hitlerze. Ukazywały się w kolorowych gimnastycznych kostiumach chude szkielety bezrobotnych cyrkowców. Podrzucali butelki, talerze i kule, a

żyłasty siłacz z bicepsami, które napinały się jak baloniki w powietrzu, odstając od kości rąk i nóg, stawiał sobie na ramionach lekką dziewczynkę i pokazywał akrobatyczne sztuki dysząc ze zmęczenia i szczerząc zęby. Miała niebieski trykot i białą baletową spódniczkę, a złote buciki. Drżała z zimna. Dawid, Elijahu i Zyga klaskali na ulicy. Widocznie publiczność „Pod Rybką” domagała się odmiany i po cyrkowcach Natan Lerch wszedł na afisz i znalazł chwilowo kawałek chleba.

NATAN LERCH ARTYSTA Z SAN FRANCISCO
BĘDĄCY PRZEJAZDEM W GETCIE
DA JUTRO KONCERT
DLA PT SZANOWNEJ PUBLICZNOŚCI
UWAGA
MELODIE Z NASZEGO PODWÓRKA
LARGO HAENDLA KAWAŁKI JAZZOWE I POPULARNE
KIEDY ZNÓW ZAKWITNĄ BIAŁE BZY
A MNIE TAK SZKODA LATA
RESTAURACJA «POD RYBKĄ» GODZ. 17
DANSING I BUFET NA MIEJSCU

Przez szybę wszystko było widać; Natan Lerch stroił skrzypce, a Dawid, Elijahu i Zyga gapili się z ulicy, jak on pociera smyczek bryłką kalafonii. Dym, głosy, szum i brzęk szkła, mlaskanie. Zarumienione kelnerki w przybrudzonych białych fartuszkach niosły gościom parówki z chrzanem. Oberkelner, pokurcz o twarzy zżółkłej jak ogórek ze słoja, opasany ścierką stał przy cynkowym szynkwasiu, ołówek miał za uchem i małą mykę na łysinie. Za nim karton: „dla stałych klientów rabat 5%” oraz „zebrakom wstęp wzbroniony”. W głębi, na podium, uniesiona kotara z buraczkowego pluszu. Natan Lerch po chwili zagrał rzewny kawałek, goście smacznie jedli parówki z chrzanem i

słuchali jednym uchem skrzypiec, paru ulotniło się do baru, inni wyszli z dziewczynami na parkiet, a kiedy wrócili do stolików — Dawid, Elijahu i Zyga nadal zaglądali do środka i chuchali w oszronioną szybę.

— Grzech, rozpusta, Niniwa — mówił przechodzień w czarnym chałacie i potrząsał głową. Chwiejnie obracała się na karku, jakby za chwilę miała spaść.

— Przysięgnij na rudą perukę starej rabinowej. — Inny rozzłościł się i przydepnął mu nogę. — Zjesz parówkę, czy nie zjesz, na jedno wyjdzie. I tak giemza, i tak *Judenrein!* Wszystko jedno, ale ja bym zjadł.

Dawid wstrząśnięty i osłabiony tym widokiem kurczowo przełykał ślinę. Zyga patrzył w jeden punkt, powieka mu nawet nie drgnęła. Po tyfusie miał martwe, szkliste oczy. Zastanawiał się z wysiłkiem.

— A na ulicy ludzie padają jak muchy.

Elijahu stał z czołem wspartym o wystawę, a kiedy jeden z gości klepnął po pośladku młodziutką kelnerkę — wetknął dwa palce między zęby i obelżywie gwizdnął. Krzywiąc się, spluwając, mówił:

— Ludzie, jacy tam ludzie? Powiedz Żydzi.

Natan Lerch piłował ciągle ten sam długi, smętny szlagier, parówki na talerzach stygły, wymoczek za szynkwasem wyjął ołówek zza ucha i tym ołówkiem podsunął wyżej myckę na spoconej, okrytej piegami łysinie, a kelnerki ochoczo wołały w drzwiach kuchni: „Parówki z chrzanem raz!” Niniwa wyglądała zachęcająco, nie strasznie, trochę brudnawo, nudnawo, ponieważ tego dnia żadnych atrakcji w programie nie było, tylko Lerch. Nogi wrosły mu w ziemię i czując wilgotny chłód, który wzmagął się po każdym poruszeniu, Dawid stał nieruchomo z głową

wciśniętą w ramiona, nie mając odwagi uczynić kroku z tego miejsca, wmieszać się w tłum przechodniów. Zyga i Elijahu odeszli. Trzepot palców na strunach ustał, melodia urwała się, skrzypce Lercha zamilkły. Mgliste marcowe popołudnie wpychało za kołnierz chłód i kładło swą zimną, moką łapę na szyi. Wszystko ogromniało mu w oczach, kiedy się zagapił. Nagrzane oddechami wewnątrz skraplało na szybach matową mgłę i postaci poruszały się płynnie i niewyraźnie, jak w wodzie. Z popiskiwaniami kół, podzwaniając łańcuchem zbliżała się riksza. Ulicą, daleko niosło się pokaszliwanie kulisa. W szarówce ktoś zawołał:

— „Pod Rybkę”. Wyrzuć mnie tu!

Wzdrygnął się, odsunął. Spod kół chlupnęła mu na nogi czarna, ciekła bryja.

Palił Jonasz świecę w paszczy wielkiej ryby? Nie, grał na skrzypcach, żeby skrócić czas i muzyką rozjaśnić przepastną ciemność. Można to sobie narysować. W głębi szumiącego morza płynie ryba-potwór, a w paszczy ryby siedzi połknięty Jonasz i bezustannie gra na skrzypcach. Wielkie płetwy niosą go w niewiadomą stronę. Ile dni, nocy spędził w drodze? A skąd mógł o tym wiedzieć? Panowała wieczna noc i żadne światło nie przeniknęło w głąb wód, gdzie słońce nie jest już zegarem. Modlił się Jonasz w czasie drogi? Nie miał przecież świec, ani lichtarzy. Nie widział nad sobą obłoku, nieba, gwiazdy. Gdzie wschód, a gdzie zachód. Miał tylko swe skrzypce, a mając skrzypce można objechać cały świat. A czy słyszy wielka ryba muzykę Jonasza? Lubi grę na skrzypcach i połknęła go po to, aby mieć w drodze koncert? Tego nie można z całą pewnością wiedzieć, bo natury jej jeszcze całkiem nie zbadano. A w ogóle, dlaczego połknęła nieboraka? Wielkie płetwy niosą Jonasza w

niewiadomą stronę.

Można to sobie narysować i można sobie wyobrazić. Skrzypce i srebrne świeczniki. Skrzypce i ryby w głębi wód, gwiazdy, obłoki... Z pierwszego piętra, z rudery pełnej zdechłaków unosił się ton skrzypiec, a że skrzypek grał czas pewien na Lesznie w lokaliku, nad którym wisiał szyld „Pod Rybką” — nie wiadomo czemu historia o Jonaszu połączyła się w pamięci Dawida z losem Natana Lercha. Dawid często słyszał, że Lerch jest słynnym skrzypkiem, ale nie potrafił w to uwierzyć, kiedy oglądał sąsiada na schodach straszliwie już wycieńczonego. Krążył zwykle wzdłuż okien mieszkania, wypatrując czegoś, i machnąwszy parę razy smyczkiem opuszczał w zniechęceniu ręce, zamyślony gładził instrument, a skrzypce oparte o parapet czekały nie wydając dźwięku, tylko chude palce ściskające gryf mimowolnie trącały struny i rozlegał się wtedy cichy, żałosny, jękliwy świergot. Pochylony, z podaną do przodu twarzą Natan Lerch wygasłymi oczami mierzył mur.

Mordka Caban przebiegając podwórzem wrzasnął:

— Natan Lerch schodzi z afisza!

Pewnego dnia Elijahu zobaczył skrzypka na Grzybowie, gdzie stał wsparty o ścianę domu i grał w biały dzień wobec tłumu szmuglerów. Stracił pracę, gorączkował.

— Źle z nim — mówił Chaskiel-stróż.

— Źle — mówił Mordchaj Sukiennik. — Jak ktoś przyplęwa z Ameryki do starego ojca przed samym wybuchem wojny, odwiedzić rodzinę, zobaczyć Ogród Saski i kolumnę Zygmunta, a potem nie może wrócić na zapowiadziany koncert i razem z Żydami zdycha tutaj, za murem, no, to pewno, że nie jest dobrze.

Furman narzekał, stróż zamaszystym, gniewnym ruchem miotły zgarnął pod śmietnik dostrzeżony śmieć. Et, szkoda mówić.

Nie wychodził już z domu; otwierał okno szeroko, na ramię kładł chustkę do nosa, wtykał skrzypce pod brodę i grał, żeby cała kamienica słyszała, i cała kamienica słyszała zamiast tych tam z San Francisco. Banda Barucha Oksa stawała pod oknem. Siniąły szyje, oczy wylażyły na wierzch. Ciekło im z nosa, z ust i spod powiek, kiedy hałasowali, wołali: — Zagraj!

Długi Icchok ściągał z grzbietu cuchnący łachman i podrzucał w górę. Josele Żółtko chichotał niegłośno, a dźwięk ten przypominał śmiech i łkanie. Kuba Wałach kuczał, ścisnął skronie łokciami, wydawał cienki pisk: „liii!” Na wszystkich piętrach ruch, ożywienie. Z drugiego piętra wyglądał ciekawie Kalman Drabik. Kupiec Mordarski ze złością zatrząskiwał łufcik. Buba-przekupka stawiała bliżej fotel ze starym Papiernym. Przed szopą stał obojętnie Mordchaj i żółtym wołokiem czyścił cholewy, a z głębi suteryny po schodkach gramolił się czarny pajak — przygarbiony korpusik, wiotkie nogi, cienkie ręce załamane w geście zdumienia i podziwu — Jankiel Zajączek w krawieckim fartuchu. Słuchali, rozmawiali cicho. Za morzem publiczność czeka na koncert Natana Lercha. Tam kwiaty, oklaski, brawo, bis. Tam noszą za nim instrument kibice, a po koncercie zajeżdża pod teatr wielki czarny Ford. Tłum dźwiga go z entuzjazmem na ramionach, a on fika nogami w powietrzu, uśmiecha się, wzbrania, rozdaje autografy. Natan Lerch pisze raz po raz w karnetach i na swych fotosach, w poprzek białego gorsu koszuli. Pisze ukośnie, szeroko, krótkim i płynnym ruchem ręki, Lerch, Lerch, a ten ogonek pod nazwiskiem zna pół świata i pamięta ton jego słynnych skrzypiec. Gra, miłośnie dzierży gryf, muska wiotkimi palcami struny, oczy kieruje daleko w przestrzeń. Jak unosi lekki smyczek, cichnie i zamiera ostatni dźwięk. Publiczność siedzi cicho zamyślona — czarne fraki, wieczorowe

suknie, trzepoczące wachlarze, woń perfum — i łowi wzrokiem najłżejszy ruch jego dłoni, łowi uchem najcichszy szmer instrumentu. Cisza, milczenie, potem burza radosnych okłasków i okrzyki. Bravo! Bis! A z ostatniego rzędu... Regina Zajączek wlecze się z suteryny na światło dzienne, podnosi w kierunku pierwszego piętra zielonoszarą twarz pokrojoną czarnymi zmarszczkami i ręce podnosi, płasko zgarniające łzy z policzków jak wodę. W zmrużonych oczach Reginy ogromna pokora. Nieśmiało, z zawstydzeniem podgląda Natana Lercha. Dla kogo gra? Dla siebie gra? Z pierwszego piętra leciał głos skrzypiec i trwał; im się zdawało, że nigdy nie ustanie. Czekają na Lercha w mieście Chicago, w mieście New York, w mieście San Francisco. A czy tutaj nikt nie pragnie, aby włożył frak i dał koncert? Natan Lerch był wyschniętym z głodu zdechlakiem, który niedołącznie i trwożliwie obejmował skrzypce. Tracił słuch; inni słyszeli muzykę, a z niego życie uchodziło wraz z lurą z kuchni gminnej, pięćdziesiąt groszy miska.

Mordka Caban krzyczał:

— Natan Lerch zszedł z afisza!

Kiedy rozlegał się hałas, machali ramionami. Pędzili precz bandę Barucha Oksa. Psykali, szeptali.

Stali w głębi podwórza wszyscy — wychudzeni w tym czasie do niemożliwości, jak cienie, a ich szepty rozpraszały się, ulatywały w powietrze pajęczyną nietrwałych, szybkich gestów.

— Ach, jak pięknie Natek gra.

Chaskiel-stróż kołysał się w zamyśleniu oparty na miotle i słuchał z przymkniętymi oczami, z pochyłą głową.

Fajwel Szafran, synowie Nahum i Szulim, córka Estusia, zagnieździli się zimą u Natana Lercha. Natan leżał trawiony gorączką tyfusową, na ziemi, bo jakiś „dziki” wyciągnął spod

niego żelazne łóżko. Przez wybite okna wdzierał się do środka śnieg z wiatrem i wysiedleńcy rozłożyli legowiska naokoło małego piecyka z rurą. Pewnego dnia zjawił się kupiec Lewin, strząsnął szron z karakułowej czapki i zajrzał we wszystkie kąty, dokładnie zatykając chusteczką nos. Kiedy zobaczył bezwładne, suche ciało umieszczone na materacu, pokręcił smętnie głową i zapytał, kto siedzi przy chorym. Wyjął dziesięć złotych i zaciśniętą pięść wetknął w dłoń Estusi. Uszczypnął dziewczynę w policzek z wdzięczności. Był przyjacielem nieboszczyka Lercha-ojca. Obiecał, że wstąpi. Ma interes do Natana. Poszedł, a Estusia przez dwa tygodnie obracała chorego, troskliwie opatrywała odleżyny, myła zaognioną skórę i w gorącej wodzie z solą i obierzynami moczyła mu stopy. Sura-przekupka zapewniała, że obierki kartoflane „wyciągają zapalenie”. A Chaskiel-stróż pomógł Estusi wypełnić kartki żywnościowe dla Lercha. W tym czasie Natan leżał jak kłoc i bredził. Kobiety z całej kamienicy schodziły się dawać rady, wywiadywać o zdrowie, znosić wrzątek. Co kto pod ręką miał. Wszyscy żyli tym, czy Natan tyfus przetrzyma.

Przetrzymał. A kiedy otworzył oczy, rudera wypełniona była tłumem „dzikich”. Przez uchylone, nie domykające się i pozbawione zamków drzwi swobodnie zaglądali do środka przechodzący sąsiedzi. Oddechy smużyły się w nie ogrzanym mieszkaniu, a blaszana koza rozpraszała duszącą woń dymu, smażeniny i słabiutkie powiewy nagrzanego powietrza, wirującego wokół zakopcanych rur. Jakaś kobieta z krzykiem ściągała przypalone szmaty z rury, a Długi Icchok podkładał śmiecie na ogień i śmiał się. Obnażona do pasa Estusia trzymała w rękach stanik i biła wszy. Nahum i Szulim przy oknie otworzyli jeden modlitewnik. Fajwel Szafran zawinięty w obszarpany tałas

modlił się cicho i kołysał w ciasnym kącie pomiędzy rozpaloną, czerwoną rurą a wyrkiem, na którym beztrąsko przebierało nóżkami niemowlę, wydobyte przed chwilą z wilgotnych gałęzi. Miało szarą pomarszczoną twarzyczkę i przezroczyście, sine ciało. Mężczyzna w żółtym damskim swetrze kroił ostrożnie chleb na parapecie okna i odwrócony opędział się od natrętów kopniakami wymierzanymi na oślep. Mordka Caban i Kuba Wałach bili się przeskakując materace i zmorzonych snem ludzi. Na środku, potrącana przez nich, pięcioletnia dziewczynka siedziała na nocniku i dłuwała w nosie z ponurą, zaciętą miną. Ktoś uniósł się raptem, usiadł na wyrku, zawołał przed siebie: „Pesia, czy jesteś już gotowa z tym jedzeniem?” Wieczorem, po całym dniu włóczędzy, „dzicy” zajęci byli czynnościami, które wykonywali ze szczególną pasją i uwagą: biciem insektów i przyrządzaniem posiłku z nagromadzonych resztek. Chlupnęło z przewróconego naczynia. Mężczyzna w żółtym swetrze krzyknął do przebiegającego Cabana i dał mu pięścią w kark. Mordka Caban runął przez otwarte drzwi do sieni.

— Ludzie, przecież nie można tego tak zostawić. W nocy ktoś wstanie, wdepnie i nie daj Boże złamie nogę.

Leniwie poruszali się w ciasnym przejściu, gotowując do snu. Stara Żydówka chwyciła wnuczkę.

— Lusia, dosyć. Zejdź już. Wydłubiesz sobie dziurę w nosie, jak tak dłużej będziesz siedziała.

I uniosła ją razem z emaliowanym nocnikiem. Mężczyzna okryty wojskowym szynelem rzucał się w kącie i bredził.

Mordka Caban krzyknął:

— Żydzi, słuchajcie, rabina ugryzła pchła!

A Fajwel Szafran zamachał połami tałesu.

— Cśś!

Banda Barucha Oksa gwizdała na palcach. Płaskonosy Nahum zamknął drzwi do sieni i oparł się o nie plecami. Rozległ się cichy, drżący głos. Wzbił się rozpaczliwym zawodzeniem, lamentem, urósł do krzyku i wypełnił ruderę. Wśród leżących bezwładnie pod ścianami zapanowało poruszenie.

Wynurzyły się z kątów szare widma okryte luźno łachmanami. Szli, pełzli.

— Kto tu naniósł tyle błota? Skąd się wzięło tyle śniegu? Utopić się można!

Kobieta, która weszła z dzieckiem na rękę, ostrożnie mijała leżących, kierując się w stronę ściany ogrzanej wylotem rury — powyginanej za pomocą kolanek i wpuszczonej w surowe cegły. Za nią topniały pecyny śniegu.

— A moje miejsce? Kto zajął? Gdzie ja się z tym dzieckiem teraz podzieję? — Szarpała szynel, bez skutku. Mężczyzna mamrotał nieprzytomnie przez sen. Nie ruszył się z miejsca. Wreszcie usiadła i wsparła się o niego. Wyjęła stopy z bucików i odpoczywając długo poruszała palcami. Dziecko zasnęło natychmiast, tak jak je ułożyła na podłodze, uczepione brzegu wojskowego szynela. — Wczoraj jeszcze człowiek miał gdzie spać — narzekała. — Ostatnie miejsce i kawałek dachu nad głową zabiorą, jak się tylko odwrócisz. Co za ludzie!

Podawali naprzód głowy, wyciągali szyje. Słabe uśmiechy powlokły tkliwością twarze charłaków. Bez słów gromadzili się koło Szafrana śledząc, jak poprawia i owija ściśle rzemieniem filakterii ramię, czoło, kark.

Przygnieciony mężczyzna uniósł łokieć. Jeszcze chrapał; i dopiero po długiej chwili powstał z legowiska, przetarł oczy i zdumiony spojrzał na wymizerowaną, drobną kobiecinę, która siedziała oparta o niego stanowczo.

— Na kim się opierasz? Znajdź sobie trupa.

Machnął ręką, naciągnął szynel na głowę i zasnął. Wszedł Długi Icchok niosąc szufladę pełną papierów. Gniótł arkusze, rzucał je do piecyka. Wionęło popiołem. W zadymionym powietrzu wirowały sadze. Długi Icchok grzał ręce uśmiechając się cicho, a ogień zabarwił mu czerwono-ciemne uszy. Kobieta z patelnią podeszła do kozy. Odepchnęła Icchoka łokciem.

— Wynocha, tymi papierzyskami zdusisz tylko ogień. Już cię tu nie ma, łachmaniarzu.

Długi Icchok przykucnął na piętach pod ścianą w sieni i przez otwarte na oścież drzwi słuchał modlitwy, którą ciągnął Fajwel Szafran, a kobieta postawiła patelnię na piecyku wrzuciwszy tam przedtem kłęb oblanych naftą szmat. Zapłonęło; z patelni rozszedł się odór nieczyszczonego oleju i smażonej cebuli. Pogrzebaczem broniła innym dostępu do ognia. Tłusty, czarny dym walił kłębami z kozy.

Wargi Fajwela poruszały się cicho, palce przebierały fałdy tałesu. Nozdrza rozchyliły się. Pokręcił brodą zniecierpliwiony, jakby mu coś przeszkadzało. Charłacy patrzyli w napięciu na jego usta, nagie, różowe w kędzierzawej gęstwie ciemnej brody.

— Lusia, nie podchodź do rury, bo spalisz włosy. — Dziewczynka obciągnęła sukienkę. Tarła brudnymi piąstkami twarz i przeraźliwie ziewała. — Zaraz będzie kolacja, Lusia... Co się tak pchasz? Chwileczkę, już kończę i zwalniam.

Mężczyzna w żółtym damskim sweterku pokroił chleb na parapecie i podszedł do kozy z okopconym czajnikiem. Łakomie, długo patrzył na smażeninę, na zatłuszczone olejem i sadzami ręce kobiety. Przegarnęła żar, sparzony kciuk wetknęła do ust i ssła. Przysunął się blisko i smutnym, upartym spojrzeniem

śledził, jak ciemnieje zawartość patelni. Wiatr wydmuchiwał z piecyka dym. Ramię przy ramieniu mężczyzna i kobieta patrzyli nieruchomo w dogasający ogień.

— Sza!

— Rabina ugryzła pchła!

— Ha, ha, ha, ha, ha!

Banda Barucha Oksa pokrzykiwała dla rozgrzewki w zimnej sieni.

Otworzyły się sklezione powieki. Ostry, daleki wzrok Fajwela nie dostrzegał już rudery zrujnowanej ani otaczających go kołem postaci, łachmanów pełnych wszy, twarzy udreńczonych i szcerniałych, oczu wpatrzonych w niego w oczekiwaniu na słowo. Gdzieś tam w zakamarkach rudery rozległ się pobożny szloch. Pełzli ze swych barłogów bliżej, a którzy sił nie mieli zwlec się z legowiska, popodnosili głowy i w półmroku błyszcząły dziką gorączką ich oczy. Dawid przystanął na progu słuchając żarliwego zawodzenia, lamentu bez końca, surowej melodii złożonej z paru taktów. Charłacy sunęli z ciemnych kątów. Blade twarze, wykrzywione, zbliżały się ku niemu. Szepczą. Co oni tam szepczą? Co to za tłum? Skąd? Ramiona złożone do modlitwy, wyciągnięte ku niebu, załamane w uniesieniu i gniewie. Mokry, ciemny dzień; co to był za dzień? „Trupy znoo!” Przed bramą kamienicy zatrzymał się wózek i brudny chudzielec wrzasnął — młodociany pomocnik Eliasza — a potem chyłkiem wyniósł się, zgorszony zaciętością i zgiełkiem zuchwałego życia. Za drzwiami Natana Lercha tłum, Estusia blada i cicha jak topielica, a wokół niej wrzawa, krzyk.

— Sza!

„Dzicy” po modlitwie przycichli. Ogarki świec przygasały, piecyk stygł. Fajwel Szafran osunął się pod ścianę zmęczony.

Płaskonosy Nahum składał starannie tańs i sadze z rury wzbily się w powietrze. Szulim szybko zwiął rzemienie tefilin. Tłum układał się pokotem do snu. Estusia odwróciła się, poprawiła poduszkę pod głową Natana i poruszyła na nogach koc. Mrowiło się na podłodze w ciasnocie i półmroku.

Kiedy Dawid chodził na tamtą stronę kupować żywność — w uszach miał gwar głosów z rudery, przed którą zawsze się zatrzymywał wstrząśnięty. „Dzicy” rzucali się z krzykiem na niego, wyciągając pieniądze, zaklinając o kupno bułki. Ich potrzeby były nie na jego siły. Estusia wychodziła na schody i ukradkiem wsuwała mu parę złotych na chleb dla chorego — nosił i dla Lercha, ale nigdy o tym w domu nie mówił, jakby okradał ich z czegoś, o czym nie powinni wiedzieć. Żywność była cenniejsza niż życie. Przywykł do tego, że mija stale wachę i jakoś wraca, z czasem otepiał. Dowiedział się, że strach to największe zło, i chodząc zakazanymi ulicami nauczył się w porę zdejmować opaskę z gwiazdą, odruchowo zwalniać kroku, mijać obojętnie Niemców, policjantów i nie wpadać w popłoch. Bał się dalej, lecz to był już inny strach. Zauważył, że przedwcześnie ucieczka ściąga pogoń i lepiej do ostatka zachować pewność siebie. Myślał z zimną krwią o tych, którzy pozostawiali za murem, i uważał, że jego jednego oszczędził jakoś los. Chłodno oceniał swe możliwości, nie były widocznie złe. Dbał o wygląd, aby zaniedbaniem i brudem nie zwracać uwagi. Martwił się, czy jest „podobny do Żyda”; i wychodząc z domu starannie czyścił buty, ubranie. Chmurnie, surowo, podejrzliwie badał odbicie w lustrze.

Szarawe, nijakiego koloru włosy i przedziałek z lewej strony. Gorzki grymas w kącikach szerokich ust. We własnej twarzy uderzało go coś. Wiedział, co. Nieśmiałe spojrzenie piwnych

oczu umykało płochliwie w bok, a kiedy starał się to powściągnąć i patrzeć ostro, wtedy było jeszcze gorzej. Spojrzenie nabierało dzikości, w której każdy mógł się łatwo dopatrzeć trwogi. Chodził z opuszczoną głową, nie patrząc na mijane patrole ani na przechodniów, i tak było lepiej. Chwilami nie umiał powstrzymać nagłego odruchu: raptem stawał w tłumie, unosił głowę i nabierając tchu patrzył zmrużonymi oczami daleko przed siebie, wysoko przed siebie... Wówczas — dobrze o tym wiedział — twarz nabierała wyrazu bolesnej niepewności i jakiś skryty uśmiech, nieśmiały grymas był wynikiem chwilowego zapatrzenia. Dawno, w szkole, kiedy badali ich klasami na przeglądzie lekarskim, dowiedział się o swym krótkowidztwie. Niebezpiecznego zmrużenia oczu nie łączył z faktem, że ma krótki wzrok. Wiedział, że gdy mruży oczy i patrzy daleko przed siebie z wyciągniętą szyją, wówczas właśnie, zalękniony, spłoszony, przebudzony w obcym tłumie, jest „podobny do Żyda”. Szedł i wracał. Po przekroczeniu muru, kiedy mijało napięcie, weselał, oddychał swobodnie i z ulgą; krzywił się ot tak, bez powodu, wywijał wargi w cynicznym grymasie i zamiast odpowiedzi przechylał głowę na lewe ramię. Gestykulował niepowściągliwie i strach, skrępowanie, odruchowa powaga rozpraszały się w gmatwaniu bezcelowych ruchów, spojrzeń i podskoków. Nie bał się być sobą i było mu lżej.

Czymś ludzie muszą się różnić, skoro na pierwszy rzut oka poznają wzajemnie swą przeszłość. Ale czym? Nikt o tym wyraźnie nie mówił. Podpatrywał zachowanie innych, wygląd, ubiory, gesty i sposób mówienia. Mijając mur zaczął rozróżniać zmianę akcentu; przechodnie z ulicy Wolskiej mówili tym samym językiem inaczej niż mieszkańcy Krochmalnej, chociaż odległość między nimi mogła wynosić kilkaset kroków. Były inne,

dziwniejsze różnice, ponieważ ci z Płockiej i Karolkowej mówili inaczej niż ci z Hożej i Złotej, a nie dzielił ich mur; na Ochocie inaczej niż w Śródmieściu, jeszcze inaczej na Starym Mieście. Za murem też różniło ludzi wiele; skrzypek Lerch nigdy nie powiedział słowa z tym ciągliwym, wahającym się akcentem co Jankiel Zajączek, a Mordchaj Sukiennik kłął zupełnie tak samo jak pijani furmani w zaułkach Woli. Wysiedleni z kresów Szafranowie mówili inaczej niż sąsiedzi, których znał od małego.

Kluczył, zmieniał kierunek, omijał okolice, gdzie mogli go zapamiętać. Po to, aby kupić bochenek chleba, parę kilo kartofli i trochę tłuszczu — zanim nabrał pewności, że może wejść do sklepiku — szedł nieraz kilometrami przed siebie. Na pobliskiej Ochocie chłonał w oszołomieniu niechlujną gwarę, pełną urwanych porozumiewawczo słów i skrótów, jak poufałe mrugnięcia pijackiej powieki. Spod nasuniętych nisko na oczy oprychówek wypluwali tam zamazane pogardliwie samogłoski, seplenili z cwaniackim uśmieszkiem, raczyli go pieprzem i wyziewami machorki, oddechem knajp i zgniłym powiewem wiatru znad glinianek przedmieścia; poklepywali go dobrodusznie po ramieniu, a wszystko to wśród nieustających, zawrotnych, ciągnących się w nieskończoność kłątów, zapierających dech. W Śródmieściu osłuchiwał się z gładkim, szarym językiem urzędników z biur i drobnych kupców zza lady, których akuratność wysłowienia ledwo przesłonięta była retoryką zdawkowej, kwaśnej uprzejmości. Na Starówce i Powiślu słyszał ten sam język postarzały o wieki całe, dosadny a ceremonialny, pełen ociążalej i archaicznej powagi, melodyjnością przypominający mu mowę wsi, jęklive zawołania piaskarzy na rzece, pieśni kościelne — język, którym mógł się posługiwać w cieniu krętych uliczek dorożkarz w granatowej

pelerynie, przekupka na Rynku, majster szewski drzemiący całe dnie u Fukiera, niepozorny, zapomniany przez czas i ludzi szlachciura. Emeryt w szarej maciejówce strząsał z siwych wąsów krople deszczu siedząc martwo na czarnej, zwęglonej ze starości ławce pod mostem Kierbedzia, mając u nóg flotyllę przycumowanych bezładnie u nabrzeża wraków i barek, do których dozorczy kosztami zsypywali śmiecie, wymiatane spod skarp Mariensztatu. Kasłał i ten kaszel starca huczał rozdierająco we mgle, raz po raz. Idąc przez Mokotów Dawid słyszał przechodniów mówiących hałaśliwą niemczyzną, bo to była dzielnica volksdeutschów i reichsdeutschów, z koszarami na rogu Rakowieckiej, skąd głośniki bezustannie wyrzucały różne marsze, z eleganckim kinem „Olimp” przy Puławskiej, na wprost wylotu Narbutta, i biurem niemieckiej policji politycznej w pobliżu.

Czasem podsłuchał urwane w połowie zdanie, uwagę rzuconą półgłosem, donośny okrzyk, chwycił złe i pogardliwe spojrzenie; sam musiał domyślić się wszystkiego, zdany na własne siły, i wstyd mu było pytać o to ojca. Widział, jak przedrzeźniali Żydów ulicznicy i karykatura nauczyła go wiele. Starał się nie „ciągnąć” słów, nie zawieszać głosu ze śpiewnym przydechem, nie gestykulować; pamiętał o tym, by mówić wolno, trochę niedbale i nie rzucać masy niepotrzebnych pytań. Ile pytań jest na świecie? Każdą rzecz można powiedzieć tak, aby stanowiła pytanie. Ponieważ zauważył, jak to śmieszy niektórych, zaczął tego unikać. Dbał o to, żeby nie wyróżniać się niczym. Słuchał uważnie prof Bauma, ale starszek mówił z przesadną, staroświecką poprawnością, dobitnie podkreślając nosówki i miękkie „ł”, co już raziło. Każdy drobiazg mógł nabrać nieoczekiwanego wyrazu; obserwując, jak wujek Gedali z

rozwianymi włosami, w długim palcie macha połą kuląc głowę w podniesiony kołnier — widział go już po tamtej stronie, ściganego, wystawionego na domyślne spojrzenia czujnej zawsze policji. Odtąd nie stawiał nigdy kołnierza, nawet w największe mrozy. Chociaż w głębi duszy rozczulała go gwałtowność, wymowa, smutny humor, szerokie gesty i otwartość tych, którzy go otaczali, sam musiał unikać takiego zachowania.

Mimo to nigdy nie był pewny siebie; jak wyglądała w oczach innych. O tym wszystkim trzeba milczeć, w domu też nie można o tym mówić z nikim. Stał się skryty, małomówny. Stał się instynktownie złośliwy. Widział, że cierpienia i krzywda jednych wzbudzają tylko śmiech i szyderstwa innych; trzeba wtedy opuścić głowę i przejść obok nie spiesząc się, jak gdyby nigdy nic. Myślał o sobie surowo, że strach nim kieruje w takich razach, i było mu wstyd, za siebie i bitych; z czasem zauważył, że można do tego przywyknąć, zobojętniał.

Ubranie na człowieku zdiera się i obraca w łachman, twarz jego suszy pragnienie i głód, długotrwała głodówka przemienia go w szkielet złożony ze skóry i kości — na ostatek opadają łachmany, nawyki i człowiek znów jest tym, kim był zawsze. Głodnemu trudno ukryć swój głód i każde spojrzenie, ruch ręki go zdradza. Patrząc z przestachem na tłum „dzikich”, wypełniających rudere na pierwszym piętrze, Dawid z rozpacziwą jasnością myślał, że im już nic nie pozostaje do ukrycia. Przypadek ślepo, bezsensownie miotał nim i do tej pory zawsze jakoś mógł się wykaraskać; przypadkowi zawdzięczał, że nie spoczywa na Okopach. Jak niewiele było trzeba, aby stać się skomlącym, bezsilnym zdechlakiem. A kim był, że jemu należy się inny koniec? I jak to się stało, że otwierają się przed nim przejścia, które były zamknięte dla innych? Czuł się winny

wobec tych, co nie mieli siły żyć.

Odwaga jawiła mu się w postaci małego, ordynarnego człowieka, który umie giąć kark i uczyni wszystko, aby przetrwać. Sam siebie widział takim. Skrytym wzruszeniem i dumą darzył w pamięci tragarza z Solnej, Arona, który padając pod kulami jeszcze pięścią żandarmowi pogroził; małego Chaima, który pobiegł pod lufy, gdy już nie mógł głodu wytrzymać. Odwaga tych, co chcieli istnieć, graniczyła z poniżeniem i wymagała wyrachowanej, tępej uległości. Okazało się na ostatek, że śmiałością jest samo pragnienie życia. Jakże mogło być inaczej? W chwilach zniechęcenia lekceważył wszystko; w takie dni z pogardą przechodził środkiem strzeżonej ulicy i zaciskając zęby, obłany potem, zbliżał się do żandarma, który szturchnąwszy go wyrozumiale kolbą w plecy przepuszczał swobodnie z żywnością. Gardził wtedy Niemcami i tymi, którzy skomląc żałośnie czekali niezdecydowani, błagali o łaskę śmiejącego się strażnika. Gardził wówczas całym światem; ktoś czynił zło, ale ktoś inny na to zło się zgadzał. W dziecięcych rojeniach wszystko było takie proste! Gdyby Żydzi rzucili się z oskardami na mury, getto przestałoby istnieć. Zauważył, że dorośli są tchórzami z rozsądku. Nie stawiali oporu, a przecież szczeniakeria dawno wprowadziła w czyn lekkomyślną ideę — biegła tłumem na oślep przed siebie i strażnik mógł oddać parę strzałów w pośpiechu, trupem na miejscu położyć jednego, drugiego, kiedy reszta cało i bezkarnie przekraczała mur z triumfalnym wrzaskiem. Dlaczego? Żywność była droższa i bardziej warta ocalenia niż życie: myśl ta zajęła dużo miejsca w pustych łebkach małych szmuglerów.

Niekiedy otrzymywał dziwaczne, niepojęte polecenia. Dr Obuchowski wypisał przy nim receptę i z nią Dawid poszedł za

mur. W aptecę przyglądano mu się; nie wiedział, że recepta go zdradziła, bo stary lekarz w roztargnieniu użył druczka ze swym nazwiskiem i adresem. Zwrócono mu ją bez słowa, a dr Obuchowski palnął się w czoło i wykrzyknął, że jest dardanelskim osłem. Co za szczęście ma ten mały.

Dawid uśmiechał się skromnie, zasługę po cichu przyznać musiał aptekarzowi. Ostrożnie przeniósł zastrzyki w małym chlebaku i patrzył, jak dr Obuchowski kłuje chude nogi Natana Lercha i przelewa w nie bezbarwną ciecz, zawartość szklanych ampulek. Dr Obuchowski, w zarzuconym na palto białym fartuchu, uniósł strzykawkę pod światło, poprawił ostatni raz igłę, odciągnął energicznie wiotką skórę wiszącą na ciele chorego i powoli wstrzyknął lek. Nakłucie okrył watką umoczoną w niebieskim spirytusie.

— Charłactwo, drogi Natanielu. Organizm sam się spala. Oddaje więcej niż wchłania. Najpierw idzie tłuszcz na ogień, a potem? Samospalenie.

Przecierał nakłucie i oglądał, znów przecierał starannie. Ciasnym kołem otaczał go wyległy z kątów tłum. Mówił:

— Umieracie przez samospalenie. Nikną mięśnie, wiotczeje i złuszcza się skóra, mięknią kości. Tak, moi drodzy. To, co miało chodzić dumnie wyprostowane na dwóch nogach, zaczyna pełzać na brzuchu. Król stworzenia zamienia się w pełzaka.

Rozległ się chichot.

— To wcale nie śmieszne. O, nie! Kurczy się śledziona, żołądek, nerki, wątroba. Wspaniały narząd maleje do rozmiarów orzecha i tak właśnie wygląda wątroba charłaka. Płuca słabną, serce przestaje należycie pracować. Pompa ustaje. Zaczyna się głodowa śpiączka. Ospałość. Apatia. Letarg. Stopniowo cały organizm ulega samozatruciu. Brak pokarmu, tlenu, krwi, tkanek.

Na tym polega charłactwo. Co ja wam poradzę, moi drodzy charłacy? Zastrzyk, proszek? Bzdura! Trzeba żreć, żreć, a tego nie nastarczę nikomu, nawet samemu sobie. Trzeba słońca, a tego nie stworzę. Trzeba powietrza, a ja nie jestem Panem Bogiem. Jestem tylko małym, zagonionym lekarzem, który zdarł już niejedną parę butów na tych schodach.

Dr Obuchowski wrzucił brudną igłę do niklowanej puszkii. Pogrzebał w niej pincetą i wyjął inną. Osadził.

— Choroba głodowa to okrutne samostrawienie. Bez litości, z dnia na dzień, z godziny na godzinę karmicie się własną krwią, własnym szpikiem, własnym mięsem, własnymi kośćmi. Aż do końca. Wyżerka, co? Palce lizać! Oto jaką spiżarnię przygotowała wam na ostatek natura! Cud, że żyjecie. Grypa powinna was zwałać z nóg, a przetrzymujecie tyfus. Jak to możliwe, powiedzcie mi, ludzie? Trwa nadal produkcja białych ciałek? Trwa i nie ustaje? Musi jeszcze wzrastać... Życie utrzymuje się dłużej, niż życie samo na to pozwala. Ot, i cała wasza choroba. Dawaj tu drugą nogę, Natanielu. Ukłujemy.

Dr Obuchowski wykonał zastrzyk i ciągnął dalej:

— Tego pytania medycyna dotąd nie postawiła, Natanielu. Kiedy człowiek przestaje być człowiekiem? No właśnie. Stary Baum bredzi coś o wolności i innych dyrdymałkach, a ja nic nie rozumiem. Brzuch rządzi światem głodnych. „Jeść, jeść!”, oto wołanie ostatniej żywej komórki i nie ma głuchych na to wołanie. Zależność, od której nie można się uwolnić, i nic, co żyje, nie jest od niej wolne na tej ziemi. A jeśli już o wolności mowa... Okryj go ciepło, Estusia.

Estusia okryła kocem nogi chorego. Dr Obuchowski zmienił igłę. Stał przed nim przezroczysty jak szkło charłak z sinymi lędźwiami. Kołysał się bezsilnie i trzymał podciągniętą długą

koszulę. Milcząc przymknął powieki, a potem wbił w lekarza rozpalony gorączką wzrok.

— A jeśli już o wolności mowa, to dajmy spokój dumnemu kłamstwu. Hm, co to ma być? Noga? Gdzie podziałeś pośladek? Przestajecie być podobni do ludzi. Stań bokiem i trzymaj wyżej tę koszulinę. Bliżej. Teraz dobrze. I zapamiętaj sobie. Ciało to coś, w co lekarz może wbić igłę. A jeśli igła już nie wchodzi, to znaczy, że ciała nie ma. Finis! Pozostał wolny od trosk duch. Tak możesz powiedzieć każdej uniwersyteckiej fujarze. Ale co ma lekarz leczyć, ja się pytam? Ciało astralne?!

Dr Obuchowski skrzywił się i odciągnął pełną garścią fałd skóry na suchym piszczelu. Zaciskając usta, stękając, z wysiłkiem wprowadził igłę między kość i szary naciek na miednicy charłaka.

— Już, dobrze. Ten zastrzyk cię uzdrowi. Jutro wstaniesz pełen sił do walki o byt. Nie wierzysz? Uśmiechasz się? Ha! Wiara pacjenta, połowa powodzenia w kuracji. Opuść koszulę. Podziękowanie. Następny!

Ukłuty odszedł z cichym uśmiechem. Oglądał się za siebie, kłaniał i długa koszula powiewała na szkielecie.

Dr Obuchowski zmienił igłę. Estusia grzała na piecyku wodę, a on opatrywał wysięki, nacieki, wrzody i szybkimi ruchami małego lancetu otwierał ropne pęcherze. Charłacy śmiejąc się, rozbawieni jego gadaniną, następowali ze wszystkich stron. Dobrodusznie przygadywał:

— Ludzie, ja już rąk nie czuję. Co za piekielny taniec!

Płaskonosy Nahum parsknął:

— A to dopiero początek — i zuchwale spojrzął w oczy lekarzowi.

Stara Żydówka prosiła, dla swej wnuczki Lusi, o receptę na

słodki syrop, o cytryny i coś od kaszlu. Dr Obuchowski zapisał tran. Mężczyzna w żółtym swetrze zatarł ręce i zażądał stanowczo skierowania do szpitala, gdzie mógłby się trochę odżywić i odpocząć, a stary lekarz pokiwał ze zrozumieniem głową i wbił mu pełną strzykawkę wody destylowanej, po której pacjent dłuższy czas rozcierał sobie bolesne nakłucie.

Inni stali w milczeniu, cierpliwie śledząc zwinne, energiczne ruchy dr Obuchowskiego.

— A moja zapłata po wojnie? Co za los! Natanielu, mniej znaczę na tym świecie od ostatniego grabarza, który nie wykopie nawet dołu za darmo! Słyszysz mnie?

Natan Lerch wsparty bezsilnie o ścianę, wpółsiedząc na łóżku, ścisnął kurczowo buteleczkę z pigułkami i nie spuszczał z niej szklistego, nieruchomego spojrzenia. Po chwili namysłu wepchnął lekarstwo głęboko pod poduszkę; co i raz wyjmował, oglądał z troską. Patrzył wahająco na Estusię. Pytał szeptem:

— Tu nie zginie?

Pokręciła głową, że nie.

— Podziękowanie... Następny! — donośnie wołał dr Obuchowski. A charłacy cisnęli się zewsząd, uśmiechnięci ufnie i głupawo.

Mężczyzna w żółtym swetrze przepychał się znów do lekarza, wymachiwał rękami, a na palcach miał pierścionki.

— Umrę!

Fajwel Szafran ocknął się, uniósł głowę zwieszoną na spuchniętym brzuchu i grubym, głuchym głosem powiedział:

— Jeden umiera stojąc, drugi umiera leżąc. Jedząc nie umiera nikt.

Charłacy odpychali natręta, syczeli. Płaskonosy Nahum rzucił mu w twarz:

— Daj mi przylepkę, a przeżyję cały dzień!

Odezwały się ze wszystkich stron wściekłe okrzyki:

— Daj mu! Daj mu!

Płaskonosy Nahum stanął w drzwiach i długo wyglądał na schody. Zza jego ramienia patrzył Szulim. Schodami w dół szła Małka, sucha, sztywno wyprostowana, w długiej sukni na fioletowym spodzie, który prześwitywał przez brudny tiul, z wyleniałym rudym liskiem okręconym na pudrowanej szyi. Zmrużyła chytrze oczy i ostrym, zakrzywionym paznokciem pogrzebała w powietrzu, jak haczykiem.

Krygując się mówiła:

— Caban, zawołaj do mnie doktora.

— Trzy ćwierci do śmierci, a po co ci doktor?

— Caban, Cabaniątko, zawołaj do mnie zaraz Mordarskiego.

— Małka, a po co ci kupiec?

— Caban, zawołaj mi tu szybko Szwarca.

— Po co ci adwokat?

— Caban, Cabaniątko kochane, zawołaj Mordchaja.

— Po co ci furman?

— Caban, zawołaj w takim razie reb Icchoka.

— Małka, a po co ci rabin?

— Caban, łobuzie, przyprowadź Lońka, mojego kawalera.

— Po co ci kawaler? Kogo jeszcze?

— Poczekaj, niech sobie tylko przypomnę.

Chwyciła pyszczek liska i zarzuciła na plecy. Uperfumowaną kitką ogona wachlowała sobie twarz.

Mordka Caban odwrócił się, uklonił nisko Kubie, złapał go dwoma knykciami za nos i szarpnął. Jasnym, rozradowanym głosem na całą sień zawołał:

— Podziękowanie, następny!

Przeszła.

Wychylił się na schody płaskonosy Nahum, oparty podbródkiem na jego ramieniu patrzył za nią Szulim. Zachichotała. Rudy lisek wionął wyleniałym ogonem w ciemnej sieni i wlepił w nich zimne, szklane, rubinowe oczko, a Małka odwróciła w przejściu martwą twarz, na której narysowane były czarną, czerwoną kredką nieruchome brwi i usta.

— Małka, dla ciebie wszystko!

Ogłuszającym gwizdem, krzykiem, śmiechem witała ją banda Barucha Oksa, kiedy szła po południu ulicą z wysiłkiem kręcąc kuprem. Od rogu do rogu.

Dawno już Elijahu opowiadał im, co widział w gruzach na Walicowie. Zyga i Dawid zachłannie słuchali. Jak Małka się kładzie. Jak zadziera śmiało liliowy spód. Jak głaszcze piersi i bierze pieniądze. Jak odpina jedną podwiązkę i ściąga powoli jedwabną pończochę. Duszno, strach, szum w uszach. Opowieści te kończyły się zawsze tak samo i każdy wiedział jak, tylko Zyga udawał obłudnie, że nie wie. Elijahu szeroko i rozwlekle opowiadał, a potem szli w ruiny hałasując dla dodania sobie odwagi. Księżyc znad Hał srebrzył ich pobladłe twarze, rozległe rumowisko pełne cieni, aż tutaj były okrzyki wart na placu Żelaznej Bramy, ostro były im serca o żebra, kiedy podkradali się chyłkiem, cicho i ostrożnie stąpając po gruzie do miejsca, z którego ujrzeć mogli wyraźnie czające się postacie.

W ruinach na Walicowie wałęsały się głodne prostytutki.

O zmroku słyhać było w załomach głośnie oddechy. Tych, którzy sztywnieli w ramionach kobiet, i kobiet, które sztywniały z głodu. Jakby dyszało jedno wielkie, powalone na kolana zwierzę, które kona szamocząc się i nie mogąc sobie znaleźć miejsca. O zmroku na Walicowie cichły skomlenia żebraków, natrętnie

zawodzenia kantorów, modlitwy. O zmroku nad gruzami unosiły się szepty konających. Wybuchaly ostatnie, dzikie bójki. Z ciał opadały łachmany. Szkielety stygły w chłodzie nocy i zamierał oddech. Puste źrenice obrócone w niebo gasły wraz ze światłem uchodzącego dnia i nie było ręki, która zamyka powieki.

— Oooo... Ooch!

Unosiły się nad tym miejscem ciężkie, urywane westchnienia i przekleństwa objętych w uścisku żebraków i kurew. Wisząca w pustce rynna z klekotem uderzała o zlew na nagiej ścianie. Poszarpany, zgnieciony dach wisiał jednym skrzydłem nad urwiskiem. Chichot wiatru, jękliwy dźwięk blachy, wściekle głosy dolatywały z ciemnych, zgrzytliwych, kalekich ruin.

Elijahu, Dawid i Zyga z wysokości pierwszego piętra, przechyleni nad krawędzią rumowiska, patrzyli szeroko rozwartymi oczami na leżących tam w dole. Wietrzno było i zimno. Roześmiany nieszczerze Dawid zatykał sobie usta. Zyga z udanym rozochoceniem rąbnął Elijahu w kark. Wydawało się, że zaraz pęknie ze śmiechu. Marzły im ręce.

Na placu Żelaznej Bramy wartownik oddał strzał. Tramwaje iskrzyły z sykiem, śląc w ruiny zielone światło i chmurę beładnych cieni.

— Aa...

Na cegły rzucona biała laska i zniszczony filcowy kapelusz. Obok dłoń dziewczyny błędząca po kamieniach. Nagły krzyk rozległ się w ciemności i trwał, jak wzniesione ostrze przeszywające niebo.

— Yyyy!

Długo, wolno zamierało monotonne skomlenie niepodobne do głosu człowieka, choć było jeszcze głosem człowieka.

— Chodźmy — powiedział Elijahu. — Już, wystarczy.

Z lękiem i ciekawością, z odrobiną wstydu, który ciekawości nie przemógł — uczepleni kruchych ruin — pozostali. Hałaśliwie dzwoniły zatrzymane przed wachą tramwaje. Iskry trzaskały raz po raz, jarzyły się całymi pękami. W zmierzchającym świetle dziewczyna leżała cicha i cienie ruin obsuwały się po jej ciele, pochłaniały nیکłe uda, wklęśły brzuch, podciągniętą aż na oczy sukienkę, a obok siedział nieruchomo żebrak w podartym filcowym kapeluszu zasłoniwszy rękami twarz. Kiedy wstał, wówczas ujrzeli, jak dziewczyna łagodnie dotyka go palcami.

— Daj, otrzepię kurz. Nie możesz tak iść. Ja to co innego.

Podniósł białą laskę i odszedł. Uniosła się niezdarnie na łokciach i kolanach. Klęcząc ze zwieszoną nisko głową uderzyła pięścią bezsilnie o kamień.

Gdzieś blisko ulicą niosło się wołanie Małki.

— Co ja robię, zwariowałam, za darmo sprzedaję!

Pociemniało — siny księżyc drząc w zamglonym powietrzu wzbił się lekko znad Hal i sunął na plac Grzybowski, a po drugiej stronie granicznego muru, w wąwozie Krochmalnej, wietrzyste niebo tliło się jeszcze zimnym ogniem zachodu. Słońce dopalało się za masywem nowego browaru.

Elijahu szepnął suchymi wargami:

— Zaraz poszuka sobie innego frajera.

— Oj — jęknął Zyga. — I za to jej płacą?

— Za to.

— Tylko za to?

— Tylko za to. — Elijahu złożył dwa palce razem i wydał nimi niegłośny trzask. Jednym tchem wyrzucił z siebie sprośny wierszyk.

— Aha, rozumiem — powiedział Zyga; rozczarowany kręcił głową. — Tak się rzecz ma cała.

Za załomem wypalonego parteru rozległ się śmiech, pijany głos i rozciągnięte nieskładnie słowa:

— Oj, zostaw. Oj, tylko mnie nie łaskocz. Oj, bo skonam ze śmiechu.

Odwrócili się.

— Chodźmy — powtórzył Elijahu. — Już, dosyć, nic więcej dzisiaj nie będzie.

Koło opuszczonej nory Szafranów minęli jakąś kobietę, która poprawiała rozsypany kok na głowie i odpychała jedną ręką żebraka.

— Poczekaj, nie pali się.

— Mam pieniądze! Dam pieniądze!

— Iii, za takie pieniądze psy i koty mięso jedzą.

Dawał jej pół ćwiartki chleba.

— Całą!

Wyciągnął ułamany chleb i wtedy zaczęła jeść.

— Na, masz.

Rozkraczyła się na usypisku pod zrujnowanym murkiem. Z szelestem sypał się spod nich gruz. Przełykała głośno, łokciem przyciskając brzeg kiecki do biodra. Żebrak uważnie macał suchy piszczel. Upadli razem przykurczywszy kolana i stoczyli się po krótkiej pochyłości wlokąc za sobą poplątane sztywno nogi. Pisnęła krótko.

— Jaka tam ze mnie — i zaczęła się wyrwać. Uciekała po murku na czworakach, bury cień na granatowym niebie. Żebrak niedołęźnie biegł za nią zgięty, zanurzając na oślep ręce w ostatniej, bladej smudze dziennego światła.

Śmiech urwał się i zza załomu dobiegło ziewnięcie, mruknięcie:

— A mówiłam przecież, że łaskotek się boję.

Przy wyjściu z ruin, w kącie bramy na barłogu usypanym ze słomy, papierów i szmat, poruszało się coś niemrawo.

— Kto tam znowu? Tfu, za przeproszeniem, całą noc spokoju człowiekowi nie dają!

Na ulicy wyleniały i spocony już lisek skakał, groził szklanym okiem, zsuwał się z pudrowanej szyi.

— No, tee...

— Niu, niu, niu...

— Ty mnie nie rusz, funio!

— Dawaj tu, szantrapo!

— Fetniak! Jeszcze czego? Kup sobie trupa na Kercelaku!

Nagła, zagmatwana bójka poderwała Waliców i Małka krzyczała cienko, judząc, przysiadając na jezdni z uciechy. Zadarła liliowy spód i przebierała nogami w jakimś pokracczym, wściekłym tańcu. Dobry początek nocy! Paru oberwańców stało obojętnie; otoczyło ukradkiem dwóch szamoczących się charłaków, tragarza Kiepełe i Nahuma Szafrana wysiedleńca. Trzeci leżał koło nich. Ona lekko przysunęła się bokiem. Wycie wzbierało w gardle bez słów. Dawid zobaczył wszystkie zęby na wierzchu, mały ruch ręki podającej nisko nóż z za podwiązki i roziskrzone, szybkie spojrzenie spod opuszczonych powiek. Płaskonosy Nahum i Kiepełe szurali niedołącznie podeszwami, doskakiwali i odskakiwali od siebie.

Ona krzyknęła coś, a skrwawiony Szulim wstał cicho i potulnie z ziemi i rzucił w nich kamieniem: Dawid, Elijahu, Zyga uciekali jak przegnane psy. Z powrotem. Okrężną drogą, gruzami, przez wysokie usypisko zburzonej oficyny, koło szopy Mordchaja Sukiennika, wpadli zziajani na drugie podwórze, a stamtąd do siebie. Gonił ich krzyk:

— Ja wam pokażę!

W ostatnich tygodniach zimy opustoszał Waliców. Zelzało, a kiedy chwycił przymrozek, grypa zabrała tych, których nie dobił tyfus.

Na ulicy pokotem leżeli martwi wśród żywych. Jęk, skomlenie, bezsilny szloch płynął Walicowem od Chłodnej do Prostej — i Krochmalną od muru do placu Żelaznej Bramy. Owrzodzone szkielety zrywały się z ziemi ostatkiem sił i biegly przed siebie z obłędem w oczach, śmiejąc się okropnie. Małka krążyła jak mara, słaniając się, od zbiegu Żelaznej do zbiegu Ciepłej, tam i z powrotem całymi dniami. Żandarmi na jej widok robili pocieszne miny, ubawieni poklepywali kolby karabinów. Od wachy trzymała się z daleka. Rudy lisek wyleniał do szczętu i została z niego wyświecona, twarda skórka, a Małka snuła się wzdłuż ścian ściskając szmaciane zawiniątko, którego nie porzuciła do końca. Sennie wdzięczyła się do przechodniów, podciągała liliowy spód i pokazywała kabłąkowate udo, szerniałe i suche jak próchniejąca gałąź. Widocznie po swojemu zebrała o jałmużnę, nie umiejąc znaleźć właściwych słów; coś jej się pomieszało w gorączce i zaczęła mijanych mężczyzn na oślep.

— Jak się masz, serce? Popatrz na mnie!

Okuta srebrem laseczka i buciki w beżowych getrach z uwagą, ostrożnie wymijające przeszkody. Jeszcze da się żyć w naszym zawodzie, owszem. Ale jak długo? Szedł mecenas Szwarz od klienta, spoglądał w niebo wiosenne i blade.

— Nie pamiętasz mnie, kotusiu? Przypomnij sobie. No, no... — Stała przed nim poprawiając brudną podwiązkę. W ponurym uśmiechu pokazywała długie, żółte, rozchwiane zębiska. Szwarz pobiegł przed siebie. — Uciekasz! Ale broniłeś mnie przed sądem i kurewski grosz nie przepalił ci kieszeni.

Miękki, szeroki, czarny kapelusz i odwiane do tyłu włosy. Bolesne, zawstydzone spojrzenie przeproszające za wszystkie nie domówione na czas modlitwy. Wyszedł reb Icchok z bóżnicy na Ciepłej, rozprasząc woń pergaminu i nieśtających świec. Przechodnie mu się kłaniali.

— Stój, rebe. — Chwyciła poplamiony kroplami wosku chałat. Naprzykrzała się: — Rebe, złociutki, miej serce dla nieczystej dziewczyny w potrzebie.

— Serce? Dziewczyna? I nieczysta? A nie za dużo tego dobrego? — Reb Icchok westchnął. — Oj, Małka, Małka, wszystko przewrócone do góry podszewką, na radość i chwałę Pana.

Pochylił nisko głowę i zaczął odpinać guziki. W popłochu szukał po kieszeniach drobnych.

— Mordarski, skąd ten brzuch? Ty, chodź do mnie, ty!

Szedł kupiec Mordarski w rozpiętym futrze — wierzch z angielskiego sukna na cybetach i szalowy kołnierz z wydry — poruszając cicho tłustymi, mokrymi wargami. Jeżeli dwunastu szmuglerów nosi dwa razy dziennie po trzy kilo słoniny przez mur, to ile Mordarski zarobi w okrągły tydzień? Trzeba uczciwie odliczyć prowizję tragarzy, zysk pośrednika, łapówkę dla żandarma, straty towaru i zabitych. Na czysto wypada... cicho, sza! Małka zabiegła mu drogę.

— Idziesz, serce, idziesz?

— Mam czas, poczekam.

— Mordarski, żyjesz faszzerowany gęsiami skwarkami, ale zdechniesz jak wszyscy!

— Tfu, niedoczekanie — kupiec Mordarski splunął i szedł dalej, kończąc przerwany rachunek. Powietrze tego dnia było lekkie. Oddychał, liczył.

Maszerował sobie na wachę Loniek Papierny z żółtą opaską OD-mana, z pałką gumową u pasa, skrzypiąc nowymi oficerkami. Odpasiony na policyjnym chlebie, wyrzucał wysoko kolana i przybijał obcasem. Przecierał rękawem sztywny otok czapki. Z daleka na jej widok kpił:

— Hrabia Grandi kłania się nisko szanownej damie. Idziesz, Małka, idziesz?

— Z tobą nigdy.

— Życie to taniec szkieletów na bosaka... z figurami! Małka, do pary ciebie mi trzeba.

Szedł ulicą dr Obuchowski do swych chorych, zadyszany, w białym fartuchu narzuconym na palto. Staął, walizeczkę z przyborami postawił ostrożnie na chodniku i długo oglądał zniekształcone, bulwiaste kolana na cieniutkich i łamliwych nogach, i kościane ręce, i suche obojczyki sterczące jak haki, i upiornie wynędzniałą, skurczoną twarzą, i uszy zbroczone strumyczkami zakrzepłej krwi, i zakurzone powieki, i rój wszy we włosach, i czarne jamy w cieniu kruchych skroni, i czoło przecięte pionową, wypukłą, rozpaczliwie tętniącą na kości żyłą. Małka czekała cierpliwie, przebiegle mrużąc oczy.

— Doktorku, ciebie jeszcze szukam.

Dr Obuchowski ujął czaszkę obciążoną ciemną, zbrunatniałą, łuszczącą się żałośnie skórą i kciukiem odciągnął pomarszczoną powiekę. Szepnął:

— *Atrophia et anaemia organorum. Mors.*

Nachyliła się szybko; pustym, zdławionym, bezdźwięcznym głosem rozkazała:

— Idź pierwszy. Ja pójdę za tobą.

Wracał do szopy Mordchaj Sukiennik, pijany. Płatały mu się nogi, język. Coś mamrotał, śpiewał. Wio! Wio! Starzeje się koń,

starzeje się fura, a na furze furman. Idąc pustą ulicą przerywał piosenkę i przemawiał do kasztanka, ciągnącego wóz środkiem, z rzuconymi beztrosko lejcam, bez bata. A jedno koło zawadziło o latarnię gazową przed bramą? A drugie koło sunęło po gzymsie okna Kalmana Drabika? A dyszel zachybotał się i przebił chmurę? Wóz rozpadał się na części! Koń już cwałował w niebieskim powietrzu, bez wysiłku przebierając złotymi kopytami, i polatywała za nim grzywa, rozwiane rzemienie uprzęży. Chciał popędzić konia? Zatrzymać? Ulicą Krochmalną nikt nie jechał, pusto. Potknął się i — jak dawniej, krzyknął ochryple:

— Kaasztan!

Już leżał, rękami na oślep macając kamienie. Wtedy stanęła nad furmanem i położyła kościstą, owrzodzoną dłoń na jego burce. Z bliska szczyrzyła rozchwiane zęby. Czochrała się wściekle i wszy wylatywały z włosów.

— Idziesz, stary? Idziesz?

A Mordchaj na to:

— Nie ma, kurwa, nie ma.

Powrotny tyfus dopiero zwałił ją z nóg i po raz drugi dostała się do szpitala, skierowana przez dr Obuchowskiego na Czyste. W dwa tygodnie później wróciła odkarmiona, ostrzyżona, z głową okrytą kawałkiem płótna i dalej krążyła ulicami, wracając ciągle w to samo miejsce. Potyfusowy szkielet okrywał się obrzękiem od szyi do nóg. Żyła; do wiosny jeszcze. Naprzykrzała się i biegła za przechodzącymi, a oni uciekali przed nią w panice. Unikali głodnej poczwary jak śmierci. Ściskając szmacyanę tobołek niewyraźnie sepleniała:

— Jak się masz, trupie, która wybiła na twoim zegarze?

Widziano raz, jak szła z chlebem i ten chleb wydarł jej Długi

Icchok, zanim zdążyła uciec. Wielkimi kawałami połykał rozszarpany bochenek. Biła go niedołącznie i kiedy schylony zaczął zbierać okruchy z ziemi, zwała się na niego całym ciężarem puchnącego ciała, szarpiąc zdechlaka tak długo, aż znieruchomiał pod nią — obzarty, ociężały. Porwała w spódnicę resztki i pobiegła przed siebie. Nazajutrz na Walicowie znów rozległo się wołanie:

— Małka, Małka, zadrzyj kieckę.

Długi Icchok wołał wychylony ze swej nory w ruinach. Dopadła go tam i zaczęła tłuc. Zrujnowała schron, a gruz i próchno z walącej się kuczki leciały jej za kołnierz. Chodził parę dni cichy, markotny pod ścianami, ale mijając ją w przejściu wznosił jak dawniej swój zaczepny okrzyk. Rzucala się na niego i za każdym razem dusiła spuchniętym cielskiem do ziemi. Mijała zima, a Długi Icchok położył się z blaszanką u zbiegu Żelaznej i stamtąd już nie powstał. Sztynniejąc tak cztery dni i trzy noce leżał. Wieczorem trzeciego dnia, przy księżycu, zawołał słabym głosem do przechodzącej:

— Małka, zadrzyj kieckę.

— O!

Zadarła.

W głuchej złości podciągnęła na plecy spódnicę i pochyliła się stękając, ciężka, spuchnięta, a księżyc zabarwił żywym światłem wypięty bezwstydnie goły zadek, jak wielką żółtą dynię.

Następnego dnia trącił zwłoki Długiego Icchoka przechodzący tamtędy Eliasza-Pogrzebacz i okręciwszy rzemień wokół sztywnych stóp, powlókł ciężar na wózek. Trochę dalej, za rogiem, leżała Małka, której przymrozek do krwi pobruździł skórę. Długim, uważnym spojrzeniem wiodła po ulicy, póki

szkielet Długiego Icchoka nie spoczął na wózku, i grube łyżki ściekały po drętwiejących policzkach, bo przymrozek tego wieczora chwycił ostro. Stary tragarz podszedł jeszcze do niej, popatrzył, pokiwał ze zrozumieniem głową, kiedy bezsilnie poruszała wargami nie mogąc wydobyć głosu, i na pożegnanie wyraźnie powiedział:

— Jutro, z samego rana. Długo nie będziesz czekała.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](https://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/).

XI

Czy to wesz go ugryzła?

Zimne, białe, odrętwiające światło i jego wstrzymany oddech. Pochłonięty tym widokiem patrzył na obnażone lewe ramię, gdzie parę punkcików rosło i nabiegało krwią. Przypomniawszy sobie, że tutaj gdzieś pozostał mu ślad szczepienia ospy, promienista plamka, która zawsze przejmowała go jednakowym zdumieniem. Musiał dobrze przechylić głowę, a wtedy ujrzał, jak małe, ciemne krostki szybko rosą w górę i już sterczą na skórze wysokie brodawki koloru zakrzepłej krwi. Usiłował je policzyć i wiedział, że się budzi. Rosły w skupieniu, takim małym, urwanym kręgiem. Nie mógł oczu oderwać od swego ramienia i ze zgrozą, wstrętem ujrzał pięć wypustek na własnej skórze, rozwijających z wolna i płynnie kapelusze. Teraz już dobrze je widział, oddalały się z szumem ulatującego snu, wrośnięte w płat żywej skóry. To były grzyby, psie grzyby!

Tak się zaczęła choroba, w gorączce i we śnie. Ledwo otworzył oczy, wstrząsnął nim kaszel. Jakby wypluć musiał żelazną, ostrą miotłę, która drapie i piecze. Na skórze już szerzyły się plamy i wkrótce okryły całe ciało. Wiedział, co to znaczy. Potem plamy pociemniały, sinoczerwone i wysypka przybrała kolor krwisty. Ile to czasu minęło? Oślepiiony gorączką próbował się powoli ubrać. Przed oczami ciemne koła wirowały, migają, zatapiając go całego w rosnących kręgach fal. Z drewniakiem w ręku siedział martwo czując, jak kołyszą nim wyczuwalne podmuchy, a to tylko gorączka wypełniła mu

donośnym sykiem uszy i słowami przyplątanej skądś piosenki. „Kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień...” Jak przez dym widział żółtą twarz ojca, ziemiste jamy na skroniach matki. Z oddali, chwiejnie, kołysane podmuchem sunęły ku niemu ich wydłużone postacie. Pochyleni nad nim brali jego ręce w swoje zimne ręce i oglądali; coś tam mówili. Niebo za oknem wdzierало się do środka jak zielony gaz. Szary świt włókł się bez końca w ciemnym mieszkaniu i wstawał dzień pod zdechłym psem. Sznurował buty i płakał ze złości, że jest taki słaby. Plama ze ściany rzuciła się na niego jak zwierzę. Niepewnie schodził po schodach trzymając się mocno poręczy. Zdawało mu się, że nadal śni, a dawno już szedł podwórzem. Ciemność ogarnęła go zupełna i na końcu bramy majaczyło przed nim słabe światełko. Szedł w jakimś ważnym celu, był tego zupełnie pewny, ale zapomniał, po co. Na ulicy Chaskiel-stróż okrywał zwłoki papierem. Okrywał papierem zeszywniałe zwłoki z podkurczonymi nogami, zwinięte w kłębek, a stare gazety ostro szeleściły w jego rękach. Był wiatr, więc przykładał je bryłkami połamanych cegieł, chwycił, przytrzymał sunące chodnikiem płachty. „Komu jest lepiej?” Martwy leżał z kawałkiem chleba w ustach. A Chaskiel przyglądał się swemu dziełu, sapał. „Człowiek spala się jak świeczka, nawet nie wiadomo, kiedy.” Dawid nie miał sił iść dalej, zresztą zapomniał już dokąd. Sztynno stawiając nogi wrócił na górę, ubrany położył się na łóżku i myśląc o tym, że pragnie się okryć, już nie zdążył się okryć i zasnął. Ostatnim spojrzeniem z bliska zmierzył brudną rękę, która spoczęła na jego czole. Świat zmałał do snu.

Był seder. Siedzieli przy stole połykając suche rodzyнки, pijąc z maleńkich kieliszków wino, trawiąc słowa Hagady, a Dawid cicho i cierpliwie czekał na proroka Eliasza u końca stołu. Aż

zasnął ułożywszy głowę na łokciu. Kiedy otworzył oczy, plamy czerniały na krzywo zsuniętym obrusie i dopalone świece spływały ciepłymi soplami ze świecznika rozpraszając duszącą woń kopcium. Noc, noc świąteczna dopełniała się we śnie obzartych i opitych. Księżyc błędził po srebrnym talerzu i cichym światłem mżyły wszystkie znaki zodiaku. Sennie wodził palcem rozpoznając zatarte figury, wyryte na starej, pogniecionej od użycia blasze. Ciężki łeb z ostrym rogiem, to Byk. Szóstka i dziewiątka, to Rak. Wysoki grzbiet z pętlą długiego ogona, to Lew. Fale, to Wodnik. Trzy kreski i okrągłutki brzusek, to Panna. Widok z boku. Wielkie rogi zakręcone ku dołowi, to Baran. Widok z przodu. Skorpion, ledwo widoczny, zarośnięty smugą zielonej śniedzi. Waga, zatarta i brudna, okryta starymi plamami. A Ryby pokłute widelcem. Obrócił lekką obręcz, szybko. Migot, ruch. Tańczą kołem, wirują na pociemniałym niebie wszystkie znaki zodiaku. Ale kielich obok talerza był pusty. Przyglądał się temu nieufnie, z nadzieją spłoszoną potężnym chrapaniem, które burzyło nocną ciszę. Kto wypił wino proroka? Samo się wylało? Ah, to pewno... Matka nazajutrz szarpała ojca za ramię, bo spał do południa chrapiąc i gwizdząc. A to był już czas iść do bóżnicy. „Ty zapijaczona mordo, co ty sobie właściwie myślisz?”

Nad Bimą wznosiła się wielka Arka. Dwa złote lwy w skoku. Wspierały z dwóch stron prawo i strzegły, położywszy kosmate łapy na tarczach i przykazaniach. Winorośl wyciągała swe gałęzie i oplatała nieznużonymi ramionami lwy, tablice i przykazania. Tylko ptaki mogą opaść na ramiona winorośli tak wysoko. Ich otwarte dzioby ponad wiszącymi gronami, ich skrzydła trzepoczące w krótkim locie, pazury szukające miejsca na gałęzi, by usadowić się tam wśród słodkich jagód. Ptaki

krażyły górą, lwy spoczywały na tarczy, a dołem lśniły ogniki oliwne leciutko kołyszące się, ruchliwie kołyszące się wśród żywych oddechów. Wyniosła Arka górowała nad tłumem, nad złotymi lwami, drzewkiem winorośli rozpostartym na tkaninie, płomykami oliwnych lampek wzdłuż ołtarza. Na ścianach pyszniły się butwiejące makaty, szerniałe skarby, ciężkie lichtarze, blachy połyskujące jak przyćmione stare lustra. Światło świec lało się zewsząd i rodąły tonęły w białym blasku niekończącymi się zwojami. Już zamknięto szafę ołtarzową, wzniósł się śpiew, jasność spłynęła na modlących się Żydów. Na rozkołysanych ramionach skrzyły się świąteczne tałesy, a z tyłu dobiegało dzwonięcie łańcucha. To w przedsionku pokutnik z obrozą na ręce i obrozą na karku powinien modlić się w odosobnieniu, żebrak tego świątecznego dnia powinien kołysać kajdanami, przykuty do kuny. Skruczę okazywać za grzech, czy poniżeniem płacić za jałmużnę? Nie wiadomo; w każdym razie tam już nie sięgało światło świec, tam nie strzegły lwy przykazań. Tak daleko nie sięgały gałęzie winorośli rozpiętej szeroko nad modlącym się tłumem. Nagle twarz śmiertelnie blada ukazała się w okienku wysoko i znikła, a po chwili buchnął stamtąd śpiew kobiet.

„*Alle Juden raus!*” Gdzie jest? Czy to znów oni? Słysząc trzask podkutych butów, trach-tarach, jedno ramię, jedna noga, trach-tarach, patrol jak na paradzie macha kończynami. I krzyk. „*Ruhe!*” Idą. A tam już kubeł piasku przygotowany stoi sobie na ulicy. Cicho i posłusznie skazani idą pod murek. Następny, następny. Ręce na kark. Plecy o ścianę. A tymczasem patrol przygląda się im ciekawie, tym, co stanowią cel. Unoszą karabiny; będą tak składać się do strzału, znów opuszczają broń do nogi całą wieczność. Ktoś komuś wydaje rozkazy, ktoś inny

tłumaczy na rozkaz. Tłumacz ma zeza ze strachu, długie brudne paznokcie, mówi głośno i powoli jak nieobecny, a patrzy w zupełnie inną stronę. Ci, którzy stoją pod murkiem, rozumieją wszystko i bez niego. Jak ich sprzątną, on położy głowę ostatni. Jakiś żandarm denerwuje się, wścieka, każe parchom być cicho. „*Du, komm hier, Knabe. Du hast Glück. Du bleibst leben. Weg!*” Macha ręką. Jak się który poruszy, to... Dobra, następna grupa. Ale szybko, nie będzie przecież nocował tutaj z powodu paru wszawych łebków, które się same pchają pod lufę. Dobrze liczyć, trzydziestu i ani jednego mniej.

Trupów pod murem przybywało. „Zabrać mi tych Żydków na bok i posypać ulicę piaskiem, szybko!” Ktoś włókł kubek po ziemi, bez zapachu, inny wołał: „Paa posterunkowy, zaraz lunie. Po co ludzi męczyć?” Żandarmi odwracają się niezadowoleni; kto przerwał ciszę tym krzykiem? Nikt nie odpowiada. Ten, co krzyknął, niech zaraz leci po drugi kubek. Bosy Jasio z ulicy Wroniej stanął przed wachą, wydaje komendy Niemcom, a Niemcy się zaśmiewają. Jest z czego! Czerwony, rozzłoszczony macha długim podartym rękawem przed nosem żandarmów i wrzeszczy: „Zabrać mi to zaraz stąd i posypać ulicę piaskiem!” Żandarmi pobłażliwie odwracają się od wariata.

Już ich nie ma. Ziemię gryzą. Biegnie ulicą Wronią bosy Jasio, obszarpany, na głowie czapka z urwanym daszkiem, zabija ręce z zimna, chichocze cienkim, żalonym głosem. On to każdego jednego Żyda pozna od razu, po nosie. Jego nie oszukają. „Hitler was jeszcze nie wykończył? To ja was wykończę!” Biedny, nieszczęsny Jasio z ulicy Wroniej. Tutaj wszyscy go znają, od placu Kazimierza po Kercelak i Bagno. A żandarm wracający z posterunku przeszedł nagle na drugą stronę ulicy, spluwając, kiedy drogę przebiegł mu czarny kot. „Ale ich nakładli od

samego rana. Róg Żelaznej, przejść tamtędy wcale nie można!” Ten motorniczy na przednim pomoście tramwaju miał zawsze bochenek widoczny za szybą, przy korbie, a kiedy przejeżdżał przez getto, wtedy zwalniał, dzwonił na żebraków i wyrzucał im na ulicę chleb. Wyciągnęli go kiedyś z wozu, rozstrzelali pod wachą i to przez niego zginęło tych trzydziestu Żydów.

Trzeba uważnie stawiać kroki. Raz, dwa... Od stołu do krzesła taka daleka droga. Z wysiłkiem unosił nogi. Te nogi nie należały jeszcze do niego. Wyciągał przed siebie ręce. Te ręce nie należały do niego.

Między nimi wielka przestrzeń, po raz pierwszy widziana. A w tej przestrzeni twarde krzesło, które tyle bólu mu sprawiło. Za nim, z daleka czarny bucik. To był bucik matki, z paseczkiem i guziczkiem. Cofała się, wołała. Szedł ku niej, ale była coraz dalej i już nie należała do niego. Jak się patrzy nisko, wtedy można się przewrócić. Kiedy to pomyślał, natychmiast się przewrócił. Wcale nie bolało. Pochyliła się nad nim, a włosy w beładnych kosmykach opadły. Twarz wydłużyła się, zmroczyła w cieniu, nos zaostriął, a ręce w obawie wyciągnęły się dziko ku niemu. Oczy, wpółprzymknięte, białe, wywrócone do wewnątrz, okryły się powiekami. Wtedy zapłakał. „Patataj, patataj, pojedziemy w piękny kraj!” Nic nie bolało. Dlaczego?

Nikt tutaj nie wejdzie i nikt stąd nie wyjdzie. Bosy Jasio z ulicy Wroniej rysował koło na ziemi, w kole złamany krzyż, swastykę. Tyle umiał. Przyglądał się wszystkiemu z uwagą. Żydzi z afisza mieli na ramionach szczury, wszy zamiast oczu. „*Juden, Läuse, Typhus.*” Chodź, chodź, bliżej, nie bój się, tutaj wszyscy równi. Wariat rysował swastyki na afiszu i kładł swój podpis. Na ten widok śmiał się nawet Krwaworączka i rzucał nieszczęsnemu pod nogi twardy wojskowy suchar. „I ty chcesz zostać

wspólnikiem międzynarodowego żydostwa? Strzeż się, Żydzi rządzą światem!” To się samo przez się rozumie, *Herr Zugführer*. Wszy ogromną kolumną, czwórkami, niosąc rozwinięte sztandary, spełży z afisza na ulicę. Orkiestra wojskowa grała marsza. Jak cię swędzi, podrap się. Kurwy wyszły na miasto, witać zwycięzców, prosto od fryzjera. Brudna krew ciekła na kamienie, to podeptane w marszu wszy. Kamień na kamieniu, na kamieniu kamień, a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień... Kto się tam drze? Ernest gra na grzebieniu, a Zyga drze się wniebogłosy pokazując wszystkie zęby. Księżyc oświetla zimnym światłem gruzy na Walicowie, jak ocalona przypadkiem samotna latarnia. Łachmany na ciałach żywych, łachmany na ciałach martwych. „Już was tu nie ma, szczeniaki!” Żółty i zielony zadek Małki unosi się w tym trupim świetle znad ruin. Potem — długo potem mówiono, że Baruch Oks chodził tam w ruiny. Nie wiadomo, czy to prawda, ale wszystko możliwe. Żeby mieć pewność, trzeba się samemu przekonać. Kto to powiedział pierwszy? Z Baruchem nie ma żartów. Tak czy tak, podupadł ostatniego roku, a w bandzie pozostało z nim niewiele. Połamaniec oberwał w czapę, kiedy szedł z towarem. Chaim Sierotko sam poszedł pod lufę. Nie ma Długiego Icchoka, położył się na ulicy. Wszyscy, żywi i martwi, ciągnęli na Madagaskar.

Kiedy Jakub przystawił drabinę do chmur, wspinali się po niej tragarze z ulicy Krochmalnej. Pierwszy szczebel, drugi szczebel, trzeci, czwarty, piąty szczebel, na każdym szczeblu tragarz z workiem. Co tam jest? Jeden żebrak mówił, że złoto. Drugi żebrak mówił, że brylanty. Trzeci mówił, że to skarb starego kupca Lewina ukryty do tej pory po tamtej stronie. Sny związane w workach podawano przez mur. A tragarze stali na drabinie, kiedy Jakub cały czas odpychał Archanioła. Ale co było w tych

snach? „Siedem worków krupczatki i dwa worki soli. Jeden rozsypał się po drodze.” Niech Mordarski ma zmartwienie. Odbije to sobie na tragarzach, a nadwagi nie ma, rozumiesz mnie? Jakub mocował się z Archaniołem, a tymczasem tragarze podawali sobie ciężary z rąk do rąk. Archaniołem nazywali tragarze ciecia, który był kapusiem. To ten cieć ich wtedy zasypał. Drabina to drabina. Mąka to mąka. Tragarze to tragarze na całym świecie wszecz i wzdłuż! Ale kto był tym Jakubem, który przystawił drabinę do muru?

Naprawdę — Archanioł nie miał twarzy tamtego ciecia. Skrzydła łopotały mu u ramion, gdy zawisł nad Jakubem. Kiedy to było? W zaciętej bójce na śmierć i życie człowiek odpychał go od siebie, a anielskie pióra wydarte z pysznych skrzydeł leciały na ziemię, jak pierze darte z kuraka... Ale gdzie jest ten kurak, gdzie rosół?

Tak wysoko ten strop i on bał się unieść oczy ku górze, skąd spływało światło rozjarzonych świec. Wielki pająk zawisł nad nimi, czyhając, nim spadnie na głowę. Słysząc było szelest tałasów zaciskanych na piersiach, rozrzucanych na boki z impetem. Gięły się twarde karki, z powiewających chust modlitewnych unosiła się woń naftaliny i mydła, ubóstwa, schludnego niedostatku. Głos kantora leciał wysoką nutą w powietrze i drobny brzęk kryształowych balasków żyrandola rozdzwonił się we wnętrzu. Potem rozpadł się wśród spazmatycznych westchnień, przydechów, nisko cichł w przyplýwie szlochu. I rozległo się wreszcie rozciągnięte słowo, kiedy zamarła nuta. Czysty głos, bolesna tęsknota, słodka nuta. Słuchali w pokorze, w oczekiwaniu... Ciepło zalewało twarz. I byli wszyscy razem. Tacy cisi, mali, łagodni, tacy zasłuchani. Na co czekali? Co jeszcze mogło się stać? Było święto Pesach i

kantor śpiewał. „Le szana habaa be Jeruszalaim!” Dawid widział ojca, jego przetarty tałas i wielką cerę, która wypadła w widocznym miejscu na łopatce. Wuj Gedali przymknął oczy, a brwi miał uniesione wysoko i uśmiech niedowierzania, łagodnego smutku na twarzy. Widział wysuniętą do przodu głowę wuja Jehudy o zaciśniętych boleśnie ustach. Sztynno wyprostowany — nie uginając się pod narzuconym tałasem, który spływał z jego ramion jednym końcem na ziemię. Nogą przestąpił tałas i Dawidowi naraz wydało się, że wuj Jehuda poruszy się, potknie i runie. Od pełgających świec powietrze drżało i oczy przymykały się same, oślepione tym blaskiem. Tutaj byli, ściśnięci w tłoku, czy tam, rozproszeni na drogach ucieczki i wygnania, dokąd prowadził ich głos kapłana? I czy głos ten rozlegał się tu, czy przychodził do nich z daleka, jak skarga z dna pamięci? Gdzieś piskliwie zapłakało dziecko i ucichło skarczone psyknięciem.

Kantor urwał. Skwiercząc topił się wosk. Tłuściutki rabin zbierał fałdy sutego tałesu i przyciskał łokciami do boków, a ze ścian wytykały go złożone palce kapłańskie, zastygłe w nieme znaki posłuszeństwa i nakazu. Rozległo się siąkanie, kaszelek, szmer przed modlitwą, szuranie butów, kroki na podwyższeniu, szelest rozwijanego zwoju. Deski Bimy trzeszczały pod zstępującym kantorem. Duszny zapach świec, kopci, wosku mieszał się z wonią korzeni i ludzkiego potu. Bóżnica nabita była po brzegi. Znów załkało gdzieś w kącie dziecko, rozległy się zniecierpliwione psykania, ciche szepty nakazujące ciszę. U wejścia uczynił się ruch, ktoś wyprowadzał zsiniałe od płaczu maleństwo na powietrze, a głowy obracały się w tamtą stronę powolnymi, ostrożnymi ruchami. Do modlitwy zostało już niewiele czasu. „Zaraz spadnie deszcz i kamienie zmyje.”

Tędy przejścia nie ma. „*Eintritt verboten!*” Ale wystarczy wsiąść do tramwaju na ulicy Chłodnej i można przejechać środkiem dzielnicy aż do placu Teatralnego. Rozstrzelanych trzeba było jeszcze powiesić. Na przekór przysłowiu, kołysali się prowizorycznie — głowy odrzucone, opaski na rękawach — z zaciśniętymi pięściami. Wisieli wysoko ku przestrodze innych. Powinni tak wisieć całą wieczność, lecz przepisy sanitarne na to nie pozwalały; cóż, wkrótce ich stamtąd zdjęto. Ludzie z tamtej strony przytykali białe twarze do szyb tramwaju i patrzyli, znękani bezsilnością i strachem, żegnając się ukradkiem. Motorniczego, który został rozstrzelany, przeżył okrzyk: „Niech żyje Polska!” I tramwaje parę dni jechały wolno, jak kondukt za konduktem. U Św. Karola biły dzwony, bez przyczyny. Cały dzień, bezładnie i jawnie. Wieczorem zajechał wóz, wysiadło dwóch facetów w czarnych gumowych płaszczach i wyprowadzili księdza. Z okien żydowskiej dzielnicy kościół był widoczny jak na dłoni, i samochód, i ci dwaj w czarnych płaszczach. Mówiono, że to gestapo chodzi w takich płaszczach. Ale co tamci faceci chcieli od księdza?

Wiadomo, wszystko musi być przygotowane na ten dzień. Wzór, łatwe równanie pierwszego stopnia, układ trzech osi. Kiedy prof Baum wskaże mu jeszcze czwartą wielkość, czas, to przeniosą ruch na drugi układ współrzędnych i hopla, potykając się na wybojach równań Lorentza, przeskoczą w inny wymiar. Tak czekał na nadejście tego dnia... Wystarczy ołówek i kartka papieru, a ziemia i niebo, cały wszechświat, wszystko rozwiązuje się tak lekko. Rysował w zeszycie układ liniowy trzech współrzędnych, a nad nim stał prof Baum i się natrzasał. To ma być prosta? To krzywy rogal. I gdzie punkt zerowy osi, gdzie iks, gdzie igrek, gdzie zet? Nic nie widać. A czy w takim

bałaganie znajdzie się miejsce na czwartą współrzędną? Gdzie tutaj pomieścić czas? Ta prosta ucieka gdzieś krzywo, to bardzo nieładnie z jej strony. Czy można na takim koślawym wykresie pojąć naturę wielowymiarowej przestrzeni i względność ruchu? Nie, to niemożliwe. Prof Baum natrząsał się z niego, a on coraz niżej pochylał twarz nad zeszytem, żeby nie okazać, jak mu wstyd. Ale co tam się dzieje? Ołówek pośliznął się, na jednej prostej on sam jedzie wstecz. A tam, na drugiej, prof Baum oddala się coraz mniejszy i mniejszy, a bosa i brudna pięta wyłazi mu zawiadacko z podartego buta. Zziębnięty, otulony zawszonym kocem robi jeszcze ostatni wysiłek, aby się ku niemu zbliżyć i już z odległości, w dalekiej głuchej przestrzeni rozlega się jego karcący głos. „Zabrakło czwartej współrzędnej i wali się świat!” Głos ten kołuje i huczy jak echo. Z rozpaczą patrzy za siebie wstecz i pod nogami czuje próżnię. „Zapomniałeś o czasie! O czasie!” Gwiazdy świecą mu prosto w oczy. Drży. Boi się spojrzeć w dół w tej niewygodnej pozycji, szybkość odbiera mu dech. To pewno minęły już miliony lat świetlnych. Kiedy? Gdzie? Jakiś szatański chichot słyszy przed sobą i zgiełk otacza go ze wszystkich stron, jakby sto fabryk włączyło nagle prąd i obrotem kół zamachowych wypełniło noc. To mija go w swym locie gwiazda, hucząc i dysząc jak huta.

Wieczność jest pusta, rodzi tylko ogień. Z krzykiem rzuca się przed siebie w przestrzeń, wyciągając ręce tam, skąd nie dochodzi jeszcze żaden głos. Świat może będzie, życie może było, teraz nie ma nic. Czeka, czeka. Ale czy to można nazwać czekaniem? I na co czeka? Na nadejście żywych, których wypatruje teraz w tej ciemności ciągnącej się bez końca. Ludzi, których nie ma. „Gdzie jesteście, ludzie przyszłości?” Wołanie wraca ku niemu. W czarnej, nieskończonej pustce jest sam. Ach,

przepadło, przepadło, zapomniał o czwartej współrzędnej; prof Baum mówił przecież wyraźnie, że bez niej metryka zdarzenia musi być niepełna, a samo zdarzenie rozplywa się w nieskończoności, nie daje się zatrzymać, ucieka jak dźwięk i światło. Biedny, mały, skazany na unicestwienie euklidesowy świat! To się samo przez się rozumie, *Herr Zugführer*. „Żydzi rządzą światem, strzeż się, strzeż, strzeż.” Cicho mają być te tam parchy. Trzeba z nimi nareszcie zrobić porządek. Czy ten piękny świat ma deptać noga plugawego Żyda? Pod mur, wszystkich pod mur. „*Nimm doch der Dreck und schmeiss an die Seite!*” Szybko, zakasać rękawy i do roboty: wygnieść te wszy.

„*Juden, Läuse, Fleckfieber.*” Czy to szara, sucha twarz matki patrzy na niego z wysoka? Z afisza na murze? Już, już, dziecinko, to długo nie potrwa; luli-luli, mój maleńki, luli-luli; kiedy gorączka minie, wtedy osłabniesz i po wszystkim. Nie będzie tak źle. Kto to powiedział? Kto pochylił się nad nim? I jak to długo wszystko trwało? Aż usłyszał głos, nie wiedząc czyj to głos: „Ten mały już marny, długo nie pociągnie...” Tego nie mogła powiedzieć matka. Ale kto to wie? Ukradł zgniłe jabłko, więc spotyka go zasłużona kara. O, właśnie Mordchaj Sukiennik biegnie, trzyma pod pachą Lejbusia w gorączce, przyciska łokciem do boku jak pustą teczkę, luli-luli, mój maleńki, luli-luli, głowa odwrócona, zwieszona, usta rozchylone, nadzarte pęcherzami, poruszają się lekko. To on, Dawid, ukradł zgniłe jabłko z szopy. Ha, co za wstyd! Twarzyczka ginie. Luli-luli, mój maleńki, luli-luli. Twarzyczka Lejbusia czernieje, ginie w głębi ciemnej sieni, kiedy Mordchaj wlecze go na trzecie piętro, a z dołu, oknem suteryny wylatuje Jankiel Zajączek w smudze iskier, dymu i kaszle. „Mordchaj, skąd u ciebie taki mały biały źrebaczek?”

I ze stajni w gruzach, cicho stąpając, wysuwa się lekkie źrebie na białych, cienkich nogach i zlizuje iskry z powietrza, połyka ogień, dym, gasi różowym jęczyzkiem płonąca brodę krawczyka, gasi różowym i mokrym jęczyzkiem płonące ubranie krawczyka, gasi szopę, kamienicę całą, a kiedy pożar już zgasł w pysku źrebaka, na popiołach, na pogorzeliśku siedzi Jankiel Zajączek. Nie dopalona broda, węgle we włosach, dymi łokieć sterczący z tłącego się rękawa, trzyma duży jak latawiec list w szarej kopercie. „Regina, dolej wody!” Zielone światło płonie z sykiem, gaz płonie z sykiem. Zaraz każe mu w tym świetle czytać list, ucieka, ucieka przed rozwianą i nie dopaloną brodą, ucieka przed tym listem w szarej kopercie, ucieka przed siebie, wspinając się po rumowisku zburzonej oficyny, na rękach i kolanach, z kamienia na kamień, z piętra na piętro, z komina na komin, a tam, na gzysie Długi Icchok czeka, bosy, czarny, chudy. „Mam cię!” Wyciąga straszną trupią rękę, pakuje go gwałtem do śmietnika i zatraskuje ciężką klapę. Ciemno, topi się i dogorywa świeca, robactwo pełza wokół ognia, a ojciec chwytą Dawida i ukrywa pod swym tałesem, bo modlitwa się właśnie zaczęła. Byli w bóżnicy, kantor urwał psalm i dwóch starców rozwijało powoli wielkie rodały, żółty niekończący się zwój. I kapłan rozpoczął rzecz o ucieczce Żydów z domu niewoli do Ziemi Obiecanej. „Szema Isroel... Nad obozem twoim stanie słup ognia nocą, a we dnie słup dymu...”

Na Madagaskar frunęły zaułki małego getta. Tramwaje, domy, drzewa, ulice i place. Ruiny wypalonych kamienic, las szczybatych kikutów, nagich kominów i ścian, dachy ciśnięte w powietrze podmuchem wrześniowych bomb. Sunęły Arki chroniące stare zwoje, ołtarze i srebrnoramienne menory jarzące się nieugaszoną światłem świec. Sunęły kamienie, kamienie

cmentarne, porzuciwszy szczątki pogrzebanych pokoleń. Sunęły wszystkie piątki, wszystkie soboty w stroju słusznych i godnych słów wiary i dziękczynienia, a za nimi w ślad stare księgi i z pożółkłych kart sypały się na wietrze psalmy, modlitwy strzeliste, zaklęcia, westchnienia prostych serc. Sunęły kozy, kozły i koźleta. Sunęły owce, tryki i jagnięta. Trwożnie pobekując, sztywno rozstawiając kopytka grzęznące w obłoku. Pastuch liczył rozproszone sztuki błędząc wśród gwiazd. Pasterze, kapłani ciągnęli sznurem, sypiąc na ziemię z szerokich rękawów rodzynki, orzechy, cuda sprawione pod okiem świętych cadyków. A biedny bakałarz z małej miejsciny, gdzie całe swe życie obuczał osły, gonił teraz pogubione znaki, które złośliwe bydłatka sypnęły na wiatr. Alef, bejt, gimel, dalet, he, waw, zajn, wszystkie uciekały przed jego starych oczu, układając się gdzieś daleko w przestrzeni w nie znane mu, nie widziane nigdy wersety. Sunęły grzechy, głody nie wyjawione do końca przez biedaków, sny ich pełne ryb, placków, owoców, szczodre sny biedaków. Serafyny osłaniały skrzydłami w locie nagie szerniałe ciała. Sunęły źródła, czyste źródła, odwróciwszy bieg wód. Sunęły namioty weselne, baldachimy, a w ich cieniu dziewczyny senne, rozmarzone, wleczone gwałtem przez swatki do nieba. Wszyscy, wszyscy ciągnęli tłumem na Madagaskar. Nieopamiętani kochankowie w gorączce fruwali pod obłokami, w gąszczu jaśminów, a słońce piło z ich obnażonych ciał rosę, pot, łyzy tęsknoty. O zachodzie dzień rozstawał się z ziemią brocząc czerwienią w ucieczce. Sunęli górą szewcy ważąc jeszcze w dłoni złoty bucik. Pod skrzydłem pajęczyny sunęły kąty niskich chałupek, spojone potem pokoleń, bezszelestną pracą, cichym oddechem pajaków. Sunęły ptaki, ryby i kwiaty jednym zgodnym i niepowstrzymanym strumieniem. Sunął mur, Jerycho, Jerycho, a

dźwięki trąb pierzchły nie skruszywszy kamieni. Sunęły milczące instrumenty, szukając żywych rąk, które trącą ich struny. A na ostatku sunął pochód patriarchów o twarzach surowych, o kamiennych profilach zatartych przez czas, i poczęte z ich lędźwi szeregi spalonych na brąz synów, i synowie ich synów, pokolenie za pokoleniem, Kenan, Mahalaleel, Jared, Enoch, Matuzalem, Lamech, Noe. I synowie Noego, Sem, Cham, Jafet, i synowie Sema, Chama, Jafeta. „Czy to aby pewne?” Jankiel Zajączek potrzasał nikłą, chudą bródką, kichając, sypiąc popiołem, a z nie dopalonego rękawa ulatywał dym. Sunęły na pociemniałym niebie wszystkie znaki zodiaku, Baran, Byk, Bliźnięta, Rak, Lew, Panna, Waga, Skorpion, Strzelec, Koziorożec, Wodnik, Ryby. „Na Madagaskar? Czy to aby pewne?” W pustej suterynie rozlega się jeszcze głos.

Unosiły się z ulic leżące w letargu szkielety i podtrzymując wzajemnie posuwały na oślep, szare, wyschnięte, okryte łuską zrogowaciałej skóry. Piszczele suchych nóg unosiły klateczki wątych żeber, przez które widać było bicie serc, ich słabiutki trzepot. To ptaki, ptaki ulatywały z kościanych klateczek i wzbijały się w niebo pełne chmur i dymu! „*Alles Scheisse... Nimm den Dreck weg und schmeiss an die Seite!*”

Zamiast oczu mieli rany. Na świat patrzyli ze zdumieniem przez rany swych oczu. Z zatroskaniem zbierali łachmany, które z nich opadały. Z zatroskaniem zwijali porzucony dobytek, z zatroskaniem wiązali ten dobytek sznurkiem, przygotowując do drogi pakunki niedołącznymi, powolnymi ruchami. Ciężko było iść puchnącym. Ociężale posuwali się za innymi, ledwo dźwigając zniekształcone członki. Brunatna, krucha skóra pękała pod naporem rozdętych, rozmiękczonych mięśni. Poruszali się niemrawo, sennie, a trepy opadały z ich obrzmiałych nóg.

Zniekształcone twarze, puchnące, bez rysów, jak martwe maski, ogromne i monstrualne, płynęły ponad tym tłumem. Wszyscy ciągnęli na Madagaskar wielkim pochodem za wozem Eliasza. Z ciemnych zaułków, z sieni kamienic, z piwnic i strychów wpełzały zmory na światło dzienne — dzieci porzuciwszy zwłoki ojców, kobiety porzuciwszy w ruinach wystygłe kościotrupki niemowląt. Mrużyli oczy w oślepiającym świetle dnia i słaniając się w podmuchach wiosennego wiatru, zarośnięci, z rozwianymi kudłami dziko opadającymi na oczy, łączyli się w jeden pochód szkieletów. Wysuwając się ze swych legowisk okrywali szmatami goliznę. Czarnymi rękami ściskali jakieś skorupy, puszki, łyżki cynowe, noże, miski, resztki przechowywanego na ten dzień prowiantu. Kim byli? Dokąd ciągnęli takim tłumem? Wszyscy, wszyscy ciągnęli na Madagaskar. Okryci prochem, pyłem, kurzem, zgorzelami, które przeżarły skórę do krwi, udręczeni świadem, pokąsani przez insekty łączyli się w tym ogromnym pochodzie zdążającym donikąd.

Szli, szli na oślep przed siebie. „Le szana habaa be Jeruszałaim!” Mary chudziutkich istot, niepodobnych do żywych istot, wpełzały z bram, z ruin wymarłych kamienic, jak ćmy, ostatkiem gasnących sił. Który dzisiaj jest? Co to za miesiąc, rok? Trzeba posuwać się tak naprzód, w pełnym świetle dnia, w blasku wrogiego słońca. Jeszcze jeden krok, kamień na drodze, wysiłek. Naprzód, już wkrótce połączą się razem, naprzód. Kto to powiedział, że wkrótce połączą się wszyscy razem? Żebrak — żebrak, który był niegdyś świątobliwym kapłanem, zdycha z głodu wraz z innymi i wznosi okrzyk w tym przeogromnym tłumie, pieje świszczącym, cienkim głosem. „Hallelujah! Le szana habaa be Jeruszałaim!” Stary pasterz, nędzarczy, śmiertelny,

zamorzony głodem cień. Krew odpłynęła; głód popęda struchlałe serce. Kto go usłyszał? Kto zobaczy go jeszcze? Mija żebraka w tej ostatniej drodze żołnierski krzyk. „*Alle, alle Menschen weg nach Madagaskar!*”

Z nory w gruzach wychodzi cicho zjawa, nogi owinięte gałganem, trupek w ramionach. Luli-luli, moje serce, luli-luli. Kołysze martwy ciężar, idzie przez miasto z podniesioną głową, obojętnie, czarne oczy — głębokie jak studnia — wlepione w jeden punkt. Co tam ujrzała wysoko przed sobą? Skąd wyszła i dokąd idzie? Na Madagaskar. Posuwa się cicho w gałganach owiniętych wokół bosych stóp. Luli-luli, moje serce, luli-luli. Ustępują jej skwapliwie z drogi, usuwają się na boki z lękiem, z zabobonnym lękiem, jak przed obłąkaną. Ona śmieje się. A czego się bać? A kogo właściwie mają się bać? Ona śmieje się. Kołysze w ramionach martwe ciało, przyciska do piersi martwy ciężar. Nikt nie wydrze jej skarbu: suka nie da ruszyć zdechłego szczenięcia. Luli-luli. Będzie tak błędzić, aż trafi na litościwego strażnika, który jednym strzałem położy jej obłąkaną, roztrzaskaną głowę na kamieniach. Był-żył raz litościwy żandarm, ten litościwy żandarm miał litościwy karabin i z niego oddał litościwy strzał. Luli-luli, moje serce, luli-luli. Leży sobie zimny trup Żydówki i zimny trupek Żydziałka pod murem.

Słońce bije w szczątki potłuczonego lustra w ruinach zburzonej oficyny i sieje jasne błyski. Furman przepędza spod stajni trupioszary szkielet Długiego Icchoka, który skarży się szeptem i słowa ledwo słyhać. „Aj, czy święto szałasów dla mnie jednego ma trwać cały rok?” Lato, przed świętem Sukkot. A tam Rywa wynosi na podwórze stół, wiadro wody, ścierkę. Parska koń w szopie. Jankiel ziewa na schodku grzejąc twarz w słońcu u wejścia do suteryny. Długi Icchok uderzony mokrą

ścierką prostuje się, ogląda na stróżkę nieprzytomnym spojrzeniem i ucieka, kuśtyk-kuśtyk, trzymając się za ramię. Dawid w oknie kładzie policzek na ciepłej książce, rozgląda się sennie zmrużonymi oczami. Ogarnia go leciutkie odrętwienie, kocia drzemka; jakby słabe pchnięcie poczuł — i widzi siebie w oknie, kiedy stoi w tej chwili na podwórzu. W pamięci zostało mu już to nagłe przesunięcie z miejsca na miejsce. Ale gdzie był? Tu czy tam? Pamiętał siebie, jak siedzi w oknie, i siebie, jak patrzy na siebie, jak siedzi w oknie. Obok Rywa, żona stróża, szorowała stół przed światłem. Ocknął się i popatrzył na nią z góry. Rozbite lustro w ruinie rzucało naokoło szybkie, drobne błyski. „Co szmuglujesz, Żydku?” Przed nim stał Krwaworączka ze skórzanym rajtpejczem i pistoletem, a on nie miał odwagi głowy podnieść wyżej. Wywrócił worek i wysypał przed siebie nędzną zawartość. „Życie!” Miał gorące uszy. Ale mu się udało tamtym razem. Krwaworączka sapnął i przeszedł do następnego, który klęczał obok z zaciśniętymi powiekami, skulony, głowę wcisnął w ramiona: czekał na strzał.

Ale strzał nie padł tym razem. „Jedź, jedź, worek marchwi, kropla krwi.” Tak mu matka mówiła dawno, dawno temu... Szedł lasem, mocno zaciskając zęby z chłodu i strachu. Wrony, kawki krakały gdzieś wysoko. Serce ścisnęło mu się na ten przykry, żalobny zgiełk. Las, czarny las.

A kwietniowy ten las pachniał mchem, zbutwiałym listowiem, hubą, pierwszymi fiołkami. Ujrzał wśród drzew bladą dziewczynę z cichym uśmiechem na twarzy, jak zamyślona trzymała w palcach zamkniętą muszlę, z której wysuwało się szare ciało ślimaka, wywabionego ciepłem jej dłoni. Wysuwało się, pełzło po jej skórze. Zaklinała: „Ślimak, ślimak, pokaż rogi!” Ożywiony ślimak pełzło po dłoni dziewczyny niemrawo i

ostrożnie, sącząc śluz, a dziewczyna powoli dłoń obracała, niosła przed sobą w bladym promieniu słonecznym. Z radości, zdumienia na ten widok podskoczył parę razy w miejscu i wybiegł z lasu. Ptaszyska czarne za jego plecami krakały, krakały. To było wspomnienie. A dziewczyna przyszła potem do Hrybków z koszem pełnym warzyw czy czegoś. Boso szła, później biegła, bo deszcz, letni deszcz naraz lunął, a ona chustkę tylko strząsnęła z jasnych włosów i ująwszy za koniuszek wodziła nad sobą wysoko rozpostartą na wietrze, gibkim ruchem, lekkim i zmyślnym. Jak się nazywała ta wieś? Gdzie mogła leżeć ta wieś?

Pod lasem, pod lasem. Tam dół. A esesman w czarnym gumowym płaszczu czeka na nich z automatem. Osypuje się piach, łopata tkwi wetknięta w grudę ziemi. Słysząc każdy oddech, w ciszy, ze wszystkich stron ujadają psy w konwoju. „Miej serce z kamienia. Jak zobaczysz swoich prowadzonych do dołu, odwróć się stamtąd i idź.” Oskubana broda dziadka sterczała sztywno na suchej szyi, kiedy podnosili go wszyscy razem z ziemi.

Był seder i wszyscy żywi siedzieli razem przy stole. Tacy cisi, bladzi. Trzaskały w palcach białe, cienkie placki. Żydzi w modlitwie uciekali daleko przez pustynię nocą. Na czystym obrusie stał stary srebrny talerz, a na talerzu duży kieliszek wina. Cicha pieśń brzmiała tak czysto, a serce biło radośnie i mocno. Już tak nigdy nie będzie. Mów razem z nami! Le szana habaa be Jeruszalaim. Całe, długie życie było jeszcze przed nim. Czy to grzech? Dotknął nieuważnie kieliszka na srebrnym talerzu. Fe, co on robi? Wszyscy w śmiech. Wino jest dla proroka Eliasza, który przyjdzie nocą. Jeśli jutro kielich będzie pusty, to znak, że prorok wypił wino. Kiedy Eliasz nareszcie przybędzie, wtedy

wszystkich żywych zabierze, żywych i martwych. „Patataj, patataj, pojedziemy w piękny kraj!” Tak mu matka szeptała dawno temu do ucha. Słodki głos usłyszeć można tylko raz w życiu, mijają lata, głos staje się schrypnięty, gruby. Już czas, już czas. O, widać! Eliasz zajechał po nich wozem. Sadowi się dziadek z oczami zatopionymi w niebo, unosząc brzegi długiej kapoty, a ciotka Chawa dźwiga za nim oprawny w skórę modlitewnik, i wuj Gedali ze smutnym uśmiechem niedowierzania na twarzy, i wuj Jehuda surowo zaciskając usta, i... Kochani, dokąd? Jeszcze tylko jedna mała osoba została. Oto biegnie, zaczekajcie! Odjechali. Stał z głową zadartą ku górze, śledząc ich ucieczkę. A tam, wszyscy ciągnęli bezładnym tłumem. Czy to już koniec świata i dokąd oni lecą takim wielkim tłumem? „Ej tam, trzymajcie się chmur! Trzymajcie się wiatru!” To zakołysał się Waliców i ruszył do lotu jak wielki latawiec, żebracy w popłochu biegają, a ziemia usuwa im się spod nóg, żebrzą o słońce, wyrzucają w górę ramiona i porwani tym gestem ulatują w dal. Rodały o zamrożniętych zwojach, zamknięte pieczęcią lodu, które od drzwi do drzwi noszą stary Szafran z synami — frunęły z ich rąk ponad kopuły Hal. Przodem prorok Eliasz na ognistym wozie, w płaszczu z chmur i dymu. „Jeszcze jedna przeprowadzka, co za czasy!” Ciężkie westchnienie matki i mrowie gwiazd.

A żebrak chwycił płaszcz proroka i drze, ciągnie do siebie.

Ale to nie był jeszcze kryzys. Przytomniał, z ulgą opierał stopy na gorącej cegle, którą matka stale zmieniała pod przepoconym kocem, a potem zamykał oczy i wyprężony, ze sztywnym karkiem, czując jak wstrząsa nim dreszcz, zapadał w sen. Z daleka, z daleka docierały głosy.

Dr Obuchowski kłócił się z matką o tę cegłę, która leżała w łóżku. Dawid rzucał się, strącał na ziemię okrycie. Otwierał oczy, raptem wynurzony oglądał ukosem przechylony, walący się świat. I to minęło. Nadszedł kryzys: wleciał cały do wielkiego czarnego lochu i przepadł tam, pocąc się jak mysz. A kiedy wstał, bo wstał, wówczas dopiero poczuł, że jest okropnie słaby. Włosy wypadały garściami i jeszcze po miesiącu nie miał siły przewlec przez mur takiego małego worka, w którym mieściło się ledwo pięć kilo kartofli. Chora krew wyszana przez wszy trafiła już do innych żył, by innych zatruć jadem, a on osiągnął stan przewlekłego wycieńczenia, apatii, która chroniła przed wysiłkiem. Leżał, bezmyślnie patrzył na wielką plamę pleśni porastającą ścianę u drzwi i nie mógł jej poznać. Wydobyta z ukrycia torba pełna sucharów ugniatała mu bok. Przez dwa lata matka wrzucała do niej okrawki chleba i przylepki, a teraz podtykała mu suchą kromkę — ukradkiem, jakby sama przed sobą chciała swój czyn ukryć. Wyciągnęła skądś butelkę tranu przezornie zakupioną kiedyś w aptecce po dawnej, umiarkowanej cenie. Tran był zielonawy, klarowny, pod światło lśnił złotem. Dawid chciwie wdychał woń ryby, która dawniej przyprawiała go o mdłości, maczał w oleju suche kęsy chleba. Skurczony żołądek pracował jak syfon.

— Masz, jedz, to na czarną godzinę schowałam.

Kładła mu rękę na głowie, z której sypały się włosy.

Jadł i spał. Budził się ogarnięty wilczym głodem, a kiedy kończył jeść natychmiast zapadał w sen. Uśmiech zniekształcał szarą twarz ojca, a nos przy tym wydłużał się i zasłaniał zapadłe, bezkrwiste usta.

Ze wszystkich głodów, jakie pamiętał do tej pory, ten był najgorszy. Nie zbliżał się podstępnie i powoli, dając znać o

sobie ćmiącym ssaniem, znużeniem, irytacją, bólem głowy, jak głód chronicznych zdechloraków, którego zaznał pierwszego roku w getcie. Ogarniał go ten głód nagle, przyprawiał o bicie serca i oślepiął. Marzył o... kawałku cebuli, ale matka groziła skrętem kiszek; zresztą w domu niczego takiego nie było. Wuj Gedali przyniósł cebulę, a on patrzył na nią z zaciśniętymi boleśnie szczękami. Ukradnie ją. Dr Obuchowski przyszedł pewnego dnia i powiedział, że natura broni się sama. Cebulę pozwolił jeść, ale cegłę kazał z łóżka wyrzucić. Ciągłe tam leżała. Pukał w chude plecy, sapał, dmuchał zimnym oddechem w kark, obiecywał miejsce w szpitalu. Po wyjściu lekarza matka rozzłościła się i z rozpędu wrzuciła pod blachę resztki węgla. Niedoczekanie! Wezmą do szpitala zdrowego, a zwrócą umrzyka. Ogrzewała cegłę pod blachą, zawijała w gałgan i przykładała do policzka, czy nie parzy.

Ulica uciekała bokiem na mur, a domy stały krzywo, kiedy wyszedł po raz pierwszy na miasto. Szedł ostrożnie po pochyłości, mijany przez tłum, wszyscy go wyprzedzali i nie mógł się nadziwić, że tak szybko przebiegają nogami, a jego niewidocznie spychało, zwiewało bokiem na ściany. Zatrzymał się, przy Ceglanej na postoju ujrzał riksę. Ojciec siedział na siodelku ze zwieszonymi luźno nogami, ciężko oddychał. Uchyłone miał usta i zęby na wierzchu. Wuj Gedali mówił coś do niego, z kieszeni sterczał mu złożony worek, a rękę trzymał na kierownicy i nie puszczał.

— Stracisz dzień jazdy? O, wa! Dłużej nie można czekać. Trzeba go zabrać na złom... Dawid, idziesz z nami?

Ojciec prowadził riksę idąc obok nich przy samym chodniku; na nogawce miał blaszany uchwyt i przerdzewiało w tym miejscu spodnie. Drugą zawiniętą do połowy łydki.

W kamienicy na Stawkach nieduża karteczka pokryta ręcznym pismem i przyklejona do gołego muru u bramy, a później jeszcze inne dostrzeżone przez nich u wejść do oficyn ostrzegały włóczęgów i przechodniów, że na teren objęty kwarantanną wstęp jest policyjnie zabroniony. Weszli z bramy na czwarte piętro, aż pod sam strych. W powietrzu unosił się dokuczliwy odór lizolu, ekskrementów i długo nie mogli oswoić się z półmrokiem, potykając się na zasłanej tynkiem, odartej z desek podłodze, aż na koniec, kiedy napływać zaczęły do ich oczu smugi trupiego światła, które z trudem przepuszczały do nory małe okna skryte za grubą zasłoną pajęczyn i kurzu, ujrzeli przed sobą spasionego, siwego szczura. Zamarł na ich widok pośrodku stołu, obok pustej, pogryzionej puszkę po kawie, z ogonem w fałdach podartego obrusa, i wykonał ociężały, niezgrabny ruch, jak gdyby miał się na nich rzucić, a potem zsunął się ściągając obrus na ziemię i z krótkim piskiem poszorował wzdłuż ściany. Wtedy dopiero usłyszeli szelest i piski w półmroku, wyraźny ruch, skoki, szmer śmieci, gałganów i drobnych sprzętów, które na swej drodze szczury potraçały.

W kącie zamajaczył niewyraźny kształt, głowa uniosła się z legowiska, ramię poderwało w górę i bezsilnie opadło z powrotem. W pobliżu tego miejsca, na ścianie ćmiła się blada plama światła. Stamtąd rozległ się słaby głos:

— Eli, Eli shebaszamaim!

Głowa opadła na posłanie w ataku kaszlu.

— Ilu was?

W tej wymarłej norze zaczęły się raptem odzywać westchnienia, wzburzone oddechy, głosy.

— Abram, to ty? Abram... odpędź szczury!

I nagle rozległ się straszny szloch mężczyzny, a dziecko

cichutko oderwało się od zwłok kobiety na podłodze i raczkując posuwało ku żywym.

— Abram?

Nalegał ten sam głos. A inny:

— Kto ukradł moją aluminiową miskę z monogramem? Niczego nie można schować. Złodzieje, wstydl!

Ktoś podnosił materac, na którym leżał, wzniecał kurz narzekając, ktoś inny cisnął miskę z rozmachem przed siebie; stuknęła o ścianę i potoczyła się z brzękiem po podłodze. Ciotka Chawa rzuciła się ku nim z wołaniem:

— Żyjecie? Wy jeszcze żyjecie? Boże, jak to dobrze... że was widzę. Jakow, Dawid, to ja!

Nieskładnie, szybko mówiła o jakiejś rewizji, o żandarmach, o zastrzelonej w bramie rodzinie, o wyprowadzeniu zakładników na Gęsią, o chorym wyrzuconym przez okno z piętra, o sąsiadach zabarykadowanych we dnie i w nocy. Nie można było jej poznać: peruczka krzywo zsunięta na ucho odsłaniała spocone czoło. Dotykała ich z rozpaczliwym lękiem, że za chwilę rozplyną się w mroku i znikną. Zaglądała im w oczy z bladym uśmiechem, niziutka, unosząc się na palcach. Szybкими ruchami poprawiała grubą pończochę, która luźno opadła na ciepły bambosz odsłoniwszy suchy, owrzodzony piszczel.

— Jak ja wyglądam? Z tego wszystkiego już zupełnie niepodobna jestem do człowieka, co?

Minąwszy rozłożone bezładnie barłogi odnaleźli dziadka na końcu rudery, w małym pokoiku zawalonym stosem modlitewników, gdzie okno zakryte było zakurzonym tałesem. Ciśnięte filakterie rozwinęły się na podłodze i zwoje rzemieni czepiały się nóg. Wysznięty trup z jarmułką na głowie siedział sztywno przy stole nad otwartym Pismem. Żółc ustami puszczone

wyciekła mu na brodę i przegryzła karty rozłożonej książki. Obok, po prawicy leżała na stole siekiera.

Wuj Gedali rozwinął worek, a ciotka Chawa rzuciła się z wyciągniętymi rękami; nie można jej było uspokoić, zanim dziadek spoczął w tym worku. Ojciec wetknął jej siłą kostkę cukru do ust i z jękiem zaczęła ssać ten cukier, ale łzy nadal ciekły z oczu, wzdłuż bruzd, zmarszczek, które wypełniał kurz. Kiedy wuj Gedali zarzucił sobie worek na plecy, wyciągnęła z komody szarawy lniany gałgan.

— A śmiertelna koszula?

Wuj Gedali machnął ręką i wyszedł zgarbiony pod ciężarem.

Czekali, aż ciotka Chawa spakuje rzeczy. Bobrowała, szeleściła po kątach długo i zaciekle, w końcu wydobyła spod stosu rupieci małą tekturową walizeczkę bez wieka, umieściła w niej arkusz równo złożonego papieru, to wszystko owinęła papierem i związała sznurkiem. Pakuneczek wyglądał coraz schludniej, tylko że nic w nim nie było. Przez chwilę zastanawiała się nad tym, rozwinęła wstydliwie jakoś i z lękiem, sprawdziła, obejrzała dno walizki, jeszcze raz zawinęła dokładnie. Przywlokła jeszcze jeden arkusz papieru i kłębek sznurka nawiniętego na ołówek. Potem położyła na krześle całkiem porządne paletko. Podreptała na korytarz i wróciła z zakurzonym szalikiem, który długo trzepała o kolano, a leżący po kątach przyglądali jej się surowo i uważnie. Stała w paletku z pacuszką w dłoni, patrząc w okno z jakimś szczególnym napięciem, obawą, i osłaniała ramieniem pacuszkę, jakby chciała coś przed nimi bezradnie ukryć. Ojciec bez mrugnięcia ujął chudziutki łokieć, sprowadził ciotkę, zniósł prawie ze schodów i rozpoczęła się droga przez miasto.

Wieczorem wuj Gedali bez worka wrócił z Okopów. Matka

przed niskim taboretem mówiła:

— Chawa, Chawcia, zjedz odrobinę zupy!

A na to ona:

— W żadnym wypadku, nie mogę. Ty sobie od ust odbierasz, kochanie.

Jadła szybko. Piła rzadką zupę prosto z miski, a potem rozejrzawszy się, czy nikt nie widzi, chyłkiem wycierała puste naczynie i ssała zwilżony palec przymknąwszy oczy. Skurczona siedziała na tym taborecie koło kuchni, z niepewnym uśmiechem na twarzy.

Przez parę dni zachowywała spokój; markotnie snuła się po mieszkaniu, z namysłem stawała w oknie, cicha, obojętna. A potem zaczęła uciekać i dwa razy przyprowadził ją ojciec z odległej dzielnicy. Kiedy po raz pierwszy zaczęła się przygotowywać do ucieczki, nie rozumieli jeszcze, co to oznacza, i nie protestowali. Długo pakowała swoją paczuszkę, zawijała w papier walizkę bez wieka, rozwijała. Wieczorem odnalazł ją ojciec na Stawkach. Po raz drugi uciekła, kiedy nikogo w domu akurat nie było, i zanim ją odnaleźli, minęły dwa dni. Zabiedzoną, zszarzałą, drzemiącą ze znużenia we wnęce bramy ujrzał wuj Gedali na Miłej. Kręciła głową, że nie chce wrócić, ale oporu nie stawiała. Razem z ojcem posadzili ją w rikszy, przywieźli na Krochmalną, położyli pod kocem na sienniku, a matka parzyła rumianek i poiła ją tym rumiankiem, ze smutkiem zaglądając w jej mętne granatowe oczy. Kiedy nabrała sił, uciekła jeszcze raz, widocznie w pośpiechu, bo węzełka swego nie zabrała.

Dwa tygodnie później Uri poznał paletko na Solnej. Mówił, że w pobliżu wałała się ruda peruka. Ale kiedy poszli na Solną, już nie znaleźli nikogo — ulica była pusta, a Elias napotkany przy

wozie zaklinał się długo, że ani rudej peruki, ani czarnego palta nie widział tego tygodnia na oczy.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#).

XII

Sztywne z trwogi woły i rude cielaki fruwały przez mur. Jagnięta pobekując potulnie fruwały przez mur. Wieprze przelatywały mur. Krowy fruwały na granatowym niebie letniego zmięzchu, bezradnie przebierając racicami wśród obłoków, ruchliwymi ogonami smagając żółty jak cytryna księżyc, który przepływał im nisko koło wymion. Porykiwały zwierzęta, skrzypiał żuraw pod ich ciężarem, ochoczo pokrzykiwał człowiek po tamtej stronie: „Bujaj się, Fela!” Zblatowany żandarm ukradkiem śledził ten proceder; śmiał się na posterunku i wspaniałomyślnie odwracał. W rozbawieniu wołał granatowego. Policjant już biegł. Jedną ręką podtrzymując kołyszącą się kaburę pistoletu, drugą trzymając czapkę kursował żwawo tam i z powrotem. „Ludzie, piorunem ma to iść!” Komenderował szmuglerami, kiedy rude cielę zawisło wysoko nad ulicą, pobekując donośnie i łajniąc ze strachu pod jego nogi. „Taa jest, panie władzo, taa jest, o żeż ty! Bujaj się, Fela.” Rozległ się głos ukrytego za murem i przekleństwo. Wkoło gromadzili się przechodnie i nie wiadomo czemu mówili, że żuraw się zaciął na amen.

Stali o zmięzchu na Okopach, tam gdzie za dnia z lamentem grzebano zmarłych, a gdzie nocą, o świcie i wieczorem szmuglerzy uprawiali przemyt mięsa. Patrzyli na zwierzęta, które wisiały na niebie wśród obłoków ponad dachami, cudowną mocą transportowane do Żydów za mur, gdzie rzeźnicy wlekli je na pośpieszny i zakazany ubój. Widzieli, jak skrępowane było w

uchwytach z lin unoszono długim żurawiem pod niebo, a potem przerzucano w powietrzu ponad murem cmentarza. Ernest stał z otwartymi ustami, zadzierając głowę, i wstrząśnięty kołysał się w miejscu, jak gdyby ujrzał nad sobą stado gołębi w szybkim locie.

— Patrz — mówił. I mocniej chwycił Dawida za ramię. — Patrz, patrz.

Jasne i czyste powietrze stało nad cmentarzem w ten pogodny letni zmierzch. Mur, kamienice za nim, groby pobłękitniały. Pobłękitniały sześcioramienne gwiazdy na ramionach, płyty cmentarnych nagrobków okryte pismem sprzed tysiącleci; gasnące słońce ostatnim błyskiem musnęło ciała rzeźnych zwierząt unoszących się wysoko, jakby w cichym przymierzu z ludźmi czyniącymi ten cud i z ludźmi, którzy weń wierzyli. Przez jedną chwilę jagnię trwało nieporuszone na niebie. To było mgnienie. „Prędko!” Podawano sobie okrzyk z ust do ust, ulica pustoszała, godzina przemytu dobiegła końca. Skryła się moc, która kruszy kamień i przenosi mury.

— Nic tu po nas — powiedział Elijahu. Tego wieczoru musieli wrócić z pustymi rękami do domu.

Ernest pytał:

— A ile kotletów można wykroić z takiego jednego niedużego cielaczka?

— Wystarczy.

— Dla kogo — powiedział Dawid. — Jak dla kogo. Zmierzchało.

— Nic tu po nas — powtórzył Elijahu. — Trzeba wracać.

— Jeszcze troszkę — prosił Ernest. A Dawid wołał:

— Złoty interes! Do bani z tym! Mów, po coś mnie tutaj przywłókł, do tej trupiarni, Elijahu!

Zacząło się to jesienią zeszłego roku, kiedy Elijahu zabrał ich z sobą po brukiew do znajomego badylarza. Na drewnianym Kole przy ulicy Księcia Janusza była pętla tramwaju 22 i tam przesiedli się do wagonu linii podmiejskiej 22B. Minęli lotnisko wojskowe i nie dojeżdżając do końca wysiedli przed drewnianą kaplicą w Boernerowie i poszli na przełaj w las. Elijahu położył się i czochrał plecy o mech, dusząc własne wszy. Tarzał się dziko, klepał z uciechy pnie drzew. Rozgarniał igliwie i połykał znalezione grzyby. Hu-huu! Hukał i słuchał swego głosu z otwartymi ustami. Śmiejąc się zdejmował drewniak, odwijał onuczkę, moczył brudną stopę w błotnistym rowie. Mrużył oczy, wyciągał szyję do słońca, wrywał źdźbła traw i rozgryzał słodkie łodyżki. Dawid i Ernest rozglądali się trwożnie; z ulgą biegli w las na pustą i cichą polankę pełną suchego, gorącego siana. Liście z szelestem niegłośnym padały w mech, a Elijahu rozwalony siedział pod drzewem, palił papierosa i opowiadał niestworzone rzeczy; namawiał ich do tego interesu. Potem jeszcze kilka razy urządzili wyprawę w tamte strony, ale zmienili trasę; w majątku Kaputy kupowali kartofle, a kiedyś dotarli pod Ołtarzew na folwark oo. Palotynów. Minął październik, listopad, spadły pierwsze śniegi. Do trepów trzeba było wpychać grube gałgany. Śniegi stajały i onuczki przemiękły w błocie, potem znów chwycił mróz i mokre onuce zamarzły i były sztywne do lutego, do dużej odwilży, a Ernest nie mógł się doczekać dnia, kiedy pójdą z Elim na Okopy. Chciał wszystko wiedzieć, co i jak. Elijahu nabrał wody w usta i trzymał pół roku. Do końca nie chciał za dużo powiedzieć. Powiedział, że nie może powiedzieć. Powiedział, że nie nadszedł jeszcze czas, a kiedy nadejdzie, też nie powiedział.

— Kiedy — nalegał Ernest. — I co? Gadaj.

— W swoim czasie... momentalnie — mówił, aż tu pewnego dnia przybiega zdyszany, ładuje głowę pod kran, głośno pije wodę i obciera sobie mokrą twarz. — Gdzie Albinos? Idziemy — mówi, kiedy Dawid zdążył o tym dawno zapomnieć. — Jak to, nie pamiętasz? Wrócił. I był u mnie.

— Kto był u ciebie, Eli?

— Mówię przecież, tamten facet.

— Jaki facet, Eli?

Taka między nimi rozmowa.

— Ten z Nowolipek — mówi Elijahu i biegnie po Ernesta. Poszli tego dnia, wrócili z niczym. Nazajutrz przybiega Ernest o szarym świcie.

— Tra-ta-ta-ta szafa gra! Idziemy? — A Dawid nie miał ochoty wlec się z nimi na drugi koniec miasta, na Okopy, i zajmować byle czym.

Byle czym, byle czym. Tutaj chodziło o złoty interes.

— Puknij się w łepetynę — woła Ernest. — Nie pamiętasz może? Tutaj chodzi o gruby mies.

— Mies, szmies — mówi Dawid. — A z tobą interesów wołę nie mieć. — I patrzy na Elijahu. — No? — Elijahu milczy, zwleka, grzebie w kieszeni i szuka peta. — Mów, Eli. — I tak trzy razy musiał powtarzać: — Przemów, Eli.

— Chłopie — woła Ernest — puknij się w czoło. Chodź.

— To wszystko klej na wodzie, pic i fotomontaż. Nie namówisz mnie na to. Nie idę z wami.

— Nie?

— Nie!

— Nie, to nie — powiedział Elijahu. — Idziemy sami. — Wyszli zaraz. Z podwórza usłyszał jeszcze wołanie Ernesta i był już gotów iść z nimi na Okopy.

— Dawid — wołał Ernest. — Dawid, Dawid! — A kiedy stanął w oknie, usłyszał jeszcze: — Zobaczysz, pożałujesz. — Dawid zjechał po poręczy i nie zwlekając już ruszył za nimi, a Ernest chwycił go z nagłą radością za ramię.

— Puść, Albinos. — I wyszli wszyscy trzej za bramę, wyciągając nogi w pośpiechu.

Wielki plac wysypany był niegaszonym wapnem, wapnem wysypane były przejścia między starymi i rozdeptanymi grobami, doły obok usypisk świeżo wydobytej gliny w bieli, w bieli pogrążone były pnie ściętych cementarnych drzew, mur i szopy przy bramie na Okopowej, któredy — z ulicy Pawiej i Kaczej, i Smoczej, i Gęsiej, i Żytnej, i Pokornej, i Miłej, i Niskiej, i Glinianej, i Dzielnej, i Żelaznej, i z Nalewek, i z Nowolipia, i Długiej, i Białej, i Orlej, i Solnej, i z placu Żelaznej Bramy, i Zimnej, i Mylnej, i Siennej, i Ciepłej, i Bonifratskiej, i Świętojerskiej, i ze Stawek, z Walicowa, i Karmelickiej, i Kupieckiej, i Zegarmistrzowskiej, i Elektoralej, i z Leszna, i z Przejazdu, i Krochmalnej, i Szczęśliwej, i z małego, i z dużego getta — furgonem konnym i wózkami ręcznymi, na pudłach z rowerowym pedałem, na odwróconych materacach, w workach z juty i w prześcieradłach żywi zwozili i znosili martwych z ich domów, z ulic, gdzie poniewierały się ich ciała, z ruin, gdzie przyklękli w ciężkiej godzinie, w czarnej godzinie swego życia, aby nie powstać więcej; znosili zwłoki tyfusowych, szerniałe i wyschnięte na rzemień, o czaszkach nagich, obłazących z uwłosienia, i ci mieli tutaj pierwszeństwo; znosili tych, co padli na bruk udęczeni czerwonką, zzieleniałe szkielety, z których choroba wyssała ostatnie ślady krwi i limfy; znosili tych, co padli nagle i zwyczajnie z głodu, tak jak ich znaleziono zeszywniałych, do końca kurczowo zwiniętych, z podciągniętymi

pod brzuch kolanami, sinych jak padlina zwierząt rażonych gromem, zmałych i lekkich, zamotanych w kłęby zawszonych łachmanów, które były ich ostatnim odzieniem, koszulą śmiertelną. Na wielkim placu nie panuje melancholijna, skupiona cisza cmentarza; na wielkim placu nie ma już starych cmentarnych drzew. Klony, kasztany i brzozy wycięto, kamienie nagrobków zwalono na stos. Tymi kamieniami będą jutro brukować ulice i drogi i deptać stare imię, pod którym leżał Żyd. Teraz nie odmawia się nad umarłym modlitwy. Trupiarnia. Tutaj ludzi trzeba dołować, dołować, szybko dołować! Taki jest rozkaz władz. Zadołowani nie wejdą w drogę żywym, nie rozniosą chorób po mieście, nie będą wołać o chleb.

Elijahu wyciągnął z kieszeni klucz francuski, a Ernest zrobił się szary.

— Nie chcesz tym pracować, Albinos? — Elijahu wyciągnął ku niemu stalowe kombinerki, wygodne i lekkie, z rękojęścią oprawioną w kauczuk. Ernest patrzył mu w oczy jak pies. — To bierz to.

— Daj mi stąd iść — mówił szybko i cicho Ernest. — Nic nie powiem. Nikomu. Będę milczał jak grób.

— Bo jak cię tym przez łeb — zagroził Elijahu i pod nos pcha mu te obcęgi. — Bierz, bierz i nie gadaj tyle.

A mały Ernest znów zaczyna swoją piosenkę; prosi, zaklina:

— Daj mi stąd iść, Eli. Chcę wracać.

Wtedy Elijahu krzyknął:

— Sza, Albinos, mordę w kubeł! — A potem ciszej już powiedział zaciskając twardo szczęki: — Zostaniesz tu. Kto rwał się do tego? Kto najgłośniej wrzeszczał? A teraz? Mues! Mues! Masz tutaj swój mues. No, bierz się — i cisnął kombinerki na ziemię. — Ruszać się, jeden z drugim, żebyśmy nie musiał dwa

razy powtarzać. — Ernest nagle przycichł i nie trzeba mu było dwa razy powtarzać; i potem robił już wszystko, co do niego należało.

Elijahu upadł na kolana i zaczął pierwszy. Patrzyli obydwoj, jak mu to idzie, a szło mu lekko. Baczenie pochylony, szorował nogami po ziemi, dopóki nie zadyszał się, a wtedy przerwał, wstał z kolan, otarł czoło i obejrzał na małego Ernesta, który włókł się za nim.

— Tak? — pytał.

— Tak — mówił Elijahu. — Tak. — I nagle zawołał: — Nie! Tych nie. Tych nie rusz. — Zerwał się z miejsca i jeszcze raz zawołał: — Nie rusz tyfusowych, niech cię ręka boska broni! — I odtąd Ernest trzymał się blisko niego, jak cień.

Słyszał krzyk Elijahu poprzez ciche słowa modlitwy — monotony, niekończący się szept.

— Daa... Dawid, ty chodź no mnie, ty!

— Już.

Słyszał słowa modlitwy, cichy głos starca klęczącego nad dołem z rękami wspartymi o kij, z uniesioną ku niebu brodą, której długie i tłuste kosmyki rozwiewał wiatr. W pobliżu nie było nikogo i nikt nie żegnał umarłych poza nim. Cień czarnego chałata leżał rozpostarty na przeciwległym usypisku mokrej gliny poruszonej niedawno łopatą, padał na zwalone pokotem ciała, ledwo okryte papierem, gałganami, workami, arkuszami gazet; padał w głąb otwartego okopiska, do którego z cichym szelestem uchodził szybki piach. Oczy starego Żyda były białe, wywrócone, powieki szeroko rozwarte, jakby wessać pragnęły niebo. Stary Żyd wołał o wschodzie słońca nad dołem. Dawid słyszał:

— Panie, Ty jeden z wysokości oglądasz ten dół, amen. Grzebiemy zmarłych naszych na środku udeptanych dróg. Ziemi

Obiecana! Garstka twego prochu jest nam świętością, relikwią ostatnią, za nią płacimy krwią i złotem, życiem całym. O, Ziemi Obiecana, grzebiemy zmarłych naszych...

Grzebią zmarłych swoich i kamień im kładą pod głowę, i w dłoń kamień wtykają, i kamień walą na ich piersi z dala od ciebie, Ziemi Obiecana. Gdzie piołun i ciernie, gdzie oset i chwast, a grzebać zmarłych swoich muszą w koszuli śmiertelnej, którą zwlekają z własnego grzbietu. A czynią to tak. Na kolana, na kolana padają i słabą dłonią ryją płytką jamę, by złożyć w niej suche ciało, ze słowem modlitwy nielekkiej.

Słyszysz swe imię stłumione przez odległość, wołanie Elijahu.

— Daaaa... Dawid.

— Szukam.

Dawid podniósł grudę ziemi, rozkruszył w dłoni, okruchy długo i powoli przesypywał przez palce. Oglądał, szedł.

Stary Żyd wołał o wschodzie słońca nad dołem pełnym martwych, nagich ciał.

Grzebią zmarłych swoich tutaj, gdzie kości ich wróg pali i rozprasza prochy na cztery strony świata, a znikąd nie dobiega słowo powitania, tylko krzyk: Precz! Giń! Z palcem na ustach, aby żaden szmer nie rozbudził straży, a szmaty tłumią ich krok, gałgany na stopach zacierają ślad do sponiewieranego grobu. Chyłkiem, jak złodziej składający do ziemi swój jedyny i ostatni łup. Grzebią zmarłych swoich bez nadziei, bez nadziei kładą ich do snu w obcej stronie, na tej pustej, ciemnej, zimnej ziemi, że mieć będą odpoczynek wieczny. Tutaj, gdzie nie ma dnia w spokoju, nocy bezpiecznej, pory życia dla synów Izraela, gdzie psy tylko są im płaczkami, a wilki ryją pazurem twarz ziemi, by pyski zanurzyć w sercu martwego.

Dawid poszedł dalej, podniósł z ziemi mały zwitek drutu

miedzianego, zgiął w palcach, wsunął do kieszeni. Wrócił z powrotem, odnalazł kawałek rury wodociągowej zakończony kolankiem, potrzymał, zważył w ręku, oczyścił z gliny, zamachnął się kilka razy, stuknął o kamień, podrzucił rurę w powietrzu, schwytał w locie, zatknął za pasek. Wyjął z kieszeni miękki kabelek, złożył dwa końce razem, zwinął podwójnie, koniuszki splotu skręcił w haczyk, wsunął za pasek.

— Daaaa...

— Idę.

Stary Żyd wołał o wschodzie słońca i modlił się za zmarłych, klęcząc nad dołem.

Grzebiemy zmarłych naszych w obcej ziemi na środku udeptanych dróg, nasze groby wśród kolein i na dnice rzek, do których spływa krew, woda żywota tułaczego, i kości przeklęte synów Izraela. Grzebiemy zmarłych naszych w obcej ziemi, a ona ciało wyrzuca na wierzch, na słońce, skąpiąc mu swojego łona. Grzebiemy zmarłych naszych, co brzemieniem nam ciężą i klątwą się stają, i znaczą ślady za nami, któredy dopada nas wróg. Grzebiemy zmarłych naszych w godzinie, która jest i godziną śmierci naszej, bo nie ma otuchy w sercach synów Izraela. Przeklęci, przeklęci! Grzebiemy zmarłych naszych, jakbyśmy siebie samych do grobu składali. Grzebiemy zmarłych naszych licząc w głos wszystkie pokolenia, które minęły od praojców Abrahama, i oplakując pokolenia, które nadejdą. Grzebiemy zmarłych naszych radując się z tymi i ciesząc w głos, którzy przy życiu nie pozostali, i sami sobie, żywi żywym rychłego końca życzymy. Żywi żywym. Umarli umarłym. Grzebiemy zmarłych naszych i biadamy, że sami pozostaliśmy bez nich, zamiast nich przy życiu. Grzebiemy zmarłych naszych, a tak jakbyśmy siebie samych grzebali.

Stary Żyd klęczał nad dołem otwartym.

Dawid oddalił się stamtąd cicho, zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko dwa razy, resztę zgasił ostrożnie i długiego peta schował do kieszeni. Podszedł do Elijahu, powstał nad nim, wyjął niedopałek, zapalił, zaciągnął się raz, wetknął mu w usta.

— Dawid, łamiesz się?

— Szukam.

— Bierz się za robotę.

Elijahu palił nie wyjmując peta z ust. Kaszlnął sucho, pet sfrunął na ziemię. Ernest podskoczył.

— A nie mogłeś wziąć czegoś z domu od siebie, Dawid?

— Zamknij jadaczkę — powiedział Eli. — Zamknij, bo nikt się ciebie o to nie pyta. — Przykrył pet drewniakiem i rozdeptał. — Nie rusz i rób, co do ciebie należy, Albinos.

I Ernest robił, co do niego należało, i Dawid robił, co do niego należało. Na kolanach posuwali się za Elim, który im wskazywał drogę.

— O, tutaj!

— Cicho, Albinos. Uważaj lepiej.

Ernest zamilkł, ale nie na długo.

— Co ja mam!

Klęczeli obojętnie. Wrzasnął:

— O rany, co ja mam!

Podeszli bliżej i zobaczyli, że w palcach obraca blaszany pierścionek, w którym tkwiło oczko z czerwonego szkiełka.

— Ale kejsef, co?

— Albinos — powiedział Elijahu — ty się nie wygłupiaj i nie baw jak dziecko, dobrze?

Cisnął blaszany pierścionek daleko przed siebie, mierząc w usypisko gliny.

— Mógłbyś mi zostawić. Co ci szkodzi — skarżył się hałaśliwie Ernest.

— Albinos — ostrzegł Elijahu. — Uważaj pod nogi. I nie drzyj się tak — ledwo zdążył to powiedzieć, wyrósł przed nimi stary Żyd.

Wynurzył się cicho spomiędzy grobów cień, który zaczął krzyczeć ludzkim głosem, szarpać brodę i spluwać z odrazą, wygrażając niebu kijem.

— Szczury!

Wygląd miał taki, jakby już dawno temu spoczął na Okopach, w cieniu cmentarnych drzew, owiewany szumem starych i jeszcze starszych niż on klonów, topoli i brzoź, pod wyrytym na kamieniu słowem modlitwy, imieniem, jakie przekazali mu jeszcze głębiej leżący w ziemi ojcowie i dziadowie.

— Co ja widzę? Co moje stare oczy oglądają? Szczury załęgły się w żywym ciele Izraela!

— Cicho, rebe, cicho sza — prosił Elijahu.

— Żeby was święta ziemia pochłonęła. — Stary Żyd ujął głowę rękami i kołysał się w osłupieniu na prawo i lewo. Dygotał niedołącznie. Ciemna i brudna broda lepiała się do chałata jak mokry gałgan. Szeptał: — Żydowskie dziecko.

— A bo co! — Ernest zadarł głowę. — Nie podoba się może?

Elijahu potrząsnął kluczem francuskim. Ernest kombinerkami. Dawid zaszedł starego Żyda z tyłu.

— Masz — wołał Ernest — przyjrzyj się, dziadu — i pchał mu pod nos stalowe kombinerki. Elijahu machnął na Dawida. Dawid podniósł mały kamyk i tym kamykiem lekko trącił starego między łopatki.

— Bandyci! Mordują! — na wszystkie strony krzyczał stary Żyd. — Bandyci!

I w nogi. Ernest za nim; już łapał starego za chałat.

— Wracaj.

Ernest podstawił staremu nogę i ten runął z głośnym wrzaskiem na ziemię.

— Ernest, wracaj!

Szamotał się ze starym, krążył, brzęczał walecznie jak osa; z tej odległości już nie słyhać było słów. Widzieli, jak brodaty cień machnął na oślep pod słońce kijem, jak Ernest chwycił ten kij i jak później u dwóch końców kija krążyli obydwaj dookoła siebie. Stary Żyd puścił laskę z przeraźliwym lamentem, Ernest upadł, a on biegł ociężale w kierunku bramy wołając na pomoc tragarzy.

— Erneeeest!

Odwrócił się i — maleńka figurka na wysokim usypisku gliny, nad wrytym pustym dołem — z oddali tłumaczył im coś urywanymi i szybkimi gestami. Zsunął się na dno dołu, wynurzył po chwili i biegł do nich dysząc ze zmęczenia.

— Obcięty interes — powiedział Elijahu. — Będzie pluskwa. Tfu — splunął. I głośno zawołał do Ernesta: — Brykamy!

— Już — sapał Ernest. — Pocz... — Wiosłował rękami w powietrzu. — Zgubiłem... Już!

Nie było ani chwili czasu. Chmara ludzi poczęła zbiegać się ze wszystkich stron. Otoczyły ich drągi, szpadle i kilofy. W zupełnej ciszy usłyszeli mściwe posapywanie — gniew, który obywa się bez słów.

— Dęba — powiedział szeptem Elijahu i ręką wskazał kierunek: — Tam. — Ale gdzie tylko wskazał, spomiędzy dołów i z dołów, jak spod ziemi, wyrastali przed nimi biegnący furmani, tragarze, tłum łopaciarzy. — Tamtędy — powiedział, ale i tamtędy już nie mogli swobodnie przebiec. Krążyli i miotali się

między starymi i nowymi grobami okopiska, osaczeni ze wszystkich stron.

— *Halt! Halt! Halt alle bis auf den letzten.*

W bramie cmentarza stali Niemcy.

Oficerowie szybko zbliżali się do ludzi, a w ich głosach znać było stanowczą, powściągliwą groźbę. Jeden potrzasał parabellum w uniesionej dłoni, drugi trzymał w gotowości leicę. Srebrzyste sploty sutych adiutanckich sznurów kołysały się wokół ich ramion. A za nimi w pewnej odległości ciągnęli hałaśliwie rozbawieni cywile, zwracający uwagę nonszalancją i przesadną swobodą turystów. Panowie z kolanami w szerokich, luźnych, fałdzistych pumpach, z łydkami w wełnianych kraciastych skarpetach. Panie w letnich, kwiecistych, pstrych sukienkach. W oddali kołysała się żółta parasolka, a w jej cieniu jasnoszary kostium, niżej jedwabna pończoszka, a jeszcze niżej, przy samej ziemi, czarny pantofelek. Pantofelek utknął w glinie okopiska, stopa w jedwabnej pończoszce uniosła się z wdziękiem ku górze, żółta parasolka zachwiała się, zakołysała i popłynęła po niebie jak lekka chmurka.

— *Hilfe.*

Wśród przybyszów rozległ się wybuch hałaśliwego śmiechu. Oficer, lekko i swobodnie trzymający w uniesionej dłoni parabellum, odwrócił się na wołanie kobiety i jasnym, czystym, donośnym głosem powiedział:

— *Lotte, was ist los?*

Z pantofelka sypał się piach, obnażona stopa dotykała uda w geście baletowym, pod żółtą parasolką rozlegały się westchnienia, trzepot, leniwie rozciągnięte słowa.

— *Bei Gott, das geht über alle Begriffe. Hier darf man nicht gehen.*

Drugi oficer podniósł do oka leicę; tragarze niechętnie i powoli cofali się w głąb cmentarza, pomiędzy groby. Krótkim ruchem ramienia, wokół którego kołysał się splot adiutanckiego sznura, wstrzymał tłum na chwilę, a potem odpędził:

— *Abtreten!*

I poprzez rów, z przeciwległego brzegu rzucił pytanie, które uniosło się nad dołem jak gruda ziemi wyrzucona silną ręką. Ujrzał sztywno stojącego tam Dawida. Elijahu i Ernest przysunęli się bliżej. Oficer podniósł leicę do oka, spojrzął pod słońce, machnął ręką.

— *Wie alt bist du? Sprich!*

Patrzył na Elijahu i w niego mierzyła leica.

— *Vierzehn, Herr Oberleutnant.*

Oficer wskazał ręką Dawida.

— *Du?*

— *Zwölf.*

— *Das genügt!*

Żółta parasolka zachwiała się, zakołysała, popłynęła naprzód. Ugięta w kolanie noga obuta została w powietrzu z pomocą drugiego oficera.

— *Bei Gott, das geht über alle Begriffe. Es ist schmutzig dort. Bei solchen Wetter der Staub setzt sich in die Kleider und das schneidet mir ins Herz.*

Tamten oficer stał teraz również nad dołem, wciągnął w nozdrza cmentarne powietrze, zatoczył szeroko trzymanym w dłoni parabellum.

— *Lotte, wonach schmeckt das? Wonne! Schnauben Sie nach Luft.*

— *Gott behüte.*

— *Pfui! Kurt, das ist schwer, ja, unmöglich.*

— *Ein Gedanke steigt mir auf...*

Przybysze zamilkli w oczekiwaniu.

— *Ruhe! Was wird er wohl sagen?*

— *Ich bitte, sagen Sie, Kurt.*

— *Meine Damen und Herren, da liegt der Hund begraben.*

Wśród przybyszów zapanowało ożywienie.

— *Bravo, Kurt!*

— *Ja, ja, ein Mann, ein Wort. Aber noch mein Vater pflegte zu sagen: da liegt der Hund begraben. Ich sage: da liegt der Jude begraben.*

— *Mit der Zeit pflückt man Rosen, Oswald.*

Wśród przybyszów rozległ się śmiech, zapanowała ogólna wesołość. Klepali się po ramionach i udach.

— *Bravo, Oswald! Wunderbar, Kurt! Tränen standen mir in den Augen.*

Żółta parasolka podpłynęła bliżej i teraz kołysała się lekko nad wielkim dołem. Czarne buciki spychały na dno poruszony piach, który obsuwał się cicho z nieprzerwanym szelestem.

— *Wie gut es sich trifft, Oswald? Oswald, ich habe eine Bitte an Sie.*

— *Was befehlen Sie, mein Schatz?*

— *Czego sobie życzę? Czcigodnej, straszliwej i eleganckiej czaszki umarlaka. Bitte schön.*

— *O ja, mein Schatz, aber zur grösseren Sicherheit, haben Sie Geld bei sich?*

— *Oswald, Oswald, eine treue Seele... Das ist nicht mit Gold aufzuwiegen.*

Oficer obszedł dół i nie wypuszczając parabellum z dłoni zbliżał się do chłopców. Żółta parasolka powiewała tam i sam. Oficer z leicą przy oku zwoływał opieszających, którzy rozproszyli

się po okopisku.

— *Damen und Herren, still!*

— *Totenstille!*

— *Nicht wahr?*

— *Bei Gott, es ist zum Totlachen!*

— *Damen und Herren, jetzt Totalansicht!*

— *Leute zur Arbeit. Los, los.*

— *Was ist los? Das Schlimmste ist zu befürchten.*

— *Ans Werk!*

Wśród przybyszów zapanowało hałaśliwe poruszenie, rozległy się okrzyki radości, śmiech.

— *Meine Damen, Herren. Bitte jetzt aufstellen Sie sich. Das Gewitter zieht auf. Schnell! Aber doch sicher treten Sie ans Licht. Ans Licht! Gut, gut. Momentverschluss hundert... Mollig Bildchen. Lotte! Lotte, halten Sie sich rechts. Jetzt. Ich schiesse, bums! Danke.*

— *Uf!*

Żółta parasolka ruszyła z uwięzi, powiewała swobodnie i lekko nad otwartymi dołami.

— *Holla, Kurt! Jodallali-iii... „Mein Liebchen komm zurück...”*

— *Mit ein Blumenstrauss.*

— *Mit wendender Post!*

— *Halt, eine wunderschöne Bildfläche. Nochmals.* —
Cywile stanęli znów w zwartym szeregu, panie z przodu, panowie z tyłu, paru kucnęło nisko przy nogach kobiet na pierwszym planie. — *Ruhe... Bums! Totalansicht.*

Grupa przed obiektywem rozpadła się znów.

— *Jodallali-iii... Jodallala-aaa... Kurt, Kurt!*

— *Da kommt er.*

— *Holla, Kurt! Was? Was... pfui, tun Sie es ja nicht. Wie sind Sie darauf gekommen?*

— *Jawohl, mein Schatz, es kam mir in den Sinn...*

Żółta parasolka ukośnie zasłoniła mundur oficera.

— *Meiner Treu, er ist kinderlieb.*

Oficer nie wypuszczając parabellum z dłoni ustawił chłopców nad dołem. Kazał im stanąć bliżej, bliżej... Stanęli bliżej. Rozkazał im wesprzeć się ramionami. Elijahu, Dawid i Ernest wsparli się ramionami. A że spuścili nisko oczy — wołał, żeby unieśli twarze i patrzyli przed siebie! Więc patrzyli prosto przed siebie. Kurt i Oswald zmierzyli odległość, wybrali światło, starannie fotografowali chłopców, którzy trwali tak w bezwładzie, mrużąc oczy i wyciągając do słońca szyje. Elijahu miał na sobie zniszczony kaszkiet uszyty ze starej skórki króliczej; z wiszącymi nausznikami, z połamanym daszkiem, nabity kurzem jak materac, spodobał się Niemcom wyraźnie. Kaszkiet i Elijahu został sfotografowany osobno. Potem Oswald odkrył trepy Dawida; były to holendry dłubane z jednego kawałka drewna, wyłożone gałganami i okręcone drutem tak, aby trzymały się jakoś stóp. Teraz przyszła na nie kolej. Trepy i onuczki razem z kolanami Dawida zostały sfotografowane osobno.

Stali nad dołem i byli wolni. Stali nad dołem cierpliwie i cicho, i patrzyli prosto przed siebie z lekko rozchyłonymi wargami, pomiędzy których dobywały się ciepłe oddechy, a ich brudne twarze skurczone były grymasem trwogi i znużenia, chronicznego głodu. Stali nad dołem i patrzyli przed siebie psim spojrzeniem wszystkich skazanych i przeklętych, a w ich oczach, dzikich i pokornych zarazem, żarzył się ciemny płomień gorączki, która trawiła suche, bezkrwiste, wyszydzone ciała. Stali nad

dołem i za każdym poruszeniem oficerów czujnie obracali swe ostrzyżone do skóry czaszki, kanciaste i nieforemne, okryte krótką szczecią i źle zaschniętymi wrzodami. Niemcy fotografowali. Głowy pochylone krzywo na wątłych, uginających się szyjach. Przewijała się taśma. Wiotkie uszy odstające od głów. Przewijała się taśma. Głowy ze smugami kurzu na pociemniałej, szarej skórze. Twarze o oczach zapadniętych, mętnych i zgaszonych, w których tliła się źle skrywana skarga. Niemcy fotografowali, na pamiątkę. Stali nad dołem i byli żywi; i to mogło trwać tak długo, dopóki klisza nie zostanie przewinięta i zanim utrwali ich cienie.

— *Die Krankheit tritt verheerend auf, Oswald.*

— *Jawohl, je eher, je lieber.*

Byli na wykończeniu, ale ludziom w mundurach feldgrau to widocznie nie przeszkadzało, kiedy obchodzili ich ze wszystkich stron i oglądali z namysłem, i starannie fotografowali z paru rozmaitych miejsc. Dawid omijał spojrzeniem mundury jakby w lęku pomieszanym ze wstydem, że ujrzy w oczach Niemców wyrok wydany na siebie. Patrzył w jeden punkt ponad murem.

Tamtędy fruwały rude cielaki i krowy, i jagnięta, i wieprze wśród chmur. Kamienie okryte pismem sprzed tysiącleci, kamienie cmentarnych nagrobków, zwierzęta unoszące się lekko w powietrzu, bydło na ubój, gwiazdy, gwiazdy sześcioramienne na rękawach ludzi, trwały nieporuszone w jego pamięci. Cud trwał nieporuszony w jego pamięci, a on, który widział, sił nie miał uwierzyć ani ogarnąć spojrzeniem całej obojętności świata, wznieść wyżej oczy ku słońcu, co niezmiennie i pysznie ogrzewa to miejsce rozciągnięte pod obłokami, gdzie rodzą się ślepi. Już nie mogło nic gorszego się zdarzyć, w tej chwili.

W tej chwili aparat fotograficzny przewijał światłoczułą

kliszę, klisza chwytała chciwie promień słońca, ich twarze unieruchomione i zakrzepłe w grymasie trwogi; klisza zwijała się posłusznie w swoim ciemnym wnętrzu, chowała ich twarze w doskonałej czerni, pustej i żałobnej, skąd — utrwalone i zastygłe w skurczu bólu, bojaźni zagubionej w przeszłym czasie — wyjąć je miały już inne, nieznanne ręce, inne oczy miały oglądać Elijahu, Dawida i Ernesta w tej właśnie chwili, tego dnia, kiedy stali nad dołem na Okopach.

— *Auf die Seite. Los!*

Byli wolni.

Biegąc jeszcze miał w uszach dźwięk tego nie milknącego głosu, który w zachwyceniu, z nagłą radością i dumą unosił się nad dołami. „*Bravo. Meiner Treu, er ist kinderlieb.*” Za nimi zostało wielkie okopisko, za nimi zostali tragarze, tłum żywych i martwych, i Niemcy, i ta żółta parasolka — powiewająca lekko na niebie ponad dołami wydobytej w pośpiechu ziemi — spod której dobywały się westchnienia, leciutki trzepot, leniwie urwane słowa, ginące w omdłym przydechu, niedbale rozciągnięte niemieckie zdania. Za nimi został pogodny śmiech i te słowa rzucone w powietrze cmentarne: „*Tränen standen mir in den Augen!*” I turyści, którzy przybyli za mur oglądać żydowskie trupy, i stosy zwłok zawiniętych w gałgany i papier, i wryte doły otwarte w oczekiwaniu na zwłoki, i brodaty starzec, co wygrażał niebu kijem, i człowiek w mundurze feldgrau, który nie wypuszczał z dłoni smukłego parabellum, i ten drugi oficer z aparatem zawieszonym na szyi, który wołał: „*Ich schiesse. Bums!*” A potem przewijał film. Uciekli stamtąd i na przełaj pognali przez zarosłe bujnym chwastem gruzy gubiąc trepy z nóg w pośpiechu. Jeszcze jedna uliczka leżąca sennie w pełnym słońcu. Otwarta na wylot i szerniała ruina wypalanej kamienicy,

gdzie wionęło im w nozdrza sadzą, kwaśnym swądem rozprażonych w płomieniach i rozkruszonych, zawilgłych na deszczu cegieł. Jeszcze placyk pełen szeleszczących papierów i śmieci, w których grzęzły nogi... A potem przewijał film i oznajmiał: „*Totalansicht.*” Biegli wtedy ulicą Glinianą, która wiała się i dłużyła jak zły sen, z rozpędu zabrnęli w ślepy wąwóz Libelta, cofnęli się do Smoczej, Smoczą biegli mijając przecznice Gęsią, Pawią, Dzielną, skręcili w Nowolipki, minęli kościół na Nowolipkach, przecięli Karmelicką nie zwalniając kroku. I zatrzymali się dopiero na rogu Dzikiej, gdzie w bramie Elijahu ich zostawił. Ernestowi oddał swój klucz francuski, a złom wsypał do kieszeni Dawida. Przeliczył: osiemnaście koronek pojedynczych, pięć koronek podwójnych i dwa mostki.

— Czekaj na mnie — powiedział. — A jakby co, to Albinosa pchnij. Niech da nura z całym majdanem. Niech wystawia kejsef na melinę Barucha Oksa. Oks przechowa do motja. Pamiętaj, mieszkania numer dwanaście — i ręką wskazał oficynę z bramy. — No, leczę! A nie łązić na górę, póki sam nie zejde. A gdyby ktoś schodził po was, mówić, żeby mnie wpierw puścił na dół. Inaczej nie.

— Dobra, dobra — poganiał Ernest. — Idź.

— Spokojnie, Albinos. — Dawid pytał: — Może iść na wydrę?

— Tamten? — Elijahu pomyślał, machnął ręką. — Dopóki kejsef jest u nas, nie będzie ligał. Nie ruszy. A jakby co, to dam zeks. Dawid — i do ucha mu szepnął — to chałef, stary pies. Może być chatranka.

I pognał schodami na górę przeskakując po dwa stopnie na raz. Słyszeli tupot i jak zatrzymał się; pierwsze piętro. Tupot, drugie piętro. Tupot, a potem cisza. Tamten mieszkał na trzecim

piętrze. Nawet nie wiadomo, czy zwyczajny łobuz, czy do tego jeszcze policjant. Z Elim tak zawsze, w największy deszcz szuka rynny. Dawid myślał, co gorsze? Ernest pytał, czy tamten facet może zrobić Elijahu krzywdę. Dawid potrząsnął kieszenią, aż złom zabrzączał.

— Masz, słyszysz?

— Ja bym za nic nie poszedł sam do meliny. — Ernest przysunął się blisko, blisko i złożył dłonie.

— Ty! Ty a Eli to duża różnica. — Patrzył na swoje brudne ręce i na brudne ręce Ernesta.

— Nawet nie wiadomo, co to za jeden. — Ernest miał szeroko rozwarte oczy i rozpaczliwie mrugał bladymi rzęsami.

— Taki sam bandzior jak my, wiesz już teraz kto?! — Ernest cofał się przed nim. — Taki sam, tylko jeszcze cwańszy! Bądź spokojny, włos ci z głowy nie spadnie, żadnemu z nas. Dopóki nie dostał niczego do ręki, on ciebie, Albinos, nie ruszy. — Ernest cofał się w głąb bramy. Dawid wyciągnął chudą pięść. — Masz cykorię? — Ernest potknął się i usiadł na schodku. — Masz cykorię, mów!

— Nie — powiedział cichutko. — Nie mam, tylko troszkę.

— Ja ci pokażę. Jak pójdziemy na górę, pamiętaj: trzymać się z daleka i za mną, zawsze z tyłu.

Ernest patrzył nieufnie, zaniepokojony. — Po co?

— Słyszysz, co do ciebie mówię, ty? Stój tak, jakbyś miał — urwał i milczał, a w tym czasie jakiś przechodzień minął ich i wyszedł za bramę — pełne kieszenie złomu. Możesz brzęknąć kluczem francuskim i kombinerkami. Masz? To robi dobre wrażenie, Albinos. Masz?

— Mam, mam.

— To trzymaj się ściany.

— Albinos! — Usłyszeli wołanie Elijahu. — Albinos, ładuj się na górę, już!

— Jazda — nie zwlekając pchnął go na schody. W połowie drugiego piętra Ernest przestał się opierać, ale na trzecim znów zaszamotał się w krótkiej, dzikiej bójce. Trepy głośno trzaskały na cementowej posadzce. Na trzecim piętrze, w drzwiach, czekał Elijahu, mrugnął. Tamten był w mieszkaniu sam, z brzytwą, z pędzlem, w kalesonach, i ziewał; obojętnie odwrócony do nich plecami stał pod oknem i wydymał policzek do lusterka wetkniętego za stłuczoną szybę.

Pytał:

— To oni?

Elijahu kiwnął głową, że tak. Wszyscy.

Małym palcem odgarnął rączkę brzytwy, otwartym ostrzem pociągnął śmiało i mocno po napiętej skórze. Pytał:

— Więc? Ile tego, szczury?

A w jakiś czas potem szli za nim potulnie; poszli Dziką, Niską, Pokorną do placu Muranowskiego i stamtąd wyszli na tyły fabryki Brauera. Powiedział, że tutaj. Niech czekają. Domów zamieszkanym w pobliżu nie było, tylko brama w gruzach, a nad nią napis literami jak woły: KINO EXCELSIOR, w głębi nieduży placyk i mur starej kotłowni wiszący nad głowami jak zawrotne urwisko, które zapiera dech. Osłonięta ściana nieba za wysoką ścianą cegieł czyhała w ukryciu, aby runąć na nich, kiedy stali tam cierpliwie, zadzierając głowy i mierząc wzrokiem przestrzeń od miejsca, na którym tkwiły ich znużone, opuchnięte nogi, aż po wierzchołek, dokąd sięgały ich oczy. Ale nie runęła; nic nie wstrząsnęło powietrzem poza stłumionym łoskotem tłoków w oddali, szlochom dartego żelaza, kalekim bełkotem maszyn, pah, pah, pah, pah. Skąd się tu wziął? Dawid patrzył na swoje

nogi, jak dowlókł się tutaj? Słyszał łomot maszyn, słyszał leniwy szum krwi we własnym ciele, słyszał głos tamtego faceta, który przed godziną pytał: „Więc? Ile tego, szczury?” Cichy, miękki, rwący się w krótkim oddechu głos. I Elijahu odpowiedział: „Osiemnaście koronek pojedynczych.” Urwał. „I?” Elijahu milczał, zwlekał. „I?” Nie było rady, więc dodał trochę. „I pięć podwójnych.” Tamten facet był uparty i swoje chyba wiedział. To „i” tylko przerywało milczenie. Słyszeli w zupełnej ciszy, jak brzytwa ostro, z szelestem sunie po napiętej skórze. „I?” Elijahu skłamał. „I już więcej nic.” Wtedy syknął, zatrzymał ostrze, lecz nie skaleczył się nawet. „Ty, chodź no mnie, ty!” Brzytwa ruszyła i donośnie sunęła po skórze. Nie odwrócił się do tej pory; patrzył w lusterko, szybko i zwinnie uwalniając z zarostu twarz. Miał mydło na podgardlu i wąsach, miał tylko dwa ruchy brzytwą. Śledzili w milczeniu lekkie, płynne cięcia; zatrzymał brzytwę, językiem wypchnął policzek i samym noskiem ostrza gładził w tym miejscu skórę krótkimi, niezauważalnymi ruchami ramienia. „I?” Uparcie powtarzał swoje. Teraz Ernest krzyknął: „I dwa mostki!” — „Tak mów!” Słowa prześcigały się w powietrzu, dotarły za Dawidem tutaj, gdzie unosił się stłumiony łoskot maszyn, pah, pah, pah... Miał cichy, miękki głos rwący się w krótkim oddechu. Ernest nie odrywał oczu, urzeczony zwinnymi ruchami tego faceta, błyskiem brzytwy w powietrzu, strzelistą blizną przecinającą obnażone plecy od łopatki po kark. A potem ujrzeli nikły ruch ust w lusterku za stłuczoną szybą i usłyszeli znów ten ostrożny głos: „Już więcej nic?” Ale to nie było pytanie i Ernest powtórzył za nim: „Już więcej nic.” Wycierał ręcznikiem ręce, usuwał mydło, szczyrzył zęby do lustra. „To starczy. Idzie robić interes.” Pogładził pieściwym dotknięciem twarz, obejrzał z jednej i obejrzał z drugiej strony, przetarł do sucha, a kiedy

usunął ostatnie ślady mydła, wylał na dłoń parę kropel wody kolońskiej, której woń rozeszła się ostro w stęchłym powietrzu meliny, potarł palcami skronie i podgardle, syknął, chuchnął, uważnie wycisnął na skórę odrobinę wazeliny, roztarł ją i głośno pacnął raz i drugi palcami po szyi. Był już prawie gotowy. „Tak, idzie robić interes.” Był już prawie gotowy, a oni czekali. Ustawieni stali tak: Elijahu, Dawid trochę dalej z boku, przy drzwiach mały Ernest, dobrze osłonięty przez obydwóch. Było wiadomo, że ucieknie pierwszy, za nim pogoni tamten facet, a tymczasem Dawid ze złomem w kieszeni wymknie się cicho razem z Elim. Tamten drapał ponuro nogę. „Taak.” A stojąc w kalesonach wyciągnął żylastą szyję i zapiął koszulę. Wiązał zwinnie krawat w maleńki, twardy węzełek. „Taak.” Koszulę miał już zapiętą, wepchnął palec pod ciasny kołnierzyk, pokręcił sztywno głową. I głośno liczył: „Dwadzieścia koronek pojedynczych.” Ledwo było słyszeć te słowa. Elijahu przerwał: „Osiemnaście.” Tamten facet zawahał się. „Niech będzie osiemnaście. Osiemnaście razy dwa to czyni trzydzieści sześć. Dalej cztery koronki podwójne.” „Pięć”, poprawił Elijahu. „Pięć”, powtórzył tamten facet. „Niech będzie pięć. Pięć razy cztery to czyni dwadzieścia. I trzydzieści sześć? To razem pięćdziesiąt sześć.” Potem zawahał się i urwał. „Dwa mostki”, wyliczył gładko Ernest, który połapał się w tym wszystkim najpóźniej. „Potem dwa mostki”, powtórzył za nim tamten facet. „Pełne? Dwa pełne?” pytał. Przelotnie przyjrzał się małemu Ernestowi, który kieszenie wypchane miał kluczem francuskim i obcęgami. „Pełne!”, powiedział szybko Ernest. „No, to dwa razy czternaście jest dwadzieścia osiem. Dwadzieścia osiem i pięćdziesiąt sześć? Razem osiemdziesiąt cztery. Coś.” Elijahu trzymał marynarkę, tamten facet podał do tyłu ramiona. „Coś

jeszcze za drogę wam się należy. I słowo daję, złoty interes. Złoty interes robicie na mnie, szczury. Całkiem, całkiem.” W ciszy skrzypiała sucho podłoga pod jego bosymi stopami, kiedy krążył ociążale po pokoju i leniwie ubierał się do wyjścia. Skarpetki i buty wkładał na ostatku. „Ładny mues. Okrągłe dziewięćdziesiąt dla was, po trzydzieści na łeppek, szczury. Daję piętnaście twardych, resztę w motylach. Idzie robić interes?” Elijahu milczał i oni milczeli. Wtedy odwrócił się szybko i do Ernesta: „Wykładaj żółtko na stół, jazda!”

Co to za miejsce? Z cichym szelestem unosił się plakat, którym okryty był płaski i mały kłębek gałganów leżący w kącie podwórza, zrywał się papier i ukazywał martwą twarz dziewczyny, kołysał się napis, który więziły kamienie rzucone przy jej nogach. CENTOS MIESIĄC DZIECKA DZIECKO TO NASZ SKARB WPŁAĆ NA CENTOS CENTOS. Zresztą panowała tutaj cisza w powietrzu płowym od pyłu ruin, cisza przerywana stłumionym i miarowym szumem maszyn. Potem: „Wykładaj żółtko.” Odwrócił się wtedy szybko do Ernesta. Był ubrany, kiedy to powiedział, i popatrzył na nich kolejno. Elijahu, Dawid, Ernest, żaden ani słowa. Tamten facet zaczął wolno chodzić po pokoju. Ale już nie miał pieniędzy w domu. Przypomniał sobie, że nie trzyma pieniędzy w domu. Jak chcą, to mogą z nim podejść kawałek. Tu, niedaleko, parę domów dalej. Wstąpi tylko do wspólnika, który trzyma kasę. Wspólnik zapłaci od ręki. I sprawa załatwiona. A jak nie, to mogą na niego poczekać w melinie, on wróci zaraz. Więc jak chcą czekać, to mogą czekać. A jak chcą iść, to mogą iść. Tak powiedział, ale nie powiedział po raz drugi, żeby Ernest wyłożył mu żółtko na stół.

Wyszedł do nich po kwadransie razem ze swoim wspólnikiem. Wynurzył się bez szmeru z jakiejś nory w gruzach, gdzie

wspólnik musiał już na niego czekać uprzedzony; i teraz zbliżali się szybko, a szli jeden od drugiego w odstępach dobrych paru metrów. Okraczyli dziewczynę przykrytą papierem. Elijahu wyszedł im naprzeciw. Dwóch na trzech. Nie jest tak źle, w razie czego. Szli dalej, nawet nie spojrzeli na Elijahu. Prosto do małego Ernesta:

— Wykładaj żółtko, jazda!

— Nie — krzyknął Elijahu. — Nie, nie. Żadne takie, żadne takie... Szacher-macher? Najpierw pieniądze, potem towar. — I do Ernesta: — Chodu!

— Cicho, szczury!

Tamten facet biegł ciężko, sapiąc. Głos rwał mu się w krótkim, szybkim oddechu.

— Poszli na wydrę — powiedział Elijahu. — Ty dajesz nogę pierwszy. Pamiętaj — ostrzegał Dawida. I głośno do tamtych: — Zostaw go, Albinos nic nie ma. Albinos jest próżny!

Mały Ernest ze strachu zdążył już tymczasem obieć cały placyk dookoła.

— Który — pytał wspólnik. — Który to ma kuszer?

— Albinosa łap — syknął tamten facet do wspólnika.

Ścisnął Ernesta kolanami i przydusił pod murem kotłowni, a jego wspólnik nerwowo szarpał ubranie i przeszukiwał. Zamiast wyrwać kieszenie na wierzch, Ernest opierał się, drapał i gryzł jak zdziczały kot. Raptem zaczął okropnie krzyczeć, a ponieważ już krzyczał, to nie mógł przestać krzyczeć, a ponieważ nie mógł przestać krzyczeć, tamten facet złapał cegłę, jaka mu wpadła w rękę, i tą cegłą Ernesta uciszył. Zanim Elijahu tam dobiegł, rzucił się na niego wspólnik.

— Uciekaj, Dawid, jeh-h-h. Uciekaj — stękał Elijahu. — Już po mnie.

Dopiero za bramą, na ulicy, tamten facet złapał Dawida. Włókł go z powrotem po ziemi jak worek. A pięść miał ciężką. Dawid wciągnął głowę w ramiona, myśląc: „Już nie to-tamto. Teraz!” Swobodną ręką sięgnął do kieszeni i z rozmachem, prosto przed siebie, na ulicę cisnął pełną garść złomu; i jeszcze raz, ile tylko palcami zdążył zagarnąć. Tamten facet pchnął go od siebie jednym ruchem i wyskoczył na środek. Dawid zawrócił na podwórko staniając się, ogłuszony. Pod murem kotłowni leżał Ernest, a współnik tamtego faceta stał uważnie pochylony nad Elijahu, który klęczał i łokciami osłaniał głowę. Sapał — jeh-h-h, jeh-h-h, jak uduszony. Krew z ust i z nosa tamowała mu oddech.

— Fajner — rozległ się okrzyk za bramą. — Fajner, tu! Zostaw ich. Chodź, chodź.

Dawid usłyszał nazwisko tego współnika, który sztywno stawiając nogi i przyciskając nieruchome ręce do spodni schodził z placyku jak lunatyk. Zostali sami; Elijahu leżał na wznak i czekał cierpliwie, aż krew przyschnie.

— Ja cię nie chcę martwić, Dawid. Ale jak oni wrócą, ten zejwech ze swoim tycerem, to urządzą nas gorzej niż Albinosa.

Już ich tam nie było. Ulicą Leszno ciągnął omnibus. Mordchaj Sukiennik, wyrzuciwszy daleko przed siebie lewe ramię, sztywno napięte cugle owinąwszy sobie na pięści, statecznie powoził parą miejskich wałachów; i z wysokości — górując nad ulicą, nad tłumem hałaśliwych żebraków, wydawał okrzyki, zaklęcia, żarliwe zachęty szkieletom koni o pokaleczonej skórze i zmierzwionej sierści. Wspięli się wysoko na kozioł i przysunęli do niego blisko. Nie mieli na przewóz. Gwar, śmiech, chlupanie sennego dziecka, rozmowy wewnątrz omnibusu nie ustawały. Pamiętał: „Założ mu but.” Dawid pamiętał, co powiedział, kiedy

po jakimś czasie przywlekli się z powrotem potłuczeni, spuchnięci i głodni, bo nic w ustach nie mieli od rana — na placyk w ruinach pod murem starej, zrujnowanej kotłowni. Nikogo nie było w pobliżu; Ernest leżał w gruzach sam, jedną dłoń miał leciutko zwiniętą i wspartą o ucho, w drugiej — zaciśniętej — tkwił kamień. Twarzy nie poznali, do zalanej krwią skóry i włosów przylgnał kurz. Elijahu podniósł but, który stoczył się po usypisku, i postawił bliżej, przy nodze. „Włóż mu, niech nie leży boso.” I Elijahu posłusznie włożył but na lewą nogę. Wszedł lekko, ponieważ za duży był na Ernesta ten lewy but. Krążyły nad nim wielkie sine muchy. „Jego stary leży na tyfus, to się tak szybko nie dowie.” — „Na tyfus?” — „Tak, on nigdy nie mówił, co tam u nich w domu.” — „On? Po nim nigdy niczego nie było znać.” Parskały okaleczone konie, Mordchaj dobrodusznie i smutno pokrzykiwał. Trzęsło się ramię skrępowane rzemieniami wodzy, trzęsły się koła pojazdu na kocich łbach, trzęsły się niedołącznie głowy mijanych żebraków, trzęsły się szkielety pasażerów na twardych ławkach. Nad Ernestem polatywały muchy, a w jego zaciśniętej dłoni tkwił kamień. Oddalali się stamtąd, oddalali w niespiesznym ruchu pociągowych chabet, słuchając okrzyków Mordchaja, który bez zbytniego oburzenia, z politowaniem i wzgardą wołał: „Szmondaki!” Przystanek, zatrzymał zaprzęg, ruszył i dalej wołał: „Szmondaki z was!” A Elijahu dotykał ukradkiem zwiniętego gałgana za koszulą. Tam, w gruzach, wyjął Dawid złom, który mu pozostał. Elijahu rozłożył na ziemi gałganek, złożył rogi szmaty razem i zawiązał. „Wszystko już?” — „Masz, szukaj!” Szedł prosto na Elijahu, który cofał się przed nim. „Szukaj!” Elijahu powiedział, że nie ma ochoty szukać. „Szukaj, a jak nie... policzę ci wszystkie zęby, dobra? Niech cię nagła

kręć, złoty interes!” Przystanek, przepełniony omnibus zatrzymał się róg Leszna i Solnej, pasażerowie gromadnie wysiadali, łby znużonych koni opadły ku ziemi, na odparzonych bliznach, na skrwawionej sierści skupiły się muchy. Zaprzęg ruszył dalej, parskając. „Nie. Nie trzeba.” Tak powiedział wtedy Elijahu i już innym głosem: „Zjadłbym coś. Kawałek chleba.” Schował złom za koszulę. „Już nas tu nie ma, Dawid.” Poszli.

A Mordchaj tylko spojrział na nich i już swoje wiedział; splunął za orczyki pomiędzy kopyta na bruk, a kiedy omnibus kołyszając się i trzęsąc — chór narzekań wewnątrz pudła nie ustawał — skręcił w Żelazną, Mordchaj, patrząc prosto przed siebie w ciemny wylot ulicy nad zataczającym się zaprzęgiem, między jednym a drugim szarpnięciem wodzy powiedział:

— Szmondaki z was — i chlasnął zad lewego. — Co teraz, szczeniakeria? — Chlasnął zad prawego, ale z uczuciem. — Co teraz? Ani rybka, ani pipka. Szmondaki!

Rękojeść bata wetknął pod kolano. Zdjął czapkę wyjął z niej papierosa i uważnym ruchem założył na głowę. Długie, siwe włosy wymykały się spod lakierowanego daszka i drżało na nich sine światło zaciemnionej latarni.

— Posuń się trochę. Nie widzisz, że spadam — powiedział Elijahu i pchnął Dawida.

— Nie gryźć mi się tutaj, szczury, między sobą, dopóki jedziecie obaj na jednym wozie.

Zmierzchało, kiedy wrócili na podwórze. Gdzie był cały dzień? Wiedział, co teraz nastąpi. Jak mógł zapomnieć o tym. Dom pogrążony był w ciemności i stamtąd wydarł się ku niemu głos ojca. Czekał na pierwsze uderzenie i liczył szybko: „Osiemnaście razy dwa to jest trzydzieści sześć, osiemnaście razy dwa to jest...” Co mówił wspólnik Fajnera w południe? Że

na łeppek wypadnie po trzydzieści. Czego? Bał się, skulony czekał na cios i w mroku widział wątlą smugę rozproszonego światła, które wdarło się z wysoka przez zakurzone szyby i padło ojcu na czoło. „*Aber doch sicher treten Sie ans Licht. Ans Licht!*” Wiedział, że cios spadnie nagle, zanim zdąży krzyknąć, uciec. Żółte, czarne pręgi migały przed oczami. Wydawało mu się, że ślepie ze strachu. Czy wszedł akurat, kiedy ojciec modlił się? „Szczury zaległy się w żywym ciele Izraela! Co moje stare oczy oglądać muszą?” Tak, modlił się właśnie. Jednym ruchem odrzucił tałes. Wyprostował się i strząsnął z czoła tefilin. Zamachnął się na oślepa i w powietrzu świsnął gruby rzemień filakterii. Dawid słyszał syk zwilżonego karbidu, który ulatniał się z wygaszonych lamp, głośny, wzburzony oddech ojca, beładne uderzenia, których nie czuł.

— Mów, gdzie byłeś?

Bił w uniesieniu, cios za ciosem, do krwi. Pięścią, trzonkiem tapicerskiego młotka, polanem drzewa, a kiedy je zgubił, bo wszystko leciało mu z rąk, chwycił znów rzemień wlokący się na podłodze długimi, zagmatwanymi zwojami.

— Jeszcze mało — mówiła matka. Niespokojnie krążąc, omijając go z daleka powtarzała: — Bandyta! — Łamała dłonie, aż palce trzaskały. — Bandyta z łaski na uciechę.

Dawid wciśnięty w kąt między skrzynią i drzwiami za każdym uderzeniem obsuwał się na ziemię. Głowa boleśnie stukała o krawędź kufra. Słyszał słowa ojca, kiedy bił go bez znużenia, z zaciekłością.

— Miałeś za swoje? Miałeś już za swoje, to ja ci jeszcze trochę dołożę.

Osuwał się po ścianie, klęczał przed nim. Szarpnięty za kołnierz, postawiony na równe nogi i bity dalej, słyszał słowa

matki:

— Wyrodne szczenię. — A potem ojca: — Ja ci dam interes. Ja ci dam złoty interes.

Szamotał się, ale nie uciekał. Zacisnął zęby i nie krzyknął nawet. Osłabł; cały dzień minął i nic w ustach od rana. Leżał cicho pod ścianą, tam gdzie upadł w kącie między skrzynią i drzwiami, przymykał oczy i słuchał tego, co mówią. Tak jakby o kim innym mówili. Za kogo modlił się stary Żyd na Okopach?

— Żeby mi tego więcej nie było!

Słabi, wycieńczeni, chudzi, jak bezsenne mary krążyli pośród ścian. Pochylali nad nim żółtkie twarze, potrząsali pięściami. Fukali z lękiem, złością i odrazą.

Leżał z przymkniętymi oczami, a chłód wilgotnej plamy na ścianie, o którą miał oparte plecy, przejmował go rześkim dreszczem i łagodził ból; lekki i pusty, usłyszał słowa ojca.

— Chcesz tyfus do domu przywlec?

Za kogo modlił się na Okopach stary Żyd klęcząc o świcie nad otwartym dołem? Chce tyfus przywlec. Lekki i pusty, poczuł swędzenie w gardle, bliski śmiechu. „*Die Krankheit tritt verheerend auf, Oswald. — Jawohl, je eher, je lieber.*” Donośne, rozradowane głosy Niemców zagłuszyły słowa ojca, zgiełk biegnących tragarzy, którzy nadciągali ze wszystkich stron i... „I?” Uparcie powtarzał wspólnik Fajnera, a brzytwa z szelestem, ostro sunęła po skórze.

Tej nocy długo jeszcze unosiły się nad nim ich wzburzone, złe głosy.

Odleciały motyle, przepadły w mroku nieczynnego kina „Excelsior”, na tyłach fabryki Brauera. Została brama w gruzach i za plecami mur starej zrujnowanej kotłowni, a pod murem mały trupek Ernesta, którego z dawien dawna nazywali Albinosem.

Staremu Bierce długi czas potem nie chcieli miejsca pokazać, gdzie ciało leży; dopiero Mundek Buchacz przyniósł mu podartą, zakrwawioną koszulę i ukradkiem rzucił pod drzwi. Mordchaj Sukiennik oczyścił cholewy butów i poszedł do Bierki, który leżał po tyfusie. Posiedział przy chorym w milczeniu, a potem powiedział tak:

— Idąc po śladach można dotrzeć do zasypanej studni. Tylko że nie wiadomo, kto w niej stada poi i kto ukáže zasłoniętą twarz. Człowieku, nic ci więcej powiedzieć nie mogę. Et!

Bierka patrzył przed siebie pustym, obojętnym spojrzeniem charłaka, który niechętnie przeżył śmierć bliskich. Zanim wyzdrowiał i trafił na pusty placyk, ciało już pochowano. Na Krochmalnej podniósł się szum, gwałt. Święta ziemia nosi jeszcze na sobie te wyrodne szczenięta. Elijahu i Dawid zostali ze swą dziecinną dolą, z resztą złomu zawiniętego w gałgan i w jakiś czas później znalazł się kupiec za Żelazną Bramą, skwapliwy i lojalny, który ich wybawił z kłopotu. Elijahu podzielił mies, sześć twardych zatrzymał sobie, dziesięć motyli podrzucił ojcu Ernesta. Wtedy w kamienicy podniósł się znów krzyk. O wa, złoty interes. A kobiety, które chodziły do roboty w warsztatach Brauera, pytłowały jak najęte na prawo i lewo, że Elijahu i Dawid łomem zatłukli małego Bierkę, a ciało wrzucili do dołu z niegaszonym wapnem, żeby wszelki ślad po nim zagaął. Kto zamordował Ernesta? Kto zamordował Albinosa? Niech zapytają Fajnera, to im powie. Ale nikt o nic nie pytał Fajnera; i tak właśnie zakończył się złoty interes, za który im wszyscy nadmuchali pajaków do ucha.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#).

XIII

— Czarna godzina!

Rankiem drugiego dnia akcji na podwórze wbiegł żandarm w długim szynelu i ocierając z twarzy pot zawołał o wodę. Na wszystkich padł blady strach. Kręcił się jakoś bezradnie na środku, spoglądał w okna, a hełm przeszkadzał mu zadrzeć głowę do góry. Ukradkiem, w zupełnej ciszy przyglądali mu się zza szyb. Na parterze Chaskiel-stróż uchylił firaneczki i czekał, ale żandarm nie wywołał go na dwór i dalej rozglądał się niepewnie po oficynach. Rywa złapała Chaskiela za pasek i ciągnęła w kąt stróżówki. W oknie nad bramą kupiec Mordarski poprawiał sennym, ostrożnym ruchem krawat. Sura-przekupka przylepiła kudłatą czarną głowę do ściany w sieni i wyglądała mrużąc lękliwie oczy. Na pierwszym piętrze przywarła do brudnej szyby twarz Nataniela, biała i cicha; za nim stała Estusia położywszy mu dłoń na ramieniu. Na czwartym piętrze pod dachem kuśnierz Papierny siedział w fotelu, z laską, ubrany po raz pierwszy od wielu lat, umyty, w czarnym garniturze. Buba przysunęła fotel do okna i niechlujna broda starego trzęsła się nad parapetem, wychylała z uwagą i ciekawie, kiedy żandarm pokazywał plecy.

Elijahu wbiegł raptem z ulicy, zatupotał drewniakami, na chwilę pokazał się w bramie i przepadł.

A zaniepokojony żandarm odwrócił się szybko; tam już nikogo nie było. Regina zdążyła zatrzaskać drzwi suteryny, w tym czasie Jankiel stał bez ruchu, nie odrywając ręki od żelazka; zwilżone sukno parowało z sykiem, coś tam się tliło i czuć było dym.

Niemiec skurczył się i zwrócił broń w kierunku zburzonej oficyny. Ktoś pokazał w otwartym oknie namydloną twarz, gwizdnął i cofnął się z powrotem, a wtedy Niemiec krzyknął niewyraźnie i zaczął strzelać na oślep. Szyby leciały, uczynił się zgiełk, odłamki szkła przyskały wokół żandarma, trzaskały pod jego butami, odskakiwały od hełmu.

— Czarna godzina! Czarna godzina dla mnie nastąpiła.

Matka mówiła ochryple, szeptem. Chustka osunęła się i ukazała krótkie, ostrzyżone po chorobie włosy, doły zamiast skroni i szerniałą na szyi skórę. Trzymała zapalonego papierosa, którego ojciec jej podał. Dawno nie widział Dawid w jej palcach papierosa; teraz zaciągała się niezgrabnie, podnosząc do ust rozłożoną płasko cieniutką, kościstą dłoń. Wydmuchiwała dym chuchając do góry. Z oczu pociekła łza; zacisnęła powieki kaszłąc. Oddała papierosa bez słowa. Niedopałek szybko małał, spopielał się przylepiony do wargi ojca. Czarne, zepsute zęby pokazały się na chwilę i wysunięty płasko język. Na rękawie miał opaskę, to znaczy, że nie zdążył wyjść w porę z domu.

Niemiec postrzelał sobie i cofając się tyłem zniknął w bramie tak samo nagle, jak się zjawił.

Matka rzuciła się na łóżko, schowała twarz i przycisnęła pięści do uszu, a ulicą już budy jechały przystając. Huczały zewsząd klaksony, kiedy nabite ludźmi ciężarówki skręcały za róg i pędem mijały wachę na Chłodnej. Żółty biegiem otwierał przejazd, rozplaszczony puszczał ciężarówki obok siebie, wciągając brzuch, a wozy zwalniały i kurzyły smugą spalin.

Getto było szczelnie zamknięte, wachy wzmocnione, wzdłuż muru krążyły patrole granatowej policji i czarnych z SS, a na zewnątrz muru z wysokości pierwszego i drugiego piętra czuwali Łotysze w zgniłzielonych mundurach z karabinami

skierowanymi na ulicę, rozstawieni na balkonach, w otwartych oknach klatek schodowych i w sieniach. Budy pełne żandarmów zgrupowane stały na placu Żelaznej Bramy i na placu Grzybowskiem, gotowe do akcji. Już Niemcy wbiegali na chybił-trafił do mieszkań i w pierwszym zamęcie wyciągali osłupiałych Żydów. To się zaczęło w środę dwudziestego drugiego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, kiedy w południe zawrócono nagle wozy cmentarne z powrotem na Okopy i przegnano grabarzy. Tego dnia żandarmeria łapała ostatnich żebraków, biegnąc za uciekającymi w gruzy, szukała punktów noclegowych dla uchodźców z prowincji i wyгнаła na *Umschlagplatz* aresztantów z więzienia na Gęsiej. Ci poszli na pierwszy ogień. A nazajutrz, we czwartek dwudziestego trzeciego rozeszła się wieść o tym, że prezes gminy Czerniaków popełnił samobójstwo po wizycie gestapo, a potem strzeliła sobie w skroń z tego samego pistoletu jego młoda córka. To był ten czarny czwartek, kiedy panika ogarnęła ulice jak pożar, chociaż tego dnia nie wyciągano ludzi z mieszkań, tylko chorych ze szpitala na Czystem zwieziono budami pod rampę kolejową i w koszulach wysypano przy torze. Podobno transport miał odejść dopiero w piątek. Aresztanci, żebracy, uchodźcy z punktów noclegowych nie odjechali jeszcze wszyscy i ich pobyt na placu Parysowskim przed rampą opóźnił dalszą akcję o jeden dzień. W piątek załadowano siedem tysięcy, a w sobotę dziesięć tysięcy ludzi i wysłano pociągami na wschód.

Tam, na wschodzie — afisze obiecywały pracę i chleb. Nakłaniały do zachowania porządku, ostrzegały przed paniką. Kto pracuje, żywym będzie. Władze nie pozwolą na żadne bezprawie ze strony Żydów i ci, którzy dopuszczą się gwałtu lub grabieży, staną przed sądem wojennym. Zatrudnieni zostaną

skoszarowani w warsztatach. Wszyscy inni — udać się pod strażą na *Umschlagplatz*. Rzesza zapewnia każdemu zajęcie, strawę, miejsce do spania, wolność od trosk. Policja ostrzega, że ten, kto ukryje broń, obce waluty, fałszywe dokumenty na aryjskie nazwisko itd., itp., pociągnięty zostanie do odpowiedzialności karnej. Nie ma miejsca dla złodziei, włóczęgów, rabinów, liberalnych wywrotowców, a elementy szkodliwe poddane zostaną reedukacji i skierowane do owocnej pracy. *Es lebe Staat, es lebe Krieg*.

Rozporządzenie niniejsze wchodzi oto w życie z dniem ogłoszenia. *Heil Hitler!*

Ojciec przeczytał afisz, wziął narzędzia do worka i pobiegł uginając się pod ich ciężarem szukać pracy u „małego” Toebbensa, na Prostej, gdzie wujek Gedali był już od jakiegoś czasu zatrudniony. Matka wołała za nim przez okno; niech szybko wraca, bo lada godzina wygarną ludzi na plac. Jak się spóźni, to może ich szukać, ale w Trawnikach! Szafa była odsunięta od ściany, na wszelki wypadek. Już przedtem ruszyli z miejsca stary mebel, kurz bił pod sufit, a matka stękając i kaszląc wchodziła do płytkiej niszy w ścianie, aby przekonać się zawczasu, czy miejsca starczy; kryjówka, gdzie mogła stać przez godzinę z twarzą obróconą bokiem i sztywno opuszczonymi ramionami, była gotowa. Czy jej nie widać? Głos za szafą rozlegał się głucho i obco. A ojciec przykładał skroń do ściany, patrzył w szparę i mówił, że nie widać. Na nosie i brwiach wisiała pajęczyna, którą zgarnął nie ogolonym policzkiem. Dawid tam nie wchodził; ktoś przecież będzie musiał przysunąć i odsunąć szafę od ściany. Nosił w kieszeni klucz do piwnicy, a piwnica ta łączyła się z innymi, które zasypane były gruzem pod rumowiskiem zburzonej oficyny. A jak Niemcy tam zajrzą?

Mordchaj Sukiennik wyrył zapasowy tunel, którego wylot dobrze ukryty był w szopie, dalej zasypane lochy łączyły się z rozległym magazynem mydlarni w sąsiednim domu, a podobno dotrzeć można było tędy starym podziemnym przejściem aż do Hal. Tak mówił Chaskiel-stróż, a on żył na Krochmalnej trzydzieści lat i znał tutaj wszystkie zakamarki jak własną kieszeń. Taki los, Żydzi pójda za szczurami i chyłkiem przemykać się będą po piwnicach i norach, zejda pod ziemię i ukryją się, by żyć. Kto im pozwoli żyć? Prędzej czy później zostaną wytępieni. Szczurom jest lepiej, bo nikt jeszcze nie ogłosił *Rattenrein*. Mówiąc to Chaskiel śmiał się okropnie, a łzy pokazywały się w jego bezzęsyh czerwonych oczach i ściekały po śmiejącej się, wykrzywionej twarzy. Strasznie było słuhać tego śmiechu, patrzeć w te oczy. Ojciec powiedział, żeby Dawid schował się w piwnicy i siedział cicho jak mysz, a po czystce wrócił szybko na górę i odsunął szafę, bo matka udusi się albo zemdleje. Uparła się i nie chciała schodzić na dół, ponieważ ktoś musi przecież pilnować mieszkania! Tę skrytkę za szafą wymyśliła dla siebie sama.

Tego dnia po południu jeszcze raz wpadli na podwórze żandarmi całym patrolem. Z nimi policja.

— Schodzić tam, Żydzi! Drzwi zostawić otwarte... Jazda, Żydzi!

Policjant biegł po schodach z czapką w rękę i chusteczką przecierał starannie jej zapocone brzegi. Dawid minął go, zleciał na dół i wsunął się do piwnicy. Na podwórzu szczekali Niemcy:

— *Auf die Strasse raus! Schnell, Jude, herunter Schwein. Aber los! Los!*

Dotykając palcami wilgotnej ściany posuwał się w ciemności tak długo, aż głosy ich oddaliły się i zamarły. Za gardło chwyciła

go wielka cisza i serce w tej ciszy biło jak dzwon. Potknął się, upadł i zaczął rozpaczliwie szukać klucza, który upuścił. Wydawało mu się, że jak nie znajdzie klucza, będzie zgubiony. Po kwadransie Niemcy wyszli; do pełnej budy brakowało im tylko parę osób.

Trzeciego dnia akcji na ulicę wyszła szczeniakeria. Skrzyknięci zewsząd z zaułków, z ruin, z nor wyszli karnym i gwarnym tłumem na miasto, szukając zuchwale konwoju; żandarmi zatrzymywali się na ten widok i śledzili ciągnący pochód wyrostków. Starsi dodawali otuchy młodszym, obejmowali, ściskali za ręce. Krwaworączka rozbawionym spojrzeniem odprowadzał ich z chodnika, pełen uznania potrząsał przyjaźnie karabinem, a oni ciągnęli na *Umschlagplatz*, bez konwoju i nie zatrzymywani po drodze przez nikogo, przekrzykując się hałaśliwie i śmiejąc, przepychając do przodu i karcąc nawzajem za opieszałość. Na czele szedł Baruch Oks ze swą bandą; Baruch Oks bez żadnego bagażu, obciążenia, tylko z czarną skórzaną kurtką luźno przerzuconą przez ramię. Kiedy kolumna zatrzymywała się lub zwalniała kroku, odwracał się i idąc tyłem machał wściekle skórą nad głową. Uśmiechał się złym uśmiechem i oczy zwężone miał jak przed bójką. Za nim Mundek Buchacz kołysał barami pochylony, patrzył spode łba za siebie i na boki. Gwizdał wpychając palce między zęby, popędział. A tam, obok niego Kuba Wałach kulał sztywno klekocząc drewniakami, chichotał piskliwie i mówił coś do Mundka, który w odpowiedzi chrząkał i myczał. Josełe Żółtko maszerował długimi krokami, sapał; na plecach dźwigał worek, którego rogi owiązane sznurkami sterczały hardo, a te sznurki przerzucone miał przez ramiona i okręcone wokół końca worka jak pasy plecaka. Skądś wyskoczyła na ulicę maleńka, skulona, figurka i uważnie śledziła

idących rozbieganym wzrokiem. Mordka Caban pochylony wiązał mocno trepy, a potem zawołał w ich stronę:

— Dokąd, panowie granda?

— Na Madagaskar!

— Chodź, nie pytaj. Drałuj z nami.

Mordka Caban przywiązywał sobie trepy do kostek, a w kolumnie rozległy się gwizdy, śmiech. Josele Żółtko zszedł na bok i zawołał zdyszany:

— Sikalafą! Hrabia jeszcze tutaj?

Baruch Oks machnął skórzaną kurtką przed zdumionym Mordką, który patrzył na niego z szeroko rozwartymi ustami.

— Na *Umschlagplatz!* Idziesz?

— Dokąd?

Odpowiedział mu krzyk, śmiech.

— Wal z nami, Caban. Tam dają kilo chleba i pół kilo marmolady na łeppek.

— Naćpasz się za wszystkie czasy, Caban.

— Jeszcze ci mało, głodomorze?

— Masz u mnie podwójną marmoladę. Słodkiego do ust nie biorę. Przez te zęby!

— Faktycznie — powiedział Mordka Caban i biegiem puścił się za swoimi. Unosił wysoko czoło, prężył się i poklepywał zawieszony na ramieniu chlebak.

Szli przed siebie brzęcząc i tłukąc menażkami, dzwoniąc łyżkami o miski, wybijając takt na starych skorupach, które nieśli ze sobą w drogę. Tram tara ram tam; tara rara ram tam. Ze śmiechem ciągnęli na rampę kolejową na Stawki i okrzykom nie było końca. Jakaś kobieta rzuciła się między nich powtarzając bez ustanku jedno i to samo imię, ale odtrącona na bok dziesiątkami suchych rąk bezradnie stała obok mijających ją

szeregów w zgiełku, krzyku, chaosie rozmów i nawoływań. Uniosła ramiona i rzuciła się jeszcze raz za nimi, a potem bezwolnie wróciła na chodnik między zatrzymanych. Żandarm uśmiechał się przyzwalająco, ze zrozumieniem kiwał głową, a szczeniakeria szła dalej w swoją stronę. Błyszczące dziko oczy, ostrzyżone gładko czaszki, szare, kanciaste i nieforemne, przesuwały się ulicą, a drewniane trepy trzaskały o bruk czyniąc niesamowity hałas, klekot, stuk i wydawało się, że chcą porwać za sobą stojących, a ci pod konwojem czekali cierpliwie na swą kolej i oddalający się szum setek małych drewniaków wzburzeniem, gniewem, bezsilnością odzywał się w ich sercach.

Skąd tyłu? Z daleka otworzyła się przed nimi brama na dany przez strażnika znak. Szli żywi, silni tym dzikim upojeniem, które ogarnia tłum. Szli, wiedząc dokąd idą.

Dwie budy stały już na ulicy przed domem, Niemcy biegali po schodach, a Chaskiel-stróż bił młotkiem w szynę. Szyna wisiała koło trzepaka na wypadek pożaru, obok na długim łańcuchu wisiał też młotek. Dawniej, kiedy trwał nalot, najpierw rozlegały się syreny w browarze u Haberbuscha, potem Chaskiel stukał w szynę i ludzie schodzili do schronu, to znaczy do piwnicy i siedzieli tam po ciemku, póki alarmu nie odwołano; a dzisiaj żandarmi kazali stróżowi chwycić młotek i stukaniem wypędzić wszystkich z mieszkań. Chaskiel stukał w szynę, a oni zdążyli w tym czasie załadować dwie budy. Rodzinę stróża zostawili w spokoju, na drugie podwórko w ogóle nie weszli, ruin nie przeszukali. Brali okup, od kogo się dało, a kto nie miał pieniędzy, wychodził z tobołkiem przed bramę. Na miejscu wykończona została cała rodzina kupca Mordarskiego, żona, szwagier i syn. Surę-przekupkę postrzelili w jej własnym mieszkaniu, bo schowała się do pustej skrzyni, i jak otworzyli tę

skrzynię, sterczał stamtąd goły łokieć i usmolona węglem łydka. Wystraszona kucnęła na dnie chowając głowę w spódnicy. Niemiec strzelił do środka i zatrzasnął wieko, a jej buchnął w nos miał. Ale żyła. Żyła i w jakiś czas później, kiedy odnalazła ją w tej skrzyni Buba, słabą jak dziecko, o uczernionej węglem twarzy. Bez opatrunku, z zakrwawioną kiecką ukryła się na strychu i tam stękała jeszcze dwa dni, wołając o wodę. Okazało się, że ma tylko postrzelone udo. Nocami nosili jej ukradkiem jeść, obrzęk tymczasem wędrował wyżej, a kiedy spuchło biodro i brzuch, Sura pokuszyła na dół; chciała się dostać do transportu, ale nie zaszła daleko i żandarm dobił ją za rogiem. Elijahu poznał zwłoki po granatowej, spuchniętej nodze.

Minął trzeci dzień akcji i Chaskiel w sobotę dalej stukał młotkiem w szynę, stojąc na podwórzu z bagażem i z rodziną. Policja w pośpiechu przebiegała ciemne sienie, strzelając w głąb strychów, do mijanych drzwi mieszkań, gdziekolwiek rozległ się szmer. Tego dnia spędzili z ulicy schwytanych mężczyzn, a ci długo dźwigali sprzęty na dół i oknem wyrzucali meble i toboły pościeli, aby ludzie nie mieli już gdzie się skryć ani na czym spać nocą, kiedy wypełzną z kryjówek. A żandarm Krwaworączka wracając z obchodu wymijał teraz na środku podwórza meble, kaleką szafę z rozrzuconymi szeroko odrzwiami, zapluskwione łóżka i materace ciśnięte na stos, piramidę krzesel, stoły przewrócone bezradnie do góry nogami, komodę i pogubione szuflady, z których wysypała się zawartość, papiery i dokumenty, modlitewniki, jakieś podeptane gałgany płaczące się pod nogami — i zatrzymując się na widok swego odbicia w mijanych lustrach przeciągał ręką po ogolonym gładko policzku i ostrożnie poprawiał czapkę.

Czwartego dnia akcji rozległ się rano huk, to jakiś żandarm

idący ulicą wysadził granatem zamkniętą bramę w sąsiedztwie. Wkrótce zjawił się patrol żandarmów z Wściekłym Psem, który służył im za tłumacza. Ukryci słuchali, co policjant krzyczy. Wściekły Pies był pijany i groził, że jak Żydzi po dobremu nie wyjdą sami, to on wyciągnie ich za brody z kątów! Brać bachory i wychodzić! Postrzelali na postrach w okna, pokrzyczeli, poszli. Każdy w ukryciu czekał, co będzie dalej. Cichaczem wymykali się z kryjówek i naprędce gotowali coś do zjedzenia. Z ulicy wbiegli jacyś przechodnie, których trudno było poznać; z Nataniela policjanci zdjęli buty, płaszcz i marynarkę, a ruda Estusia szła w męskiej koszuli. Wołali, żeby zrzucić im kłodę. Wieczór minął spokojnie; szaulisi rozstawieni na balkonach za murem otworzyli ze wszystkich stron ogień, opróżnili magazynki i pozbywszy się amunicji odeszli do koszar. Na podwórze już nie zaglądał żaden hycel. Deszczyk lipcowy pokropił pościel wyrzuconą na bruk i słońce zachodziło w ruinach. Kto mógł, ten wracał do siebie, kładł się w ubraniu przy otwartych na oścież drzwiach, nie zapalając światła, i zachowując grobową ciszę w splądrowanym mieszkaniu drzemał. O północy wbiegła do kamienicy gromada obcych i rozproszyła się na schodach szukając schronienia. Uciekinierzy mówili, że puszczono ich z kolumny po drodze na Stawki; całą noc mieli zamiar pilnować ich konwojenci, ale machnęli ręką i odmaszerowali. Pada, plac przeładunkowy zapchany okropnie, dzisiaj transportów więcej nie będzie, a ostatni skład odjechał wieczorem. Wydawało się, że są zawiedzeni zwłoką w podróży. Tymczasem nie mogli się dostać do domów, bo patrole krążą ulicami i strzelają do przechodniów. Jutro stawią się na miejscu, pójdą sami na Stawki i odjadą. Tak czy owak, nie ma co tutaj robić; ewakuacja uratuje ich przynajmniej od śmierci głodowej, a może dostaną pracę.

Pchali się do kranów i pili wodę. Po całym dniu włoczęgi byli spragnieni. Z dumą pokazywali bagaże, nic im nie odebrano. Bagaż można ze sobą zabrać, o ile waga jest przepisowa. Jedni mówili, że wolno brać jedenaście kilo, inni, że trzy. Byli tacy, co mówili, że dwadzieścia kilo. Niektórzy nie mieli z sobą nic. Po co?

Nazajutrz od samego rana wszyscy byli na nogach. Uciekinierzy wymknęli się pierwsi i kamienica znów opustoszała; przez wytłuczone szyby niesły się podwórzem markotne głosy.

— Rywa, Rywa, co jej mam włożyć?

— Niebieski sweterek!

To w stróżówce Chaskiel wołał do żony ubierając przed drogą małą Rojzełę. Zewsząd rozlegały się nawoływania w popłochu pakujących się ludzi. Juda Papierny wołał sąsiadów, żeby mu znieśli fotel. Ochrypl od krzyku, zanim wróciła córka z miasta. W tym zamęcie szukała wózka, aby powieźć chorego na *Umschlagplatz*. Ci Niemcy rozumu nie mają, jeśli im się zdaje, że człowiek, któremu nogi odjęło dziesięć lat temu, może o własnych siłach iść do pociągu! Buba narzekała i pchała fotel do sieni, skąd zniósł kuśnierza Mordchaj Sukiennik. Jankiel wybiegał na próg suteryny, wracał. Trzepotał połami fartucha, popędzał Reginę, żeby szybciej szła. A jak ona w ogóle będzie w taką drogę szła? Skargi Reginy biły w niebo. Ma żyłaki i krótki oddech. Niech sam idzie, uparty koziół, z tym szalonym furmanem, ona zostanie. W końcu poszła za krawcem; niosła walizkę, a Jankiel Zajączek szedł przed nią przyciskając oburącz do piersi główkę maszyny zawiniętą w kawałek brezentu. Przed bramą Mordchaj Sukiennik z workiem niedużym i lekkim oglądał się za żandarmem.

Juda Papierny siedząc w fotelu pytał:

— Ajzen. Mów, co dalej robić. Kryć się? Wychodzić?

— A dajcie mi wszyscy święty spokój. Co ja mogę komu w takich czasach radzić? Osłonię was? Czym? Schowam? Gdzie? Pod szuflą na śmieci!

Chaskiel Ajzen włożył na ten dzień lnianą koszulę w drobny prążek i sobotni garnitur z bielskiej wełny. W ramionach trzymał małą Rojzele w niebieskim sweterku i wylazła mu koszula ze spodni. Buciki dziecka martwo kołysały się, kiedy biegł. Rywa poganiała Awruma, który kolaniem ugniatał tobół.

— Chodź, Awrumek. Chodź, dziecko moje, bo się zgubisz.

Awrum uniósł tobół z ziemi i jęknął. Rywa z rozmachem zarzuciła sobie tobół na plecy, aż zsiniały żyły na jej szyi.

— Puść, Awrumek. Jeszcze zdążysz się nadźwigać.

Weszli żółci OD-mani na podwórze całą zgrają i z nimi rodzina Kalmana Drabika pod konwojem udała się do dużego getta do krewnych, a sam Kalman został tymczasem na starych śmieciach, pilnować tego, co zostało. Żółci byli grubo opłaceni i przez następny tydzień pomogli mu część majątku transportować do dzielnicy nie objętej jeszcze czystką; wszystko było zawczasu ustalone, a rzeźnik nie miał zamiaru opuszczać kamienicy do ostatka. Wiadomo, pieniądź wszystko może. Może czy nie może, ale Kalman Drabik był spokojny o siebie. Tymczasem gruchnęła wieść o tym, że Niemcy wystrzelali na Czystem cały oddział chorych, w łózkach, razem z pielęgniarzami i doktorem. Wiadomość powtórzył Hrabia Grandi, który przyszedł pożegnać ojca i tego dnia stanął przed Judą Papiernym z pałąką, z żółtą opaską na rękawie, w sztywnej okrągłej czapce i w oficerskich butach wyczyszczonych do połysku. Przyszedł powiedzieć, żeby stary nie brał z sobą niczego kosztownego, bo i tak mu wszystko

po drodze odbiorą. Niech synowi da na przechowanie, w dobre ręce. Papierny uniósł się i krzyczał, żeby mu podali kule na tego łobuza. Czkwawki dostał ze złości i wstrząsała nim jeszcze długo. A Buba, zapłakana, wyszła za bratem na ulicę i powiedziała:

— Oj, Loniek, czego ty chcesz? Dawno ojca okradłeś. A dzisiaj trzeba nie mieć serca dla chorego człowieka, który dwiema nogami stoi w grobie.

— Stary baran, tak się splukał. I to ze wszystkiego!

Hrabia Grandi przytknął palcem w lakierowany daszek czapki i poszedł.

Wrócił jeszcze tego dnia, służbowo. Budy stały na ulicy i zaganiano do nich starych, niedołącznych, dzieciarnię, a ci, co szli bez oporu, ustawieni w kolumnie czekali cierpliwie na otwarcie przejazdu, zapełniając zbitym tłumem cały ten odcinek od wylotu Krochmalnej do Chłodnej. Krwaworączka z Wściekłym Psem i paru żółtych OD-manów wbiegło na podwórze w poszukiwaniu uciekinierów; Hrabia Grandi był wśród nich. Najpierw obeszli wszystkie piętra i chcąc wypłoszyć ludzi z kryjówek, zaglądali w każdy kąt strzelając na oślep. Szyby brzęczały, trzaskały pod naporem podkutych butów zamknięte drzwi. Już wcześniej, przed południem zniosła Buba z pomocą Mordchaja wielki fotel po schodach, a teraz ten fotel stał na podwórzu i kuśnierz Papierny zapadł się w nim sztywno, mijany przez odchodzących. Broda trzęsła mu się bezustannym starczym drzeniem, siwy zarost okrywał wiotkie policzki zryte dwiema długimi bruzdami. Za nim stała Buba na mocno rozstawionych nogach i jej czarne, grube brwi rzucały mroczny cień na wielkie oczy. Nad czołem sterczał wysoki fiok, szerokie nozdrza gwałtownie chwytały oddech. Obiema rękami trzymała fotel i dwóch hyclów musiało do krwi tłuc te ręce, zanim puściły oparcie. Czepiała się munduru jeszcze

w bramie, krzycząc coś w twarz żandarmowi, spocona, w podartym swetrze. Juda Papierny ze swojego miejsca patrzył na to w milczeniu. Jak sąsiadów pędzono z kamienicy kopniakiem, jak sami potulnie szli i całymi rodzinami dołączali do kolumny. Żegnał ich lekkim skinieniem, bezustannym drzeniem głowy. Gdzieś za bramą, na ulicy rozległo się wołanie Buby i Papierny opuścił nisko czoło. Podwórze było już puste, ludzie przeszli. Ci, którzy nie stawili oporu, tłumnymi szeregami maszerowali na Stawki, inni w kryjówkach wstrzymywali oddech, policjanci myszkowali po piętach i tłukli ostatnie szyby, a Krwaworączka pruł z automatu do mebli, z wrzaskiem otwierał szafy i strzałami wymiatał kurz spod łóżek, zachęcając ukrytych do wyjścia. Nikt jakoś nie wychodził i policja bez zapалу grzebała wśród porzuconych rzeczy; ludzie w skrytkach słyszeli kroki, rumor, a w oknie Mordarskiego ukazał się Wściekły Pies i sapiąc przerzuczał przez parapet ciężkie toboły, które z donośnym pacnięciem leciały na asfalt przed oknami stróżówki. Nagle wbiegł przechodzień z ulicy pytając, czy Niemcy już poszli, nieprzytomny ze strachu. Paroma skokami dopadł sieni i tutaj w wejściu dosięgnął go strzał Krwaworączki, który wysunął lufę przez okno i z uwagą popatrzył na leżącego, zanim poprawił krótką serią, przechylony za parapet i dobrze widoczny z dołu. Kiedy policjanci zgromadzili się na podwórzu, ujrzeli kuśnierza. Kolana okryte miał szarym kocem i kule wsparte o poręcz. Hrabia Grandi bezradnie jakoś zasłonił sobą ten fotel i spojrzął na żandarma. Krwaworączka zdjął hełm, przygładził włosy. Wściekły Pies z szerokim uśmiechem powiedział mu coś szeptem do ucha.

— *Ah so.*

I Krwaworączka podał broń złotemu. Hrabia Grandi stał przed

Niemcem, a pomiędzy nimi był tylko automat i kołyszący się rzemienny pas. Krwaworączka zachęcającym ruchem odsunął broń jeszcze dalej od siebie, a on zgarbił się i zmałał. Zdawało się, że upadnie, kiedy żandarm klepał go po ramieniu i mówił pogardliwie rozciągając słowa:

— *Du, Lumpenhund. Vater? Das macht nichts. Ein Schuss, ein Mensch... es ist aus mit ihm.*

Hrabia Grandi patrzył w zaciśnięte oczy Niemca, potem przeniósł spojrzenie na fotel, w którym sztywno siedział stary Papierny i lekkim skinieniem zachęcał go do wzięcia broni. A może głowa mu się tak trzęsła bezustannym starczym drżeniem.

— Loniek, rób, co ten pies każe. Długo mam tutaj siedzieć i czekać? Już mnie łamie w kolanach.

Krwaworączka zniechęcony władował serię złotemu, a Hrabia Grandi zgiął się i ciągle stojąc o własnych siłach, zgubił czapkę. Zgięty upadł. Juda Papierny odchylił głowę i sapnąwszy przez nos, oparł mocno ręce na oparciu.

— Moja krew — powiedział Papierny, a Hrabia Grandi leżał przed nim drapiąc palcami ziemię.

Były to jego ostatnie słowa. Wściekły Pies wziął broń do ręki i opróżnił magazynek; zostawili kuśnierza na środku podwórza i spuchnięty trup tkwił w tym fotelu jeszcze po tygodniu.

Klucz, który Mordchaj rzucił w gruzy tego dnia, podniósł Elijahu i za nim schroniło się do szopy kilkunastu ludzi, którzy w zamęcie uciekli na drugie podwórze. Wraczał ten i ów z ulicy, a Kalman Drabik stał ze szpadlem w ręku przy drzwiach i nie wpuszczał złotych. Drapało w gardle od kurzu i suche źdźbła siana latały w powietrzu, kiedy beładnie obszukiwali kąty. Przez szpary w deskach wciskały się prążki słońca i ciemność była przegowana na czarno i żółto, a Żydzi, jak okryci jednym tałesem,

siedzieli przytuleni do siebie. Jakaś kobieta, która uciekła z ulicy, wtykała smoczek dziecku. Ono ten smoczek wypluwało, a matka wtykała z powrotem. Słysząc było kroki policji, nawoływania, strzały, a Kalman Drabik wyglądał przez szparę na podwórze; o mało nie obciął głowy stróżowi, który dobijał się do szopy. Uniósł szpadel, kiedy otworzyły się drzwi — i wpadł Chaskiel w lnianej koszuli w drobny prążek i w sobotnim ubraniu, podartym już i uszarganym. Kogoś szukał. Powtarzał, że trzeba siedzieć cicho. Jak wytrwają do jutra, będą uratowani. Kalman Drabik śmiał się w kącie za drzwiami i ścisnął trzonek szpadla. Chaskiel spojrzał na niego nieprzytomnie. Więcej go już nie widzieli, ale wieczorem zjawił się Awrum i pytał o stróża. Okazało się, że Chaskiel w ostatniej chwili uciekł z ulicy, rzucił po drodze toboły i gruzami przelazł na drugie podwórze, w skrytce na strychu zamknął rodzinę, a sam zszedł na dół. Między jego wyjściem z szopy a przyjściem Awruma minęły może dwie godziny. W tym czasie wrócił Mordarski bez jednego buta. W bucie miał trochę pieniędzy, więc musiał go zdjąć na Chłodnej. Widział, jak stróża zabrali, sam dał w łapę granatowemu i uciekł, a teraz nowinę powtórzył Awrumowi. Awrum nie wierzył. Chaskiel wszystkie przejścia zna jak własną kieszeń, stąd do samych Hal.

Do Hal? Kalman Drabik już nie puścił z rąk Awruma, póki wszystkiego nie powiedział. Tak, jest ukryte przejście do Hal, stare, znane stróżowi przed wojny. Awrum narysował na kawałku papieru całą drogę i z tym papierkiem i ze świeczką Kalman Drabik zniknął na podwórzu. Była już noc. Kazał im czekać, aż wróci. A Awrum pokręcił się, wrócił do stróżówki, zmienił brudną koszulę i zabrawszy coś do jedzenia poszedł do Rywy, która czekała z małą Rojzele na strychu bez kropli wody.

Rano, kiedy wyjrzeli przez szparę między nieszczelnymi deskami szopy, cała trójka z ostatnim niedużym tobołkiem szła w kierunku bramy, Rywa, Awrum i Rojzele. Tymczasem Mordarski, ciągle w jednym bucie, kłócił się z Naumem. W którym miejscu? W którym miejscu furman kopał przełaz, o to mu chodziło. Przebudzili tych, co spali, i dopiero zaczęła się awantura. Kalman Drabik wrócił z lampą naftową, z blaszaną banieczką, z grubym wełnianym kocem. Wtedy Elijahu przełaz pokazał: trzeba było najpierw odsunąć wyrko Mordchaja Sukiennika i stos uprzęży. Niepozorne przejście wyryte było w gruzach zburzonej oficyny, aż do piwnic. Piwnice zachowały się i tam znaleźli dziury w murze prowadzące do sąsiedniego domu, dalej ciągnęły się obszerne składy mydlarni Lederów i stara Zełda postępując rozstawiała niedopałki świec w załomach ścian. Wszędzie widzieli ślady przerwanej pracy, wiadra bez wody, materace butwiejące w wilgoci, puste bańki do nafty, porzucone narzędzia i wykute w połowie kanały wentylacyjne. W ten sposób znaleźli się w kryjówce o paru wyjściach; zburzona oficyna nie dawała dostępu do tych piwnic, a przełazy były nawet nieźle zamaskowane. Kalman Drabik patrzył dalej na swój papierek i opukiwał ścianę; nikt nie chciał z nim iść ciemnym lochem w podziemne ruiny starego browaru, pod zimnym i mokrym sklepieniem. Wrócili do szopy uspokojeni, a on pchał się dalej.

Przyszedł wkrótce czas, kiedy szukano Żydów w gruzach, ale tego dnia nikomu z nich to nie wpadło do głowy i każda godzina oddalała od transportu, zdawało się, na zawsze. Przecież to piekło nie może wiecznie trwać! Mordarski szukał butów. Nocą Elijahu wymknął się na podwórze i zdjął oficerki z Hrabiego Grandi. Buty były w całkiem znośnym stanie, z cholewami do kolan, tylko trzeba było usunąć z nich zimne i przepecone

onuczki. Mordarski krzywił się najpierw, kiedy je wciągał, a potem krążył po szopie i robił przysiady, żeby je rozchodzić. Elijahu patrzył na to zadowolony z siebie, Mordarski kuczał, a buty na jego łydach skrzypiały. Przybiegł Uri, zaczął szeptać z Naumem w kącie szopy i w pół godziny wszyscy już wiedzieli, że na Stawki poszła Ciepła, Ceglana, Krochmalna cała aż do muru i resztki niedobitków koczujących na Walicowie. Kto ma kartę meldunkową i świadectwo zatrudnienia — nie podlega czystce. Rzemieślnicy chodzą do fabryk żebrac o robotę, płacą majstrom ogromne łapówki za numerki, przemykają się ulicami z narzędziami na plecach od warsztatu do warsztatu, idą do Brauera na Gęsią, do Schillinga na Nowolipki, do „dużego” Toebbensa na Leszno i do „małego” Toebbensa na Prosta, do fabryki szczotek na Wałową i do Transawii, gdzie kto ma znajomych. A oni siedzieli w tej szopie słuchając krzyków z ulicy. Od samego rana Niemcy musieli mieć pełne ręce roboty, taki był wrzask.

Niektórzy wracali. Widocznie można było jeszcze uciec. Ścigani zapadali w ruinach, chyłkiem przemykali się do domów, biegli strzeżonymi ulicami i dobijali się do zamkniętych na głucho bram. Mordarski dał policjantowi w łapę pięć świnek. Mecenas Szwarz wykupił się za trzy tysiące i litr spirytusu. Mówił, że z hyclami można się jeszcze dogadać. Włóczył się potem od kryjówki do następnej kryjówki z malcem, wyrostkiem i kuferkiem wiklinowym, aż zawędrował na Krochmalną. Nie zabrał z sobą nic, nie zdążył — zmartwiony, opowiadał wszystkim, co w mieszkaniu u niego stoi; nieśmiało prosił Mordarskiego o pomoc. Mordarski po zastanowieniu zgodził się pójść do Szwarca i przynieść mu resztę cennych rzeczy w obstawie żółtych OD-manów, których dopuścił do interesu.

Szwarc nie żałował niczego; mówił z oburzeniem o kupcu Lewinie, że Lewin poszedł na *Umschlagplatz* ze skąpstwa, bo nie chciał grosza dać policji.

— Po prostu przyszedli coś zarobić. A wiedzieli, do kogo. Lewin wściekł się i powiedział, że ma ich wszystkich gdzieś. Wszystkich, granatowych, żółtych, zielonych i czarnych! Idzie na Stawki, byle nie oglądać dłużej takich zakazanych mord. Mogli z niego wydusić siłą. Ale po co? Tylu chętnych pcha się z forszą, jeszcze całuje policję w mankiety.

I bez skargi poszedł kupiec Lewin na plac Parysowski pod rampę, razem z młodszą córką Anielcią i z Białą Ceśką. A po drodze i tak obrabowali go szaulisi ze wszystkiego; Uri był przy tym, widział, jak rewidowali Lewina na Stawkach.

— Oj, gdyby zapłacił łebkowe w porę, zostałby w mieszkaniu i nikt by go nie śmiał ruszyć.

Mecenas Szwarc oburzał się. Mordarski kiwał z politowaniem głową.

— Wiadomo, nie każdy umie robić użytek z pieniędzy w tych niespokojnych czasach. Lewin zawsze brał za duży rozpęd.

Ludzie w kryjówce mówili o nim z uznaniem, jakby znajdował się jeszcze wśród nich.

— Lewin swój honor ma i nie da się szantażować byle smarkaczowi!

Znajomi pytali o znajomych, krewni o krewnych. Kogo wzięli, kto uciekł, a kto się wykupił. Każdego krzepi wieść o przekupstwie żandarmów, o chciwości policji i podtrzymuje na duchu. Jak będzie dalej, nie wiadomo.

Mordarski wywodził ochrypłym basem:

— Póki hycel zachowuje w sercu chciwość, ma w sobie kawałek człowieka. Łapówka to ratunek ludzkości, czuły głos

znieprawionego sumienia. Co nam więcej pozostało? Płacić, płacić, do końca płacić! Anioł ma skrzydła i osłania Żyda, a spod tych skrzydeł wyciąga się wielka łapa, która chwyta pieniądze i liczy. Trzeba szybko taką łapę posmarować i w nogi. Dopóki za złoto kupić można życie, jest o czym mówić. I rachunek się bilansuje. A niejeden anioł stoi na drodze, Żydzi.

Mordarski czochrał się szkaradnie i długo. Mecenas Szwarz potakiwał.

— Ze wszystkich przykazań pozostało jedno, ostatnie: nie bądź głuchy na los bliźniego swego, który ma czym ci zapłacić.

We dnie schodzili w głąb do piwnic i drzemali pod rumowiskiem zburzonej oficyny, nocą snuli się w szopie, czuwając. Głosy z zewnątrz rozlegały się coraz rzadziej, ciszej, ale żandarmi nadal przetrząsali dom za domem i sień za sienią. Idąc cicho po schodach przystawali z bronią gotową do strzału i na każdy szmer za ścianą wszczynali ponownie poszukiwanie. Ich postaci zaczone w półmroku strasznym lękiem napełniały serca ludzi w kryjówce; szeptem powtarzano sobie wieści o czarnych, o ich chciwości, o ich okrucieństwie, o ich podstępach, o ich psach. Zapuszczali się na strychy szukając ukrytych w zakamarkach dzieci, zniedołężniałych starców zarytych w pościeli wykańczali strzałem na barłogach, ściągając z nich brudne pierzyny. Pukali w mur. Oddzieleni ledwo ścianką, oddaleni o krok wstrzymywali oddech w zupełnej ciszy i w jakimś strasznym jasnowidzeniu krążyli koło ofiar przyciągani ich obecnością. Zamiast psa Niemcy prowadzili na powrozie schwytanego Żyda. Bity, raz po raz wołał:

— Leon, wychodź, bo cię widzę! Jakub, nie chowaj się dłużej, to pan żandarm daruje ci życie!

To był Nahum Szafran.

Po wodę chodzili nocami. W ciemności daleko niosły się szepty, szmery, trzaski. O tej porze wśród ukrywających się panował ruch i ożywienie; jedni szukali bliskich, inni ukradkiem gotowali, szli do pustych mieszkań w poszukiwaniu prowiantu, odzieży i szmat.

Trzeba było cicho minąć podwórze zastawione bezładnie meblami, zagłębić się w labirynt szaf, stołów, luster, w których odbijał się księżyc, z nagłą rzucając w oczy podstępne światło ścigające żywych — a oni w osłupieniu oglądali własne trupio blade twarze. Schody trzeszczały jak świeżo zbita, źle dopasowana trumna. Wiatr stukał otwartymi na oścież oknami, gdzieś trzasnęły drzwi i dom ożywał o tej nocnej porze od piwnic po strych.

Było już po północy, kiedy matka napaliła pod blachą i naprędce ugotowała „kluski”. Smutno tlił się mały ogienek, syczała lekko woda w garnku. Zabieliło się, spieniło pod pokrywką. Matka w oczekiwaniu oparła się o piec, trzymając się rękami zimnych kafli. Przymknęła oczy i opuściła głowę, a padający spod blachy ogień oświetlał różowym blaskiem szyję, skroń, przymkniętą powiekę. Czekali cierpliwie na posiłek, który pochłonął ostatnie resztki mąki i dwa krzesła. Dawid połknął trochę gorącej wodzianki, a matka odsunęła jedzenie po paru łyżkach i powiedziała ochrypłym szepem:

— Nie mogę tego przełknąć.

Włała do garnka z powrotem. Splotła ręce w ciszy i obojętnie patrzyła w kąt zrujnowanej rudery, bez ruchu. Kiedy usłyszeli na schodach ostrożne, powolne kroki, cicho zalali ogień. Kroki posuwały się wyżej, z wahaniem zatrzymały na półpiętrze i znów zbliżyły. Nie wiadomo kto otworzył drzwi; zatrzymał się, posunął do przodu i wtedy — gdzieś zza szopy Mordchaja, z ruin

zburzonej oficyny buchnął w ciemności krzyk.

— Nataniee...

Usłyszeli jeszcze zduszone stęknienie i łoskot na schodach. Kroki zatrzymały się na podwórzu, a potem ktoś potrącając na oślepie zgromadzone sprzęty wbiegł do bramy; stuk butów na asfalcie zabrzmiał wyraźnie, zostawiając za sobą płaskie echo.

Już tej nocy nie wpuszczono ich do kryjówki z powrotem, więc trzymając garnek z „kluskami” czekali w piwnicy świtu. Dawid drzemał, osuwał się po wilgotnym murze i budził ze znużenia i chłodu. Jeszcze parę razy rozległy się krzyki, łomot pięści o deski szopy, ale nie wiedział, czy to jawa, czy sen, stał oparty plecami o ścianę i nogi sztywniały pod nim, ugiwały się, grzęzły w miękkich łomokach. Nie mógł ich stamtąd wydobyć, kiedy biegł przez ciemne podwórko ścigając człowieka bez twarzy. Już, już miał go zobaczyć w mijanym lustrze, ale krzyk: „Natanielu!”, wyrwał go ze snu, i przetaił szybko oczy.

W piwnicy było zupełnie czarno, wiało zewsząd wilgotnym chłodem. W ciszy, przerywanej oddechem matki, którego ciepło czuł na uchu, usłyszał szept.

— Nic, nic, to Estusia wrzeszczy. Pośpij jeszcze trochę.

Gruz sunął z rumowiska zburzonej oficyny, trzeszczał pod czyimiś nogami, z szumem walił się na asfalt. Dotrwali tak do szarego świtu. Kryjówka nadal była zamknięta i wrócili. Martwa, stojąca cisza panowała na podwórzu za dnia, a z ulicy nie zajrzał do tej pory żaden z przebiegających tędy strażników. Przejście piwnicami zawalone było blokiem cegieł stoczonym z rumowiska i podparte z drugiej strony; wołali na darmo. Zresztą nie podnosili głosu. Dawid z wysiłkiem próbował połączyć hałasy nocne z tym, co widział, z zawaloną skrytką, i coś mu przeszkadzało zrozumieć wszystko do końca — strach. Byli

odcięci od kryjówki i wiedzieli, że nie będą tam wpuszczeni. A na ulicach wzrastał się szum, zgiełk tłumu. Kiedy wysunęli głowy z sieni, podwórze było jasno oświetlone słońcem, a na przewróconej szafie siedział granatowy policjant i liczył starannie pieniądze poruszając bez przerwy ustami. Ślinił palec, dalej liczył. W bramie żółty wyrwał komuś dziecko i dziecko płakało, żółty płakał, a Żyd, który szamotał się z nim, wypluł na ziemię krew i zęby. Cofnęli się do sieni, ale już było za późno: z ulicy biegli hycle wrzeszcząc, ze schodów cicho wypadł na nich jeszcze jeden. Wyszli. Wszystko trwało jedną chwilę; hycel wyrwał matce garnek z ręki i cisnął na ziemię. Przyłożyła dłonie do zapadłych policzków, pokiwała smutno głową.

— Człowieku, co robisz? Ostatnia odrobina mąki. I tak się zmarnowała.

Hycel, ociekający potem, patrzył nieprzytomnie na swe ochlapane spodnie, na kluski przyklejone do buta. Podbiegł drugi i chwycił matkę za łokieć, a ona, chcąc się wyswobodzić, tak jakoś uniosła ramię do góry. Krzyknęła ze złością:

— Ręce przy sobie! Ty chamie, nie szarp. Sama pójdę.

Kiedy ją puścili, zachwiała się na nogach — chucherko — i poszła szybko w kierunku bramy nie obejrzawszy się nawet. Za nią łapacze, Dawida nie ruszył żaden. Granatowy podniósł głowę, wetknął palec do ust i dalej liczył pieniądze. Dawid postać chwilę, a potem wybiegł na ulicę. Tutaj stał tłum na całą szerokość zaułka, od ściany do ściany. Jakiś zapchany samochód trząsł się przy krawężniku i dymił. Słoczeni na platformie ludzie wyciągali ręce, wołali. Hałas był straszny, blade twarze o otwartych do krzyku ustach cisnęły się nad ramionami tych, którzy stali z przodu, znikwały, wracały. Żandarm opuścił klapę z hukiem, jeszcze parę osób wepchnięto na ciężarówkę i wśród

nich zobaczył Dawid matkę, jak chwyciła wyciągniętą ku niej dłoń.

Każde spojrzenie może być ostatnim.

— Stój, gdzie lecisz? Nie gryź, wilcze szczenię!

Twarda ręka spoczęła mu na twarzy. Przepychając się rozpaczliwie w tłumie, który stał tak ciasno zbity, że chwilami nogi bezradnie zawisały w powietrzu, Dawid zaczął wołać, bez tchu, unoszony jakąś ślepą siłą do przodu, a ponieważ nie mógł w zamęcie usłyszeć własnego głosu, zamilkł i szeroko rozwartymi oczami patrzył przed siebie z bolesnym zdumieniem, smutkiem i wstydem, że nie ma nawet siły zapłakać na ten widok. Żandarm podniósł już klapę biegnąc i wspiał się ostatni na dek. Ciężarówka wolno ruszała, wyciem klaksonów torując sobie drogę, a ludzie pryskali spod kół, ustępowali konwulsyjnym ruchem ciżby, ciekącej na boki, gęstej i czarnej.

Jeszcze dwa wozy zabrawszy ładunek odjechały, ale tłok nie zmalał. Żandarmi z krzykiem starali się wnieść porządek i byli bezradni. Tłum przewalał się od ściany do ściany i komendy Niemców ginęły w ogólnym zamęcie; najpierw zaczęli rozpraszać tłum, gromadzić koło siebie mniejsze grupy i formować z nich kolumny otaczane natychmiast strażą. Stojących z boku przygniatali do ścian i zatrzymywali, a tych, którzy znaleźli się na jezdni, pędzili naprzód. Wacha otwarła przejazd na oścież — tak że ustawieni szeregami mogli się posuwać krok za krokiem. Kładli bagaże na jezdni, brali w ręce, szli kawałek; przy zbiegu Żelaznej zatrzymywano ich, bo tamtędy ciekł osobno inny potok ludzi, z którymi łączyli się razem. I trwało to tak długo, póki Żelazna nie opustoszała. Powoli żandarmi zaczęli nabierać wprawy i pewności siebie, a koło południa nadeszły posiłki i wśród ściągniętych w pośpiechu można było dojrzeć

barwy różnych broni, jednostki SS, Feldgendarmierie, Łotyszów, Ukraińców, Białorusinów i specjalny oddział wyszkolonych do tego celu Junaków. Policja strzegła bram domów, aby nikt nie umknął, i rozciągnęła posterunki wzdłuż chodnika, a Łotysze opuścili swe stanowiska na piętrach i stanęli przed murem, po tej stronie Żelaznej. Odesłano ciężarówki, które nie nadążały z wywózką i powiększały chaos, wstrzymując ludzi w marszu. Coś się tam zatkało i na skrzyżowaniu zatrzymano mały wóz polowy, i z wysokości tego wozu jakiś podoficer dawał z daleka znaki. W jednej ręce trzymał dużą białą chustkę, którą powiewał, w drugiej pistolet. W tym hałasie nie słychać było komend i kiedy rąbał z pistoletu w powietrze, strażnicy odwracali głowy, w miarę potrzeby pędząc tłum i zatrzymując. Nie puszczano ciągle z chodnika na jezdnię i cofano tych, którzy biegli na widok maszerujących środkiem rodzin. Policja szalała. Wyprowadzona z równowagi, pchała ludzi na ściany bijąc i kopiąc.

— Dalej jazda, cofnij się!

A ludzie, przyparci do kamienic, nie mieli gdzie ustąpić przed pałkami. W końcu szeregi zaczęły biec i zrobiło się luźniej, a kiedy rzędna kolumna mijała skrzyżowanie, Dawid zobaczył znajomą twarz: prof Baum stał na środku ulicy i musiał go widzieć, bo usta prof Bauma otwierały się szeroko, zamykały, a dłoń nieznacznie uniesiona w górę wykonała trwożliwy gest pożegnania. Zwinięty koc przerzucony miał przez ramię i miskę blaszaną wiszącą u pasa. Kiedy popędzono ich i kolumna ruszyła, odwrócił się jeszcze i potrząsnął książką w płóciennej szarej oprawie.

— Dawid, pamiętaj o — ale o czym, nie miał usłyszeć. Kolumna pędzona za róg ruszyła z miejsca, na przedzie biegli już ciężko pod ciosami konwojentów i prof Baum poszedł przed

siebie, kulejąc. Łotysze stali wzdłuż muru na Żelaznej z karabinami wymierzonymi w przebiegający tłum, który rozciągnął się na zakręcie, i wtedy prof Baum mignął mu po raz ostatni. Długie, siwe włosy rozwiane bezładnie otaczały jego głowę srebrną burzliwą chmurą. Jezdnia była pusta, pełna pogubionych rzeczy, zaśmiecona; żandarm wołał mężczyzn spod ściany i kazał im uprzątać bagaże tarasujące przejście. Zatrzymanych na chodniku dalej nie puszczano.

Patrol esesmanów rozsypany w tyralierę zbliżał się uważnie do następnej przecznicy i okrążał w ruchu czoło pochodu wynurzające się z ulicy Ciepłej.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](https://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/).

XIV

Oskrzydlali w marszu tłum, który posuwał się zbitą, uporządkowaną masą pod wzmocnionym konwojem.

Uczyła się cisza, przerywana krótkimi komendami Niemców. Wszystkie automaty wymierzone były w przecznicę, zza której dochodził rosnący zgiełk. Jakiś policjant w ostatniej chwili próbował ukosem przebiec jezdnię i esesman rozkraczony na środku wpakował mu lufę pod żebra z wrzaskiem:

— *Weg!*

Szli.

— *Auf die Seite, weg! Rechts halten, rechts halten!*

— Żółty, ty tam. Stań i uważaj, żeby mi tutaj żaden łepiek nie prysnął za róg.

— Gdzie, Żydu! Ja ci dam do bramy... kopytami się nakryjesz! Już, wracaj mi tu.

— *Zurück!*

— Nie oglądaj się za siebie, tam już nic nie ma do oglądania.

— Gdzie jest mój Leon? Ludzie, mój Leon? Szukajcie mojego Leona, on przecież musi gdzieś tutaj być.

— *Herr Offizier, wie weit ist es nach Treblinka?*

— Wody! Wody!

— Marsz, jak ja dam wody, to ci bańki nosem pójdą. Może jeszcze kogutka na ból głowy? Ruszaj się, ruszaj.

— Leon Skórko! Skórko! Skórko!

— Ciszej.

— Zatkaj sobie uszy, delikatny... widzicie go.

— *Wie weit, Jude? Oho, das ist fast unglaublich. Du, Schwein!*

— *Herr Offizier, bitte.* Ojoj! Panie oficerze, bardzo proszę, tylko niech mnie pan tak nie bije. *Herr Offizier, bitte.*

— *Ich habe dir doch alles geruau erklärt, Jude!*

— Z początku nie rozumiałem, ale pan mi wszystko świetnie wyjaśnił. *Danke, unsere Gendarmen sind von allen geachtete Menschen.*

— Zapomniałam grzebienia na śmierć. Boże mój, i co teraz będzie?

— Mame, mame.

— Wariacie, gdzie lecisz bez palta. Powiedz im, że nie możesz tak iść do figury, to ci pozwolą wrócić na górę po palto. Temu powiedz, temu... Panie policjancie.

— Nie mam sił tego słuchać. Krzyk, wrzask.

— Mame, daleko jeszcze i cały czas prosto? A ten pan przed nami też idzie prosto?

— Puśćcie mnie, przecież nie będę włókł się za kobietami z dziećmi. Paszport! Ja mam szwajcarski paszport i muszę do żandarma. *Herr Gendarm, ich hatte die feste Absicht abzureisen.*

— Chaja, Chaja, wracaj!

— Mówię panu z całkowitym przekonaniem, proszę mi wierzyć, to wszystko razem nie może potrwać nawet dwóch tygodni, no, powiedzmy, z górą miesiąc.

— Zabrałeś termos z herbatą, Karol? Co? Termos z herbatą. Nie? Boże kochany, ogłuchł czy co. Z her-ba-tą!

— Zostajesz? Tutaj? Na środku ulicy? Kiedy wszyscy idziemy na dworzec?

— Nie leć tak, rybeńko, nie leć, bo się zgubisz i mamusia nie

znajdzie cię wcale w tym strasznym tłumie.

— Tam, tam, trzymać, łapać, bo będzie za późno!

— Co ci znów ukradła? Co posiadasz takiego, dziadu, że ci mogła ukraść?

— Przepustkę!

— Co komu pomoże twoja przepustka. Zdychać razem ze wszystkimi można i z przepustką.

— Zdychać? Kto mówi od razu zdychać? Tam dopiero czeka nas przyzwoite życie, a nie wegetacja jak tutaj.

— Przedźwigasz się i znów zaczniesz narzekać na wątrobę. Już lepiej daj mi tę walizkę.

— Walizkę? Jaką znów walizkę? Nie brałam żadnej walizki. Muszę wracać. Trzymaj ten koszyk i idź przodem, ja cię dogonię.

— Gdzie, krowo. Do szeregu, już!

— Wszyscy krzyczą naraz, nic nie słysząc i robi się sądny dzień, a tutaj podróż się jeszcze wcale nie zaczęła, to co będzie potem?

— *Zurück! Halt!*

— Nie idę dalej. Niech padnę trupem na miejscu. Motłoch i ciągle depczą mi po nogach.

— Odwagi, wszystko będzie dobrze.

— Mojsze, gdzie jesteś, Mojsze? Zaczekaj.

— Tak, tak, moi drodzy, czwarta przeprowadzka w ciągu tego roku. Jak to wszystko człowiek wytrzymuje, nie wiem.

— Sura, łyżkę wzięłaś? Łyżkę!

— *Los, los, verfluchte Bettel!*

— Moi kochani, musimy trzymać się razem. Eleonoro, Mieczysławie, pilnujcie dzieci. Beniuś, Reginka, bliżej, weźcie się za rączki. Idziemy.

— Jazda!

Butem kopnięte okno rozwarło się na oścież i szyby runęły z brzękiem na ulicę. Na wprost stał oficer w randze Sturmbannführera. Po bokach dwóch esesmanów, którzy szybko uprzętnęli szkło z parapetu. Strącone z pierwszego piętra leciało na głowy przechodzącym. W tłumie rozeszła się wieść, że to komendant akcji, SS-Sturmbannführer Höfle. Czekał. Zdjął czapę w kształcie końskiego siodła, przytknął chustkę do czoła i wówczas ukazała się oczom tłumu łysina. Włożył czapę. Stał w rozpiętym szynelu, ze smyczką rzemienną w urękawiczonych dłoniach.

— Rolf, hop!

Owczarek alzacki skoczył przednimi łapami na parapet, wysunąwszy pysk na ulicę. A Höfle zawołał:

— Żydzi, kupcy!

I zaczęło się przemówienie. Ręce Sturmbannführera sztywno uniosły się do przodu i w górę. Wszystkie palce było widać, tylko palec wskazujący prawej ręki zniknął kurczowo zagięty. Najpierw Höfle rzucał donośne pytania w tłum, a potem sam sobie na nie odpowiadał. Pytania i okrzyki. Okrzyki i pytania. Jak długo? Jak długo świat dźwigać będzie na karku jarzmo międzynarodowego żydostwa? Gnije trup Żyda zakopany u podwalin cywilizacji, a wraz z nim gnije i cywilizacja sama. Oto nadszedł czas, kiedy dokonać się ma ostatni akt sprawiedliwości dziejowej. Niemcy wyrównają rachunek. *Jawohl*, w interesie ogółu. Führer i żołnierz oddany ciałem i duszą Führerowi wzięli na siebie dzieło wiekopomne — *Judenfreimachung!* Na zawsze zostanie w pamięci pokoleń sława czynu i czyn niemieckiego geniuszu. Po to, aby rasy i narody tej ziemi mogły ujrzeć zdumionymi oczami, na czym ten geniusz polega, Führer zacisnął swą pięść. *Und die ganze Welt...* I świat cały wstrzymał oddech.

— *Rolf, Ruhe!*

Pies ujadł. SS-Sturmbannführer Höfle smagnął psa smyczką po grzbiecie. Drab stojący za nim gładził uspokajająco zwierzę. Umilkło. Höfle ciągnął mowę dalej.

— Na komodzie leżały papiery. Ludzie, na komodzie zostały papiery! Na wierzchu!

— Proszę nas przepuścić. Mój mąż jest inwalidą.

— Mordcheles! Mordcheles!

— Niedoczekanie ich, bez bagażu się nie ruszam, niech mnie zakatrupią tutaj na miejscu albo pozwolą wrócić na chwileczkę po łomoki.

— *Marschieren, marschieren.*

— To ma być zapakowany plecak? W ten sposób daleko my nie zajdziemy.

— Poczekaj, musisz być pierwszy? Całe życie chciałbyś być pierwszy, to możesz teraz innych puścić przed sobą.

— Zawsze byłem punktualny.

— Punktualność, to cię zgubiło. Zapamiętaj sobie raz na zawsze.

Ponieważ panował hałas, słowa Sturmbannführera Höfle ginęły i nikt ich, niestety, nie mógł chwilami usłyszeć. Na rozkaz patrol czarnych wziął się pod ramiona, wtargnął w środek tłumu i za pomocą rąk usiłował zaprowadzić porządek i ciszę. Głos Sturmbannführera brzmiał przez chwilę donośniej, a potem znów pochłonęła go wrzawa.

— *Ein Volk, ein Reich, ein Führer!*

Jeden Naród, jedno Państwo, jeden Wódz. Oto właśnie tajemnica niemieckiego geniuszu. Oto orla myśl Hitlera, która wzbiła się ponad całe germańskie plemię. Zdrowa rasa ma rządzić i walczyć, i niszczyć wszystko, co chore. A na początek

skończyć z zażydzeniem. Kraje, ba! kontynenty całe są w okropny sposób zażydzone. *Jawohl*, celem wskazanym przez Führera jest ogólnoswiatowe *Judenfreimachung*. Chwała Führerowi, jego orlej myśli. Podjął ją żołnierz, który własną pierśią osłania i broni wielkiej idei. O! to im, Żydom, poświęcił wódz bezsenne noce rozmyślań. O! To im właśnie dzielni chłopcy niemieccy szykują z oddaniem i poświęceniem należny Żydom los. Zaiste, wiekopomne jest dzieło, jakie wzięła na swe barki Rzesza. Zbawienie rasy, przyszłość rodzaju ludzkiego, wolność, demokracja — *und so weiter* — zależne są od powodzenia tego dzieła. Nie. Żydzi niech sobie nie myślą. Führer nie rzuca słów na wiatr. Rasa, plemię zdolne jest bowiem uczynić wszystko. *Alles, alles, alles!* Powiedziane — zrobione i żołnierz niemiecki maszeruje dalej.

— Leon, Leon, w kuchni na taborecie stał budzik! Wziąłeś ten budzik? Nie? To jak ja wstanę?

— Panie posterunkowy kochany, mogę wrócić po przepustkę? Bardzo pana proszę. To sprawa życia i śmierci. Na jednej nodze i już jestem z powrotem. Chwileczkę.

— *Schnell, Leute!*

— Musimy się spieszyć, żeby zdążyć przed innymi zająć miejsca w wagonie.

— *Geige? Ach so, interessieren Sie sich für Musik?*

— *Ja, Herr Leutenant, ich interessiere mich dafür.* Całkiem znośnych muzyków mamy w naszym kółku. Mnie, na przykład, zajmuje to, co nowe.

— Rób, co chcesz, ale ja nie myślę jechać w taką podróż bez ciepłych kalesonów!

— *Hast du davon gehört? Worüber hat der Jude gesprochen?*

— *Ganz und gar nichts. Kleinigkeit. Über Max Reger Stücke für Orgel.*

— *Wer? Wer ist Max Reger? Auch Jude? Schweinerei! Das Judentum ist überall, an diese ganze Erde kreuz und quer.*

— *Ha ha ha auf Ehre!*

— *Die Wahrheit muss siegen.*

Sturmbannführer Höfle mocno wsparł ręce o parapet, łokciami na zewnątrz, i wychylił się przez okno, aby tłum mógł go zobaczyć. I usłyszeć.

Wszyscy razem i każdy dla siebie. To nowe prawo, ustanowione po wsze czasy przez Führera. Odkąd sztandar krwią obmyty łopocze ponad plemieniem, prawo to czci Europa. Dzisiaj. A jutro? Uzna je cały świat. I przyjmie jak swoje. Nie ma bowiem granicy dla niemieckiego żołnierza ani niemieckiej idei. Przyznają to ze skruczą i czią wszystkie inne narody, których nie przebudził duch dziejów. Zaczyna się bowiem w gigantycznych zmaganiach nowa era, era czynu narodowego, a za nią na horyzoncie jawi się przyszłość dumnej rasy, która wcieli w życie hasło nadchodzących dni: jeden język, kultura i ład dla wszystkich. *Das ist alles!* Wszyscy razem i każdy dla siebie. Naga myśl Führera triumfuje, bo jest krystalicznie czysta. Chwała mu! A bakcyl kosmopolityzmu, którym żydostwo zaraziło ludzkość, zostanie zwalczony i *National-Partei* znalazła już skuteczne lekarstwo. Chwała Jej!

Duch dziejów przemawia przez lufy niemieckich dział. Kto ma czelność zaprzeczyć, niech w nie spojrzy najpierw bez trwogi.

— Nie zwracaj mi głowy. Człowieku, to jest przepustka na jednorazowe przejście wachy w dzień słoneczny, wystawiona dla kobiety z dzieckiem przy piersi i do tego już dawno nieważna!

— Panie posterunkowy, a moja przepustka, o, ta... jest ważna?

— Co ty mu wtykasz? Pieniądze? Papierowe? I do tego młynarki? Wczoraj szły jeszcze papierowe dolary, ale dzisiaj od samego rana już tylko twarde.

— Kto ma świnki? Kto ma? Przejść tutaj, na lewy chodnik, szybko. Raz-raz!

— Frajerze, gdzie idziesz? Tam odbierają pieniądze i dają kopa w zadek, a potem pędzą prosto razem ze wszystkimi na *Umschlagplatz*. Już lepiej zostaw sobie złoto na kubek wody.

— Proszę się tylko nie wtrącać, proszę się tylko nie wtrącać! Każdy jest kowalem własnego szczęścia!

— Eh ty, flimonie!

— Mordcheles, słyszysz mnie? Szukam Jureczka Mordchelesa, mojego przyjaciela z lat dziecińczych. Podać dalej! Czy nikt nie wie, gdzie się zapodział Mordcheles? Ten z Twardej?

— Cham! Mówi, że mam zamknąć się sama.

— Traktują ludzi jak bydło. Wożą w ścisku, a do tego każą godzinami czekać na transport. Łajdacy i nie szanują ludzkich nerwów ani zdrowia. Bałagan, bałagan, jeszcze raz bałagan. Po raz pierwszy w życiu widzę coś podobnego... Panie policjancie, czy pan nie mógłby mi łaskawie powiedzieć, w jakim kierunku odjeżdża nasz pociąg i o której dokładnie godzinie? Pierwszy raz w życiu mi się to zdarza, że wyruszam w podróż nie bardzo wiedząc, dokąd.

— Ciamcialamcia! Zatkaj się, grzybie spróchniały, bo tu nie miejsce na rozmówki.

— Zemdłał, Boże mój, zemdłał... Wody! To z wrażenia.

— Nie mam pojęcia, która godzina. Coś podobnego. Widzi pan ten zegarek? Nie spieszył się ani o minutę przez ostatnie dwadzieścia lat.

— Człowieku, zastanów się, co mówisz?

— *Eine Rasse, eine Zukunft, eine Ordnung.* Jedna Rasa, jedna Przyszłość, jeden Ład. Nadejście czego Höfle zapowiada. Gmach tysiącletniego Państwa jaśnieje oto przed oczami zdumionej i oczarowanej ludzkości. Ale budowa wymaga pracy, ofiar i samozatraty jednostek. Dla patrzących w przyszłość i widzących daleko, roztacza się widok pełen dumnych marzeń, zasnuty dymem i rozjaśniony ogniem. Człowiek przejdzie przez ogień oczyszczony, plemię ocalone, gatunek zbawiony. Historia tego nie zapomni i już dzisiaj krwią pisane są jej najchlubniejsze karty. Historia tego nie zapomni i ludzkość, po wiek wieków. *In alle Ewigkeit.*

— Panie policjancie, złociutki, wróci pan ze mną? O, tam. To potrwa chwileczkę. Zupełnie zapomniałam zamknąć drzwi na klucz i teraz mam poważne obawy... Co? Od kuchni i od frontu.

— Wypadła panu chusteczka do nosa. Proszę.

— E, nic mi nie powiesz, czego bym sam nie wiedział!

— Widzi pan tę kobietę w granatowym sweterku? Niech pan ją stuknie w plecy, bo ona mnie woła i nie słyszy, że ja ją cały czas wołam. Moja żona.

— Niedoczekanie ich!

— Zawsze taki był wątpy, zupełnie nie wiem, jak on zniesie tę podróż.

— Samochody! Jadą, po nas jadą... Samochody!

— Nareszcie!

— Uff.

— Aron, Aron!

— Ładna historia, a gdzie masz drugą skarpetkę, Heniuś? I jak ty teraz wyglądasz?

— Aron?

— Ja jestem niewinny, panie posterunkowy, zasymilowany,

półkrwi Aryjczyk w trzecim pokoleniu! Za co mnie?

— Masz z sobą parasol, Aron? A jak spadnie deszcz? Znowu złapiesz anginę i ja będę musiała koło ciebie skakać, a jak ty jesteś chory, to wiadomo, że ja jestem temu winna.

Krwi! Tego łaknie historia. Szczęście w samozatracie, zwycięstwo w walce. I tylko oni, oni mogli to pojąć jasno, bez skrupułów i przენiewierstwa idei. Pierwszym bowiem powołaniem germańskiego plemienia jest walczyć. Drugim powołaniem jest walczyć dalej. *Und so weiter*. Zwraca się teraz Sturbannführer Höfle do nich, do Żydów, z zapytaniem, czy ramię niemieckiego bohatera ma prawo osłabnąć, omdleć choćby na chwilę? Otóż nie ma. Musi podjąć dzieło i doprowadzić do końca. Po Żydach przyjdzie kolej na Słowian. *Und so weiter*. Wszystko jasne i żadnych wahań być nie może. *Eine Erde, ein Gedanke, ein Gott*. Jedna jest ziemia, jedna myśl na niej i jeden tylko Bóg patrzy z góry na czyny Führera.

— *Schnell, Hund!*

— Mame, mame...

— Pognaj ich szybciej. Widzisz, że Niemiaszki się już denerwują i zaraz będzie niewąska chryja.

— Żydzi, kto to strzela?

— Gdzie, gdzie? Gdzie ty się pchasz tutaj z tym rowerem? Podarł mi ubranie, cymbał!

— Każ szoferowi zajechać bliżej. Tu, tu! Za rogiem straszny młyn i szarpanina.

— Nóżki mnie bolą. Ja dalej nie pójdę i ty zostawiłaś tatkę chorego. Teraz sam leży w łóżku i kto mu poda herbaty? Wracajmy do domu, tam przecież spokojnie.

— Rybeńko złota, chodź. Chodź, tak trzeba.

— Ratunku, bo mnie trują!

- Nie podchodzić do bram. Podaj dalej. Iść środkiem.
- Czy pan nie mógłby przestać mi deptać po piętach, panie szanowny? Bo... jak zamaluję, to rodzona matula nie pozna.
- Posterunkowy, gdzie posterunkowy? Tutaj jakaś staruszka zasłała, leży w przejściu i zagradza drogę.
- Pilnuj, żeby nie przyskali do bramy przed rogiem, bo żandarmi urządzają jatki. Stań tu. Tu będziesz widział.
- Ty tam, szanuj się trochę i nie drzyj pyska, jak idziesz za pogrzebem własnego tatusia, z płaczkami i orkiestrą.
- Bagaze, moje bagaze! Ludzie, nie mogę niczego zostawić, bo to cały mój majątek.
- Zostaw pani majątek, a ocalisz życie.
- Boże, co się tutaj wyrabia?
- Nie zatrzymywać się, nie robić sztucznego tłoku. Dalej jazda!
- Zabierz tę walizkę. Dziecko przez ciebie wcale przejść tędy nie może.
- Żyd nie ma myśleć. Dosyć krętactwa, handlu, mędrkowania. Żyd ma wziąć łopatę do ręki i w pocie czoła pokutować za grzechy. Wtedy zbędne myśli wyfruną mu z głowy. Höfle mówi dosyć. Żadnych takich, świnię. Dosyć, świnię. Ży-y-y-edom wara od tego, co do nich nie należy. Wszystko jasne? Jasne i wątpliwości być nie może. Mają pamiętać: *Arbeit macht frei*. Odżydzić ludzkość. Takie oto zadanie postawił Führer zahartowanym szeregom *National-Partei*. I od tego nie odstępają, ani na krok. Niech świat mówi sobie, co chce. A w końcu i tak im przyzna rację. Im, bojownikom wielkiej idei. Za długo Żyd depcze ziemię, którą przeznaczono innej rasie. Strzec przyszłości, czystej i jasnej przyszłości zdrowych narodów, jak żrenicy oka!

- Mamo, ja chcę siusiu.
- Po co ten pośpiech? Czy oni oszaleli? Ja mogę poczekać na jutrzejszy transport.
- Skarbie, jeszcze troszkę.
- Niech pan zamknie ten parasol, bo mi pan oko wykłuje! Już nie miał co zabrać w drogę. Też coś!
- Ostrożnie, podaj do tyłu... dziura w bruku. Ostrożnie.
- No, a teraz zapnij sobie rozporek.
- Odczep się pan od mojego parasola i mnie daj święty spokój. Czy nie widzi pan, że mży i zaraz zaczną znowu padać?
- Panie posterunkowy, zupełnie nie rozumiem, jak można z taką gorączką wypędzić człowieka w podeszłym wieku na ulicę. Nat, weź pod pachę termometr i zmierz temperaturę, bo pan musi się sam na własne oczy przekonać.
- To jest wychowanie? Pani synek zmoczył mi cały koszyk? Tfu, ordynarne i po prostu w głowie się nie mieści.
- Nie mam teraz głowy do tego. Spytaj mamy lepiej, gdzie schowała nóż.
- Człowieku, a co mnie do tego? Stuknij się w głowę. Co mnie twoja gorączka obchodzi?
- Ja nie mogę iść dalej, bo złamałem nogę.
- To spróbuj pan inaczej opróżnić dziecku pęcherz w takim ścisku i nie opryskać ludzi!
- Eliasz, chodź bliżej, bo cię tracę z oczu.
- Nieważne.
- Ratunku, bo mnie tratują!
- Zamknij mu mordę. Ty tam, stoisz bliżej.
- Oj, moja noga, oj-oj!
- Ale jak? Drze się cholera... Żandarma, żandarma tutaj wołać, niech go kropnie.

— Ruben, jeszcze zanim włożyłeś żółtą opaskę, miałem takie dziwne przekonanie, że w twojej skórze chodzi po świecie wesz. A teraz sam wołaj żandarma, skurwielu!

— Pierożki zostały w piecyku, przecież mówiłam ci tyle razy. Z tego całego bałaganu zupełnie straciłam głowę.

— Uważać, Żydzi. Tu leży Żyd ze złamaną nogą.

— Daleko zaszedł.

— Pali się! Pali się mydlarnia Mani! Kto podpalił mydlarnię w taki dzień? Tam jest nafta... nie daj Boże, z dymem pójdzie cały kwartał.

— Tylko bez głupich dowcipów, młody człowieku. W takiej chwili.

— Koń by się uśmieł.

— Co on powiedział?

Höfle biadał nad światem. Chora jest kultura, kiedy podstępem wkradają się do niej Żydzi. Ułomne społeczeństwo, w którym uwijają się Żydzi. I mąca. Nieszczęsne, nieszczęsne i słabe państwo podkopywane przez żydowską zdradę i spryt. Handel, nauka, praca, kultura — *und so weiter* — niszczeję z winy żydostwa. Jak chwast, dziki chwast, rośnie sobie *Judentum* na koszt łanu dorodnego zboża. Jak chwast, bezpłodny chwast, ssie soki z urodzajnej ziemi. Pora wyplewić pola. Czas najwyższy wypalić chwasty z korzeniem. Oto wybiła godzina, aby użyźnić niwy urodzajnego gruntu. *Es lebe Tod!*

— Że co?

— Ordynus, przy dzieciach takie rzeczy mówić.

— Spokój tam, parchy. Bez rozmów, bez krzyków.

— Szanowna pani, zaręczam szanownej pani, że to jest publiczne miejsce, a w publicznym miejscu powinna szanowna pani wiedzieć, że wolno jest mówić, co się komu żywnie

podoba. O!

— Niech mi pan głowy nie zawraca! W takiej chwili.

— O żeż ty, damulko z Pocijowa, bo jak gwizdnę w kapelusz.

— Słyszałeś, Karol?

— Panie posterunkowy, proszę usunąć tę... tę bandę. W takim towarzystwie ja nie myślę podróżować. Jestem urzędnikiem państwowym na emeryturze, papiery mam w porządku i w razie czego potrafię znaleźć sobie świadków.

— Niech pan wobec tego złoży pisemne zażalenie. Podanie, metryka, dokładny życiorys i znaczków stemplowych za trzy pięćdziesiąt.

— Skandal, żeby policjant państwowy tak się wyrażał na służbie do obywatela.

— Coś ty powiedział, parchu?!

— Uważaj na ogon, tam z tyłu pryskają.

Żyd musi pamiętać, gdzie jego miejsce. Ale... Höfle uczynił wymowną pauzę. Dopiero wówczas nastąpi należyty ład, kiedy miejsce Żyda będzie pod ziemią. Każdego! Kiedy Żyd wyciąga brudną łapę na wschód i na zachód, miażdżąc w swym uścisku kulę ziemską, w tej historycznej chwili trzeba radykalnie i raz na zawsze uciąć — uciąć zbrodniczą łapę wraz z nożem, który w niej tkwi. Runie przemoc. Ofiara otworzy oczy. Ślad po żydostwie zostanie wypalony ogniem.

Nie ma miejsca dla pasożytów przy tym wielkim stole, za którym zasiada uczująca ludzkość. Nie ma i nie będzie. *Ein Tisch, ein Brot, ein Herr.*

— Zupełnie nie wiem, co się w takiej sytuacji robi. Jestem bezsilny, moje dziecko.

— Tędy, tędy. Równaj krok, nie wyprzedzaj!

— No wiesz, kapitalny brak piątej kleпки. Jak mogłeś

zapomnieć o ciepłych swetrach?

— Dobij, dobij do czoła! Raz-raz.

— Daj mi spokój, już ci przecież powiedziałem, że nas dopędzą w porę.

— Halo, halo. Kaleb z żoną idą za wami!

— Co? My zaczekamy na was przy rogu!

— O moich proszkach też zapomniałaś?

— Trzymaj się mnie. Trzymaj się mnie, bo zbłądzisz i sam nie trafisz na miejsce.

— Każdy się martwi o siebie.

— Ludzie, nie zatrzymywać się na skrzyżowaniu, bo żandarmi wystrzelają pół ulicy.

— Niech spróbują. Niech tylko spróbują.

— Dołóż temu fetniakowi bananem, bo tutaj zaraz będzie cholerna chryja. Przecież widzisz, że Niemiaszki robią w portki i gotowi są kropić z automatów na całego.

— Żydzi, stawiajcie opór. Nie dajcie się pędzić do wagonu jak bydło. Żydzi, Żydzi...

— Do bramy z nim i pod obcas, ale już!

— Żydzi, oni was pędzą do... Aaa... Bandyci, bandyci!

— Boże, zostawiłam całkiem nowe pończochy na komodzie. I co teraz będzie?

— Ty kłepo, nie zastawiaj zadem przejścia!

— Aron, Aron, zamknij już ten cały parasol.

— Panie żandarm, kochany, chwileczka. Ja mam już legalnie wykupiony certyfikat na wyjazd do Palestyny, to po co mam jechać z wami?

— Nie czepiaj się, parchu. Won, zostaw żandarma w spokoju, jak chcesz uratować głowę na pięć minut, a swoim certyfikatem podetrzyj sobie wiesz co!

Oto słowa Führera. Przeciwno historii głosić prawo obalenia historii. Biblia, jak wiadomo, jest starym żydowskim kłamstwem. Ono zaprowadziło kulturę na manowce. Odtąd NSDAP stanie się najwyższym trybunałem, sędzią całej ludzkości. To oni, tylko oni odmłodzić mogą świat. Człowiek niech będzie Bogiem dla człowieka! Oto słowa Führera. Chwała mu!

— *Rolf, Ruhe!*

Wielki podpalany owczarek alzacki czekał na tłum i zagłuszał słowa Sturmbannführera. Höfle ciągnął dalej:

— A wtedy ludzkość odetchnie, uwolniona wreszcie i radosna.

Dwóch drabów w mundurach SS widać było za jego plecami, ilekroć wychylał się nisko za parapet i tak wychylony przemawiał do przechodzących. A pies Sturmbannführera opierał łapy na oknie i z nastawionymi sztywno uszami dyszał wywaliwszy siny jęzor z pyska.

— Kto tam płacze, to ty, Różyczko? Nie trzeba, nie.

— Który tam znów? Z czym, z czym! Wracaj do szeregu, ale już! Choćbyś miał nawet szlachecki rodowód do trzeciego pokolenia wstecz z mitrą książęcą i z pięcioma pałkami w herbie i prababkę czystej krwi aryjskiej!

— Samek, weź ode mnie dziecko na chwilę. Ja ręk wcale nie czuję.

— Gdzie się pchasz, nie widzisz? Bo cię poślę na łono Abrahama po praśne placki i owsiane piwo. Stać, stać! Powariowali ze strachu. Obstaw róg i uważaj na bramę. Szybko!

— *Auf die Seite, weg, weg! Rechts halten, rechts halten.*

— Nie zwracajcie mi głowy, dzisiaj sobota, a w sobotę ja żadnej łapówki nie wezmę. Taką mam zasadę. Wykluczone, szlus! A kolekcja motyli u mnie taka, że dwie walizki pękają, a trzecia

się nie domyka.

— Szmulek, wyciągnij termos z plecaka. Mała kaprysi i musi się napić herbatki.

— *Schnell, Leute.* Prenko, prenko. Dhoga jez duga i mi ne mami czas.

— Co, jeszcze tutaj? Ile razy mówiłem, że masz zjeżdżać na tamten chodnik, łachudro. Już, już, nie oglądaj się za siebie.

— Panie posterunkowy, tam. Na trzecim piętrze, tam, tam. Dziecko siedzi w otwartym oknie, samiuteńkie, nogi spuściło z parapetu i zaraz zleci. Niech pan coś poradzi, złociutki.

— A co ja mogę? Ja nic nie mogę!

— Niech pan je stamtąd ściągnie.

— Żydzie, puknij się w głowę. Nie mam czasu. Mnie kazali stać na tym rogu i pilnować. Macie iść środkiem, nie szwendać się, nie uciekać do bram i trafić na plac przeładunkowy. Zrozumiano? O! Proszę raz na zawsze zapamiętać, nazywam się Alojzy Mycka, policjant państwowy bez rangi. Płaczę nad wami i nad sobą i nie mam z tym nic wspólnego.

— Aron!

— Nie puszczaj łebków. Przejdziemy najpierw Chłodną. Tam chociaż mają się gdzie kryć.

— Kto mówi, że ja puszczam? Ja tylko biorę forszę! Hans prowadzi do sieni i tam ich wykańcza.

— Żołnierzyku, pomocy! Kaza mi na stare lata wlec się nie wiadomo gdzie. A ja mam osiemdziesiąt lat na karku i ani roku mniej.

— Szybciej, ludzie. Droga jest długa i my nie mamy czasu.

Sturmbannführer Höfle skończył przemówienie, wsiadł do samochodu i odjechał, a w wąwóz ulicy runął tłum i szedł — i szedł bez końca od dziewiątej rano do późnej nocy. Po południu

wśród ścian wyludnionych kamienic rozległ się niesamowity śmiech policji.

— Draka, panowie! Krwaworączka prowadzi chałaciarzy z Ciepłej. Zaraz będzie uroczyste nabożeństwo.

— Który ich nakrył?

— Wściekły Pies! Urządzili sobie chałaciarze kryjówkę w bóżnicy u Icka. Dwa dni i dwie noce modlili się do upadłego.

— Oho, postój tu za mnie. Niech ja sobie raz w życiu popatrzę.

Pędzili ich Żelazną wzdłuż muru do wachy. Grupkami gromadzili się policjanci na trasie, wyciągali szyje, a jakiś żandarm stał z papierosem na balkonie i stamtąd oglądał procesję. Na przedzie reb Icchok, twarz podawszy do przodu, jakby nadśluchiwał czegoś z trudem, szedł nie odrywając stóp od ziemi, cały w czerni. Miał na sobie sobotni chałat i miękkie kamasze. Szurał kamaszami, pociągał za sobą nogami. Usta poruszały się lekko i coś bezustannie szeptały. Słysząc było śmiechy. Niemiec wyszedł z bramy, w dwóch palcach trzymając daleko od siebie, z obrzydzeniem, wielki tałes. Krzyknął i rzucił ten tałes starcowi w twarz. Reb Icchok chwycił szatę i szedł dalej, a szata wlokła się po ziemi. Później inny cisnął modlitewnik, który uderzył go w plecy i upadł.

— *Halt!*

Zatrzymali się i Krwaworączka szedł między nimi aż do miejsca, gdzie stanął reb Icchok; rozkazał mu podnieść modlitewnik i skinieniem nakłaniał do modlitwy. Krwaworączka miał szeroki uśmiech na ociekającej potem twarzy. Padła głośna komenda i reb Icchok ruszył przed siebie. Prawą dłonią przyciskał do serca Pismo, lewą zebrał obfite fałdy tałesu.

Za nim ciasno tłoczyli się starcy. Ich spojrzenia omijały

rozkrzyczanych, roześmianych konwojentów. Pomykali chłopcy z rozwianymi pejsami, spiesząc za starymi. Trzech wyrostków szło podtrzymując się wzajemnie, głowa przy głowie w maleńkich czarnych jarmułkach. Ciągnęło rzemieślnicze bractwo z zaułków Wroniej, Pańskiej, Łuckiej i Śliskiej. Żydzi gromadzący się co sobota w bóżnicze reb Icchoka — garbarze, kuśnierze, cholewkarze, łaciarze, handlarze starzyzną, druciarze, blacharze, tragarze, furmani — spędzili ostatnie dni na modlitwie za ścianą zatrzaśniętej na głucho kryjówki, w żółtym blasku świec, a wypędzeni stamtąd tłumnie na ulice mrużyli oczy w słońcu lipcowego dnia, skupieni w trwożne stado, ogłuszeni krzykiem, hałaśliwym śmiechem żandarmów i policji zgromadzonej wzdłuż muru. Wyrwani z modlitwy, wygłodzeni postem, ślaniali się na nogach. Już posterunki koło wachy z daleka wymachiwały karabinami, a starcy szli w zupełnym milczeniu. Szli jak duchy. Tłumek na Krochmalnej, otoczony konwojem, sięgał aż do skrzyżowania, ale ulica Żelazna, wąska, przedzielona murem w połowie, była tego popołudnia oczyszczona strzałami. Tędy prowadził ich Krwaworączka z żandarmami.

Padła komenda:

— Do modlitwy!

Reb Icchok milczał. W szeregach wszczął się szmer, szepty. Popatrywali na siebie, na kapłana. A on szedł dalej nie zwalniając kroku, z modlitewnikiem sztywno wyciągniętym przed sobą. Poprawił tałas na ramionach, podciągnął wyżej, pochylił się do przodu, zgarbił i można było przypuszczać, że modli się w marszu.

Tam, w głębi ulicy strażnik zszedł z posterunku i czekał już na niego. Tłum u wylotu śledził posuwającego się starca.

Grupę jeszcze raz zatrzymano, a Krwaworączka biegł, hełm

przewiesiwszy przez łokieć, klnąc:

— *Schwein!*

Reb Icchok w milczeniu uniósł rękę do gardła.

Frunęły czapki, kapelusze z głów. Umundurowani młodzieńcy repetowali broń, a stado czarnych jarmułek wzbiło się w powietrze. Jakiś Żyd upadł razem z czapką na ziemię; widocznie za mocno wcisnął ją sobie na uszy. Niemcy znów zarepetowali karabiny, cisza uczyniła się zupełna, a Żydzi stali z obnażonymi głowami, stłoczeni, bladzi.

Reb Icchok zaczął:

— Szema Isroel...

Prawą ręką przyciskał Pismo do piersi, lewą zbierał fałdy długiej szaty. Głosem donośnym i drżącym wołał:

— Szema Isroel Adonai elojhejnu!

Starcy powtórzyli za nim:

— Szema...

Ochryple, rwące się głosy bezradnie obijały się o mur. Trwoźnie rozciągnięte słowa modlitwy ginęły wśród posapywań.

Krwaworączka rozjaśniony stał na brzegu chodnika i słuchał. Nagle z szeregu przecisnął się ktoś i zaczął iść ku niemu w jednym kamaszu, ostrożnie stąpając po kamieniach stopą w białej przybrudzonej skarpetce.

Przed żandarmem stanął Żyd z okrągłą mycką na czubku łysiny. Słowiały tales jak łachman wisiał na jego plecach.

— Panie żandarm, ja jestem całkiem niewinny.

Wyciągnął przed siebie ramiona, pochylił głowę.

— Łatam kamizelki, moja żona obrębia dziurki, a dzieci przyszywają guziki i to jest cała moja rodzina. Cały mój interes.

Krwaworączka podsunął mu pięść pod nos, a Żyd stał cicho i mrużył oczy.

— *Weg, Alte!*

Wracał do szeregu zgięty, cofając się tyłem.

Wściekły Pies podbiegł, pałąk smagnął go przez twarz i wtedy rozległ się pierwszy strzał. Nie wiadomo, kto oddał ten pierwszy strzał. Mówiono, że strażnik z wachy. Reb Icchok leżał pod murem, tałeś obok, na tkaninie wystąpiła plama krwi. Krwaworączka obejrzał się i zawołał:

— Cała zabawa na nic!

Niemiec z wachy odkrzyknął rażno:

— Ej, ty tam! Skończ się bawić, zacznij pracować!

I to było sygnałem do ogólnej strzelaniny. Żandarmi nerwowo repetując karabiny gnali uciekających prosto na wachę, wydając gardłowe i dzikie, zduszone okrzyki.

Na tym niedużym odcinku, pomiędzy wylotem Krochmalnej i wylotem Chłodnej, tego popołudnia położyli trupem kilkudziesięciu ludzi.

Kiedy umilkły już strzały, spomiędzy leżących wygrzebał się starowina z drucianymi okularami na nosie i podreptał w głąb Krochmalnej nie zatrzymany przez nikogo. Tłum ustępował przed nim, a on przygiął się jeszcze niżej, połę chałata zarzucił na głowę i ukrył twarz. Żandarm odął usta, powoli odwrócił ku niemu karabin, przystawił lufę do chałata i oddał strzał. Jeden, a potem drugi. Spod chałata rozległo się stęknięcie i skurczony starzec upadł.

— Sprzątnąć!

Policja powtarzała rozkazy Niemców.

— Sprzątać Żelazną aż do wachy. Trupy na podwórze.

Wybuch granatu targnął powietrzem; to odmykano ostatnie zatrzaśnięte bramy.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](#).

XV

Patrol Krwaworączki wracał do zwykłych zajęć. Czarni, rozciągnięci niedbale za swoim szefem, przystawali, oglądali ciekawie zepchniętych pod ściany Żydów, jak z obawą przyciskają do piersi dokumenty. Znów ustawiono ich szeregami i powstało zamieszanie, ponieważ kilkunastu młodych mężczyzn, których konwojenci uważnie wybrali spośród innych chętnych i wyznaczyli do sprzątnięcia zwłok, jakiś przechodzący tędy oficer puścił wolno. Ot tak, bez powodu.

Przepadli w ruinach przechodniego domu, który łączył Krochmalną z ruderami na Walicowie.

Krwaworączka przeszedł środkiem wołając głośno, że trzeba mu dwudziestu tragarzy do pakowania mebli i antyków. Tylko ostrożnie, żeby niczego nie zniszczyć.

Pytał:

— Kto na ochotnika? Niech wystąpi. Daruję wam życie.

Czarni się śmieli.

Z fasonem, na bakier przekrzywione furażerki zdobne były w trupie czaszki i skrzyżowane piszczele, pucowane kredą do połysku. Tymi furażerkami ocierali spocone twarze, karki, bo dzień był duszny i parny.

A Żydzi biegali jak obłąkani z miejsca na miejsce; szukali krewnych, nawoływali się z daleka. Nikt nie wiedział, która grupa lepsza, i każdy szukał tej najlepszej. W zamięcie Dawid usłyszał, że ktoś z uporem powtarza jego imię, a kiedy żandarm rozepchnął ludzi, kolbą i wrzaskiem torując drogę tragarzowi z

ogromnym zegarem na plecach — ukazał się z daleka wuj Gedali. Szedł w jego stronę pustym skrajem jezdni, unosząc wysoko wszechmocną zieloną przepustkę od Toebbensa. „Taka zwyczajna tekturka z pieczętką?” Dawid nie spuszczał z niej oczu i chłodno, uważnie śledził ruchy wuja, zbiedzoną twarz, udaną pewność siebie, postawiony kołnierz letniego płaszcza. Bał się oddychać. I raptem zaczął okropnym głosem wołać, że jest tu! W pewnej odległości ojciec, pochylony pod ciężarem narzędzi, z ukosa obrzucał obojętnym spojrzeniem mijane posterunki. Krzyknął coś do Niemca, który zabiegł mu drogę, młotkiem wyjętym z kieszeni wskazał przed siebie w nieokreślonym kierunku. Zębami ścisnął rąbek złożonego arkusika, który bez pośpiechu rozwinął. Potrząsał nim długo przed nosem Niemca.

Wuj Gedali już stał przed nim i osłaniał go zieloną przepustką; syknął tylko jedno słowo do podbiegającego żydowskiego policjanta; żółty chwycił twardą łapą Dawida za kark i ciągnął w kierunku bramy, pokrzykując coś zawzięcie i bez sensu. Zatrzymali się dopiero w sieni, dysząc, wszyscy trzej. Tam czekał ojciec. Składał uważnie ten arkusik papieru. Narzędzia i worek cisnęły na ziemię.

Żółty z politowaniem kiwał głową. — Oj, i po co to wszystko? Jak nie dzisiaj, to jutro. Każdego to samo czeka.

Ojciec pocałował Dawida w usta.

— Dobra, dobra.

A wuj Gedali wyjął mu z ręki złożony arkusik. — Co to właściwie takiego? Skąd to masz?

I ojciec odparł: — Nie wiem. Leżało na ulicy i podniosłem w ostatniej chwili.

Wuj Gedali poskrobał się za uchem. — Świadcstwo szczepienia ospy? No, no, murowany auswajs. Schowaj sobie na

następny raz.

— Ospy? Nie miałem czasu czytać, Gedali. Ale coś mi się wydaje, że to przepustka na jednorazowe przejście.

— Taak, Niemcy kochają papierki i... porządek!

Żółty machnął ręką, westchnął zniechęcony i zszedł stopień niżej. Odwrócił się. — Tanio cię to kosztowało. Peta — oznajmił, a widząc, że wuj Gedali wtyka mu zwitek banknotów, powiedział: — Forsa? Mnie twoja forsa niepotrzebna, ciężki frajerze! Mam tego śmiecia potąd.

Ojciec wyjął z kieszeni bluzy paczkę machorkowych. Żółty przyjął papierosa, ale nie odchodził.

— Mój kolega też pali — powiedział. Dostał drugiego papierosa i dopiero wtedy się ulotnił.

Mijając porzucone w nieładzie trupy i węzélki szli po schodach na górę.

Zewsząd lała się jasność. Lekkie, małe chmurki przesuwały się za plecami wuja Jehudy. Coś tam pitrasiał i potrząsnął głową, kiedy weszli.

— Jesteście... W samą porę. Kasza mi się przypaliła, wodę czuć rdzą i do tego soli w tym całym bałaganie znaleźć nie mogę!

Słaby, przedwieczorny podmuch wiatru wicherzył mu włosy, jakby unieść go miał, porwać w przestrzeń.

Mieszkanie przedstawiało żalosny widok i Dawid oślepiiony zmrużył oczy. Szyb, okien nie było, drzwi leżały sobie w sieni i deszczyk, który mżył w ciągu popołudnia, obmył niebo aż do białości. Otwarta na oścież, spustoszona nora pełna była zepchniętych na środek sprzętów, rozwleczonych gałganów, zasłana drzazgami szkła, które skrzyło się w słońcu. Żandarmi i policja musieli gospodarować tu dłużej, bo w paru miejscach deski oderwane były od podłogi, a obok leżał porzucony,

złamany bagnet. Na chybił-trafił wykuto łomem jamy w ścianie, przebito naprędce kanały do komina, skąd runął stos sadzy. Czego tutaj mogli szukać? Dawid poczuł chłód na karku i wstrząsnął nim krótki dreszcz. Oślepiający blask leżał na ruinie. Wybuch granatu obnażył żelazne belki stropu, z którego prószył tynk i zasypywał wszystko dokoła. Wisiały wyprute z muru kable, rury, kołysały się zwoje przewodów w powietrzu. Lipcowy dzień zmierzchał i zachodzące słońce osuwało się gdzieś tam, nad dachami Woli.

Ojciec błądził wśród zaśmieconych kątów, jak ślepiec. Schylał się, podnosił odzienie matki, zmięte, rozrzucone w nieładzie. Strzepnął jakiś gałgan i kurz się uniósł.

— O, nawet chustki nie zdążyła na siebie narzucić.

Miał w dłoniach wełnianą czarną chustę.

— Ty kłepo, nie rozkraczaj mi się tutaj na środku ulicy i nie zastawiaj zadem przejścia!

Wrzask policjanta z ulicy przeleciał na wylot otwartą ruinę. Konwojenci chwyтали w zaułkach uciekinierów i formowali ostatnie grupy do marszu na Stawki, a ojciec powtarzał cicho, jakby nikogo tutaj przy nim nie było.

— W drodze może być przecież zimno... Gedali, czy tam w drodze jest im zimno?

Deptał na oślepiec odzienie, podnosił troskliwie i znów rzucał obojętnie na ziemię.

— Inni tutaj przyjdą. Inni moją nędzę rozgrzebią. A może im się moja nędza na co przyda?

Wuj Jehuda mieszał kaszę.

— Wiadro całkiem do niczego. Ciekło, a wodę musiałem nosić z parteru.

Ojciec podszedł do otwartej tekturowej walizki, pochylił się

nad jej zawartością i zaczął obojętnie w niej gmerać.

— O, buty, garnitur, koszula, krawat... Spakowała mi nawet walizkę na drogę. Mieliśmy przecież iść. Ale wszyscy razem. A co wyszło? Nie wiadomo co. Tego się bała, że nas rozdzielią... Jak to mówiła? „Pomieszanie z poplątaniem.” A teraz? Ja tu, ona tam.

Wuj Gedali wyglądał ukradkiem przez otwór okienny na to, co działo się u zbiegu ulic. Gdzieś zza rogu rozległo się rozpaczliwe wołanie:

— Kartki, gdzie moje kartki? Zostawiłam na górze kartki żywnościowe!

— Wróć!

— Zostawiłam kartki, panie... kartki na chleb!

— Stój!

Usłyszeli pojedynczy strzał.

Wuj Gedali cofnął się, odwrócił i oparł plecami o ścianę, chciwie zaciągając się papierosem.

— Człowiek żyje. Klepie biedę. Mija parę lat i zostają po nim zaśmiecone kąty.

Za oknem widać było zrujnowany most na Chłodnej, który runął, i suche, szerniałe drzewo na skwerze przed kościołem Św. Karola. Niemcy kazali podciąć drewniane żebro przęsła w pierwszych dniach akcji, a belki były zwęglone i nosiły ślady pożaru. Ostatni wóz meblowy jeszcze stamtąd nie odjechał, a pod mostem leżały już ciała rozstrzelanych tragarzy.

Ojciec przyłożył do oczu zaciśnięte pięści.

— Po co ja żyję?

Wuj Jehuda niósł garnek z kaszą. Zdjął pokrywkę i pokręcił nosem.

— Bez soli.

Ojciec powtórzył:

— Po co ja jeszcze żyję?

A wuj Gedali powiedział cichym, miękkim głosem, kiedy nadciągający zmierzch wypełniał przestrzeń lekko jak westchnienie:

— Przetrwąć, nie ma innej rady.

Na skwerku biwakowały zlurowane patrole żandarmerii. Odpoczywając, z manierkami w rękach rozpinali mundury. Jakiś podoficer stanął wyniośle na stopniach przed kościołem i długo wodził polową lornetą wzdłuż okien wymarłych kamienic; obok wznosił się ogromny stos portfeli, skórzanych teczek, a ciśnięte dokumenty wały się rozproszone na trawie. Wstrzymane, puste tramwaje cofały się spod zatrzaśniętej wachy i dzwoniły — dając pierwszeństwo kolumnom maszerującym na Stawki. Po kamiennych stopniach szedł rozchełstany żandarm i stając przed podoficerem podawał mu manierkę.

— Herszele, ja nic nie widzę! Nie zgub mi się w tym tłoku! Nie zostawiaj mnie samej!

Dawid siedział z wujem Jehudą na rozbebeszonym barłogu w kącie — gdzie gruzem przysypane leżały koce, podarta kołdra, zmiętoszone poduszki — jadł z garnka przypaloną kaszę, rzadką papkę rozpuszczoną w rdzawej wodzie, i słuchał nawoływań z ulicy. Zachodzące słońce ciepłym blaskiem ogrzewało czerwony murek zburzonego domu, ale z zakamarków ruin rozpełzały się krzywe cienie. Zmierzch sunął po ścianach ku górze.

Ojciec błędził po omacku.

— Gedali, ile transportów dziennie odchodzi?

— Nno, nie wiem... Jeden. Najwyżej dwa.

— A przed nocą zdążą ich wszystkich załadować?

Zmierzchało; krwawy dzień połknęły czeluście Mirowskich

Hal.

— Może przetrzymają ich na miejscu do jutra?

— Tory wszędzie zapchane wojskiem. — Wuj Gedali mówił w zamyśleniu gładząc Dawida po głowie. — Transporty tkwią po parę dni na bocznicach. A rampa na Stawkach zatłoczona. Po odejściu każdego składu, drugie tyle zawraca na plac. I czeka, czeka... Mordują ludzi w bałaganie. Mordują ludzi i sami tracą głowy.

Ojciec butem odepchnął walizkę, jakiś gałgan wysunął mu się z rąk na stertę śmieci, a ruinami ciągnął wieczorny powiew i powietrze zawirowało, pełne siwego pyłu.

— Idę.

Wuj Jehuda rzucił się ku niemu: — Człowieku, opamiętaj się! Gdzie się obrócisz, wszędzie to samo. Znikąd pomocy. Wszystko się wali! Ulice, miasto całe jedzie na pewną śmierć. A ty chcesz iść na Stawki i wyciągnąć ją z transportu? Po co?

Norę przewiał chłód, zaległa ciemność.

— Po co?

— A ja ją wyciągnę, choćbym miał z pustymi rękami iść za nią prosto na *Umschlagplatz*.

Po chwili wuj Jehuda powiedział złym, głuchym szeptem:

— Jak nie uduszą cię wapnem w wagonie, to zadołują za drutami. A tutaj...

Rozległ się daleki, słaby trzask i pierwsza rakietka wisiała nad ruinami. Ojciec stał sztywny, wyprostowany wśród osuwających się cieni.

— A tutaj, Jehuda?

— Nikt nikomu niczego obiecać nie może. Los nasz przesądzony. Ale mogę się jeszcze bronić. I ty!

Wuj Gedali powiedział cicho:

— Nie ma takiego prawa, żeby człowiek miał do końca się bronić wbrew wszystkim i wszystkiemu.

Dawid uniósł się z barłogu. — Sza, ktoś idzie.

Szmer powtórzył się, trzasnęły uchylone gdzieś niżej drzwi. Byli to Naum i Uri; wymknęli się z kryjówki o zmroku, przeczołgali spod ruin zburzonej oficyny na drugie podwórze. Oślepieni zniecka rakietnicą ukrytego gdzieś blisko szperacza, potracili głowy. Naum czarnymi paznokciami wyczesywał piach z krętych włosów. Jedno ramię wisiało na brudnej, zakrwawionej szmacie, a wydatna grdyka zniknęła w kosmykach parotygodniowej bródki. Uri siadł na tekturowej walizeczce, która spłaszczyła się pod jego ciężarem, i rozcierał ręce; w kryjówce pod gruzami panowała wilgoć — i twarz miał wychudłą, wiotką i szarą jak pęd kartoflany. Prostował ramiona i stawy sucho potrzaskiwały. Wśród chaotycznej pukaniny snop rakiet jarzył się nad dachami, Naum sycił głód kaszą, a Uri podniósł z ziemi krawat i wiązał sobie na gołej skórze. Chuda szyja sterczała w wycięciu ciepłego swetra.

— Życ dwadzieścia dwa lata na tym świecie i nie móc jak się należy zawiązać krawata.

Rozplótł węzeł, jeszcze raz niezdarnie splótł.

— Już. Za późno, Uri.

— Ehe. — Wielkie mokre zęby wylazły na wierzch spod grubych warg, kiedy z uśmiechem zabrał się do jedzenia.

Dawid zmorzony całym dniem po omacku usuwał gruz z barłogu, rozproszone w nieładzie narzędzia i książki. Ułożył się i poczuł twardy przedmiot ugniatający mu plecy. Sięgnął za siebie, to był pilnik. Przyłożył do policzka stalowy, szorstki pręt i wetknął do kieszeni.

Ojciec stał pośrodku rudery i pytał:

— Jehuda, ile kosztuje taki jeden mały pistolecik na czarnym rynku?

— Dziesięć tysięcy — odparł niechętnie. — Jak by nie liczyć, tyle kosztuje. Ale towarzysze dostarczą broni. Zza muru.

Rakieta sycząc powoli dogasała.

— Spodziewając się najgorszego, Żyd nie umie sobie wyobrazić najgorszego... Gedali, ile kosztuje miejsce pracy? Jedno, u Toebbensa? Ile? Mów. Przy nim.

— Nno, zależy od dnia. Ceny skaczą. Trzy, cztery i pięć tysięcy.

Ojciec stanął przed wujem Jehudą.

— Przepustki, przepustki. Skąd brać, ja się pytam? Leżą na ulicy? Za samo istnienie trzeba słono płacić i przed każdym transportem dawać w łapę hyclom. A potem? Papierki, numerki. Kupować życie, sprzedawać życie. Handel, jakiego świat nie widział. Dotąd, moją przepustką na życie był mój fach... Nie wierzę w ten cały interes. Żeby przetrwać dzień w kryjówce, trzeba mieć pod ręką ładny brylant. A nazajutrz? To samo! Dla szubrawca Żyd to kopalnia brylantów. Nie wierzę w ten cały interes... Co jeszcze zostało? Praca, czternaście godzin na dobę za miskę pomyj. Ale praca za miskę pomyj kosztuje. Kogo? Robotnika! Pracuje i płaci za własną pracę, za prawo do pracy i za prawo do istnienia. Każdego dnia, każdej godziny. W najlepszym razie daje nielegalne łapówki, te nielegalne łapówki biorą od niego różne nielegalne osoby, a te nielegalne osoby przyrzekają mu święcie chronić jego nielegalne życie. Jehuda, ten świat jest cały nielegalny. I ja, raptem, ni stąd ni zowąd, mam się urządzić w nielegalnym świecie? Ażeby przejść ulicą, z domu do domu, trzeba mieć dolary. Ażeby napić się wody, trzeba mieć dolary. Ażeby wziąć do ręki broń, na to trzeba mieć już grube

dolary... A ja mam pustą kieszeń. Ani na przepustki, ani na łapówki, ani na broń.

Pojedyncza rakietka wzbiła się w niebo; opadała nad ruiny, a w jej martwym świetle twarz miał białą jak kość, czarne jamy zamiast oczu.

— Dobrze sobie, walczyć! A czym? Gołymi rękami? Broń to luksus.

— Jakow — powtarzał łagodnie wuj Jehuda — twoje miejsce jest tutaj. Wśród nas.

— Walka to zbytek.

Uri cisnął na ziemię krawat. Wtrącił z boku: — Przebijemy się do lasu. Zostań.

— Do lasu? Tam już na ciebie czekają z otwartymi rękami. Idź, idź... Do lasu.

Naum go poparł: — Jakow, jesteś nam potrzebny. Masz dwie belki. Front za sobą. To się liczy.

Wuj Jehuda go poparł: — Dla nas... dla nas jesteś człowiekiem na wagę złota.

Ojciec zachnął się.

— A inni?

Milczeli.

W gasnącym świetle rakiety uniosły się zaciśnięte pięści.

— Inni też są dla was na wagę złota? Oni, tam. Wszyscy... Mów, Jehuda?

Wuj Jehuda milczał.

— Ona jest dla mnie na wagę złota i nie zostawię jej samej, choćbym jechać miał za nią do samej Treblinki.

— Szaleniec!

Było już późno i ostatnie kolumny sformowane przed nocą czekały pod eskortą na komendę wymarszu. Raz po raz unosiły

się nad dachami rakiety oświetlając z wysoka trasę na Stawki. Tłumy ciągnące z małych bocznych uliczek wypełniały Żelazną aż po Leszno; morze głów kołysało się i równy, stłumiony szum wzbierał zewsząd w ciemności.

— Gedali, co on powiedział, ten chojrak?

Wuj Jehuda stał z wyciągniętą ku ojcu ręką: — Powiedziałem i nie cofnę. Życie jest tanie. Warte tyle co łuska po wystrzelonym naboju. Trzeba walczyć o coś więcej. Nie o samo... nagie życie.

Ojciec chwycił siekierę i zaczął wściekle rąbać taboret; kiedy się z nim uporał, z rozmachem zabrał się do skrzyni, stojącej w kącie koło drzwi; potem ciskał szczapy na kuchnię, aż urósł pokaźny stos drewna. Cały czas klęcząc.

— Nie, Jehuda!

Długo sapał. Wstał z klęczek, powiedział:

— Gedali, ja już pójdę. Nie mogę tego słuchać.

Przysunął się blisko, ostrożnie, po omacku wciskał mu stalowy pilnik. — Do żelaza — powiedział cicho. Ojciec ścisnął palcami pilnik, złapał za głowę Dawida i chwilę tak stali.

— Dawid, zostajesz sam.

Ojca już nie było.

— Jakow, stój, zaczekaj! — wołał wuj Jehuda. Z podwórza doleciało jeszcze wyraźnie:

— Łajdacy, taką kobietę chcą mi zmarnować! — I już tylko szybkie kroki spod sklepienia bramy dotarły do nich, kiedy powtarzał — idąc, biegnąc przed siebie na oślep: — Niedoczekanie ich... sama ma tam... — Rozległ się na schodach upiorny łoskot walizy potrąconej w biegu, która teraz dopiero staczała się bezwładnie ze stopnia na stopień.

— I coś ty najlepszego narobił? Gdyby nie twoje gadanie, może by się zatrzymał. Słowa, słowa, pięknymi słowami

wpędziłeś go do transportu.

— I ty? I ty, Gedali, nic nie rozumiesz?

— Z nas dwóch, wolałbym już ja być tym ślepcem. Tym, który nic nie rozumie.

— Czego ci więcej trzeba? Otrząśnij się! Popatrz, co się dzieje.

Tłum walił środkiem ulicy.

I trwało to do późna; posterunki strzegły bram przed uciekinierami, okrzykując w ciemności numery domów jak hasła, a wśród odchodzących uwijała się policja, żandarmeria i szaulisi. Szli. Wydawało się, że spod ziemi. Kryte ochronną farbą latarnie rzucały sine światło na twarze. Szli i szli, a tłum nie malał przez długie godziny tej nocy; nazajutrz akcja przybrała na sile. Był to dzień, kiedy użyto psów.

Alzackie wilki czekały, Niemcy chichotali, a uciekający trzymali się za pośladki. Całymi rodzinami wypędzali mieszkańców małego getta z kryjówek i schronów, a schwytani, wołając się wzajem, w panice biegli przed siebie, doganiając kolumny i chowając w ścisku przed uderzeniami gorliwych konwojentów. Z przerzuconymi przez plecy workami, w których przechowywali nędzny dobytek, dźwigając ofiarnie tobołki, walizki, bagaże, pochyleni pod ciężarem posuwali się ulegle naprzód, aby nie rozjuszyc eskorty, która okazywała niepokój wobec tłumu, przygotowana na skargi i opór. Spod hełmów wybiegały na boki szybkie i czujne spojrzenia, a ręce leżały na automatycznej broni z odchylonym kurczowo i zakrzywionym palcem, w najbliższej odległości od spustu. Psy biegły z wywieszonymi jęzorami, ujadając nerwowo. Niektórzy żandarmi w obawie, by nie wywołać w szeregach popłochu, zachowywali oględność i nierzadko podsuwali w zamęcie usługne ramię

starcom; ci wlekli się niedołącznie za pochodem, gubili ciężary, lamentowali.

— Czy wiedzą, dokąd idą? Tak potulnie — mówił Uri. — Jak trzoda. To już koniec.

Wuj Jehuda szarpnął na sobie koszulę.

— Jeszcze nie koniec — powiedział. — Niech mnie nagła krew zaleje, to jeszcze nie koniec!

Cały dzień leżeli na strychu pod dachem i rozgrzana słońcem blacha z daleka parzyła skórę. Każdy ruch wymagał ogromnego wysiłku; spędzili czas do wieczora podrzemując, w zupełnej ciszy, nie ruszając się stamtąd w obawie przed patrolami. Na podstryszu były wąskie szczeliny-okienka i one dostarczały odrobiny chłodnego powietrza. Dawid ściągnął sweter, koszulę i palcami zbierał pot. Na ścianie, wyryte gwoździem, czytał następujące słowa: „Ester i Nat 26 lipca 1942.” A więc byli tu jeszcze przed trzema dniami? Na sznurach wisiały prześcieradła, bielizna, sucha już i zakurzona. W kącie znalazł worek Chaskiela Ajzena i wśród odzieży trochę żywności. Najgorzej było z wodą; wuj Gedali czołgał się długo, zanim wypatrzył prześwit w dachu i podstawiony kawał urwanej rynny. Znalazła się tam odrobina ciepłej i mętnej cieczy, z widokiem białej chmurki na niebie, którą chłęptali po kolei tak długo, aż rynna opróżniła się do dna i wyschła. Błądzili potem przełazami, otworami wybitymi w ścianach, które łączyły podstrysze wokół całej kamienicy, i nie znaleźli więcej wody. Aby zsunąć się po schodach i wdrzeć do kryjówki, musieli czekać zmierzchu. Ale ktoś im przeszkodził.

Nocą usłyszeli biegnącego uliczką człowieka, który wyrwał się z kotła na Żelaznej. Kołował i zwlekał. Staął, pobiegł z powrotem do bramy; z rozpędu runął na stos zwalonych pośrodku rupieci. Wstał, patrzył w puste okna i dyszał.

Szedł potem po wszystkich klatkach schodowych z wołaniem i wewnątrz spustoszonej kamienicy drżący w kryjówkach Żydzi słyszeli wyraźnie, słowo po słowie, jego straszny krzyk.

— Żydzi, słuchajcie mnie, Żydzi! Jestem z Lachwi, ulica Klonowa dwanaście... Nie dajcie się usypiać Niemcom, oni gotują wam śmierć. Nie idźcie potulnie na kaźń! Wszystko, co wam mówią, to kłamstwo. Prawda jest inna i prawda jest straszna. Żydzi, ja wam mówię całą prawdę. Uciekłem z Lachwi, aby powiedzieć wam prawdę! Tam, na prowincji już się zaczęło. A teraz zabierają się do was. Gdzie Kobryń? Gdzie Stołpce? Gdzie Szerokie? Gdzie Kłeck? Nie ma... nie ma żywej duszy, wszystkich uprowadzili na rzeź!

Wydierał z siebie schryplę, zziąbane słowa i słowa te buchały jak krew.

— O, Żydzi, bracia moi, puste są wszystkie miejsciny, gdzie było żydowskie serce. Nie ma nadziei, nie ma ocalenia. Ostatnia godzina wybiła. Chwytajcie za broń... Za broń! Już pora, już czas. Lepiej ginąć z nożem w ręku, z siekierą, niż tam...

Szedł jak upiór, wrzeszczący upiór, po wszystkich piętrach i sieniach, póki nie nadbiegła straż.

— Bracia! Pędzą do rowów nago i strzelają w plecy. Zасыpują doły, a krew płynie po polu. Jak rzadkie błoto. Krew występuje na tych mogiłach. Ziemia rusza się na tych mogiłach. Ranni duszą się jak bydłeta w tych mogiłach. Żydówki i Żydzieta zasypują żywcem... Oni mają taki dym. Oni mają taki ogień. Duszą i palą. Stawiają wielkie piece. Żydami palą w tych piecach. Pod niebo bije dym, wszędzie widać ten dym... Lo-jamisz amrud heonon jomam weammud haesz lojla lifnej haom. Żydzi, pamiętajcie!

Patrol żandarmerii i tłum granatowych biegł, a światła latarek kołysały się, myszkowały po ścianach, oknach i bruku. Klęli. Wuj

Gedali trzy piętra wyżej szeptem powtarzał stare słowa i zaciskał mocno powieki.

— Lo-jamisz ammud heonon jomam...

Stał przesyty smugami świateł i krzyczał. Nie krył się, nie uciekał. Dopadli go wreszcie, zaciągnęli w kąt podwórza i wśród przekleństw zatłamsili pod śmietnikiem, bez jednego strzału; jeszcze długo płaski, zakrzepły we krwi, mały kłębek szmat leżał tam na betonie.

Niemcy zostawili szaulisa i duży zapas amunicji. Nie można było oka zmrużyć; strzelał do okien tłukąc ostatnie szyby. Do środka nie wchodził — na każdy szmer odwracał się, wołał coś niewyraźnie w mrok, aby dodać sobie otuchy, i pruł z automatu świetlnymi kulami. Czego się bał? Do rana trzymał w bramie straż. A oni musieli pozostać na miejscu jeszcze noc i dzień, żywiąc się chlebem z worka Ajzena, którego już nie było między nimi.

Tam, na dole, mieszkańcy małej dzielnicy opuszczali domy. W biały dzień, mrużąc oczy wpełzali, z ciemnych kryjówek zniechęceni uciekinierzy i wlekli się grupkami przez miasto. Rewidowani, nieśmiało podnosili ręce w górę, odwracali twarze w bok. Dołączali karnie do kolumny. Za murem, wzdłuż granicy getta, na otwartych balkonach i w sieniach tkwili od świtu na posterunkach Łotysze, „śledząc z wysoka trasę, wyloty ulic i tłum. Sennie kiwali się nad karabinami, zniecka oddawali strzały do idących na *Umschlagplatz*. Linii straży było parę; jedna, rozciągnięta koło mijanych bram, nie dopuszczała do ucieczki w bok; druga otaczała ruchomą eskortą kolumnę. W szeregach kolumny krążyły patrole, rewidujące w pośpiechu kobiety i mężczyzn. A pomiędzy łańcuchem konwoju i posterunkami uwijali się na strzeżonych i pustych chodnikach

zółci, granatowi, łącznicy biegnący z meldunkami od podoficerów na całej trasie przemarszu. Esesmani (i psy na smyczy) trzymali się w pewnej odległości. Pędzeni miastem ludzie mieli twarze łagodne i tępe, a kiedy posuwali się tak objuczeni na Stawki, żadna skarga nie padła z tłumu.

Koło południa zwinięto posterunki, ruch ustał. Na zaśmieconej ulicy zatrzymali się ostatni żandarmi; któryś z nich zdjął hełm, otarł pot z czoła i rozglądał się w roztargnieniu po cichym, pustym zaułku. Głosy pędzonych docierały ledwo-ledwo, gdzieś z Leszna. Po przejściu ludzi ciasna uliczka zasłana była porzuconymi w drodze bagażami. Żandarm obejrzał się ukradkiem. Obracał podniesiony z ziemi ręcznik.

— Śmieszne, co? O czym to ludzie myślą, kiedy idą na śmierć. A obeszło się bez jednego strzału.

— Tak, tak, za dwie godziny ta cała hałastra — śmiał się inny żandarm — pojedzie... na Madagaskar!

— I po krzyku.

Klepał kolbę karabinu, oglądał się za siebie. Widać ich było przez całe popołudnie, póki nie nadciągnęła pod eskortą grupa tragarzy. W milczeniu, postukując drewniakami toczyli przed sobą wózki na pościel.

Pod dachem dokuczało pragnienie. Zeszli. Chyłkiem, pojedynczo przemykali się do kryjówki. Najpierw poszli Uri, Jehuda i Gedali, a Naum z Dawidem na ostatku.

Czekał na swą kolej przycupnąwszy pod stosem rupieci, koło przewróconej komody, zgrzany i zmaltretowany upałem, pragnieniem — i siłą odmykał powieki. Szara, spuchnięta bryła zastygła w wielkim wyściełanym fotelu, od tygodnia nie ruszona stąd przez nikogo. Podeptana leżała fotografia kuśnierza Papiernego z czasów, kiedy mu jeszcze nóg nie odjęło, na grubej

wyklejce, w okazałym formacie. Ktoś szarpnął go za ramię: otworzył oczy — przed nim stał Kalman Drabik, a drzwi do szopy były uchylone.

Wieczorem, w kryjówce, taka między nimi odbyła się rozmowa.

Wuj Gedali:

— Pozostać przy życiu to dużo.

Uri:

— Pluję na takie życie!

Wuj Gedali:

— Przetrwać wystarczy, aby dać świadectwo.

Uri:

— Świadectwo? Kogo to obchodzi? I kogo to będzie obchodzić?

Naum:

— Trzoda prowadzona do rzeźni pozostaje przy życiu tak długo, póki nie spadnie tasak. Żydów prowadzą do rzeźni, a oni ze strachu głoszą, że trzeba potulnie iść pod tasak, aby pozostać przy życiu.

Uri:

— Walczyć, aby ocalić życie.

Wuj Jehuda:

— Walczyć to znaczy ginąć.

Naum powiedział, że się z nim zgadza. Tak, są dwie drogi. Wystąpienie i opór gwarantuje pewną śmierć. Ucieczka, ukrywanie się pozwala ją tylko odwlec. O co chodzi?

— Zwlekamy, do chwili. Uri:

— Jest las.

Naum:

— Mam się tułać po lesie? O głodzie? I tam się dać upolować

jak zająć?

Uri:

— O wa, tu na mnie polują dwa lata... Tam, w lesie, mogę zdobyć broń. I nękać Niemców, a nie tylko bronić parszywego życia ostrząc pazury jak szczur w norze.

Wuj Gedali:

— Ciągłe to samo... Walczyć, walczyć!

Zakrzyczeli go wszyscy razem.

Potem powiedział:

— Nie jest hańbą ulec przed przemocą.

Wołali:

— Hańbą!

Przed wyjściem z kryjówki wuj Gedali zbudził ich wszystkich po kolei i powiedział:

— Naum niech zostanie tu, jak długo się da, i utrzymuje kontakt ze mną. Na Prostej, u Toebbensa jest Kiepele i grupa naszych tragarzy. Uri... Uri niech próbuje złapać Felka Pioruna. Albo kogoś z jego paczki. Powinien pokazać się dziś — jutro. A jak nie, to znaczy, że Uri sam musi leźć przez mur i się z nim rozmówić. Jehuda niech idzie tymczasem do dużego getta. Ja wracam na Prostą. Zobaczę, co się da zrobić.

I poszedł.

Mordarski posiał zwątpienie.

Uri kłócił się z nim, żeby innych podtrzymać na duchu.

Mówił, że nie dadzą się wziąć żywcem. Jeszcze trochę i nadejdzie pomoc. Trzeba w to święcie wierzyć. Towarzysze ich nie opuszczą. A jak w porę podłożą dynamit, zrobią jeden, trzy, pięć wyłomów w murze! Tłum się rzuci i szwaby potracą głowy.

O wa. Mocni są, mocni. Kiedy baby i dzieciaki pędzą pod konwojem. Ale wystarczy jedno uderzenie znienacka, wyłom, i

wszystko przybiera całkiem inny obrót. Ile jednostek mogą ściągnąć do miasta? I tak okaże się za mało. Każdą kamienicę, podwórko, bramę zamienić można w szaniec. Rozpali się, rozpali powstanie. Wybuchnie święta wojna z faszyzmem... Fryc będzie uciekał bez gaci. Ten dzień już blisko, Uri widzi ten dzień. Towarzysze ich nie opuszczą.

O, ludzie małego ducha. Wytrwajcie, jeszcze trochę. Jak długo transporty dochodzić będą do celu? Jest potężna Armia Krajowa. Są komuniści. Czekają, wszyscy gotowi do walki, na znak. A wtedy? Każdy most runie na trasie, każdy tor zostanie podminowany i parowóz wyleci w powietrze. Z całego kraju, z całej Europy jadą ludzie na kaźń. Pewnego dnia runą z otwartych wagonów na wolność. Do lasu, do lasu, bić faszystów. Wytrwajcie, a wolność będzie wam dana. Tu chodzi o honor ojczyzny i ojczyzna nie będzie patrzeć obojętnie na dymiące kominy krematoriów!

Towarzysze ich nie opuszczą. A świat... W ciemnych, wilgotnych piwnicach, gdzie ukrytym ludziom zieleniały twarze i szczękały zęby z zimna, słowa jego nieciły otuchę.

Mecenas Szwarc miał pewne obiekcje. Tacy, jak Uri, widzą żandarma, armatę, karabin, ewentualnie karabin maszynowy. Dobrze, a co za tym stoi? Kiedy tutaj szerzy się panika i ludzie tracą życie, tam papierki wędrują z biurka na biurko. Bez pośpiechu, spokojnie. Jest plan. Ilu wysiedlić? Których i dokąd? Cyfry, cyfry! I w jednym nawiasie całe miasto.

Inwentaryzować, izolować, deportować, likwidować... Szwarc zaginał po kolei palce. Oto plan. Jak z tym walczyć? Z planem, który nie powstał ot tak, dzisiaj? Ten szatański plan nazywa się właśnie *Sonderbehandlung*.

Mecenas Szwarc układał malca do snu w wiklinowym koszu.

Przez ramię przerzucony miał różowy kocyk. Uri pochylił się nad koszem i przebierając palcami pieszczotliwie powtarzał:

— Tjo, tjo, tjo, tjo.

Chłopczyk z kosza pytał surowo:

— Czy wojna już się naprawdę skończyła, proszę pana?

Uri spojrział zaskoczony na Nauma.

— Jeszcze nie.

— To nie wygłupiaj się i przestań udawać naiwnego. Znam się na tym trochę.

Wszyscy się obejrzeni. Mecenasa Szwarca narzekał:

— Okropnie przemądrzały. Co za czasy. — Trzepiąc różowy kocyk powiedział w stronę kosza: — Zaraz będę przepytawał. Powtórz sobie, co trzeba.

— Paciorek?

— Paciorek. Mogą być i grzechy też. Wszystko, ale z uczuciem. Klęknij.

Po jakimś czasie rozległ się w kącie kaszel i chłopczyk z kosza zaczął grymasić:

— Nie chcę.

A potem usłyszeli wściekły syk mecenasa Szwarca, kiedy dobitnie cedził przez zęby:

— I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. Teraz dopiero amen.

I chłopczyk z kosza powtórzył:

— Amen.

Stara Zełda słuchała pacierza dziecka z jakimś zapamiętaniem i jej oczy błyszczały w ciemności. Szerniała twarz skryta była w cieniu. Spuchnięte, obrzmiałe ręce zacisnęła pod podbródkiem.

— A teraz kładź się i śpij.

— Znowu do tego wstrętnego koszyka, tato?

Mecenas Szwarc odwrócił się, strzepnął po raz ostatni różowy kocyk i szeptem powiedział do Mordarskiego:

— Okropnie przemądrzały. I zna na pamięć cały katechizm. Udawać ewangelika to dla niego pestka.

Mordarski uśmiechał się pobłaźliwie. Mówił do Dawida i Zygi:

— Uczyć się, szczeniakeria! I wam się to kiedyś przyda na nowej drodze życia.

Szwarc z synami zajmował cały kąt w piwnicy. Wyrostek przesiadywał za dnia bez ruchu, troskliwie zdejmując pyłki z granatowego garnituru uczniowskiego, co raz to wydobywał z kieszeni fałszywą metrykę, sumiennie zaznajamiał się z jej treścią i oswajał ze swym nowym imieniem Stanisław, a malec pokazywał wszystkim ołowiany medalik, zawieszony na sznureczku pod koszulką, razem z woreczkiem kosztowności. Wieczorem Szwarc opróżniał wiklinowy kuferek z rzeczy i układał w nim malca, a ten kończył i zaczynał dzień każdy pacierzem, który powtarzał z ogromnym upodobaniem, bez zająknięcia. W piwnicy zaczął kaszleć.

Mecenas Szwarc kończył rozmowę z Urim.

— Gasić świece. Spać. Dosyć tego święta na dzisiaj — przerwał Kalman Drabik i pierwszy ułożył się do snu.

Mijały noce i dni, a wszystkie podobne do siebie, jak jedna długa noc.

Zyga znalazł pierwszy gryps.

Stara Zełda, szurając bamboszami, wyszła z jakiegoś ciemnego zakamarka piwnic popatrzeć i ucałować strzęp urwany z gazety, zapisany ludzkim pismem. Rozpłakała się na ten widok. Bóg przecież jest na niebie. Długo chlipała. Eli, Eli szebaszamaim! Mordarski kazał jej być cicho.

Z tego grypsu dowiedzieli się, że Jakow żyje. Niech się trzymają jeszcze parę dni, tydzień. Kiepełe do nich trafi. Nie są sami. Jehuda wie, co ma robić? Podpisu żadnego.

Myśleli, że Gedali. Ale to nie było jego pismo. Mógł wysłać wiadomość, a zapisał ją ktoś inny po drodze i podrzucił, kiedy szedł tędy. Nie wiedzieli, co to znaczy. W każdym razie Jakow żyje. Ojciec żyje? Uśmiechał się niewyraźnie, kiedy Naum pokazał mu gryps. Unikał wzroku Nauma. Jeszcze w kryjówce pod dachem, kiedy patrzył godzinami na maszerujący tłum, powiedział, że ojciec już nie wróci stamtąd i wuj Jehuda to słyszał. Wystarczy głośno wymówić słowa obawy i już jest tak, jakby stało się najgorsze. Wiedział, że ból, który czuł, nie jest tęsknotą. Coś zaciskało się w nim i kamieniało. Ojciec żyje? Trudno mu było uwierzyć i wstyd, że nie miał sił uwierzyć. Pogrzebał w sercu żywego człowieka. Ale zanim to się stało, musiał pogrzebać w swym sercu cały ten świat.

Winszowali mu. Dawid, ten ma szczęście!

Kalman Drabik zawinięty w cudzy tałas modlił się dłużej niż zwykle, kołysząc się, szepcząc, po wielekroć przyciskając do ust tefilin.

Mordarski okryty futrem, na mokrych kamieniach, chrypiał:

— Każdy ciągnie w swoją stronę i ratuje skórę nie oglądając się na innych. Żydzi prowadzą wojnę... Koń by się uśmieł! Z góry wiem, jak to się skończy.

Była noc. Zełda zapalała ogarki świec, porozkładane w załomach piwnicznych murów.

— Kupcy będą dusić forszę do ostatka. Grosza nie dadzą na broń. Władują w bunkry. Wszystko, co mają. Rabini będą się modlić. Trząść tałasami nad pożarem. Wołać, że Pan jest Jeden, trzoda jedna, a Izrael wybranym narodem. Trzoda tego wysłucha,

jeszcze raz. Poszemra, ale wysłucha. Robotnicy będą harować do ostatnich potów. Tylko to umieją. Wiedzą, że za darmo nikt im michy nie napełni. Studenci? Jeszcze trochę, jeszcze. A bojowa młodzież rozpadnie się na kółka i kółeczka. Jedni będą ciągnęli w stronę rabinów. Inni w stronę robotników. Jeszcze inni w stronę kupców. Tych paru, co obstawać będzie przy swoim, wydusi od bogaczy siłą parę groszy na otarcie łez i... granat, którym z głupoty sami się wysadzą w powietrze! Tak się skończy. Który nie wierzy w pieniądze, będzie musiał uwierzyć w pieniądze.

Uri stanął nad nim i patrząc na zabłocone, uszargane futro mówił:

— Tee, Mordarski. A skąd wiesz, że z ciebie nie wydusimy, ile nam trzeba? Rzygniesz pieniściami. Rzygniesz. Sam przyjdiesz prosić: „Bierzcie. Dłużej nie idzie wytrzymać!” Poczekaj.

— Oj, dzieciaku, na długo ci starczy? Co ja mogę... Pistoleciki, granaciki to kosztowne zabawki.

Kiedy już Mordarski skończył swoje, podszedł do niego Kalman Drabik i powiedział tak:

— Oni nic nie mają. Po co odbierasz im to, czego sam nawet nie masz? Swoją prawdę trzymaj zaszytą pod podszewką i nie wypruwaj bez potrzeby. Zostaw im, zostaw te trochę wiary. Czego nie możesz człowiekowi dać, tego nie odbieraj. Mordarski, bo nie uszanuję twojej siwej głowy! Mordarski, bo się z tobą policzę. A rachunek jest długi.

Uniósł się i urwał krzycząc. Leciutko kołysał tułowiem, jak przed skokiem. Lewe ramię, gołe, owinięte rzemieniem, uniosło się w górę.

Mordarski poprawił futro, koc, okrył się i wcisnął w kąt.

— Dosyć tej soboty na dzisiaj.

Zęlda, sunąc wzdłuż ścian, gasiła dmuchnięciem ogarki nie dopalone, jeden po drugim.

Ręka, która podrzuciła pierwszy gryps, dała znać znów. Teraz już wiedzieli, że to człowiek chodzący tędy swobodnie.

Raz dziennie, pod strażą zjawiał się na podwórkach Nahum Szafran. Obiegał uliczki i wołał ukrytych. Wracał z Niemcami, a kiedy kończyli swój obchód, jeden z nich wpychał go do wartowni na Prostej przed warsztatami i patrol szedł do kantyny; na noc znów zabierali go ze sobą na posterunek. Nahuma karmili w kuchni Toebbensa, gdzie mógł mówić z wujem Gedalim. Możliwe, że grypsy kazali mu rzucać Niemcy; w takim razie Gedali został zatrzymany i do tej pory nie wyciągnęli z niego, po co kręcił się w tej okolicy i którędy wylażł z kryjówki. Niemcy węszyli i w każdej chwili mogli ich tutaj nakryć. Czas mijał, a Nahum nie sprowadził im nikogo na kark. Uri mówił, że można na nim polegać; Kalman mówił, że już na nikim nie można polegać. Co dzień, w południe, rozlegał się krzyk Nahuma na ulicy, a potem żandarm włókł go na podwórze, do sieni i wszędzie. Włókł jak opornego psa.

— Kto wyjdzie, ten ocali głowę!

I znów:

— Żydzi, wychodzić! Tutaj nikt żywy nie zostanie!

Kalman przyniósł nową wiadomość. Widziano ojca w warsztatach Transawii. Chodzi z grupą za mur, na placówkę. Najpierw mówiono, że poszedł z transportem w pierwszych dniach sierpnia, potem mówiono nawet, że ktoś go widział pod wachą na Lesznie zastrzelonego, a potem te dwa grypsy i Kalman przyniósł nową wieść. Nie wiadomo było, komu wierzyć. Czego jeszcze szukał tutaj Kalman? Schował coś, czego nie zdążył w

porę wynieść? Naum, Uri i wuj Jehuda naradzali się cały dzień, a kiedy nastąpiła noc, zabrali ze sobą Dawida i poszli na górę gotować.

Kalman przepadł. Ale nazajutrz był razem z nimi i cały dzień mieli go na oku.

Mordarski rozzłościł się i przerwał milczenie.

Głupcy są, jeśli wierzą w to, że Niemiaszki nie mogą ich nakryć. Niemiaszki nie chcą ich jeszcze nakryć! Krwaworączka z patrolem czarnych może w ciągu paru godzin dokładnie oczyścić dzielnicę i wykurzyć uciekinierów z kryjówek. Zewsząd, z tej marnej nory też. Jak dzielnica zostanie do końca przetrząśnięta, muszą ją hycle przekazać komendanturze miasta. No, no, właśnie. SS, Feldgendarmierie ani granatowa policja nie jest tym zainteresowana. Zanim przekażą dzielnicę, mogą plądrować na własną rękę; komendantura o tym wie i przymyka oczy. Aby ten stan rzeczy przedłużyć, Niemiaszki chodzą na palcach koło ostatnich kryjówek. Ukrywający się Żydzi są im potrzebni. Jak długo, nie wiadomo. W każdym razie jutro i pojutrze, i jeszcze za tydzień nikomu w kryjówce włos z głowy nie spadnie. Później, tak. Kiedy hycle się już obłowią i napchają po dziurki w nosie żydowskim złotem. Krwaworączka włoży rzeźnicki fartuch, żeby nie zbrukać munduru Zugführera, weźmie się żwawo do roboty i pokaże, co potrafi. Oho, a on potrafi! Tymczasem ma to gdzieś, że garstka Żydów ukrywa się w ruinach, drżąc ze strachu. Najpierw interes, potem przyjemność. Dla hyclów nastąpił sezon, który musi być wykorzystany. Żaden Niemiaszek nie jest tak łatwowierny, jak Żyd. Zaraz uwierzyć w to, że trzeba przyspieszyć *Judenrein* właśnie wtedy, kiedy należy opóźnić *Judenrein*? Musiałby upaść z pieca na łeb.

Głupi Żyd jest gorszy niż przechrzta! Mordarski sapiał ze

złości. Chrypiał, przeziębiony, i nie dał się udobruchać nawet mecenasowi.

Dziwna rzecz, słowa Mordarskiego podziałały na nich krzepiąco; bardziej nawet niż to, co mówił Uri.

Uradzili tak:

Niemcy węższą, swoją drogą. Ale grypsy rzuca Nahum poza plecami strażników. Gedali trafił bez przeszkód do warsztatów i tam go przyjęli z powrotem. Stąd nie grozi im nic. Tak czy owak, nie będą tkwić w tej norze przez wieczność. Uri musi dostać się na tamtą stronę i nawiązać łączność z Felkiem Piorunem, a razem z nim pójdzie za mur Jehuda. Stamtąd będzie miał okazję wrócić z Transawią do dużego getta. Ulice w dużym getcie nie będą tak prędko *Judenrein*, zanim to nastąpi, może upłynąć parę miesięcy, zima, a w tym czasie Jehuda zdoła przygotować dla nich grunt. Bo robota w warsztatach na Prostej urwie się prędzej czy później i Gedali, gdyby przepadł w selekcji, też musi wiedzieć, że po drodze na Stawki ma dokąd uciekać.

Naum? Zostanie, póki ramię się nie wygoi, i będzie czekał na znak od Żeleźniaka. Ma wyzerkę, wydobreje. Naum był pewny, że Żeleźniak w tych dniach razem z szabrownikami dostanie się tu legalnie. Fury szabrowników już krążą i Żeleźniak i Felek Piorun muszą o tym wiedzieć. Kiepełe na pewno dał im wcześniej znać, a Kiepełe drogę do kryjówki zna. Mordarski? Niech się o niego nie martwią! Jak hycle ściągną mu futro z grzbietu, to i tak zostanie w koszuli wyklejonej motylami. Szwarc? Ma dosyć. Idzie na Stawki. Ale obawia się, że ukatrupią go na pierwszym skrzyżowaniu. Jak iść nielegalnie na *Umschlagplatz*? Oto pytanie. Elijahu? Nie ucieka. Zostanie z Naumem, jak długo się da. Zyga? Może zaraz przejść na tamtą stronę. Ale co z babką? Zełda już prawie nic nie widzi. Ślepnie.

Kalman chciał mu powiedzieć, którądy ma szukać przejścia. Wyśmieli go wszyscy, a najgłośniej Mordarski, któremu Zyga nosił towar przez dwa lata. Komu chce pokazywać drogę? Szczeniak zna więcej dróg niż oni tutaj razem więci. A jeśli Kalman chce iść z nimi, z Jehudą i z Urim, to dobrze się składa. Kalman nie chciał, a potem zmienił zdanie. Pójdzie z nimi; kiedy zbliżał się wieczór i pora wyjścia, Kalman znów zaczął się trząść. Szeptał z Mordarskim, zwlekał. Nie wiedzieli, co to znaczy. Dopiero później wypłynęły na wierzch te skóry i wyjaśniło się, że Kalman pilnuje schowka. Czeka na wozy. Interes ubity miał z Żeleźniakiem, a ten nie dawał znaku życia. Albo nie mógł, albo nie chciał nadstawiać głowy za te skóry. Ale wtedy, kiedy Jehuda z Urim wybierali się za mur, nic o tym wszystkim nie mogli wiedzieć. Ufać Kalmanowi, za duże ryzyko. Musieli iść, a woleli mieć Kalmana przy sobie. Minął następny dzień, wieczorem z Zełdą było już marnie i myśleli, że skona. Majaczyła, traciła przytomność, ale nie skonała tak lekko. Puchła dalej, od nóg. I żyła, kiedy nikogo tam już z nich nie było. Szabrownicy z wozami i więźniowie z Prostej, którzy szli na miasto do pracy pod strażą, widzieli jeszcze długo, jak snuła się gruzami. Obojętna, w łachmanach, chodziła po wodę za dnia. Zostawiła po sobie wydeptaną przez ruiny ścieżkę, którą Niemcy oglądali. Podobno — Krwaworączka zwlekał, nie chciał jej zastrzelić i dopiero przed zimą kazał nad Zełdą zasypać loch.

W ostatniej chwili Kalman powiedział, że idzie. Niech zaczekają, bo lada dzień spodziewa się Żeleźniaka z końmi; i wtedy wspomniał o tych skórach. Mordarski sarkał. Taki tchórz jak Kalman Drabik to ciężar i nieszczęście dla innych. Czegoś trzeba się trzymać. Mogli po cichu ukrećić mu łeb i mieliby słusność. Jemu? Kalman płakał szczerymi łzami. Mieli go zatem

za kapusia? Jego? Popłakał, poszukał tałesu i długo modlił się tej nocy. A że Żeleźniak po skóry się nie stawiał, tak jakoś dwa dni później postanowił kryjówkę opuścić. Trząsł się okropnie, biadał, na pożegnanie całował wszystkich. Wróci albo da szmuglerowi dokładny plan, gdzie schowek. Pierwszy miał wyjść Jehuda z Kalmanem Drabikiem, po godzinie Uri.

Kalman mówił:

— Wyjdiesz za róg...

Policzy latarnie, stanie przy piątej. Przystąpi dwie płyty w chodniku i stamtąd czołgać się będzie prosto na mur. Dawno już, jak Chaskiel odbił kawał cegły. Leży na swoim miejscu. Uri wyjmie ten klin i już ma oparcie na prawą nogę. Wyciągnie dobrze lewą rękę. Tam znajdzie uchwyt; wydrapany jest cement między cegłami. (Aron Jajeczny drapał ten cement.) Niech uważa dobrze. Tyle, co na trzy palce. Kiedy ma już prawą nogę w murze i uchwyt na lewą rękę, niech wyciąga hak. Hak równo nad głową, pod samym szczytem, chodzi nie za luźno. Niech maca dokładnie, szuka powoli. Główką haka pochlapana wapnem i nic nie widać. (Kiepełe założył ten hak.) Uri podciągnie się na haku, raz! Wyrzuci prawą nogę, dwa! A kiedy będzie leżał na murze, zasunie hak z powrotem do końca. Utracony kawałek cegły... może tak zostać. Mur połupany jest teraz kulami i to nie rzuci się w oczy nikomu. Do tej pory za każdym, kto szedł, klin zakładano na miejsce. Pamięta? Niech powtórzy jeszcze raz.

Uri powtórzył.

Poszli; a Dawid pomyślał, że Kalman prowadzi wuja Jehudę innym przejściem... Tak z tego wynikało.

Uri nie chciał o niczym słyszeć, okrył się kocem, ziewnął i powiedział, żeby zbudzili go najpóźniej za godzinę. Po godzinie księżyc wzeszedł wysoko nad ruiny i unikając miejsc

oświetlonych zaczęli przemykać się podwórkami, z domu do domu, wypatrując przełazów wybitych w ścianach, błędząc ostrożnie po zagraconych klatkach schodowych, odsuwając nogą leżące w ciemności trupy, schodząc po omacku do piwnic, wspinając się po schodach na górę i znów na dół. Ulice były widne. O północy zerwał się wiatr; okna, drzwi trzaskały w pustce i ciszy. Podnosiły żałobny zgiełk. Niemcy nocą nie pokazywali się w takich miejscach, ale na myśl o spotkaniu z ukrytym człowiekiem robiło się nieswojo. Jakiś strych musieli otworzyć siłą, stamtąd długo rozglądali się. Gdzieś za murem, po drugiej stronie ulicy w nie zaciemnionym oknie pokazało się za żółtą firanką światło. Wstrzymali oddech i po chwili zgasło. Widok ten wydawał się niewiarygodny, jak życie. Szarzało i zarysy domów w mroku rosły, nieruchomiały. Pod murem zakaszła żandarm. Czekali świtu kostniejąc z chłodu, w zupełnym milczeniu. Ze wszystkich stron rozlegały się szmery, westchnienia, kroki, a to tylko burza szła i wiatr włókł śmiecie przez — otwarte na oścież — rudery. Kiedy rozwidniło się trochę, zeszli piętro niżej. Stąd widzieli już wyraźnie. Na wierzchu muru leżała przerzucona kapota, pod murem Kalman z hakiem w zaciśniętej pięści. Tak, jak odpadł od ściany.

Wracali, kiedy deszcz zaczął mżyć i rankiem wzmocnione patrole odcięły im drogę. Całą dobę trwał powrót; nocowali w tym czasie na strychu, który ktoś przerobił sobie na skrytkę i mieszkanie, kąsani przez wygłodniałe pluskwy, a z zewnątrz huczały głosy furmanów, którzy zajeżdżali po meble, zatrzymując fury na podwórkach.

— Zrucaj, zrucaj... Zrucaj tu!

To za nimi przyciągnęły patrole żandarmów. Oknami leciały toboły, pościel, śmiecie i kurz, aż do wieczora.

Wrócili; w kryjówce pod gruzami panował popłoch i trochę czasu minęło, zanim dostali się do środka. Nie spodziewano się, że wrócą. Mecenase Szwarz karmił ich, poił; pytał z powagą, czy Jehuda zdążył przejść pierwszy, przed Kalmanem Drabikiem? Myśleli, że ujęto go żywcem. Po paru dniach Naum przyniósł skrawek skóry wypruty z mezyzy i pokazał wszystkim bez słowa.

Po jednej stronie wersety modlitwy, a na odwrocie parę słów ołówkiem i z tych paru słów dowiedzieli się, że Jehuda przeszedł. Skóra była wilgotna, splukana deszczem i sterczała spod cegły na skraju ruin, któredy zwykle szli. Obcy przeszedłby obok, oni znali tu każdy kamień. Potrafili po przejściu szperaczy rozpoznać świeże ślady, przesunięte nogą rzeczy, trącony gruz. W ciągu długich, pustych godzin rosła wciąż trwoga i każda wieść z zewnątrz była dla nich zmorą w tym zamknięciu.

Wykluczone, Jehuda tego nie pisał! A może Niemcy już śledzą kryjówkę? To by nie zwlekali, tylko raz-dwa wykurzyli ich stąd. Tak, ale niepokój pozostał, ponieważ nikt bez narażenia życia nie mógł tędy się włóczyć. Podawali sobie gryps z rąk do rąk, jak złowrogą relikwię, ciemny wyrok losu, który został im wydany. Do tej pory nie dotknął rozwiniętej mezyzy i zawsze mu się wydawało, że ukryta być musi w środku jakaś straszna tajemnica; teraz Dawid trzymał w palcach skrawek pergaminu i czytał stare słowa.

Czy z tego wynika, że Kalman nie był kapusiem? Mógł być — tylko na ostatek znudził się Niemcom. Naum przewijał zaschłe bandaże na ręce; i dlaczego Kalman poszedł tym przełazem, kiedy wyraźnie mówił, że pójdzie innym? To właśnie było podejrzané. Wtedy, przewijając brudny bandaż, Naum przypomniał sobie o drugim przełazie na Żelaznej. Zaraz, zaraz; a z jakiego powodu Kalman Drabik tamtędy nie poszedł? Trzeba

było sprawdzić.

Po przewinięciu bandaża świeczka zgasła. Odkąd Zełda zaczęła oszczędzać resztek świec, chodzili piwnicami wyciągając przed siebie ramiona w ciemności. Gubili się w domysłach, drzemali, a sny też były koszmarem i przekleństwem. Elijahu zbudził się któregoś dnia mówiąc, że śnił mu się Kalman i odkrył przed nim, gdzie leży schowek i pół tony gienzowych skór. Każdemu z nich Kalman jawił się we śnie inaczej, wobec jednego szlochał, wobec innego zanosił modły z twarzą zasłoniętą tałasem. Wskazywał winowajców, oskarżał! Mordarski spluwał. Najgorzej ze sprawiedliwymi w takich czasach jak nasze. Odkąd wszyscy byli winni, zabrakło wśród nich winnego. Okazało się, że martwy kapuś bywa tak samo niebezpieczny, jak żywy kapuś.

Gdzie jest prawda? Na ulicy Żelaznej. Naum poszedł nocą i wrócił późnym rankiem.

Dotarł daleko, do strychów u zbiegu Ciepłej i Ceglanej, gdzie spotkał samotnych łazików i parę ukrytych rodzin. Wszędzie to samo. Ruiny, trupy, a w splądrowanych ruderach gdzieniegdzie cienie żyjących. Uciekają spłoszeni każdym szmerem. Brakło mu słów, aby opowiedzieć, co widział. W każdym razie, to drugie przejście przez mur było zdemaskowane — o czym ludzie z Ceglanej wiedzieli, ponieważ znajdowało się w ich sąsiedztwie — i dlatego Kalman Drabik wrócił do miejsca, któredy miał iść Uri.

Trup Kalmana został wkrótce sprzątnięty z ulicy, kiedy Niemcy kazali więźniom z Prostej obejść mur; oznaczyli farbą wszystkie stare i ujawnione przełazy, aby krążące posterunki z daleka już widziały cel. Żelazną bez przerwy sunęły patrole, siejąc postrach wśród uciekinierów.

Elijahu, Zyga i Dawid na zmianę przekradali się w tamtym kierunku, aby z ukrycia śledzić ruch straży. Transport mienia trwał. Za murem rozsiadali się wygodnie na krzeselkach szaulisi, z termosem ciepłej kawy, z karabinem między kolanami, i z balkonów mieli całkiem niezły widok. Nocą opuszczali swe stanowiska i zabierali puste termosy, oddając na oślep ostatnie salwy w ruiny. Chłopcy wracali do kryjówki przygnębieni.

— Mysz nie przecisnie się, tym bardziej człowiek.

Mijał dzień za dniem. A każdy dzień zwłoki kosztować mógł życie.

Mordarski umył ręce.

Zyga poszedł najpierw sam, wspiął się na strych i stamtąd cierpliwie obserwował ulicę. Wrócił, kiedy było już ciemno.

— Uri przejdzie!

Poszli późną nocą, zanim rozwidniło się na dworze, Zyga, Dawid, Elijahu i Uri. Na miejscu zostali — Naum, Mordarski, mecenas Szwarz z synami, stara Zełda, dokładnie zamaskowani przez wychodzących. Albo jutro, albo wcale. Z tym się pożegnali. Zyga, Dawid i Elijahu szli boso, Uri okręcił buty gałganami, ale i on porzucić je musiał w ostatniej chwili. Ostrożnie posuwali się w — kierunku przełazu Kalmana i ten mały odcinek drogi zajął im wiele godzin; co chwila przystawali na długo, przylepieni do ścian, słuchając. Każdy szmer wydawał się podejrzany po opuszczeniu głuchych piwnic pod gruzami. Szukali dawnych, skrytych przejść i nie mogli poznać drogi. Krążyli, wracali z powrotem na znane im miejsca, widząc, jak przetarta przez łazików i tyle razy przemierzana trasa dłuży się w nieskończoność i klaczy. Wszędzie oglądali ślady Niemców i straszną pracę więźniów, których Niemcy musieli tędy pędzić przed sobą; wszędzie oglądali zasypane gruzem wyloty,

zatonione tunele, spalone zapasy żywności, dymiące legowiska, spustoszone granatami skrytki, które były czymś ostatnim schronieniem, podziurawione kulami i wyschnięte wiadra, z których wyciekła woda; wszędzie leżały zmasakrowane ciała, z których wyciekła krew, ludzie wydobyli się ze schowków, rozstrzelani na progu, wśród porzuconych łusek po nabojach, i szczury — wielkie, opasłe, siwe szczury skakały wysoko na ich widok, rozzuchwalone, jakby dosięgnąć chciały twarzy żyjących. Przed świtem dotarli do przełazu Kalmana. Na miejscu, pod murem, Wächtera nie było. Stali bez ruchu, aby po trzasku zapalniczki i lekkim dymku, ginącym w przedrannym powietrzu, wypatrzeć zaczajonego Niemca. Skrył się w bramie na wprost przełazu, pod nimi, trochę na lewo. Zyga szeptał z Urim, przytykając usta do ucha; odkąd tam się znaleźli, ani jedno słowo nie zostało rzucone w powietrze. Elijahu, wyciągając przed siebie bose stopy, bez szmeru zsunął się po poręczach na dół. Wrócił, kiedy już szarzało. Wächter był sam; urządził sobie kwaterę w stróżówce, której drzwi wiodły do bramy. Rozwidniło się trochę i wtedy go poznali po ruchu, jakim poprawił automat, i po drewnianej kaburze pistoletu, którą nosił nisko na długich rzemiennych rapciach. Był to Krwaworączka. Uri wsunął się cicho na następny strych, należący już chyba do drugiej kamienicy. Zyga stał oparty o pochyłą ścianę, z rękami w kieszeniach, wdychając zimne powietrze wpadające ciasnym okienkiem. Słońce weszło i słabe światło padło na suchą, smutną twarz, puste oczy, wklęsłe skronie, rozciągnięte w nieśmiałym uśmiechu usta. Noc wysączyła z niego krew i Zyga był szary jak popiół. Chwilę zwlekał. Bezbronnym ruchem przetarł palcami czoło. Chciał jeszcze coś powiedzieć; machnął ręką i zawrócił w kierunku, skąd przyszli. Elijahu brudną, bosą

stopą powoli pocierał łydkę. Ranny chłód wstrząsał nimi i zaschło w gardle, pełnym kurzu. Już było jasnowo. Widzieli mur, utraconą cegłę w murze i wyżej uchwyt na lewą rękę w miejscu, gdzie ciemniała plama krwi; z góry wyraźnie rysował się krótki, może metrowy odcinek szczytu, z którego usunięto szkło, a dalej zastygłe w zaprawie sterczały szczerbate dna butelek i ostre drzazgi słuczki. Zielony hełm Wächtera pokazywał się, znikał. Raptem usłyszeli hałaśliwy brzęk blaszanki, wyrzuconej na ulicę. Hałas powtórzył się; Zyga wołał coś z daleka, parę domów w prawo, a Krwaworączka dalej tkwił na posterunku i nie dał się wywabić z tego miejsca. Elijahu mocno ścisnął Dawida za ramię, szepnął: „Jak Łotysze już wyszli, to po nas.” Ale Łotysze nie pokazali się jeszcze na balkonach. Zyga wybiegł na środek ulicy i wołał:

— Krwaworączka, na co czekasz? Strzelaj!

Wächter strzelił, chybił i ruszył biegiem w tamtym kierunku.

Zyga, skrywszy się w bramie, biegnąc podwórzami, przystając w sieniach, na schodach, wołał donośnie:

— *Blutighändchen, komm, komm... Ein Schuss, ein Mensch... Komm, ich warte!*

A wołanie Zygi huczało o świecie wśród nagich, pobrużdżonych kulami ścian, wśród martwych oczodołów wybitych okien, postukujących na wietrze okiennic i echo niosło się w pustce głuchej, ciasnej, ciemnej i przez nikogo już nie zamieszkaney uliczki, nadal murem odciętej od miasta.

— *Komm, ich warte!*

Niemiec opuścił posterunek pod przełazem i musiał tę drogę do Zygi przebiec sam, z bronią w rękach.

— *Blutighändchen, komm, komm!*

Zaczęła się gonitwa po piętrach. Rozległ się huk

zatrzaśniętych w biegu drzwi, strzały, tu, tam, oddawane na oślep długimi seriami. Ujrzeni cień z lewej, który sunął boso przez jezdnię, i zanim Wächter wrócił na swój posterunek, Uri wetknął stopę w wyrwę po utraconej cegle, ręką złapał uchwyt i ciągnąc się na tej ręce w górę, kiedy kolana darły się rozpaczliwie na ścianie, z wysiłkiem wyrzucił prawą nogę na wierzch muru — przez mgnienie klęczał na szczycie zgarbiony, odpoczywając i wypatrując czegoś na ulicy, już po tamtej stronie — a potem zsunął się na łeb, na szyję i przepadł im z oczu. Tymczasem gonitwa przycichła i po jakiejś chwili rozległo się parę głuchych strzałów z pistoletu, pojedynczo, w krótkich odstępach czasu. Kiedy Krwaworączka pokazał się w końcu, włókł ranego Zyge za koszulę, nogami po ziemi. Rzucił go pod murem w widocznym miejscu. Mogli iść; Zyga leżał na kamieniach, bez ruchu, skurczony i cicho powtarzał:

— *Noch eine Kugel!*

Krwaworączka szedł na swoje miejsce i nie oddał tego ostatniego strzału. A oni, po zmianie warty, wracając ukradkiem długo jeszcze słyszeli cichnące za nimi skargi ranego.

W kryjówce powiedzieli:

— Uri przeszedł.

— Co? Na tamtą stronę?

— Na tamtą.

— Bez haka?

— Bez haka.

Dzień minął, noc minęła.

Przełaz, którym Kalman Drabik nie mógł iść na tamtą stronę, kiedy prowadził wuja Jehudę — znany był od dawna Mordarskiemu. U zbiegu Ceglanej i Żelaznej, trochę dalej, nie dochodząc Prostej, straszyla ruina bramy, zachowanej w połowie

i zarośniętej żdzębami trawy, pokrywą, ostem wczepionym w szczeliny gruzu, a dalej rozciągał się pusty placyk na miejscu wyburzonej posesji i usuniętej stąd garbarni, gdzie latem swe kramy otwierali cholewkarze i łaciarze i gdzie dawniej schodzili się przemytnicy z obu stron muru. W cieniu bramy, porzucony wśród butwiejących straganów, stał wózek — zwyczajna platformka dwukołowa, z dyszlem i łańcuchem. O szarówce podtaczano platformkę do muru i po niej wspinano się na wierzch; tędy wracali do siebie szmuglerzy ze spółki Felka Pioruna jeszcze zimą ubiegłego roku. Odkąd Niemcy rozbudowali warsztaty na Prostej, placyk po wyburzonej posesji, łączący się z terenami Toebbensa, był silnie strzeżony i handel ustał, a próchniejące stragany zepchnięto na stos koło ruin, gdzie niszczały. Przedtem po przejściu każdego wózek usuwano spod muru na miejsce i dla niepoznaki odwracano do góry kołami. Kiedy nie ma komu zacierać śladów, taki przeład może służyć tylko raz. A że Kalman tamtędy nie przeszedł, tylko cofnął się do przeładu u wylotu Grzybowskiej, myślno w kryjówce, że Niemcy sami wpadli na trop i wózek usunęli lub zniszczyli. Było jeszcze inaczej. Mordarski, który włóczył się tam nocami, słyssał od łazika na Ceglanej, że do tej pory nikt nie ruszył wózka z miejsca, a ci dwaj z Krochmalnej — poznali w nich Kalmana i Jehudę — zmuszeni byli się cofnąć, ponieważ patrol czarnych wcześniej zdemaskował przeład po czyjejsz nieudanej ucieczce. Krwaworączka wózka nie pozwolił ruszyć: posterunek w ruinach koło nowej pułapki czuwał dniem i nocą.

Mordarski powiedział, że miejsce w sam raz mu się nada i że z jego forsa każdy napotkany żandarm wyprowadzi go za mury ze śpiewem. Byle nie wpaść na szaulisów — szaulisów bał się panicznie, odkąd bagnetami zakłuli mu rodzinę w jego własnym

mieszkań i nie chcieli nawet słyszeć o łapówce. Mordarski przemyślał ucieczkę powoli, w miarę jak tracił nadzieję na nadejście Żeleźniaka. Kalman i Mordarski to była spółka i te skóry też leżały na sercu współnikowi, kiedy nikt inny nie mógł się już dostać do schowka. Więc zwlekał. Aż pewnego dnia machnął ręką na wszystko i powiedział, że idzie szukać żandarma koło starych kramów. Tam Mordarski będzie czekał, gdzie na Mordarskiego czekają! Tego dnia Nahum krzyczał okropnie. Wył i szlochał. Błagał ukrytych o wyjście. Jęki bitego, przerywane wołaniem: „Oj, Żydzi kochani! Oj, pomóżcie mi... Ratujcie!”, docierały w głąb do piwnic i lochów. Słyszeli, którzydy Nahuma Szafrana prowadził konwojent, a niektórzy zatykali sobie uszy ze strachu.

Mordarski powiedział swoje ostatnie słowo. Poszedł i więcej do kryjówki nie wrócił. A ludzie ze strychów na Ceglanej długo potem jeszcze opowiadali więźniom od Toebbensa, jak to było. Przez Waliców na Ceglaną skradał się szarym świtem. Pod osłoną rumowiska straganów, aby nie wypatrzyli go wartownicy z Prostej, przepełznął placyk i wydostał się na ulicę Żelazną koło przełazu. Tam stał i czekał, w widocznym miejscu. Rozpiął futro. Kiedy czarny wyszedł z ukrycia w zrujnowanej bramie, kupiec zdjął futro i rzucił mu pod nogi. Trafiony został z bliska. Mówili, że ten czarny zbaraniał, kiedy po drugim strzale kupiec stał mocno na nogach i zdążył jeszcze wyciągnąć spod koszuli woreczek kosztowności. Niemiec znów strzelił, Mordarski kosztowności upuścił, ale sam nie upadł. Wyjął w ostatniej chwili garść dolarów i cisnął czarnemu w twarz. Niemiec stał wśród polatujących pieniędzy i strzelał raz za razem spiesząc się, by Mordarski przestał wreszcie te pieniądze rozrzucać na wiatr, a on dalej rzucał tymi pieniędzmi w Niemca.

— Cham nie poznał się na cybetach.

Tak mówili ci, którzy koniec Mordarskiego oglądali ze strychów na Ceglanej.

— Eh, futro Mordarskiego! Wierzch z angielskiego sukna na cybetach i szalowy kołnierz z wydry.

Więźniowie z warsztatów na Prostej mówili inaczej; prawie to samo, ale trochę inaczej. A widzieli dobrze. Według nich Mordarski przekupił czarnego, ale przechytrzył. Zdjął futro, złoty zegarek z ręki. Czarny wciąż targował się z nim, chciał więcej. Mordarski odmawiał; pewno bał się zdradzić, że ma ukryte dolary. Kiedy czarny ubił z kupcem interes, odprowadził go pod murek, w tej zrujnowanej bramie oddał pierwszy strzał i zranił Mordarskiego w rękę. Ranny darł zębami ubranie, żeby wypruć zaszytą forszę, a w tym czasie czarny oddał dwa strzały. Zanim Mordarski skonał, sztywniejącą ręką rozrzucił koło siebie paczkę banknotów, które frunęły przez placyk aż pod warsztaty na Prostej; wtedy esesman oparł karabin o murek przy martwym i rzucił się w pogoń za dolarami, a był już najwyższy czas, bo paru wartowników opuściło posterunki przy drutach i potem — pokazując rękami po kolei ruinę bramy, usypisko szerniałych straganów, wyburzoną posesję, dokąd sięgał ich rewir, i wartownię u wejścia do Toebbensa — długo o coś tam się z nim kłócili.

Kryjówka pustoszała; z legowisk po Urim, Kalmanie, Jehudzie, Mordarskim ściągnęli koce i sami się nimi okrywali, drzemiąc, znękani chłodem jesiennym i ciemnością. Woda sączyła się z murów lochu, zatapiała barłogi. Zegarek Nauma stanął, a Szwarz przekreślił sprężynę; nie mierzyli czasu, a dzień i noc pochłonęła ciemność. Nahum Szafran przestał wołać ukrytych. Znaczyło to, że Niemcy musieli go wykończyć. Głosy

furmanów, ładujących meble na fury, i kroki więźniów, porządkujących ulice i podwórza, docierały coraz bliżej. Przestali czekać na Felka Pioruna i zawiodły rachuby, że Żeleźniak trafi na ich ślad w ruinach, zwabiony schowkiem pełnym skór. A Uri nie dawał ciągle znaku życia. Coraz trudniej przychodziło zaopatrzyć się w żywność; pamiętali o tym więźniowie z Prostej, u brzegu ruin kładąc szmaciane zawiniątka z chlebem. Stara Żelda nie zauważyła nawet braku Zygi. Snuła się po lochu szurając miękkimi kapciami; wolno posuwała się na spuchniętych nogach i rozkładała w załomach ścian małe niedopałki świec, które wyciągała z jakichś jej tylko znanych zapasów. Obrzmiała, wielka twarz Żeldy była już zgniłozielona. Nocami wypęzła ze swej nory, gdzieś w gruzach, Estusia. Dobijała się do szopy, zamkniętej na głucho. Chodziła, szukała. Idąc pewnego razu po wodę do kamienicy usłyszeli długie, stłumione wołanie, nagły hałas, ciche kroki, bełkot. Przystanęli, a tam cień przemknął koło suteryny Zajączka. I znów w ciemności rozniósł się szelest śmieci, stuk potrącanych kubłów, klekot oberwanej rynny, krzyk:

— Nataniee... Natanieee!

Oddalało się, krążyło nad tym miejscem wołanie.

— To ty?

Odwróciła się, więc przypadli twarzami do ziemi. Lekko biegła w kierunku szopy. Pięściami tłukła w deski. Jedną stopę owiniętą miała szmatą, na plecach worek, zarzucony przed deszczem.

Zmęczona siadła na ceglach. Pochyliła głowę, słuchała, skrobała paznokciami drzwi.

— Tu jestem, czekam. Mam jeszcze. Ale gdzie ja podziałam? Rzuciłam. Gdzie?

Chichot rozlegał się donośnie w ruinach.

— Jeden moknie na deszczu pod Żelazną Bramą! Tam go szukaj. Drugi ukryty w śmietniku na Pańskiej. Pod numerem siódmym. Trzeci leży na Dzikiej, daleko stąd, pod stosem kości. Tam znajdziesz puszkę blaszaną. Po ogórkach. W niej list. Idź na Dziką i przynieś ten list!

Wstała, biegła ku nim.

— To ty, widzę. Nie uciekaj przede mną, Natanielu!

Leżeli bez ruchu.

— O, myślałam, że już nie doniosę.

A ona krążyła blisko, grzęznąc w zapadliskach gruzu. Ale na szczęście nie dostrzegła ich. Widzieli, jak spod gałganów wyciąga dłoń. Szła dalej.

— Chodź, chodź, mam dla ciebie kawałek chleba.

Ssała zeschniętą kromkę. Przykładała do ust, odejmowała. Ukryła resztę i rozległ się senny szept:

— Schowałam.

Rozglądała się długo.

— Czekałam... Powiedział, że zaraz wróci, tylko pójdzie do szewca podbić zelówki i zabrali go z ulicy.

Śmiech, szloch.

Dawid przyknął powieki czując bolesny skurcz w sercu. Skulona postać kołysała się, nucila piosenkę. O tym, jak cesarz wygodnie śpi.

Pułk żołnierzy stoi, krzyczy. Sza! Sza! Oj, właśnie tak. Oj, właśnie, jak cesarz sypia na puchu. Sza... Niestety z tą dziewczyną. Zaraz ściągnie im na kark bandę hyclów.

Naum, Elijahu i Dawid czekali, kiedy patrol zwabiony hałasem nadciągnie i wszystkich ich tutaj razem nakryje. Lało całą noc i pies z kulawą nogą tamtędy nie przebiegł. Nad ranem

dopiero, kiedy ziąb ją przejął, Estusia wpełzła do swej nory, a im udało się chyłkiem uciec i wrócić do siebie okrezną drogą, przez piwnice starej mydlarni.

— Albo ona, albo my — powiedział mecenas Szwarc. Najadł się tej nocy strachu.

Wkrótce zabrał wiklinowy kuferek, dzieci i opuścił mury getta konnym wozem, ukryty przez furmana w szafie mahoniowej, dwudrzwiowej, która zachowała się w całkiem znośnym stanie, chociaż pozdzierano z niej tu i ówdzie fornir. Szwarc słono opłacił wtedy hyclów. Na jego ucieczce zarobili: granatowy i dwóch niemieckich strażników z wachy na placu Grzybowski, którzy w ostatniej chwili podbili cenę, kiedy z udanym zajęciem zaczęli opukiwać stary mahoń. Drzwi szafy skrzypnęły i wysunęła się dłoń z sygnetem na serdecznym palcu.

— Panowie, litości! Daję, co mogę. Pamiątka rodzinna!

Szabrownicy prowadzeni przez żandarmów szperali wszędzie; łomem torowali sobie drogę, z rozmachem pruli ściany i zrywali deski z podłóg, a któregoś razu o mało nie wpadli do lochu pomiędzy ukrytych Żydów. Śmieci, gruz, szkło usuwali za nimi więźniowie, których Niemcy używali do uprzątnięcia gnijących w zakamarkach trupów i dezynfekcji, dom po domu. Pewnego dnia wpełznął do kryjówki wuj Gedali, z nim drugi więzień i długo wołali ukrytych rzucając w ciemność wersety hebrajskie, jak hasła, zanim rozproszeni w piwnicach wyszli do nich z ociąganiem. Kto się mógł spodziewać? W rękach mieli ciężkie cęgi, a reszta w sąsiedztwie uwalniała z zasieków Waliców pod strażą, rozkuwała koźły żelazne na złom. Majster, który ze swymi ludźmi wracał na noc do fabryki Toebbensa i Schultza, podjął się przemycić parę łebków; ktoś szukał Ka Imana Drabika i konwojent był tego dnia z góry opłacony. Naum i Elijahu poszli

w tej grupie na Leszno. Dawid ukryty w tłumie więźniów człapał z wujem Gedalim do warsztatów na Prostą. Wysokie było niebo i szumiało w uszach. Zataczał się, wpadał na innych; zdawało mu się, że nic nie waży. Wtykali mu chleb, podtrzymywali. Nie chciał jeść, nie mógł mówić. Otworzył usta i wdychał powietrze cichego wieczoru, a wraz z napływającym swobodnie do płuc tlenem czuł, jak wchłania w siebie już na zawsze obraz tego, co miał przed oczami: uliczkę pełną kocich łbów, oszpecony dom powiewający łachmanem szerniałej firanki, latarnię skręconą i żałośnie przegiętą ku ziemi, jak omdlały pod ciężarem pnącz, ruinę wyniesioną wysoko swym bezkształtem w granatową pustkę — i z każdym oddechem widok ten był bardziej wyraźny i ostry, a ruch, ciągły ruch własnego ciała i kołysanie, ciągłe kołysanie pleców, ramion, głów idących przed nim, wprawiło go w stan jakiejś nie zaznanej dotychczas lekkości i przepełniło mu serce rozrzewnieniem, zawstydzającym smutkiem, zachwytem. Kiedy minęli druty, człowiek zdjęty ze słupka już konał. Wyciągnięte ramiona niewiarygodnie daleko leżały za tułowiem, obok rozbita cegła i krew na papierze. Zepchnięty był w błoto i okryty podartym workiem po cemencie, a wartownik ocierając rękę o spodnie krzyknął w stronę kolumny, aby Werkmeister wyznaczył zaraz jednego, który go stąd sprzątnie, ale szybko! Tam, na ulicy Prostej, był właśnie „mały” Toebbens i tam przepracowali jeszcze parę miesięcy, oczekując komendy do wymarszu na Stawki. Każdy miał numerek, łatę z przodu i łatę z tyłu. Gwiazda na plecach i piersiach, maźnięta grubo olejną farbą, przeciekła przez ubranie, lgnęła do skóry i swędzące, zaognione plamy dokuczały długo. Myślał, że farba nie wyschnie nigdy, wyschła, a znaki nadal piekły żywe ciało. Tam mówiono, że kryjówka na Krochmalnej ciągle jeszcze służy innym; ktoś

widział na starych śmieciach skrzypka Nataniela, ktoś widział, jak kręci się w ruinach Uri, który wrócił zza muru, stara Zełda... Podobno, ze strychów na Ciepłej i Ceglanej przeniosło się do lochu parę rodzin, i był wśród nich u Toebbensa człowiek, który zaklinał się na wszystkie świętości, że Felek Piorun zdążył przed Niemcami opróżnić schowek ze skór i zabrać przy okazji jakichś Żydów. Trzy dni miał wozić furą Żeleźniaka towar pod osłoną starych mebli i popsutych zegarów, brudnych pierzyn, tłumoków z odzieżą.

No, ale wacha też musiała chyba coś z tego mieć.

Ostatni raz zobaczył dom jesienią. Kiedy w zupełnej ciszy pędzili ich przez wymarłą, spustoszoną dzielnicę, nigdy nie byli pewni, czy do roboty, czy prosto na plac przeładunkowy. Tego dnia kolumna zatrzymała się na Walicowie; mieli usuwać kozły żelazne zagradzające wylot uliczki i dźwigać je w gruzy, ciąć drut kolczasty nawinięty kłębami na szyny, a majster zabrawszy z sobą dwóch więźniów i strażnika udał się za mur. Ruiny chwiały się nad głową w powietrzu pełnym słońca i żółtego kurzu. Dawid patrzył w znajome okno wyciągając szyję, czekając. Stąd, z tego miejsca widzieli po południu patrol, który uważnie obchodził sienie w okolicy. Niemcy skradali się mocno uginając kolana, z wysuniętą do przodu bronią. Jeden kopnął drzwi do szopy, a drugi z gałganem i z bańką nafty stanął nie opodal. Ze środka dochodziło kichanie, długo bobrował, wreszcie znalazł wejście do piwnic pod pryczą Mordchaja i stosem upręży i musiał chyba całą wiązkę granatów cisnąć w głąb, rujnując i zasypując dokładnie wylot. Zakurzyły się ruiny, zakołysały. Spod nóg miękko osuwało się usypisko. Ale szopa stała i wtedy zbliżył się drugi żandarm i oblał naftą gałgan; jeszcze obejrzał się, jak płonie stara buda, suche i spróchniałe dechy, zwietrzała i podarta

papa, którą okryty był wierzch. Cisnął bańkę z resztą nafty w otwarte drzwi, otrzepał kurz z munduru, postąpił chwilę i zawołał:

— *Fertig.*

Krótko po ich odejściu strażnik w ruinach oddał w górę pierwszą zieloną raketę.

— Pożar! Pożar! Pali się — wołano. Ulicą biegli Niemcy z rękami na kołyszących się ładownicach. W popłochu pędzili więźniów do gaszenia. Kazali wszystkim rzucać narzędzia, szukać wiader, miednic; w jakiś czas później nadciągnęła druga kolumna z warsztatów.

W ciągu godziny pożar ugaszono. Okazało się, że iskra z szopy padła na zbutwiałe zasłonki w oknie stróżówki i od tych zasłonek Ajzena zajęły się futryny i śmiecie. Woda z wiader chlustała przez okno i wyciekała schodami do sieni. Ogółem wypaliły się dwa mieszkania na parterze, stróżówka oraz pokój Mordarskiego na pierwszym piętrze. Długo jeszcze kazali Niemcy nosić wodę, deptać zetlałe gałgany, polewać dymiące ściany i tapety; jakiegoś Żyda dla żartu razem z miednicą wepchnęli kopniakiem w płomień. Wybiegł stamtąd bez miednicy krztusząc się i kaszląc, ze spalonymi włosami. Na kolanach żarzyły się duże dziury, rosły i dymiły w miejscu, gdzie spodnie miał wypchnięte. A chodziło o to, że w pobliskich Halach były nagromadzone baki z paliwem i na placu Żelaznej Bramy urządzili Niemcy czasowo zajezdnię dla wojskowych ciężarówek. Gdyby tak benzyna zabuzowała? Więźniowie podsłuchali rozmowy żandarmów.

O szopie Mordchaja wiedzieli, ale nie chcieli nic wiedzieć o innych przełazach, o podziemnym korytarzu, o piwnicach, o zapasowym wyjściu ze składów starej mydlarni. Robili, co im kazano. Zburzony granatami i zasypany wylot odciął dostęp powietrza z tej strony, lecz nie dopuścił ognia w głąb lochu. A

spopielona szopa runęła i okryła to miejsce stosem zwęglonych łąt, z których sączył się dym i gorzki odór pogorzeliska.

Ludzie po tamtej stronie mówili, że o zmierzchu widać było na piętrze, jak z kryjówki uciekali gdzieś Żydzi. Skulone postacie pojedynczo wyskakiwały z piwnic i posuwając się nisko wzdłuż ścian przepadły w ruinach. Więzień, który przyniósł do warsztatu tę wiadomość, cały dzień był z majstrem i worek wypchał żywnością zakupioną za murem. Miał szarosiwą bródkę i jak wszyscy dużą gwiazdę na drelichu. Zapuszczony, parotygodniowy zarost sięgał mu do oczu. Dawid z trudem poznał, że to Kiepele.

— Żydzi — powiedział. Wylewał wodę z butów siedząc na pryczy, otoczony przez tłum więźniów. Dawid czuł, jak kleista farba łąty przywiera mu do skóry. Ręką odciągnął bluzę, a więzień z szarosiwą bródką, patrząc przed siebie w ciemność za oknem baraku, w deszcz, nie podnosząc głosu, prawie szeptem powtórzył: — Żydzi, chować chleb, kto ma iść jutro na Waliców.

Po północy krążył strażnik dookoła baraków. Stawał cicho pod oknami, świecił do środka i światło skakało po pryczach, twarzach. Okna były okute kratą, a krata chroniona zwojem kolczastego drutu. Kluczem włókł po prętach, czy całe, nie ruszone, i klucz w ciszy i ciemności wydawał zniecka upiorny zgrzyt; nim Dawid przywykł do tego — minęło trochę czasu, a sygnał strażnika zrywał go na nogi i oślepiony smugą latarki z walącym sercem rozglądał się w popłochu, nie wiedząc, gdzie jest i jak się tutaj znalazł. Potem już niewiele czasu pozostawało do porannej pobudki. Przed świtem dawali żreć wieprzom za osobnym ogrodzeniem, w takim samym baraku. Tuczyli je zlewkami z kuchni; na ludziach oszczędzali, reszta szła do koryta w chlewie. Ale chłopcy, których w warsztatach było kilkunastu za pozwoleniem majstra i cichą zgodą Niemców, powtarzali

sobie na ucho, że wieprze karmione są ludzkim mięsem, trupami wywlekanymi z ruin i z kryjówek. Akurat, to była niemiecka słonina dla niemieckich żołnierzy, a oni na pewno nie jedzą byle czego. Świnie też muszą być *rasserein*.

Karmiono je raz na dobę, nocą. Wtedy kwik, chrapliwy rechot stada świń słycać było wszędzie i wydawało się przebudzonemu, że to zwierzęcy wrzask ogromnego tłumu, lament z oddali.

Dawid słyszał, jak wuj Gedali bełkocze przez sen. Raptem usiadł i z zamkniętymi oczami powiedział:

— Jehuda, wróć, Jakow się znalazł — a potem bezwładnie opadł na pryczę, chrapiąc. Inny, nieznany lęk ogarnął Dawida na myśl o ojcu. Tam, gdzieś żyje. Tam, w dużym getcie, chodzi swobodnie z opaską. Wkręcić się do grupy, która pójdzie na Leszno? Iść za mur. Spotkają się razem. W jednym miejscu, wszyscy.

Już wiedział, co uczyni. Przy pierwszej-lepszej okazji, kiedy więźniów pognają do roboty na tamtą stronę... Na tamtą stronę!

— *Jawohl, meine ist die ganze Welt. Was nun? Es regret.* — Tak, jego jest cały świat. I co? Pada. — *Hundeleben. Pfui, Schmutz. Zum Donnerwetter.* — Mówi, że psie życie. Błoto. Klnie, za wartownią można się utopić.

To znaczy, że już po zmianie wart i patrole ciągną do kantyny. A ten głos był prawie zatroskany; Werkmeister grzecznie pyta, których wyznaczyć dzisiaj na Waliców? Których ma zatrzymać w warsztacie, a których posłać za mur?

— *Ich trinke* — i komendant straży kazał mu milczeć. Niech poczeka. Co? Mówi, że mu się śpieszy? No, no, śmiałość ma Żydzisko. — *Prosit! Noch ein mal.*

I jeszcze strażnik rozzłoszczony woła, co ma robić z tym

Żydem, który wyszedł z gruzów. Czeką pół nocy przed wartownią i prosi, żeby go zaprowadzić na Umschlagplatz. Konwój posyłać dla jednego łebka?

W garażu zapuszczono ciężarówkę, a spod kantyny rozległ się donośny, rażny okrzyk:

— *Ans Werk!*

Wśród rozwlekłych żandarmskich przekleństw, ziewania, nawoływań i pierwszych porannych komend — dzień nadciągał, jeszcze jeden dzień. Dawid czuwał z otwartymi oczami, słuchał bicia serca i myślał, że trzeba uciekać stąd.

Uciekać, szybko.

Długo nie wyznaczano więźniom zajęć i w kantynie pijatyka trwała do południa. Trzaskały drzwi, radio grało. Stali tłumem, kiedy patrole czarnych otoczyły w milczeniu kamienicę i baraki Toebbensa, a strażnicy wyciągali z ukrycia ostatnich Żydów. Padał deszcz ze śniegiem, wiało. Dwie ciężarówki ledwo pomieściły kaleki i starców, których na ostatek znaleziono ukrytych w zakamarkach warsztatu. Wyciągali przed siebie mokre dłonie, żegnali krewnych, palcami chwyтали powietrze, krople deszczu. Zdrowych uciekinierów ustawiono osobno. Werkmeister, blady jak płótno, wystąpił i przemówił do nich.

— Cieszcie się, pan komendant daruje wam winę i pójdziecie z innymi na *Umschlagplatz*. — W drodze Dawid słyszał, jak szeptem mówiono, że jacyś więźniowie zostali na Prostej i zdołali się tam dobrze ukryć.



Tekst udostępniony jest na licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska](https://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/).

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej [Wikiźródła](#)^[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie:

[Chleb rzucony umarłym](#)

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów nie podlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji [Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 3.0 Polska](#)^[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. [Przyłącz się do nas!](#)^[3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na [tej stronie](#)^[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Nawider
- Ankry
- Wieralee

-
1. [↑ https://pl.wikisource.org](https://pl.wikisource.org)
 2. [↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl](http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl)
 3. [↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki](https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki)
 4. [↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium](http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium)